

Robert J. Schmidt
**SZCZURY
WROCLAWIA**



KRATY

Polecam! - GRAHAM MASTERTON

R o b e r t J . S z m i d t

SZCZURY
WROCLAWIA
KRATY

 insignis

Copyright © 2019 Robert J. Szmidt

Redakcja
Urszula Gardner | urszulagardner.pl

Konsultacja naukowa

Katarzyna Cieślar

Korekta

Elżbieta Krok

Skład

Tomasz Brzozowski

Okładka i komiksy

Robert Rajszczyk | facebook.com/RobertoBookCovers

Projekt planów Wrocławia

Design Partners | designpartners.pl

Konwersja do wersji elektronicznej

Aleksandra Pieńkosz

Copyright © for this edition

Insignis Media, Kraków 2019. Wszelkie prawa zastrzeżone.

ISBN 978-83-66071-68-1



Insignis Media

ul. Lubicz 17D/21-22, 31-503 Kraków

tel. +48 (12) 636 01 90

Wprowadzenie

Wieczorem 9 sierpnia 1963 roku milicjanci pilnujący izolatorium na Psim Polu są świadkami mrozących krew w żyłach zdarzeń. Część poddanych kwarantannie cywilów zamienia się w krwiożercze bestie. Przełożeni lekceważą pierwsze doniesienia o nieumarłych, ale gdy sygnały zaczynają napływać z innych miejsc odosobnienia, major Biedrzycki, sekretarz Niesyto, podsekretarz Bremer i kapitan Łukasz Brandys, zastępujący podczas feralnego weekendu najważniejszych dygnitarzy, zostają zmuszeni do podjęcia zdecydowanych działań. Sytuacja w mieście wymyka się jednak spod kontroli pomimo wysłania do akcji nie tylko zwykłych milicjantów, ale też elitarnych oddziałów ZOMO.

Decydenci, widząc beznadziejność sytuacji, rejterują kolejno, pozostawiając walkę z hordami zombie „młodym wilkom”. Biedrzycki i jego towarzysze nie zamierzają się jednak poddać. Do akcji wkracza więc wezwane wojsko, ale i ono nie jest w stanie powstrzymać rzesz tysięcy nieumarłych, tym bardziej że poczynione wcześniej kroki zaradcze, takie jak palenie unieszkodliwionych chodzących trupów, okazują się śmiertelnie groźne dla tych, którzy wciąż żyją. Dymy zasnuwające miasto roznoszą zarazę w rejony, które do tej pory wydawały się bezpieczne.

Dochodzi do masakry. Zatłoczone dworce stają się masowymi grobami tych, którzy próbują zbiec z miasta. Upada także Komenda Wojewódzka, z której kierowano działaniami sił zbrojnych. Pozbawieni dowództwa żołnierze dezertują dziesiątkami. Zdawać się może, że nie ma już żadnej nadziei.

Informowany o sytuacji towarzysz Zatylny, ostatni z sekretarzy PZPR, jacy pozostali w mieście, zwraca się najpierw do władz centralnych, a za ich zgodą do Rosjan, z prośbą o bratnią pomoc, czyli o rzucenie na miasto bomby termonuklearnej, ponieważ

tylko jej moc może – jego zdaniem – powstrzymać tę potworną zarazę. Termin nalotu wyznaczono na godzinę szóstą trzydzieści następnego ranka, skazując tym samym na pewną śmierć nie tylko tych mieszkańców Wrocławia, którzy ocalili, ale także tysiące mundurowych, którzy z poświęceniem własnego życia starają się zapanować nad chaosem.

Tymczasem w mieście trwa akcja ewakuacji decydentów. Elita komunistycznych władz zamierza przetrwać bombardowanie w schronie przeciwatomowym, który mieści się pod gmachem Komitetu Wojewódzkiego PZPR, jednakże i decydenci napotykają na swojej drodze przeszkody, gdyż nad wieloma dzielnicami panują już hordy krwiożerczych żywych trupów.

Próby podejmowane przez majora Biedrzyckiego, który chce odwieść Zatylnego od popełnienia potwornej zbrodni, nie przynoszą skutku, lecz atak nie następuje, ponieważ apokalipsa zombie, która rozpoczęła się we Wrocławiu, w ciągu kilku godzin obejmuje niemal cały świat. Wirus czarnej ospy, jak się okazuje, był katalizatorem, który przyspieszył rozwój wypadków w stolicy Dolnego Śląska, ale problem dotyczy wszystkich kontynentów.

Zdani tylko na siebie obrońcy w obliczu grożącej im klęski postanawiają przegrupować siły i wycofać się na rzadziej zaludnioną Wielką Wyspę, by tam przygotować plany dalszej obrony i kontrataku. Z tysięcy żołnierzy i milicjantów posłanych do walki z zombie na teren ogrodu zoologicznego dociera tylko garstka, lecz to dopiero początek walki o przetrwanie.

W mieście za rzeką pozostali wciąż czekający na ratunek cywile...







sobota, 10 sierpnia 1963, godzina 04:04
Zakład Karny Nr 1 przy ulicy Klęczkowskiej¹_35

– Zamknijcie to okno, do cholery – warknął kapitan Wojciech Okrutny, nie odrywając wzroku od leżących przed nim papierów.

– No ale jakże to tak, szefie kochany – zaprotestowała piskliwym głosem ukryta za ścianą sekretarka. – Podusimy się przecie, jak te karpie w wannie na święta...

– Kubisiowa! – Poirytowany zastępca naczelnika podniósł głos jeszcze bardziej. – Wy mi tu z tymi waszymi religijnymi zabobonami nie wyjeżdżajcie. To nie harcerstwo, tylko służba więzienna. Jeśli mówię zamknąć okno, to zamykacie i na tym koniec!

Przygadał Agatce ostrzej, niż zamierzał, ponieważ sytuacja zaczynała go przerastać. Poza tym, będąc mężczyzną słusznej postury, pocił się za dwóch. Noc okazała się wyjątkowo upalna, a jedyna szansa na złapanie oddechu odeszła właśnie w niepamięć, gdy lekki wiaterek ponownie zmienił kierunek, ściągając nad kompleks więzienia kłęby gęstego, cuchnącego potwornie dymu.

Od strony sekretariatu dobiegło najpierw głośnie trzaśnięcie, potem trudne do zrozumienia, ale na pewno gderliwe mamrotanie sekretarki. Niemal natychmiast zrobiło się duszniej, całkiem jakby ktoś włączył palnik pod tym wielkim ponemieckim ceglany piekarnikiem, w którym przyszło im spędzić ostatnią noc.

Okrutny skwitował narzekania Agaty podobnym

1 26 kwietnia 1971 r. Miejska Pracownia Geodezyjna powiadomiła pisemnie prasę i inne zainteresowane instytucje wrocławskie, iż obowiązującą nazwą ulicy jest „Kleczkowska”, a nie „Klęczkowska”. (Na planie Wrocławia „Kleczkowska” pojawiła się w 1972 r.). Źródło: Zygmunta Antkowiak, *Stare i nowe osiedla Wrocławia*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1973.

nieartykułowanym pomrukiem, po czym przeniósł wzrok z zapisanego maczkiem skoroszytu na czekających w równym szeregu podwładnych. Stali przed nim trzej mężczyźni i kobieta.

– Jest tylko jeden sposób – powiedział, stukając palcem wskazującym w sporządzone przez siebie wyliczenia. – Jeśli mamy zdążyć, musimy wprowadzać na dziedziniec całe bloki.

– Ale to po trzystu chłopa będzie – zaproponował Sękała, szczupły i niemal łyśy okularnik, który nawet gdy stał przed siedzącym przełożonym, niespecjalnie nad nim górował. Wymięta bluza mundurowa z dystynkcjami starszego sierżanta wisiała na nim jak na wieszaku, spodnie też były za luźne, mimo że wydano mu najmniejsze dostępne w magazynie sorty. – A mamy na zmianie tylko dwudziestu czterech ludzi, jeśli liczyć wieżowych i baby.

– Nie zapanujemy nad takim tłumem, jeżeli dojdzie do... – poparła go sierżant Agnieszka Medygrał, piastująca funkcję szefowej przeznaczoną dla kobiet bloku D. Była niższa nawet od Sękali, drobniutka jak nastolatka, a gdy spoglądała na człowieka tymi wielkimi, błękitnymi oczami, serce od razu miękło, choć niejeden absztyfikant przekonał się boleśnie, że zadzieranie z nią nie jest najlepszym pomysłem. Jak przychodziło co do czego, nie było ostrzejszej kosa wśród tutejszych strażniczek.

– Do niczego nie dojdzie, możecie mi wierzyć – przerwał jej kapitan.

– Gdy tylko zauważą, że są w przewadze... – nie ustępowała.

– Wiem, co robię, zaufajcie mi. – Okrutny wszedł jej w słowo po raz drugi. – Plan wygląda następująco. Zaczniemy od oczyszczenia kurwidołka, a zaraz po babach zajmiemy się blokiem C, gdzie siedzą sami tymczasowi i ci z najniższymi wyrokami. Z nimi problemów nie będzie, więc połowę roboty odwalimy w try miga. Dalej przejdziemy do skrzydła B. Tam mamy sporo recydywy, ale to przecież w przeważającej większości doliniarze, pospolite draby i moczymordy. Nie sądzę, by zmuszenie ich do wyjścia za mur nastreczyło nam większych problemów. Blok A zostawimy sobie na koniec.

– I tu zaczną się schody – wycedził starszy sierżant.

– Robert dobrze gada – odezwał się milczący do tej pory sierżant Tomasz Rawiński, dowódca zmiany na wspomnianym bloku, wyższy o pół głowy od Sękali i znacznie masywniejszy warszawiak, swojak z Pragi, który dobrze poznał półświatek stolicy, i to z obu stron, zanim trafił do dolnośląskiej służby więziennej. – Babami i doliniarzami możemy się nie przejmować, pełna zgoda, ale blok A to zupełnie inna sprawa. Moje żuczki już zauważyły, że za murem coś się dzieje. Nie wiedzą jeszcze, co jest grane, to prawda, ale odgłosy całonocnej strzelaniny na pewno dały im do myślenia. Doniesiono mi – dodał – że mniej więcej od północy między celami krążą grypsy mówiące o wybuchu kontrrewolucji. Dlatego chłopcy mają pietra, że zaraz po otwarciu cel osadzeni mogą czegoś próbować.

– Nawet jeśli im powiemy, że władza ludowa ogłosiła bezwarunkową amnestię?

– Dla krawaciarzy? – zaśmiał się Rawiński. – Uwierzylibyście na ich miejscu w takie rewelacje, towarzyszu kapitanie? Bo ja na pewno nie.

– Święta racja – wtrącił Sękala, odwdzięczając się koledze.

Skazani na śmierć bandyci nieufnie podejść do takiej obietnicy. Niektórych od zadyndania na stryczku dzieliło już tylko kilka dni. Nie byli też tak głupi jak przestępczy plankton siedzący za zgarnięcie flaszki z knajpy albo obrobienie piwnicy.

– A co wy o tym wszystkim sądzicie, Patryku? – Okrutny przeniósł wzrok na chorążego Rojewskiego, ostatniego z wezwanych podoficerów, szczupłego jak Robert, ale najwyższego z tej trójki brodacza o sterczących włosach i pociągłej twarzy, któremu podlegał blok C.

– Ryzykowne posunięcie moim zdaniem. – Patryk odpowiedział po chwili zastanowienia. – Rzekłbym nawet, że zbyt ryzykowne. Recydywa postawi się, jak tylko wyczuje pismo nosem. A nasi chłopcy są za bardzo przestraszeni, żeby zgrywać twardzieli, co dodatkowo może ośmielić wyprowadzanych na plac apelowy żuczków.

– W takim razie mamy cholerny problem. – Kapitan odepchnął się od biurka, by wstać przy akompaniamencie przeraźliwego

zgrzytu nóg ciężkiego krzesła. – Nie wiem, co Zatylny nam rychtuje, ale Bednarek słyszał na własne uszy, jak ta gnida mówi staremu, że ewakuacja działaczy musi się zakończyć przed wpół do szóstej. Bezwzględnie. A to znaczy, że zostało nam... – spojrzał na zegarek – ...osiemdziesiąt minut, może półtorej godziny, ale na pewno nie więcej. Przeliczyłem to na wszelkie sposoby. – Wskazał leżące na blacie notatki. – Albo zaczniemy akcję opróżniania więzienia w tej chwili, wyprowadzając na plac całe bloki, albo możecie się pożegnać z rodzinami... – Przesunął wzrokiem po twarzach podwładnych. – Nie liczcie na to, że oni okażą komukolwiek litość.

Podoficerowie spuścili głowy. Wiedzieli, co zrobią poproszeni przez sekretarza o pomoc Rosjanie, gdy wejdą do miasta. Żaden nie będzie pytał, czy napotkany człowiek jest zarażony. Tylko mur mógł zagwarantować ich bliskim względne bezpieczeństwo, przynajmniej w pierwszych godzinach czystki, kiedy będzie najgoręcej.

– Może pozbądźmy się tylko bab i tych z niskimi wyrokami, a resztę hołoty zostawmy w celach – zaproponował po chwili milczenia Rawiński.

– Chcecie, żeby nasze żony i dzieci przebywały w tym samym miejscu co taki Sprycha, Nerynk albo Magdziarek? – zapytał z niedowierzaniem w głosie Wojciech. – Poza tym jak to sobie wyobrażacie?

– Możemy odciąć ten blok od reszty... – zaczął Sękała.

– Albo przenieść ich do Babińca – przerwała mu Medygrał. – Potem, już na spokojnie, pod bronią maszynową, cela po celi.

Kapitan kręcił wolno głową. Rozważał to rozwiązanie, ale im dłużej nad nim myślał, tym więcej widział zagrożeń. W bloku A siedzieli najgorsi przestępcy, a takim nie trzeba wiele, żeby pokazali, na co ich stać – a przecież właśnie przed tym chciał ochronić najbliższych, zarówno swoich, jak i pozostałych funkcjonariuszy.

– Nie – rzucił zdecydowanym tonem. – To nie wchodzi w rachubę.

– Jest jeszcze jedno wyjście, towarzyszu kapitanie –

przypomniał mu Rawiński, zniżając głos.

Okrutny westchnął ciężko.

Tak, nad tym także się zastanawiał, choć znacznie krócej. W odróżnieniu od podwładnych miał bowiem lepsze rozeznanie w sytuacji. Wciąż jednak nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał od przyjaciela, intendenta dwójki, naocznego świadka niedawnych wydarzeń w Komendzie Wojewódzkiej. Gdyby nie znał majora Brandta tak dobrze – i gdyby pół godziny później nie utracił łączności z Zakładem Karnym Nr 2 – być może uznałby, że to jakiś głupi żart Krzysztofa. Nieumarli? Ludzie, których nie da się zabić? Długo bił się z myślami, czy podzielić się tymi informacjami ze swoimi podwładnymi, od których zależało powodzenie akcji ewakuacyjnej, lecz ostatecznie uznał, że nie powinien tego robić.

– Znacie kogoś, kto wykona dwieście egzekucji w półtorej godziny? – zapytał, patrząc podoficerom prosto w oczy.

Spuścili wzrok, nie odpowiedzieli. Nie musieli pytać podległych im funkcjonariuszy, by wiedzieć, jaką otrzymają odpowiedź. Gdyby zdecydowali się na to rozwiązanie, likwidacja najgorszego elementu spadłaby na nich samych.

– Może nie dwieście... – mruknął po chwili Rawiński.

– A jaka jest waszym zdaniem różnica między setką a dwiema setkami straconych? – odwarknął kapitan.

– Krawaciarzy mamy tylko nieco ponad dwudziestu – przypomniał wszystkim zebranym Sękała.

– I z trzy razy tyle niewiele od nich lepszej recydywy z wyrokami dłuższymi od niejednego życiorysu – skontrował od razu kapitan. – Nie mówiąc o tym, że po pierwszych strzałach dobiegających od strony magazynu każdy pensjonariusz bloku A wpadnie w amok.

– Mamy przecież trzy jadzie – rzuciła niepewnym tonem Medygrał.

– I tylko dziewięćdziesiąt minut, a właściwie... – Wojciech zerknął na zegarek.

– Lepsze to niż ryzyko buntu, zanim ściągniemy tutaj naszych.

Dalszą wymianę zdań ucięło zadane przez milczącego od

dłuższej chwili Rojewskiego pytanie:

– Jak stoimy z bronią?

– W sensie? – Dowódca wydawał się zaskoczony.

– W sensie: ile mamy broni na całym obiekcie.

– Jeśli wziąć pod uwagę wszystko, co znajduje się w zbrojowni... – Kapitan przeliczył szybko w pamięci. – Wyjąwszy mojego makarowa, dysponujemy czterdziestoma czterema tetetkami i ośmioma peemami.

– Mało – westchnął Sękala. – O wiele za mało.

– Na trzystu chłopa i przy tak małej przestrzeni stanowczo za mało. – Rawiński poparł go, jak można było się tego spodziewać.

– Trudno, będzie musiało wystarczyć – zbył ich wzruszeniem ramion Okrutny.

– A co z amunicją? – nie ustępował Rojewski.

Spojrzeli po sobie. Władza ludowa nie lubiła ryzyka, nie zbroiła więc swoich obywateli tam, gdzie nie zachodziła taka potrzeba. Służba więzienna, jak każda formacja mundurowa socjalistycznej ojczyzny, dysponowała wprawdzie bronią palną, lecz z dostępem do amunicji różnie bywało. Klawisze pełniący dyżury w blokach A i B mieli w magazynkach po sześć naboí, z czego trzy pierwsze ślepaki. Strażnicy w wieżach dysponowali ostrą amunicją, ale wydawano im magazynki z co najwyżej dwunastoma nabojami. I to wszystko. Żadnej rezerwy w zbrojowni nie trzymano. Władza wychodziła ze słusznego założenia, że tyle naboí powinno wystarczyć do podniesienia morale załogi i powstrzymania ewentualnej ucieczki jednego bądź nawet kilku osadzonych, ponieważ – w razie gdyby sprawy za murem przybrały gorszy obrót – do akcji miało wkroczyć KBW.

– Mamy jej tyle, co kot napłakał... – Rawiński wyraził na głos obawy wszystkich.

Patryk potoczył wzrokiem po pozostałych i uśmiechnął się zagadkowo.

– Chyba wiem, jak możemy z tego wybrnąć.

* * *

Pomysł chorążego się sprawdził. Opróżnienie żeńskiej części

więzienia przebiegło szybko, sprawnie i bez incydentów. Podobnie wyglądało oczyszczanie bloku C, a nawet B. Rozwiązanie podsunęte przez Patryka było genialne w swojej prostocie. *Strach ma wielkie oczy...* To stare porzekadło sprawdza się nawet w przypadku najbardziej zatwardziałych kryminalistów, a na Klęzkowskiej siedziało ich naprawdę wielu.

– Pobudka! – Walenie pałką w drzwi potęgowało chaos panujący od jakiegoś czasu pod celami. Strażnicy postarali się, by szcęk zasuw i zgrzyt przekręcanego w zamku klucza zabrzmiały równie groźnie.

Osadzeni zeskakiwali z prycz, cofali się pod zakratowane okna, chwyтали co było pod ręką, byle stawić opór oprawcom. Widząc skierowane na siebie lufy tetetek i peemów, musieli czuć strach. I o to chodziło. Im mocniej się bali, tym bardziej byli podatni na sugestię.

– To jebana rewolucja! Partia wydała rozkaz likwidacji wszystkich osadzonych! – krzyczeli wybrani podoficerowie, stając pomiędzy uzbrojonymi kolegami a więźniami. – Spierdalajcie żuczki, póki możecie! – dodawali zaraz, cofając się za próg, by zrobić przejście. – Ruchy, kurwa, ruchy! Musimy otworzyć tyle cel, ile się da, zanim dotrą tutaj Ruscy i KBW!

W takich chwilach człowiek przestaje się zastanawiać. Niczym przysłowiowy tonący gotów jest chwycić się brzytwy, idzie przecież o życie. A jeśli dodać do tego perspektywę wyrwania się z za znienawidzonych krat, choćby nawet na krótko...

Okrutny obserwował z okna kancelarii, jak nieprzerwany strumień więźniów znika w mroku za rozsuniętymi na całą szerokość skrzydłami niebieskiej bramy. Nikt nie przystawał, nikt się nie rozglądał. Gnali przed siebie ile sił w nogach, jakby nie wierzyli we własne szczęście. Strach ma wielkie oczy, a dziś podsycano go wyjątkowo efektywnie, z jednej strony wykorzystując godziny oczekiwania w napięciu i niepokój wzbudzony odgłosami całonocnej strzelaniny, a z drugiej potęgując umiejętnie eksponowane detale – jak zapalone światła i krzątania przy budynku magazynu, gdzie najpierw Gestapo, a potem NKWD przeprowadzało masowe egzekucje; jak

ciężarówka załadowana do pełna prostymi skrzyniami, w których składano zwłoki.

Każdy, kto opuszczał krzyż więziennych zabudowań i trafiał na półkolisty placyk przed komendanturą, mógł zobaczyć to wszystko na własne oczy, jeśli więc zbudziły się w nim nawet jakieś wątpliwości, w tym momencie tracił je bezpowrotnie.

To miejsce cieszyło się ponurą reputacją. Najpierw było niemiecką, a potem hitlerowską katownią, jeszcze później służyło tym samym celom, ale już nowej, socjalistycznej władzy. Gilotyna, szubienice, rozstrzeliwania, czasami masowe. Osadzeni o wszystkim wiedzieli. Naczelnik zadbał bowiem, by każda egzekucja odbijała się znacznie szerszym echem, niż powinna, ponieważ jego zdaniem nic tak nie trzyma ludzi w ryzach jak obawa przed utratą życia.

Ten sam lęk zaślepił dzisiaj złodziei, gwałcicieli, pospolitych opryszków i wszelkiej maści element antysocjalistyczny. Tylko dzięki strachowi w niespełna godzinę od rozpoczęcia akcji udało się pozbyć zza muru ponad tysiąca osadzonych. Znacznie szybciej, niż można by przypuszczać.

Pozostał już tylko ostatni, ale zarazem najtrudniejszy etap. Wypuszczenie pospolitych przestępców na wolność, nawet tak iluzoryczną, to jedno, ale pozbycie się z więzienia najgorszych szumowin, w tym ponad dwudziestu zbrodniarzy oczekujących na egzekucję, to zupełnie co innego. Szczególnie w wypadku człowieka, dla którego prawo to świętość. Podoficerowie byli gotowi na podjęcie takiego ryzyka, ale nie on. Postawił więc sprawę jasno: żaden z osiemdziesięciu czterech więźniów, którzy odsiadywali na Klęczkowskiej najdłuższe wyroki, nie wydostanie się za tę bramę, nawet jeśli zapowiadane masowe czystki rozpoczną się w ciągu pół godziny. Po krótkiej i zacieklej dyskusji, podczas której raz jeszcze rozważono rozstrzelanie osób i tak skazanych na karę śmierci, Medygrał zaproponowała pewne rozwiązanie. I ono było połowiczne, ale usatysfakcjonowało kapitana.

Stojąc teraz w zaciemnionym pokoju, Wojciech patrzył przez okno na znajdujący się dwie kondygnacje niżej zasnuty dymem

placyk, przez który wciąż przebiegali rozglądający się trwożliwie mężczyźni. Wyczekiwał znaku, ostrego brzęku telefonu, który wezwie go do głównego budynku, zanim zbiorą się tam wszyscy uzbrojeni strażnicy. Jeszcze chwila i rodziny strażników, czekające w należących do kompleksu więzienia kamienicach, będą mogły wejść za mur, gdzie znajdą schronienie przed siepaczami nasłanymi przez towarzysza, tfu, sekretarza. Jeszcze momencik...

Telefon w sekretariacie zaczął dzwonić.

* * *

Pierwsi ewakuowani członkowie rodzin przekroczyli próg więzienia, zanim kapitan zdążył zbiec na wybrukowany sześciokątnymi płytami plac. Szedł więc razem z nimi, otoczony tłumem milczących kobiet i dzieci – przerażonych nagłym rozkazem opuszczenia przydziałowych kwater jeszcze bardziej niż usuwani kryminaliści. Jedynymi dźwiękami, jakie docierały w tym momencie do uszu Okrutnego – prócz nieustannego szurania zdartych podszew o bruk – były niemal nieustanne pokasywania, co przy potwornym zadymieniu nie wydało mu się niczym dziwnym. Od czasu do czasu dolatywały go także zduszone szlochy.

Ci ludzie przeszli swoje. Najpierw wsłuchiwali się w narastającą z każdą godziną palbę – a strzelano przecież tuż za ich oknami. Potem kazano im się spakować, wyprowadzono ich z mieszkań, przewieziono na Klęczkowską i upakowano w sześciu trzykondygnacyjnych kamienicach należących do zbudowanego pod koniec dziewiętnastego wieku kompleksu więziennego. Tam rodziny strażników czekały na umówiony sygnał, gnieźdząc się w ciasnych klitkach, a nawet na schodach, bo dla takiej masy osób brakowało miejsca. Na szczęście nie trwało to długo, ale i ta godzina z okładem wystarczyła, by wyprać ewakuowanych z wszelkich uczuć poza przygnębieniem i strachem.

– Towarzyszu kapitanie! – Wojciech zatrzymał się, słysząc znajomy głos.

Obejrzał się, a że przy wzroście sięgającym prawie dwóch

metrów górował nad strumieniami przepływających przez plac uciekinierów, bez trudu dostrzegł machającego do niego ciemnowłosego kaprała.

– Zawieźliście pułkownikową i jej pomiot do KW? – zapytał, gdy Bednarek zdołał się do niego precyzyjnie.

– Tak jest, towarzyszu kapitanie. – W głosie młodego podoficera dało się wyczuć lekki akcent charakterystyczny dla pogórza, co nie było dziwne, zważywszy, że Paweł pochodził z Nowego Sącza. – Odprowadziłem wszystkich pod same drzwi bunkra.

– Jak wygląda sytuacja?

– Mocno nieciekawie, towarzyszu kapitanie. – Bednarek poprawił palcem okulary. – Przy placu Dąbrowszczaków zrobił się nieludzki korek, zwożą tam na potęgę rodziny wszystkich dygnitarzy.

Ta wiadomość, wprawdzie spodziewana, lecz wciąż niepokojąca, sprawiła, że Okrutny instynktownie podjął marsz w kierunku zbudowanych na planie krzyża gmachów.

– Dowiedzieliście się czegoś konkretnego?

– Nie. Ważniacy nabrali wody w usta. Żaden szofer nic nie wie. A jeśli już któryś się odezwie, to gada takie rzeczy, że szkoda mówić. – Kaprał machnął ręką.

– Na przykład co?

– Na przykład, że chcą nas zbombić jak tę tam, Hiroszimę.

– Chcą zrzucić na Wrocław bombę atomową? – zaśmiał się kapitan. Były to jednak tylko pozory wesołości: na dnie żołądka czuł znajomy ucisk, jakby mu tam ktoś kamieni nawrzucał, a po jego plecach przebiegał właśnie bardzo wolno zimny i naprawdę nieprzyjemny dreszcz. Zatylny był tak wielką kanalią, że mógł poprosić towarzyszy z Moskwy o całkowite zniszczenie miasta. – Bzdura – dodał, pilnując się, by głos mu nie zdrzął. – Nie powtarzajcie tych kretyńskich plotek nikomu. Chłopcy są już i tak zdrowo podenerwowani.

– Jasna sprawa, towarzyszu kapitanie.

Okrutny wzdrygnął się wewnątrz. *Jeśli to prawda*, skonstatował, *schronienie się za murem nie zwiększy naszych szans*. Bezwiednie oblizał spierzchnięte wargi. Co mógł w tej

sytuacji zrobić?... Wtem doznał olśnienia. Schrony przeciwlotnicze z czasów wojny! Mieli ich tu kilka. Tylko że były słabo wyposażone i dość ciasne, bo przewidziane na wypadek chwilowego, co najwyżej kilkugodzinnego pobytu w nich znacznie mniejszej liczby osób. Bez mebli, sanitariatów, studni artezyjskiej...

Zamyślony głęboko kapitan minął próg bloku A, nie odpowiadając na salut stojącego przy drzwiach wartownika. Zastanawiał się, jak przerzucić część żywności i wody do pomieszczeń, które mogą, choć nie muszą, przetrwać niszczycielską eksplozję. *Jak to zrobić, nie budząc podejrzeń tych, którzy pozostaną na zewnątrz? Oto jest pytanie...*

– Bednarek! – Odwrócił się nagle do kaprała. – Pędźcie na piętro do sierżanta Sękali i powiedzcie mu, żeby poczekał na mnie z rozpoczęciem akcji. Przekażcie, że wpadłem na świetny pomysł, ale muszę coś sprawdzić.

– Tajest.

Paweł ruszył biegiem w górę schodów.

* * *

– Jakiś problem? – zainteresował się Rawiński, gdy kapitan dotarł w końcu na blok.

– Bednarek wam nie powiedział? – Wojciech udał zdziwienie.

– Coś tam pitolił, ale niekonkretnie. Podobno wpadliście na świetny pomysł i dlatego kazaliście na siebie czekać – odparł Sękala.

– Niestety pomysł okazał się chybiony – rzekł wymijająco kapitan i aby zmienić niewygodny temat, zaraz dodał: – Bierzmy się do roboty. Dzięki Rojewskiemu mamy spore przody, ale zostało nam niespełna pół godziny. Nie chcecie chyba, żeby chłopaki z kolumny transportowej przywitały krasnoarmiejców gdzieś na ulicy? – Nie chcieli, mógł więc spokojnie przejść do następnego punktu odprawy. – Dobra, panowie. Mamy cztery wozy, do każdego pakujemy po dwudziestu jeden żuczków. Jest nas tyłu, że spokojnie możemy podzielić siły na dwie grupy i pracować równolegle. W każdym zespole będzie trzech

chłopaków z bronią maszynową i czterech z tetetkami. Reszta zabezpiecza przejścia, tu, tam i tam – wskazał rozmieszczenie posterunków. – Otwieramy celę, skuwamy drani, wyprowadzamy pod lufami, pakujemy do wozów, zamykamy na kłódkę, wyrzucamy kluczyk i wyprawiamy w miasto. – Funkcjonariusze kiwali głowami, przyjmując do wiadomości kolejne polecenia. – Ślepaki usunięte? – zapytał jeszcze Okrutny, zanim ruszyli.

– Tajest!

– Jak tylko zauważycie, że coś jest nie tak, walcie od razu w ścianę albo podłogę, żeby widzieli ślady po kulach. Coś takiego na pewno da im do myślenia. Tylko pamiętajcie, pod żadnym pozorem nie możecie żadnego zastrzelić.

– Wy naprawdę wierzycie w te opowieści o nieumarłych, towarzyszu kapitanie? – zapytał całkiem poważnym tonem Sękała.

Wojciecha zamurowało.

– Skąd o nich wiecie? – bąknął dopiero po kilku sekundach.

– Stąd co wszyscy – zaśmiał się sierżant. – Od chłopaków, którzy pilnowali ewakuowanych. Ludzie opowiadali niestworzone historie. Ponoć tych suchych synów nie da się zabić...

– Bujdy – rzucił któryś z funkcjonariuszy.

– Bajanie wystrachanej cywilbandy – dodał inny, rechocząc.

– Albo i nie – zgasił go Okrutny. – Pewien człowiek, oficer, któremu w pełni ufam, był w Komendzie Wojewódzkiej, kiedy doszło tam do rzezi naszych.

– Jakiej rzezi? – Rawiński zrobił wielkie oczy.

Kapitan już otwierał usta, chcąc streścić rozmowę z majorem Brandtem, ale zrezygnował. Nie mieli teraz czasu na puste gadanie. Sękała natychmiast to wykorzystał, by wtrącić swoje trzy grosze:

– Rozumiem, że ta zaraza zmienia ludzi w krwiożercze bestie, bardzo odporne i nieczułe na ból, ale w życiu nie uwierzę, że nie da się ich zabić.

– Uważacie, sierżancie, że władza ludowa spieprzyłaby do bunkrów, zostawiając sprzątaną Ruskim, gdyby chodziło o jakąś

bagatelę?

– Ja tylko mówię, że зараżeni są...

– Człowieku, im dłużej będziemy tu pieprzyć bez sensu, tym mniejsze szanse na bezpieczny powrót za mur będą mieli chłopcy z konwoju. Jeśli nie zamkniesz natychmiast ryja, sam będziesz przekazywał wdowom informacje, że nadal mogłyby mieć mężów, lecz tobie zachciało się zgłębiać tajemnicę życia, przez co staliśmy tutaj jak kołki, zamiast robić swoje!

Sękała nie odpowiedział. Obrócił się na pięcie i pognał pomostem, machając ręką na przydzielonych mu ludzi. Rawiński, zawiedziony wyraźnym unikiem przełożonego, poprowadził drugi oddział przeciwnym pomostem. Resztę uzbrojonych w peemy i pistolety funkcjonariuszy rozmieszczono przy schodach i wyjściu, skąd w razie potrzeby mogliby razić ogniem tych osadzonych, którzy próbowaliby uciekać z podstawianych na plac więźniarek.

Pierwsze drzwi na górze otworzyły się z głośnym łomotem, który natychmiast utonął we wrzaskach strażników. Kilka sekund później padł strzał, potem drugi. Zanim ich echa wybrzmiały w wielkiej, pustej przestrzeni więziennego bloku, u szczytu klatki schodowej pojawili się skuleni mężczyźni. Truchtali gęsiego z rękami założonymi na kark. Za każdym z nich szedł mundurowy z pistoletem gotowym do strzału; nagłące dźwięczenia lufą w nerki motywowały skazańców do szybszego marszu. Po otwarciu następnych cel nikt nie strzelał, konieczność użycia broni zaszła ponownie dopiero wtedy, gdy opróżniano czwarte z kolei pomieszczenie.

Tym razem po huku wystrzału nie zapadła cisza. Stojący na parterze Wojciech usłyszał nieludzki skowyt, który zwiastował problemy. Kapitan opuścił więc posterunek przy drzwiach i pognał ile sił w nogach w górę schodów. Czwarta cela od końca po prawej. Siedziało tam trzech delikwentów z parszywej dwunastki, jak po cichu nazywano morderców czekających na wykonanie najwyższego wyroku.

– Co ja mówiłem o strzelaniu do osadzonych?! – wysapał gniewnie kapitan, przepychając się między stojącymi w drzwiach

funkcjonariuszami.

– Skurwiel próbował odebrać broń Olkiewiczowi – poskarżył się blady jak ściana szeregowy Radosław Lenart, wskazując przełożonemu dymiący wciąż pistolet.

Okrutny obrzucił wzrokiem celę, w której tłoczyli się trzej struchlali przestępcy, zbici w grupkę wokół stolika pod jedynym oknem, i zwijający się z bólu funkcjonariusz.

Krauz nie przestawał syczeć, obiema dłońmi zaciskał obficie krwawiącą łydkę.

– Żuczek chciał odebrać broń Ołowi i dlatego raniliście Łukasza? – Okrutny miażdżył wzrokiem wystraszonego strzelca.

– To był rykoszet, towarzyszu kapitanie. – Sękała wskazał na obłupany tynk łukowego nadproża. – Pech, po prostu pech.

– Ty i ty. – Wojciech wskazał stojących najbliżej funkcjonariuszy. – Zanieście rannego do ambulatorium. Migiem, zanim nam się tu wykrwawi. Ja was zastąpię – dodał złowróżbnym tonem, przenosząc wzrok na osadzonych. – Który próbował odebrać ci broń? – Zwrócił się do Olkiewicza.

– Me... me... melduję, że Ma... Ma... – bełkotał roztrzęsiony Tomasz, wskazując palcem wysokiego brodacza z tatuażem na potylicy.

– Towarzysz Magdziarek. – Okrutny poruszył głową, jak bokser rozluźniający mięśnie karku przed walką. – Wyprowadzić pozostałych – rozkazał, nie spuszczać wzroku z winnego. – I kontynuować akcję. Ja się zajmę wyjaśnieniem tej sprawy.

Wymieniony z nazwiska więzień spoglądał na niego z pogardą. Nic dziwnego, człowiek, który zakatował młotkiem własną rodzinę, wliczając w to dwójkę nieletnich dzieci, nie powinien pękać przy byle okazji. Gdyby nie ta przeklęta epidemia, za dwa tygodnie zadyndałby w nieodległym magazynie na konopnym powrozie, uwalniając świat od swojego istnienia. Teraz – niestety – zabicie go nie wchodziło w grę ze zrozumiałych względów, ale kto powiedział, że nie może pocierpieć.

– Zatańczymy, Cangaceiro? – zapytał kapitan przymilnym tonem, zaciskając pięści.

Skazaniec wyszczerzył zęby. Lubił ten dziwny, chyba latynoski

przydomek nadany mu już tutaj, w więzieniu, przez inną, jeszcze gorszą kanalię. Starcie tego uśmiechu z jego twarzy było czystą przyjemnością, tym większą, że stawiał czynny opór – przynajmniej przez te kilka sekund, zanim nogi dziwnie mu zmiękły.

* * *

Wojciech wrzucił nieprzytomnego Magdziarka jak worek ziemniaków na pakę więźniarki, prosto między nogi upakowanych w dwóch rzędach osadzonych. W ciągu tych paru minut, które poświęcił na wyperswadowanie młotkowemu agresywnych zachowań, funkcjonariusze opróżnili cele do końca. Cangaceiro trafił więc do innej więźniarki, niż pierwotnie przewidziano, ale to nie powinno mieć wielkiego znaczenia. Do godziny zero pozostało niespełna dwanaście minut, zrzut bomby nastąpi więc – o ile Zatylny rzeczywiście planował coś tak zbrodniczego – nie pręcej niż za pół godziny. Towarzysz sekretarz nie ryzykowałby niepotrzebnie, na pewno zostawił sobie co najmniej kwadrans zapasu. Co do tego kapitan nie miał wątpliwości.

Trzydzieści minut wystarczy, by wozy trafiły w wyznaczone miejsca, a kierowcy zdążyli wrócić na teren więzienia. Co stanie się z nimi później, to już zupełnie inna sprawa.

– Strasznieś pan okrutny, towarzyszu kapitanie – rzucił ktoś z głębi ciemnej, cuchnącej potem paki.

Wojciech zatrzymał się w pół ruchu, obrócił wolno, zmrużył oczy. Na samym końcu rzędu po lewej dostrzegł w półmroku bladego, uśmiechniętego młodzieńca, którego postronny obserwator mógłby wziąć za podrostrka.

– Od urodzenia, ale i tak daleko mi do ciebie, przyjacielu mojej kozy – odparł, hamując gniew.

– Wezmę to za komplement. – Skazaniec wyszczerzył równe zęby.

Co najmniej czternaście kobiet, głównie młodych sprzedawczyń ze sklepów GS-u, dało się zwieść urokowi tego uśmiechu. Co najmniej, ponieważ śledczy podejrzewali, że oskarżonemu

można by przypisać drugie tyle morderstw. Niestety drań konsekwentnie szedł w zaparte, a im brakowało dowodów. Biedne dziewczyny oddawały temu mężczyźnie rękę – choć nie do końca w taki sposób, o jakim skrycie marzyły – a gdy dochodziło do skonsumowania związku, niewiele z nich zostawało. W sam raz tyle, by organa ścigania przyjęły do wiadomości istnienie ofiary, ale w żaden sposób nie mogły zidentyfikować zwłok.

Fabian Sprycha, spokojny hodowca miniaturowych królików, czy też Kanibal z Ińska, jak ochrzciły go jeszcze przed procesem ogólnopolskie, a nawet zagraniczne media, grasował w całym kraju przez dekadę – jego przyjazny chłopięcy wygląd był bowiem bardzo mylący. Dopiero gdy człowiek przyjrzał mu się bliżej, zauważał nieco zbyt wysokie jak na młodzika czoło, maskowane spiczastą grzywką, i przyprószone szczyptą popiołu skronie świadczące o bardziej zaawansowanym wieku.

– Pomyślałem, że możesz tęsknić za swoim ulubionym kundlem – dodał po chwili zastanowienia kapitan – więc ci go przyniosłem. Powiedz dziękuję i będziemy kwita.

Więzień przestał się uśmiechać. Nie spojrzał nawet na leżącego nieruchomo Magdziarka.

– Proszę się tak nie przemęczać, towarzyszu kapitanie. I zalecam umiar w picciu. Nie chciałbym, aby pańska wątroba ucierpiała zanadto przed naszym następnym spotkaniem.

Okrutny roześmiał się w głos, po czym zatrzasnął drzwi więźniarki i otwartą dłonią walnął trzy razy w jej burzę, dając kierowcy znak, że może ruszać. *Zdziwiłbyś się, śmieciu, gdybyś zobaczył, jak potraktowałyby cię kolejna ofiara, którą chciałbyś zabić, a potem zjeść*, pomyślał, gdy szary star mijał bramę. *Niestety, a może na szczęście, nie będzie ci dane się tego dowiedzieć, ponieważ zdechniesz razem z resztą tej hołoty już za chwilę, jak tylko wejdą Ruscy albo jak spadnie bomba.*

– Uduśiłbym bydlaka gołymi rękami – wymamrotał stojący dwa kroki od kapitana Sękała.

– Gdybyś to zrobił, niczym byś się od niego nie różnił – odparł zamyślony Okrutny.

– Tak tylko mówię – zachnął się sierżant – bo wypuszczanie ich za ten mur to naprawdę zły pomysł.

– Zabicie takiego ścierwa nie powinno podlegać karze – poparł go Rawiński, który także obserwował przebieg całego zajścia.

– Nie wam o tym decydować – uciął Wojciech. – Jak przebiega ewakuacja naszych?

– Mamy na obiekcie pięćset dwadzieścia dziewięć osób. Brakuje jeszcze trzydziestu ośmiu, ale z tego, co wiem, powinny dojechać lada chwi...

Od strony Klęczkowskiej dobiegło znajome mruczenie silnika. Moment później rozmawiający usłyszeli przenikliwy pisk klaksonu.

– O wilku mowa.

Niebieska brama znów została otwarta. Tym razem tylko na dwa metry, by przywiezieni autobusem ludzie mogli się dostać na teren więzienia. Gdy ostatni cywil znalazł się na dziedzińcu, wielka stalowa konstrukcja zaskrzypiała ponownie, wracając na miejsce.

– Wygląda na to, że się udało. – Sękała pomachał objuczonym tobołami kobietom i dzieciom.

W Zakładzie Karnym Nr 1 pracowało niemal czterysta osób, jeśli zliczyć wszystkie etaty, lecz plan Okrutnego zakładał, że za mur zostaną ściągnięci wyłącznie bliscy mundurowych, których można było poinformować o akcji zdalnie. Wprawdzie personel cywilny też mieszkał w okolicy więzienia, ale w tym wypadku błyskawiczny kontakt nie wchodził w grę, ponieważ zwykli ludzie nie mogli nawet pomarzyć o luksusie, jakim był służbowy telefon. Pozostawali jeszcze strażnicy z nocnej zmiany, których dałoby się wysłać z wiadomością, jednakże kapitan bardziej potrzebował ich na miejscu, dlatego od razu odrzucił ten pomysł.

I słusznie, jak życie pokazało. Nawet po ograniczeniu liczby ewakuowanych ledwie starczyło mu czasu na dopięcie wszystkiego. Ostatni szczęściarze, głównie członkowie rodzin funkcjonariuszy mieszkających najbliżej centrum, mijali go właśnie, kierując się ospale na główne zabudowania, które miały się stać ich tymczasowym domem na nadchodzące dni, może

nawet tygodnie. *Albo masowym grobem, jeśli w plotkach zasłyszanych przez Bednarka kryje się choć ziarno prawdy,* pomyślał Okrutny.

Stał przy wejściu do bloku A i przyglądał się powłóczącym nogami kobiecinom, zapłakany dzieciom i ponurym mężczyznom, z których tylko kilku zdążyło włożyć kompletne mundury. Milczący, objuczony dobytkiem tłum, który nieco przypominał pochód uciekinierów opuszczających atakowane w czasie wojny miasta, przelał się w przerywanej tylko kasłaniem ciszy przez plac i zniknął w drzwiach, którymi dopiero co wyprowadzono skazańców.

– Kapitanie! – Od budynku komendantury, w którym mieściło się także więzienne ambulatorium, zmierzał różnym krokiem ubrany w biały kitel mężczyzna.

– Słucham, doktorze Wegner. – Okrutny zerknął na zegarek, by sprawdzić, ile ma jeszcze czasu. Ta rozmowa niezbyt mu pasowała. Nie w tym momencie. – Jak się miewa nasz ranny kolega?

– Stracił sporo krwi – odparł lekarz, zatrzymując się przed mundurowymi. Był łysy jak jego prawie krajan Sękała, ale o pół głowy wyższy od sierżanta i postawniejszy. Równie przycięta bródka, dla jednych kozia, dla innych hiszpańska, nadawała mu wygląd inteligenta, którym z pewnością był, mimo że przyszło mu felczerować w podrzędnym zakładzie karnym. Partia umiała sobie radzić z warchołami. – Powinien się z tego wylizać, jeśli w miarę szybko trafi do prawdziwego szpitala.

Więzienne ambulatorium nie należało do najnowocześniejszych ani najlepiej wyposażonych, ponieważ zawiadujący nim lekarz miał za zadanie tylko postawić diagnozę i opatrzyć pacjenta. W razie gdy obrażenia były poważniejsze niż na pierwszy rzut oka, delikwenta przekazywano do właściwej placówki cywilnej.

– Z tym może być problem, doktorze – odparł Okrutny. – Wiecie chyba, co dzieje się na mieście.

– Wiem, wiem – potaknął Wegner. – Mało brakowało, a sam trafiłbym do selektorium na Grunwaldzkim. Niestety komendant nie zgodził się na delegację.

– Niestety? – zdziwił się Sękała.

– Wszystko byłoby lepsze od gnicia w tym waszym parszywym więzieniu. – Lekarz spojrział na niego krzywo.

Nie lubili się, choć obaj pochodzili z tego samego zakątka Polski. Wegner mieszkał wcześniej na rogatkach Bytomia, sierżant natomiast pochodził z leżącego kilkanaście kilometrów dalej Sosnowca. Śląsk i Zagłębie. Hanysy i gorole. Niby ta sama ziemia, a jednak dwa różne światy. Kolejna pozostałość po zaborach, którą trudno było wykorzenić nawet po tylu latach.

– Tam teraz gorąco – zauważył Okrutny.

Od strony miasta wciąż dolatywały odgłosy strzałów. Już nie tak gęste jak zaraz po północy, lecz nadal świadczące o prowadzonych zaciętych walkach.

– Może i goręcej niż tutaj, ale przynajmniej ratowałbym ludzi, zamiast doglądać kanalii, które nawet nie zasługują na życie. Cóż, kiedy partia wie lepiej...

Za podobne uwagi doktor Robert M. Wegner stracił dobrze płatną posadę w szpitalu wojewódzkim i trafił na zsyłkę. Jako że był naprawdę dobry w swoim fachu, безпеka nie pozbyła się go permanentnie, tylko skierowała na kilkuletnią reedukację do placówki, w której miał zmądrzeć, a raczej skruszeć.

– Od tej chwili nie powinniście narzekać. – Rawiński się zaśmiał. – Macie teraz prawie sześciuset pacjentów, z których każdy siedzi tu za niewinność.

– Z pewnością wiecie, że to się źle skończy – westchnął Wegner, wodząc wzrokiem po twarzach otaczających go funkcjonariuszy służby więziennej. – Wszyscy traficie na szubienicę albo przed pluton egzekucyjny za to, że wypuściliście te szumowiny. Władza ludowa wam nie popuści...

– O to będziemy się martwić, jeśli przeżyjemy tę noc. – Okrutny odwrócił się do podwładnych. – Zanim zaczęliśmy wywozić tych drani, odebrałem telefon. Szwagier z Warszawy dzwonił, żeby podpytać co i jak... – Zamilkł dla bardziej dramatycznego efektu. – Zaraza już dotarła do stolicy. Właśnie dostali rozkaz wyjścia na miasto, żeby pacyfikować... tych tam...

– Zombie – podpowiedział Wegner. – Tak ich przed chwilą

nazwano w oficjalnym komunikacie triumwiratu. Nie znam jednak etymologii tego słowa... Nigdy wcześniej go nie słyszałem.

– Tych tam, zombie, naprawdę nie da się zabić? – zainteresował się Sękała, wracając do tematu niedawnej rozmowy.

– Podobno jest to prawie niemożliwe. – Tym razem Wegner odpowiedział starszemu sierżantowi bez uszczypliwości w głosie.

– Prawie? – podchwycił zaskoczony kapitan.

– Strzelanie do nich niewiele daje, ale palą się, z tego, co mi mówiono, jak każdy inny człowiek – zapewnił go lekarz tonem wyższości. – Na popiół. Co widać, słyszać i czuć – dodał, wskazując gęste pasma wciąż wijącego się u ich stóp dymu.

– Ale nie da się ich zastrzelić? – uściślił jego prawie krajan.

Wegner pokręcił przecząco głową.

– Ponoć nie.

– Bajanie.

– Podobno nawet strzał w głowę ich nie zatrzyma. – Po tym stwierdzeniu wszystkim mundurowym zrzędył miny. – Wiem, jak to brzmi, ale tak właśnie napisano w oficjalnym komunikacie, z którym miałem okazję się zapoznać dzięki uprzejmości doktora Arendzikowskiego. No i Agatki Kubisiowej. Mam nadzieję, iż pan, kapitanie, nie będzie miał mi za złe, że poprosiłem pańską sekretarkę o jednorazowy dostęp do dalekopisu pułkownika?... – Wegner zamilkł na moment, choć z całkiem innego powodu niż wcześniej kapitan. – A skoro o tym mowa, przypomniało mi się, że widziałem przed chwilą pana żonę. Z Kubisiową i paroma innymi kobietami zносиła jakieś paczki do schronu przeciwlotniczego pod komendanturą. Coś się szykuje?

– Właśnie, byłbym zapomniiał!... – Okrutny pacnął się otwartą dłonią w czoło, jakby nagle doznał olśnienia.

Próbował zyskać na czasie, lecz niemal natychmiast dotarło do niego, że nie zdoła wymyślić na poczekaniu żadnego sensownego wytłumaczenia, a przez incydent z Magdziarkiem zupełnie wyleciało mu z głowy, że powinien przygotować sobie odpowiedź na pytanie, którego mógł się prędzej czy później spodziewać. Przeniesienie części zapasów do dawnego schronu

przeciwlotniczego musiało zostać zauważone, choć prosił, by Lucyna zrobiła to najdyskretniej, jak to tylko możliwe.

Na jego szczęście – zanim zdążył odezwać się ponownie – ktoś zaczął walić pięścią w bramę. Wielka płaska konstrukcja ze stali zadziałała jak dzwon. Łomot był ogłuszający.

– Co jest? – Rawiński zareagował pierwszy, on też jako jedyny ruszył truchtem do wejścia.

– Sprawdźmy to – rzucił moment później Okrutny, w duchu ciesząc się z niespodziewanego ratunku.

Sprawdził godzinę. Za cztery wpół do szóstej. Jeszcze chwila i grube na metr drzwi bunkra pod Komitetem Wojewódzkim zostaną zatrzaśnięte. Zerknął odruchowo w jaśniejące dopiero niebo. Miał nadzieję, że nie myli się co do marginesu bezpieczeństwa. *Jeśli Zatylny jest mniej ostrożny, niż przypuszczałem...* Znow poczuł zimny dreszcz. Tyle dobrego, że nikt nawet nie poczuje, co go zabija. Takie przynajmniej krążyły słuchy o tej najpotężniejszej z bomb.

– I co tam? – zapytał Rawińskiego, dogoniwszy go przy bramie.

– Paru żuczków wróciło – zameldował szef bloku B.

– Co znaczy: wróciło?

– Zobaczyli, co się dzieje na mieście, i zdecydowali, że wolą wrócić pod celę.

– Wolą dać się rozstrzelać?

– Zobaczyli, jak wpuszczamy naszych, i zrozumieli, że ich wystawiliśmy... – Sierżant rozłożył ręce. – To co robimy? Mam otworzyć bramę?

– Wykluczone. Każcie im spierdalać.

– Akurat posłuchają.

Jak na potwierdzenie tych słów, czekający za bramą znow zaczęli w nią łomotać.

– Lada moment wrócą nasi – przypomniał Sękała, wyrastając z nienacka obok nich dwu.

– Kurwa mać! – Wojciech zacisnął wielką jak bochen pięść. Kiedy Bednarek przywiezie kierowców konwoju, trzeba będzie natychmiast otworzyć bramę, w przeciwnym razie... – Każcie im spierdalać albo otworzymy ogień.

– Niby jak? – zaprotestował Rawiński.

Miał rację. W wieżach nie było strażników, ale gdyby nawet nie wycofano ich na czas akcji, raczej by się nie okazali groźni dla stojących przy bramie mężczyzn. Z kolei strzelanie z placu przez uchylony lufcik byłoby niczym więcej niż marnowaniem bezcennej w tej sytuacji amunicji.

– Ilu ich tam jest? – zainteresował się lekarz.

– Z ośmiu. Najwyżej dziesięciu – odparł Rawiński.

– Recydywa?

– Na moje oko sami tymczasowi. Nie widzę żadnego z moich...

– Miejsca macie aż nadto. – Wegner spojrzął na Okrutnego. – A kilka par dodatkowych rąk przyda się do roboty, choćby do oporządzania gadziny w chlewikach – podpowiedział, widząc zaciętą minę kapitana.

Niemcy, projektując to więzienie, zrobili wszystko, by zapewnić mu pełną samowystarczalność. Dlatego na terenie zakładu karnego znajdowały się także chlewiki, w których wytypowani więźniowie w nagrodę za dobre sprawowanie oporządzali prawie osiemdziesiąt dorodnych świń. Niestety po grządkach od strony Odry, na których przed wojną uprawiano warzywa urozmaicające jadłospis osadzonych i kadry, nie został nawet ślad. Nowa władza nie widziała sensu w kultywowaniu praktyk okupanta. Tak przynajmniej brzmiała oficjalna wersja.

– To co robimy?

– Wpuśćmy ich, zanim ściągną nam na głowy kolejnych maruderów – zaproponował Wegner.

Hałasy musiały zwrócić uwagę wałęsających się wciąż w pobliżu więźniów, którzy nie wiedzieli, co ze sobą począć. Cofka zapoczątkowana przez tych paru raptusów mogła wkrótce przybrać znacznie większe rozmiary.

– Dobra. Sękała, ściągnijcie tu paru swoich. I pamiętajcie, będziemy potrzebowali kajdanek. Nie pozwolę tym mętom łązić swobodnie między naszymi kobietami i dziećmi.

– Tajest. – Starszy sierżant ruszył biegiem w kierunku pawilonów.

– A ty ich ucisz! – Kapitan odwrócił się do Tomka. – Jeszcze

słowo usłyszę z tamtej strony albo któryś zacznie się znowu dobijać, wyjdę na zewnątrz i spuszczę im taki łomot, że pokochają myśl o powrocie na miasto.

– Kapitan mówi, że was wpuści. – Rawiński odsunął wizjer w furcie na kilka centymetrów. – Za moment przyjdą po was strażnicy, ale macie tam cicho być. Jak który piśnie choćby słowo, to zostawimy was na bruku. Zrozumiano?

Hałasy umilkły jak nożem ucięte.

– No i po kłopotcie.

Okrutny spojrział w kierunku głównego budynku więzienia. Drzwi prowadzące na klatkę schodową otwierały się właśnie. Sękała prowadził sześciu mundurowych – tyłu, ilu zdołał zwołać w tak krótkim czasie.

Mimo wszystko to powinno wystarczyć.

– Uchylcie bra... – zaczął Wojciech, lecz przeszkodziły mu łomoty, tym razem znacznie głośniejsze i bardziej natarczywe.

– Skurwe syny! – Rawiński powstrzymał strażnika sięgającego już do zapadki, obejrzał się na kapitana, ten jednak nie patrzył w stronę bramy, tylko na nadbiegających. Połowa z nich miała w rękach peemy.

– Otwieraj! – Okrutny odpiął kaburę i wyszarpnął z niej służbowego makarowa. – Jeśli któryś nie wykona mojego rozkazu, możecie strzelać! – rzucił do ustawiających się wokół niego ludzi Sękali. – Ale tylko w nogi!

Łomot nie milkł, zdawał się nawet przybierać na sile, zza stalowej przegrody dobiegały też coraz głośniejsze wrzaski.

– Co tam się dzieje? – wymamrotał doktor Wegner, zanim kapitan przesunął go za siebie.

Ledwie skrzydła bramy odsunęły się od siebie, w luce pojawiły się dłonie, jedna, druga, piąta. Ci z zewnątrz napierali na wrota z taką siłą, że na nic się zdał opór Rawińskiego i jego dwóch podwładnych.

– Strzały ostrzegawcze! – ryknął Okrutny, widząc, że sytuacja wymyka się spod kontroli.

Nierówna salwa zagłuszyła wszystkie inne dźwięki, ale nie zdołała skłonić więźniów do zaprzestania szturm. Brama, choć

trzymana przez trzech funkcjonariuszy, przesunęła się błyskawicznie o cały metr, co wystarczyło, by wpadło za nią dwóch naraz mężczyzn ubranych w cywilne łachy. To naprawdę musieli być tymczasowi, tylko im bowiem nie wydawano więziennych sortów.

– Na ziemię! – wydarł się Okrutny, pozostali podchwycili ten okrzyk. – Gleba, powiedziałem!

Znów padły strzały, po których więźniowie znajdujący się na dziedzińcu przystanęli, lecz nie padli, jak im kazano. Nie był to jednak przejaw agresji. Zawładnął nimi strach – strach tak potężny, że nie wiedzieli, co robić. Kapitan nie od razu to zauważył, ponieważ sam był bliski paniki.

– Brać ich! – warknął, dopadając najbliższego, by posłać go hakiem w nerkę na bruk. – Skuć drani! Migiem!

Strażnicy rzucili się na zdezorientowanych mężczyzn, przyszpilając ich kolejno. Rawiński niewiele się pomylił: zanim brama została na powrót zamknięta, na dziedzińcu dostało się nie więcej niż tuzin osadzonych.

Dziesięciu już leżało skutych, dwaj ostatni, najspokojniejsi, szli chwiejnym krokiem w kierunku szamoczących się więźniów i trzymających ich funkcjonariuszy.

– Zombie! – wrzasnął niespodziewanie przyglądający się tej scenie Wegner.

– Co?! Gdzie?!

– Ci dwaj są zarażeni! – Lekarz wskazał na tych osadzonych, którzy jeszcze stali.

Rawiński podbiegał właśnie do jednego z nich. Wybił się już, spadł na plecy idącego, zanim ktokolwiek zdążył zareagować. Był o wiele cięższy od więźnia, runęli więc obaj na bruk jak ścinane drzewa.

– Nie! – Wegner zamachał rękami, zrobił niepewny krok do przodu, jakby chciał odciągnąć sierżanta, ale w ostatniej chwili zrezygnował. – Nie podchodźcie do nich! Nie zbliżajcie się, bo... bo... bo was pozarazają!

Wrzeszczał tak przeraźliwie, że nawet ci, którzy go nie zrozumieli, cofnęli się mimowolnie.

Tymczasem Rawiński, zamiast zerwać się z ziemi i skuć obezwładnionego, leżał na nim, jakby nagle zasłabł. Był jednak tak ciężki, że przygnieciony przez niego zombie nie mógł się oswobodzić. Drugi zarażony wykorzystał moment konsternacji i parł teraz prosto na obserwujących tę scenę ludzi. Najbliższy funkcjonariusz znajdował się zaledwie trzy kroki od niego.

– Rozwalić drania! – krzyknął Okrutny, unosząc makarowa.

Nie wiedział, ilu mundurowych go posłuchało, ale sądząc po efektach, strzelał każdy, kto trzymał w ręku broń. Zbliżający się mężczyzna podskakiwał śmiesznie po każdym trafieniu. W jego prążkowanej, niegdyś białej koszuli, a nawet w spodniach pojawiało się coraz więcej dziur, ale to go nie powstrzymywało, szedł dalej, jakby mundurowi rzucali w niego pestkami, zamiast używać ostrej amunicji. Wojciech wymierzył dokładniej. Z pięciu metrów nie mógł chybić i nie chybił. Kula kalibru 9,25 mm, o jednej z największych prędkości wylotowych w historii broni krótkiej, przebiła się przez czaszkę potwora jak przez papier, posyłając na bruk za nim kawałki skóry, kości, a także gęste bryzgi mózgowia zmieszane ze strugami krwi. Rana wylotowa miała rozmiary pięści, co wszyscy zobaczyli, ponieważ impet tego trafienia był tak silny, że zombie wykonał pełny piruet, zanim... no właśnie, nie upadł, choć powinien.

Widząc to, większość strażników podała tyły. Ludzie, którzy przeżyli koszmar kilkuletniej wojny i okupacji, wiali, jakby im ktoś odbezpieczone granaty w dupy chciał wsadzić. Więźniowie także skorzystali z zamieszania i pognali za mundurowymi w stronę głównego budynku. Ze skutymi za plecami rękami mieli jednak problem z utrzymaniem równowagi. Padali, przetaczali się i wstawali, nie bacząc na ból, byle jak najszybciej znaleźć schronienie i jak najbardziej oddalić się od istoty, której nie sposób powstrzymać ani zabić.

Parę sekund wystarczyło, by na dziedzińcu zostali tylko Okrutny, Sękala, Wegner i dwaj strażnicy pilnujący bramy, którzy padli na ziemię, gdy zaczęła się strzelanina, ponieważ znaleźli się na linii ognia.

– Tomasz! – Sękala oprzytomniał pierwszy, ominął łukiem

chwiejącego się, podziurawionego jak rzeszoto zombie, i szedł dalej, by ściągnąć przyjaciela z drugiego potwora.

– Nie! – wrzasnął Wegner. – Nie dotykaj go, dumny hanysie!

Sierżant nie posłuchał. Doktor zawahał się, po czym skinął głową, jakby uznał, że robi co trzeba i rzucił się w kierunku nie lubianego krajana. Dogonił go w sekundę i popchnął z całych sił. Zaskoczony Sękala wyłożył się jak długi, wypuszczając broń z ręki. Tetetka poleciała aż pod bramę, między leżących tam wciąż zdezorientowanych strażników.

– Nie wolno ich dotykać! – Wegner opadł na plecy starszego sierżanta, wrzeszcząc mu do ucha. Sękala nie słuchał, ryknął jak raniony zwierz, szarpnął się i pomimo mikrych rozmiarów strząsnął lekarza z pleców, jakby ten był nie dorosłym mężczyzną, ale dzieckiem. Oszołomiony lekko Robert wylądował na bruku, nie stracił jednak rezonu. – W kolana mu strzelajcie, w kolana! – wychrypiał, pokazując zarażonego, który właśnie ruszał w kierunku wstającego podoficera.

Jeden z leżących przy bramie funkcjonariuszy sięgnął po broń Sękali. Podparł się lewą ręką, wymierzył i pociągnął za spust. W kompletnej ciszy rozbrzmiało metaliczne stuknięcie. Magazynek był pusty.

– Szlag by to – jęknął strażnik, odrzucając tetetkę.

Powędrował dłonią do pasa, ale nie zdążył odpiąć kabury, zanim żywy trup dosięgnął jego przełożonego. Mógł więc tylko patrzeć, jak pozbawiony połowy głowy człowiek pochyła się nad oszołomionym starszym sierżantem, pada na niego i zaczyna drzeć pazurami mundur, by dostać się do ciała pod spodem.

Sękala poddał się bez walki. Zwiotczał natychmiast, jak balon, z którego ktoś wypuścił powietrze.

– Zróbcie coś, do cholery! – wrzeszczał Wegner, odczułgując się byle dalej od nieumarłego i jego ofiary.

W tym momencie uwagę zdębiałego Okrutnego przykuł sierżant Rawiński. Poruszył się, drgnął raz i drugi, jakby zaczął odzyskiwać przytomność. *Całe szczęście...*

– Tomek?

– On też jest już zombie! – Wegner złapał kapitana za nogę. –

Patrzcie!

Oczy gramolącego się z ziemi Rawińskiego były białe, jakby wywrócone źrenicami w głąb czaszki. Skórę na twarzy miał dziwnie szarą. Poruszał się niezbornie, jak ci dwaj przed chwilą.

– Ja pier... – Wojciech przeżegnał się, co zważywszy na jego przekonania, było chyba nawet dziwniejsze od faktu, że istnieją ludzie, których nie można zabić.

– Uciekajcie! – Wegner machnął wolną ręką na funkcjonariuszy czających się wciąż pod bramą. – Tam, bokiem, omińcie ich! Wycofajmy się... – Spojrzał w górę na Okrutnego. – Musimy zamknąć wewnętrzne bramy, odciąć ich, zanim dopadną kogoś jeszcze!

– Nie! – Kapitan otrząsnął się, jakby ktoś oblał go kubłem zimnej wody. – Zaraz wrócą nasi. Nie możemy ich zostawić na pastwę tych, tych...

– Zombie – odpowiedział ponownie lekarz.

– ...chujów – dokończył roztrzęsiony oficer.

– Jak zamierzacie chujów powstrzymać, skoro nie można ich tknąć? – zapytał zgryźliwym tonem lekarz.

Tymczasem strażnicy wycofali się spod bramy, jak im poradzono, szerokim łukiem omijając nieumarłych i wracające do życia ofiary.

– Skrzynie – bąknął kapitan.

– Co: skrzynie?

Okrutny uśmiechnął się triumfalnie.

– Dworczyk! – Wskazał palcem strażnika po prawej. – Leć pod magazyn, zwołaj ludzi, przynieście tutaj cztery skrzynie na zwłoki. I coś ciężkiego, najlepiej jakiś złom z warsztatów, felgi, cokolwiek. Nie gap się na mnie jak szpak w pizdę, tylko ruchy na sprzęcie! Kamil, czekaj! – zawołał, gdy młody szeregowiec ruszył w kierunku bramy prowadzącej na teren dawnych bloków dla kobiet. – Dawaj tetetkę.

Chwycił w locie rzuconą mu broń, przeładował.

– W kolana, tak? – zapytał zaskoczonego Wegnera. – To coś da?

– Powinno go spowolnić – odparł lekarz.

– Brzostek, ty zostań! – Kapitan powstrzymał drugiego

strażnika gestem uniesionej ręki. – Jeszcze jeden krok, a ciebie też rozwalę! – ostrzegł, widząc, że przerażony funkcjonariusz nadal przesuwa się w stronę wejścia na blok A. – Zbierz porzuconą broń, będziemy potrzebowali maksymalnej siły ognia.

Okrutny wymierzył makarowa w podchodzącego do niego wolno Rawińskiego.

– Wybacz, Tomek – szepnął, naciskając spust.

Pierwsza kula weszła idealnie w prawą rzeźbę. Odmieniony sierżant stracił równowagę, poleciał na twarz. Walnął o bruk z taką siłą, że wszyscy usłyszeli trzask pękających kości. Mimo to nie jęknął nawet, co więcej, natychmiast zaczął się gramolić z powrotem na nogi, jakby powodem upadku było najnormalniejsze w świecie potknięcie.

– Barki, przestrzelcie mu barki! – wrzasnął Wegner.

Okrutny zrobił krok do przodu, przymierzył, wypalił, potem schował opróżnionego makarowa do kabury i przełożył do prawej dłoni tetetkę Dworczyka. Strzelił po raz trzeci, mierząc w prawy staw barkowy leżącego nieumarłego. Rawiński znieruchomiał, to znaczy przestał się podpierać, choć nadal próbował się odpychać jedyną sprawną nogą, ale przy jego wadze to nie mogło wystarczyć.

– Dawaj swoją broń, Janek! – Kapitan wyciągnął dłoń w stronę Brzostka.

Uspokojony zimną krwią przełożonego funkcjonariusz wykonał polecenie, po czym wrócił do zbierania broni porzuconej przez kolegów.

– Daj jedną kłamkę doktorkowi – dodał Okrutny, ruszając w stronę nieumarłego z przestrzeloną głową, który właśnie złąził z zabitego starszego sierżanta. Jemu najpierw zgruchotał oba barki, które jakimś cudem nie zostały uszkodzone podczas pierwotnej kanonady, a następnie wpakował trzeci, ostatni pocisk w lewy staw kolanowy.

– Po co mi broń? – obruszył się Wegner.

– Na wszelki wypadek – warknął kapitan, stając dwa kroki od znieruchomiałego Sękali.

– Jestem lekarzem, nie rzeźnikiem – rzucił oburzony medyk, ale

nie odepchnął dłoni Brzostka, gdy ten podał mu jedną z porzuconych tetetek.

– Lekarze to najwięksi rzeźnicy – zaśmiał się kapitan, sprawdzając, czy ma jeszcze naboje w pistolecie. – Janek! – Odwrócił się do strażnika. – Powyciągaj magazynki i załaduj wszystkie naboje do jednego. Tylko szybko! Sękała nadal leżał tam, gdzie upadł, za to zombie, którego obalił Rawiński, zdążył już się podnieść. Okrutny przesunął się więc w bok, ściągając na siebie jego uwagę, by Wegner miał czyste pole do strzału. Lekarz jednak nie pociągnął za spust. Ręce tak mu drżały, że gdyby nawet zmusił palec do tego niewielkiego ruchu, i tak by chybił.

Magazynek z ośmioma nabojami trafił do pistoletu Okrutnego, zanim Sękała zdążył stanąć na nogi. Sześć kolejnych wystrzałów rozbrzmiało głośnym echem, bam, bam, bam, bam, bam, bam! Gdy w bramie pojawili się ludzie niosący ściągnięte z ciężarówki skrzynie na zwłoki i złom z warsztatów, wszyscy nieumarli byli już unieszkodliwieni. Leżeli w kałużach krwi kilka metrów od bramy, wijąc się jak robaki wykopane z błota po solidnej ulewie.

Funkcjonariusze, którzy nie brali udziału w akcji, zatrzymali się bojaźliwie za siedzącym wciąż na ziemi lekarzem.

– Zdejmijcie wieka, odwróćcie skrzynie do góry dnem i nakryjcie ich! – rozkazał Okrutny, cofając się o krok. – Wykonać!

– Ale oni jeszcze dychają – zaprotestował starszy szeregowy Hubert Kruk, warszawiak, jeden z ludzi Rawińskiego, zdaje się, że jego sąsiad z Pragi.

– Tak ci się tylko wydaje – zgasił go kapitan.

– Oni są zarażeni – mruknął Wegner, odkładając tetetkę na bruk.

– Jak to: zarażeni? – zachnął się drugi z przybyłych. – Przecież to nasz sierżant i...

– Myślisz, synku, że ewakuowaliśmy was za ten mur bez powodu? – Okrutny posłał mu ostre spojrzenie. – Nie wiem, z czym mamy do czynienia, ale jedno jest pewne: każdy, kto się zarazi, w mgnieniu oka zostaje bezrozumną, krwiożerczą bestią. Ot tak – pstryknął palcami. – Lepiej więc uważajcie, żeby żadnego z nich nie dotknąć.

– Jak mamy ich ponakrywać, skoro tak giczoły porozstawiali? – zapytał Kruk, wskazując tego z przestrzeloną głową.

– Wiekiem je sobie przesuwajcie – poradził mu Wegner, który zdążył już wstać.

– Słyszeliście, co doktor powiedział?

Skinęli głowami, po czym ruszyli przed siebie bardzo niepewnym krokiem. Podeszli do nieumarłych wolno, ostrożnie, wstrzymując oddechy, jakby się bali, że zaraza dopadnie ich przez płuca. Pracowali parami, dzięki czemu sprawnie wykonali rozkaz. Proste, zbite z sosnowych desek skrzynie, w których chowano skazańców, nakryli starymi felgami i całą resztą złomu, jaki funkcjonariusze zdołali przytaszczyć z pobliskich warsztatów.

– To wystarczy? – Okrutny spojrział na otrzepującego fartuch lekarza.

– Skąd mam wiedzieć? – odburknął Wegner.

– Z nas wszystkich to pan kończył medycynę.

– Nie uczyli nas tam o nieumarłych. Ale... – Wegner się zamyślił. – Lepiej będzie się ich pozbyć.

– Jak?

– Wystawmy ich za bramę.

– Ja nie tknę tej skrzyni. Za nic! – zaprotestował Brzostek.

– Ani ja – zawtórował mu Dworczyk.

Reszta mundurowych poparła ich znaczącymi pomrukami.

– Spalmy ich – zaproponował w końcu lekarz, przerywając niezręczną ciszę. – Parę litrów benzyny, trochę drewna z kotłowni i będzie po krzyku.

*sobota, 10 sierpnia 1963, godzina 05:25
plac Słowiański*

Kolumna zatrzymała się na sygnał dany z jadącego na czele gazika. Bednarek najpierw podniósł lewą rękę, a sekundę później zaczął ostrożnie hamować. Ciężarówki przewożące więźniów, kanciaste stary 21, były znacznie cięższe niż wóz naczelnika. Potrzebowały niemal osiemdziesięciu metrów, by zamrzeć pośrodku torowiska opodal zbiegu ulic Słowiańskiej, Nowowiejskiej i Jedności Narodowej, czyli dawnej Stalina.

Kluczem do powodzenia tej operacji miała być precyzja – kapitan Okrutny kazał wywieźć najgorszych zwyrodnialców spośród osadzonych na plac Słowiański, ale wydał też drugi rozkaz: kolumna ma się zatrzymać najpóźniej za pięć wpół do, aby szoferzy zdążyli wrócić na teren więzienia, zanim nadejdzie termin wyznaczony przez towarzysza Zatylnego i do miasta wkroczą jednostki Armii Czerwonej. Z tego też powodu Bednarek, co rusz zerkający na leżącą na siedzeniu pasażera otwartą cebulę, zdecydował, że woli zostawić więźniów dwieście metrów od wyznaczonego celu, niż ryzykować spotkanie z pacyfikującymi miasto Rosjanami. Zwłaszcza że Sowietci z pewnością skoncentrowali siły tuż za linią Odry, dzięki czemu ich czołowe jednostki dotrą do zakładu karnego w niespełna minutę od wydania pierwszych rozkazów.

– Ruchy tam! – wrzasnął przez ramię, wrzucając wsteczny.

Kierowcy starów zeskakiwali na bruk, by wsiąść do gazika, który po ostrym zwrocie jechał wzdłuż kolumny, zbierając ich kolejno. Trzydzieści sekund po wyłączeniu silników ciężarówek odkryty gazik naczelnika zaczął ostro przyśpieszać. Jeśli nie wydarzy się nic nieprzewidzianego, pozostałe cztery i pół minuty powinny wystarczyć na dotarcie do bramy więzienia.

Plan kapitana był genialny w swojej prostocie. Okrutny musiał

pozbyć się problemu, i to szybko, niemal bezzwłocznie, a egzekucje nie wchodziły w grę z wiadomego mu powodu. Z drugiej strony nie mógł wypuścić na wolność zatwardziały recydywistów – szkody, które ci dranie poczyniliby od przekroczenia bramy do nieuniknionej utylizacji przez Rosjan, obciążałyby bowiem jego sumienie. Dlatego Wojciech wybrał drogę pośrednią – usunął z zakładu karnego najgorszych zbirów, zarazem nie wypuszczając ich na wolność. Zamknięci i skuci, mieli czekać we wnętrzach więźniarek na nadejście czerwonoarmistów... albo zrzucenie bomby.

Jednego tylko tymczasowy naczelnik Zakładu Karnego Nr 1 nie przewidział...

* * *

We wnętrzu ostatniego stara panował nieludzki zaduch. Po upalnym dniu i parnej nocy metal, którym otoczono pakę przerobionej na więźniarkę ciężarówka, rozgrzał się do granic możliwości. Nie zdołała tego zmienić nawet burza, która wczesnym wieczorem przetoczyła się nad miastem niczym zwiastun nadchodzącej zagłady.

Upchani ciasno mężczyźni – a było ich tam dwudziestu dwóch, wliczając nieprzytomnego wciąż Magdziarka – pocili się więc jak myszy, nie mówiąc już o tym, że ledwie mogli oddychać. Powietrza brakowało im mimo otwarcia wszystkich niewiele szerszych od dłoni świetlików, rozmieszczonych pod samym sufitem budy. Przy zerowym wietrze nie było po prostu ciągu. Niemniej ta odrobina tlenu, jaka dostawała się do środka, pozwalała zamkniętym w więźniarce mężczyznom się nie podusić.

– Stul ryj! – warknął ukryty w mroku Sprycha, gdy któryś z jego tymczasowych kompanów znów zaczął utyskiwać.

Pomimo mikrej postury Fabian cieszył się wśród kryminalistów ogromną estymą. W więziennej hierarchii stał naprawdę wysoko, a po straceniu Aleksandra Bojdy, pseudonim Konar, znanego nożownika z Goleniowa, objął niepisaną władzę w jedyńce. O przyjemnej jak na degenerata aparycji, był bowiem

bezwzględniejszy od absolutnego zera, o czym pewien grypsujący przekonał się tego samego dnia, gdy nie znający więziennych obyczajów Sprycha trafił pod jego celę. Największy osiłek z trzech zakapiorów, z którymi zamknięto świeżo osądzonego kanibala, stanął przed chucherkowatym cuwaxem i zgodnie z panującą za kratami tradycją zapowiedział, że zaraz po zapadnięciu ciszy nocnej odbędzie się pomiędzy nimi walka na gołe pięści, bez zasad, na ostro, nawet jeśli miałyby się to skończyć śmiercią któregoś z nich. Fabian, któremu śledczy uzmysłowili wcześniej, że za murem będzie co najwyżej kandydatem na frajera, a może nawet cwela, potraktował tę groźbę niezwykle serio.

Dwie godziny później jego niedoszły oponent już nie żył. Nowy okazał się okrutniejszy i zmyślniejszy od większości starych garusów. Każdy przedmiot, jaki trafiał w jego dłonie, stawał się potencjalną zabójczą bronią, a że nie miał żadnych zahamowań, wszyscy się go bali, zarówno strażnicy, jak współwięźniowie. Życie za murem to w większej mierze spektakl, teatr odgrywany na okrągło przez wszystkich osadzonych, niż krwawa jatka, opisywana często w literaturze i pokazywana w kinie.

To brutalne zabójstwo, zapoczątkowane wyłupieniem oczu, gdy nie spodziewający się niczego przeciwnik zasiadł w kącie celi na cebrzyku pełniącym rolę klozetu, zapewniło cichemu, drobnemu mężczyźnie ogromny szacunek i posłuch nawet wśród najbardziej hardych bandziorów. Co jednak najważniejsze, ten pokaz okrucieństwa i bezwzględności sprawił, że Sprycha mógł teraz spoglądać z nadzieją w przyszłość, choć jeszcze kilka dni wcześniej z coraz większą obawą odliczał dni do zbliżającej się egzekucji.

Gdy znowu zapadła cisza, Fabian wsłuchał się w dźwięki dochodzące z ulicy. Dzięki uchylonym świetlikom nie miał problemu z rozpoznaniem echa pośpiesznych kroków, warkotu silnika terenówki przejeżdżającej obok więźniarki, nawet wypowiedanych na zewnątrz słów.

– Siedź! – syknął, gdy jeden z więźniów zajmujących miejsce bliżej wyjścia poruszył się gwałtownie.

Pomruk oddalającego się gazika cichł z wolna. Sprycha odliczał czas w myślach. *Dobra, jeszcze pięć sekund...*

– Teraz! – rzucił.

Z tyłu po prawej, tuż przy drzwiach, siedział Ulfig, wytatuowany na całym torsie długowłosa chudzielec z Rudy Śląskiej, który pomimo dziesięciu lat odsiadki we Wronkach nie doznał olśnienia i nie poddał się dobrodziejstwu resocjalizacji. Po wyjściu z pierdła wrócił nie do normalnego życia, tylko do dawnego fachu. Zawsze lubił motory i dobrze upędzony bimber, zatem by zdobyć upragnioną maszynę, najął się na cyngla u znanej w wielkopolskim półświatku meliniarki, niejakiej pani Marioli, z której mężem Marcinem odkiblował trzy niedziele palmowe. Czasy nastały ciężkie, wielu klientów brało towar na borg, a jeśli któryś nie spłacił zaciągniętego długu w terminie, szefowa posyłała do jego lokalu Darka. Zdarzało się to rzadko, bo restauratorzy dość szybko zrozumieli, że z panią Trittową nie ma to tamto, a mundurowi, sowicie przez nią opłacani, nie mieszały się do jej rodzinnego interesu, nawet jeśli sprzątała męża patelnią po pysku, co dla odmiany zdarzało się całkiem często. Tak więc wilk był napruty i owca schlana, jak zwykł mawiać Ulfig, gdy wspominał dawne, dobre czasy.

Obcięcie małego palca sekatorem, kara zapożyczona – podobnie jak liczne tatuaże – od japońskich gangsterów, o których domorosły yakuza przeczytał podczas odsiadki artykuł w sfatygowanym numerze tygodnika „Dookoła Świata”, okazało się naprawdę skuteczną metodą windykacji. Pech jednak chciał, że rozochocony sukcesami Darek przecenił swoje siły i wykonał o jedną robotę za dużo. Posunął się za daleko podczas ostatniego wypadu w rodzinne strony. Chciał dać nauczkę nowemu, nazbyt gorliwemu dzielnicowemu, który postrzelił w trakcie pościgu jego kuzyna, znanego na całą Rudę Śląską doliniarza. Tym razem nie zajął się małym palcem, jak miał to w zwyczaju, ale odjął młodemu funkcjonariuszowi oba kciuki, co miało stanowić przestrożę dla wszystkich pozostałych blacharzy, by podczas interwencji nie sięgali zbyt ochotczo po broń.

Niestety aluzja została opacznie zrozumiana, a stróża prawa,

zamiast się uspokoić, ruszyli ostro do roboty. Nie dość, że Darek sam wpadł, to jeszcze siłą rozpędu zlikwidowano sieć bimbrowni i melin prowadzonych przez panią Trittową, z którą był powiązany. Gdy rozeszła się fama, że Jakuz siedzi, języki okaleczonych wcześniej restauratorów rozwiązały się ponad miarę, skutkiem czego ona zadyndała na jadzi w poznańskiej katowni razem z obitym mężem i bohaterami kolejnej lokalnej afery mięsnej, a on, skazany w odrębnym procesie miesiąc później, czekał właśnie na wykonanie podobnego wyroku. Zabrakło dosłownie trzech dni, by spotkał w zaświatach dawną zleceniodawczynię.

Pchnięte przez Ulfiga drzwi do wolności uchyliły się z piskiem źle naoliwionych zawiasów.

Sprycha uśmiechnął się pod nosem. Ulżyło mu, ale nie tylko dlatego, że we wnętrzu paki pojaśniało i zrobiło się od razu bardziej znośnie. Delikatna forma nacisku na paru strażników, realizowana przy pomocy przebywających na wolności kompanów starej grypsery, przyniosła niespodziewany efekt. Zamiast ulgowego traktowania za kratami, co było jego pierwotnym celem, całkiem nieoczekiwanie zyskał szansę na odzyskanie wolności. Funkcjonariusz, którego zmuszono do współpracy groźbą zabicia jedynej córki, spisał się na medal. Nie tylko doniósł z odpowiednim wyprzedzeniem, co kombinuje kapitan Okrutny, ale też zadbał, by więźniarka, do której trafił Fabian, nie została należycie zamknięta.

Więźniowie wyskakiwali kolejno na bruk, rozglądając się ciekawie. Paru od razu dało nogę. Pięciu pobiegło w stronę widocznego w oddali placu, dwaj inni wybrali pobliską boczną uliczkę, a trzej, nie wiedzieć czemu, ruszyli truchtem w kierunku, z którego przyjechał konwój. Po chwili przy więźniarce zostali sami krawaciarze.

– Gdzie my, kurwa, som? – zastanawiał się na głos Miron Sójka, golibroda ze Skalmierzyc, będący żywym dowodem na prawdziwość powiedzenia, że „szewc bez butów chodzi”.

Od ogłoszenia wyroku nabrał awersji do brzytwy, pewnie dlatego, że posadzono go za podejrzenie paru gardeł.

Udowodniono mu trzynaście takich czynów, a wpadł we własnym zakładzie po ostatnim morderstwie, dokonanym w biały dzień przy tłumie czekających na swoją kolej klientów. Ludzie walili do niego tłumnie, zwłaszcza w soboty, jako że należał do grona najlepszych cyrulików w powiecie. Dlaczego zabijał? Po części dla zemsty, aczkolwiek najbardziej mierzyła go bezczelność ludzi, który najpierw go okradli, a potem kpili z niego w żywe oczy, dając po strzyżeniu i goleniu sute napiwki, oczywiście ze zrabowanych wcześniej pieniędzy.

Tego Miron nie mógł znieść, zasadził się więc na sąsiada, znanego lenia i moczymordę, którego podejrzewał o bliskie związki ze złoczyńcami, a ten, jakżeby inaczej, już po pierwszym cięciu wyznał prawdę. Potraktowany brzytwą opój wskazał wszystkich współników: leciwą bufetową z baru Kufel, jej szwagra druciarza, ich wspólnego znajomego mistrza kominiarstwa i na koniec tego, który uknuł spisek, czyli miejscowego fotografa. Miron dopadł jedno po drugim następnego ranka, w mieszkaniach i domach. Nie chciał zostawiać świadków, by nikt nie wszczął alarmu i nie zapobiegł wymierzeniu sprawiedliwości, dlatego tam gdzie zaszła potrzeba, wyrznął całe rodziny, a potem jakby nigdy nic poszedł do roboty, wiedząc, że główny winowajca sam się zgłosi jak co sobota, by szczerząc się i przymilając do człowieka, którego miesiąc wcześniej ograbił z oszczędności całego życia, kpić ze swojej ofiary w żywe oczy.

Sójka naostrzył brzytwę o pas, jak miał to w zwyczaju przed każdym goleniem, namydlił porządnie szyję, po czym zarznął łacha jednym, ale za to szerokim cięciem, przeciągając ostrzem od ucha do ucha. Upuścił mu krwi jak wieprzowi na świniobiciu, nie zważając na wrzaski przepychających się w drzwiach klientów. Gdy lokal opustoszał, jeśli nie liczyć dwu omdlałych kobiet, usiadł na zydelku w kącie przy służbowym stoliku, by dopić chłodną kawę i nacieszyć oczy widokiem jeszcze szybciej stygnącego fopotstryka. Tam właśnie znaleźli go przywezwani przez kogoś milicjanci.

W trakcie późniejszego procesu niezbiecie wykazano, że

zamordowani przez niego ludzie byli Bogu ducha winni. Oszczędności skalmierskiego cyrulika, ukryte przemyślnie w kominie rodzinnego domu, podbierała bowiem niewierna żona, a sąsiad pijus zadencjonował osoby, z którymi sam miał na pieńku – uczynił to, żywiąc płonne nadzieje, że szalony fryzjer nie tylko daruje mu życie, ale i załatwi za niego porachunki.

– Tyle wiem co i ty – odparł Sprycha, po tym jak zeskoczył z paki i wziął kilka głębokich wdechów. – Któryś jest tutejszy? – zapytał, odwracając się do sterczących za nim więźniów.

– Ja jestem – odparł nieznany mu bliżej mężczyzna o fizjonomii boksera, recydywa jak się patrzy, z wyglądu i usposobienia.

Inny by nie trafił do tego transportu.

– Jak się nazywasz?

– Kaczmarek jestem, panie Fabianie. Tomasz, pod dziesiątką garowałem...

– Dobra, wystarczy! – uciszył go Sprycha. – Wiesz, gdzie jesteśmy?

– Przy zajezdni tramwajowej.

– Nie mów...

Stali naprzeciw szerokiej bramy prowadzącej do wielkiej hali, przed którą znajdowało się kilkanaście charakterystycznych czerwonych wagonów.

– Krótco jechaliśmy, więc to pewnie Słowiańska – wymamrotał skarcony Kaczmarek.

– Gdzie tu się najlepiej zamelinować... – Sprycha zastanawiał się na głos, patrząc już w przeciwnym kierunku, na plac.

Kręciło się po nim zadziwiająco wiele osób jak na tak wczesną porę. Uciekający w stronę placu Słowiańskiego mężczyźni próbowali ominąć największą gęstwinę szerokim łukiem, ale i tak zwrócili na siebie uwagę. Część wałęsających się po placu przechodniów ruszyła za nimi, z początku niepewnie, chwiejnym krokiem, jakby w pijanym widzie. Jeden zaraz upadł, dwaj inni potknęli się o niego i też zwalili jak kłody. Być może zdziwiłoby to Fabiana, gdyby nie słowa, które usłyszał:

– Za zajezdnią są tereny kolejowe, znam je dobrze, bo często chadzałem tam na zakupy. No i „Społem” ma tam główny

magazyn.

Pokiwali głowami. Wszyscy od lat znali grypsere, wiedzieli więc, o czym ich towarzysz naprawdę mówi. Kradzieże na kolei były bardzo opłacalne, ale władza traktowała je szczególnie ostro, ponieważ ginęło mienie państwowe. Na wagony chadzali więc tylko wyjątkowi durnie albo... nieprzeciętni kozacy. W tym wypadku uwolnieni obstawiliby drugie rozwiązanie.

– Da się tam zaszyć na dłużej? Jak „Społem”, to pewnie wódy i żarcia jest w bród.

– Musowo – wyszczerzył się Kaczmarek.

– I dobrze. – Sprycha nie spuszczał oka z ludzi na placu.

Dwóch z pięciu uciekinierów wracało właśnie, zerkając bojaźliwie na podążających za nimi ludzi. To nie byli już pojedynczy, wałęsający się bez celu przechodnie, lecz zбитy kilkudziesięcioosobowy tłum. Moment później od strony bocznej ulicy, w której zniknęło dwóch kolejnych zbiegów, dobiegł przeraźliwy skowyt, jakby ktoś babę żywcem ze skóry obdzierał. Takie właśnie skojarzenie przyszło na myśl Fabianowi, który doskonale wiedział, jak drą się skórowane kobiety. To tutaj brzmiało podobnie, istna muzyka dla jego uszu. Dostał nawet gęziej skórki na przedramionach, bynajmniej nie ze strachu...

Wtem rozległ się drugi, jeszcze bardziej przenikliwy dźwięk.

– Co jest? – mruknął Olaf Perek, skromny farmaceuta z Gniezna, a zarazem znany truciciel, który dla pieniędzy wykończył co najmniej pięć staruszek, serwując im zabójcze przy ich schorzeniach mikstury.

Metodę miał prostą i skuteczną: zagadywał dobrze ubrane klientki apteki, w której pracował, poznawał je lepiej, a gdy już wystarczająco rozpracował ofiary – zawsze kobiety samotne i bardzo leciwe – odwiedzał je w domach, niby przynosząc cudem dla nich sprowadzone leki z Zachodu, a kiedy ufnie zażywały je przy nim i traciły przytomność, okradał mieszkania z najcenniejszych rzeczy, głównie precjozów oraz gotówki, po czym zostawiał nieszczęsne na pewną śmierć. Wpadł tylko dlatego, że ostatnia z jego ofiar cierpiała na tak daleko posuniętą sklerozę, iż nie pamiętała o istnieniu własnej córki, milicjantki

z drogowki. Pech chciał, że funkcjonariuszka wpadła do rodzicielki z wizytą zaraz po służbie, jak w każdą niedzielę. Spotkanie z nią, z precjozami w ręku nad zwłokami ukochanej matki, zakończyło krótką, acz całkiem owocną karierę pana magistra.

Perek skoczył za róg, ale wrócił równie szybko, jak zniknął. Wyglądał na bardziej wystraszonego niż ci dwaj, którzy biegli od strony placu.

– Co tam się dzieje? – zapytał zaniepokojony jego bladością Fabian.

Coś tu było nie tak. I to bardzo.

– Oni... oni... – sapał zgięty wpół trucieli, z trudem łapiąc oddech. – Oni go rozszarpali!

– Kogo? – To pytanie zadało mu co najmniej trzech więźniów naraz.

– A... Arturka, znaczy Zbycha Płonkę, mojego najlepszego herbatnika spod celi – zapisał dziwnie cienkim głosem Olaf.

– Jacy oni? – Fabian swoim zwyczajem przeszedł do sedna.

– No ci tam... – Perek wskazał na tłum idący śladem zbiegów wracających z placu.

W tamtym kierunku uciekło aż pięciu, przypomniał sobie Sprycha w chwili, gdy gdzieś w oddali rozległy się równie przyjemne dla jego ucha wrzaski jak te, które usłyszał przed chwilą.

– Chodu! – Łukasz Szczygło, najmasywniejszy z nich wszystkich, były drwal, który po wyrzuceniu z roboty w Bieszczadach za nadmierne picie, bo i takie cuda się zdarzały, wrócił do domu dwa tygodnie przed spodziewanym terminem i zamiast znaleźć ukojenie w ramionach młodej żony, musiał ją wyrwać z objęć gacha, tak się składa najlepszego przyjaciela ze szkolnej ławy. Zarąbał go na jej oczach, tą samą siekierą, którą przez prawie trzy miesiące korował powalone drzewa, po czym zabrał się do wiarołomnej małżonki. Śledczy zeznający na jego rozprawie mówili, że nigdy wcześniej nie widzieli takiej jatki, a warto przy tym wspomnieć, że jeden z nich robił kiedyś przy sprawie słynnego rabunku pod Kaliszem.

– Nie! – Donośny krzyk Sprychy osadził wszystkich na miejscu. – Gdzie chcecie uciekać? Tam? – wskazał palcem kierunek, z którego przyjechali. Stamtąd także wracał jeden z uciekinierów, ścigany przez co najmniej setkę mężczyzn, kobiet, a nawet dzieci.

Coś się porobiło z tym miastem, coś bardzo złego, nawet jak na spaczony gust domorosłego kanibala.

– To co robim? – zapytał spanikowany Sójka.

– Wiejemy do zajezdni. – Fabian wskazał brodą pobliską halę.

– Pan Sprycha dobrze gada! – ryknął Perek, ruszając w kierunku bramy.

Pozostali poszli w jego ślady, tylko Kaczmarek się zawahał.

– A co z resztą naszych?

Fabian wyhamował. Faktycznie, w pozostałych więźniarkach zostało sześćdziesięciu git-ludzi. Szybki rzut oka na zbliżający się tłum przechylił jednak szalę. Nie było czasu na próby ich uwolnienia. Otwarcie opancerzonych drzwi wymagało ciężkich narzędzi albo... współnika z zewnątrz. W tym momencie nie mieli ani jednego, ani drugiego.

– Jak chcesz ich uwolnić? – zapytał, pokazując Kaczmarkowi skute za plecami ręce. – Na razie muszą sobie radzić sami.

– A co z nim? – Złodziej wskazał nieprzytomnego Magdziarka.

Sprycha zrobił ze dwa kroki, zanim dotarło do niego, o kim mowa. Zawrócił. Spojrzał na Kaczmarka, Cangaceiro był za ciężki, żeby go sam dźwignął, nie mówiąc o przeniesieniu na teren zajezdni. Zostali przy starze tylko we dwójkę, reszta ferajny była już niewidoczna albo znikąca właśnie za unieruchomionymi tramwajami. Gdyby przywołać tu któregoś... Nie, na to też nie mieli już czasu.

– Dasz radę go podnieść?

– Jak? – Kaczmarek także pokazał skute z tyłu dłonie.

– A pociągnąć po ziemi?

Złodziej obrzucił wzrokiem nieprzytomnego.

– Stąd tam na pewno – odparł, wskazując głową zabudowania zajezdni.

– No to ruchy.

Przyklęknęli, wyciągnęli skute ręce do tyłu, żeby chwycić nieprzytomnego za nogawki, i ruszyli, wlekąc go za sobą w kierunku nie zabezpieczonej niczym bramy. Zaciągnęli Magdziarka za ogrodzenie, zanim od strony więzienia nadbiegł pierwszy z wracających uciekinierów. Nieludzko zdyszany padł na torowisko tuż za nimi.

Ci, którzy wiali przed tłumem od strony placu, popełnili fatalny w skutkach błąd. W ich ocenie prościej było skręcić w boczną uliczkę, niż ryzykować bieg wzdłuż ogrodzenia do wejścia, którego nie mogli pod tym kątem zobaczyć, a wjazd od placu przegradzała solidna żelazna brama, której nie zdołaliby pokonać ani dołem, ani tym bardziej górą. Gdy pojęli, że za rogiem nie znajdą ocalenia, było już za późno na zmianę decyzji. Nadciągający z trzech stron tłum dotarł do wozów konwoju. Desperacka próba dotarcia do płotu zakończyła się więc niepowodzeniem, choć naprawdę niewiele brakowało, by obaj przebili się do ogrodzenia, którego i tak nie zdołaliby pokonać, ponieważ ręce mieli skute za plecami, jak wszyscy pozostali.

Wrzaski pochwyconych umilkły nadszyczym szybko. Fabian zanotował to w pamięci, gdy jego towarzysze odciągali Magdziarka między tramwaje. On sam wskoczył do najbliższego czerwonego wozu. Przykucnął w nim obok stanowiska motorniczego gotów do natychmiastowej ucieczki, gdyby zaszła taka potrzeba, po czym podniósł się ostrożnie, na tyle, by spojrzeć przez przednie okno ku ulicy.

Milczący tłum nie szturmował otwartego wjazdu, jak można się było spodziewać. Zamiast tego ludzie dotychczas ścigający uciekinierów zebrali się wokół trzech pełnych więźniarek. Sprycha nie zauważył jednak, by ktoś próbował rozwalić zamek czy wyrwać z zawiasów drzwi. Dziwaczna zgraja otoczyła wozy i... znieruchomiła. Co ciekawe, niecałą minutę po tym, jak umilkły wrzaski mordowanych uciekinierów, za płotem coś się poruszyło.

Sprycha wstrzymał oddech, widząc, że jeden z dopadniętych więźniów wstaje. Facet był na twarzy siny, niemal fioletowy, wyrwana z zawiasów szczęka wisiała mu pod dziwnym kątem.

W więzienne wdzianko wsiąknęło tyle krwi, że można by z niej zrobić dziesięć kilo kaszanki, lecz on podniósł się jakby nigdy nic i stanął chwiejnie na własnych nogach! Moment później w polu widzenia pojawił się jego kompan, niejaki Bugalski. I nie na żarty przeraził człowieka, który bez mrugnienia okiem ćwiartował swoje ofiary, po tym jak już obdarł je żywcem ze skóry. Żadna bowiem, nawet po wypatroszeniu, nie próbowała chodzić, powłócząc za sobą metrami jelit i innymi podrobami, jak robił to teraz wspomniany Jędrzej, zdun ze Świecia, który trafił za kratki za zabicie klientki. Zatlukł ją szamotką, ponieważ miał kaca, a że przepił już pobraną z góry zapłatę, brakowało mu na przysłowiowego klina... Zdobyte na emerytce pięć złotych wydał w pobliskim sklepie na piwo, którym nie zdążył ugasić dręczącego go pragnienia, gdyż zanim przełknął trzeci łyk płynnego złota, został aresztowany.

Sprycha go rozpoznał, ponieważ z jakiegoś powodu przez całe dwa miesiące wyprowadzano ich razem na spaceriak. Wtedy nie odezwali się do siebie ani słowem. Choć obaj mordowali, należeli do różnych światów. Ludzie pokroju Bugalskiego napawali Fabiana odrazą. Byli nieobliczalni, impulsywni, niezdolni do planowania.

Jednakże teraz, gdy spoglądał na Jędrzeja, który nie tylko nie powinien się ruszać, ale i żyć, poczuł się tak, jak zapewne jego własne ofiary, kiedy docierało do nich, że mają do czynienia nie z przemiłym chłopakiem, z którym głaskały jeszcze przed chwilą malusie króliczki, lecz z pozbawionym sumienia oprawcą.

Rozpłątany od mostka po krocze Bugalski dołączył do milczącego tłumu i biorąc przykład z sąsiadów, wyciągnął ręce w kierunku budy najbliższej więźniarki.

– A niech mnie... – mruknął Sprycha, czując, jak zimny pot ścieka mu wzdłuż kręgosłupa. – To przecież niemożliwe.

Wysiadł z tramwaju i podbiegł bliżej ogrodzenia, by mieć lepszy widok. Przyglądał się kolejno różnym osobom, ale gdziekolwiek spojrział, widział anomalie. Przesiąknięte krwią ubrania, otwarte rany, siną cerę. Ci wszyscy ludzie wyglądali, jakby wstali z martwych...

Czyżby kapitan kłamał?

Sprycha dogonił kompanów dopiero gdzieś w połowie przejścia między murem a halą, w miejscu, z którego ledwie było słychać wołanie git-ludzi pozostawionych na pastwę losu w rozpalonych trumnach więźniarek. Tam dołączył do nieprzytomnego Cangaceiro, Kaczmarka i jego zziąjanego jak pies pomocnika, niejakiego Maruta, który – jak zwykł sam mawiać, gdy ktoś go o to pytał – dostał od władzy ludowej czapę za scysję z kierownikiem. Scysję zakończoną nagłym zejściem przełożonego, bynajmniej nie z przyczyn naturalnych. Wyduszenie z niego podwyżki nie przebiegło bowiem tak, jak to sobie Dawid zaplanował.

– Idą za nami? – zainteresował się wrocławski złodziej.

– Nie – odparł Fabian najspokojniej, jak umiał.

– To dobrze – ucieszył się Marut, jedyny ocalały uciekinier. – To nie ludzie, tylko bestie jakieś. Rzucili się na Piaseckiego jak wygłodniałe psy na wiadro kości. A Jakub podszedł do nich tylko, żeby o drogę zapytać. Nawet nie zdążył pisnąć, zanim... – Pobladł na samo wspomnienie. – Pół roku pod jedną celą garowaliśmy – dodał, jakby jego przygnębienie wymagało dodatkowego wyjaśnienia.

– Ale że jak? Też go rozszarpali żywcem? – zdziwił się Kaczmarek. – Zwykli ludzie?

– Oni już nie tacy zwykli – odparł Sprycha, zanim Dawid zdążył otworzyć ponownie usta. – Ta zaraza to chyba coś więcej niż tylko czarna ospa.

sobota, 10 sierpnia 1963, godzina 05:27
Zakład Karny Nr 1 przy ulicy Klęczkowskiej 35

Zgodnie z wydaną mu wcześniej instrukcją Bednarek zostawił wóz przed bramą główną, obok służbowego autobusu, którym przywieziono ostatnią partię ewakuowanych. Odczekał przy gaziku kilka sekund, aż wszyscy kierowcy więźniarek znajdą się po drugiej stronie, po czym sam wsunął się zwinnie w szczelinę pomiędzy murem a metalowym skrzydłem. To, co zobaczył, zdziwiło go bardziej niż widok dostrzeżonych z daleka kolumn czarnego tłustego dymu, które unosiły się zza więziennego muru. Pośrodku półkolistego placu płonęły dwa wielkie ogniska, a może raczej stosy. Kapral skrzywił się, gdy poczuł odór palonych ciał. Wystarczył jeden podmuch zmiennego wiatru, by żołądek podszedł mu do gardła.

– Załatwione? – Kapitan Okrutny wyrósł przed nim jak spod ziemi.

Paweł przełknął z trudem ślinę. Dowódca domyślił się, że kierowca naczelnika nie wytrzyma dłużej tego smrodu, odciągnął go więc aż pod drzwi ambulatorium, gdzie dzięki przeciągowi dało się oddychać. Odczekał, aż poblądły kapral zaczerpnie tchu, i zapytał:

– Zrobiliście, co kazałem?

– Tajest.

– Odstawiliście ich na plac Słowiański?

– Prawie. Koło zajezdni... – Paweł zauważył skwaszoną minę kapitana. – Było już po terminie. Kazaliście nie ryzykować, towarzyszu kapitanie.

Okrutny zerknął na zegarek. Za dwie wpół do szóstej. Co oznaczało, że w drodze powrotnej Bednarek musiał gnać jak wariat. *Gdyby nie przestraszył się plotek, więźniarki z najgorszym elementem znalazłyby się pośrodku placu, jak planowałem, nie*

na...

Ziemia wymknęła im się spod nóg, jakby stali nie na bruku, lecz dywanie, za którego róg pociągnął nagle jakiś żartowniś. Niebo od strony ulicy Reymonta pojaśniało, rozlała się po nim krwawa łuna sięgająca coraz szerzej i wyżej. Sekundę później do uszu dwóch leżących mężczyzn dobiegł ogłuszający ryk, w którym utonęły wszystkie inne dźwięki. Nieliczne szyby w ruinach kamienic po drugiej stronie ulicy Reymonta momentalnie poszły w drobny mak, zerwane falą uderzeniową dachówki poszybowały szerokim łukiem ku ziemi niczym salwa oddana z setek dział. Spora ich część przeleciała nad ulicą, chodnikiem i murem, by roztrzaskać się już na terenie więzienia. Co mniejsze fragmenty dotarły nawet na plac, spadały właśnie wśród ogłuszonych funkcjonariuszy, raniąc kogo popadnie.

Oszołomiony wybuchem Okrutny rozglądał się wokół siebie nieprzytomnym wzrokiem. W głowie mu szumiało, załzawione oczy go piekły, czuł coraz silniejszy ból w prawym boku, ale miał to wszystko gdzieś. Zaciskając zęby, gapił się w stronę podświetlonych łuną ruin, ponad ich postrzępionymi dachami, w niebo.

Skurwysyny zrzuciły bombę przed czasem, pomyślał, ale zaraz przyszła refleksja. Widoczny na tle krwawej łuny monstrualnych rozmiarów grzyb unosił się nie z tej strony co trzeba. Zrzut powinien nastąpić na południe od więzienia, nad centrum Wrocławia, nie gdzieś na rogatkach... Tymczasem do eksplozji doszło w okolicach portu albo nawet cmentarza Osobowickiego.

Ktoś szarpnął go mocno za ramię. Chyba nie pierwszy raz.

– To atom? – Bledszy od kredy Bednarek wpatrywał się w przełożonego jak w święty obraz.

Krew ściekała mu z rany na czole, w której pod skórą tkwił wciąż mały odłamek dachówki. Słowa, które wypowiadał, docierały do Okrutnego jakby z dna zamkniętej deklem studni.

– Nie. Chyba nie – odparł kapitan, zebrawszy myśli. Właśnie do niego dotarło, że nie doświadczyli żaru fali termicznej, a moc eksplozji była raczej niewielka. Chyba że Rosjanie spartolili robotę i zrzucili ładunek kilkanaście kilometrów od celu. Albo

bomba okazała się z jakiegoś powodu niewypałem. – To musiało być coś innego.

– Ale co?

– Skąd mnie to wiedzieć? – obruszył się Wojciech, któremu nagle wszystko zaczęło doskwierać.

Teraz, gdy poziom adrenaliny opadł, ból, pieczenie i szum w głowie przybierały szybko na sile. Sam omal nie zwymiotował, gdy podmuch wyrównujący ciśnienie pociągnął kłęby dymu w ich stronę.

– Co to było? – z budynku administracji wytoczył się oszołomiony doktor Wegner.

Spory siniec na jego policzku świadczył, że wewnątrz, przynajmniej nad ziemią, nie było wcale bezpieczniej niż na otwartej przestrzeni. Lucyna z Kubisiową na szczęście zeszła do schronu wcześniej. Okrutny znienacka zadrżał, jakby owionął go lodowaty wiatr. *Gdyby to była atomówka...* Wolał nie kończyć tej myśli. Zabrakło mu może trzydziestu sekund, by dołączyć do czekających w schronie kobiet.

– Coś wybuchło, ale... – zaczął mówić, lecz głośny trzask dobiegający od Kłęczkowskiej zmusił go do zamilknięcia.

Wszyscy na placu spojrzeli w kierunku, z którego dochodził ten dziwny dźwięk. Jedna ze ścian kamienicy stojącej na rogu Reymonta zaczęła się osuwać na ich oczach – wolno, nierówno jak kotara z odsłanianego pomnika. Moment później zabudowania po drugiej stronie ulicy zniknęły w gęstej chmurze wzniesionego tą katastrofą pyłu.

Zatem eksplozja nie była aż tak słaba, uznał kapitan. W perspektywie obu ulic unosiło się jeszcze kilka podobnych tumanów. Kolejne widać było zza podziurawionych jak sito dachów. Miasto, które nie podniosło się jeszcze po grozie poprzedniej wojny, właśnie zostało znów doświadczone.

– A to co takiego? – Pytanie Bednarka wyrwało kapitana z zamyślenia.

Okrutny nadstawił ucha.

Pozostali także usłyszeli już narastający świst, jakby coś spadało...

Kapitan zadarł głowę, próbował przeczesać wzrokiem ciemniejące na powrót niebo, czy też jego nie przesłonięte przez tumany pyłu skrawki, ale zbierające się pod powiekami łzy nie pozwalały mu dostrzec żadnych szczegółów. A gwizd narastał z sekundy na sekundę. Doświadczenie frontowe podpowiadało Wojciechowi, że pocisk, który słyhać, znajduje się już daleko i nie stanowi bezpośredniego zagrożenia. *Lecz czy w przypadku bomby jest tak samo?*

Okrutny uświadomił sobie nagle, że eksplozja, której skutków właśnie doświadczyli, nie musi być jedyna ani ostatnia. *A jeśli to tylko marker, znak dla pozostałych bombowców? Jeśli Rosjanie nie zamierzają zrzucić na Wrocław atomówki, tylko chcą go zrównać z ziemią nalotem dywanowym, używając jakichś piekielnych bomb zapalających tej mocy co pierwsza?*

Skulił się instynktownie, gdy ziemia znów zadrżała, tym razem jednak zauważalnie lżej. Łoskot także był jakby mniej ogłuszający, no i uderzeniu nie towarzyszyła rozrywająca uszy eksplozja. Ale co najważniejsze: nie zostali unicestwieni w gigantycznej kuli ognia. Coś spadło na zabudowania Babińca, coś dużego, ale na pewno nie była to bomba.

Tymczasem gwizd nie milkł, z nieba leciały jakieś przedmioty na pewno nie będące fragmentami uszkodzonych falą uderzeniową kamienic. Wiele z nich płonęło, zostawiając za sobą pióropusze gęstego dymu. Jeden wałnął właśnie w sam środek dziedzińca, odbił się od bruku, pozostawiając spore wgłębienie, i z nieco tylko cichszym wizgiem przeleciał nad murem, zrywając drut kolczasty i wybijając w szczycie szeroką na metr dziurę.

– Kurwa mać... – wymamrotał przerażony kapitan, próbując wstać.

Nie udało mu się to, ruszył więc na czworakach ku wejściu do budynku administracji i siedzącego w nim lekarza.

– Do piwnicy! – ryknął, chwytając się masywnej kłamki. – Musimy schronić się w piwnicy! Już!

Pociągnął Wegnera za kołnierz. Na Bednarka nawet się nie obejrzał.

* * *

– Musimy tam wrócić!

Oczy Wegnera błyszcząły w półmroku panującym na schodach do piwnicy, jakby ktoś je podświetlił. Takie przynajmniej wrażenie odniósł kapitan, gdy spojrzął na powstrzymującego go lekarza.

– Po cholere? – warknął, uwalniając ramię z niepewnego chwytu.

– Jeśli to... coś zabije choć jedną osobę... – Wegner zawiesił znacząco głos.

– Kurwa mać! – Okrutny zatrzymał się na przedostatnim stopniu. Lekarz miał rację. Jeśli to, co spada teraz na teren więzienia, doprowadzi do śmierci choć jednego człowieka, zacznie się naprawdę ostra jazda. W raporcie triumwiratu napisano, że każdy zabity może powrócić, a gdy do tego dojdzie, zacznie przemieniać też ludzi, którzy spróbują go ratować. – Kurwa mać – powtórzył, zawracając.

Dwa stopnie wyżej wpadł na Bednarka, zlecieliby razem ze schodów, gdyby nie przytomna interwencja Wegnera. Podtrzymany kapitan szybko odzyskał równowagę, odsunął od siebie zdezorientowanego kaprała i popędził dalej.

Przystanął dopiero w drzwiach, przywarł do framugi, rozejrzał się uważnie, nadstawiając ucha. Na zewnątrz słychać było tylko trzask płomieni z obu stosów i krzyki ludzi dochodzące zarówno z terenu więzienia, jak i zza muru.

– Chyba już po bombardowaniu – rzucił przez ramię i nie czekając na odpowiedź, wyszedł na plac.

Gdyby ktoś go później zapytał, czy zauważył coś bądź wyczuł, musiałby zaprzeczyć albo skłamać. Przeżył tylko dlatego, że miał cholerne szczęście. Jak ten komik z niemego filmu, na którego przewróciła się ściana chaty. Ten chudzielec w okularkach, który nigdy się nie uśmiechał. Jedyne, co Okrutny pamiętał z tej chwili, to ogłuszający metaliczny klang i... nagła ciemność. Nieprzenikniony mrok, który otoczył go w okamgnieniu i równie szybko zniknął. Gdy skulony kapitan otworzył instynktownie zaciśnięte powieki, zobaczył stalowy czarny pierścień o średnicy

trzech, może nawet czterech metrów i podobnej wysokości, który odtaczał się powoli w kierunku głównej bramy. Cholerstwo spadło prosto na niego, jak jakaś pułapka na szczura, a potem odskoczyło, nie muskając go nawet, co zakrawało na cud.

Identyczny kawał metalu gruchnął właśnie o ziemię gdzieś za murem oddzielającym plac od żeńskiej części więzienia. Tuż po huku, z jakim przywalił w bruk tamtejszego dziedzińca, rozległy się jeszcze bardziej paniczne piski i wrzaski.

– Kur... – Okrutny otworzył usta, by zakląć ponownie, komentując w ten sposób zarówno swoje cudowne ocalenie, jak i brak szczęścia ludzi zgromadzonych za wewnętrznym murem, lecz zamilkł w pół słowa, uciszony przez doktora.

– W czepku się urodziliście, kapitanie! – zawołał poblady Wegner, pociągając go za sobą.

– Co? – Okrutny, któremu wciąż dzwoniło w uszach, nie zrozumiał. – W jakim czopku?

Lekarz się zaśmiał, jakby usłyszał dobry żart, ale ani nie zwolnił, ani nie odpowiedział. Kapitan otrząsnął się więc tylko jak pies po wyjściu z wody i ruszył za Wegnerem, wciąż nie mogąc uwierzyć we własne szczęście. *Tak mało brakowało, żebym pożegnał się z tym światem... nie, wróć, jeszcze gorzej, żebym dołączył do hordy tych bezrozumnych bestii...*

Truchtał w stronę wewnętrznej bramy, wołając po drodze każdego, kto znajdował się na placu. Z ośmiu funkcjonariuszy, którzy doglądali stosów, siedmiu przetrwało bombardowanie w całkiem dobrej kondycji. Tylko jeden, starszy szeregowy Godziński, strażnik z bloku A, leżał na plecach z szeroko rozrzuconymi rękami jakieś dwa metry od płomieni. Wokół jego torsu widać było kałużę krwi, całkiem już sporą, ale wciąż się powiększającą.

Okrutny zatrzymał się krok od ofiary, nie wiedząc, co powinien zrobić. Jeśli ten człowiek żył jeszcze, z pewnością wymagał pomocy, ale jeśli był już po tamtej stronie albo właśnie konał, każdy, kto go dotknie, zarazi się czy też przemieni, kapitan nadal nie wiedział, jak nazwać ten stan.

Musiał jednak zdecydować, tu i teraz, natychmiast, ponieważ za

murem rozgrywał się właśnie kolejny akt tej tragedii, kto wie, czy nie znacznie poważniejszy, sądząc po natężeniu wrzasków, które dobiegały z sąsiedniego dziedzińca.

– Zbadajcie go – rzucił do Wegnera.

– A jaki to ma sens? – wypalił w odpowiedzi lekarz. – Nawet jeśli jeszcze żyje, nie zdołam mu pomóc.

– Nie możemy go tu tak zostawić – upierał się kapitan. – Jeśli się przemieni, niepilnowany...

– To go skujcie czy coś.

– Pietkun! Fijałkowski! – Okrutny wywołał dwóch stojących najbliżej kaprali. – Kajdanki macie?

– Tajest! – zameldował łamiącym się głosem pierwszy z tej pary.

– Skujcie go w kostkach i nadgarstkach, ale uważajcie, żeby nie dotknąć ciała łapami.

– Myślicie, towarzyszu kapitanie, że Tomek... – zaczął Pietkun, pracujący na tym samym bloku co Godziński, ale zaraz umilkł i nerwowo poprawił ciężkie okulary.

– Słyszeliście, co doktor powiedział – wzruszył ramionami kapitan, po czym odwrócił się do pozostałych. – Idziemy!

– Słyszeliśmy. – Pietkun uniósł rękę, prostując środkowy palec w imperialistycznym geście podpatrzonym na jakimś zdjęciu z koncertu zespołu bigbitowego.

Rzecz jasna, zrobił to dopiero wtedy, gdy dowódca zniknął im z oczu.

– Ty się kiedyś, Krzysiek, doigrasz – wymamrotał Fijałkowski.

– Towarzysz kapitan to mi może, ale na pukel skoczyć – prychnął masywniejszy z obu kaprali, znów poprawiając okulary. Pocił się tej nocy za trzech, po części z gorąca, ale bardziej z nerwów, zatem ciężka szylkretowa oprawa zjeżdżała mu co rusz ze śliskiego nosa.

– To co robimy? – zagadnął go Kacper.

– Skuwamy biedaka – warknął Krzysztof, po czym splunął w rozlewającą się coraz szerzej krew i odstąpił dwa kroki, jakby robił koledze miejsce.

Fijałkowski spojrzał na niego z wyrzutem, ale podszedł do

leżącego od strony nóg.

Przyklęknął ostrożnie, pochylił się, wsparł na lewej dłoni, a prawą z otwartymi kajdankami wysunął w stronę kostki Godzińskiego. Gdy metalowy szpon znalazł się kilka centymetrów nad łydką, opuścił rękę zdecydowanym ruchem. Stał zadzwięczała przy zderzeniu z betonem, ale krąg metalu nie zamknął się, jak powinien. Druga, nieco śmielsza próba także skończyła się niepowodzeniem.

– Tak nie da rady – mruknął Kacper. – Trzeba by podnieść te szkity.

– Zapomnij. Widziałeś, co te gady zrobiły z sierżantem.

– Chwycisz za spodnie, nie za nogę – przekonywał Fijałkowski, aczkolwiek bez przekonania, ponieważ nie miał wielkiej ochoty na wykonanie rozkazu Okrutnego.

– Zapomnij, powie... – Pietkun zamilkł w pół słowa.

Godziński drgnął, najpierw poruszył głowę, potem palcami u lewej dłoni, jakby sprawdzał, czy ma w nich czucie.

Obaj kaprale cofnęli się instynktownie, kajdanki Fijałkowskiego spadły z grzechotem na betonowe płyty, a on sam wylądował na tyłku i tak już został.

– Czy on... on... – jąkał się Krzysztof, wskazując leżącego kolegę drżącym palcem.

Godziński usiadł. Wyprostował się do pionu nagle, bez najmniejszego ostrzeżenia. Oderwał sztywne plecy od ziemi jak akrobata albo sportowiec. A gdy do tego podniósł głowę, zobaczyli jego oczy, całkowicie białe, pozbawione tęczówek.

– Spierdalamy, bracie. – Kacper zerwał się z ziemi niezdarnie, lecz nim minęła sekunda, już gnał w stronę głównego budynku, nie oglądając się za siebie.

– Nie możemy go tu tak zostawić! – wrzasnął za nim Pietkun. – Kapitan nam tego nie daruje!

W końcu przestał kozaczyć. Choć przed kolegami udawał luzaka, tak naprawdę czuł respekt wobec zwierzchników, a zwłaszcza kapitana o bardzo adekwatnym nazwisku. Panicznie bał się ich gniewu, a w tym wypadku doskonale wiedział, że niewykonanie rozkazu grozi czymś więcej niż zwykły opieprz.

Fijałkowski był jednak tak wystrachany zmartwychwstaniem Tomka, że przestał logicznie myśleć. Właśnie zniknął w drzwiach, zatrzasnąwszy je za sobą.

– Ty tchórzliwa mendowieszko! – skwitował Krzysztof, po czym przeniósł wzrok na próbującego wstać ożywieńca.

Był na placu, gdy te bestie dopadły Sękałę i Rawińskiego, widział też, ile problemu mieli pozostali z obezwładnieniem nieumarłych. Zdawał więc sobie sprawę, że w pojedynkę nie ma z Godzińskim najmniejszych szans. Mimo to nie zamierzał uciekać jak ten cymbał Kacper. Bał się gniewu kapitana bardziej niż tego kombi, zombie... zresztą jeden pies.

Nieumarły przechylił się właśnie na bok, przetoczył na brzuch i padł. Znieruchomiał ponownie, ale tylko na moment, potem wsparł się na obu dłoniach i zaczął podnosić. *Chce wstać i zaraz to robi, jeśli go nie powstrzymam*, pomyślał Pietkun, rozglądając się nerwowo. Okulary znów zjechały mu z nosa, musiał je przytrzymać palcem, żeby nie spadły przy tym ruchu.

Złom!

Krzysztof wyszczerzył zęby w uśmiechu. Wiedział już, jak powstrzyma ożywieńca. Pochylił się nad wielką półką ze stara, napiął mięśnie, stęknął i niemal natychmiast się poddał. Pociągnięta część zawieszenia zsunęła się wprawdzie ze stosu i potoczyła po bruku, co z tego jednak, skoro nie zdołał jej oderwać od ziemi. *To cholerstwo waży chyba tonę*, pomyślał. Omiótł spojrzeniem stos żelastwa. *Resory! Są mniej masywne, ważą co najmniej o połowę mniej, ale i tak powinny się nadać*. Chwycił za koniec jednego łuku. *Tak, to zdecydowanie lepszy pomysł*, uznał.

Zerknął przez ramię. Godziński, a raczej jego zwłoki nadal próbowały wstać. Niezbyt im to jednak wychodziło, co wydało się bardzo pocieszające w tej sytuacji. Niemniej czas naglił. Pochylony Pietkun odwrócił się do kupy złomu tak gwałtownie, że okulary poleciały w mrok. Gdyby nie trzymał obiema rękami końca ciężkiego resoru, pewnie zdążyłby je złapać... Odgłos rozbijanego szkła zmroził mu krew w żyłach. Szlag. Bez tych bryli niewiele widział, zwłaszcza po takim ćmaku. *Boże, żeby nie*

wyleciało, tylko pękło, modlił się w myślach, opadając na czworaki, by wymacać przedmiot, bez którego czekała go niemal pewna śmierć.

Chwilę później zerknął z obawą przez ramię. W pozbawionej głębi i kształtu ciemności dostrzegł oślepiającą, podrygującą dziwnie plamę. Płomienie bijące ze stosu były tak jasne, że nie pozwalały mu dostrzec niczego innego. Omiatał więc obiema dłońmi betonowe płyty na oślep, z sekundy na sekundę coraz szybciej, za to mniej metodycznie. Pot kapał mu z nosa, zalewał załzawione oczy. Strach pompował litry adrenaliny do żył, ale to akurat nie na wiele się zdało. Może i czas zwolnił bieg, lecz jemu wzrok się nie poprawił, a to było teraz głównym zmartwieniem Krzysztofa.

Sq! Pokaleczone palce trafiły w końcu na znajomy kształt. Okulary natychmiast trafiły na swoje miejsce.

– A niech to... – jęknął.

Prawego szkła brakowało, lewe było pokryte gęstą siatką pęknięć, trzymało się tylko na słowo honoru. Mimo to Pietkun obrócił się raptownie, tym razem przytrzymując nie tylko oprawkę, ale i jedyne szkło. Gdy tylko je odsłonił, zrozumiał, że już po nim. Na lewe oko widział teraz wyraźniej, tyle że równie dobrze mógłby patrzeć w strzaskane lustro. Coś się przed nim ruszało, zwielokrotnione przez każdą fasetkę, nie miał jednak pojęcia, czy to tylko refleksy płomieni, czy zbliżający się ożywieniec.

Trza wiać, uznał, zrywając się na równe nogi. Nie umiał określić dokładnie kierunku, w którym powinien biec, ale wybrał dobrze, ponieważ pamiętał, że jeśli chce dotrzeć do drzwi, ogień powinien mieć za sobą po prawej. Pech jednak chciał, że zrzucona ze stosu półośka znajdowała się pomiędzy nim a wejściem do budynku. Potknął się o nią, rzecz jasna, i padł jak kłoda, ponownie tracąc okulary. Spanikowany zerwał się od razu i ruszył przed siebie, pragnąc tylko jednego, znaleźć się jak najdalej od zmartwychwstałego Godzińskiego.

Tego dnia nie miał jednak szczęścia. Po upadku wybrał najgorszy kierunek z możliwych i pognał prosto na żywego

trupa. Gdyby ktoś obserwował tę scenę z boku, nie znając jej kontekstu, mógłby pomyśleć, że ci dwaj padli sobie w ramiona.

* * *

Chaos.

Tylko tym słowem dało się opisać sytuację panującą w żeńskiej części więzienia, tam gdzie Okrutny skierował pierwsze transporty ewakuowanych z miasta rodzin. Gdy kapitan i prowadzeni przez niego ludzie minęli róg bloku z kaplicą, przez którego dach przebił się jeden z ognistych pocisków, natrafili na niespodziewaną przeszkodę. Przejście na dziedziniec od strony ulicy Klęczkowskiej było niemal na całej szerokości zablokowane. Gruz z południowo-wschodniej ściany kaplicy i rozsiane po nim płonące szczątki zatarasowały sporą część wąskiego pasa pomiędzy właściwym więzieniem a budynkiem administracji. Płomienie omiatające pogieęte płyty metalu strzelały wysoko w jaśniejsze dopiero niebo, oświetlając zgłiszcza krwistą łuną.

– Co to jest, u licha? – Wojciech obrzucił uważnym spojrzeniem ścianę ognia, zza której dobiegały piski przerażonych dzieci i głównie kobiece krzyki.

– Jakiś wagon chyba... – odpowiedział Dworczyk, wskazując osmaloną kratownicę, z której sterczało coś na kształt zgiętej osi zakończonej grubym talerzem koła.

Kapitan przypomniał sobie natychmiast dziwny pierścień, który omal go nie zabił. Wagon... zbiornik... eksplozja. To wszystko układało się w logiczną całość. Doszło do wybuchu cysterny albo całego składu wagonów przewożących paliwo czy może gaz. Obok portu nie brakowało torów, nawet jeśli nie liczyć linii kolejowej na Poznań.

Okrutny kojarzył te fakty gdzieś w tle, zastanawiając się przede wszystkim, jak pokonać przeszkodę. Przejście obok płomieni raczej nie wchodziło w grę. Żar bił od nich taki, że w pobliskich oknach pękały szyby, zresztą między szczątkami płonącej cysterny a ścianą budynku administracji były zaledwie dwa, może trzy metry wolnej przestrzeni. Na tyle mało, że

spanikowani ludzie nie odważą się podjąć ucieczki tą drogą. Chyba że dostrzegą większe zagrożenie niż ogień...

Po tej stronie pryzmy nie leżało ani jedno ciało, zatem wszystkie ofiary katastrofy znajdowały się bądź wciąż w kaplicy, bądź za przeszkodą, tam skąd dobiegały krzyki. Lub też zostały pogrzebane pod gruzami.

– Musimy obejść kurwidolek z drugiej strony. – Kapitan zwrócił się do stojących za nim funkcjonariuszy. – Dworczyk, macie jeszcze amunicję?

– Jaką amunicję? – obruszył się Kamil. – Zabraliście mi tetetkę, tam, przy bramie.

– Racja. – Okrutny spojrzał na pozostałych. – Wiśniewski i Grabowski – wywołał dwójkę funkcjonariuszy podlegających Sękali, którzy nie brali bezpośredniego udziału w wydarzeniach przy bramie, a na placu pojawili się dopiero wtedy, gdy posłano po złom. – Zostaniecie tutaj. Dowodzi Andrzej – wskazał drugiego z wymienionych. – Macie dopilnować, żeby nikt nie przeszedł między budynkiem administracji a ogniem. Zrozumiano?

– Ale... – jęknął Grabowski.

– Żadnych ale. Żywych odganiajcie, strzelając w powietrze, a zarażonych... ich spróbujcie wpychać w płomień czym popadnie. – Nieopodal leżały łopaty i grabie, którymi jeszcze dzień wcześniej osadzone porządkowały tę część terenu więzienia.

– Przecież przez ten żar nikt nie przejdzie – upierał się Andrzej.

– Teraz nie, ale możecie mi wierzyć, że płomień szybko przygasną. A wtedy...

– Kiepsko to widzę – mruknął Maciek Wiśniewski. – We dwóch niewiele zdziałamy, jeśli żar zelżeje.

Okrutny zerknął w stronę uchylonej bramy prowadzącej na półkolisty plac.

– Dlatego nie mam czasu na zbędne dyskusje. Za chwilę powinni pojawić się tutaj Pietkun i Fijałkowski. Powiedzcie im, że kazałem, by zostali z wami.

Potaknęli z ulgą. Co cztery lufy to nie dwie, co osiem rąk to nie cztery. Ze wsparciem nie powinni mieć większego problemu

z zablokowaniem drogi.

– Tajest!

Kapitan przywołał pozostałą trójkę funkcjonariuszy i zawrócił. Było ich teraz w sumie pięciu, z czego tylko on i Bednarek mieli broń. Doktor Wegner oraz pozostali mundurowi będą musieli nadrabiać minami albo krzykiem, jeśli dojdzie co do czego.

Teren pomiędzy ogrodzeniem, oddzielającym bloki dla mężczyzn od wschodniej części więzienia, a murem był słabo oświetlony i całkowicie pusty, ale zanim Okrutny zdążył minąć uszkodzoną bombardowaniem przybudówkę z kaplicą, przez furtę w murze dzielącym na dwie części wewnętrzny dziedziniec wybiegli pierwsi spanikowani uciekinierzy, głównie kobiety ciągnące za sobą zaspane, płaczące dzieci. W ponad trzydziestoosobowym tłumie kapitan dostrzegł tylko kilku mężczyzn. Wszyscy mieli na sobie kompletne mundury, co dobrze wróżyło. Parę sekund później, gdy obie grupy zbliżyły się do siebie, Wojciech rozpoznał twarze funkcjonariuszy. Byli to strażnicy, których zaraz po wyekspediowaniu konwoju recydywy wysłał z ewakuowanymi, by nadzorowali rozmieszczenie rodzin strażników w celach Babińca.

– Sformować szereg! – rozkazał biegnącym za nim chłopakom i natychmiast zwolnił kroku. – Paweł, przygotuj broń! – wyszarpnął zarekwirowaną tetetkę z kabury, zważył w dłoni, po czym... oddał ją zaskoczonemu Dworczykowi.

Bednarek wyjął swój pistolet, zerkając niepewnie na przełożonego.

– Jeśli się nie zatrzymają, na mój rozkaz strzelicie w powietrze – rzucił Okrutny. – Tylko raz, ale nie jednocześnie. Dla większego efektu.

– Tajest! – potwierdzili unisono, choć nie do końca rozumieli, o co mu chodzi.

Kapitan sprawdził, czy wszyscy jego ludzie stoją gdzie trzeba, uniósł wysoko obie ręce i ruszył w stronę nadbiegających.

– Stać! Stać! – wołał. – Zatrzymajcie się! Nie ma powodów do paniki! W porcie doszło do wybuchu cysterny z paliwem! Widzicie, słyszycie? – krzyczał dalej, wskazując na zasnu-

dymem i pyłem, ale poza tym puste niebo. – Nic nam nie grozi!

Głos miał donośny, a przy tym wzroście trudno było go nie zauważyć nawet w mdłym blasku. Biegące kobiety zwolniły, lecz nie zatrzymały się, na co skrycie liczył. Wycelował więc palcem w jednego z towarzyszących im funkcjonariuszy, potem przesunął rękę, wymierzył w kolejnego i następnego. To podziałało. Mundurowi opamiętali się błyskawicznie i zaczęli powstrzymywać truchtające obok matki, żony i pociechy. Efekt domina zadziałał jak zawsze. Rozdarty na części tłum stracił impet. Po paru sekundach ku tyralierze biegło już tylko kilka najbardziej przerażonych kobiet.

– Schować broń! – polecił przez ramię Okrutny. – I wyłapcie mi je – dodał, mając na myśli desperatki. – Tylko delikatnie!

To powiedziawszy, skierował się do mężczyzn w mundurach. Zza bramy za ich plecami wylaniała się właśnie kolejna, nie ostatnia zapewne fala ewakuowanych. Jeśli chciał opanować sytuację, musiał działać szybko i zdecydowanie.

– Lenart, Gronowski, Kruk! – przywołał tych, wokół których był najmniejszy ścisk. – Bierzcie resztę chłopaków i lećcie zatrzymać tamtych – wskazał nadbiegających. – Pawełek, wy tu zostańcie! – powstrzymał niższego od siebie o dwie głowy pisarza z więziennej kancelarii. – Dla was mam inne zadanie – rzucił. – Trzeba sprawdzić, czy szczątki cysterny nie rozwały gdzieś muru. Zaczniecie od zachodniej części więzienia. Sprawdźcie wszystko od bramy aż do chlewni. My w tym czasie zajmiemy się kontrolą odcinków po naszej stronie. Śmigaj, synu, jak ten wschodni grom.

– Tajest! – Kuba ruszył biegiem do niebieskiej bramy.

Wysłani przodem mundurowi spowolnili napływ kolejnych uciekinierów, wśród których także znalazło się kilku funkcjonariuszy, w większości ubranych po cywilnemu, bo ściągniętych z rodzinami z miasta. Wspólnymi siłami udało im się sprawnie zaprowadzić porządek.

– Kapitanie! – W głosie lekarza Wojciech wyczuł nerwową nutę.

Odwrócił się, zobaczył, że Wegner stoi przy szlochającej kobiecie o krótko przyciętych ciemnych włosach i okrągłej

twarży. Chyba znał ją z widzenia.

– Nie widzicie, że jestem zajęty? – burknął, niemniej podszedł do nich zaniepokojony tonem przywołania.

– To pani Alicja Zbróg – wyjaśnił doktor Wegner. – Z działu kadr. Była w kaplicy, kiedy to coś... ta płonąca cysterna przebiła dach.

– Rozumiem. – Okrutny pochylił się do roztrzęsionej kobiety. – Co tam się stało? – zapytał najłagodniej, jak umiał.

– Naczelniku złoty... to było... to było jak grom... jak grom z jasnego nieba – dukąła przez łzy. – Poszliśmy się pomodlić, my, dziewczyny z kancelarii, to znaczy ja, Joasia Kunicka-Kompa z Sarą, to jej córka, Karolinka Ściesińska, Ola Kaczmarska...

– Mniejsza z nazwiskami! – przerwał jej oschle kapitan i zaraz skłął się w myślach, dostrzegłszy oburzenie w oczach rozmówczyni. – Przepraszam, pani Alicjo, źle się wyraziłem. Ze względu na okoliczności pomińmy szczegóły. Czas nagli, obowiązki wzywają, proszę przejść do sedna.

Kobieta uspokoiła się nieco pod wpływem jego opanowania.

– Sporo ludzi tam się zeszło – podjęła, ocierając łzy. – Głównie kobiet. Większość miejsc była już zajęta... Dziewczyny siadły w pierwszej ławce po prawej, bo akurat ktoś wychodził po modlitwie, ale dla mnie zabrakło miejsca, więc musiałam iść dalej, aż pod konfesjonał...

– Proszę się streszczać. – Okrutny zniżył głos do szeptu, ale i tak zabrzmiało to złowieszczo.

– Pani Alicjo, musimy jak najszybciej podjąć akcję ratunkową – przyszedł mu w sukurs Wegner.

Nie tylko przemówił do niej kojącym głosem, jak tylko lekarze i księża potrafią, ale też pogładził ją delikatnie po ramieniu, czego najwyraźniej potrzebowała.

– Ta ognista bomba spadła kilka sekund po tym, jak znalazłam sobie miejsce – zaczęła opowiadać Alicja, już składowiej i rezolutniej. – To był moment, mgnienie oka. Cały przód po prawej zdmuchnęło ze wszystkimi, którzy tam siedzieli. Dziura tylko została w podłodze i ścianie. Jakby ich tam nigdy nie było...

– Pani Alicjo, proszę się skupić. To bardzo ważna informacja dla

nas. – Kapitan chwycił ją za ramiona. – Czy w kaplicy zostały jakieś ciała?

Zbrogowa pokręciła głową. Najpierw niepewnie, potem bardziej zdecydowanie.

– One... One wszystkie zniknęły... W jednej chwili patrzyły na mnie, uśmiechały się, a potem, łup, została tylko dziura. Ola, Joasia...

– A ranni? – przerwał jej Wegner. – Byli tam jacyś ranni?

– Nie wiem... Nie pamiętam. – Alicja znów zaczęła szlochać. – Tak bardzo się bałam. Uciekłam. Kto żyw, ten uciekał. Jezusie! – nagle mina jej zrzędała.

– Co znowu?

– Moje kartki...

– Jakie kartki?

– Pocztywki... – Pobladła jeszcze bardziej. – Zostały tam, w kaplicy.

– Pocztywki?

– Moja kolekcja... Cała kolekcja... – Zbrogowa rozplakała się na dobre.

Kapitan się wyprostował. Dalsze przesłuchiwanie tej kobiety nie miało sensu, a czas naglił.

– Bardzo nam pani pomogła, pani Alicjo – rzekł, z całych sił próbując zachować neutralny ton. Kiedy doktor Wegner zaczął pocieszać maszynistkę, przyłożył dłonie do ust i zawołał: – Proszę o uwagę! Kobiety i dzieci przejdą na prawo, moje prawo, i ustawią się przy ścianie bloku D. Wszyscy funkcjonariusze, funkcjonariuszki i etatowi pracownicy więzienia mają się zebrać po lewej, pod murem wewnętrznym.

Wśród uciekinierów było kilkunastu etatowych pracowników więzienia, szczęściarzy, którzy dysponowali telefonami. Większość, rzecz jasna, przyjechała w cywilnych łachach, ale to nie miało w tym momencie wielkiego znaczenia. Znacznie bardziej liczyła się znajomość terenu i przeszkolenie. Okrutny przeliczył zebranych, po czym odesłał trzy funkcjonariuszki – wszystkie kobiety, jakie znalazły się w tej grupie – z rozkazem pilnowania cywili. Akcja, którą zamierzał przeprowadzić,

wymagała siły i żelaznych nerwów, wolał więc, by podwładne zajęły się czymś, co potrafią lepiej niż którykolwiek mężczyzna, czyli uspokajaniem przerażonych kobiet i dzieci.

– Dobra, zrobimy tak... – zaczął, gdy mężczyźni ustawili się przed nim w dwus szeregu.

* * *

Kapral Pawełek przecisnął się zwinnie za uchyloną lekko bramę. Wykonanie rozkazu wymagało dotarcia do furtki po przeciwnej stronie półkolistego placu. Za nią znajdował się pas patrolowy, którym można było dotrzeć aż do zabudowań od strony Odry. Zadanie wydawało się proste, zatem Kuba truchtał przed siebie, omijając lekkim łukiem pierścień ognia bliższego z dwóch stosów, na których palono szczątki zarażonych i zabitych przez nich funkcjonariuszy.

W polu widzenia miał tylko Pietkuna, z którym służył na tej samej zmianie, choć na innym piętrze, i Godzińskiego, funkcjonariusza znanego mu wyłącznie z nazwiska oraz kilku przelotnych kontaktów na stołówce. Zbliżając się do nich, podniósł rękę w geście pozdrowienia, lecz musieli być tak zajęci swoją robotą, że go nie zauważyli. W każdym razie żaden nie zareagował.

Chcący dym gryzł w oczy, smród palonych zwłok odbierał dech, dlatego walczący z tymi niedogodnościami Kuba nie przejął się brakiem zainteresowania jego osobą. Nie zdziwiło go nawet, choć powinno, że Krzysiek nie ma na nosie okularów. Koncentrował się na wykonaniu rozkazu, a że od dziecka był niepoprawnym marzycielem, proste zadanie urosło w jego myślach do rangi niezwykle ważnej misji, od której zależeć mogły losy wszystkich ukrywających się za więziennym murem.

– A ty co, cudem wzrok odzyskałeś? – zażartował, mijając Pietkuna.

Opuścił dłoń na plecy odwracającego się wolno kolegi. To było pojedyncze klepięcie, zwykły przyjazny gest, po którym nawet nie zwolnił, zrobił następny krok i... zatoczył się. Pociemniało mu przed oczami. Nogi ugięły się pod nim, jakby kolana miał z waty,

nie z mięśni i kości. Postąpił jeszcze krok i praktycznie stracił równowagę. Aż musiał przystanąć, by otrząsnąć się z zamroczenia. Dziwne. Czuł się tak zmęczony, jakby pokonał biegiem dystans parunastu kilometrów.

– To nic, zakręciło mi się w głowie, pewnie przez ten odór – rzucił przez ramię, kątem oka widząc, że Krzysztof podchodzi i wyciąga rękę, by mu pomóc. – Dam radę – dodał, odwracając się twarzą do kolegi.

W tym momencie zrozumiał, że coś tu jest nie tak. Że brak okularów i milczenie Pietkuna znaczą więcej, niż początkowo przypuszczał.

Rozczapierzone paluchy ożywieńca znajdowały się już jednak tylko centymetry od jego twarzy. Zresztą był wykończony, nie miał siły uciekać.

Co tam uciekać, nie potrafił zmusić się do wykonania najprostszego uniku.

sobota, 10 sierpnia 1963, godzina 05:27
Zajezdnia Tramwajowa Nr 2 przy ulicy Słowiańskiej 16–30

– Ożyli? – mruknął Sójka, kręcąc z niedowierzaniem głową. – Czyli że co?

– Nie pytaj mnie, przyjacielu, jak to możliwe, bo nie wiem. – Sprycha spojrział na niego, łypiąc jednym okiem jak ptak obserwujący robaka, którego może, ale nie musi zjeść. – Mówię ci tylko, co widziałem. Bugalskiego znasz, tego zduna spod trzydziestki czwórki?

– Tego od rybaka? – uściślił golibroda, wspominając o monecie zrabowanej ofierze.

– Tego samego.

– No znam.

– Zatem idź i na własne oczy sprawdź, czy nie stoi teraz przy konwoju, depcząc po własnych flakach. – Sprycha wskazał palcem tramwaje oddzielające ich od ulicy Słowiańskiej.

Kaczmarek skrzywił się na samą myśl o powrocie w poblizę ulicy, po czym strzyknął śliną spomiędzy zębów.

– Ja kiedyś czytałem, że wikingowie mieli taki obyczaj... – zaczął niepewnie Ulfig.

– Kto? – przerwał mu Nerynk, cieśla z Kędzierzyna-Koźła, który poza swoją robotą i piłką siatkową świata nie widział.

Tak ukochał tę dyscyplinę sportu i swoją drużynę, że przed jednym z ważniejszych meczów Unii zasadził się na czołowego zawodnika FKS Stal Mielec. Na dzień przed starciem o pozostanie w trzeciej lidze zwabił go w ustronne miejsce i tam zaatakował. Zamierzał, jak twierdził później przed sądem, wykluczyć tamtego z gry, co najwyżej kontuzjować, ale że szybko wpadał w złość, a jego przeciwnik, mężczyzna wysportowany i także zadziorny, nie zamierzał odpuścić... Skończyło się, jak się skończyło. Cieśle dobrze wiedzą, do czego służą noże, i zawsze mają jakiś kozik

w kabzie, a ludzkie ciało, jak wiadomo, miększe jest od większości gatunków drewna.

Gdyby Paweł poprzestał na tym jednym rzezaniu, pewnie odgarowałby ze dwie pajdy albo przy mniej pomyślnym wyroku dostał karuzelę. Problem jednak w tym, że w podlanym alkoholem szalonym widzie zaatakował też świadka rozróby, czyli wracającą z pracy kobiecinę, sprzątaczkę z MZBM-u, matkę ośmiorga dzieci, która, pech chciał, przechodziła akurat przez tereny kolejowe na skrót, jak zawsze po drugiej zmianie. Bidula nie miała z nożownikami najmniejszych szans, ale podejrzenie jej gardła okazało się najgorszym pomysłem z możliwych. Opryskany krwią ofiary Nerynk nie mógł wrócić do miasta, a szukanie kryjówki na miejscu koniec końców go zgubiło. Inny przechodzień trafił na jedne zwłoki, po pół godzinie patrol SOK-u odkrył drugie i tak rozpoczęła się krótka, acz pamiętna obława, opisana detalicznie w lokalnej prasie i wspomniana nawet w „Trybunie Ludu”, choć tylko zdawkowo i dopiero na czwartej stronie. Osaczony Paweł ranił jeszcze trzy osoby, zanim wreszcie go obezwładniono, aresztowano i po pokazowym procesie skazano na śmierć.

– Wikingowie – powtórzył zniesmaczony ignorancją nieoczytanego towarzysza Darek. – Tacy...

– Daruj sobie wykłady z historii, Jakuzo. – Teraz Sprycha nie pozwolił mu dokończyć zdania. On wiedział, o kim mowa.

Ulfig przełknął ślinę, potrzebował chwili, by zebrać na powrót myśli.

– Jedną z popularniejszych u nich tortur było nacięcie ofierze skóry na brzuchu, wydłubanie końca jelita i przybicie go do pala. Gonili potem delikwenta w kółko, przypalając mu dupę pochodniami, aż sam sobie wypruł wszystkie flaki, hyhyhy... – zakończył typowym dla niego śmiechem.

– A dzielisz się z nami tą niezwykle fascynującą opowieścią, ponieważ... – Fabian postąpił mu pytające spojrzenie.

– Mówię o tym, bo... – zająknął się Darek. – Bo z tego wynika, że człowiek po wypruciu flaków może nadal żyć. Niekoniecznie musi od tego tak od razu umrzeć. Może ten cały Bugalski po

prostu nie wykitował. Jeszcze.

– Hm – mruknął Sprycha. Przez głowę przeszła mu myśl, że zagalopował się odrobinę w ocenie sytuacji, ale zaraz przypomniał sobie parę szczegółów, które sprawiły, iż odrzucił taką możliwość. – Flaki w sensie jelita, tak? – zapytał.

– Tak.

– A co z sercem, wątrobą i resztą podrobów?

Ulfig wzruszył ramionami.

– W „Dookoła Świata” pisali tylko o wypruwaniu jelit.

– A w podręcznikach medycyny stoi wyraźnie, że człowiek nie jest w stanie przeżyć wycięcia większości kluczowych narządów. Naszemu zdunowi wszystko wypłynęło z rozdartego pazurami bandziocha. Wszystko, rozumiesz? Został wypatroszony jak karp na święta.

Pod ścianą zajezdni zapanowała na dłuższą chwilę cisza, w której uszu siedzących w kucki mężczyzn dolatywały od czasu do czasu tłumione odległością krzyki git-ludzi uwięzionych w pozostałych trzech ciężarówkach.

– Ale to przecie nie po bożemu – odezwał się w końcu Sójka.

– Co jest nie po bożemu? – Choć wszyscy skupili na nim wzrok, tylko Fabian się odezwał.

– No żeby jaki zabity ożył... – Mironowi nagle zapłonęły oczy. – Chyba że to ten, jak mu tam, Armagekon. No wiecie, Sąd Ostatni.

Ten i ów kiwnął głową, mimo że takie wytłumaczenie żadnemu nie było w smak.

– Jest to możliwe? – zainteresował się Perek.

– Czy jest możliwe, że nastał Sąd Ostateczny? – uściślił Fabian.

– No.

– Nie sądzę.

Po tym stwierdzeniu wszystkim jakby ulżyło. Do tej pory musieli żyć ze świadomością, iż lada tydzień albo miesiąc zostaną straceni, lecz nie zastanawiali się głębiej nad tym, czy po śmierci czeka ich jeszcze jeden sąd, tym razem Boży, a po nim wieczne potępienie, czyli najpewniej kąpiel po kres czasów w kadzi wypełnionej wrzącą smołą.

Właściwie to żaden z nich nie był specjalnie wierzący, choć

wszyscy zostali ochrzczeni. W tych okolicznościach jednak, w obliczu faktu, że zabici ludzie naprawdę zmartwychwstają, każdy by zwątpił, nawet tak zatwardziałe zbiry, jakimi niewątpliwie byli.

– W takim razie jakim cudem zdun ożył? – zapytał znieca Kaczmarek.

– Też chciałbym wiedzieć – zapewnił go Sprycha. – Na pewno istnieje jakieś logiczne wytłumaczenie. Poza tym religijnym bełkotem, rzecz jasna.

– To Armagazon, powiadam wam – wymamrotał blady jak kreda Sójka.

Byłby się pewnie przeżegnał, gdyby nie miał rąk skutych za plecami.

– Raczej jakaś nieznaną współczesnej medycynie zaraza albo co bardziej prawdopodobne, broń biologiczna – zgasił go natychmiast Fabian, świadom, że wiara w zabobony może być dla nich teraz równie wielkim zagrożeniem jak zbliżająca się z każdą chwilą interwencja Sowieców. – Gdyby to był Armagedon, niebo musiałyby się rozstąpić, a ziemia zapłonęłaby jak kupa uschniętych liści – ciągnął, mając nadzieję, że dzięki ironii zdławi rodzący się w głowach kompanów strach.

Odniosłoby tę przemowę pełen sukces, ponieważ nie tylko bali się go panicznie, ale też go szanowali, między innymi za rozległą wiedzę i rozeznanie w świecie. Pech jednak chciał, że sekundę po tym, jak zamknął usta, stało się coś, co przekreśliło jego wysiłki.

Ziemia zadrżała, nie za mocno wprawdzie, ale za to konwulsyjnie, ścinając wszystkich z nóg. Ze ściany, pod którą przycupnęli, posypał się szary poniemiecki tynk. Gdzieś niedaleko brzęknęły tłuczone szyby. Niebo na północnym wschodzie rozjaśniła krwawa luna, jakby zaświeciło tam drugie słońce.

A potem rozpętało się piekło.

Stłumiona przed momentem panika wróciła z podwójną siłą. Wszyscy jak jeden mąż zaczęli wrzeszczeć, wić się po drgającym wciąż gruncie, płakać nawet. Oszołomiony Sprycha także potrzebował chwili, by zrozumieć – albo przynajmniej

spróbować pojąć – z czym ma do czynienia. Z miejsca, w którym leżał, widział wspinający się szybko w niebo, gargantuiczny, ognisty grzyb. Co ciekawe, jego widok uspokoił go, zamiast dodatkowo przerazić.

– Zamknijcie mordy! – wrzasnął z całych sił, by przekrzyczeć pozostałych. – To nie Sąd Ostateczny, debile, tylko eksplozja!

Kaczmarek, Ulf i Perek posłuchali go i zamilkli, ale reszta skamlała nadal, a Sójka, w którym wiara, jak widać, nagle odżyła ze zdwojoną mocą, darł się najgłośniej.

Fabian przetoczył się na brzuch, oparł czołem o przesiąkniętą smarem ziemię przy szynach i pracując mocno nogami, uklęknął, a potem wstał. Pokonał odległość dzielącą go od golibrody dwoma susami, tylko po to, by wymierzyć znacznie od siebie masywniejszemu Mironowi solidnego kopa. Nie patrzył, gdzie uderza. Nie obchodziło go, czy skatuje fryzjera, w tym momencie liczyło się dla niego tylko jedno: jeśli chciał przeżyć, musiał zapanować nad tymi ludźmi. Musiał ich uspokoić nawet za cenę zabicia tego...

Odkoczył od ofiary, klnąc pod nosem. Nie, w tym świecie, w tej rzeczywistości, zabijanie nie było chyba najlepszym pomysłem. Nie miał wprawdzie pewności, czy ta zasada tyczy się ich wszystkich, ale wolał nie ryzykować.

– Mordy w kubeł, powiedziałem! – wrzasnął raz jeszcze, pochylając się nad zakrwawionym i wciąż jęczącym Sójką. – Ruskie idą! To ich sprawka, a nie żaden Armagedon! Patrzcie, dym się już rozwiewa, a wy wciąż żyjecie, żuczki w dupy kopane. To nie był koniec świata!

Po tych słowach pod ścianą zajezdni zapanowała na powrót względna cisza. Tylko golibroda chlipał, zwinięty w kłębek, Marut trząsł się jak osika, ale milczał, a Perek gapił się w blednącą z wolna łunę jak sroka w gnat. *Ci trzech nie są najlepszym materiałem na gangsterów*, uświadomił sobie Fabian. *Jeśli nam życie miłe, trzeba będzie na nich bardziej uważać albo... pozbyć się ich jakoś. Bez zabijania, rzecz jasna.*

– To co robimy? – Pytanie Nerynka ściągnęło Fabiana na ziemię.

– Musimy znaleźć jakieś narzędzia, żeby pozbyć się kajdanek,

no i przydałaby się dobra kryjówka, skoro Sowoci są już tak blisko... – zawiesił znacząco głós, wbijając wzrok w złodzieja.

– To przecież zajezdnia, hyhyhy – zaśmiał się znowu Ulfig, uprzedzając Kaczmarka. – Czego jak czego, ale narządzi na pewno tu nie brakuje. – Wskazał głową ścianę, o którą się opierał.

– A jak już pozbędziemy się bransoletek – dodał złodziej – to śmigniemy za płót, na tory. Tam nigdy nie było tłumów, więc i teraz powinno być pusto. – Splunął raz jeszcze, wspomniawszy feralną wpadkę. – Magazyny są tylko parę kroków stąd, przy zabudowaniach dawnej gazowni. Zaszyjemy się tam i poczekamy, dopóki to się nie przewali.

– Człowiek dobrze gada – poparł go Ulfig, który miał spore pojęcie o mechanice. – Trza się rozejrzeć. Muszą tu mieć dobrze zaopatrzone warsztaty naprawcze. Jak tylko znajdę jakieś nożyce do metalu albo kawałek drutu, pootwieram wam te bransoletki.

– W takim razie po problemie – podsumował Sprycha. – Ty, Jakuza, poszukaj tych warsztatów. Weź ze sobą nowego – wskazał brodą złodzieja. – On jest tutejszy, zna teren.

– Ja... – zaczął niepewnie Kaczmarek, ale nie dokończył.

Sprycha powiódł spojrzeniem tam, gdzie patrzył jego towarzysz, i także zamarł. Przy krańcu hali od strony torów kolejowych, pomiędzy ścianą a odstawionymi na boczny tor tramwajami, dostrzegł ruch. Coś zbliżało się do nich.

Nie coś... Ktoś.

sobota, 10 sierpnia 1963, godzina 05:45
Zakład Karny Nr 1 przy ulicy Klęczkowskiej 35

Zapanowanie nad uciekającymi z bloku żeńskiego okazało się łatwiejsze, niż kapitan przypuszczał. Teraz, gdy z zasnutego dymem nieba przestały spadać szczątki eksplodujących cystern i zrobiło się znów cicho, wystraszeni ludzie zaczęli się uspokajać, a kiedy na ich drodze stanęli mundurowi, bez szemrania wykonywali polecenia. Wystarczyło kilka minut, by w przejściu pomiędzy blokiem D a wewnętrznym murem zaprowadzić wzorowy porządek.

Okrutny zakończył krótką odprawę, co doktor Wegner wykorzystał, by wskazując ludzi siedzących pod ścianą bloku, zapytać:

– Dlaczego ich tu trzymamy?

Zastępca naczelnika westchnął ciężko.

– Po pierwsze, dopóki nie wróci kapral Pawełek, nie będziemy mieć pewności, że w tamtej części nie doszło do przerwania muru. W takiej sytuacji posłanie ludzi na drugą stronę mogłoby się skończyć kolejnym, jeszcze trudniejszym do opanowania wybuchem paniki. Po drugie na cholerę mamy ganiać tych biedaków tam i z powrotem, skoro i tak musimy ich rozmieścić w tych zabudowaniach? – wskazał głową Babiniec. – Po trzecie wreszcie idę o zakład, że Rojewski ma wystarczająco dużo problemów z zachowaniem porządku w Iksie, żebyśmy mu jeszcze dokładali nadprogramowych ewakuowanych.

Ikssem nazywano w strażniczym żargonie tę część więzienia, w której przetrzymywano mężczyzn. Skojarzenie było proste – bloki mieszczące cele zbudowano właśnie na planie krzyża, podobnie jak w Zakładzie Karnym Nr 2 przy Podwalu.

– Zamierzacie ulokować ich tutaj? – zdziwił się Wegner, przyglądając machinalnie brodę, jakby chciał jeszcze bardziej

wyprostować kilkucentymetrowe włosy. – Dlaczego? – Wskazał główną część więzienia. – Moglibyście mieć ich wszystkich w kupie...

– Nie moglibyśmy – wpadł mu w słowo kapitan. – Jest nas wprawdzie dużo mniej, niż było osadzonych, ale przydzielamy osobne cele każdej rodzinie, co oznacza, że w większości pomieszczeń będą przebywały teraz trzy albo nawet dwie osoby zamiast pięciu. Chcecie powiedzieć tym nieszczęśnikom, że w najbliższym czasie będą się gnieździć z obcymi im ludźmi na kilku metrach kwadratowych?

– No, nie...

– W takim razie zajmijcie się tym, na czym najlepiej się znacie, i dajcie mi robić co trzeba.

Lekarz posłusznie zszedł mu z drogi.

Z furty wyłaniali się właśnie kolejni cywile, ale były to gromadki po najwyżej kilka osób, zapewne rodziny, które widząc panujące wokół zamieszanie, opuściły przydzielone im wcześniej cele i ruszyły w ślad za falą uciekinierów. Idący w przeciwnym kierunku funkcjonariusze przekazywali im polecenia kapitana, nakazując dołączenie do ludzi czekających w głębi dziedzińca, dzięki czemu Okrutny nie musiał już nadwierać piekącego gardła.

Wejście boczne przy kaplicy nie nadawało się niestety do użytku. Fragment cysterny, który przebił dach i zmiotł część pomieszczenia na piętrze, spowodował także wiele innych zniszczeń – spory kawał podłogi runął w dół, grzebiąc pod zwalami gruzu przejście prowadzące do łącznika i na dziedziniec ze spacerniakiem po drugiej stronie budynku. Pozostało więc jedno rozwiązanie – przeprawa przez sam środek bloku D.

* * *

Funkcjonariusze stali po obu stronach drzwi znajdujących się już za murem przecinającym wewnętrzny dziedziniec, przy ostatnim czynnym wejściu od tej strony. Czekali tam cierpliwie na powrót Gronowskiego i Kruka, których Okrutny minutę wcześniej wysłał na zwiady. Żaden nie rwał się, by wejść do

budynku, w którym mogli przebywać ożywieńcy czy też zombie, jak nazywał ich doktor Wegner. Tylko kilku z nich było naocznymi świadkami zdarzeń przy bramie, jednakże plotki szerzyły się wśród personelu i ewakuowanych lotem błyskawicy, a nawet szybciej.

Ludzie wyolbrzymiali i przeinaczali fakty z każdym powtórzeniem, zupełnie jak przy zabawie w głuchy telefon, nic więc dziwnego, że obraz niedawnego starcia nabrał rozmiarów niemalże biblijnych, nie mówiąc już o tym, że zarażeni zyskali wiele nadludzkiej mocy – jakby samo ich zmartwychwstanie nie było wystarczająco przerażające. Co więcej, tragiczna śmierć znanych, lubianych i szanowanych podoficerów, którzy jeszcze chwilę temu kręcili się w pobliżu, podkopała morale sporej części mundurowych. Chłopcy byli roztrzęsieni do tego stopnia, że kapitan nie miał pewności, jak się zachowają, jeśli trafią na liczniejszych od siebie ożywieńców, co groziło im po nietypowym bombardowaniu.

Ponurzy jak noc strażnicy stali karnie w pogotowiu, choć miny mieli bardzo niepewne, a twarze blade, jakby zombie znajdujące się za bieloną wapnem ścianą wysysały z nich całą krew i energię.

Plan zakładał, że wysłani przodem funkcjonariusze zamkną kraty prowadzące na piętra, odcinając je od parteru na czas trwania akcji. Priorytetem było bowiem jak najszybsze bezpieczne przedostanie się na drugą stronę bloku, na dziedziniec przy spacerniakach, gdzie zbiegła reszta uciekających i gdzie – sądząc po krzykach – zagrożenie było obecnie największe.

W końcu w drzwiach pojawił się jeden ze zwiadowców.

– Teren zabezpieczony – zameldował zwięźle Gronowski.

– Świetnie. – Wojciech bez ociągania ruszył w jego kierunku.

Musiał dać przykład reszcie. – Ruchy na sprzęcie!

W ulu było tak cicho jak jeszcze nigdy. Tylko odgłosy kroków odbijały się wielokrotnym echem od sklepienia wiszącego wiele metrów nad głowami idących. Funkcjonariusze poczuli się jeszcze bardziej nieswojo. Na szczęście wyjście, do którego

zmierzali, znajdowało się ledwie dwadzieścia metrów dalej.

– Wy tam! – zawołał nagle kapitan, zadzierając głowę. Kilku chłopaków spojrzało w górę na grupki ludzi stojących przy poręczy drugiego piętra. – Zablokujcie wszystkie przejścia prowadzące do kaplicy! Migiem!

– Ale czym? – odkrzyknęła jakaś staruszka.

Widziała koszmar obu wojen i sanacji, jak każdy obywatel tego kraju w jej wieku, i przeżyła znacznie gorsze sytuacje, lecz w jej z pozoru spokojnym głosie dało się wyczuć nutę strachu.

– Tym, co znajdziecie i co się nada. Ale zróbcie to tak, żeby szybko i łatwo dało się je ponownie odblokować – poinstruował ją, kiedy pierwsi strażnicy wychodzili już na zewnątrz. – Obwiążcie kraty na końcu pomostów paskami od spodni, sznurówkami, nawet podartymi prześcieradłami.

– I to pomoże? – zdziwiła się dziewczyna tuląca do siebie dwójkę dzieci.

– Tak. Zarażeni są silni i nieczuli na ból, ale mają problemy z koordynacją ruchów. To powinno ich powstrzymać przynajmniej do naszego powrotu – rzucił Okrutny, zanim sam zniknął za drzwiami.

Wschodni dziedziniec był znacznie większy od tego wewnętrznego: na samym środku znajdowały się cztery kwadratowe spacerniaki, za nimi w narożniku więzienia stały magazyny i zabudowania gospodarcze – tego ranka zamknięte na głucho – za którymi biegł wąski pas patrolowy.

Kapitan przepchnął się między zbitymi w ciasną grupkę funkcjonariuszami i obrzucił teren uważnym spojrzeniem. W zasięgu wzroku – po świetle zrobiło się na tyle jasno, że widział każdy zakątek długiego na siedemdziesiąt i szerokiego na czterdzieści pięć metrów placu – nie było żadnych podejrzanych wyglądających osób. Nie próbował jednak zliczyć kulących się ze strachu uciekinierów, na to nie miał teraz czasu ani ochoty. Ważniejsze było opracowanie najsensowniejszego planu.

Wśród obecnych panował względny spokój. Ewakuowani, którzy wybrali ten kierunek ucieczki, trzymali się prawej strony – większość przebywała w narożniku za spacerniakami,

jak najdalej od krzyków dobiegających wciąż zza skrzydła Babińca, które oddzielało podwładnych Okrutnego od miejsca katastrofy.

– Musimy przeprowadzić tych wszystkich ludzi na tamtą stronę budynku, tutaj będą nam tylko zawadzali, jeśli trafimy na większą liczbę ożywieńców – zdecydował po chwili zastanowienia. – Doktorze – rzucił, nie oglądając się na stojącego tuż za nim Wegnera. – Zajmijcie się kierowaniem ich do wejścia. Dworczyk, ty pędź za węgieł, sprawdź, jak wygląda sytuacja po drugiej stronie. Reszta, za mną!

Ruszyli truchtem w stronę magazynów po bosaki i inne narzędzia, którymi będą mogli się posłużyć w konfrontacji z zarażonymi, kapitan bowiem postanowił, że dozbroi oddział w czasie potrzebnym na usunięcie cywili i uzyskanie raportu. Broń palna nie sprawdzała się w tej walce, zamierzał więc postawić na bardziej konwencjonalne środki. Biegąc wzdłuż siatki otaczającej spacerniaki, wpadł na kolejny pomysł.

– Kto ma klucze od wybiegu? – zapytał, nie zwalniając kroku.

– Melduję, że sierżant Ziółkowska! – odkrzyknęła jedna z dwu funkcjonariuszek, które dołączyły do nich po wyjściu z bloku.

– Gdzie ją znajdę?

– Została po tamtej stronie, towarzyszu kapitanie.

– Lećcie zatem po Kaśkę, tylko bystro! – rozkazał, zatrzymując się przy pierwszych drzwiach po lewej.

Klucze do nich zabrał przezornie z biura jeszcze przed akcją. Taki już był, zawsze gotów na każdą ewentualność, którą umiał przewidzieć. W tym wypadku najistotniejszy wydał mu się szybki dostęp do zasobów. Całkiem słusznie zresztą.

Pięć minut później skinął głową, nie kryjąc satysfakcji. Sprzętu przeciwpożarowego mieli wystarczająco dużo, by załoga mogła sobie poradzić nawet bez pomocy straży pożarnej. Co ciekawe, większość specjalistycznych narzędzi pamiętała jeszcze czasy poprzednich gospodarzy. Niemcy, jak widać, podchodzili z niezwykłą przezornością do wszystkiego prócz wojennych planów swojego zaplutego wodza.

– Powtórzę raz jeszcze, żeby zapadło wam w pamięć –

przemówił Okrutny, lustrując stojących w równym szeregu podwładnych. – Zasada pierwsza: żadnego kontaktu fizycznego. Nie mogą was tknąć. Wystarczy jedno muśnięcie i będzie po was. Kto był przy bramie, ten widział, co spotkało Rawińskiego i Sękałę. Nie powielcie ich błędów, nie próbujcie się mocować z odmieńcami. Zasada druga: zarażeni są bardzo odporni, praktycznie nieśmiertelni. Nie umiem wytłumaczyć, dlaczego tak jest, sam tego nie rozumiem, ale możecie mi wierzyć na słowo, że nie zdołacie ich zabić, choćbyście wytracili całą amunicję, jaka wam została. Nawet doktor Wegner nie wie, jakim cudem nieumarli są w stanie przeżyć postrzał w serce albo w głowę, na szczęście to świetny specjalista, który zauważył coś, co może nam pomóc. Ożywieńcy są bardzo niezdarni fizycznie i ograniczeni umysłowo, mamy więc nad nimi dwie istotne przewagi: zwinność i inteligencję. Korzystajcie więc z nich, kiedy tylko się da. Podsumowując... Myślcie, zanim podejmiecie jakiegokolwiek działanie, i unikajcie bezpośredniego kontaktu. W razie potrzeby wycofujcie się, ale... – zawiesił głos, grożąc im palcem jak na szkoleniach – ...w sposób zorganizowany, bez paniki. A teraz najważniejsze. Jeśli się okaże, że nie ma możliwości spalenia nieumarłych, zastosujemy plan awaryjny. – Odwrócił się i wskazał palcem ogrodzone spacerniaki. – Zaganiamy ich tam, zamykamy i wyrzucamy klucze. Te ogrodzenia powstrzymają ich, dopóki nie wymyślimy, co dalej.

Funkcjonariusze przytakiwali jego słowom aż do tej chwili, jednakże na perspektywę holowania zombie przez pół dziedzica do tych klatek miny im zrzedły.

– Czy to aby rozsądne, towarzyszu kapitanie? – zapytał któryś drżącym głosem.

– Jak mówię, jest to plan awaryjny. Jeśli nie da się ich spalić, muszą zostać odizolowani. Choćby tymczasowo. A spacerniak to najlepsze miejsce odosobnienia w tej części kompleksu. Chyba że wolicie dzielić z nimi swoje cele – zażartował dla rozładowania wyczuwalnego napięcia, ale nie osiągnął spodziewanego rezultatu.

Zamilkł, gdy stanął przed nim zziębnięty Dworczyk.

– Melduję – szeregowy dukał, z trudem przełykając powietrze – że mamy problem. Na dziedzińcu od strony Kłęczkowskiej jest kilkunastu tych tam, ożywionych. Może nawet ponad dwudziestu. Ludzie zadziałali instynktownie, pobiegli ratować rannych... – Nie musiał kończyć, wszyscy zrozumieli, jak to się skończyło.

– A te wrzaski? – zapytał Okrutny.

– No właśnie miałem do tego przejść. To ten problem, o którym zameldowałem. Kiedy ludzie zrozumieli, co się dzieje, zaczęli wiać. Parę kobiet spanikowało jednak i zamiast uciec za Babiniec, jak cała reszta, ukryło się przy łączniku. To one tak krzyczą. Znalazły się w potrzasku. Zarażeni zajęli cały skwerek, na który znoszono rannych, i odcięli im jedyną drogę ucieczki.

– Zaraz. – Kapitan pochylił się nad dyszącym kapralem. – Chcecie powiedzieć, że zombie ich nie atakują?

– Z tego, co mi mówili naoczni świadkowie, ożywieńcy sterczą tam, gdzie powstałi z martwych.

– A ci, którzy gonili uciekających?

– Zatrzymali się w pewnym momencie, jakby... zgubili trop.

– Dlaczego więc te kobiety po prostu ich nie ominą i nie uciekną?

– No właśnie jedna próbowała. Zna ją kapitan. Żanetka, oddziałowa z naszej zmiany... – Szukał w pamięci nazwiska.

– Krawczugo?

– No. Chciała ich obejść, ale jak się zbliżyła na kilka kroków do tych drani, to nagle ku niej ruszyli, zupełnie jakby ją wyczuli albo zobaczyli.

– I?...

Dworczyk wzruszył ramionami, jakby dalszy bieg wydarzeń był zbyt oczywisty, by musiał go relacjonować. Ostre spojrzenie przełożonego zmusiło go jednak do ponownego otwarcia ust.

– I spanikowała. Struchlała, a potem zaczęła się drzeć. Dopadli ją tam, pod murem... – Szeregowy spuścił głowę. – Teraz jest jedną z nich. Ale gdyby mi ludzie nie powiedzieli, o kogo chodzi, tobym jej nie poznał. Poharatali ją, o tak... – Przesunął dłońmi po twarzy, klatce piersiowej i brzuchu. – Tamte to widziały, więc nie

dziwota, że żadna nie chce się ruszyć spod łącznika. A ci zwyrodnialcy robią się ponoć coraz bardziej ożywieni, jeśli można tak powiedzieć. Niektórzy zaczynają się już rozłazić. Lada chwila któryś podejdzie za blisko...

– Zostaniecie tutaj – rozkazał mu kapitan – i poczekacie na sierżant Ziółkowską. Każecie jej otworzyć najbliższy spacerniak.

– Spacerniak? – Dworczyk, który nie słyszał o zmianie planu, zrobił wielkie oczy.

– Tak. Jeśli nie uda się ich spalić, trafią za druty – rzucił Okrutny, ruszając w stronę rogu, za którym czekały uwięzione kobiety.



sobota, 10 sierpnia 1963, godzina 05:45
Zajezdnia Tramwajowa Nr 2 przy ulicy Słowiańskiej 16–30

Było ich trzech. Wychynęli kolejno zza załomu ściany, cisi jak sama śmierć. Sprycha stężał, widząc, jak niezdarnie się poruszają, lecz zanim jego towarzysze poderwali się z ziemi, by uciec, zastąpił im drogę, wołając:

– Stać!

Dostrzegł coś, co pozostałym z pewnością umknęło. Zbliżający się mężczyźni mieli ręce skute za plecami, tak samo jak oni. To nie były żywe trupy, jak te, które otoczyły ciężarówki. To byli ich kumple spod celi. Ci, którzy pobiegli na drugą stronę zajezdni albo schronili się wewnątrz wielkiej hali. Niedoszli zbiegowie zamarli, słysząc ostry ton szefa, a przybysze stanęli jak wryci, co było dla Fabiana kolejnym dowodem na to, że żyją.

– Widzicie? – Zaśmiał się zawadiacko, maskując nerwy. – To nasi!

Przywołał zastygłych w odległości kilkunastu metrów mężczyzn. Gdy podeszli bliżej, rozpoznał ich bez trudu. Na czele stał niejaki Krzysiek Grzelak, który kiedyś był złotową, to znaczy taryfiarzem. Zarabiał dobrze, ale że potrzeby miał wielkie, ciągle mu było mało. Postanowił więc dorobić, a że na taryfie możliwości miał ograniczone, wykoncypował sobie, że będzie golił klientów. Przyszykował miętówki zaprawione sprokurowaną z grzybów trutką i częstował nimi pasażerów, których podbierał nocą na mieście. Damulki obwieszane złotem, badylary o wypchanych kieszeniach. Zwłok, po obrabowaniu, pozbywał się na przedmieściach, najczęściej zrzucając je z mostu. Posłał tak na tamten świat co najmniej siedem osób, a wpadł bardzo głupio – żona znalazła naszyjnik zabrany jednej z ofiar i uznała, że jej wiecznie skwaszony małżonek musi mieć romans, poprosiła więc sąsiada, który jedyny w ich kamienicy też miał

samochód (i z którym sama lubiła sobie pofolgować, gdy Krzysiek jeździł na nocki), by poświęcił kilka wieczorów na przydybanie zdrajcy. Kochanek przyłożył się do roboty, ponieważ miał w tym rozwodzie interes, lecz niestety nie nakrył pana Grzelaka na ksiutach, tylko na pozbywaniu się zwłok kolejnej ofiary. Co było dalej, nietrudno zgadnąć.

– Gdzieście byli? – zagadnął Sprycha.

– Lepiej pan zapytaj, co żeśmy znaleźli – odpowiedział taryfiarz, szczerząc zęby.

Uśmiech niespecjalnie pasował to jego twarzy boksera, przynajmniej zdaniem Fabiana.

– Wolę nie zgadywać – odparł spokojnie kanibal.

– Pędzą tu bimber? – zainteresował się Marut, ale zaraz ścichł, zmiażdżony spojrzeniem szefa.

– Mów, zanim reszta mi się tu rozmarzy – rzucił do Grzelaka.

– Tam, po lewej, za załomem ogrodzenia, przy bocznej bramie jest budynek, chyba biurowy – zaczął były taksówkarz. – Wysoki parter, wszystkie okna zakratowane, drzwi tylko jedne, z tego, co zauważyłem. Idealna kryjówka, tyle że niestety zajęta. W środku ktoś jest. W paru oknach światło wciąż się pali. Widziałem też cienie przesuwające się po suficie.

– Znajdźmy coś, żeby pozbyć się bransoletek, a w pięć minut ich stamtąd wykurzę – dodał stojący za jego plecami Bartek Janiczek, rehabilitant pracujący z dziećmi, który miał dziwne hobby: lubił ogień.

Po godzinach odreagowywał stres, jeżdżąc na przedmieścia i podpalając stodoły albo inne zabudowania gospodarcze. Pech chciał, że za ósmym czy dziewiątym razem wybrał stojący na uboczu niepozorny budynek i przed zaproszeniem ognia nie sprawdził, czy nikogo w nim nie ma. Tak puścił z dymem nie tylko stary chlewik, ale i czterech młodzieńców z hufca pracy, którzy schlawszy się tanim winem, postanowili przenocować w miejscu bibki z dwiema miejscowymi pannami na wydaniu. Milicja, zazwyczaj niespecjalnie ruchawa, jeśli chodzi o akty wandalizmu, jakimi były podpalenia na zapadłych wsiach, przy tej okazji wzięła się ostro do roboty i dość szybko ustaliła rysopis

dziwnie się uśmiechającego pasażera nocnego pokaesu do Wrocławia. A potem było już z górki...

– Spokojnie – zgasił go Sprycha. – Zauważyli was?

– Na moje oko nie – odpowiedział bez namysłu Grzelak.

– Nie sprawdziłeś, czy drzwi są zamknięte?

– Nie musiałem. Na zewnątrz jest krata. Solidna, taka na zamek zamykana, nie na kłódkę.

– Rozumiem. – Fabian przygryzł w zamyśleniu dolną wargę. – To pewnie tutejsi ciecie. Zrozumieli, co się święci, i dali nogę tam, gdzie jest najbezpieczniej. Przy bramie, którą tu weszliśmy, jest stróżówka, ale pusta, nie? – Było to pytanie retoryczne.

– Przy bramie z tamtej strony też nikogo nie ma – odezwał się Piotr Zgorzelski, trzeci z przybyłych, a przy tym najstarszy w ich grupie, krótko ostrzyżony na głowie i siwej brodzie okularnik, do całkiem niedawna kierownik sklepu dorabiający sobie do skromnej pensji wstawianym na półki nielegalnym alkoholem.

Szajka, z którą współpracował, miała znacznie mniej skrupułów niż on, przez co za którymś razem nieświadomy niczego Piotr sprzedał klientom „Bałtyk” znacznie podlejszej jakości niż nawet oryginał, co było wyczynem samym w sobie, jednakże nie ohydny smak towaru był przyczyną jego wpadki, tylko metanol, od którego jedenaście osób oślepiło, a trzy zmarły jeszcze tej samej nocy. A że nie byli to ludzie z marginesu – trafił się wśród nich nawet jeden znany adwokat – los pazernego sklepikarza został przypieczętowany.

Sprycha niechętnie przyjął do wiadomości fakt istnienia jeszcze jednej bramy dającej dostęp do zajezdni od północnego zachodu, ponieważ i bez niej teren wydawał mu się niezbyt bezpieczny. Za dużo dróg dostępu, bezpośrednio sąsiedztwo kamienic... Przez moment rozważał, czyby nie zająć się lokatorami biurowca, po namyśle jednak uznał, że lepiej będzie trzymać się dawnego planu i jak najszybciej dotrzeć do magazynu, o którym mówił Kaczmarek.

– A jakichś warsztatów nie widzieliście?

– W głębi hali stoi kilka maszyn, a co? – Grzelak jedyny z nich wszystkich uciekł prosto pod dach, zamiast prześlizgnąć się

bokiem jak pozostali.

– Świetnie – ucieszył się Janiczek. – Tniemy łańcuchy i bierzemy się za biurowiec.

– Nie! – Sprycha osadził go w miejscu jednym słowem. – Pozbywamy się kajdanek i spieszymy do magazynu za torami kolejowymi, jak było wcześniej ustalone. To miejsce jest zbyt odsłonięte jak na mój gust.

– Biurowiec stoi tuż przy torach – bronił swojego pomysłu Grzelak. – Jedne drzwi, kraty w oknach. Solidne schronienie.

– Może i solidne, ale co będziesz żarł i chłał, jeśli przyjdzie nam tam siedzieć przez tydzień albo i dłużej? Szczaw z torowiska? Własne szczyny? Człowieku, jest nas tu... – zliczył wszystkich, łącznie z wciąż nieprzytomnym Magdziarkiem – trzynastu. W biurowcu na pewno nie ma tyle żarcia, żebyście przetrwali.

Ani ja, dodał smutno w myślach, przypomniawszy sobie, jak zachowują się teraz zmarli.

Pozostali kiwali w milczeniu głowami. Na razie żaden nie czuł głodu, od pory więziennego śniadania dzieliło ich jeszcze sporo czasu, a gdyby nawet nie zjedli nic rano, to i tak przetrzymaliby do popołudnia, a nawet wieczora. Może nie czuliby wielkiego głodu nazajutrz, ale później... Każdy z nich doskonale pamiętał czasy, gdy niedojadało się częściej, niż człowiek by sobie tego życzył, i nie były to wesołe wspomnienia.

– Znajdźmy te nożyce – rzucił Sprycha – albo chociaż piłki do metalu i zrobmy porządek z kajdankami.

Po chwili dyskusji wybrali drogę od tyłu, ponieważ tylko Fabian był gotów wrócić w pobliże ulicy i skamłających wciąż o pomoc towarzyszy z pozostałych trzech więźniarek. Dostosował się jednak do woli reszty, nie chcąc zaogniać i tak już nieciekawej sytuacji. Wiedział, jak niewiele trzeba, by ci ludzie pękli, by się załamali, a tego wolał uniknąć, zwłaszcza teraz, gdy od prawdziwej wolności dzieliło ich tak niewiele. Uległ więc i ruszył za Grzelakiem, sunąc wzdłuż ściany na końcu stawki, tuż za Kaczmarkiem tachającym nadal nieprzytomnego Magdziarka. On jeden nie był skuty, gdyby więc tylko się ocknął...

Jeden rzut oka na pokiereszowaną twarz Cangaceiro

uświadomił mu, że wiele wody musi jeszcze upłynąć, zanim pobity przez kapitana młotkowy będzie w stanie otworzyć zapachnięte oczy, a co dopiero kojarzyć.

W tylnej ścianie hali znajdowała się stalowa brama, którą przeznaczone do naprawy tramwaje można było wyprowadzać na dwa niewielkie place manewrowe. Tamtędy dostali się do środka i pomimo głębokiego półmroku dość szybko namierzyli przejście do przyległego biurowca, w którym na parterze znajdowały się stanowiska pracy mechaników, o których wspomniał taryfiarz. Wszystko tu było. Tokarki, frezarki, wiertarki i inne cuda socjalistycznej techniki, których przeznaczenia, nie mówiąc już o nazwach, Fabian nawet nie znał.

Nożyce do metalu, wielkie, sądząc po żeliwnej podstawie, chyba jeszcze ponemieckie, znaleźli w samym kącie, obok całego ciągu stanowisk. Stali przed nimi półkolem, przyglądając się sterczącej szyderczo dźwigni, i miny im rzedły. Takie nożyce to naprawdę proste narzędzie. W szczelinę wkłada się element, który ma zostać przecięty, pociąga się za długą na półtora metra dźwignię i... po kłopotcie.

Jak to jednak zrobić, kiedy człowiek ma ręce skute za plecami i nie podniesie ich wyżej pasa, nawet jeśli naprawdę mocno się pochyli?

– I co teraz, szefie? – zapytał płaczliwym tonem Perek.

Pozostali patrzyli na Sprychę z wyczekiwaniem, jakby tylko on tu trzeźwo myślał. Schlebilo mu to, ale też go zdenerwowało, ponieważ po raz pierwszy nie miał na podporządkowaniu sensownej odpowiedzi.

– Jakuba... – zwrócił się do Ulfiga. – Ty jesteś mechanik, poradź coś.

Niewiele wyższy od niego wytatuowany od stóp po szyję motocyklista przygryzł nerwowo wargę.

– Widzę jedno rozwiązanie – oznajmił po dłuższej chwili zastanowienia. Trzeba by wleźć na warsztat i przewiesić się przez koniec tej dźwigni. Pod ciężarem ciała powinna opaść i zrobić swoje, a jak przetniemy pierwszy łańcuch, to będzie z górki, hyhyhy.

– Dobra myśl. – Sprycha się rozejrzał. – Przeciągnijmy to cholerstwo pod jedno ze stanowisk roboczych i ustawmy je równoległe do tych warsztatów – wskazał pobliskie blaty. – Razem bez trudu damy radę.

– I co dalej? – zainteresował się nie nadążający jak zwykle Marut.

– Kaczmarek ma odpowiednią masę. – Fabian wymienił złodzieja. – Wespnie się na blat, pochyli i położy na dźwigni. Przetniemy łańcuch Ulfiga, a on, mając wolne ręce, szybko pootwierza resztę kajdanek. Dobrze mówię? – rzucił uśmiech stojącemu obok Darkowi.

– Bułka z masłem, szefie. Bułka z masłem. Jeśli będę widział, co robię, wystarczy mi kawałek drutu. Hyhyhy. – Zaśmiał się ochoczo.

sobota, 10 sierpnia 1963, godzina 05:55
Zakład Karny Nr 1 przy ulicy Klęczkowskiej 35

Było gorzej, dużo gorzej, niż przypuszczał Okrutny.

Ożywieńcy w liczbie ponad trzydziestu – dla pewności przeliczył ich dwukrotnie – kręcili się po całym skwerku. Pięciu z nich, a właściwie pięcioro stało teraz w kałuży krwi i wewnątrzności na samym środku drogi dojazdowej biegnącej wzdłuż zewnętrznego muru. Kapitan skrzywił się, gdy zobaczył Żanetę, a raczej to, co z niej zrobili zombie. Z twarzy została jej tylko górna część prawego policzka i jedno, teraz całkowicie białe, oko. Reszta ciała, oderwana od kości czaszki, wisiła, krwawiąc obficie na potarganą bluzę munduru. Tors też nie wyglądał najlepiej. Dwaj nieumarli wypatroszyli strażniczkę jak niedźwiedź rybę. *Oni naprawdę dysponują nadludzką siłą*, pomyślał Okrutny, przyglądając się sterczącym z ogromnej rany zębom. *Wyłamali je, jakby to nie były kości, tylko patyczki...* Wzdrygnął się i wrócił do oceny sytuacji.

Dotarcie do osaczonych kobiet było niemożliwe, szczególnie jeśli miało nastąpić bez angażowania się w walkę z nieumarłymi, których miał przed sobą trzy razy tyle co własnych ludzi. Zerknął ukradkiem na stojących za nim funkcjonariuszy. Wszyscy byli jeszcze bledsi niż przed chwilą przy drzwiach. Widząc ich drżące dłonie i to, jak pot ścieka im po skroniach, zrozumiał, że w końcu strach wziął nad nimi górę. Podczas ataku przy bramie zadziałał czynnik zaskoczenia, zareagowali więc odruchowo, nie namyślając się wiele, ale do tej pory zdążyli pojąć, z kim, a właściwie z czym muszą się zmierzyć.

– Mamy przewagę szybkości i rozumu – przypomniał im, wkładając w te słowa całą stanowczość, jaką zdołał z siebie wykrzesać.

Kilku podkomendnych przytaknęło, ze dwóch coś mruknęło,

reszta nijak nie zareagowała. To nie wróżyło najlepiej. Okrutny przyjrzał im się więc uważniej i spostrzegł coś zastanawiającego. Dwie sprowadzone przez Ziółkowską funkcjonariuszki, które przed momentem dołączyły do oddziału, miały znacznie bardziej zdeterminowane miny niż otaczający je mężczyźni. Postanowił to wykorzystać. Zwłaszcza że wpadł właśnie na nowy pomysł.

– Niska i Rzosińska do mnie!

Wykonały polecenie bez wahania, stając po jego obu stronach, zwróciły twarze w stronę nieumarłych i groźnie uderzyły drzewcami bosaków o beton. Bały się nie mniej niż pozostali, ale jakimś cudem zapanowały nad strachem, w każdym razie na tyle, by udawać pewność siebie. Jednakże z oczu obu kobiet bił taki sam lęk, jaki kapitan dostrzegał u reszty podwładnych.

– Magda, ty przeszłaś kurs przeciwpożarowy, jeśli dobrze pamiętam?

– Tajest! – Niska wyprężyła się dumnie. – Z wyróżnieniem, towarzyszu kapitanie.

– Świetnie. Czyli wiesz, jak posługiwać się bosakiem.

– Tajest!

– Zrobimy tak... – Okrutny podniósł głos, by wszyscy go usłyszeli. – Ja spróbuję wywabić jednego z nieumarłych. Tego tam – wskazał znajdującego się najbliżej, nieznanego mu z wyglądu, człapiącego wolno mężczyznę po pięćdziesiątce, zapewne ojca któregoś z funkcjonariuszy. – Wy obie będziecie się trzymały zaraz za mną. Na mój znak ty i ja unieruchomimy drania bosakami, żeby Elka mogła zarzucić na niego nasączoną olejem szmatę. Spalimy drania bez ściągania go w pogorzelnisko!

– Tajest! – odpowiedziały unisono.

– Kukła, zabierzcie od Rzosińskiej bosak i dajcie jej jedną szmatę! Kto ma pochodnię? – rozejrzał się. – Steć, wy pójdziecie za nami.

Po tym jak wcześniej zabrali z magazynu całe naręczce przesiąkniętych zużytym olejem szmat, kilka z nich posłużyło do zrobienia pochodni. Resztę materiału i parę kanek benzyny chcieli w razie konieczności wykorzystać do rozniecenia kontrolowanego pożaru, którym powstrzymaliby marsz

nieumarłych na dziedzińcu i znajdujące się na nim spacerniaki, jednakże Okrutny w obliczu narastającej paniki postanowił improwizować. Musiał jakoś przekonać wystraszonych funkcjonariuszy, że mają szansę nie tylko uratować osaczone kobiety, lecz także pokonać kilkudziesięciu nieumarłych.

Ruszyli ostrożnie, kapitan szedł przodem, obie strażniczki metr za nim, naśladując każdy jego ruch, a stawkę zamykał Steć, trzymający się w bezpiecznej odległości od niosącej naolejoną szmatę kobiety.

Okrutny robił krok i zamierał, sprawdzając, czy zombie, do którego się zbliża, reaguje na jego poczynania. Tymczasem ten tylko dreptał w kółko powolnym rytmem, jakby nie był świadom tego, co się wokół niego dzieje. W końcu, gdy kapitan znalazł się nie dalej niż dziesięć metrów od staruszka, ów zakołysał się, obrócił niezdarnie i wyciągnąwszy przed siebie ręce, jął sunąć prosto na niego. Nie wydał przy tym z siebie żadnego dźwięku, po prostu ożywił się, jak gdyby wyczuł obecność potencjalnych ofiar. Wojciech zastanowił się, czy potwory te przypadkiem nie kierują się węchem albo słuchem, skoro tego podchodzili od tyłu, tak że na pewno nie mógł ich zobaczyć.

Dalsze rozważania na ten temat musiał odłożyć na później. Nieumarły bowiem przebiegał nogami coraz szybciej, aczkolwiek wciąż na tyle wolno, że Niska i Okrutny zdążyli przygotować bosaki.

– Ja go podetnę, a ty przyszpilisz, jak tylko upadnie – poinstruował kapitan.

– Tajest! – odpowiedziała natychmiast Magda, unosząc drzewce wyżej.

Szybkie pociągnięcie hakiem za nogę pozbawiło ożywieńca równowagi. Padł jak kłoda, rozkwaszając sobie twarz, lecz nadal nie wydał jednego jęku, tak samo jak tamci dwaj zarażeni, którzy wdarli się za bramę.

– Teraz!

Niska opuściła bosak i napała na niego całym ciałem, unieruchamiając przewróconego zombie.

– Elka!

– Tajest!

– Zarzuć mu szmatę na plecy!

Rzosińska podbiegła, zawahała się – przez mgnienie oka wprawdzie, ale nie uszło to uwagi przełożonego. Zanim jednak zdołał zareagować, cisnęła ciężką od oleju poszewkę na ramiona wijącego się po betonie mężczyzny, i natychmiast odskoczyła, robiąc miejsce Rafałowi.

– Cofamy się! – Okrutny dał znak Magdzie, po czym zrobił krok w tył.

Rzucona pochodnia zakreśliła szeroki łuk, by opaść na plecy leżącego. Kapitan przesłonił twarz, gdy błękitnawe płomienie strzeliły w niebo, oślepiając go na moment, mimo że zacisnął powieki. Poczul na twarzy i odsłoniętych przedramionach podmuch kłującego żaru.

– Dobra robota – pochwalił biorących udział w akcji, gdy już dołączyli do reszty oddziału. – Jak widzicie, to nic trudnego. Będziemy wyłuskiwać jednego po dru... – Zamilkł nagle, spostrzegłszy minę Stecia.

Obrócił się na pięcie. Płonący zombie podnosił się z ziemi jakby nigdy nic. Płomienie obejmowały cały jego tułów i głowę. Siwe włosy zamieniły się w cuchnący dym, skóra na twarzy skwierczała, pękała, odchodziła płatami, odsłaniając tkanki i kości, a ten drań zwyczajnie gramolił się jak jakiś pijak, który spadł właśnie z roweru. Wystarczyła chwila i znowu stał, chwiejnie jak przedtem, tyle że wewnątrz słupa trzaskającego ognia. I wciąż milczał jak zaklęty...

Okrutny przyglądał mu się z otwartymi ustami. Drgnął, gdy podpalony ruszył z miejsca tym samym powolnym, człapiącym krokiem, którym poruszał się, zanim podeszli do niego ludzie. Co jednak najgorsze, teraz zmierzał w ich stronę.

Kapitan odzyskał rezon dopiero po kilku sekundach. Zerknął przez ramię na znieruchomiiałych funkcjonariuszy i dostrzegł na ich twarzach coś więcej niż tylko strach. Musiał zareagować, i to zdecydowanie, teraz, zaraz, jeśli chciał zachować kontrolę nad tym niewielkim oddziałem. Kolejna pogadanka na pewno nie poskutkuje, pozostawało więc działanie.

Tylko co zrobić z monstrum, które nawet ognia się nie boi?

Zaklął pod nosem i ruszył truchtem prosto na zbliżającą się żywą – czy też raczej martwą – pochodnię. Zombie znów go wyczuł, zmienił kierunek chwiejnego marszu i wyciągnął przed siebie ręce. Omywające je błękitnawe płomienie zatańczyły na nadpalonych rękawach. Gęsty, atramentowoczarny i mocno cuchnący dym falował nad palącym się mężczyzną przy każdym jego ruchu. Wojciech nie zważał jednak ani na to, ani na wrzaski podkomendnych. Podbiegł na odległość drzewca, raz jeszcze powalił nieumarłego, podcinając mu lewą nogę, po czym stanął na szeroko rozstawionych stopach, uniósł bosak, przymierzył i silnym machnięciem strzaskał najpierw jeden staw barkowy leżącego, a potem drugi. To w końcu unieruchomiło ożywieńca, jak tamtych przy bramie. Połamanie nóg w kolanach było więc tylko formalnością.

– Szybkość i planowe działanie! – Okrutny odwrócił się do mundurowych. – Tym ich załatwimy.

Wiwatów może nie było, ale dostrzegł blade uśmiechy na paru twarzach. Ludzie postąpili ku niemu, obchodząc szerokim łukiem palącego się zombie. Kapitan ruszył na skwerek, gdzie wciąż kręcili się nieumarli, ale szybko zmienił kierunek, obierając za cel drogę dojazdową biegnącą wzdłuż zewnętrznego muru. Żaneta i jej oprawcy nadal tam stali. Ponieważ zlikwidowanie ponad dwudziestu ożywieńców zajęłoby zbyt wiele czasu, postanowił odciągnąć tę piątkę, by się z nią rozprawić i utworzyć coś w rodzaju bezpiecznego korytarza, którym czekające pod łącznikiem kobiety zdołają przemknąć na dziedziniec ze spaceriakami, omijając główne skupisko zombie.

Chciał powtórzyć manewr sprzed chwili, szybko jednak zrozumiał, że tym razem to się nie uda. Potwory stały zbyt blisko siebie, istniało więc ryzyko, że ruszą we dwa, a nawet trzy naraz. Wszakże nowy plan i tak wydawał się Okrutnemu sensowniejszy niż zmuszanie grupki wystraszonych mężczyzn i kobiet do konfrontacji z ofiarami zarazy krążącymi po trawnikach.

Moment później potwierdziły się obawy kapitana. Gdy stojący najbliżej zombie wyczuł obecność potencjalnych ofiar i ruszył

w stronę funkcjonariuszy, dwaj kolejni także przerwali dreptanie w kałuży krwi i wewnątrzności, by podążyć za nim.

– Dzielimy się na trzy zespoły! – rozkazał Okrutny. – Niska i Steć do mnie. – Obejrzał się, zauważył, że pozostali stoją niezdecydowanie. – Gronowski, Brzostek i Rzosińska, wy zajmiecie się tym na przedzie! Powalić, unieruchomić, jak pokazałem, na koniec podpalić! Lenart, Olkiewicz i Bednarek biorą na siebie ostatniego! Pozostali dają wsparcie temu zespołowi, który będzie miał problemy! Wykonać!

Mundurowi podzielili się sprawnie na trzyosobowe zespoły i wyszli naprzeciw wskazanym celom. Ostatnia dwójka cofnęła się kilka kroków, zajmując pozycję pozwalającą na udzielenie jak najszybszej pomocy potrzebującym. Nieumarli zdążyli rozproszyć się na tyle, że ludzie mieli pełną swobodę działania. Okrutny dopiero co pokazał im, co powinni robić, nie spodziewał się więc kłopotów. Niestety nie był w stanie przewidzieć jednego...

Wybrał sobie nieziemsko brudną, upapraną krwią kobietę, która – sądząc po obrażeniach, w tym otwartych złamaniach rąk – musiała być jedną z ofiar wyciągniętych przez ratowników z rumowiska. Zważył w ręku bosak, podniósł go i już miał ruszyć do pokazowego ataku, lecz... nie zdołał zrobić ani kroku. Nagle, jak spod ziemi, wyrósł przed nim Steć. Błady, roztrzęsiony, plecami zasłaniający zombie, wymamrotał błagalnym tonem:

– Nie....

– Oszalałeś?! – Okrutny zdębiał.

Jego stupor trwał sekundę, może dwie, ale i to wystarczyło, by zmartwychwstała kobieta pokonała te kilka metrów, które dzieliły ją od Rafała. Kapitan zdał sobie sprawę, że nie zdąży zareagować, gdy za ramieniem podkomendnego dostrzegł białe źrenice w pokrytej szarym pyłem i bryzgami poczerńiałej posoki twarzy o charakterystycznych wydatnych kościach policzkowych. Moment później Steć zwiotczał i padł na kolana. Kobieta zawisała na nim, jej pokiereszowane ręce poruszały się frenetycznie, próbując rozedrzeć gruby materiał moro. Końcówki strzaskanych kości w otwartych ranach na przedramionach

przesuwały się z chrobotem, ilekroć rozczapierzone palce sunęły od nowa po plecach klęczącego funkcjonariusza.

Okrutny przyglądał się tej scenie szeroko otwartymi oczami. Nie drgnął nawet, choć wiedział, że wystarczy jedno muśnięcie i sam padnie ofiarą zarażonych. Oprzytomniał dopiero wtedy, gdy ktoś szarpnął go mocno za ramię. Zatoczył się w tył, upuszczając trzymany wciąż nad głową bosak.

– Co to było?... – wybełkotał, wciąż nie rozumiejąc zachowania podwładnego.

– To przecież Ola – szepnęła blada jak kreda Niska.

– Jaka znowu Ola? – Kapitan domyślił się odpowiedzi, zanim dokończył pytanie.

Żona Stecia.

Wszyscy ci ożywieńcy, których mieli przed sobą, byli członkami rodzin załogi, a jeśli nawet nie bliskimi krewnymi, to przyjaciółmi czy znajomymi. W każdym razie bezsensowna „śmierć” Rafała uprzytomniła właśnie każdemu, że w próbie opanowania sytuacji na terenie więzienia podnoszą ręce na rodziców, małżonków, dzieci i rodzeństwo swoich kolegów.

Wyraz twarzy cofających się funkcjonariuszy powiedział Okrutnemu, że tym sposobem nie zdoła ocalić uwięzionych pod łącznikiem kobiet. Splunął ze złością na spękany beton. *Sukces był tak blisko. Gdyby nie ten dureń...* Zmełł w ustach cisnące mu się na usta przekleństwo.

– Wycofujemy się – zakomenderował. – Ruchy na sprzęcie. Poprzewracajcie ich tylko, żeby nie poleźli za nami.

Liczył na to, że oddalą się na bezpieczną odległość, zanim powaleni ożywieńcy wstaną, ponieważ ściągnięcie nawet tej trójki pod spacerniaki doprowadziłoby wśród koczujących tam uciekinierów do wybuchu kolejnej fali paniki.

Na szczęście ta część planu nie wypaliła mu prosto w twarz.

* * *

Przegrupowali się za załomem ściany przy kotłowni.

– Jakież pomysły? – rzucił Okrutny, gdy ustawili się przed nim w nierównym szeregu.

Nie spodziewał się odpowiedzi. Pytanie zadał wyłącznie po to, by zajęli umysły czymkolwiek prócz rozpamiętywania „śmierci” kolegi i wynikających z niej implikacji.

– Może zaczekamy, aż ogień przygaśnie, i spróbujemy ewakuować je z tamtej strony? – zaproponował po chwili Lenart.

Głos drżał mu jeszcze bardziej niż cuchnące olejem dłonie.

– Szczątki cysterny mogą płonąć jeszcze długie godziny – wypalił Brzostek, zanim kapitan zdążył podzielić się podobną wątpliwością.

– To może spróbujemy od góry? – nie odpuszczał Radek.

Chyba najbardziej ze wszystkich zależało mu na oderwaniu myśli od niedawnej tragedii.

– Od góry? – prychnął Dworczyk. – Chcesz je w kawałkach ewakuować? Przecież w Babińcu nie ma jednego okna bez krat.

– A w kaplicy? – Lenart nie dał się zbić z tropu.

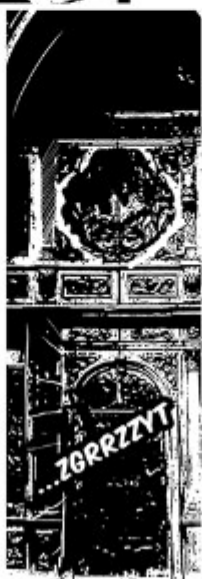
Okrutny słuchał tej wymiany zdań, kiwając wolno głową. Ściana kaplicy runęła niemal całkowicie. *O ile tylko podłoga przy zapadlisku zachowała stabilność i jeśli uda się zrzucić liny...* Sporo gdybania, lecz pomysł Lenarta i tak wydawał się sensowniejszy od wszystkiego, co jemu przychodziło do głowy.

– Dworczyk, Brzostek i Rzosińska – wywołał trójkę funkcjonariuszy. – Zostaniecie tutaj, na wypadek gdyby ożywieńcy próbowali wejść na dziedziniec.

– Ale...

– Nie ma żadnego ale. W razie potrzeby podcinajcie ich bosakami. Nic więcej nie musicie robić. – To zdusiło rodzące się protesty. – Kruk i Lenart, pójście ze mną do magazynu po liny. Reszta czeka na nasz powrót przy wejściu do bloku D.











sobota, 10 sierpnia 1963, godzina 05:55
Zajezdnia Tramwajowa Nr 2 przy ulicy Słowiańskiej 16–30

Sprycha rozmasował otarte nadgarstki. Ulfig uwinął się szybko – w minutę, najwyżej dwie, wszyscy byli wolni. Nie musieli jednak ustawiać się pod gilotyną jak cyngiel meliniarki. Po rozcięciu łańcuszka łączącego obrączki sprytny Ślżak migiem skombinował kawałek cienkiego drutu i pootwierał nim wszystkie zamki, jakby to był klucz.

Fabian potoczył wzrokiem po kompanach, przeliczając ich równocześnie. Miał przed sobą dwunastu chłopca...

Dwunastu gniewnych ludzi, pomyślał, przywołując tytuł znanego amerykańskiego filmu. *Tak jest, od tej chwili to my będziemy sędziami nowego świata.*

Nie znał tylko jednego spośród nich, młodzika, który przyszedł z Grzelakiem i Janiczkiem. Przyjrzał mu się teraz uważniej. Chłopak był najmłodszy ze wszystkich, twarz miał owalną, do tego rudawy zarost i nietęgą minę.

– Jak się nazywasz?

– Ja... – wybąkał z trudem młodzik.

– No ty.

– Ja... rek.

– To imię, a nazwisko?

– Mo... Morawiec.

– Jąkała?

– Ni.

– Za co siedzisz?

– Zo nic – odmruknął speszony młodzik.

– Jak my wszyscy – wtrącił Ulfig.

Ta krótka wymiana zdań utwierdziła Sprychę w przekonaniu, że chłopak nie pasuje do reszty. Jego zdaniem mógł być najślabszym ogniwem nowego gangu, a w tym świecie nie będzie

przecież miejsca na słabości. Jeśli ktoś chce przeżyć, nie może się wahać jak ten szczył.

– Jakie postawiono ci zarzuty? – nie odpuszczał Fabian.

– Nibych żem zaciuloł oma i onkla – wymamrotał Jarek, spuszcżając głowę.

– Co?!

– No... – zapowietrzył się przepytwany.

– Cichej, karlusie, jo byda godać. – Ulfīg poklepał chłopaka przyjaźnie po ramieniu. – Pado, znaczy mówi, że siedzi za zabicie babki i wujka.

– Po jakimu to było?

– Po naszymu. – Darek wyprężył się dumnie. – W ślonskiej godce.

– Patrzcie, patrzcie. – Sprycha pokręcił głową. – Drugi Magdziarek nam się trafił... – Zerknął na wciąż nieprzytomnego Cangaceiro, który trafił pod sąd za wymordowanie w pijanym widzie, najzwyklejszym na świecie młotkiem, całej rodziny. Własnej rodziny. Żony, dwójki dzieci, teściów i dziadków ze strony ojca. Wszystkich, którzy znajdowali się feralnej nocy w rodzinnym domu. Nerwowy był, nawet na co dzień, a że stracił właśnie robotę, poniosło go nieco bardziej niż zwykle. Dość już miał lamentów tej zgrai, jak sam przyznał pod celą. – Chętnie bym posłuchał, synku, jakiej zbrodni nie popełniłeś, ale nie mamy na to czasu. Chodźmy do tego magazynu, zanim ktoś inny wpadnie na podobny pomysł. – Ruszył w stronę tylnych drzwi. – Ulfīg, ty miej oko na młodego.

– Jasne, szefie.

Zadziwiające, jak szybko i łatwo uznali moją zwierzchność w tej nowej dla nas wszystkich sytuacji, pomyślał Fabian, przemykając chyłkiem przez oświetlony promieniami wschodzącego słońca plac manewrowy. Trzymał się blisko prowadzącego grupę Kaczmarka, który znał ten teren. Pozostali biegli tuż za nim, zbici w kilkuosobowe grupki. Cisi, czujni. Nawet zamykający kolumnę Szczygło, któremu przypadło dźwiganie nieprzytomnego wciąż Magdziarka. Były drwał mimo paromiesięcznej odsiadki wciąż miał parę w łapach i wytrzymałość niedźwiedzia. Słabeusz nie

przetrwałby długo w bazie ludzi umarłych, a on odbębnił w Bieszczadach ze trzy tury, zanim się okazało, że głowę ma słabszą od mięśni ramion.

Idący na czele złodziej przycupnął pod betonowym ogrodzeniem obok żelaznej furtki, którą zabezpieczono kłódką na grubym łańcuchu. Z prawej miał kilka niezbyt wyrosniętych drzewek, z lewej ścianę jakiejś szopy, zapewne składziku.

– Jakuza! – Fabian wskazał przeszkodę Ulfigowi.

Ten tylko skinął głową. Nożyce do metalu, które wyszperał wcześniej w jednej z szuflad, objęły szczękami najłatwiejsze do uchwycenia ogniwo. Przez chwilę mocował się z długimi na prawie metr rękojęściami, ale specjalistyczne narzędzie oczywiście sobie poradziło z grubym na pół centymetra kręgiem stali.

Kaczmarek zadziwiająco cicho i sprawnie pozbył się łańcucha, otworzył ostrożnie furtkę na niecałe pół metra, wysunął głowę na zewnątrz, rozejrzał się uważnie, po czym nie odwracając się, machnął ręką. Był to znak, że droga wolna.

Fabian minął ogrodzenie zajezdni drugi. Wybiegł na torowisko nisko pochylony, podobnie jak złodziej. Rozglądał się nieustannie, ponieważ przebywanie na tak dużej otwartej przestrzeni, w terenie, którego kompletnie nie znał, przyprawiało go wciąż o zimny dreszcz. Na szczęście w polu widzenia nie było ani jednej ludzkiej sylwetki, nic się też nie poruszało. W parę sekund dobiegli do długiego rzędu brązowych węglarek. Tam przycupnęli ponownie, czekając, aż Kaczmarek wróci ze zwiadu.

Tomasz pojawił się niebawem, nie przeskoczył jednak przez bufory łączące podniszczone wagony. Zatrzymał się po drugiej stronie składu i gwizdnął cicho, wskazując równocześnie ręką, od której strony powinni obejść węglarki. Większość mogłaby się przedostać dołem, między kołami, lecz to znaczyłoby, że Szczygło z Magdziarkiem odłączy się od grupy. A na to Sprycha nie chciał się zgodzić.

Za torami znów zrobiło się groźniej. Na tym odcinku górkę rozrządową od terenów magazynowych oddzielał długi na co

najmniej dwieście metrów pas zieleni, za którym po lewej majaczyły kopuły wieńczące dwa wielkie budynki. Po prawej w oddali Fabian rozpoznał charakterystyczną podkowę lokomotywowni.

– Gdzie teraz? – zapytał Kaczmarek, kiedy zatrzymali się przy krzakach.

Złodziej wskazał gęstwinię.

– Magazyn jest tam, na wprost. Zaraz za bocznicą.

– Pan przodem. – Sprycha wysunął rękę w szarmanckim, nie pozostawiającym wątpliwości geście.

Tomasz przełknął głośno ślinę. Do tej pory wszystko szło jak po maśle, w okolicy nie było żadnej bestii. Wejście w zarośla jednak oznaczało, że przez chwilę nie będzie nic widział, za to sam narobi sporo hałasu. Wszakże obejście tych krzewów zajęłoby zbyt wiele czasu i sprawiło, że znaleźliby się blisko miejsc uczęszczanych przez kolejarzy, z których część mogła paść ofiarą zarazy.

Kaczmarek nie był cykorem. Więcej nawet, zawsze lubił ryzyko – co zaprowadziło go w końcu pod jadzię – ale tego dnia oddałby wszystko, byle nie kazano mu włączyć między te liście. Niestety Sprycha nie pozostawił mu wyboru. Chociaż...

– Szeffie, tylko ja znam teren – odezwał się zniżonym głosem. – Jeśli coś mi się stanie, nie będziecie nawet wiedzieli, gdzie szukać tego magazynu.

– Mówiłeś, że jest tuż przed nami – odpowiedział mu oschle Sprycha.

– Bo jest. Ale rzecz w tym, że kompleks obejmuje co najmniej dwadzieścia budynków. Straciecie mnóstwo czasu, zanim namierzycie właściwy, o ile w ogóle wam się to uda. Poza tym tylko ja wiem, jak dostać się do środka, nie robiąc za dużo zamieszania. Nie chcielibyście chyba...

Fabian uciszył go uniesieniem dłoni, po czym zerknął przez ramię na pozostałych.

– Ty, niewinny – rzucił, skupiając wzrok na Morawcu.

– Jo?

– Nie inaczej.

Chłopak, popchnięty lekko przez Ulfiga, podszedł do szefa.

– Przeleziesz na drugą stronę, ale powoli i ostrożnie. Sprawdzisz, czy nie ma tam tych odmieńców, i wrócisz do nas, zrozumiano?

– Ja.

– Tak, ty...

– Szefie, on powiedział: tak – wtrącił usłużnie Darek.

– „Jo” znaczy po waszemu „ja”, a „ja” znaczy tak? – upewnił się Sprycha.

– Ja...

Kolejne pchnięcie skierowało Morawca na krzaki.

– Dajesz, bracie.

Chłopak oblizał spierzchnięte wargi, spojrzął na przyczajonych uciekinierów, po czym przeżegnał się zamasyście i dał nura między dwa krzewy. Przez dłuższą chwilę słyszeli niesłabnące szelesty, potem na moment zapadła cisza i znów rozległy się znajome dźwięki.

– I jak? – zapytał Fabian, gdy Jarek wystawił głowę z krzaków.

– Żodnych jerońskich beboków, ino blank epno damfmaszyna.

Sprycha rozłożył ręce w geście bezradności.

– Ktoś mi to przetłumaczy na polski?

– Po drugiej stronie stoi lokomotywa, ale nie ma przy niej żadnych odmieńców – wyjaśnił natychmiast Ulfig.

– W takim razie podziękuj ode mnie naszemu młodemu babciobójcy.

Sprycha odczekał, aż Darek rzuci kilka chrapliwych słów po swojemu i chłopak zajmie swoje miejsce w szeregu, po czym dał znak. Tym razem przodem poszli Nerynk i Marut, obaj uzbrojeni w strażackie toporki zabrane z zajezdni. Chwilę później stali już całą grupą na zacisznej bocznicy jakieś dwadzieścia metrów od majestatycznego czarnego parowozu.

W uszach dzwoniła im cisza. Nawet ptaki, które powinny trelować o tak pięknym poranku, zniknęły z nieba. Wokół panował kompletny bezruch.

– Który to budynek? – zapytał Fabian, przyglądając się podobnym do siebie, parterowym barakom z cegły o maleńkich

zakratowanych oknach i niemal płaskich dachach krytych papą.

– Tamten – Kaczmarek wskazał drugi co do wielkości budynek – ale musimy go obejść od tamtej strony... – Przesunął rękę w lewo, za sąsiednie zabudowania.

– Dlaczego? – zdziwił się Sprycha, obrzucając wzrokiem rampę i ciągnący się wzdłuż niej szereg masywnych przesuwanych drzwi, którymi wnoszono towar wyładowywany z wagonów. Każde zdobiła wielka, smoliście czarna kłódka.

– Żeby dostać się na dach – wyjaśnił złodziej.

– Człowieku – obruszył się Sprycha – mamy Jakuzę z nożycami do metalu. Rozetniemy nimi te...

– Szefie! – Tomasz wpadł mu niemal natychmiast w słowo. – Jeśli to ma być nasza kryjówka, lepiej nie zostawiać otwartego wejścia, którym każdy z tych popaprańców może wleźć do środka.

– Święta racja – poparł go wylękniony wciąż Perek.

Kilku innych uciekinierów pokiwało głowami, wydając pomruki aprobaty.

– Jasne – rzucił lekceważącym tonem Fabian, próbując zachować twarz. – Po co jednak ryzykować włożenie między budynki, skoro bez trudu zdołamy zabezpieczyć te drzwi? Oczywiście już po tym, jak dostaniemy się do środka – dodał. – Wystarczy znaleźć jakiś łańcuch albo jeszcze lepiej, gruby drut i obwiązać nim skobel. – Wiedział, jak wygląda mechanizm zamykania podobnych bram, ponieważ kilka ofiar uwiódł nie w sklepach, lecz w powiatowych hurtowniach, także poniemieckich. – A każda chwila spędzona na otwartym terenie grozi tym, że te pieprzone bestie nas wykryją. – Wskazał pobliską lokomotywnię, przy której, teraz to było widać wyraźniej, kręciło się kilka postaci w ciemnogrnatowych kombinezonach.

Jemu też przytaknęli, i to ochoczo, co odnotował w myślach z niekłamaną satysfakcją, mając pewność, że wybrnął z trudnej sytuacji.

– Mnie tam rybka – przyznał Kaczmarek, choć sądząc po tonie, pozostał jednak przy swoim zdaniu.

Sprycha położył mu dłoń na ramieniu.

– Jeśli uważasz, że tak będzie lepiej, zrobimy po twojemu – powiedział, zrozumiałwszy już na wstępie, że plan złodzieja jest lepszy. Te kłódki z pewnością powstrzymają odmieńców, drut, nawet gruby, niekoniecznie.

– Dobra, a co z nim? – zapytał zduszonym głosem Szczygło, wskazując nieprzytomnego wciąż Magdziarka.

– W magazynie na pewno znajdziemy jakąś linę i na niej wciągniemy Cangaceiro, o ile sam się wcześniej nie ocknie. Dobrze mówię, chłopaki?

Tym razem poparli go chyba wszyscy. Był niemal pewien, że usłyszał nawet zduszone „ja”.

Zachowując jeszcze większą czujność, przebiegli przez ostatnie tory, potem złodziej poprowadził ich wąską ścieżką biegnącą między nieotynkowanymi ścianami niskich zabudowań aż do zamkniętych na głucho drzwi. Dalszą drogę przegradzało im wysokie na dwa metry ogrodzenie z siatki, zwieńczone drutem kolczastym. Ulfig poradził sobie i z tą przeszkodą, rozcinając tylko kilka ok, w sam raz tyle, by mogli się przecisnąć na drugą stronę. Na koniec wciągnęli Magdziarka i stanęli na niewielkim placyku przed tylną ścianą właściwego magazynu, zaopatrzoną w drabinę prowadzącą na dach.

– Sezamie, otwórz się – mruknął zadowolony Sprycha, gdy już sprawdzili, że w pobliżu nie ma ani jednego człowieka, żywego czy też nieumarłego.

– Sezam, szefie, należał chyba do GS-u, nie „Społem” – poprawił go zdziwiony Kaczmarek.

– Bożeż ty mój! – Fabian przewrócił oczami. – Nieważne, mój błąd. Nie jestem tutejszy. Prowadź, przyjacielu, do ziemi obiecanej. – Poklepał złodzieja po ramieniu, po czym się odwrócił. – Wy tu zostańcie do czasu, aż znajdziemy wejście – rozkazał reszcie.

Kaczmarek wspiął się zwinnie po pordzewiałych metalowych szczeblach. Samozwańczy herszt gangu podążał jego śladem niczym cień. Mniej więcej w połowie pokrytej błyszczącą papą powierzchni znajdowało się dwumetrowe prostokątne wybrzuszenie. Tomasz natychmiast skierował się ku niemu.

Przecieli kłódkę nożycami Ulfiga, wspólnymi siłami podważyli wąż techniczny i popatrzyli w dół.

– Kurwa mać – jęknęli unisono.

Szerokie regały pod nimi były puste, jak okiem sięgnąć.

– Szef potrzyma – poprosił Kaczmarek, sięgając po belkę, którą podpierano obitą kilkoma warstwami papy drewnianą klapę.

Sprycha ugiął się pod ciężarem, ale nawet nie pisnął. Nie mógł okazać słabości przed ludźmi, którym miał przewodzić. Parę sekund później mógł znowu odetchnąć. Opadł więc na kolana i wsunął głowę do otworu. Klęczący obok niego złodziej wodził po mrocznym wnętrzu snopem światła latarki, także zabranej z warsztatu zajezdni. Gdziekolwiek poświecił, wszędzie widział tylko puste regały.

– Wszystkie drzwi są przecież zamknięte – wymamrotał pod nosem, po czym spojrzał przeproszająco na Fabiana. – Przysięgam, szefie, że tu zawsze było pełno towaru. To przecież centralny magazyn PSS „Społem”. Rozładowywali tutaj całe wagony dostaw. Tony żarcia, wiadra wody...

– Ktoś nas uprzedził – stwierdził Fabian, opadając plecami na lepiącą się od gorąca papę. – Ktoś, kto wiedział, na co się zanosi.

sobota, 10 sierpnia 1963, godzina 06:27
Zakład Karny Nr 1 przy ulicy Klęczkowskiej 35

Blok D nieprzypadkowo budził skojarzenia z wnętrzem katedry. Był wąski, długi, bardzo wysoki, ale nade wszystko niesamowicie akustyczny. Każde wypowiedziane głośniej słowo budziło niesamowite pogłosy, zupełnie jak w nabożnym półmroku świątyni. Okrutnemu nigdy to nie przeszkadzało, ale teraz, po powrocie z placu, gdy usłyszał odbijający się wielokrotnym echem stukot ciężkich buciorów, poczuł zimny dreszcz. Zatrzymał się u podnóża prowadzących na piętro schodów. Musiał zebrać się w sobie, by dać rozkaz otwarcia blokującej to przejście kraty.

– Gronowski! – warknął, rozeźlony tym, że podwładni dostrzegli jego wahanie.

Klucze w ręku Adama dzwoniły mocniej niż zazwyczaj. Właściwego także szukał dłużej, a kiedy już go znalazł, z trudem trafił w niemałą przecież dziurkę. Kapitan nie opieprzył go jednak. Wszyscy znajdowali się na skraju załamania, widział to dokładnie w ich oczach i ruchach. Wolał więc nie naciskać, byle dotrwali do końca tej akcji. Jeśli uda im się ocalić osaczone kobiety bez większych przygód, osiągną punkt zwrotny, tego był pewien i na to liczył. Chłopcy znów uwierzą w siebie, odzyskają choć część dawnej pewności, co powinno mu umożliwić zapanowanie nad sytuacją na placu.

O ile zdołam wymyślić lepszy plan niż podpalanie nieumarłych,
pomyślał, czekając, aż przejście stanie otworem.

Krata otwarła się z głośnym piskiem, od którego zabołały go uszy. Wszyscy się skrzywili, mimo że ten dźwięk nie był im obcy.

– Ruchy na sprzęcie, panowie – rzucił Okrutny, przepuszczając trzech funkcjonariuszy uzbrojonych w bosaki i siekiery.

To oni mieli stanowić forpocztę oddziału i obezwładnić

ewentualnych przeciwników. Reszta ruszyła dwójkami za kapitanem. Każdy miał przydzielone zadanie, każdy otrzymał odpowiedni sprzęt. Plan był prosty: musieli dostać się na wyższą kondygnację, minąć łącznik, wejść do kaplicy i – jeśli tylko będzie to możliwe – opuścić linę na rumowisko, aby wciągnąć na niej kolejno uwięzione przez pożar i zombie kobiety.

Z przedostaniem się do łącznika nie mieli żadnych problemów. W opustoszałym bloku panowała cisza. Nieliczni ewakuowani, ci, którzy nie zdecydowali się na opuszczenie celu, zniknęli z galerii zaraz po tym, jak Okrutny kazał im zablokować kraty od strony łącznika. Poradzili sobie z tym problemem, jak umieli. Obwiązali pręty dwoma skórzanymi paskami od spodni i jednym więziennym prześcieradłem. Zrobili to na tyle solidnie, że funkcjonariusze musieli zmitrężyć ponad dwie minuty, by dostać się do częściowo zasypanego korytarzyka, a potem raz jeszcze zabezpieczyć przejście. Tym razem normalnie, zamykając kratę na klucz.

Odtąd poruszali się znacznie wolniej i ostrożniej. W uszkodzonej upadkiem cysterny części budynku nie było światła, zatem przez jakiś czas musieli polegać wyłącznie na latarkach. Zawalony gruzem korytarz na ich szczęście okazał się pusty. Dotarli nim aż pod otwarte na całą szerokość drzwi kaplicy. Tam idący teraz na czele kapitan zatrzymał się, wysuwając rękę do tyłu. Wszyscy zamarli na moment, nasłuchując, lecz zza ściany dobiegały jedynie stłumione odległością lamenty kobiet, z trudem przebijające się przez huk płomieni. Choć wiatr niósł dym w przeciwnym kierunku, na mur i znajdujący się przed nim budynek administracji, z kaplicy i tak zalaływało spalenizną.

Okrutny zerknął przez ramię.

– Kukła, sprawdźcie teren – powiedział, nie podnosząc głosu.

– Nie. – Wymieniony funkcjonariusz pokręcił stanowczo głową.

Był błady, pocił się jak mysz. Ręce, w których ścisnął kurczowo trzonek ciężkiego strażackiego topora, drżały tak mocno, że szerokie na piętnaście centymetrów ostrze poruszało się przed nim jak głowica pracującej maszyny.

– To nie prośba, tylko rozkaz – warknął kapitan.

– Nie pójdę... – mamrotał Wojtek. – Nie pójdę...

Pozostali milczeli, większość wyglądała nie lepiej od kolegi, a niektórzy nawet gorzej, co Okrutny zauważył ze smutkiem. Odwrócił się do nich powoli, starając się nie wykonywać gwałtownych gestów, choć miał szczerą ochotę dzielić tego tchórza w pysk. Nadeszła decydująca chwila, ważyły się losy ich wszystkich. Wyczekiwał tego momentu jak zbawienia, a tu proszę – rejterada Kukli pokrzyżuje jego plany, załame do reszty i tak już szczątkowe morale pozostałych funkcjonariuszy.

– Słyszysz te krzyki? – zapytał, przełknąwszy ślinę.

Kukła skinął głową, przy czym siekiera opadła jeszcze niżej.

– T-tak.

– Jeśli nie pomożemy tym kobietom, one też zginą.

– Ale ja... – Wojtek zdołał wydusić z siebie tylko te dwa słowa, potem wybałuszył oczy, jakby reszta zdania stała się nagle ciałem i utkwiała mu w krtani, blokując nawet oddech.

– Wejdz do kaplicy. Przystąp przez próg i rozejrzyj się, czy nie ma tam rannych albo nieumarłych.

– Dlaczego ja?

– Dlatego, że wydałem taki rozkaz? – Okrutny spoglądał mu prosto w oczy. W półmroku korytarza nie mógł wiele dostrzec, zwłaszcza że latarki trzymali stojący za Wojtkiem. Sądząc jednak po głosie, miał do czynienia z człowiekiem, który lada moment załame się kompletnie, rzuci prymitywną broń i podając tyły, stanie się kamieniem poruszającym lawinę. – Dlatego, że to nasz obowiązek? Tam na dole są matki, żony, siostry twoich kolegów. Może nawet ktoś z twoich bliskich.

Chłopak pokręcił zdecydowanie głową.

– Mojej rodziny tu nie ma.

– Ale są krewni twoich kolegów. Tych, którzy stoją teraz za tobą. Jest moja żona.

– Dlaczego zatem wy tam nie pójdziecie, towarzyszu kapitanie? – wypalił Kukła, w okamgnieniu przechodząc od wycofania do zadziorności, która mogła zwiastować jego rychłe ostateczne załamanie.

– Dlatego, że beze mnie wszystko pójdzie w pizdu. – Okrutny zatoczył rozłożonymi rękami szeroki łuk. – Wszystko – powtórzył. – Każdy, kto schronił się za tym murem, was nie wyłączając, zamieni się w takiego potwora... Dlatego, że tylko ja tu jeszcze trzeźwo myślę. Dałbyś radę poprowadzić chłopaków, gdyby mnie zabrakło? Wymyśliłbyś, co robić po uratowaniu tych kobiet?

– Nie... – przyznał niechętnie jego imiennik.

Kapitan celowo nie odwoływał się do piastowanego przez siebie stanowiska ani do swojej oficerskiej rangi. Wiedział doskonale, że takie argumenty w takiej chwili znaczą naprawdę niewiele. Wolał skupić się na tym, na czym jego ludziom najbardziej zależało. Na przetrwaniu. To był ostateczny argument – jeśli nie wystarczy, na terenie Zakładu Karnego Nr 1 rozpęta się pandemonium po stokroć gorsze od wszystkiego, czego ci ludzie doświadczyli do tej pory.

– W takim razie wykonaj rozkaz.

– Ale oni mogą tam być... – nie ustępował Kukła, tyle że już łagodniejszym tonem, ponieważ zza ściany dobiegł właśnie szelest osypującego się gruzu.

– Nie każę ci z nimi walczyć – zapewnił go Okrutny, gdy znów zapadła cisza. – Masz tylko przeprowadzić szybki rekonesans. Obejść kaplicę, a przynajmniej tę jej część, która ocalała. Jeśli zobaczysz nieumarłego, po prostu się wycofasz. Pamiętaj: inteligencja i szybkość działają na twoją korzyść.

– Nie! – pisnął nienaturalnie cienkim głosem znajdujący się na krawędzi załamania młody funkcjonariusz, który trafił na Klęczkowską aż z Siedlec.

To miała być kilkumiesięczna praktyka przed przeniesieniem w rodzinne strony. Za dwa tygodnie spakowałby manatki, postawił kumplom flaszkę albo dwie i pomaszerował dziarskim krokiem na pobliski dworzec. Tymczasem tkwił w ciemnym, zasypanym tynkiem korytarzu, dzierżąc w spoconych dłoniach topór, którym kazano mu się bronić przed nieczułymi nawet na kule bestiami.

– Ja pójdę, towarzyszu kapitanie – w pełnym napięcia milczeniu

na ochotnika zgłosiła się Niska.

– Wykonać, kapralu! – Okrutny natychmiast chwycił rzucone mu koło ratunkowe.

Ustał jej z drogi, gdy minęła Lenarta i Olkiewicza, zabierając latarkę temu drugiemu. Zniknęła im z oczu tylko na kilka sekund, ale nawet kapitan odniósł wrażenie, że zanim ujrzał ją ponownie, minęły całe godziny.

– Czysto.

Gdy padło to słowo, napięcie w korytarzu prysło jak bańka mydlana. Ktoś się zaśmiał, rozległy się porozumiewawcze pomruki.

Jest dobrze, pomyślał Okrutny.

– Idziemy – poklepał Kukłę po ramieniu. Przyjaźnie, jakby rozmowa sprzed chwili dotyczyła pogody albo wyniku ostatniego meczu Śląska.

Zrobił to celowo, by pokazać pozostałym, że ich rozumie, że są teraz dla niego kimś więcej niż tylko podwładnymi. Musiał podbudować ich morale, a to był jeden z pewniejszych sposobów.

Więzienna kaplica wyglądała, jakby rzeczywiście spadła na nią bomba. Runęła niemal cała lewa ściana, po zrobionym przez więźniów witrażu zostały tylko kolorowe ułamki szkła, zza których wзираły grube pręty krat chroniących każde okno w tym budynku. Skromny ołtarz przechylił się mocno, wszystkie ozdoby pospadały z niego na posadzkę, a wieńczący go niegdyś ciężki krucyfiks balansował właśnie na skraju sporej wyrwy w podłodze, grożąc lada chwila upadkiem w kilkumetrową otchłań. Prosto na chroniące się przy rumowisku kobiety.

– Gronowski i Lemański, zabezpieczcie tę rzeźbę. – Okrutny wskazał kołyszący się hipnotycznie krzyż.

Następnie, trzymając się spękanej ściany, podszedł niemal do krawędzi wyrwy wybitej przez wrak cysterny. Deski pod postrzępionym i nadtopionym linoleum ugięły się i zatrzęszczały złowieszczo, gdy znalazł się o krok od końca podłogi.

– Pozwólcie, towarzyszu kapitanie! – zawołał Trzybiński, poznaniak, którego marzeniem, z tego, co tymczasowy naczelnik jedyńki pamiętał, było wystąpienie w „Wielkiej Grze”. Piotr

wygrywał wszystkie zgaduj-zgadule, jakie organizowano w województwie. Dyplomów miał tyle, że nie mieściły się na ścianie nad jego łóżkiem. – Ja lżejszy jestem.

Okrutny się cofnął. Jego podwładny, choć miał tęgą głowę, wiele nie ważył. Jemu z pewnością pójdzie lepiej.

– Jodłowski, będziecie go ubezpieczać – rozkazał kapitan, obwiązując ochotnika jedną z lin, które zabrali z magazynu. – Wy i Lenart – wybrał dla pewności drugiego funkcjonariusza. – A ty mi nie kozakuj, bratku – zwrócił się do Trzybińskiego. – Wybadaj, w którym miejscu podłoga jest najbardziej stabilna i czy wytrzyma dłużej takie obciążenie. Sprawdź też, czy nie ma jakichś przeszkód, które uniemożliwiłyby wciągnięcie tych kobiet do kaplicy.

Piotr skinął głową, po czym zrobił pierwszy, niepewny krok w kierunku krawędzi. Nie musiał się bać, że spadnie na rumowisko, ponieważ asekurowało go dwóch o wiele cięższych kolegów, którzy ubezpieczyli się dodatkowo, przeciągając linę przez kraty przy drzwiach. Wolał jednak nie ryzykować, gdyż końce połamanych belek stropowych były ostre jak kolce gigantycznego jeża i groziły poważnymi obrażeniami w razie upadku po zarwaniu się podłogi. Odsuwał od siebie myśl, co te szpikulce zrobiłyby z jego wnętrznościami, wyobraźnię miał bowiem równie rozwiniętą jak pamięć.

– Spokojnie, spokojnie. – Okrutny śledził każdy jego krok.

Trzybiński dotarł do krawędzi. Tym razem deski nie zaskrzypiały tak alarmująco, nawet gdy – podtrzymywany tylko liną – wychylił się, by spojrzeć w dół.

– Nie ma żadnych wystających elementów, towarzyszu kapitanie! – zawołał.

A kobiety widzisz?

– Tajest. Dokładnie pode mną, przy skraju rumowiska.

– Zauważyły cię?

– Jeszcze nie.

– To zwróć na siebie ich uwagę. Nie chcę, żeby spanikowały, kiedy tuż obok spadnie lina.

Bał się, że zaskoczone kobiety zareagują w najgorszy możliwy

sposób – pognają prosto przed siebie, między zombie.

– Hej tam, na dole! – wrzasnął Piotr, ale krzyki dobiegające z dziedzińca nie zmieniły tonu. – Tak się drą, towarzyszu kapitanie, że chyba mnie nie słyszą – zameldował.

– Może czymś w nie rzucę – zaproponował Gronowski, przyglądający się tej operacji spod ołtarza, dokąd przeciągnął z Lemańskim ciężki krucyfik.

– Zgłupiałeś? – warknął kapitan, któremu ten pomysł z początku wydał się idiotyczny. – No dobrze – uległ chwilę później – weź coś naprawdę małego, najlepiej miękkiego i rzuć, tylko nie bezpośrednio w nie, a na trawnik tuż przed nimi, rozumiano?

Adam skinął głową i jął się rozglądać w poszukiwaniu przedmiotu, który spełniałby wymagania przełożonego. Pod pierwszą ławką znalazł niedopaloną świecę. Pokazał ją Okrutnemu, a ten uniósł kciuk.

Gronowski przymierzał się ze trzy razy, zanim kawał parafiny poleciał w dół.

– Hej! Heeej! – wydarł się mgnienie oka później Trzybiński, machając rękami. – Tutaj jestem! – Ochryple krzyki najpierw się wzmogły, przechodząc w niemożliwy pisk, potem umilkły jak nożem ucięte, by wreszcie zamienić się w nieco bardziej artykułowane wrzaski. – Zauważyły mnie! – doniósł podekscytowanym tonem Piotr.

– Świetnie – ucieszył się Okrutny. – Przekaż im, żeby się uspokoili. Powiedz, że mamy liny, po których wciągniemy je kolejno na górę. Zapewnij, że są już bezpieczne.

Trzybiński uciszył kobiety gestami, co chwilę potrwało, a następnie powtórzył im słowa przełożonego najdokładniej, jak umiał. Gdy skończył, z dołu dobiegły nowe, choć już nie tak paniczne lamenty.

– Co się dzieje? – zapytał zdziwiony kapitan.

– Boją się – wyjaśnił przechylony o prawie czterdzieści pięć stopni Piotr. – To baby przecież.

Magda parsknęła, ale na tym poprzestała.

– Szlag by to. – Okrutny otarł ręką pokryte potem i sadzą

czoło. – Może...

– Może opuście mnie na dół – wpadł mu w słowo Trzybiński. – Poczują się pewniej, mając kogoś przy sobie, a ja znam się dobrze na węzłach, obwiążę je tak, że podczas podnoszenia będą na sto procent bezpieczne. No i przyda się asekuracja od dołu.

– Dacie radę go opuścić? – Kapitan spojrział na trzymających linę funkcjonariuszy.

– Co mamy nie dać – rzucił zawiadaczko Jodłowski. – Ja stary moczki jestem. Kiedyś takiego suma złowiłem... – Chciał pokazać, lecz na szczęście nie puścił liny. – Cięższy był od Piotrusia, a mimo to wytargałem drania na pomost. Sam jeden. No prawie.

– Zatem dajemy, panowie, dajemy!

Okrutny uśmiechnął się pod nosem, spoglądając w stronę jedynej dziewczyny w zespole. Dzięki Niskiej udało się pokonać kryzys, przynajmniej chwilowo. Ludzie odzyskiwali rezon, nawet Kukła nie trząsał się już tak bardzo. *Jeśli akcja ratunkowa przebiegnie jak trzeba... Tfu*, splunął przez ramię – oczywiście mentalnie, by nie zapeszyć.

Trzybiński obrócił się twarzą do nich, przyciągnął ze dwa metry liny, zwinął ją lewą ręką w kilka pętli, po czym uśmiechnął się i... skoczył. Jodłowski i Lenart zaparli się, a gdy dobiegł ich spokojny głos Piotra, zaczęli wolno popuszczać linę, dopóki nie zrobiła się znów luźna.

– Olkiewicz i Bednarek! – Kapitan przywołał dwóch kolejnych funkcjonariuszy, tych, którym przekazał rezerwowe liny. – Będziecie odbierać ewakuowane. Przywiążcie się do... – potoczył wzrokiem po kaplicy. – Do krat przy drzwiach.

– Tylko nie na tej wysokości co my – doradził im Jodłowski, gdy zabrali się do dzieła. – Najlepiej na dole, po bokach – dodał, gdy spojrzeli niepewnie na dowódcę.

– Robić, co mówi Adam! – ponaglił ich Okrutny, ponieważ Trzybiński już szarpał za linę, dając znak, że pierwsza kobieta jest gotowa do wciągnięcia. – A wy wybierajcie! – zwrócił się do ubezpieczających. – Tylko ostrożnie. – Napięli mięśnie, manilowy sznur grubości kciuka zatrzeszczał, ale nie przesunął się więcej

niż o kilka centymetrów. – Kruk, nie stójcie tak, pomóżcie kolegom! – rozkazał kapitan.

Z pomocą Huberta szło im jak z płatką. Zwolnili jednak, słysząc wołanie Piotra. Ewakuowana kobieta znalazła się tuż pod poziomem uszkodzonej podłogi. Na szczęście Trzybiński zeskoczył w miejscu, w którym zwisał całkiem spory płat desek pokrytych linoleum, co ułatwiło tę część operacji.

Najpierw zobaczyli smukłe, wysmarowane krwią dłonie, potem gołe szczupłe przedramiona, w końcu nad krawędzią pojawiła się głowa. Długie jasne włosy wyglądały, jakby piorun w nie strzelił, pełno w nich też było pokruszonego tynku. Twarzy pokrytej warstwą rozsmarowanej sadzy nie sposób było opisać, a mimo to...

– Trzymaj się, Sylwia! – zawołała Niska, rozpoznając koleżankę. – Zaraz będzie po wszystkim.

– Magda, do mnie! – przywołał podwładną kapitan, do którego właśnie dotarło, że jest ona najważniejszą kandydatką na opiekunkę ratowanych. – Przejmiesz... – wskazał wiszącą wciąż na skraju zapadliska kobietę.

– Pietrasową – podpowiedziała mu Niska.

– Przejmiesz Pietrasową, dasz jej koc – skinął na stojącego w pogotowiu Kukłę – uspokoisz jeśli trzeba i skierujesz do korytarza. Niech tam czeka na zakończenie akcji. Gdyby oponowała, powiedz, że odprowadzimy je na dół wszystkie razem. Tylko się uwiń, bo zaraz będziemy mieli tutaj kolejną uratowaną.

– Tajest.

Nie musiał jej pilnować. Na razie była najpewniejszym ogniwem małego oddziału. W życiu by się nie spodziewał, że jakakolwiek funkcjonariuszka zostawi daleko w tyle jego pupilów, a tu proszę.

Olkiewicz i Bednarek położyli się na trzeszczącej podłodze, chwycili Sylwię za ręce i pociągnęli do siebie. Gdy tylko znalazła się na pewniejszym gruncie, odpełza w głąb kaplicy, prosto pod nogi czekającej już na nią Magdy.

– Gdzie moja córeczka? – wychrypiała, zanim zdołała wstać.

– A gdzie ją zostawiłaś? – zapytała Niska, rozsypując węzeł.

Trzybiński znał się na rzeczy, wystarczyło więc tylko wyjąć końcówkę liny z pętli i pociągnąć za nią mocniej, by kobieta została uwolniona z bardzo solidnej uprząży.

– Oddałam ją jakiejś staruszce, kiedy ruszyłam na pomoc rannym – wyszeptęła Sylwia, wbijając zapuchnięte od płaczu oczy w koleżankę z bloku. – Tam, na placu przy spacerniaku.

– W takim razie jest cała i zdrowa – zapewniła Magda, okrywając ją kocem. – Zaraz cię do niej zaprowadzimy, obiecuję, ale najpierw musimy uratować pozostałe...

Okrutny skupił się ponownie na akcji ratunkowej.

Lina została zrzucona w tym samym miejscu co poprzednio, a już chwilę później Piotr zameldował, że druga z kobiet jest gotowa do ewakuacji.

Tym razem do kaplicy wciągnięto nieco drobniejszą blondynkę o wielkich, wystraszonych oczach, jeszcze bardziej umorusaną i zapłakaną od uratowanej wcześniej koleżanki. Ubranie miała podarte w kilku miejscach i mocno pobrudzone sadzą, z czym kontrastowały czerwone trampki.

W chwili gdy Olkiewicz i Bednarek wyciągali do niej ręce, załamał się kolejny fragment podłogi przy krawędzi. Dziewczyna zniknęła z przeraźliwym piskiem w poszerzonym o kilkadziesiąt centymetrów otworze, w dół posypało się sporo gruzu. Jodłowski i jego dwaj pomocnicy pomimo kompletnego zaskoczenia zdołali utrzymać linę, zatem skończyło się tylko na strachu.

Okrutny podbiegł natychmiast do ściany, zatrzymał się jednak trzy kroki od krawędzi, po czym zawrócił i przepychając się między chłopakami, potruchtał aż pod ołtarz. Stał tam, gdzie przedtem Gronowski, by mieć lepszy widok na rumowisko.

Nowa lawina poruszyła strome osypisko, podnosząc przy okazji chmury gęstego pyłu. Trzybiński zdążył na szczęście uskoczyć, podobnie jak dwie z trzech osaczonych kobiet, ale ostatnia z nich albo się zagapiła, albo była zbyt oszołomiona, a że znajdowała się najdalej od Piotra, skończyło się to fatalnie. Leżała teraz pomiędzy rozpaczającymi koleżankami z nienaturalnie wykrzywionym podudziem. Jakiś kamol musiał jej strzaskać kolano bądź złamać kość piszczelową tuż pod stawem.

– Szlag by to... – Kapitan przeniósł wzrok na wrzeszczącą głośniej od rannej blondynkę, która wisiała tuż pod poziomem podłogi, okręcając się wokół własnej osi i dłońmi chwytając powietrze zaledwie centymetry od krawędzi.

– Wyciągajcie ją, ale migiem! – rozkazał trójce funkcjonariuszy.

Olkiewicz i Bednarek znów padli na podłogę, aczkolwiek tym razem mniej ochoczo, i jeszcze ostrożniej niż przed chwilą przesuwali się w stronę zapadliska. Na ich szczęście dziewczyna uspokoiła się nieco, dzięki czemu zrobiła jedyne, co w tej sytuacji mogło pomóc: złapała za krawędź podłogi i przestała się kręcić. Gdy więc podciągnięto ją odrobinę wyżej, od razu uczepliła się wyciągniętych ku niej męskich rąk.

– Spokojnie, Małgosiu, spokojnie – powitała ją moment później Niska. – Już po wszystkim.

Kapitan pokręcił z niedowierzaniem głową. Magda знаła chyba każdego, kto przewinął się przez jej rewir. Z drugiej strony i jemu twarz uratowanej wydała się znajoma, choć nie potrafił jej w żaden sposób umiejscowić.

– To ktoś z naszych? – zagadnął.

– Tak, towarzyszu kapitanie. To plutonowa Harasimiuk z intendentury.

– Odprowadź ją na korytarz i wracaj jak najszybciej – polecił, przypominając sobie, skąd zna tę dziewczynę.

Wezwał ją jakiś czas temu na dywanik z powodu kota, czarno-białego dachowca wabiącego się Cezary, który marcował całą noc pod oknami jego służbowej sypialni. Zrugął ją jak burą sukę, mimo że patrzyła na niego tymi wielkimi, zapłakanyimi oczami.

Lina po raz trzeci poleciała w dół.

– Dawaj teraz ranną! – zakomenderował Okrutny.

– Nie da rady, kapitanie – odkrzyknął Trzybiński. – Ma zmiażdżony staw kolanowy. Muszę najpierw unieruchomić całą nogę, w przeciwnym razie... – Pokręcił głową i rozłożył ręce.

– Czego ci trzeba?

– Mam tu wszystko – zapewnił Piotr, ściągając koszulę.

Nakazał kobietom odsunąć ranną, lecz gdy spróbowały podnieść koleżankę, zawyła z bólu tak przeraźliwie, jakby ją ze

skóry obdzierano. *Skoro odczuwa taki ból przy niewielkim ruchu, pomyślał kapitan, wciągnięcie jej do kaplicy może się okazać niemożliwe. Jeszcze nam umrze podczas transportu.*

Trzybiński wspiął się tymczasem na strome osypisko, wyszarpnął spośród brył gruzu ułomek deski, ocenił wzrokiem jego długość, po czym cisnął na trawnik. Potrzebował czegoś dłuższego... Kilka sekund później wypatrzył odpowiedni kawałek drewna. Mocował się z nim jakiś czas, lecz w końcu metrowa decha została mu w rękach. Jednakże jego szarpanie wywołało małą lawinę. Na ziemię potoczyły się cegły, na szczęście żadna nie doleciała do miejsca, w którym złożono raną.

– Najpierw przygotuj mi następną do jazdy, a dopiero potem zajmij się zakładaniem łupków – rozkazał Okrutny, świadom, że tej nieszczęsniczce raczej nie zdołają pomóc.

Ale spróbujemy, obiecał solennie w myślach.

Został pod ołtarzem. Stąd miał pełen ogląd sytuacji, nie zawadzał też pracującym chłopakom. Przyjrzał się, jak Piotr opasuje trzecią z pięciu kobiet liną, jak podprowadza ją do skraju rumowiska, a później pokazuje drogę na szczyt, skąd zostanie bezpiecznie podciągnięta.

– Trzymaj się, Ida! – zawołał Okrutny, przykładając dłonie do ust.

Znał ją dobrze, była maszynistką, pracowała od dwóch lat z jego żoną. Mieszkała na Krzykach, ale Lucyna pamiętała na szczęście numer telefonu do jej sąsiadów, małżeństwa inżynierów z elektrociepłowni, dzięki czemu została ewakuowana w pierwszej albo drugiej turze.

Usłyszała jego głos, spojrzała w górę, mrużąc oczy – w tym momencie zauważył, że straciła okulary. Uśmiechnęła się chyba, nie mógł być tego całkowicie pewien, niemniej przysięgłby, że tak właśnie było. Chciała mu pomachać, lecz pechowo osunęła się jej noga, przypadła więc tylko z okrzykiem strachu do przyzmy gruzu, aby nie upaść i nie stoczyć się w dół. Ta lawina była najmniejsza ze wszystkich, ale sprawiła, że jeden z masywniejszych fragmentów rozwalonej ściany, ten, na którym kobieta oparła przed chwilą prawą stopę, zjechał prawie do

podnóża osypiska, wzbijając kolejne tumany pyłu.

– Dawać, panowie! – wrzasnął Okrutny, odrywając na moment wzrok od tego, co działo się na dole.

– Tajest!

Ida zapiszczała dziwnie, a gdy Jodłowski et consortes zaczęli wybierać linę, poczuli zastanawiająco silny opór. Zbyt duży jak na ciężar jej ciała – choć oceniając na oko, była najtęższa z dotychczas ewakuowanych kobiet. Wytężyli się więc jeszcze bardziej, zaparli i... opór nagle zniknął, a oni wylądowali na tyłkach.

– Ejże! – Kapitan wykonał ostrzegawczy gest. – Ostrożnie, to nie wór kartofli, tylko człowiek!

Przeniósł wzrok na trawnik za rumowiskiem. Trzybiński nie asekurował liny, obwiązał ją wokół olbrzymiego fragmentu zawalonej ściany, a sam zajmował się opatrywaniem rannej. Przygotowywał się właśnie do wyprostowania jej nogi, co było konieczne przed założeniem prowizorycznych łupków ze zdobytych desek i jego własnej koszuli. Kapitan zmrużył oczy i zacisnął zęby, wiedząc, co za moment nastąpi. Nie zdążył jednak ostrzec pozostałych. Funkcjonariusze stanęli jak wryci, gdy z dołu dobiegł przesywający skowyt.

– Co tam się wyrabia? – zapytał Jodłowski.

– Spokojnie, panowie. Piotrek prostuje złamaną nogę.

– Brr – wzdrygnął się Kruk.

– Nie gadamy, podciągamy. Ruchy, ruchy. – Okrutny spojrzał w kierunku Idy, znajdującej się już w połowie drogi.

Tyle dobrego, że ona nie panikuje, pomyślał, widząc, że ratowana kobieta ściska obiema dłońmi linę. Jeszcze kilka pociągnięć i znalazła się na poziomie kaplicy. W odróżnieniu od poprzedniczek nie chwyciła jednak kurczowo krawędzi podłogi, tylko od razu wyciągnęła ręce do czołgających się w jej stronę funkcjonariuszy.

Kapitan zerknął na moment w dół, by zobaczyć, jak radzi sobie Trzybiński, jednakże coś zwróciło jego uwagę. Jakiś ruch na szczycie rumowiska...

– Kurwa mać! – jęknął, odskakując od krawędzi wyrwy. – Nie!

... – Tyle zdołał wykrzyczeć, zanim Ida chwyciła Olkiewicza i Bednarka za nadgarstki. – Jodłowski, puśćcie linę! Natychmiast!

Cała trójka rozwarła dłonie naraz, ale Ida pozostała na skraju podłogi. Pełza ku reszcie funkcjonariuszy w całkowitej ciszy, nie puszczając rąk Olkiewicza i Bednarka, którzy leżeli nieruchomo jak kłody.

No tak, wystarczy przecież jeden dotyk... Ta myśl poraziła Okrutnego jak sierpowy prosto w szczękę.

– Co wy... – w drzwiach stanęła Niska.

– Kukła! – wydarł się kapitan. – Łap za toporek! Przetnij obie liny zabezpieczające! Już! – Powinien był się spodziewać, że niewiele to da. Wojtek, który nie doszedł jeszcze do siebie, skulił się tylko, jakby ktoś chciał go wybatożyć. – Magda... Nie!

Funkcjonariuszka, która wróciła właśnie z korytarza i nie rozumiała, o co w tym wszystkim chodzi, doskoczyła do zarażonej, chcąc jej pomóc. Na oczach wszystkich ujęła Idę za ramiona, zachwiała się, jakby ją zamroczyło, a potem padła jak ścięta na twarz i znieruchomiła w nienaturalnej pozycji obok Olkiewicza, który wzdrygnął się nagle, jakby prąd przeszył jego ciało, i zaczął wstawać. Moment później poruszył się także Bednarek.

– Wycofujemy się! – ryknął kapitan. – Lemański, ruchy! – Pchnął zaskoczonego Karola w kierunku przejścia za ławkami, ale ten natychmiast zawrócił i ukrył się za jego plecami. – Co ty wyprawiasz, durniu?! – rozzłościł się Okrutny. – Musimy wiać! To zombie!

Na to hasło wszyscy zaczęli się drzeć. Najpierw wrzasnął Kukła, ciskając kocami we wstających odmieńców, potem zaskamlał Jodłowski, a za nim rozkrzyczeli się pozostali. Siedzący wciąż na tyłkach funkcjonariusze jęli się cofać, nie wstając, a że Bednarek zatoczył się właśnie w stronę krat, wybrali ucieczkę w przeciwnym kierunku, pod ołtarz, gdzie stał klnący jak szewc dowódca.

Idą prosto w pułapkę bez wyjścia!

Kilkanaście sekund wystarczyło, by troje nieumarłych zablokowało wyjście z kaplicy – Niska dopiero wstawiała, ona

jedna była skierowana twarzą do zapadliska.

Funkcjonariusze stłoczyli się za plecami Okrutnego, a on miał taką pustkę w głowie, że nie był w stanie wymyślić żadnego sensownego posunięcia. Stał więc tylko i patrzył, jak Ida człapie powoli ku struchlałemu Wojtkowi. Obserwował Bednarka, wytaczającego się pijackim krokiem za kraty, na korytarz, dokąd Magda odprowadziła obie uratowane kobiety. Nawet nie drgnął, gdy usłyszał ich cichnące w oddali piski, choć doskonale wiedział, że drogę ucieczki mają odciętą, przejście do bloku zostało bowiem starannie zamknięte. Sparaliżowała go świadomość, że to już koniec, że zawiódł nie tylko swoich ludzi, ale i wszystkich pozostałych ewakuowanych.

– Towarzyszu kapitanie. – Lemański trącił go w bark. – Co mamy robić?

– Nie wiem – mruknął.

– Ale ja nie chcę tak umierać – załkał Lenart.

– Musicie coś zrobić! – wrzasnął Kruk, gdy Ida potknęła się o ciało Kukli i wyrznuwszy głowę w bżeg ławki, zwała się bezwładnie na podłogę.

Ławki...

Niska także zdołała już wstać, właśnie robiła pierwszy chwiejny krok przed siebie... Szła prosto na wyrwę w podłodze. Jeszcze jedno szurnięcie stopą... i zniknęła im z oczu. Spadała w kompletnej ciszy, za to z dołu niemal natychmiast dobiegły nowe wrzaski.

Zapadlisko...

Okrutny otrząsnął się jak pies wybiegający z wody.

Dwie przewagi, przypomniał sobie. Szybkość i inteligencja.

Nie spuszczając nieumarłych z oka, rzucił przez ramię:

– Jodłowski, weźcie kogoś, podnieście ten krzyż i jeśli się da, odłupcie czymś tę rzeźbę – wskazał Jezusa.

– Ale... – bąknął zaskoczony Adam.

– Żadnych ale, wykonać rozkaz – warknął kapitan. – Kruk, Lenart, przeciągnijcie ławki tak, żeby całkiem zatarasować przejście.

– Tajest! – Hubert i Radek natychmiast wzięli się do roboty.

W mgnieniu oka pomiędzy zombie a resztką oddziału wyrosła niska barykada. Nie zatrzymałaby ludzi, ale te potwory wydawały się takie nieruchawe...

Wojciech obrócił się, powiódł wzrokiem po twarzach podwładnych. Stracił połowę zespołu, lecz ci, którzy ocalili, zachowywali się wyjątkowo przytomnie. Widmo rychłej śmierci i brak drogi ucieczki podziały na nich mobilizująco. Musiał wykorzystać ten stan, zanim...

– Jodłowski, stańcie z krucyfiksem tu – wskazał nietkniętą ścianę. – Reszta wycofuje się tam – wymierzył palcem w stronę zapadliska.

– A... co z nimi? – Kruk zerknął w dół. – Magda... Oni... Co z nimi będzie?

Dowódca pominął to pytanie milczeniem. Miał teraz ważniejsze sprawy na głowie niż przejmowanie się losem ludzi skazanych na pewną śmierć, którym nie mógł w żaden sposób pomóc.

– Gronowski, dacie radę zepchnąć ołtarz?

Wywołany funkcjonariusz pociągnął mocno przechyloną drewnianą konstrukcję.

– Sam nie, ale z pomocą kilku par rąk... – Spojrzał znacząco na kolegów.

– Ruchy na sprzęcie!

Nie musiał im powtarzać. Zanim Ida zdążyła ponownie wstać, spore tabernakulum wylądowało z hukiem na przymie gruzu, jakieś dwa metry od Magdy czołgającej się w stronę rannej kobiety. Podczas upadku Niska połamala sobie obie nogi i jedną rękę, nawet z tej odległości kapitan widział sterczące białe kości. Jej głowa przypominała piłkę, z której spuszczone powietrze, lecz mimo to nieumarła kierowała się prosto na unieruchomioną, półprzytomną nieszczęśniczkę. Pozostali – dwie kobiety i Trzybiński – cofnęli się na tyle, na ile mogli. Stali teraz zbici w grupkę jakieś trzy metry od skraju gruzowiska. Jakikolwiek ruch mógł zwrócić na nich uwagę zombie okupujących pobliski skwerek. Okrutny spojrział w miejsce, w którym dostrzegł przedtem ruch, i tym razem zobaczył wyraźniej postać pozbawionej nóg dziewczynki, która pełzła już w stronę kolejnej

ofiary, zostawiając za sobą szeroki krwawy ślad i... wnetrznosci.

Wybaczenie, powiedział w myślach, wbijając wzrok w trójkę ludzi, których musiał skazać na śmierć, by ocalić – albo i nie – dwa razy więcej osób.

– Gotowi? – zwrócił się do podwładnych, a gdy przytaknęli, wyjawiał im szczegóły nowego planu. – Zrobimy tak. My będziemy robili za przynęty – wskazał siebie i trzech mężczyzn, którzy przed chwilą zepchnęli ołtarz w przepaść. – Zwabimy nieumarłych pod barykadę i poprowadzimy ich, jak najdalej się da, w stronę zapadliska. Jeśli sami nie pospadają, wycofamy się pod tamtą ścianę, aby Jodłowski i Gronowski mogli zepchnąć ich krzyżem. Jakieś pytania?

– Jeśli ich tam zrzucimy...

– Wiem – uciszył go kapitan. – Nie mamy innego wyjścia. Chyba że któryś z was wpadnie na lepszy pomysł?

Odpowiedziało mu tylko szuranie podeszew po pokrytym gruzem linoleum, oznaczające, że jego ludzie posłusznie zajmują wyznaczone pozycje.

Ida była już przy ławkach, kładła się na nie, napierała na barykadę, wyciągając do ludzi rozczapierzone dłonie. Oczy miała wywrócone jak każdy zarażony, prawą stronę jej głowy pokrywała ciemna, niemal czarna krew sącząca się z pokaźnej rany na skroni. Kukła znajdował się dwa metry dalej, także szedł w ich stronę, wyprzedzając o krok Olkiewicza. Scena ta rozgrywała się w niemal idealnej ciszy, zupełnie jakby oglądali niemy film. Szare twarze, groteskowe sztywne ruchy, wszystko to przypominało sceny z „Nosferatu” albo „Gabinetu doktora Caligari”.

Okrutny, który stał najbliżej nieumarłych, przesunął się wolno w stronę zapadliska. Trzej funkcjonariusze zrobili to samo. Zombie szli za nimi jak uwięzani na sznurkach. Ożywili się nieco, wyczuwszy obecność większej liczby ludzi. Dotarli prawie na skraj wyrwy, ale od zapadliska dzielił ich jeszcze metr, gdy kapitan dotarł do ściany przy ołtarzu. Chciał się cofnąć, lecz nie bardzo miał gdzie, ponieważ tuż za jego plecami stało trzech wylęknionych jak diabli funkcjonariuszy. Nieumarli zaczęli

napierać, ciężar ich ciał przesunął barykadę o kilka centymetrów, ich łapska chwyciły powietrze nie dalej niż pół metra od jego torsu.

– Lenart, przesuniecie się odrobinę w prawo – rzucił kapitan, nie spuszczać wzroku z zombie.

Radek wykonał polecenie, jednakże Kukła także natychmiast się odsunął od wyrwy w podłodze.

– Jodłowski!

– Tajest!

Obaj Adamowie podnieśli wspólnymi siłami krucyfiks, chwycili go za podstawę i dzierżąc jak taran, ruszyli przed siebie.

– Wolniej! – rozkazał Okrutny. – Nie uderzajcie w nich, tylko ich spychajcie.

Wykonali polecenie. Popchnęli Kukłę na Bednarka, zderzenie było na tyle silne, że trącony kapral zrobił dwa chwiejne kroki i stracił równowagę. Głośne chrupnięcie zakończyło jego krótki lot.

– Jeden zero – mruknął Jodłowski.

– Dalej, dalej!

Kolejne pchnięcie zgarnęło Kukłę, posyłając go śladem kierowcy naczelnika. Z Idą było nieco trudniej, lecz gdy funkcjonariusze odsunęli się od zapadliska, i ona podzieliła los ludzi, których pozbawiła wcześniej życia.

Kaplica została oczyszczona szybciej i sprawniej, niż liczył kapitan. Niestety nie był to jeszcze koniec. A co gorsza, ta chwila ulgi stała się wyrokiem śmierci dla ludzi uwięzionych na dole.

Okrutny stanął przy krawędzi. Zrzućeni zombie nie byli w stanie się podnieść, podobnie jak Magda mieli połamane kończyny, a Kukła skreślił też chyba kark, jednakże wszyscy nadal się poruszali, próbowali przynajmniej pełzać, było więc tylko kwestią czasu, kiedy stoczą się z rumowiska i zmuszą Trzybińskiego do podania tyłów. Niska uwalą się właśnie na ranną, zabicie tej kobiety spowolni ją, ale nie na długo. W dodatku kawałek za nią znajdowała się okaleczona dziewczynka...

– Musicie uciekać! – zawołał Okrutny, przykładając dłonie do

ust. – To wasza jedyna szansa! Pamiętaj, macie przewagę szybkości i rozumu!

O swojego człowieka był spokojny, nie miał natomiast żadnej pewności, czy obie kobiety zachowają się jak trzeba. Nie mógł jednak nic więcej zrobić. Próba ocalenia reszty oddziału wymagała odcięcia uwięzionych na dole od rumowiska, gdyby więc nawet mu się udało zamknąć kratę prowadzącą na korytarz i zmobilizować tę piątkę, niewiele by zdziałał, ponieważ Trzybiński i tak nie miałby dostępu do liny – na osypisku znajdowało się aż sześcioro odmieńców.

Piotr też to rozumiał. Przemawiał właśnie do płaczących kobiet, wskazując im kierunki, w których powinny biec. Potakiwały co chwila, lecz... Kapitan zerknął przez ramię.

– Uda im się – szepnął Lenart.

– Musi się udać – poparł go Kruk.

Trzybiński odsunął się w końcu od towarzyszek niedoli, spojrzął po raz ostatni w górę, zasalutował dwoma palcami, na co koledzy odpowiedzieli mu gromkim, dodającym otuchy okrzykiem. Moment później zrozumieli, jaką wybrał taktykę. Ruszył pierwszy, lawirując, aby odciągać nieumarłych na boki i dzięki temu stworzyć szeroki na kilka metrów korytarz, którym kobiety zdołają przebiec przez skwerek. Szybkość i inteligencja. Wiedział, jak je wykorzystać. Najpierw zwrócił na siebie uwagę trzech nieumarłych z lewej, sprytnym unikiem zanurkował pod rękami czwartego, po czym zawrócił w pełnym biegu, by powtórzyć ten sam manewr bliżej ściany.

To naprawdę sprytne, uznał Okrutny, przyglądając się z niekłamanym podziwem, jak Piotr oczyszcza swoim towarzyszkom przedpole. *Ma spore szanse...*

– Kurwa mać!

Zabrakło minuty, może dwu. Ida stoczyła się właśnie z osypiska. Magda porzuciła odmienioną ofiarę i przydeptując jelito grube pełznącej wciąż dziewczynki, ruszyła ku struchlałym kobietom, które teraz już nie miały wyjścia, musiały uciekać, zanim dostaną się w łapy bezwzględnych zombie. Problem jednak polegał na tym, że Trzybiński oczyścił dopiero połowę trasy. Pierwsze

czterdzieści metrów mogły pokonać bez trudu, ale najgorsze miały wciąż przed sobą: skwerek z fontanną i żywopłotami ograniczającymi swobodę ruchu, gdzie na dodatek tkwiło najwięcej zarażonych. Okrutny zaklął jeszcze siarczyściej, kiedy jedna z kobiet na widok zmierzających w jej kierunku czterech bestii najpierw zatrzymała się, a potem skuliła, przypadając do ziemi. Druga stanęła przy niej, jakby sama bała się iść dalej.

– Co wy wyprawiacie?! – wydarł się Jodłowski. – Chodu, dziewczyny!

– Dalej! Dalej! – Kolejni funkcjonariusze przyłączali się do dopingu.

Piotr też coś krzyczał, ale nie mogli tego słyszeć. Gdy kobiety nie zareagowały w żaden sposób, ruszył w ich kierunku, jednakże było już za późno. W sytuacji takiej jak ta wahanie może trwać sekundę, dwie, ale nie pięć. Coraz więcej nieumarłych parło w stronę dostrzeżonych ofiar.

– Zawracaj, durniu! – ryknął Okrutny, machając ręką.

Trzybiński miał jeszcze szansę na ratunek, wystarczyłoby, aby odpuścił. Aby zrozumiał, że ta szarża jest z góry skazana na niepowodzenie. Lecz nie, on dalej kluczył jak szaleniec pomiędzy schodzącymi się ze wszystkich stron zombie. Zauważył w końcu, że to nic nie daje, ale było już za późno – i dla kobiet, i dla niego. Zatoczył się, gdy musnęła go pierwsza ręka, potknął, przetoczył zwinnie, jak uczono na gimnastyce. Wstał, ale nie był już tak szybki i sprawny jak jeszcze przed momentem. Drugie dotknięcie sprawiło, że wyładował na czworakach. To także go nie powstrzymało, lecz w tej pozycji nie miał szans na umknięcie pogoni. Opadli go jak mrówki gąsienicę. W mgnieniu oka zniknął pod płataniną ciał.

Kapitan zerknął w miejsce, w którym widział po raz ostatni obie kobiety. Tam sytuacja przedstawiała się podobnie.

– Szlag... – spuścił głowę.

– Co teraz, towarzyszu kapitanie? – z głosu Lenarta przebijał strach.

– Nic. Musimy się przebić do bloku, stosując tę samą taktykę. Zwabimy tutaj te dwie nieszczęsne kobiety i zepchniemy je na

rumowisko. To samo zrobimy z Bednarkiem.

– Jak chcecie zwabić te potwory?

– Normalnie. Pójdę tam i przyprowadzę je kolejno albo wszystkie naraz. – Wzruszył ramionami.

– Nie możecie – zaprotestował Jodłowski.

– Dlaczego?

– Sami powiedzieliście, że jak was zabraknie, to wszystko...

– Myliłem się – przerwał mu Okrutny. – Jak widać, moja obecność niewiele pomaga.

– To nieprawda – zaperzył się Lenart. – Gdyby nie wy...

– Gdyby na moim miejscu był ktoś rozsądniejszy albo uważniejszy, wszyscy byśmy wciąż żyli! – wypalił.

– Na takie piekło nie ma mądrych, towarzyszu kapitanie – odpowiedział Gronowski. – Ja pójdę.

– I ja – zaoferował się Lemański.

– Milczeć! – Okrutny zmierzył ich groźnym spojrzeniem. – Nie mogę stracić nikogo więcej.

– Nie, towarzyszu kapitanie, to my nie możemy stracić was.

– Wydałem rozkaz!

– A my go nie wykonamy, jak Kukła – skwitował Lenart.

Zanim zdążył chwycić Gronowskiego, Lemański i Jodłowski przeskoczyli przez barykadę i pognali w kierunku otwartych drzwi.

– Wracać tu, durnie! – zawołał, szamocząc się z Adamem. – Zwolnijcie chociaż...

Głos uwiązał mu w gardle, gdy dostrzegł jakiś ruch w mroku korytarza. Obaj funkcjonariusze spojrzeli za siebie, słysząc krzyk dobywający się z gardeł kolegów. To był ostatni błąd, jaki popełnili tego dnia. Zanim zdążyli odwrócić się ponownie do krat, wpadli w objęcia... chyba Pietrasowej. Trudno było powiedzieć, która to z uratowanych wcześniej kobiet, ponieważ nie miała głowy.

– I co teraz, towarzyszu kapitanie? – Grobową ciszę przerwał szept Lenarta.

– Teraz robicie, co powiem – odwarknął Okrutny, puszczając Gronowskiego. – Nie stać nas na kolejny błąd.

*sobota, 10 sierpnia 1963, godzina 06:51
Magazyn PSS „Społem”, bocznicą kolejową,
dworzec Wrocław Nadodrze
oraz*

Zajezdnia Tramwajowa Nr 2 przy ulicy Słowiańskiej 16–30

Rażące mimo wczesnej pory słońce zapowiadało nadejście kolejnego upalnego dnia, co bynajmniej nie cieszyło wystawiającego twarz na bijące z błękitnego nieba ciepło Sprychy. Właśnie stracił nadzieję na swoje prywatne eldorado, miejsce, dzięki któremu miałby szanse przetrwać najgorsze – czyli pierwsze dni, a może nawet tygodnie tej masakry. Magazyny „Społem” świeciły pustkami, rozszabrowane... Zaraz, wróc, to niezbyt właściwe określenie. Towarów z tego składu nie rozkradła wściekła tłuszcza. Ktoś opróżnił go z rozmysłem, metodycznie, wynosząc całą zgromadzoną żywność. I zrobił to na długo przed tym, nim miasto zostało opanowane przez hordy tych... bestii.

– Co teraz? – z zamyślenia wyrwało go pytanie zadane półgłosem przez Kaczmarka.

– To zależy – odpowiedział wymijająco, gdyż nie miał pojęcia, co w tej sytuacji zrobić. Powiódł wzrokiem po otaczających magazyn parterowych budynkach. – Co tam trzymają?

– Sam szajs – odparł złodziej, po czym wskazując palcem odpowiednie baraki, jął wymieniać: – W czwórce jest skład materiałów budowlanych. Cement, gips, farby i tym podobne cuda. W szóstce znajdziesz same wiadra, miednice, balie, tarki, konewki, emaliowane gary. Ósemka to tkaniny: pościel, firany, ręczniki. Dziesiątka buty, Dwunastka chemia gospodarcza: szare mydło, proszek IXI, Pollena...

– A żarcie? – wpadł mu w słowo Fabian. – Znajdzie się w którymś żarcie?

Kaczmarek zaprzeczył zdecydowanym ruchem głowy.

– Nie.

– Jesteś pewien?

– Całkowicie. Sto razy chesaliśmy te magazyny, zanim wpadłem.

– Zatem... – Sprycha spojrział w kierunku niewidocznej z tego miejsca zajezdni. – Chyba lepiej będzie wrócić do tramwajarzy.

– Tu jest bezpieczniej – zaproponował złodziej. – Daleko od ulicy, za solidną bramą. Bestie nie wejdą do środka, choćby się posrały.

– Tynk ze ścian chcesz żreć? – Jedno krótkie pytanie ucięło tyradę Kaczmarka. – A może ugotujemy sobie w tych baliach z szóstki buty, jak Charlie Chaplin na filmie? Rozejrzyj się... – Rozłożył szeroko ręce. – To tereny przemysłowe, wszędzie stąd daleko, a tam, jeśli zabarykadujemy bramy, możemy urządzić całkiem niezłą melinę. Ten ich budynek biurowy też wygląda na solidny. Okna ma zakratowane, a drzwi... – Zamyślił się. – Wokół pełno zwartej zabudowy, a to znaczy, że wystarczy przebiec przez ulicę, by dostać się do pobliskich sklepów, knajp, mieszkań. No i nie zapominajmy o drogach ucieczki. Możemy pitnąć praktycznie na wszystkie strony. Pójść torami za miasto, przez ogrodzenie do sąsiednich kamienic, wrócić tutaj. Poza tym Ruskie nawet nie spojrzą na takie miejsce, o ile w ogóle wejdą do Wrocławia... – znów zamilkł.

Wsluchując się w ciszę panującą nie tylko nad magazynami, uświadomił sobie, że Okrutny okłamał swoich ludzi. Nie było żadnej interwencji. Od momentu, w którym krasnoarmiejcy mieli zaatakować, minęło ponad pół godziny, a od strony rogatek nie dobiegały żadne niepokojące dźwięki. Nikt nie strzelał, nie ryczały silniki pancernych kolosów, nie spadały bomby. Miasto zostało pozostawione na pastwę tych... tych odmieńców. *Inas*, pomyślał Fabian, uśmiechając się pod nosem. *Kto jak nie my poradzi sobie w nowych warunkach? Kto jak nie my nadaje się do rządzenia wypaczonym światem?*

– Czyli wracamy? – upewnił się Kaczmarek.

– Nie inaczej.

* * *

Pozostałym nie spodobało się to, co usłyszeli od Fabiana.

– Co tam jest takiego, czego tu nie ma? – zapytał Grzelak, któremu nie uśmiechał się powrót do słabo chronionego miejsca, gdzie aż roiło się od odmieńców.

Sprycha zauważył, że złotowa wyraża pogląd większości, całkiem jakby obgadali tę sprawę pod jego nieobecność, i postanowił zdławić w zarodku tę próbę buntu.

– Woda – odparł.

Buńczuczne miny zrzedły, ponieważ trafił w sedno. Zostając w magazynach, musieli się liczyć z brakiem zarówno jedzenia, jak i wody pitnej. A w zajezdni mieli do dyspozycji nie dość, że kranówkę – Fabian oczywiście nie wspomniał nawet słowem, że ta skończy się, ledwie wodociągi stracą zasilanie, czyli pewnie niedługo – to jeszcze spory zapas mineralnej. Podczas przeszukiwania hali Nerynk natknął się na kanciapę pełną skrzynek z butelkami z wodą, którą chłodzili się pracownicy tramwajarskich warsztatów. Było ich może niewiele, ale jeśli zaraz po powrocie do zajezdni napełnią puste flaszki, utworzą zapas wystarczający dla całego gangu na kilka tygodni, co w nowej rzeczywistości oznaczało wóz albo przewóz.

Dla pewności powtórzył im też to, co powiedział wcześniej Kaczmarkowi. Chciał, by uwierzyli, że zajezdnia jest miejscem, jakiego im teraz trzeba. Przekonał większość, niemniej Grzelak i Nerynk, sądząc po minach, wciąż byli na nie.

– Moglibyśmy przenieść wszystkie zapasy – upierał się taryfiarz, czując wsparcie kozielskiego kibola.

– Chciałbyś zasuwać w tę i z powrotem tyle razy? – zaśmiał się Sprycha. – Po otwartym terenie? W biały dzień? Przeciskać się przez te chaszczki ze skrzynkami wody i worami tego, co uda się wyszabrować? Może jeszcze namalujemy na magazynie wielki napis: „Sprycha i spółka. Zapraszamy wszystkich. Oferujemy darmową wyżerkę i picie, jeśli zdołacie nas zabić”. Ocknij się, człowieku, za parę dni zasmarkany bachor zasadzi ci kosę za kilka łyków czystej wody. Pod pewnym względem – dodał, patrząc im ostro w oczy – to jest ten wasz Armagedon. Tylko tam – wskazał na niewidoczną z placyku zajezdnię – mamy

szanse na doczekanie jego końca.

– Tutaj wszystko jest ogrodzone – upierał się nadal Grzelak. – Nigdzie nie widać żywej duszy...

– Ani martwej! – wtrącił stojący tuż za nim Nerynk.

– To prawda – przyznał Fabian – ale już za kilka godzin może się tu od nich roić. A w magazynach nie ma niczego, co pozwoli nam przeżyć. Ani grama żarcia, ani kropli wody. Jak wam zacznie w kiszkach grać, będziecie musieli wyprawić się aż za tory. A przy tej tam... – pstryknął niecierpliwie, próbując sobie przypomnieć nazwę ulicy.

– Słowiańskiej – podpowiedział mu usłużnie Kaczmarek.

– Przy Słowiańskiej – podjął Sprycha – na wprost zajezdni widziałem nie tylko szyld jakiegoś spożywcza, ale i szynku.

Żarcie żarciem, ale co wóda, to wóda. Musiała podzielać na ich wyobraźnię.

– I co z tego, skoro na jezdni sterczy setka tych popaprańców – zakpił Grzelak.

– Pozbędziemy się ich – zapewnił go ze spokojem Fabian.

– Niby jak?

– Zobaczysz. Obiecuję. Zajmę się tym, jak tylko wrócimy na teren zajezdni. Albo i nie zobaczysz, bo zacznasz mnie wyprowadzać z równowagi, a jak ktoś mnie wkurwia, to zazwyczaj marnie i szybko kończy, prawda, chłopaki?

Taryfiarz prychnął pogardliwie. Był ze dwa razy masywniejszy od samozwańczego szefa, a sądząc po nosie, nieraz zdarzyło mu się oberwać, przy tej okazji jednak musiałby się zmierzyć nie tylko z drobnym, choć pozbawionym sumienia kanibalem, ale i z jego poplecznikami, których było... dziewięciu, tyłu bowiem chłopca stanęło właśnie za plecami Sprychy trzymającego prawą rękę w kieszeni.

Czy mam w niej coś, czym mógłbym cię okaleczyć, a nawet zabić? Lepiej tego nie sprawdzaj. Aluzja była aż nadto czytelna. Grzelak przełknął głośno ślinę, po czym wysunął przed siebie ręce w obronnym geście.

– Ja tylko... – zdążył powiedzieć, gdy na wschodzie rozległ się piekielny zgrzyt i huk, jakby doszło do następnej eksplozji.

Mimo że w niebo nie wzbił się kolejny ognisty grzyb, wszyscy przypadli do ziemi, rozglądając się bojaźliwie.

– Zbierajmy się stąd! – Fabian nie zamierzał przeciągać tej rozmowy, lecz zanim ruszył się z miejsca, posłał oponentowi znaczące spojrzenie. Bardzo znaczące.

Drugiej szansy nie będzie, zdawało się mówić, choć chłopięcą twarz kanibala z Ińska zdobił przyjazny uśmiech, ten sam, który doprowadził do zguby tyle panien.

Bez zachowywania wielkiej ostrożności przedostali się kolejno przez dziurę w ogrodzeniu, po czym ruszyli między barakami, rozmawiając już nie szeptem, ale półgłosem. Większość nie rozglądała się nawet, zostawiając tę robotę prowadzącemu grupę Kaczmarkowi. A ten wyprzedzał o dwa kroki Sprychę, który z kolei wysforował się ponad pięć metrów przed resztą gangu.

Złodziej dotarł właśnie do bocznic, zatrzymał się, zerknął w stronę lokomotywni, przy której poprzednio widzieli paru odmieńców, wreszcie – uspokojony bezruchem – przeniósł spojrzenie na wiadukt i znajdujący się za nim dworzec Nadodrze. Sprycha zatrzymał się w pół kroku, gdy zobaczył, że Tomasz przypada do ziemi. Syknął ostrzegawczo na pozostałych i dawszy im ręką znak, by zostali tam, gdzie stoją, podbiegł do wycofującego się rakiem zwiadowcy.

– Co jest?

– Leż tu – wysapał przerażony Kaczmarek. – Cały tabun!

Fabian minął go i zgarbiwszy się lekko, ostrożnie dotarł na skraj bocznic. Jedno spojrzenie wystarczyło mu do oceny sytuacji. Od strony dworca nadciągał tłum – nie odmieńców jednak, tylko zwykłych ludzi. Mężczyźni z kartonowymi walizkami w dłoniach, zerkający bojaźliwie przez ramię. Kobiety z tobołami na plecach, ciągnące potykające się dzieci. Dziesiątki ich tam były, jeśli nie setki.

Przed czymś uciekali. *Nietrudno się domyślić, przed czym*, pomyślał Sprycha, na głos zaś poinformował:

– Z dworca wieją ludzie. – Jest ich mrowie. Wiecie, przed kim uciekają.

– Zawracamy? – zapytał z nadzieją w głosie Grzelak.

– Nie. Idziemy do zajezdni najszybciej, jak się da.

– Ale...

– Żadnego ale. Są wciąż na tyle daleko, że bez trudu zdążymy przebiec przez tory i porządnie zamknąć furtkę.

Powiedziawszy to, rzucił się biegiem w kierunku bocznic, ciągnąc za sobą podnoszącego się dopiero Kaczmarka. Nie odwracał się, nie musiał sprawdzać, czy go posłuchali. Po pierwsze nie miał czasu na takie zabawy, po drugie wolał, by ci, którym coś nie pasuje, pożegnali się tu i teraz, gdyż zabicie ich w nowych warunkach byłoby cokolwiek kłopotliwe.

Przedarł się przez zarośla, zerknął w prawo. Fala uciekinierów docierała właśnie na wysokość zbiorników gazowni, od tylnego wejścia do zajezdni dzieliło ją około dwustu metrów. Miał więc trzy, może cztery minuty na zniknięcie desperatom z oczu. To powinno wystarczyć. *Na widok zamkniętej na głucho furtki uciekinierzy uznają, że pobiegliśmy wzdłuż płotu na plac Słowiański, i zrezygnują z prób dostania się za nami na teren zajezdni, założył optymistycznie Sprycha.*

Dotarł do betonowego ogrodzenia kilkunastoma susami, rozplątał szybko łańcuch i pchnąwszy metalową furtkę, wbiegł na plac manewrowy. Dopiero tam się zatrzymał, mocno zdyszany, i trzymając dłonie na kolanach, spojrzął w stronę torów. Grzelak wpadł do zajezdni tuż za Kaczmarkiem, po nim zjawili się pozostali. Pochód zamykali Morawiec i Marut, taszczący wciąż nieprzytomnego Magdziarka.

– Jakuza! – Fabian wskazał furtkę.

– Się robi.

Ulfig zajął się zabezpieczaniem przejścia.

– Czekaj! – Sprycha podszedł do niego. – Możesz zrobić tak, żeby wyglądała na zamkniętą, ale w każdej chwili dała się uchylić na tyle, by szparą przecisnął się człowiek?

– Po co tak kombinować? – zdziwił się Darek.

– Bo ja tak mówię.

Przyglądając się w zadumie łańcuchowi, Ulfig zmarszczył nos, ale na jego pobrużdżonej, zarośniętej twarzy szybko pojawił się uśmiech.

– Jasne.

Fabian poklepał go po ramieniu.

– Marut i Morawiec, zanieście Cangaceiro do hali, reszta staje tam! – wskazał dłuższą ścianę blaszanego magazynu i miejsce, którego nie dało się zobaczyć zza furtki.

Darek założył łańcuch, przekładając go przez grube kraty cztery razy, po czym wsadził w kilka ogniw kawałek zakrzywionego na końcu, zardzewiałego pręta zbrojeniowego. Szarpnął za klamkę, ale furtka ani drgnęła, zupełnie jakby została zamknięta na klucz. Z tym że wystarczyło jedno pociągnięcie, by dało się ją uchylić na jakieś trzydzieści centymetrów, co zademonstrował kolegom kuglarskim ruchem. Gdy przejście było znów zabezpieczone, Fabian przedstawił im swój plan.

– Ty, Jakuz, czekasz przy furtce na mój znak – polecił Sprycha. – Gdy zagwizdzę, poluzujesz łańcuch. Wy – wskazał pozostałych – utworzycie szpaler i przejmiecie szybko tych, którzy precisną się za ogrodzenie. Potem zaprowadzicie ich prosto do hali. Tylko bez wrzasków i przemocy, zrozumiano?! Macie być uprzejmi i delikatni, jakbyście im pomagali.

– Po cholere nam jacyś ludzie? – burknął Sójka.

– Wyraziłem się dostatecznie jasno?! – Pozostali przytaknęli, choć plan szefa był dla nich nadal zagadką. – Na drugie gwizdnięcie Jakuz blokuje łańcuch. To tyle – zakończył, po czym powiódł po nich wzrokiem. – I pozdejmujcie te cholerne więzienne bluzy, bo z kilometra widać, że jesteście pieprzonymi krawaciarzami.

Rozebrali się, cisnęli więzienne sorty w wysoką trawę pod ogrodzeniem.

W przepoconych podkoszulkach i szerokich drelichowych spodniach wyglądałoby jak najzwyczajni robotnicy, pomyślał Fabian. Gdyby nie te zakazane gęby...

Tego jednak nie mógł zmienić. Zresztą w tej chwili najważniejsze było wprowadzenie w życie planu.

Blaszany magazyn górował nad biegnącym tuż za nim ogrodzeniem, Sprycha uznał więc, że zachowując ostrożność, będzie mógł obserwować torowisko, samemu nie dając się

zauważyć. Wspiął się po piorunochronie, położył na ciepłym metalu i czołgając się, dotarł w pobliże szczytu dachu. Tam zdjął bluzę, nie wstając, ale nie pozbył się jej, tylko nakrył nią głowę i ramiona, by zamaskować swoją obecność.

Tłum uciekinierów zdążył się już podzielić. Jego czoło miało lada moment zrównać się z kryjówką Fabiana. Tak jak się spodziewał, na przód wysforowali się młodzi mężczyźni. Byli wytrzymalsi, a co za tym idzie – szybsi; na dystansie kilometra z okładem zostawili za sobą kobiety, nie dość, że obciążone tobołami, to jeszcze zaopatrzone w kotwice pod postacią przerażonych dzieci. Najgorzej radziły sobie samotne matki, którym nie pomagali mężowie.

Doskonale, ucieszył się Sprycha, bacznie obserwując przelewające się w dole potoki uciekinierów.

Zerknął w lewo. Horda milczących odmieńców, znacznie liczniejsza od uciekających, była na razie wolniejsza od najbardziej niezdarnych bab, lecz w odróżnieniu od nich nie musiała co chwilę przystawać, by zaczerpnąć tchu albo dać odpocząć zapłakanym bachorom. Dzięki temu odległość pomiędzy obiema grupami zmniejszała się nieustannie. W środku, niczym wzięci w dwa ognie, znajdowali się maruderzy, głównie starcy i wspomniane samotne matki. Ludzi ci ze wszystkich sił próbowali nadążyć za oddalającą się z każdym krokiem falą. Najślabi wyprzedzali pościg o zaledwie kilkanaście kroków. Fabian był pewien, że nie uda im się dotrzeć w pobliże furtki, przewidywał jednak sukces najzwawszej grupki kobiet z dziećmi.

Leżał spokojnie, czekając na odpowiedni moment. Nie zwracał uwagi na błagania i krzyki, z jakimi ginęli kolejni uciekinierzy, którzy wpadli w łapy zombie. Skupiał się na celu. Musiał ściągnąć pod furtkę tylko tych, których sobie upatrzył. *Jeszcze nie teraz, jeszcze chwilę*, powtarzał w myślach, oceniając sytuację, szacując odległość i czas. *Już!*

Zerwał się na równe nogi, zamachał bluzą.

– Tutaj! – zawołał, wskazując furtkę. – Chodźcie tutaj!

Niemal wszystkie kobiety, które wcześniej wytypował,

zauważyły go i natychmiast skręciły. Tylko dwie gnały uparcie przed siebie, jakby przejrzały jego zamiary. *Nic to*, pomyślał, dając znać Ulfigowi, *sześć powinno wystarczyć*. Ponownie przypadł do rozgrzanej blachy, by zniknąć z oczu bestiom i maruderom.

Operacja przejmowania uciekinierek nie trwała długo. Weszły ufnie na teren zajezdni i pozwoliły odprowadzić się do hali. Po drodze całowały wybawicieli po rękach. Sprycha obserwował tę scenę z dachu, uśmiechając się pod nosem. Dobrze to sobie obmyślił. Przypadkowi mężczyźni, którzy zareagowali na jego wezwanie, dobijali się wciąż do zamkniętej na głucho furtki, ale nie przejmował się nimi, wiedząc, że jeszcze chwila i zostaną zmuszeni do podjęcia bezcelowej ucieczki. Ta desperacka próba, zamiast podnieść ich szanse, zmniejszyła je do minimum. Nieubłagana horda docierała już do przeciwległego krańca blaszaka.

Fabian gwizdnął pod nosem z wrażenia. Odmieńców była nie setka z okładem, tylko tysiące. Szli szeroką ławą, zajmując całe torowisko, a pewnie i bocznice. Nie widział końca tej tłuszczy, choć z dachu mógł dostrzec wagony towarowe stojące za wiaduktem. Odwrócił głowę. Zdecydowana większość uciekiniarów zeszła z torów tuż za zajezdnią, pozostali czmychali właśnie na tereny zielone przylegające do placu Słowiańskiego. Sprycha zerknął jeszcze w stronę hali i znajdującej się za nią ulicy. *Może chociaż mała część spróbuje szczęścia i zawróci, pakując się wprost na potwory oblegające więźniarki...* Nie, na tak wielkie szczęście nie miał co liczyć. Z tym problemem musiał poradzić sobie sam.

Ponownie odwrócił głowę i odprowadził wzrokiem czoło hordy, które tymczasem także skręciło, podążając śladem coraz liczniejszych maruderów. Żadna z bestii nie przystanęła przy ogrodzeniu, żadna nie spojrzała w kierunku zajezdni. Żądza krwi pochłaniała je całkowicie.

* * *

Ocalone siedziały na betonowej posadzce w kącie za

warsztatami, tuląc do piersi szlochające wciąż dzieci. Chłopaki trzymali się od nich z dala, równocześnie blokując drogi ewentualnej ucieczki, co jednak – biorąc pod uwagę stan uratowanych kobiet – wcale nie było konieczne.

Ostrożności nigdy za wiele, pomyślał Fabian, paroma krokami pokonując dystans dzielący go od uciekinierek.

– Dobra nasza! – Zatarł ręce, nie kryjąc radości. – Horda odmieńców poszła dalej, Bogu niech będą dzięki. Nie, nie. Nie dziękujcie mi, szanowne panie, to przecież nic takiego – powiedział uprzejmym, nieco uwodzicielskim tonem, którym niegdyś zagajał rozmowy z ofiarami. – Każdy by tak postąpił na moim miejscu, naprawdę. – Uciszył nieśmiało okrzyki wdzięczności, wysuwając przed siebie obie ręce, po czym dłuższą chwilę się nie odzywał, czekając, aż kobiety się uspokoją. – Boże, gdzie moje maniery – rzucił, uśmiechając się szerzej. – Nazywam się Fabian Sprycha, jestem robotnikiem kolejowym, jak tu obecni moi koledzy. Pracowaliśmy na nocną zmianę, tam przy lokomotywowni, kiedy to wszystko się zaczęło. Ledwie zdołaliśmy ująć tym bestiom. Wielu naszym to się niestety nie udało... – zawiesił głos.

Gdy rozległy się wyrazy współczucia, przyjął je z odpowiednio smutną miną, zerkając na chłopaków w obawie, że powiedzą albo zrobią coś, co zniweczy jego plany. Na szczęście, choć nadal nie mieli pojęcia, o co w tym wszystkim może chodzić, potakiwali tylko każdemu słowu, przyglądając się jego wystąpieniu z niekłamany z zaciekawieniem.

– Będę z wami szczerzy – podjął, skupiając znów uwagę na kobietach. – To miejsce nie jest tak bezpieczne, jak się wydaje. Zajezdnia ma trzy szerokie bramy, dwie od ulicy Słowiańskiej i trzecią tam, przy torach – wskazał palcem. – Nie sposób ich zamknąć ani zabarykadować. Jakby tego było mało, jedyny budynek, który mógłby nam posłużyć za schronienie, opanował ktoś, kto nie chce z nami gadać.

– Gady, nie ludzie – jęknęła któraś.

– Ja to ich nawet trochę rozumiem... – Skrzywił się, jakby cytrynę ugryzł. – Na widok gromady obcych mężczyzn też bym

się bał, zwłaszcza gdy wokół taki Armagedon. Ale nie o tym chciałem mówić, moje panie. Plan jest taki. Przeczekamy tu parę godzin, zorientujemy się w sytuacji, a potem spróbujemy znaleźć lepszą kryjówkę.

– Zamierzacie wyjść na ulicę?! – Ten pisk wydała z siebie kobieta tuląca trójkę dzieci w różnym wieku.

– Musimy to zrobić – stwierdził grobowym tonem Fabian. – Myśleliśmy o tym, żeby wrócić na tory, ponieważ jak dotąd kręciło się tam najmniej odmieńców, ale w tej sytuacji nie byłby to najlepszy pomysł. Tak czy siak, drogie panie, tu nie możemy zostać. Przed zajezdnią koczują ze sto tych bestii, wystarczy, że wyczują naszą obecność, a dojdzie do masakry. Pod bramami można się bez trudu przeczołgać, a kłódki, mimo że solidne, nie wytrzymają naporu kilkudziesięciu ciał.

Te informacje wywołały wśród ocalonych spore poruszenie.

– Laboga! – zawołała jedna. – Ja nie wrócę na tory! Panie Fabianie, widział pan przecież, co tam się działo.

– Ano widziałem – przyznał, spuszczać wzrok. – Ale...

– Was się boją, ale nas może posłuchają – wtrąciła z nadzieją w głosie matka trojga dzieci.

Sprycha przyjrzał się jej krytycznym okiem. Niebieską sukienkę miała odpowiednio potarganą, twarz brudną w sam raz. Szkoda tylko, że przepocone włosy splotła w warkocz, w nieładzie sprawiałyby jeszcze lepsze wrażenie. Przeniósł wzrok na dzieci. Najstarszy chłopak liczył sobie z jedenaście lat, jego siostrzyczka siedem, góra osiem, a najmłodsze, jeszcze osesek, musiało się urodzić zaledwie parę miesięcy temu.

– Wątpię, proszę pani. – Z rezygnacją machnął ręką. – Oni nikomu nie otworzą. Strach ma wielkie oczy, a dzisiaj jest gorzej jak za okupacji.

– Spróbować nie zaszkodzi, skoro alternatywą jest powrót... tam – wskazała za tylną bramę hali.

– Niby prawda... – zgodził się, udając wciąż obiektywność.

– Powiemy im, co panowie dla nas zrobili, to powinno ich przekonać. – Do rozmowy włączyła się bardzo ładna, szczupła blondynka, u której boku kuliła się równie atrakcyjna latorośl.

Fabian przygryzł wargę. Dziewczynka była w jego typie. Gdyby nie okoliczności, mógłby... *Nie*, napomniał się w myślach. *Koniec przyjemności, przynajmniej na jakiś czas. Dzisiaj nie da się już bezkarnie oskórować powieszanej za nogi kobiety, do końca patrząc jej w oczy i słuchając tych boskich błagań i krzyków. Jeden błąd i ofiara może stać się katem...*

– Nie śmiem o to prosić – zgrywał niezdecydowanego, by jeszcze bardziej je zachęcić do działania.

– Wszystkie pójdziemy, jeśli będzie trzeba – rzuciła buńczucznie ta, która zareagowała pierwsza, też blondynka, tylko ciemniejsza, z niemowlęciami na ręku.

Dwie nieco starsze kobiety poparły ją stanowczymi potaknięciami, tylko najdrobniejsza z nich wszystkich, chudzina o pociągłej twarzy i zmierzwionych ciemnych włosach, nadal chlipała, tuląc do siebie dwie – na oko dziesięcioletnie – dziewczynki. Ona z nich wszystkich najwięcej przeszła. Była najbardziej obszarpana, z podrapaną mocno twarzą. Zasnęta krew na rozciętym czole i policzku nadawała jej cierpiętniczy wygląd. To jej teraz potrzebował najbardziej.

– Bylibyśmy szczerze zobowiązani – wybąkał, niby przełamując niechęć. – Nam także nie uśmiecha się ponowny kontakt z tymi bestiami. Aż za dobrze widzieliśmy, do czego są zdolne. To cud, że wam udało się ujść z ich łap...

– Bez waszej pomocy, panie Fabianie, pewnie już byśmy nie żyły.

– Nie mówmy już o tym – poprosił.

– Niech nam pan pozwoli to załatwić.

– Skoro panie nalegacie... Tylko nie idźcie tam wszystkie, bo jeszcze się wystraszą.

– Może i racja – przytaknęła ta z trójką dzieci. – Co pan w takim razie radzi, panie Fabianie?

– Zabrałbym panią, przepraszam, ale tak dla formalności, jak pani godność? – zagadnął ją.

– Lińska-Złoch się nazywam. Dorota. A to moje dzieci: Mateusz, Lena i Lilianna.

– Miło mi niezmiernie panią poznać. I może pani by z nami

poszła... – Spojrzał na blondynkę, którą z taką chęcią zobaczyłby na haku swojego prywatnego gabinetu grozy.

– Klimecka, Joanna – przedstawiła się, nie przeczuwając nawet, dlaczego jego uśmiech jest tak przymilny. – Anastazjo, przywitaj się z panem Fabianem.

Dziewczynka w czerwonym płaszczyku dygnęła grzecznie.

– Dzień dobry panu – powiedziała przez łyzy.

– Dzień dobry, dziecko – pogłaskał ją po głowie najdelikatniej, jak umiał. – O, i pani, może pani też by z nami poszła – zwrócić się do chudziny.

– Muszę? – mruknęła.

– Ależ skąd! Jednakże wydaje się pani idealną kandydatką, jeśli chcemy skruszyć lód w sercach tych ludzi. Proszę dołączyć do naszej delegacji. Po pani najlepiej widać, ile musiałyście przejść, by tu dotrzeć. Tylko wyjątkowy okrutnik nie wzruszyłby się pani losem, pani...

– Lucyna jestem, znaczy Zielińska – przedstawiła się i na tym koniec.

– Pani pójdzie z nami, pani Lucyno. – Klimecka pochyliła się nad nią. – Pan Fabian ma rację.

– Musimy ich przekonać, bo inaczej czeka nas kolejna poniewierka! – Jedna z tych starszych, także matkująca dwójce dzieci, pokiwała zamasyście głową.

– Ale ja nie mam już sił – szepnęła Zielińska, a z jej oczu znów popłynęły wielkie łyzy.

– Tym bardziej proszę nas wspomóc. – Sprycha wyciągnął do niej rękę. – Tam, na zewnątrz, będzie coraz gorzej.

– Celinko, Oliwio, chodźcie... – Zielińska podniosła się z trudem.

Kolana miała zdarte, w otwartych wciąż rankach tkwiły grudki żużlu. *Ona chyba naprawdę przeszła piekło, zanim się tu dostała*, pomyślał Sprycha, poklepując ją dla otuchy po ramieniu. Nie zwróciła uwagi na ten przyjazny gest, nijak nie zareagowała, szła chwiejnie jak jeden z tych odmieńców. Gdy Sprycha ruszył za nią, mając po bokach jej dwie towarzyszki, uśmiechał się pod nosem, pewien, że ludzie, którzy zamknęli się w budynku biurowym zajezdni, ulegną perswazji. Żaden z jego chłopaków nie miałby

cienia szansy na przekonanie kogokolwiek do otwarcia drzwi nawet w czasach, gdy ulic jeszcze nie zalali odmieńcy, a co dopiero teraz. Na szczęście znalazł sposób i na to.

To będzie mój świat i mój czas, a rozpocznę swoje panowanie tutaj...

Wtem gdzieś niedaleko odezwały się karabiny. Fabian instynktownie wtulił głowę w ramiona. Ktoś tam walczył, nie jeden człowiek, nie dwóch, ale cały oddział. Czyżby Okrutny jednak nie kłamał? Czyżby Rosjanie wkroczyli do miasta, tyle że później, niż przypuszczali mundurowi?

Fabian wsłuchiwał się w palbę. To musiało być kilkanaście, może nawet kilkadziesiąt karabinów. Odgłosy dobiegały z kierunku, w którym udali się uciekinierzy i ścigająca ich horda. To zapewne do nich otwarto ogień. Kobiety zaczęły lamentować, gdy puknięcia pojedynczych strzałów umilkły i zastąpiło je charakterystyczne staccato ciężkich karabinów maszynowych. Gdzieś tam, niedaleko od zajezdni, toczyła się regularna bitwa.

– Szybko! – rzucił, przekrzykując hałas.

Nie musiał dwa razy powtarzać, jednakże ledwie opuścili halę, wszystkie trzy kobiety natychmiast przypadły nisko do ziemi, reagując w ten sposób na odbijające się głośnym echem wybuchy, po których... zapadła cisza.

* * *

– Jest tam kto?! – zawołała pani Dorota, gdy już przestała walić w zamknięte na głucho i zabezpieczone solidną kratą drzwi. – Halo!

– A nie mówiłem? – mruknął zrezygnowanym tonem Fabian, podpuszczając swoje towarzyszki. – Ci dranie niczym się nie różnią od odmieńców.

Panująca wokół kompletna cisza wydawała mu się dziwna. Horda była zbyt liczna, by żołnierze zdołali ją wybić w tak krótkim czasie, zatem musiało chodzić o coś innego – tylko o co? Sprycha bardzo nie lubił tkwić w stanie niepewności, zawsze musiał mieć kontrolę nad wydarzeniami, dlatego ta podejrzana strzelanina zburzyła jego spokój.

– Okażcie litość, ludzie! – pisała błagalnie Zielińska. – Ratujcie chociaż nasze dzieci!

Firanka w oknie na piętrze drgnęła już któryś raz z rzędu. Sprycha zauważył to, lecz celowo nie podnosił głowy ani nie wspominał o tym fakcie towarzyszącym mu kobietom. Tę partię musiał rozegrać naprawdę ostrożnie. Liczył się z koniecznością podjęcia więcej niż jednej próby przekonania osób kryjących się w biurowcu. Dlatego rozpiisał ten dramat na kilka aktów: rozpaczliwe zaklinania, groźby, kobiece lamentsy i płacz wystraszonych dzieci, podszyte przerażeniem błagania... Jeżeli ktokolwiek tam był normalny, prędzej czy później musiał pęknąć.

– Ciszej, moje panie – poprosił, obejmując ramieniem Joannę. – Nie zwabmy tutaj odmieńców.

Pani Dorota rozejrzała się trwożliwie, dzieciaki natychmiast przyłgnęły do jej nóg. Córki Zielińskiej, widząc to, jęły chlipać i także wpiły się w matkę.

– Serca nie macie, gady! – syknęła rozeźlona raczej niż wystraszona Klimecka.

W korytarzu za drzwiami coś się poruszyło. Rozległ się stłumiony stukot, potem chrzęst obracanego w zamku klucza i zgrzyt odsuwanej skobla. *Proszę, proszę*, pomyślał Sprycha, gdy obite blachą skrzydło oderwało się od futryny, odsłaniając trzy... nie, cztery osoby. Za wciąż zamkniętą kratą stał wysoki brodaty mężczyzna o zmierzwiionych kruczoczarnych włosach – to on otworzył drzwi – nieco dalej, w głębi sieni, można było dostrzec trzy kobiety. Za najwyższą z nich Fabian dostrzegł dwoje dzieci.

Dobrze, a nawet świetnie, ucieszył się w duchu. Szanse na wygraną rosły z każdą chwilą. Cofnął się o pół kroku, ponieważ teraz wszystko zależało od siły przekonywania jego brank.

– Bogu niech będą dzięki! – Zielińska przeżegnała się niemal teatralnie. – Chodźcie, dzieci.

– Zara, zara! – Mężczyzna za kratą uciszył ją momentalnie. – Gdzie leżą?!

– Nie wpuściecie nas? – zdziwiła się pani Dorota.

– Nie wpuścimy. Idźcie stąd, dobrze wam radzę.

– Ale dokąd?

– Nie wiem. Gdzie chcecie albo tam, skąd przyszyście. Nic tu po was.

– Jak pan może... – wyszeptała blada jak kreda Zielińska. – Jak panu nie wstyd... Dzieci na pewną śmierć posyłać.

– Doszły tutaj, dojdą i dalej. Odstąpcie, mówię.

– Bądź pan człowiekiem! – Klimecka przepchnęła się na sam przód. – Wiesz pan, co myśmy przeżyły? Nie mamy dokąd iść. Na dworcu masakra. Pociąg się wykoleił. Mnóstwo ludzi zginęło, a potem te potwory... – Głos jej się załamał. – Zewsząd wyłaziły, a mrowie ich było. Mrowie.

– Nie mamy dokąd wracać – poparła ją zaskakująco mocnym głosem Zielińska. – Całe miasto opanowali zarażeni, nie słyszał pan komunikatów w radio? Kazali ludziom w domach siedzieć.

– Było ich posłuchać – burknął cieć.

– Posłuchałabym – zapewniła go, już bardziej piskliwie – ale pierwszy taki komunikat usłyszałam dopiero z dworcowego radiowęzła. Jak miałam wrócić na Myśliwską? No jak?

– W piechty. To przecież tuż obok.

– Ale na ulicach są już setki tych bestii! Nawet na Słowiańskiej roi się od nich!

– Powiedziałem, że nie otworzymy kraty, i basta!

Fabian uznał, że pora się wtrącić.

– Chodźcie, moje panie, nic tu po nas. Coś wymyślimy. Skoro udało się was uratować przed tą hordą, może będziemy mieli...

– Chcecie, żeby nas te gady powyżerały, tak? – Pani Dorota wyrwała mu się, dokładnie jak tego chciał. – Serca nie macie! Gorsze jesteście od tych chodzących trupów! – zwracała się nie do mężczyzny, lecz do stojących za nim kobiet. – Co wam szkodzi dać nam schronienie? Na dzień albo dwa, dopóki wojsko nie zaprowadzi na powrót porządku. Ten tam, major z radia, mówił, że to tylko kwestia czasu.

– Biedrzycki dużo rzeczy mówi – wpadł jej w słowo cieć. – Obiecywał też, że do rana zrobi porządek, i co? Gównno.

– Miarkuj się pan, panie Maciński – ofuknęła go najwyższa z towarzyszących mu kobiet. – Dzieci tego słuchają.

– Co zrobię, skoro taka prawda? – obruszył się dotknięty tą reprimendą. I postanowił bronić swojego stanowiska. – Jak tu wejść, nigdy się ich nie pozbędziemy. Boją się iść dalej, to niech się schronią w biurach przy głównej hali.

– Ale tam drzwi takie, jakby ich nie było. Parę płaskowników, a reszta szkło – nie ustępowała wysoka. – No i są od Słowiańskiej.

– Na upartego wejść od kotłowni. – On także trzymał się swego.

– Na upartego to pan tu wychodzisz, panie Marcinie!

– Powyżerają te resztki, cośmy ich jeszcze nie zjedli, i wszyscy pomrzemy z głodu! – rzucił ostateczny argument.

– Prowiant własny mamy! – Zielińska wskazała na halę, w której zostawiła całkiem spory tobołek. – Chleb, słoninę, ser. Na kilka dni dla wszystkich wystarczy. Nie musimy nikogo objadać.

– Woda lada moment przestanie ciec z kranów – wyliczał dalej Maciński, jakby jej nie słyszał.

– Wody to akurat możecie mieć w bród – wtrącił się znowu Fabian. – W kanciapie na hali znaleźliśmy ze trzydzieści skrzynek butelek po mineralnej. Napełniliśmy je kranówką. Wszystkie co do jednej. Wystarczy dla was i dla nas na dwa tygodnie albo i dłużej.

– Panie Marcinie... – Kobieta z sieni, ta z dziećmi, podeszła krok bliżej kraty.

– Co: panie Marcinie? – zachnął się cieć. – Obcych chcecie nawpuszczać? Wiecie chociaż, co to za lichy?

– Gorszy od tamtych bestii na pewno nie są – odezwała się druga z kobiet cicho.

– Pan Fabian i jego koledzy życie ryzykowali, żeby nas uratować! – powiedziała szybko Zielińska, a jej towarzyszki poparły ją gorliwie.

– Tacy sami ludzie jak my, nie widzisz pan?

Sprycha zaśmiał się w duchu. Kobiety w sieni były już po jego stronie. Cieć niestety miał za dużo oleju w głowie albo za bardzo się bał.

– Dajcie nam przeczekać najgorsze – poprosiła Zielińska.

– Nie ma mowy!

– To weźcie chociaż dzieci – rzucił błagalnym tonem Fabian, podpowiadając połowiczne rozwiązanie, które powinno być dla tamtych łatwiejsze do przełknięcia.

Cisza działała na niego uspokajająco. Dzięki niej zyskiwał coraz większą pewność, że ktokolwiek stanął na drodze hordy z dworca, nie byli to Rosjanie. *Co oznacza, że mamy wciąż czas. Niech więc tamte urabiają Macińskiego. Za kwadrans, najwyżej za pół godziny będzie gotowy na ustępstwa, a wtedy...*

– Panie Maciński... – tym razem cieć został zaatakowany przez wszystkie trzy towarzyszki naraz. – To tylko dzieci, a jutro, najdalej w poniedziałek będzie po krzyku.

– Powiedziałem: nie!

– Dałbyś pan spokój! – wydarła się na niego najcichsza do tej pory, biorąc go przez zaskoczenie. – Jak ja się księdzu wypowiadałam z czegoś takiego?

Jazgotały tak jeszcze przez chwilę, dopóki cieć nie podniósł rąk w geście poddania. Spojrzał spode łba na stojące przed budynkiem uciekinierki, mruknął coś niezrozumiale i zaczął grzebać w kieszeni tramwajarskiej marynarki.

– Jeszcze tego pożałujecie, powiadam wam – wymamrotał, szukając właściwego klucza, po czym spojrzał groźnie na Sprychę. – Tylko dzieci! Reszta ma się cofnąć aż pod tamten tramwaj! – wskazał wagony stojące przy hali, ponad pięćdziesiąt metrów od podcieni, w których znajdowały się drzwi. – Inaczej za Chiny nie otworzę!

* * *

Sprycha wszedł do hali za uradowanymi kobietami. Pozwolił im opowiedzieć o negocjacjach, a gdy wraz z innymi matkami rozpoczęły przygotowania, dzieląc posiadany prowiant i szykując pociechy, skinął ukradkiem na Ulfiga.

Stanęli w bramie, w zasięgu wzroku pozostałych, lecz na tyle daleko, by nikt nie słyszał, o czym rozmawiają.

– Weźmiesz trzech chłopaków – powiedział Fabian, uśmiechając się szeroko i klepiąc Jakuzę po plecach, jakby przekazywał mu radosne wieści. – Najtwardszych twoim

zdaniem, najpewniejszych. Musicie przekraść się niezauważenie pod tamten domek... – wskazał ruchem głowy.

– To może być trudne – rzucił Darek, unosząc wzrok ku niebu czystemu jak łąza.

– O to się nie martw – uspokoił go Fabian. – Chodź. – Wyszli na plac manewrowy, oddalając się kilkanaście kroków od hali i przystanęli w miejscu, z którego widać było odległą o prawie sto metrów willę. – Przyjrzyj się uważnie. Zapamiętaj szczegóły i przekaz je chłopakom – dodał Sprycha, dla niepoznaki pokazując znajdującą się po przeciwnej stronie furtkę.

Jakuza przytaknął. Niby stał twarzą do ogrodzenia, ale kątem oka lustrował teren wokół willi.

– Nie mamy szans podejść tam ukradkiem – stwierdził po chwili.

– Owszem, macie. Musicie tylko wyjść za ogrodzenie.

– Co? – Ulfig zmarkotniał. – Przecież tam...

– Nikogo już nie ma – uciął Sprycha. – A jeśli nawet jakiś odmieniec został na torach, poradzicie sobie z nim. Zapomniałeś o siekierach?

– Szefie...

– Słuchaj mnie uważnie, Jakuzo. Musicie przedostać się za tę drugą halę. To nawet nie pięćdziesiąt metrów od furtki. W pół minuty się uwiniecie. Tamte zabudowania można obejść od tyłu. Sporo tam miejsca między ścianą a ogrodzeniem, widziałem wyraźnie z dachu.

– No dobrze, ale jak wrócimy na teren zajezdni, skoro tam nie ma drugiej furtki?

– Zabierzcie jedną z tych metalowych drabinek, po których robotnicy włazą, żeby naprawiać pantografy.

Jakuza kiwał głową, ale minę wciąż miał nietęgą.

– Jeśli nie chcesz spędzić reszty życia na ganiu się z tymi zarażonymi suczymi synami, musicie to zrobić.

– Na pewno nie ma innego sposobu?

– Cię po otwarciu kraty wyjdzie do podcieni, żeby mieć widok na cały plac, albo wyśle tam jedną z bab. Nie wygląda mi na głupka, więc pewnie każe drugiej czatować w oknie, ale ona,

nawet z piętra, raczej nie powinna patrzeć w stronę bocznej bramy. – Widząc, że Darek chce wysunąć znów jakieś obiekcje, na wszelki wypadek nie dał mu dojść do głosu. – Zrobimy tak. Wydstajecie się na zewnątrz przez furtkę. Zastaniają ją tramwaje, więc nikt z willi was nie zobaczy. Biegniecie do drugiej hali, wracacie po drabinie na tę stronę, tyłem docieracie w pobliże bocznej bramy, potem zaroślami podchodzicie pod willę, przyczajacie się za węgłem i czekacie na mój znak. Jak zdejmę czapkę...

– Jaką czapkę? – zdziwił się Ulfig.

– Jedną z tych brudnych, co leżą tam na warsztacie.

– Aha.

– Jeśli ją zdejmę i opuszczę, ruszacie pędem. Pierwszy chwytą i blokuje ciałem kratę. Zapamiętaj, bo to najważniejsze: nie można dopuścić do jej ponownego zatrzaśnięcia.

– Rozumiem.

– Jeśli zacznę machać czapką jak na pożegnanie, pierwszy atakuje stojącego w podcieniach ciecia.

– Czapka w dół, pierwszy na miejscu przytrzymuje kratę. Machanie czapką, pierwszy na miejscu atakuje ciecia.

– Dokładnie. Drugi wspiera go stosownie do sytuacji.

– Drugi go wspiera, jasne. A co z resztą?

– Reszta... reszta ich ubezpiecza.

– Nie no, szefie. Po cholere targać się w czterech, skoro to robota dla dwóch?

Sprycha spojrział na niego znacząco. Nie był do końca pewien, czy za ogrodzeniem nie ma już odmieńców, postanowił więc, że wyśle dwa razy więcej ludzi niż trzeba, by zwiększyć szanse na sukces.

Jakuza, nie w ciemną bity, po kilku sekundach wymownego milczenia pojawił, w czym rzecz.

* * *

W dalszej kolejności Sprycha wyjaśnił kobietom, na czym polega jego plan. Musiał to zrobić, by któraś nie zdradziła się gestem albo miną, gdy zauważy chłopaków pod willą, co było

nieuniknione, zważywszy na pozycję zajmowaną przez nie w chwili ataku. Na koniec zapewnił solennie, że chce przejąć schronienie pokojowo, nie robiąc nikomu krzywdy, no, najwyżej pozwoli obić mordę Macińskiemu, jeśli ten będzie się za bardzo stawiał. Zgodnie z przewidywaniami uciekiniarki nie rzuciły się bronić ciecia, przeciwnie wręcz – perspektywa dania mu solidnego wycisku zdawała się im miła. Po tym jak zostały potraktowane podczas niedawnej rozmowy, Fabian wcale się temu nie dziwił.

Na razie wszystko szło tak, jak to sobie zaplanował. Gromadka matek ustawiła się przy wskazanym tramwaju. Reszta gangu, skrupulatnie poinstruowana, ukryła się za załomem ogrodzenia. Tylko Zgorzelski został w hali, przy wciąż nieprzytomnym Cangaceiro, ponieważ średnio nadawał się do takiej rozróby.

Pozegnania zdawały się nie mieć końca, ale Fabian nie poganiał kobiet, ponieważ dzięki ich przesadnej wylewności scena ta nabierała dodatkowego autentyzmu i usypiała czujność ludzi z budynku. W końcu cieć stracił cierpliwość, otworzył drzwi i wyszedł do podcieni. Cały czas jednak trzymał rękę na kracie, gotów wycofać się i zatrzasać ją za sobą, gdy tylko dostrzeże coś niepokojącego. Wychylał się też co chwilę, omiatając wzrokiem plac i wydeptany trawnik pod ścianą. Zupełnie jakby miał szósty zmysł.

Dzieciaki wreszcie ruszyły – zwartą grupą, jak prosił o to Sprycha. Ich zadaniem było zrobienie maksymalnego ścisku pod podcieniami. To powinno spowolnić ciecia, nawet jeśli uda mu się dostrzec w porę zagrożenie, a takie ryzyko wciąż istniało, ponieważ wychylał się dosłownie co chwilę.

Fabian czekał ze stoicyzmem, choć czapka, którą założył na głowę, lepiała się od brudu i cuchnęła zużyтым olejem. Pierwsze dzieciaki przekraczały właśnie próg, by karnie zwolnić zaraz za nim w sieni. Wtedy Maciński wychylił się ponownie, omiół nerwowym spojrzeniem okolicę, a kiedy zaczął się cofać, Sprycha zdjął czapkę z głowy i uniósł ją wysoko, by pomachać znikającym w budynku dzieciom.

Kaczmarek wypadł zza węgła jak wystrzelony z procy. Zgięty

wpół sunął wzdłuż ściany krok przed Marutem, za którym biegli Ulfig i Szczygło. Fabian przeniósł wzrok na podcienia. Ciec popychał dzieci, zerkając przez ramię na lamentujące w oddali matki. Na zewnątrz została jeszcze czwórka maluchów, gdy znów zaczęła się pochylać, by wyjrzeć za balustradę. Zanim zdążył wykonać pełny ruch, wrocławski złodziej wychynął zza niskiej ścianki i chwycił go obiema rękami za kark. Zaskoczony Maciński nie zdążył nawet pisnąć. Pociągnięty z całych sił fiknął koziołka i wylądował z hukiem na trawie. Kobiety w sieni zaczęły się drzeć jak opętane, ale było już za późno. Zanim przecisnęły się za kłębowisko dzieci, Marut wskoczył już na ganek i szczerząc zęby, chwycił oburącz za kratę.

– Dziękuję wam, moje panie! – Rozradowany Sprycha objął ramieniem drżącą wciąż Zielińską. Kolejni jego ludzie wpadali do willi. Wybrana czwórka dała sobie radę śpiewajaco. – Teraz idźcie do swoich pociech. Rozgośćcie się, umyjcie i przede wszystkim odpocznijcie. Będę miał do was jeszcze jedną małą prośbę, ale to może, a nawet musi poczekać.

*sobota, 10 sierpnia 1963, godzina 06:54
Zakład Karny Nr 1 przy ulicy Kłęczkowskiej 35*

Powitały ich ponure spojrzenia. Poszło tak wielu, wróciła garstka. A co gorsza, nie udało się uratować żadnej z kobiet.

– Towarzyszu kapitanie... – zagadnęła Ziółkowska, gdy Okrutny oparł się o murek otaczający spacerniaki.

– Nie teraz – warknął ostrzej, niż zamierzał.

Opanował sytuację w kaplicy, pozbył się zarażonych, wabiąc ich i posyłając kolejno na rumowisko, lecz to nie rozwiązało problemu. Przy skwerku było teraz znacznie więcej zombie niż w chwili, gdy rozpoczął akcję ratunkową. Zamiast poprawić sytuację, doprowadził do spotęgowania kryzysu, a co chyba najgorsze, wyczerpały mu się pomysły na powstrzymanie tych bestii.

– Myślę, że to się wam spodoba – nie rezygnowała Katarzyna.

– Naprawdę? – Wskazał trójkę ponurych jak on funkcjonariuszy, z którymi wrócił. – Ludzie padają mi jak muchy.

– Naprawdę. – Stała przed nim, próbując spojrzeć mu w oczy, co było trudne o tyle, że przy tak wysokim wzroście nawet ze spuszczoną głową górował nad nią jak wieża ratusza nad okalającymi Rynek kamieniczkami. – Posłuchajcie... Mój kuzyn był od przedwojnia rakażem.

– Żadna praca nie hańbi – burknął Okrutny, nie bardzo wiedząc, dlaczego ta akurat informacja miałyby być mu pomocna.

– To prawda – przyznała, nie dając się zbić z tropu. – Czasami pomagałam mu podczas wakacji. Doglądałam wyłapywanych psów, zanim je... – Zamilkła, żeby nie brnąć w dygresję. – W każdym razie przypatrzyłam się dobrze jego pracy i chyba wiem, czego nam trzeba.

– Serio? – Wojciech wciąż był zbyt przygnębiony, by skupić się na jej słowach.

– Serio. – Z każdą chwilą zapalała się coraz bardziej. – Wie towarzyszu kapitan, jak on łapał najgroźniejsze kundle? Na przykład te chore na wściekliznę, do których nie dało się nijak podejść?

– Możecie przejść do sedna, zamiast zadawać mi te durne pytania? – wymamrotał zirytowany jej natarczywością.

– Oczywiście, towarzyszu kapitanie. Miał chwytak. Taki długi drąg z pętlą na końcu. Wystarczyło, że...

– Czekajcie no! – Spojrzał na nią przytomniej.

Widział za młodu hycła wyłapującego bezpańskie psy. I pamiętał, jak wygląda rzeczony chwytak. Ziółkowska miała rację. Rakarze doskonale sobie radzili z psami chorymi na wściekliznę nawet w ostatnim, najgorszym stadium tej strasznej choroby, gdy jakikolwiek kontakt fizyczny człowieka i zwierzęcia równał się zarażeniu. Uśmiechnął się pod nosem. Istniała szansa, że światełko w tunelu, które właśnie zobaczył, nie oznaczało nadjeżdżającego z naprzeciwka pociągu pancernego. Jego mózg pracował na najwyższych obrotach. Bosaki. Te najdłuższe miały po cztery metry. Lin także znajdą się całe naręcza. Zrobienie chwytaków nie powinno więc nastęrczać większych trudności. Wystarczy przybić do drzewca kilka pasków skóry, przez tak powstałe pętle przewlec linę i już dysponuje się prymitywnym, ale skutecznym narzędziem. Jeden albo nie, dla bezpieczeństwa dwoje funkcjonariuszy będzie w stanie poprowadzić zarażonego tam, gdzie...

– Wszystko pięknie – zmarkotniał, napotkawszy w świetlanej wizji pierwszą przeszkodę – ale co później z nimi zrobimy?

Ziółkowska zabręczała trzymanymi w rękę kluczami i wyszczerzyła się szeroko.

– Mamy cztery otoczone solidnym murem spacerniaki.

– Spacerniaki... – Zerknął przez ramię na ponad dwumetrową białoną ścianę z cegły.

– Ten pomysł od razu mi się spodobał, towarzyszu kapitanie. Dobrze to wykombinowaliście. Jeśli uda nam się zrobić porządne chwytaki...

– Gronowski! – Okrutny w momencie odzyskał rezon. –

Pójdziecie z Krukiem do magazynku. Zbierzecie wszystkie zapasowe drzewca do bosaków, jakie tam znajdziecie. I liny, te półcalowe! I... kilka fartuchów spawalniczych! – Przypomniał sobie o strojach ochronnych z grubej skóry. – Zanieście to wszystko do warsztatów. Tam sierżant Ziółkowska powie wam, co dalej.

– Tajest! – Adam i Hubert poczłapali ku pobliskim zabudowaniom, a kapitan ruszył bez słowa w przeciwnym kierunku.

Jeśli ta część planu ma mieć szanse powodzenia, muszę zebrać więcej ludzi. Świeżych ludzi, takich, co nie będą panikowali.

* * *

– No i gdzie to wsparcie? – Wiśniewski zerkał coraz częściej w stronę bramy, zza której już dawno mieli się wyłonić Pietkun i Fijałkowski.

– Nie wiem – mruknął nawet bardziej od niego wystraszony Grabowski.

Do pewnego momentu pilnowanie płonącego osypiska wydawało im się w miarę bezpieczną robotą, ale kiedy z drugiej strony przez ryk płomieni przedarły się te paniczne wrzaski, obaj ścisnęli mocniej pistolety i odsunęli się o kolejne kilka metrów od buchającej w niebo kolumny ognia. Woleli się nie zastanawiać, co jest powodem tych krzyków.

– Może pójde i ich ponagle? – zaproponował Maciej.

Andrzej natychmiast posłał mu gniewne spojrzenie.

– A ja co? Mam tu sam zostać? – syknął, nie kryjąc strachu.

– To może ich zawołajmy?

Grabowski przyklasnął koledze. Darli się jak opętani jeden przez drugiego, ale nie przyniosło to rezultatu. W uchylonej bramie za ich plecami nie pojawił się żaden z przywoływanych funkcjonariuszy.

– Tchórze – podsumował Andrzej chwilę później. – Oby kapitan dał im do wiwatu.

– Ty, a jeśli oni... – Maciej nie dokończył zdania.

– Nie, no jak. – Grabowski opuścił tetetkę, spojrzął bojaźliwie

przez ramię. – Tam sytuacja była opanowana.

– To może ja jednak sprawdzę, co ich zatrzymało – zgłosił się na ochotnika Wiśniewski. – Bez obaw. Nigdzie nie polezę. Tylko zerknę za bramę.

Andrzej oblizał spierzchnięte wargi. Twarz miał mokrą od potu, i to nie tylko ze strachu. Żar bijący od pobliskiego pożaru zamienił tę część dziedzińca we wnętrze hutniczego pieca.

– Dobra! – powiedział w końcu. – Ale nie znikaj mi z oczu, rozumiesz?

– Tylko zerknę na plac! – obiecał Maciej, ruszając ostrożnie w stronę zaoblonego wewnętrznego muru.

Podszedł do uchylonej bramy, wsunął głowę w szczelinę, najpierw tylko trochę, potem głębiej. Stał tak przez chwilę, a później nagle szarpnął się raz i drugi, co wyglądało tak, jakby się z kimś mocował. W pewnym momencie wysunął się z prześwitu prawie cały, po czym... po czym zniknął z pola widzenia.

Licho go porwało czy co?

– Maciuś! – pisnął przerażony Grabowski. – Maciuś, odezwij się! – Cisza. Tylko huk płomieni. – Maciejka! – Nadal nic.

Andrzej ścisnął mocniej kolbę tetetki, ale niewiele mu to dało. Spocone palce ślizgały się po naoliwionym metalu. Cofnął się więc o krok, unosząc broń. Potem przesunął nogę do tyłu jeszcze raz i kolejny, zwiększając dystans od bramy, za którą czaiła się śmierć. Gorąc za jego plecami stał się trudny do wytrzymania, lecz znosił to w milczeniu, ponieważ strach przed potworami był silniejszy niż ból.

– Buuu! – Wiśniewski wyskoczył zza bramy, rozczapierzając dłonie jak zarazony.

Grabowski spanikował. Był tak przerażony niespodziewanym zniknięciem kolegi, że na ten widok zadziałał instynktownie. Spróbował cofnąć się jeszcze o krok, ale zawadził piętą o kawał gruzu i chcąc odzyskać równowagę, obrócił się wokół własnej osi. Gdyby nie bronił się tak rozpaczliwie przed upadkiem, wyrzynałby po prostu na beton, zyskując co najwyżej parę sińców i zadrapań, jednakże on, zdjęty strachem, robił, co mógł, by ustać

na nogach.

To było mgnienie oka. Machinalnie sunął ku ścianie ognia. Nie wpadł w płomienie, ale podejście tak blisko pożaru wypaliło mu krtań i płuca już przy pierwszym wdechu. Delikatna słuźówka wyschła momentalnie, pokryła się oparzelinami, podobnie jak skóra na rękach, którymi chwycił się za gardło. Nie miał najmniejszych szans w starciu z ognistym żywiołem. Podrygiwał jeszcze przez moment, charcząc przeraźliwie, a potem padł na gruz i znieruchomiał.

– Andrzejku! – Wiśniewskiego zamurowało. – No co ty...

Nieraz robił kolegom podobne kawały, tymczasem teraz to, co sprawdzało się świetnie podczas nocnych dyżurów i patroli, zamiast rozluźnić atmosferę, odebrało życie Grabowskiemu. I to w tak okrutny sposób.

Okrutny... Maciej skulił się, wspomniawszy dowódcę i otrzymane rozkazy. Rozejrzał się gwałtownie wokół. Na pobliskiej wieży strażniczej nie było nikogo. Powstrzymani wcześniej przez kapitana uciekinierzy z Babińca stali zbyt daleko, by zauważyć, co tu się wydarzyło. Miał szansę się wyłgać, ale co dalej? *Kapitan może wrócić lada minuta.* Zerknął w stronę bramy. Na placu widział Pawełka rozmawiającego z Pietkunem, był tam ktoś jeszcze, pewnie Fijałkowski, ale tego nie mógł być pewien, gdyż postać przesłaniał ogień ze stosu. *Ściągnę ich tutaj, jak kazał szef, pomyślał. Powiem, że Grabowski kazał mi po nich iść, co jest po części prawdą, a gdy wróciliśmy, on już...*

Podsłoczył jak oparzony, obejrzawszy się za siebie. Ulżyło mu, oj, jak mu ulżyło. Andrzej żył! Od tego żaru albo ze strachu musiał stracić przytomność, ale już ją odzyskiwał. Podnosił się właśnie z trudem, klęczał wsparty na obu dłoniach. Wiśniewski chciał do niego podbiec, ale żar był tak potworny, że mimowolnie się zatrzymał, zanim postawił trzeci krok.

Jak on...? Tyle tylko pomyślał, gdyż dotarła do niego okrutna prawda.

Cofnął się raptownie. To nie był już Grabowski. Zaraza dosięgnęła go, mimo że nie miał kontaktu z odmieńcami. *Choć może...* Maciej znów zrobił krok w przód, badawczo się

przyglądając chodnikowi zasypanemu gruzem. *Pewnie upadł na niedopalone szczątki ofiary i to one sprzedały mu tę piekielną chorobę.*

Andrzej zdążył w tym czasie wstać. Natychmiast zatoczył się, jakby był pijany, co zbliżyło go jeszcze bardziej do płomieni, ale mimo że ciało na twarzy mu skwierczało, łuszcząc się i odchodząc płatami od kości, nie wydał żadnego dźwięku ani nie próbował się ratować. Więcej nawet, zrobił kolejny krok w stronę pryzmy gruzu, na której spoczywał wrak cysterny. Tym razem potknął się o własną stopę i padł na dobre. Od pasa w górę zniknął w buzujących szaleńczo płomieniach, ale mimo to jego nogi poruszały się nadal rytmicznie, jakby próbował pełzać.

Wiśniewski wzdrygnął się, gdy poczuł chłodny dotyk na plecach. To była jednak tylko brama. Szybki rzut oka na wewnętrzny dziedziniec bloku D, na którym koczowali uciekinierzy z Babińca, pomógł mu podjąć decyzję. Wsunął się zwinnie w szczelinę i z bronią w ręku ruszył w stronę znacznie mniejszego ognia.

– Wy tu sobie gadu-gadu, a tam... – Głos uwiązał mu w krtani na widok twarzy Pawełka, a raczej tego, co z niej zostało.

Tam gdzie przedtem była warstwa ciała, teraz widniały resztki rozszarpanych mięśni i zgruchotane kości. Kuba wyglądał tak, jakby ktoś wyżarł mu oczy, nos, wszystko, od czoła aż po rozwarte usta. Jego dolna szczęka zwisała swobodnie, zawieszona tylko na jednym z zawiasów, a mimo to kapral stał jakby nigdy nic, przez co można było odnieść mylne wrażenie, że rozmawia z... równie martwym Pietkunem. W trzeciej postaci, którą wcześniej przesłaniały płomienie, Maciej rozpoznał Godzińskiego.

– Ale... – bąknął, widząc, że odmieńcy ruszają kolejno ku niemu, bez pośpiechu, tym charakterystycznym sztywnym krokiem, który sam przed paroma chwilami naśladował.

Nie potrafił oderwać wzroku od potwornej rany szpecącej Pawełka. Otrzeźwiał dopiero wtedy, gdy tamten poślizgnął się na czymś mokrym i miękkim. Maciej spojrział odruchowo w dół. To była zmasakrowana twarz Kuby. Obok wałała się wypaprana

sadzą gałka oczna.

Zaczął się cofać, mierząc w przeciwników z tetetki, ale zaraz przypomniał sobie, że kule nie mają się zombie. Jedyne, co mógł zrobić w tej sytuacji, to podać tyły i tak też postąpił.

* * *

– Kapitanie, na słówko!

Doktor Wegner podbiegł do Okrutnego, zanim ten zdążył się wyłonić z drzwi w murze przegradzającym wewnętrzny dziedziniec.

– Co znowu?

– Chciałbym wrócić do ambulatorium – powiedział Wegner, z trudem nadążając za maszerującym żwawo oficerem.

– A co z tymi ludźmi? – Kapitan wskazał na siedzących pod murem uciekinierów.

– Im bardziej trzeba spokoju niż porady medycznej – stwierdził więzienny lekarz.

– Wolałbym mieć was tu, pod ręką. Za chwilę zaczniemy oczyszczać teren po drugiej stronie.

– Rozumiem, ale...

– Nie ma żadnego ale – przerwał mu Okrutny. – Jeśli skończyliście robotę tutaj, zabiorę was pod spacerniaki. – Zamilkł na moment. – A tak przy okazji, nie widzieliście może kaprała Pawełka?

Wegner zamyślił się, a potem pokręcił głową.

– Nie, raczej nie, choć nie miałem specjalnie czasu, żeby się za nim rozglądać.

– Gdzież on polazł? – Wojciech zataczał spojrzeniem coraz szersze kręgi, nie zwracając uwagi na truchającego obok niego doktora. – Już dawno powinien być z powrotem.

– Niech mi pan pozwoli zajrzeć do ambulatorium. Na moment tylko, muszę sprawdzić, co z...

– Wiśniewski! – ryknął Okrutny, dostrzegłszy spanikowanego funkcjonariusza, trzymającego kurczowo bramę. – Co wy, u licha, wyprawiacie?!

– Oni tam są! – pisnął w odpowiedzi Maciej.

– Jacy oni? – zdziwił się kapitan.

– No oni. Pietkun, Pawełek.

– No i zguba się znalazła. – Na usta oficera wpełzł uśmiech. – Dość tych wygłupów, Wiśniewski. Wpuście ich!

– Ale ich już tam nie ma! – zaskamlał Maciej, zapierając się mocniej, gdy ktoś z drugiej strony natarł na niebieskie skrzydło.

– Co wy pieprzycie?

– To odmieńcy!

Okrutny zatrzymał się tak gwałtownie, że drepczący za nim Wegner odbił się od jego biodra.

– Że co?

– Melduję, że Pawełek, Pietkun i Godziński zostali zarażeni!

Kapitan przecesał palcami spocone włosy.

– A gdzie Grabowski? – zapytał, rozglądając się wokół.

– Pojęcia nie mam. Kazał mi iść po Fijałkowskiego i Pietkuna, a jak wróciłem, to już się palił.

– Co robił?!

– Znaczący, jak wróciłem, to on już leżał i nie żył, a potem wszedł w ogień i się spalił – paplał spanikowany Wiśniewski.

– Czy wyście coś pili? – Okrutny podszedł bliżej.

– Jak tu stoję, od wczoraj rana grama nie przełknąłem, towarzyszu kapitanie – zapewnił go Maciej.

– To zacznijcie jeszcze raz. Ale tym razem składnie i po kolei.

– No, to było tak... Andrzej kazał mi zawołać tych tam, których towarzyszu kapitan przydzielił nam do wsparcia, bo czas mijał, a oni nie przychodzili. Ja tylko na chwilę poszedłem na plac, może z minutę mnie nie było, a jak wróciłem, to on już leżał jak długi, o tam – wskazał głową, ponieważ oburącz podtrzymywał wciąż chwiejącą się bramę. – Myślałem, że nie żyje, ale na moich oczach wstał, a potem... wlaźł prosto w płomienie. Jeszcze jego nogi widać.

Wegner podszedł do ściany buzującego ognia, ale zaraz się cofnął.

– Zgroza – mruknął na widok poruszających się miarowo, płonących nóg, za którymi widział tylko kilka poczerniałych kości kręgosłupa.

– A tamci? – Okrutny wskazał bramę. – Oni przyleźli za mną, towarzyszu kapitanie.

– Szlag.

– Pomoże mi ktoś? – wysapał Maciej. – Ja już nie mogę!

Naczelnik nie odpowiedział, wyglądał na głęboko zamyślonego.

– Ilu ich tam jest? – zapytał w końcu.

– Trzech, towarzyszu kapitanie.

– Jesteście pewni?

– Tylko oni byli na placu.

– Dobrze...

– Niedobrze – pokręcił głową Wiśniewski, uderzając w błagalne tony. – Pomóżcie, bo ja już długo nie wytrzymam.

Okrutny naparł na niebieskie metalowe skrzydło barkiem, przysuwając je jednym ruchem do obramowania, po czym stopą opuścił blokujący je rygiel. Maciej odetchnął, ale nie od razu opuścił rękę.

– Jeśli jest ich tylko trzech, damy radę – stwierdził kapitan. – Za chwilę będziemy mieli chwytaki, takie, jakimi posługują się rakarze. Wygarniemy ich z placu i zepchniemy za bramę albo w ogień.

– Towarzyszu kapitanie! – Doktor Wegner oderwał wzrok od płonących, lecz wciąż poruszających się nóg. – Wysłuchajcie mnie w końcu! Muszę wrócić do ambulatorium, i to szybko. Zostawiłem tam Krauza! – ostatnie zdanie niemalże wykrzyczał.

Wojciech odskoczył od bramy, jakby ta też była rozpalona do białości. Spojrzał na widoczne zza muru górne kondygnacje budynku administracji, w którym mieściło się nie tylko jego biuro, ale i wspomniana lecznica – wraz z postrzelonym w nogę funkcjonariuszem, który pomimo opatrzenia rany miał marne szanse na przeżycie, o ile nie trafi do prawdziwego szpitala. Co gorsza, to właśnie tam kazał ukryć się Kubisiowej i Lucynie.

– Za mną! – wychrypiął, po czym nie czekając na reakcję, pognął do odległej o kilkanaście metrów bramy w wewnętrznym murze, którą dało się przejść do męskiej części więzienia. Znalazł właściwy klucz, choć zajęło mu to chwilę, potem jednym szarpnięciem odciągnął ciężkie stalowe drzwi.

– Wiśniewski! – ryknął.

Maciej, choć miał ogromnego pietra, posłusznie wetknął głowę w prześwit.

– Czysto! – zameldował niemal natychmiast.

Okrutny wepchnął go za bramę, po czym sam za nią zniknął. Doktor Wegner, chcąc nie chcąc, musiał podążyć za nimi. Gdy mijali wejście, którym wcześniej wyprowadzili osadzonych w Iksie, kapitan zatrzymał się na moment, by sprawdzić, jak wygląda sytuacja na półkolistym placu i czy zombie nie idą ich śladem. Do wyboru miał tę bramę i ostatnią, boczną, wychodzącą wprost na pas patrolowy. Wolał skorzystać z tej drugiej, ponieważ znajdowała się najdalej od zarażonych, którzy stali wciąż przy zaryglowanym wyjściu. Trzęsącymi się dłońmi odszukał właściwy klucz, ale zanim przekreślił go w zamku, odwrócił się do Wiśniewskiego.

– Sprawdź migiem, czy mur na tym odcinku jest nietknięty, i wróć tutaj! – rozkazał. – Nie na plac, tylko tutaj! – powtórzył.

– Ale... – Maciej miał taką minę, jakby kazano mu skoczyć na główkę ze szczytu Giewontu, nie wytrzymał jednak ostrego spojrzenia przełożonego i potruczał w głąb pasa patrolowego.

– Migiem, powiedziałem!

Okrutny nie czekał, by się przekonać, czy podwładny zareagował. W tym momencie najważniejsza była jego żona. Dopadł kilkoma susami drzwi do budynku administracji, otworzył je na oścież, stanął w progu i zaczął nasłuchiwać.

Cisza. Kompletna cisza. Zły znak.

– Lucyna! – zawołał, nie ruszając się z miejsca. – Lucyna! – powtórzył moment później o wiele głośniejszym głosem. Nieumarli nie kierowali się słuchem, tego był już pewien.

Od strony schodów znikających w piwnicy dobiegły jakieś szmery.

– To ty?

Rozpoznał jej głos.

– Tak. Chodźcie tu szybko! – dodał, wsuwając się za próg, by zlustrować spowite mrokiem półpiętro.

– Coś się stało? – zapytała, wychodząc na klatkę schodową.

Wojciech spojrział ponad jej ramieniem.

– A gdzie Kubisiowa?

– Poszła na piętro. Ktoś w ambulatorium wołał pomocy.

– Dawno?

– Na tyle dawno, że zastanawiałam się, czy nie sprawdzić, co u niej – odparła po chwili zastanowienia. – Szczerze mówiąc, to właśnie zamierzałam...

Przytulił ją tak mocno, że aż pisnęła ze strachu. Nie puścił, dopóki nie zaczęła się wyrывać.

– Czyś ty oszalała? – sapnęła oburzona. – Mało brakowało, a byś mnie udusił.

– Przepraszam... – Przesunął ją za siebie. – Zostań z doktorem Wegnerem. Muszę coś sprawdzić.

* * *

Wspiął się na schody, zachowując maksymalną ostrożność. Cisza w tym akurat przypadku mogła zwiastować zagrożenie, a z piętra, na którym znajdowało się ambulatorium, nie dobiegał żaden dźwięk, całkiem jakby ta część budynku nigdy nie istniała albo została odcięta i przeniesiona w inne miejsce.

Schody prowadziły na szeroki korytarz, w nim po prawej, zaledwie metr dalej, znajdowały się drzwi, ku którym się kierował. Były lekko uchylone, zatem popchnął je czubkiem buta, wpatrując się czujnie w coraz szerszy prześwit.

W poczekalni nie było nikogo, co sprawdził dokładnie, zanim minął jej próg. Do ambulatorium mógł zajrzeć, nie otwierając kolejnych drzwi, przez panoramiczne okno, którym strażnicy sprawdzali nocą, czy żaden z kurowanych tam penitencjariuszy nie próbuje czegoś głupiego, jak na przykład ucieczka.

Okrutny przywarł do ściany pomiędzy wejściem do sali chorych a rzeczonym oknem. Wychylił się na ułamek sekundy, by omieść wzrokiem wewnątrz niedużego pomieszczenia, w którym stały cztery metalowe, puste w tym momencie, łóżka. Pościel na jednym była zmięta, koc zwisał smętnie, jakby ktoś wysunął się spod niego, próbując wstać. Rezultat ponownej inspekcji, przy nieco dłuższym i większym wychyleniu, zaskoczył kapitana.

Szeregowy Krauz stał pośrodku ambulatorium obok Agaty. Zastygli oboje w dziwacznej pozie – dopiero po bliższym przyjrzeniu się Wojciech zrozumiał, co mu w tym widoku nie pasuje. Zakrwawiona dłoń rannego sterczała zza pleców sekretarki naczelnika tuż nad paskiem jej spódnicy, jakby chciał ją objąć, ale się na to nie zdecydował. Problem polegał na tym, że ta ręka przechodziła przez jej brzuch na wylot, a krew na palcach nie należała bynajmniej do Łukasza.

Nietrudno było odgadnąć, co tu zaszło kilka minut wcześniej. Pozostawiony sobie konający funkcjonariusz zaczął wzywać pomocy. Kubisiowa, nie mając pojęcia, z czym ma do czynienia, weszła na górę, by go pocieszyć. Musiał umrzeć, gdy powstrzymywała go przed wstaniem. Była tak blisko, że bez trudu wbił jej szponiaste paluchy między wątrobę i trzustkę. Stali więc teraz nierozłączni, wykrzywieni jak para zgrzybiałych starców. Choć go wyczuli, nie mogli wykonać skoordynowanego ruchu. Gdy wycofywał się pośpiesznie na schody, z ambulatorium dobiegł głuchy łomot, z jakim oba nieumarłe ciała zwały się na linoleum.

sobota, 10 sierpnia 1963, godzina 06:51
Zajezdnia Tramwajowa Nr 2 przy ulicy Słowiańskiej 16–30

– Panie majster! – Popijający kawę zbożową Sprycha nie zareagował, Ulfig dodał więc szybko: – Szefie!

Fabian drgnął, po czym zdawszy sobie sprawę z własnej wpadki, zerknął na obecne w pomieszczeniu kobiety, ale żadna nie zauważyła jego faux pas, udał zatem, że Jakuza wyrwał go z głębszego zamyślenia.

– Co? – Rozejrzał się półprzytomnie. – Tak?

– Pan majster pozwoli. Sprawę mam. – Darek odsunął się od drzwi, robiąc mu przejście.

Umówili się, że dopóki Sprycha nie każe inaczej, będą odgrywać role robotników kolejowych. Na tym podobno zasadał się jego plan. Na tym i na grzeczności, z jaką miały być traktowane wszystkie kobiety. Tylko Maciński został skrupowany sznurem jak baleron i osadzony chwilowo w piwnicy, przeciw czemu – co ciekawe – nie zaprotestowała żadna z bab.

– Co jest? – zapytał Sprycha, gdy znaleźli się na korytarzu.

– Magdziarek odzyskał przytomność – zameldował Ulfig.

– Świetnie.

– Nie bardzo. Zaczyna się rzucać, drze mordę, a szef kazał z nim jak z jajkiem, więc nie bardzo wiemy, co robić.

– Chodźmy. – Fabian przyśpieszył kroku.

Nie chciał, by kobiety zobaczyły obitego Cangaceiro, gdyż ten wyglądał jak ucieleśnienie porachunków pod meliną. Sińce zdobiące jego opuchniętą twarz miały wszystkie barwy tęczy, z przewagą fioletu, rzecz jasna. Jedno oko zniknęło dokumentnie, nad wydętym policzkiem widać było tylko bruzdę, z której wystawały rzadkie końcówki rzęs. Sprycha wolał trzymać go z dala od ciekawskich spojrzeń, niż wymyślać karkołomne bajeczki uwiarygadniające ten stan. Robił, co mógł, by kobiety nie

rozgryzły ich przed czasem. Były mu potrzebne w pełni sił. Niech więc odpoczywają w przydzielonych im pokojach, zamiast gnść w piwnicach z cieciem.

Wszedł tylną bramą do hali, minął rzędy czerwonych wagonów, kierując się na źródło hałasów, które nietrudno było zlokalizować. Pojazd techniczny, przeróbka zwykłego starego tramwaju, wyglądał znacznie solidniej niż pierwowzór: zamiast większości szyb miał w oknach nitowane blachy, jakby szykowano go na taką właśnie apokalipsę.

– Odsuń się – warknął do trzymającego drzwi Zgorzelskiego. – A ty morda w kubeł! – wskazał palcem wyjącego jak pies Magdziarka.

Cangaceiro zamilkł, odsunął się też od wejścia, które bezskutecznie szturmował.

– Gdzie ja jestem? – wymamrotał, łypiąc na wszystkie strony jedynym sprawnym oknem.

– W niebie.

– Co?

– Siadaj na dupie! – Fabian wskazał mu najbliższą ławkę. – Siad, powiedziałem!

Magdziarek osunął się na siedzisko, sycząc przy każdym ruchu. Teraz, gdy amok mijał, zaczynał odczuwać skutki starcia z kapitanem.

– Niebo? – rzucił takim tonem, jakby to było przekleństwo.

– Dla ciebie tak. Słuchaj... – Sprycha klapnął obok niego, spojrzął mu w otwarte oko, które też nie wyglądało najlepiej. – Daliśmy drapaka, jak obiecywałem, ale trafiliśmy do jakieś pieprzonej zajezdni tramwajowej w centrum miasta. Na razie jesteśmy tutaj bezpieczni, lecz... – urwał i zacerpnął tchu. – Sytuacja wygląda źle, wokół pełno zarażonych... – Znów zamilkł, widząc, że Magdziarek sztywnieje na samo wspomnienie o chorobie. – To nie ospa, brachu, to coś znacznie gorszego. Ludzie zamieniają się w ciebie, poważnie. – Wybuchnął śmiechem, widząc minę Cangaceiro. – Tam, na ulicy, chorzy zabijają każdego, kto im się napatoczy. Gołymi łapami.

– Normalnie jakbyś czytał „Porwanego za młodu... na strzępy”,

hyhyhy – wtrącił przysłuchujący się tej rozmowie Ulfig.

– Mniej więcej – potaknął Fabian, śląc Jakuzie miazdzące spojrzenie. – Poważnie mówię. Ludzie masowo zmieniają się w bezrozumne, krwiożercze bestie. Gorsze od ciebie, bo nie sposób ich zabić.

– Ale jak to tak? – Zdezorientowany Magdziarek zrobiłby wielkie oczy, gdyby mógł.

– Tak to tak – odparł Sprycha. – Możesz wypruć flaki skurwym synom, a oni dalej leżą na ciebie.

– Bujdy!

– Chłopaki... – Fabian rozparł się wygodniej.

– Szef szczerą prawdę gada – poparł go Ulfig.

– Apokalipsa nadeszła – wyszeptał scenicznym szeptem Perek.

– Sam jesteś akopalipsa – prychnął Szczygło. – Zaraza miasto pustoszy, i tyle.

– Trupy chodzą po ulicach, jak napisano w Piśmie! – skontrował urażony truciciel.

– Dość! – uciszył ich Sprycha, znów nachylając się do skatowanego pupila. – Wiesz teraz tyle co my. Siedź tutaj i nie wychylaj tej kraszanki – wskazał na opuchliznę – dopóki ci nie pozwolę. Nie chcę, żebyś wystraszył moje baby.

– Mamy baby? – zainteresował się Cangaceiro.

– Ja mam – poprawił go Fabian. – I potrzebuję ich, więc nie, nie pozwolę ci ich na razie tknąć, rozumiano? – Magdziarek wykrzywił usta w parodii uśmiechu. – Zrozumiano?! – powtórzył kanibal tonem, który nie wróżył dobrze.

– Tak. – Odpowiedź padła dopiero po dłuższej chwili.

– Jakuz... – Sprycha odwrócił się do stojącego na stopniu Darka. – Jeśli ten okurwieniec wyjdzie choć krok poza ten wagon, możecie go zatłuc na śmierć. Tylko tak, żebym w willi jednego pisku nie usłyszał! Wyraziłem się dostatecznie jasno?

– Przecież powiedziałem, że rozumiem – obruszył się młotkowy.

– Zdarza ci się robić nie to, co mówisz, dlatego dostałeś krawat – stwierdził Fabian, wstając. – W kiciu wiele uchodziło ci płazem, ale jak tutaj coś mi spieprzysz, nie dostaniesz drugiej

szansy.

- Szefa nigdy nie okłamałem – wymamrotał Magdziarek.
- I tylko dlatego jeszcze żyjesz









sobota 10 sierpnia 1963, godzina 08:12
Zakład Karny Nr 1 przy ulicy Klęczkowskiej 35

– Patryku! – zawołał Okrutny, stając w drzwiach Iksa.

Jego okrzyk odbił się wielokrotnym echem w pustej przestrzeni więziennego bloku. Rozpięte pomiędzy piętrami siatki nie służyły do tłumienia dźwięku, a innych przeszkód między znajdującym się kilka kondygnacji wyżej dachem a parterem budynku nie było.

Chorąży nie mógł nie usłyszeć tego wezwania, nie zamierzał go także ignorować. Opuścił ulokowaną na ostatnim piętrze strażnicę, z której nadzorował trwającą wciąż operację przydzielania cel, i przepychając się wzdłuż kolejki oczekujących, dotarł do najbliższych schodów. Zbiegł nimi na sam dół, stanął przed kapitanem i zsalutował.

– Melduję... – zaczął, ale Okrutny nie pozwolił mu dokończyć.

– Nie mam czasu na te służbowe wygłupy – warknął. – Jakies incydenty były?

– Mel... – Rojewski ugryzł się w język. – Nie. Cisza i spokój, towarzyszu kapitanie. Za jakieś pół godziny skończymy rozmieszczać ewakuowanych.

– Dlaczego to tak długo trwa? – zdziwił się Wojciech.

– Musimy wynosić z cel kłamoty więźniów. – Patryk wskazał na stosy rupieci składane tymczasowo na łącznikach między pomostami.

– Rozumiem. Słuchajcie, taka sprawa jest, potrzebuję kilku dodatkowych ludzi.

Rojewski zmierzył go uważniejszym spojrzeniem. Okrutny był zmęczony, poirytowany i przygnębiony, ale w jego zaczerwienionych oczach czaiło się coś jeszcze. Coś, czego chorąży nigdy tam wcześniej nie widział. Strach. Lęk w najczystszej postaci. Zamiast protestować przeciw

uszczuplaniu załogi Iksa, zadał więc jedyne pytanie, jakie przyszło mu na myśl.

– Ilu?

– Z szczęściu – odparł od razu kapitan. – Ale wybierz mi takich, co nie mają tu nikogo bliskiego. Dasz radę?

Patryk zamyślił się głębiej.

– Mogą być praktykanci?

– Wolałbym kogoś z większym doświadczeniem – stwierdził Okrutny.

– Jest aż tak źle?

– Gorzej. Szczątki cysterny... – zaczął wyjaśniać, ale niemal natychmiast zrozumiał, że wprowadzanie nadzorcy bloku C w takie detale za długo by trwało. – Zawalił się dach i ściana kaplicy. Zginęło tam co najmniej dwadzieścia osób. Nie powiem ci dokładnie ile, bo wiele ofiar spoczywa wciąż pod gruzami, w każdym razie świadkowie zgodnie twierdzili, że ławy były pełne, gdy doszło do katastrofy. Ale najgorsze nastąpiło potem. Ludzie nie mieli pojęcia, co im grozi w zetknięciu z nieumarłymi, więc tłumnie ruszyli z pomocą.

– Bożeż ty mój... – jęknął Patryk, choć wcale nie był wierzący.

– Zanim ratownicy pojęli, w czym problem, zginęło ich drugie tyle. Nam poszło niewiele lepiej, choć dysponowaliśmy tą wiedzą. Straciłem połowę chłopaków przy kolejnych próbach ocalenia grupy kobiet odciętych przez te bestie. A może i więcej... – Zamilkł, po czym splunął ze złością na cementową wylewkę. – Mało brakowało, naprawdę mało brakowało, żebyśmy stracili kontrolę nad Babińcem.

– Pięciu chłopaków wam wystarczy? – zapytał rzeczowo Rojewski.

– Tak. Mamy nową, bezpieczniejszą taktykę.

– A dlaczego chcecie takich, co nie mają tu rodzin?

– Nieumarli, którymi mamy się zająć, to przecież czyiś krewni. Widziałem, jak ludzie reagują, gdy trafią na swoich, dlatego wolę samotnych.

– Zaczekajcie tutaj, towarzyszu kapitanie – poprosił Patryk, ruszając w stronę schodów. – Odetchnijcie chwilę, a ja zaraz

zorganizuję wam odpowiednich kandydatów.

– Jeszcze jedno... – Okrutny chwycił go za ramię. – Zostawię tu u was Lucynę. Nie musicie jej przydzielać żadnego miejsca. Niech posiedzi z wami w strażnicy albo pomoże przy dzieleniu miejsc.

– Jeśli wasza żona boi się być sama, mogę podesłać do niej parę...

– Krauz... – przerwał mu kapitan, kręcąc z rezygnacją głową. Nie musiał dodawać nic więcej.

* * *

Zaczęli ostrożnie. Dworczyk i Brzostek poszli przodem jako harcownicy, którzy mieli wyłuskiwać pojedynczych nieumarłych i podprowadzać ich funkcjonariuszom obsługującym chwytaki. To była prostsza część tej zabawy, schody zaczynały się z chwilą zarzucenia pętli na szyję żywego trupa. O tym, jak trudno zaciągnąć bestie tam, gdzie kazano, wyznaczeni przez Okrutnego ludzie przekonali się już przy pierwszym podejściu. Zarażeni parli prosto na trzymających chwytaki ludzi, ponieważ to oni siłą rzeczy znajdowali się najbliżej. Szarpanie bądź przeciąganie drzewca prowadziło nieuchronnie do upadku delikwenta i jeszcze większego zamieszania.

Kapitan zrozumiał, że nie tędy droga, gdy Lenart i Roszak, dwaj przydzieleni mu przez Patryka szeregowcy, zmierzili się z nadpalonymi zwłokami, tymi samymi, które sprawiły tyle kłopotu podczas wcześniejszej akcji. Martwy starszy mężczyzna, poparzony tak potwornie, że nie dało się rozpoznać jego twarzy, wił się właśnie po ziemi, dociskany do niej drągami przez obu funkcjonariuszy. Mimo przewagi siły z trudem przesuwali go ku bramie oddzielającej tę część kompleksu od dziedzińca ze spacerniakami.

– Pozwólcie mi wstać – przemówiła przyglądająca się temu z oddali Rzosińska.

– To nic nie da – wysapał Roszak.

– Ty mi tu nie pieprz, Sebastian, tylko pozwól mi wstać! – powtórzyła dobitniej.

– Jak tam sobie chcesz. Luzujemy liny!

Zostawili pojmanemu zombie więcej swobody, lecz ten po pierwszej nieudanej próbie zrezygnował z powrotu do pozycji wyprostowanej. Brnąc na czworakach, skierował się prosto na zaskoczonoego takim obrotem sprawy Lenarta. Daleko nie zaszedł, gdyż partner obranego na cel funkcjonariusza natychmiast zaciągnął linę i zaparł się o czterometrowe drzewce.

– Sama widzisz – rozłożył ręce Roszak.

– Lepiej patrz na to! – odparła Elżbieta, podchodząc bliżej tylko o krok, co jednak w zupełności wystarczyło.

Bestia natychmiast wyczuła nową ofiarę i szarpnęła się ku niej, nie zwracając uwagi na pęta i dzierzących chwytaki mężczyzn. A Rzosińska odwróciła się jakby nigdy nic i spokojnym krokiem poprowadziła nieumarłego w kierunku spacerniaków. Zwalniała, gdy odległość pomiędzy nimi zwiększała się na tyle, by zombie tracił nią zainteresowanie, ale to zdarzyło się na całej trasie nie więcej niż trzy razy. Zatrzymała się dopiero przed bramą prowadzącą na otoczony dwumetrowym murem dziedziniec, gdzie kiedyś wyprowadzano skazane na izolację penitencjariuszki tego zakładu.

Ogrodzony teren został podzielony na cztery równe części, których zazwyczaj pilnowali strażnicy przebywający w umieszczonej na samym środku wieży. Dzisiaj, co rozumiałe, nikt nie obstawiał spacerniaka. Na każdy z czterech wybiegów można było się dostać tylko jednymi, także bardzo solidnymi drzwiami.

– Zrobimy tak – powiedziała Rzosińska, odwracając się do obu kolegów, którzy z trudem powstrzymywali próbującego ją dosięgnąć nieumarłego. – Wejdę na spacerniak i poprowadzę drania aż pod najdalszą ścianę. Tam go przytrzymacie, dając mi szansę na ucieczkę, a gdy znajdę się za waszymi plecami, poluzujecie pętle i też się wycofacie.

Spojrzeli po sobie, ale nie mieli czasu na zastanowienie, ponieważ Elżbieta minęła już mur. Zrobili więc, co kazała, a nie było to wcale takie trudne, gdyż ożywieniec poruszał się naprawdę wolno w porównaniu z wystraszoną osobą. Ziółkowska zatrzasnęła bramę za zdyszany Roszakiem, zanim

spalony mężczyzna zdążył zrobić trzy kroki.

– I co? – zakpiła Rzosińska. – Dało się?

– Dało się – przyznał obserwujący ich wyczyny Okrutny. – Niestety za każdym razem będzie trudniej powtórzyć twój wyczyn.

– Niby dlaczego?

– Mamy ich ze czterdziestu albo i więcej... – Kapitan wskazał na skrzydło oddzielające ich od gromady zombie. – Jak unikniesz dopadnięcia po wprowadzeniu tam, powiedzmy, dziesięciu tych bestii?

– No... – zmarkotniała.

Nie miałyby najmniejszych szans, wchodząc za ten mur, gdyby po spacerniaku szwendało się kilku zombie. Za którymś razem wyczuliby ją za szybko i dopadli.

– A gdyby tak... – Ziółkowska zastanawiała się na głos, gładząc dolną wargę palcem wskazującym lewej dłoni. – A gdyby tak ktoś odwracał ich uwagę w momencie wprowadzania nowych?

– Na przykład jak? – zainteresował się kapitan.

– Na przykład zwabiając ich pod wieżę strażniczą – sprecyzowała, wciąż mocno skupiona. Nagle jej wzrok nabrał ostrości. – Tak. Te potwory zauważają czy też wyczuwają nas z odległości jakichś dziesięciu metrów. Jeśli ktoś stanąłby przy balustradzie na wieży, od ziemi dzieliłyby go co najwyżej cztery metry – wskazała płaski dach strażnicy, do której można było przejść wąskim pomostem ulokowanym nad jedną z wewnętrznych ścian.

– To może się udać – wsparła ją natychmiast Rzosińska.

Kapitan wdrapał się na metalowe schody, którymi strażniczki dostawały się na platformę, z której nadzorowały zażywające świeżego powietrza więźniarki. Z tej perspektywy przyjrzał się uważnie wszystkim wybiegom oraz siatce, którą nakryto całą konstrukcję. Zastanawiał się tylko chwilę, potem przeniósł wzrok na czekających w dole funkcjonariuszy.

– Rzosińska do mnie! – rozkazał, a gdy funkcjonariuszka stanęła obok, wskazał siatkę nad pustym kwadratem spacerniaka. – Przejdźcie za barierkę i zobaczcie, czy wytrzyma wasz ciężar.

Zrobiła wielkie oczy, ale nie skomentowała tego polecenia. Siatka, którą zabezpieczono od góry wybiegi, była aluminiowa, lecz wyglądała na bardzo solidną, bez trudu powinna więc wytrzymać ciężar filigranowej kobiety. Problem w tym, że Okrutny nie był pewien, jak zachowają się łączenia, których nie robiono z myślą o takiej ekwilibrystyce.

Wytypowana przez niego funkcjonariuszka przelazła za barierkę i zaczęła stawiać ostrożne kroki. Wszystkie druty, którymi połączono pasy siatki ułożone na stalowej kratownicy, trzymały, choć w paru miejscach rozciągnęły się bardziej, niżby sobie tego życzył.

– Wracaj – polecił jej, gdy dotarła mniej więcej na środek kwadratowego zadaszania.

Elżbieta, która do tej pory poruszała się bardzo powoli, zrobiła kilka śmielszych kroków, wprawiając tym całą konstrukcję w kołysanie. Nagle rozległ się ostry trzask, potem kolejny i następne, zlewające się w jedno staccato. Rzosińska zamachała rękami, tracąc równowagę, po czym poleciała w dół. Nie spadła jednak, tylko stoczyła się na trawnik po przechylonej siatce. Natychmiast zerwała się na równe nogi. Była poobijana, przestraszona, ale poza tym cała i zdrowa. Ziółkowska wypuściła ją ze spacerniaka, zanim Okrutny zdążył zejść na dół.

– Musimy to naprawić, jeśli chcemy tam wsadzić choć kilka tych bestii – stwierdził. – Co więcej, jeśli wzmocnimy łączenia dodatkowymi drutami, powinny wytrzymać takie spacerunki – dodał, ignorując wylęknione spojrzenie Elżbiety. – Mamy wystarczająco dużo materiałów w warsztacie, by zagęścić te mocowania trzykrotnie.

– Ja tam już nie wleżę – zastrzegła się roztrzęsiona Rzosińska.

– Jesteś z nas wszystkich najlżejsza. – Kapitan spojrzał jej prosto w oczy. – Musisz to zrobić.

– Nie... – Dolna warga zaczęła jej drżeć. – Proszę. Gdyby oni tam byli...

– Może to nie będzie konieczne – wtrąciła Ziółkowska, zanim Okrutny zdążył ponownie otworzyć usta. – Pozwólcie mi coś sprawdzić, towarzyszu kapitanie. Wejście jeszcze raz na górę

i obserwujcie, jak zachowuje się ten zamknięty zombie.

Potruchtała za najbliższy róg, głośno dzwoniąc kluczami przypiętymi do pasa. W tym czasie Wojciech wspiął się ponownie na metalowe schody i wychyliwszy się przez barierkę, skupił wzrok na stojącym w oddali nieumarłym. Przez chwilę nic się nie działo, potem na wpół spalony ożywieniec poruszył się nagle żwawiej i człapiąc sztywno przez pas żwiru, którym wysypano ścieżkę przeznaczoną do spacerowania, zbliżył się do białego wapnem muru. Zanim zaczął leżeć wzdłuż niego, postął chwilę, drepcząc w miejscu, następnie skręcił w lewo, przeszedł parę kroków i zmienił kierunek, docierając tym razem aż do narożnika wybiegu. Na jasnej powierzchni ściany pozostał lśniący szkarłatem i czernią ślad. W końcu nieumarły opuścił ręce i znieruchomiał, jakby stracił trop.

Okrutny wrócił na dół i zaczekał na zziąjaną sierżant.

– Zareagował jakoś? – wydyszała, stając przed nim.

– Tak. Najpierw polazł w lewo, potem zawrócił i doczłapał aż do kąta.

Pokiwała głową z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Wygląda na to, że mamy bezpieczniejsze rozwiązanie, towarzyszu kapitanie – rzuciła. – Drań wyczuł mnie nawet przez mur. Wystarczy, że pošlemy tam kilkoro naszych, a wprowadzanie kolejnych zombie przestanie być problemem.

* * *

Wychodzili za bramę szóstkami, na zmianę. Harcownicy po wywabieniu stojących najbliżej odmieńców nakierowywali ich na chwytaczy, a gdy ci unieruchamiali ich na moment, ustawiali się jak przedtem Rzosieńska i prowadzili zombie prosto na wskazaną przez Ziółkowską część spacerniaka. Reszta oddziału robiła w tym czasie za przynęty, stercząc przy samym murze. W chwili gdy sierżant otwierała bramę, wabiący funkcjonariusz wchodził do środka, trzymając się jak najbliżej muru dzielącego spacerniak na cztery wybiegi, natomiast zadaniem chwytaczy było silne pociągnięcie wprowadzanego nieumarłego w bok, przewrócenie go i wypuszczenie już po tym, jak ich kolega bezpiecznie się

wycofał. Zanim potwór zdążył wstać, oni byli już za metalowymi drzwiami, natomiast wyznaczony wcześniej funkcjonariusz, idąc wzdłuż muru od zewnętrznej strony, odprowadzał nowo zamkniętego do reszty stadka.

W cztery godziny oczyszczono cały skwerek, nie ponosząc przy tym żadnych strat. Nikt nie zginął, nikt nie został też ranny, a pod koniec, gdy dochodziło do nieuniknionych drobnych incydentów, takich jak potknięcie czy wypuszczenie drąga ze spoconych i zmęczonych dłoni, ludzie śmiali się, zamiast panikować. Okrutny obserwował ich poczynania z wysokości pomostu, szczerze żałując, że nie wpadł na ten pomysł wcześniej. *Ilu ludzi zachowałoby życie, ile nerwów oszczędziliby uciekinierzy, którzy do tej pory koczują po drugiej stronie bloku...*

Niestety kapitan był tylko człowiekiem i choć starał się, jak mógł, popełniał błędy, ponieważ to ludzka rzecz. Na szczęście czuł, że zbliża się koniec tego koszmaru. Brzostek zameldował przed chwilą, że pożar zaczyna słabnąć. Ogień strawił już wszystko, co mogło spłonąć, wypaliła się także zawartość cysterny. Jeszcze godzina, dwie i będzie można zająć się zabezpieczeniem rumowiska, pod którym spoczywało wciąż kilkanaście nieumarłych ofiar katastrofy.

To jednak powinna być już tylko czysta formalność.

sobota, 10 sierpnia 1963, godzina 09:00
Miejski Ogród Zoologiczny przy ulicy Wróblewskiego 1-5

Major Biedrzycki przeciągnął się mocno, aż mu chrupnęło w krzyżu. Wiele by dał choćby za godzinę snu, ale tej nocy, a właściwie już ranka, nie dane mu było zmrużyć oka. Oczyszczanie czy raczej przeczyszczenie wytwórni filmowej i perymetru znajdującej się kilkaset metrów dalej Hali Ludowej trwało ponad godzinę. Na Promenadzie i Pergoli natrafiono na szesnastu nieumarłych, których obezwładniono według wydanych instrukcji i przetransportowano kolejno na teren ogrodu zoologicznego, oczywiście bez strat własnych.

Fakt, że dowódca każe ściągnąć te bestie za ogrodzenie, nie spodobał się wielu żołnierzom, jednakże Biedrzycki zdusił protesty w zarodku. Doktor Arendzikowski potrzebował nowych obiektów do badań, ponieważ z Ołbińskiej zdołał wywieźć tylko tę pielęgniarkę z izolatorium na Psim Polu, której nazwiska major niestety nie pamiętał.

– Powiem krótko – zwrócił się do delegacji, którą podwładni przysłali do niego zaraz po zawleczeniu pierwszego żywego trupa na opróżniony wcześniej wybieg – albo zgadzacie się na to, żebyśmy walczyli z tą zarazą tak, jak umiemy i możemy, albo droga wolna. – Wskazał bramę, po czym już łagodniejszym tonem dodał: – Wiemy, co robimy. Doktor ich potrzebuje. Jak tylko wygospodarujemy solidniejsze klatki, trafią do nich i znikną wam z oczu.

Pokręcili nosami, pomamrotali, widać było, że są rozgoryczeni, ale odeszli i więcej nie podnosili tej kwestii, dzięki czemu Bartek mógł się skupić na kolejnej kwestii, jaką było przybycie mocno wykrwawionego batalionu brzeskiego. Po krótkiej rozmowie z jego aktualnym dowódcą, kapitanem Mateuszem Bernaciakiem, okazało się, że przemarsz kilkudziesięciu kilometrów, które

dzieliły obie miejscowości, był dla tych żołnierzy niewystawioną drogą przez mękę. Zwłaszcza w pierwszej fazie, gdy musieli przywyknąć, że ich wrogiem nie jest imperialistyczny najeźdźca, tylko najzwyczajsi ludzie – bo na takich z daleka wyglądali nieumarli – w tym kobiety i dzieci.

Strzelanie do idących na ciebie brzdąców jest przeżyciem traumatycznym, o czym przekonali się choćby powstańcy warszawscy, gdy przyszło im stawić czoło atakom Niemców kryjących się za żywymi tarczami. Nic więc dziwnego, że kiedy trzeba było przedzierać się przez blokujące drogi hordy nieumarłych, niejeden żołnierz odmówił wykonania rozkazu, a nawet zdezerterował.

Dowodzący jednostką pułkownik nie wytrzymał presji i po próbie przebicia się drogą okrężną przez osiedle, na którym wcześniej mieszkał, zwyczajnie palnął sobie w łeb. Ten gest rozpaczy, jak łatwo się domyślić, poskutkowało znacznym przetrzebieniem kadry, gdyż reszta oficerów, zajęta zmuszaniem podwładnych do strzelania, nie od razu zorientowała się w sytuacji i padła ofiarą zmartwychwstałego dowódcy. Tak czy inaczej, z pełnego batalionu liczącego w momencie wymarszu ponad pięciuset żołnierzy do Wrocławia dotarły trzy zdekompletowane kompanie, a wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że to jedyne wsparcie, na jakie w przewidywalnym czasie mógł liczyć Biedrzycki.

Dwustu dwudziestu pięciu ludzi, plus jego osiemdziesięciu sześciu szeregowych i podoficerów. Oto armia, przed którą stanęło zadanie oczyszczenia półmilionowego miasta z hord odmieńców, których nie można zabić ani nawet dotknąć. Patrząc na saperów zabezpieczających Halę Ludową, zrozumiał, że jego jedyną nadzieją jest doktor Arendzikowski.

*Jeśli jemu nie uda się znaleźć sposobu na powstrzymanie zarazy...
Strach pomyśleć, co będzie, jeśli medycyna zawiedzie.*

– Towarzyszu majorze! – usłyszał wołanie zza pleców. – Towarzysz Niesyto na linii!

Oddał salut gońcowi z centrali łączności, po czym ruszył za nim w kierunku radiostacji rozłożonej w namiocie przed pawilonem

reptilium. Zanim dotarł na miejsce, przypomniał sobie o transportach zaopatrzenia, które już od kwadransa powinny być rozładowywane w Hali Ludowej. Nikt mu nie zameldował o przybyciu konwojów, on sam też nie słyszał znajomego pomruku pracujących silników od przyjazdu brzeskiego baonu.

Bez słowa sięgnął po podane mu słuchawki.

– Mów, co się dzieje.

– I ja cię witam, przyjacielu – w jego uchu rozległ się znajomy i raczej wesoły głos.

– Gdzie jest zaopatrzenie? – wypalił, ignorując zawołaną połajankę.

– Na razie u nas.

– Co?

– Spokojnie, Bartuś. Zaraz ci wszystko wyjaśnię. – Niesyto spoważniał. – Wyczyściliśmy sześć z siedmiu magazynów, które nam wskazałeś. Musieliśmy odpuścić tylko ten na Grabiszyńskiej, ale to, co zgromadziliśmy, powinno wystarczyć dla was i dla nas na długie tygodnie...

– Świetnie – wpadł mu w słowo Biedrzycki. – Wy tłumacz mi tylko, dlaczego nie widzę tych ciężarówek pod halą? A patrzę właśnie w jej kierunku – skłamał.

– Wyluzuj bracie, proszę! – zachnął się Krzysztof. – Musieliśmy wprowadzić kilka korekt do twojego planu. Most Grunwaldzki jest zablokowany. Wyobraź sobie, że ci idioci z KBW pozdejmowali w nocy płyty z chodników, a potem pozrywali kostkę z jezdni na całej szerokości. Zrobili w nawierzchni wyrwę na prawie pięć metrów, żeby zablokować dostęp do izolatorium. Czujesz to?

– Rozwalili przeprawę bez naszej wiedzy? – zdumiał się Biedrzycki.

– Im się wydaje, że skoro nie ma Boga, nie odpowiadają przed nikim. No, może z wyjątkiem Zatylnego.

– Nie przypominaj mi nawet tego ścierwa.

– Jak sobie życzysz. Wracając do tematu... Po drugiej stronie mostu Pokoju stoją teraz tysięczne hordy zombie. Jakby ktoś ich wywabił z katedry albo coś.

– Chyba wiem, komu to zawdzięczamy – mruknął Bartek.

– Co?

– Nieważne. Mów dalej.

– Próbowaliśmy wysłać tamtędy konwój, ale ciężarówki nie zdołały się przebić, tyłu tam jest zarażonych. Kazałem chłopcom zostawić dwa wozy i wycofać się na ten brzeg, żeby nie ściągnęli nam pod urząd tej hałastry.

– Jak zamierzasz rozwiązać ten problem? – zainteresował się Biedrzycki, zniżając głos.

Sytuacja wbrew pozorom nie była beznadziejna. Miał na biurku raport kwatermistrzowski. Wiedział też, że saperzy przywieźli sporo racji żywnościowych z własnych magazynów, zatem głód nikomu na razie nie groził, jednakże tu nie chodziło tylko o mundurowych. Te zapasy były potrzebne cywilom, których Bartek zamierzał ratować i gromadzić na wyspie. Ludziom, których mogą być wkrótce setki, jeśli nie tysiące.

– Ten problem już został rozwiązany – zapewnił go lekkim tonem Niesyto. – W dużej mierze dzięki temu twojemu Niznerowi. To on podpowiedział nam, co robić.

– Tak? I cóż ci poradził nasz specjalista od przeżycia?

– BM-kę.

– Co?

– Barkę. Taką towarową. Wysłałem chłopaków motorówką milicyjną do portu miejskiego, tam „wypożyczyliśmy” tę piękną jednostkę, nówkę nieśmiganą, no, prawie, po czym zapakowaliśmy na nią zdecydowaną większość zapasów. Patrząc właśnie na to чудо. Stoi na kotwicach pomiędzy mostem Pokoju a Grunwaldzkim. Te sucze syny nigdy się na nią nie dostaną, mówię o nieumarłych, rzecz jasna.

– A jak my mamy się na nią dostać? – zapytał nieco bardziej zniecierpliwionym tonem major.

– To proste. Dajesz mi znać, a ja wysyłam barkę w górę rzeki pod zoo, gdzie wy przeładowujecie na wały tyle towaru, ile wam w danym momencie trzeba, nawet przez moment nie wystawiając się na zagrożenie ze strony nieumarłych.

Biedrzycki spojrział na mapę rozwieszoną w głębi namiotu

centrali łączności. Na zapleczu ogrodu zoologicznego, niedaleko willi, którą zajął, dostrzegł coś, co wyglądało na tylną bramę. Jak dotąd patrole nie trafiły na nieumarłych na wałach od tej strony, może dlatego, że tereny wokół były rzadko zamieszkałe. Najbliższe osiedle znajdowało się dużo dalej na wschód, dzięki czemu zwiększona aktywność mundurowych nad Odrą nie powinna zwrócić niczyjej uwagi, a już zwłaszcza żywych trupów. Przeniesienie zaopatrzenia z barki za ogrodzenie miało szansę odbyć się bez większych trudności. Można było utworzyć na łące ludzki łańcuch albo posłać tam lżejsze transportery saperów, które objeżdżając zoo, zabiorą nawet do dwu ton żywności za jednym kursem.

– Świetnie – podsumował. – Nasz geniusz znów się spisał, jak widzę.

– Ma facet talent do takich spraw – przyznał Krzysztof. – To na którą mamy do was podpłynąć?

Major nie zastanawiał się długo.

– Wstrzymajmy się z przeładunkiem – postanowił. – Jeśli uważasz, że zapasy są bezpieczne, zostawmy je chwilowo na barce, przynajmniej dopóki nie zaczniemy akcji oczyszczania wyspy. Swoich ludzi wykarmię tym, czym dysponuję.

– A propos wyżerki... – podchwycił Niesyto.

– Zwierząt na razie nie tykamy – przerwał mu Biedrzycki. – Nie chcę mieć tu stada nieumarłych drapieżników.

– Trzeba by sprawdzić, czy zwierzęta także się przemieniają – stwierdził Krzysztof.

– Wiem o tym – potaknął Bartek. – Zrobię to jeszcze dzisiaj.

– Na twoim miejscu bym nie zwlekał. To cholernie ważne, może nawet najważniejsze w tej sytuacji. Z odmienionymi ludźmi damy sobie jakoś radę, ale jeśli zaraza obejmie także faunę...

– Nie musisz mi o tym przypominać. Bez odbioru! – Bartek oddał słuchawki radiotelegraficznie.

Po zakończeniu rozmowy został w namiocie. Chciał przemyśleć kilka spraw, zanim wróci do przerwanych zajęć. Tempo wydarzeń ostatniej nocy było tak szybkie, że nie miał czasu zastanowić się nad wszystkim. W pierwszej kolejności skupił się

na eliminacji zagrożenia, a gdy przerosło to jego możliwości, zajął się ratowaniem podwładnych, wydając rozkaz okopania się na pozycjach, które gwarantowały przynajmniej chwilowe przetrwanie. Tymczasem teraz Niesyto mu uświadomił, że ten plan ma jedną, ale za to bardzo istotną wadę: jeśli zwierzęta po śmierci także zaczną ożywać – a niby dlaczego miałyby tego nie robić? – dalsza walka z nieumarłymi straci sens. Jak bowiem obronić się na otwartej przestrzeni przed stadem ptaków albo nocą przed odmienionymi gryzoniami, nie mówiąc już o wszechobecnych owadach?

Dostrzegł muchę krążącą wokół talerza z niedojedzoną tuszonką. Spróbował ją rozpląszczyć dłonią, ale okazała się szybsza. Zaklął pod nosem, po czym wymaszerował na zewnątrz.

– Nizner! – wrzasnął, płosząc antylopy na pobliskim wybiegu.

* * *

Usiedli w gabinecie dyrektora zoo we czwórkę. Biedrzycki, doktor Arendzikowski, Nizner i Mawet. Major nie zamierzał wtajemniczać nikogo więcej, aby nie budzić paniki. Wiedział, że tej trójce może zaufać nawet w przypadku, gdy prawda okaże się bardzo bolesna.

– Czy któryś z was widział wcześniej jakieś ożywione zwierzęta? – zagaił, odbijając nasadą dłoni korek półlitrowki, której zawartość trafiła następnie do czterech musztardówek.

– Kurwa mać! – Arendzikowski zbladł.

Jemu nie trzeba było tłumaczyć, dlaczego pada takie pytanie. Pozostali zaskoczyli dopiero chwilę później. Pałaca w gardło, ciepła gorzała zniknęła ze wszystkich szklanek, jakby była wodą w odległej oazie, do której dotarli, pokonawszy bezkresną pustynię.

– Mawet? – Biedrzycki skupił wzrok na ocierającym usta zomowcu, który dołączył do nich niedawno, pokonawszy w pojedynkę szmat miasta.

Porucznik nie odpowiedział od razu. Bezwiednie masował obandażowane udo, spoglądając gdzieś w przestrzeń.

– Nie przypominam sobie – oświadczył w końcu. – W kanałach

roilo się od szczurów i innego ścierwa, ale czy żywego, czy nieumarłego, nie sposób stwierdzić. A kiedy wychodziłem na powierzchnię, miałem wystarczająco dużo problemów z nieumarłymi ludźmi. Pierdoły mnie nie interesowały.

– To nie pierdoły – burknął ponury jak chmura gradowa Nizner, który równie dobrze jak doktor rozumiał, z czym przyjdzie im się mierzyć, jeśli obawy majora okażą się zasadne.

– Teraz i ja to wiem – odburknął Mawet, zapalając papierosa.

– Ja też nie przypominam sobie, abyśmy widzieli po drodze tutaj jakieś zabite zwierzęta – powiedział Arendzikowski. – Bo gdyby te bestie dopadły na ulicy kota, psa albo konia... – nie dokończył i poderwał się na równe nogi. – Musimy to sprawdzić. Natychmiast!

Przytaknęli wszyscy. Biedrzycki ostatni, z widocznym ociąganiem.

– Coś nie tak? – rzucił Mawet.

– Wkurzymy tym dozorców zwierząt, a bez nich... – wskazał głową na wybiegi widoczne za oknem.

– Tym się nie przejmujcie. Jak będzie trzeba, ustawię ich do pionu. Nie z takimi warchołami dawaliśmy sobie radę – dokończył z dumą.

– Wy, poruczniku, jako wy czy wy w rozumieniu ZOMO? – zakpił Sławek. – Bo was, liczba mnoga, to już nie ma – przypomniał kąśliwie.

– Ja wystarczę za pięciu takich lalusiów jak wy, Nizner! – warknął poirytowany zomowiec.

– Dajcie spokój, poruczniku. Wszystkich naraz nie spacyfikujecie. – Biedrzycki zakończył słowne starcie. – A bez ich pomocy nie ogarnę tego burdelu.

– Zapakujcie ich do któregoś budynku, zamknijcie i dajcie mi się zająć resztą – zaproponował Mawet.

– Tu nigdzie nie ma krat, znaczy w żadnym oknie – skontrował znów Sławek. – Poza tym oni lepiej znają teren. Pysną nam, zanim się zorientujemy. A tak nawiasem mówiąc, czy ktoś wie, gdzie oni w ogóle są?

Nikt nie wiedział, nawet oficer dyżurny, którego o to zapytali

niezwłocznie po opuszczeniu willi. Jedno nie uległo wątpliwości: dozorczy nie wyszli przez żadną z bram, bo te pilnie strzeżono. Z drugiej strony – mur otaczający ogród miał z półtora kilometra długości, nie dało się go zabezpieczyć na całej długości, zwłaszcza gdy przeciwnikiem byli ludzie znający tu każdy kamień i krzak.

– Nieważne, co na to dozorczy – odezwał się po chwili namysłu Arendzikowski. – Musimy to sprawdzić teraz, zaraz. Od tego zależy przeżycie nas wszystkich. Ich także. Mam nadzieję, że będzie to dla nich oczywiste.

– Co w takim razie proponujesz? – zapytał major.

– Musimy odizolować jakieś zwierzę i je zastrzelić. Innego sposobu nie widzę.

– Zwierząt mamy tu pod dostatkiem – westchnął Biedrzycki.

Arendzikowski zastanawiał się dłuższą chwilę.

– Najbliżej spokrewnione z nami są małpy, ale... – zawahał się. – Skoro uważasz, że nie powinniśmy zaognić sytuacji, może rozsądniej będzie zacząć od gryzoni, ptaków albo ryb...

– Może ustrzelmy coś jadalnego? – przerwał mu Mawet. – Jeśli gadzina nie ożyje, upieczemy dwie pieczenie przy jednym ogniu.

– Oni tu mają węże – rzucił Nizner takim tonem, jakby objawiał im wielką tajemnicę.

– Jadłem to gówno raz na poligonie – prychnął pogardliwie zomowiec. – Nie polecam.

– Nie rozumiecie – obruszył się podporucznik. – Jeśli mają tu węże, muszą je czymś karmić, na przykład myszami.

– Tylko gdzie je trzymają? – Major rozejrzał się wokół, mając nadzieję, że dostrzeże przy wybiegach któregoś z dozorców. Zanim zdążył wrócić wzrokiem do towarzyszących mu mężczyzn, skulił się instynktownie, słysząc za plecami odgłos wystrzału. – Popieprzyło was, Mawet?! – wrzasnął.

Porucznik schował makarowa do kabury, wzruszając ramionami, jakby nie rozumiał, dlaczego ktoś może mieć mu za złe, że wypalił w powietrze.

– Jak im tak zależy na tych sierściuchach, przybiegną do nas w podskokach – stwierdził, i miał rację.

* * *

Mysz nie ożyła. Szczur też nie. To był dobry znak, ale nadal nie mieli pewności, czy zasada ta będzie dotyczyć także większych zwierząt. Zwłaszcza doktor Arendzikowski kręcił nosem. Tylko on z nich wszystkich posiadał wiedzę pozwalającą, przynajmniej w teorii, na zrozumienie fenomenu zarazy toczącej od wielu godzin to miasto i świat. Mimo ogromnego doświadczenia, dzięki któremu nie tak dawno trafnie zdiagnozował czarną ospę, co umożliwiło ocalenie wielu istnień ludzkich, w przypadku tego schorzenia wciąż błędził jak przysłowiowe dziecko we mgle. Minionej nocy zdołał ustalić tylko jedno – za zmartwychwstania nie odpowiadał ani wirus, ani żaden inny znany mu mikroorganizm. Niestety konkluzja ta nie przybliżyła go nawet o milimetr do odpowiedzi na główne pytanie. Co więcej, rodziła kolejne. Wątpliwości bowiem było bez liku.

To, co Arendzikowski zobaczył w szpitalu na Ołbińskiej podczas badań zwłok siostry Młocickiej, przeczyło nie tylko logice, ale też wszystkiemu, czego go wcześniej uczono. Ta kobieta była martwa pod każdym względem, a mimo to poruszała się i nieodmiennie reagowała na obecność żywych ludzi. Jej widok przyprawiał go za każdym razem o ciarki, ponieważ jedyne wytłumaczenie tego fenomenu mógł upatrywać w sferze... nadprzyrodzonej, a z tym, jako zatwardziały racjonalista, nie umiał się pogodzić.

A teraz, tutaj, w cuchnącym pawilonie ogrodu zoologicznego, zobaczył coś, co zdawało się potwierdzać jego wcześniejsze podejrzenia. *Jeśli zwierzęta nie ulegają przemianie po śmierci – a gryzonie zatłuczone kolbą pistoletu Maweta z pewnością nie miały prawa przeżyć – trzeba będzie pogodzić się z myślą, że człowiek to nie tylko ciało, ale także coś więcej. Być może nawet dużo więcej...*

– Panie Marcynie! – Doktor odwrócił się do postawnego brodacza, dozorcę terrarium. – To obiecujący początek, ale musimy sprawdzić, gdzie naprawdę przebiega granica. Wiem, że dla was, pracowników zoo, może to być trudne, ale nie mamy

innego wyjścia. Niezbędne będą dalsze testy... – Głupio mu było, że wije się jak te węże za jego plecami, byle nie powiedzieć wprost, o co chodzi.

– Panie Konieczny. – Mawet wszedł między lekarza a oniemiałego dozorcę. – Bez owijania w bawełnę, trzeba będzie zabić jeszcze kilku waszych pupili, ale takich jakby większych.

– Chcecie zatłuc węża? – wymamrotał przerażony pracownik zoo.

– Chcemy zatłuc węża? – powtórzył za nim zomowiec, zwracając się do Arendzikowskiego.

– Węża nie. – Doktor pokręcił głową. – Interesują nas kotowate, psowate i... ptaki.

Wymienił zwierzęta, z którymi żołnierze mogli mieć do czynienia podczas akcji oczyszczania miasta.

– I jeleniowate! – dodał ostrym tonem porucznik.

– Jeleniowate nie – zaprzeczył natychmiast Arendzikowski.

– Dlaczego nie?

– Mawet! – Biedrzycki wskazał zomowcowi drzwi. – Jeszcze słowo, a wróćcie za bramę!

– Ja tylko...

– Won!

Gdy zostali we trzech, doktor Arendzikowski wyjaśnił ponuremu jak własny grób Koniecznemu, dlaczego dalsze eksperymenty są niezbędne.

– Jeśli się okaże, że zaraza dotyka wymienione przeze mnie zwierzęta, nikt z nas nie będzie bezpieczny – przekonywał opiekuna gadów. – Macie tutaj rodzinę?

– Nie. Ja ze Szczecina jestem – odparł nieco radośniejszym tonem Marcin.

– Ja bym się na waszym miejscu tak nie cieszył – wtrącił Biedrzycki. – Z tego, co wiemy, zombie pojawiły się nie tylko na Dolnym Śląsku. Są dosłownie wszędzie. U nas i za granicą.

Konieczny zbladł.

– Jak to wszędzie?

– Tak to. Moskwa, Budapeszt, Praga. Największe stolice świata wyglądają dzisiaj jak Wrocław. Batalion z Brzegu musiał

przebijać się przez każdą wiochę, by tu dotrzeć. To prawdziwa pandemonia, przyjacielu!

– Pandemia – odruchowo poprawił go Arendzikowski.

– Jeden grzyb. – Major wzruszył ramionami, po czym przeniósł znów spojrzenie na pracownika zoo. – Zróbmy tak. Jeśli zgodzicie się na zabicie tych kilku zwierząt, które doktor wskaże, oczywiście za waszą radą i pomocą, cofnę chwilowo rozkaz odstrzału drapieżników.

– Chwilowo?

– Tak, do czasu, aż sami zrozumiecie, że to nie kolejna fanaberia mundurowych, tylko konieczność – obiecał Biedrzycki. – Idźcie i powiedzcie o tym kolegom. Macie pięć minut! – zawołał za oddalającym się Marcinem.

sobota, 10 sierpnia 1963, godzina 09:40
Zakład Karny Nr 1 przy ulicy Kłęczkowskiej 35

– O, w mordę – jęknął Brzostek, raz tylko zerknąwszy przez panoramiczne okno ambulatorium.

Krauz stał wciąż tam, gdzie go widział poprzednio Okrutny, na środku sali obok Kubisiowej, z ręką wbitą po łokieć w jej bebechy.

– Tutaj standardowa procedura nie na wiele się zda – zawyrokowała Ziółkowska, wraz z kolegą wracając na korytarz do czekającego na raport kapitana.

– Dlaczego tak uważacie?

– Musimy pochwyć oboje naraz, a potem przeciągnąć przez te drzwi na schody. A sami zobaczcie – wskazała wąskie wejście. – Nie bardzo to widzę.

O ile wprowadzenie do ambulatorium czwórki funkcjonariuszy było wykonalne, o tyle skoordynowanie ich działań tak, by wycofali się równocześnie, mogło nastrożyć problemów. Jednakże Okrutny musiał oczyścić te pomieszczenia. Po pierwsze potrzebował pełnego dostępu do ambulatorium i znajdujących się tam leków oraz środków opatrunkowych. Po drugie nie zamierzał przebywać w budynku okupowanym przez te potwory, zwłaszcza że miał tu spać nie tylko on, ale i jego żona, o doktorze Wegnerze nie wspominając. A pech chciał, że służbówki mieściły się na tym właśnie piętrze, dokładnie naprzeciw ambulatorium.

– Jakież propozycje? – zapytał po chwili wymownego milczenia.

– Ja bym ich wywabił na korytarz albo nawet na schody... – zaczął niezbyt śmiało Gronowski.

– Dajże spokój, Adam – przerwał mu Kruk. – Widziałeś, jak te pokraki się poruszają. Zlecą na zбитy ryj, prosto na tego, kto będzie je wabił.

– Zdążę uskoczyć – uspokajał go kolega. – Te lebiegi ledwie łążą.

Jak...

– Jak zlecą z tyłu schodów, będziemy mieli całe półpiętro przystrojone girlandami z flaków Agaty – prychnął zdegustowany Hubert. – Kto to będzie sprzątał, ja się pytam?

Gronowski wzruszył ramionami.

– Kapitan pyta, więc mówię, co myślę.

– Pomysł nie jest zły – przyznał po chwili zastanowienia Okrutny. – Ale lepiej nie ryzykować. Zróbmy tak... Wy, Gronowski, wywabicie tę parkę z ambulatorium na korytarz, tam Kruk i ja złapiemy Krauza, a wy z Ziółkowską Kubisiową. We czwórkę powinniśmy ich unieruchomić... – Tutaj kończyła się jego pomysłowość.

– Możemy też spróbować ich rozdzielić – zaproponowała Katarzyna. – Gdybyśmy odciągnęli każde w przeciwnym kierunku... – Ewidentnie nie była przekonana do swego pomysłu, ale żaden inny nie padł mimo kilkuminutowego zamyślenia pozostałych funkcjonariuszy.

– Dobra – podsumował Okrutny, przerywając przeciągającą się ciszę. – Zrobimy po mojemu. Gronowski, wy wywabiacie naszą parkę na korytarz. Ja i Kruk łapiemy Krauza, wy i Ziółkowska zajmiecie się Kubisiową. We czwórkę powinniśmy unieruchomić drani.

– Pozwolicie, kapitanie... – Katarzyna podniosła rękę, jakby zgłaszała się do odpowiedzi.

– Mówcie.

– Może lepiej będzie ich przewrócić? Wiecie, żeby się tak nie szarpali. Tu niby mamy więcej miejsca, ale nawet te krótsze drzewca ograniczą naszą swobodę ruchu. Jeśli ktoś skrewi albo nie daj Boże, któryś nieumarły wymknie nam się spod kontroli... – zawiesiła głos.

Miała rację. Na potrzeby tej akcji zrobili dużo krótsze, bo tylko dwumetrowe chwytaki, ale korytarz w tym miejscu miał niespełna cztery metry szerokości, nie dało się więc wykluczyć, że podczas szarpaniny z dwoma zombie naraz ktoś zawadzi końcem drzewca o ścianę lub poręcz.

– W porządku – zdecydował Okrutny. – Przewracamy ich,

ledwie miną drzwi. Ja podcinam im nogi, wy zarzucacie pętle, jak tylko padną. Wszystko jasne?

Przytaknęli kolejno, oblizując spierzchnięte wargi i zaciskając spocone dłonie na rakarskich narzędziach, które sprawdziły się przy obezwładnianiu nieumarłych, tyle że na otwartym terenie. Po raz pierwszy mieli się zmierzyć z zarażonymi w zamkniętym pomieszczeniu, gdzie nie zawsze da się w porę odskoczyć czy zrobić unik. W dodatku sytuacja była bardzo nietypowa. Krauz wpił się w Kubisiową jak szczerbaty dziad w suchara, co dodatkowo utrudniało operację wyprowadzenia nieumarłych z budynku administracji.

Nie ma miejsca na próby i błędy – albo uda nam się za pierwszym podejściem, albo... Kapitan wzdrygnął się na myśl o kolejnych ofiarach. Od nieudanej ewakuacji przez kaplicę nie stracił ani jednego funkcjonariusza. Odbudował morale wśród podwładnych, zabezpieczył niemal cały teren więzienia. To było ostatnie, co dzieliło go od zasłużonego odpoczynku. Gdyby należał do ludzi wierzących, toby się pomodlił o sukces.

– Gronowski! – warknął, ruchem głowy wskazując drzwi prowadzące do poczekalni.

Adam strzelił obcasami, rozciągnął usta w uśmiechu, ale gdy tylko się odwrócił, z trudem przełknął gęstą ślinę, która oblepiała mu gardło. Na spacerunki przeprowadził ośmiu odmienionych, o dwóch więcej niż Kruk, lecz wystarczyło, że przymknął na moment oczy, a podbudowywana słowami kapitana euforia pryskała jak najzwyczajsza bańka mydlana. Wracały wspomnienia ginących kolegów i przełożonych. W zakamarkach jego umysłu wciąż tlił się paraliżujący strach przed śmiercią i jeszcze większa obawa przed przemianą.

Nie było jednak odwrotu, musiał wykonać rozkaz. Wmawiał więc sobie przy każdym kroku, że w ambulatorium będzie podobnie jak na skwerze za Babińcem i na placu pod bramą.

Wyczuli go, zanim dotarł do drzwi, ale zdążył je otworzyć na sekundę przed tym, nim odmieńcy zrobili pierwszy nieskoordynowany krok w jego stronę. Wyglądali groteskowo, jak para tańczących sztajmesów po wyjątkowo zakrapianej

imprezie. Na szczęście linoleum, na którym stali, nie było pokryte krwią, choć przy tak potwornej ranie, jaką odniosła Agata, powinni brodzić w rozlanej jusze. Ten szczegół umknął jednak uwadze zestresowanego Gronowskiego.

– Dalej... Dalej... – mamrotał, cofając się wolno przez poczekalnię.

Z trudem zmieścili się w drzwiach, przez które próbowali przejść równocześnie, wyciągając ręce – przynajmniej te wolne – w kierunku znajdującego się tuż przed nimi żywego człowieka.

Okrutny stał w drzwiach prowadzących na korytarz. Obserwował poczynania Adama z dystansu, gotów przyjść mu w sukurs, jeśli sytuacja będzie tego wymagać. Na razie jednak wszystko szło zgodnie z planem. Krauz i Kubisiowa precyzyjnie się w końcu do poczekalni, sunęli właśnie ku kolejnym, niewiele szerszym, drzwiom. Jeszcze dwa kroki, jeszcze krok... Gronowski wymknął się zwinnie na korytarz. Nie musiał już robić za wabia. Bestie wyczuwały teraz całą czwórkę funkcjonariuszy, ich sine łapska młóciły powietrze, jakby próbowały osiągnąć stojących kilka metrów od nich ofiar.

– Uwaga! – Kapitan wsunął koniec chwytyka pod nogi Krauza. To wystarczyło, by żywy trup potknął się i poleciał na twarz, pociągając za sobą Kubisiową. Padli oboje jak dłudzy między rozstawionych ludzi. – Teraz!

Dwie pętle zacisnęły się na szyjach leżących odmieńców. Dwie kolejne opasały ich nogi aż do kolan. Funkcjonariusze napięli mięśnie, próbując odciągnąć wierzgające zwłoki od siebie, ale nic nie wskórali. Zdawać się mogło, że ręka Krauza wrosła w brzuch sekretarki naczelnika.

– Przytrzymajcie ich! – Okrutny poluzował swoją pętlę, ściągnął linkę z szyi ożywieńca, po czym ustawił się w lepszej pozycji i sięgnął końcem drzewca do brzucha Kubisiowej. Kilкома szarpnięciami rozerwał zakrwawioną bluzkę, odsłaniając plecy kobiety.

Jęknęli wszyscy jak jeden mąż, przekleństwa zmieszały się z wezwaniami Boga. Na ciele Agaty nie było widać żadnej rany, dłoń Łukasza zdawała się z niej wyrastać, jakby była integralnym

organem.

– Co jest? – mruknął zaskoczony kapitan, prostując się raptownie.

Już jakiś czas temu zrozumiał, że nieumarli zabijają żywych, by się regenerować. Widział to tego ranka nie raz i nie dwa, ale... *Jak to możliwe w przypadku sekretarki, która zginęła w ambulatorium i nie miała żadnych szans na kontakt z...*

Drzwi za plecami Kruka skrzyknęły, gdy ktoś naparł na nie, by wydostać się na korytarz. Z poczekalni wytoczył się kolejny odmieniec, wpadając prosto na niczego się nie spodziewającego funkcjonariusza. Okrutny w okamgnieniu rozpoznał tę sylwetkę i tę twarz. To była kobieta, którą przepytywał pod Babińcem, Alicja jakaśtam. Doktor musiał ją posłać po leki albo...

Nie było czasu na dalsze domysły. Zbrogowa, tak się chyba nazywała, już dopadła struchlałego Huberta. Kapitan zobaczył, jak wykrzywione paluchy zagłębiają się w skórce policzka, jak ciało odrywa się od kości pod wytrzeszczonym okiem. Sekundę później atakująca i jej ofiara padli na posadzkę, pech jednak chciał, że nie polecili prosto na Krauzę i Kubisiową, tylko zatoczyli się w bok, odcinając resztę funkcjonariuszy od schodów.

Okrutny wiedział, że na reakcję ma tylko kilka sekund. Musiał wymyślić nową strategię, i to natychmiast. Czasami presja działa na człowieka mobilizująco, w tym jednak wypadku stało się inaczej. W umyśle znajdującego się na skraju paniki oficera powstała wielka czarna dziura, w której zniknęło wszystko, co podpowiadała wyobraźnia. Ryknął więc, rozwścieczony własną niemocą. Walnął pięścią w ścianę z taką siłą, że ból w urazonym nadgarstku niemal go oślepił.

Byli już tak blisko sukcesu!

– Wycofujemy się! – zawołał do Gronowskiego i Ziółkowskiej, którzy wciąż mocowali się z Kubisiową.

A raczej nie tylko z nią, ale też z przyrośniętym do niej Krauzem, co już przekraczało ich siły. Kapitan zareagował instynktownie, zamachnął się, próbując zarzucić pętlę na szyję Łukasza, chybił jednak. Celne trafienie w rzucającego się jak

epileptyk zombie wymagało żelaznych nerwów, a jego ogarniała coraz większa panika. Zbrogowa zadrżała, co oznaczało, że lada moment zacznie wstawać, albo co gorsza, pełznąć do niego. Powiększył pętlę dwukrotnie i znów ustawił ją przed twarzą Krauz. Tym razem ożywiec wpadł w pułapkę. Silne szarpnięcie odciągnęło go od broniącej się rozpaczliwie Ziółkowskiej, ale kotwica pod postacią Agaty powstrzymała ten ruch w połowie, a potem skierowała połączone z nią ciało w bok, prosto na Adama i trzymany przez niego chwytak.

Drzewce, którym Gronowski utrzymywał dystans od schwytych zombie, wyslizgnęło się ze spoconych dłoni. On sam jęknął głośno, gdy tępo zakończony, gruby na ponad pięć centymetrów drąg wbił mu się pod żebra, między wątrobę a żołądek.

– Adam! – pisnęła Ziółkowska, zdając sobie nagle sprawę, że jest ostatnią żyjącą osobą, jeśli nie liczyć złorzeczącego Okrutnego.

– Zabieraj się stąd! – Kapitan wyszarpnął z kabury tetetkę. Miał w niej ostatnie pięć naboji. Za mało, by przestrzelić tym potworom stawy i unieruchomić je choć na chwilę. Po krótkim wahaniu schował więc broń i cofając się w kierunku wejścia do ambulatorium, skinął na Katarzynę. – Tutaj! – wskazał jej drzwi.

Przebiegła obok miotających się zombie i zniknęła w poczekalni, wykorzystując fakt, że Krauz skupiał się na dopadnięciu rannego Gronowskiego.

– Nie... zostawiajcie... – wyjącał Adam, zanim Okrutny zamknął drzwi. – Nie... zo... sta... wiaj... cie! – skamlał, widząc, że został przy schodach sam.

– Pod ścianę! – Kapitan wskazał Ziółkowskiej najodleglejszy kąt poczekalni, a gdy nie zareagowała, pociągnął ją za sobą.

Jeśli dobrze to wyliczył, od przeciwnika dzieliła ich teraz nie tylko ściana, ale i ponad dziesięć metrów w linii prostej, co oznaczało – o ile się nie mylił – że zombie skupią się wyłącznie na Adamie.

– On... on... – mamrotała Katarzyna, szarpiąc go za rękaw.

– Jemu już nie pomożemy – powiedział, chwytając ją za

ramiona – ale on może pomóc nam.

– Jak?

– Zobaczysz. A teraz słuchaj... – Wskazał wejście. – Cicho! – napomniał ją, gdy otworzyła usta. – Słuchaj!

Jęki dobiegające z korytarza przybierały na sile. Gronowski stał się celem nie tylko Krauza, którego blokowała Kubisiowa, ale i pozostałej pary nieumarłych, którzy lada moment powinni na niego ruszyć.

– Nie! Niee! – Skamlenie przeszło w przeraźliwy wrzask.

– Teraz! – Okrutny szarpnął Katarzynę, ruszając biegiem w kierunku drzwi.

Zanim zdążył je otworzyć, na korytarzu zapanowała grobowa cisza. Ścisnął mocniej rękę Ziółkowskiej, wypadł na zewnątrz i nie zatrzymując się, skręcił w kierunku schodów. Miał szczęście. Zbrogowa dopadła Adama, tak jak przypuszczał, ale i Hubert zdążył odejść w głąb korytarza na tyle, że zanim zareagował, wykonując chwiejny obrót, oni znajdowali się już w połowie drogi na półpiętro.

Przystanąli u dołu schodów, zdyszani, spoceni, jakby nie mieli pewności, co dalej. Sytuacja nie była wesoła. Zamiast dwojga mieli nad sobą pięcioro zarażonych, którzy odcięli ich nie tylko od ambulatorium, ale i od kwater. Co gorsza, kapitan stracił dwóch funkcjonariuszy.

– Zrobimy tak – odezwał się do Katarzyny. – Ja spróbuję ich zwabić na dół, ty leć przodem, powiedz Rojewskiemu, co tu się stało, niech zorganizuje sześciu albo lepiej ośmiu ludzi z chwytakami i sprowadzi ich na plac. Zapamiętasz? – Gdy przytaknęła, poklepał ją po ramieniu i popchnął ku stopniom prowadzącym na niższe piętro.

Sam stanął na podeście tuż przy poręczy. Widział tylko Kruka, którego niewiele już dzieliło od pierwszego stopnia, ale wiedział, że teraz, po zabiciu Gronowskiego, pozostali także muszą go wyczuwać. Wystarczy więc, że poczeka, zwabi ich na schody, a jak zaczną z nich spadać, zejdzie im z drogi i stanie niżej. Było to ryzykowne, lecz Wojciech dał sobie słowo, że nikt więcej już przez niego nie zginie.

* * *

Zwabił na parter trójkę zombie. Krauz i Kubisiowa zostali na półpiętrze, zaklinowani drzewcem jednego z chwytaków, które weszło między tralki poręczy, unieruchamiając ich na dobre. *Całe szczęście*, pomyślał Okrutny. *Przynajmniej chłopcy Patryka nie będą musieli się zmagać ze wszystkimi zarażonymi naraz*. Dzięki przewadze liczebnej i swobodzie, jaką dawała otwarta przestrzeń, funkcjonariusze wyłuskiwali zarażonych po kolei, obezwładniali każdego dwiema pętlami i odprowadzali, korzystając z wypracowanej wcześniej metody, aż na spacerniki za Babińcem. Ekipa wysłana do wzniesienia barykady okalającej rumowisko, pod którym wciąż znajdowało się co najmniej dziesięciu nieumarłych, miała jeszcze sporo roboty, dzięki czemu konwojenci mogli wybrać krótszą trasę przez oczyszczony wcześniej skwerek.

Okrutny został przy budynku administracji, by nadzorować ostatni etap operacji. Teraz, gdy zniknęło bezpośrednie zagrożenie, ale w żyłach krążyły wciąż resztki adrenaliny, myśli miał jasne, a głowę pełną pomysłów.

– Dajcie mi bosak! – rzucił do tych, którzy zostali na placu.

Dostał normalne, czterometrowe narzędzie, bo tylko takimi dysponowali. Ziółkowska zarządziła w warsztatach, by zakładać pętle nie po stronie zakończenia z hakiem, tylko od podstawy, dzięki czemu chwytaki z nieobciążonymi drzewcami mogły służyć także jako zwykłe bosaki. Wystarczyło je tylko odwrócić, co też kapitan uczynił, zanim wszedł ponownie na klatkę schodową.

Zatrzymał się w połowie ciągu schodów, poza zasięgiem rąk odmieńców, i manewrując bosakiem, rozciągnął pętle zaciskające się na ich szyjach. Uwolnieni z pęt nieumarli natychmiast zaczęli czołgać się dalej. Nie szło im to, jako że wciąż byli sczepleni ze sobą, ale po mniej więcej minucie nieskoordynowanego wierzgania zaczęli się zsuwać po betonowych stopniach. Okrutny wycofał się pośpiesznie, a gdy oboje spoczęli przed nim na parterze, zahaczył bosak o łokieć wrośniętej ręki Łukasza i wyciągnął ich na zewnątrz.

Wszyscy wstrzymali oddech na ten makabryczny widok. Podarta do reszty bluzka Kubisiowej odsłaniała niemal cały tors, jednakże to nie nagie piersi przyciągały teraz wzrok młodych funkcjonariuszy, lecz brzuch, w którym niknęło niemal całe przedramię Krauza. W blasku słońca widać było wyraźnie, że skóra obojga zombie stanowi całość, jakby byli zrośniętymi od urodzenia bliźniętami syjamskimi.

– Co to jest, u licha? – wymamrotał Rojewski, gdy jego ludzie unieruchomili potwory i pomogli im wstać.

– Zapytaj naszego doktora – odparł kapitan, rozglądając się wokół w poszukiwaniu Wegnera. Zauważył go w bramie prowadzącej do Iksa. – Do mnie! – warknął, wskazując palcem betonowe płyty przed sobą. – Natychmiast!

Lekarz podszedł niepewnym krokiem, zerkając to na niego, to na zrośniętą parę odmieńców.

– Nie umiem wytłumaczyć czegoś takiego... – zaczął łamiącym się głosem.

– Wiem – przerwał mu Okrutny. – Ale możecie odpowiedzieć na inne pytanie. Skąd tam się wzięła ta cała Alicja... – znów zapomniał nazwiska zarażonej, która spowodowała to zamieszanie.

– Nie mam pojęcia. – Wegner popatrzył mu prosto w oczy. – Nie widziałem jej od chwili, gdy z nią rozmawialiśmy pod Babińcem.

– Nie wy ją wysłaliście do ambulatorium?

– Słowo daję, że nie. – Doktor przyłożył rękę do serca. – Przecież nie jestem durniem. Powiedziałbym wam, gdybym choćby coś podejrzewał.

Zabrzmiało to szczerze i przekonująco. Wegner nie spuścił wzroku mimo miażdżącego spojrzenia, z jakim musiał się mierzyć.

– W takim razie... – zaczął kapitan i zamilkł.

Nikt z obecnych nie odpowie mu na pytanie, które chciał zadać. Być może w całym więzieniu nie było człowieka, który by wiedział, dlaczego ta kobieta pojechała do ambulatorium, zamiast czekać na placu, aż zostanie zaprowadzony porządek. Postanowił więc nie drażnić tego tematu, tylko skupić się na zakończeniu

akcji, żeby ci, którzy przeżyli, mogli w końcu trafić do kwater w celach i rozpocząć normalne życie.

Zaśmiał się, gdy to pomyślał. Normalne życie w więziennych celach... Jednakże bardzo szybko spoważniał. *W nowej rzeczywistości tak właśnie może wyglądać normalność.* Przeniósł wzrok za mur, na widoczne w oddali poniemieckie kamienice. Wokół panoszyła się najstraszniejsza zaraza, z jaką miał do czynienia człowiek. *Ludzie padają jak muchy i nadal będą padać, aż w tym mieście albo i na całym świecie nie zostaną wyłącznie walczące o przetrwanie jednostki. Niewykluczone, że za rok czy dwa więzienne kraty będą nam się kojarzyć z bezpieczeństwem, nie zaś z najgorszą karą, na jaką może zostać skazany przeciętny obywatel.*

sobota, 10 sierpnia 1963, godzina 10:00
Miejski Ogród Zoologiczny przy ulicy Wróblewskiego 1-5

– A jeśli one potrzebują więcej czasu niż my? – zapytał Biedrzycki.

Stali przed terrarium, w którym za grubą szybą spoczywały szczątki zastrzelonych przez Maweta zwierząt: żbika, hieny, dwóch kruków i flaminga.

– Nie, to tak nie działa – odparł zamyślonym tonem Arendzikowski.

– Dzisiaj nic nie działa tak, jak powinno – przypomniał mu major.

– To prawda – zgodził się doktor. – Aczkolwiek, jeśli pominiemy niewytłumaczalny fakt ożywiania ludzi po śmierci, staniemy wobec nowej, lecz mimo wszystko bardzo spójnej wizji rzeczywistości. Każdy trup zmartwychwstaje w ciągu kilku sekund od ustania funkcji życiowych bez względu na to, czy padł ofiarą zombie, czy został zabity, czy umarł z przyczyn naturalnych. O tym ostatnim wiem choćby ze szpitalnych raportów, które spływały w godzinach bezpośrednio poprzedzających ewakuację z siedziby triumwiratu i z Ołbińskiej. Ożywione zwłoki zachowują ograniczone funkcje motoryczne, choć pod każdym innym względem należy je uznać za martwe. Mózg, serce, płuca, nic nie funkcjonuje. Monitorowałem uważnie obiekt numer jeden...

– Obiekt numer jeden?

– Tę pielęgniarkę z LZN-u – wyjaśnił doktor. – Inę Młocicką, jeśli wolisz. Była podłączona pod najnowocześniejszą aparaturę do samego końca. Według wszelkich odczytów miałem do czynienia z zimnym trupem, tymczasem... – Wskazał kontener, w którym zazwyczaj przenoszono uspione zwierzęta, a który od tego ranka służył do przetrzymywania schwytanych zombie. –

Powiem ci tyle, Bartek: współczesna nauka nie zna odpowiedzi na pytania, które stawiasz. Być może... – Przymknął powieki i ścisnął palcami nasadę nosa, jakby poczuł, że zbliża się atak migreny. – Być może przyjdzie nam odrzucić wszystko, czego nas uczono, i uznać, że jednak składamy się z czegoś więcej niż mięśnie, płyny ustrojowe, narządy i kości.

Biedrzycki spojrzał na niego podejrzliwie.

– W sensie, że istnieje... – wycelował palcem w sufit.

– Bóg? – wpadł mu w słowo Arendzikowski i nie czekając na reakcję, dodał: – Niekoniecznie. Chodzi mi raczej o fakt, że chemia i fizyka wbrew powszechnie głoszonym teoriom to nie wszystko. Jest jeszcze inna sfera życia, coś, czego jak dotąd nie umiemy wykryć dostępnymi przyrządami.

– Dusza?

– To tylko nazwa ukuta na potrzeby religii, ale tak, mówię o czymś na kształt duszy, tyle że z mojego racjonalistycznego punktu widzenia nie musi ona mieć charakteru nadprzyrodzonego. Spójrz na tę kobietę – pokazał sięgającą ku nim rękami nieumarłą pielęgniarkę. – W świetle posiadanej przez nas wiedzy coś takiego jest niemożliwe, absolutnie wykluczone. Czyli jesteśmy świadkami cudu.

– Tak to mniej więcej postrzegam – przyznał Biedrzycki.

– A jeśli powiem ci, że to nie żaden cud, tylko kolejna mutacja albo następny etap ewolucji rozszerzający definicję życia o pojęcia, które nauka musi dopiero stworzyć? – Arendzikowski zapalał się do tematu coraz bardziej. – Kto zaręczy, że te mityczne dwadzieścia jeden gramów, które znika w momencie naszej śmierci, to nie jakiś rodzaj życiodajnej energii, której na razie nie umiemy wykryć ani zmierzyć? Energii, która z nieznanego nam jeszcze powodu teraz nie może opuścić martwych ciał?

– Mówisz o czymś w rodzaju aury ze zdjęć kirlianowskich?

– Nie do końca, ale jesteś na dobrym tropie.

– Z tego, co pamiętam, fotografie zwierząt też ujawniały podobne emanacje – zauważył major, wracając wzrokiem do martwych stworzeń.

– Wiem. Dlatego powiedziałem, że nie do końca o to mi chodzi. Mamy do czynienia z czymś innym, czymś znacznie bardziej skomplikowanym... – Zamilkł na moment, po czym wskazał palcem na truchła. – Oto widomy dowód na to, że my, ludzie, jesteśmy czymś więcej niż tylko inteligentnymi zwierzętami. One wciąż odchodzą, wyzbywając się energii życiowej, a my... my z jakiegoś powodu zachowujemy ją nawet po śmierci. Niesamowite!

– Po mojemu to jednak bardziej regres niż kolejny etap ewolucji – stwierdził major, obrzucając krytycznym spojrzeniem nienaturalnie wykrzywioną, siną twarz nieumarłej pielęgniarki.

– Natura często zbacza w ślepe uliczki – zgodził się Arendzikowski. – Wie... – zająknął się i otworzył szerzej oczy, jakby nagle go olśniło. – Wielkie wymierania! Ordowickie, dewońskie, permskie, triasowe, kredowe. – Zaśmiał się nieoczekiwanie. – Słuchaj! Może to wcale nie jest takie niezwykle zjawisko, jak nam się zdaje.

– Co?

– W historii Ziemi wielokrotnie dochodziło do wyginięcia niemal wszystkich form życia. A jeśli pradawna fauna zetknęła się z czymś podobnym jak my teraz?... – Entuzjazm wywietrzył z niego w momencie. – Obym nie miał racji.

– Dlaczego?

– Dlatego, że mielibyśmy totalnie przesrane, wybacznym ten prymitywny kolokwializm. Nasza planeta zaliczyłaby kolejne wyzerowanie. Kiedyś dinozaury musiały ustąpić miejsca nam, teraz my zostawilibyśmy mateczkę Ziemię gatunkowi, który zdoła przetrwać zarazę. Choćby to były karaluchy. Tak właśnie toczy się koło dziejów.

Arendzikowski opadł ciężko na krzesło.

– Chcesz powiedzieć, że nie mamy żadnych szans? – zapytał Biedrzycki.

– Jako gatunek? Raczej nie. Jako jednostki? Tu moglibyśmy polemizować.

– Zechcesz wyrażać się jaśniej? – poprosił major.

– Ujmę to tak. Te skrzydlate cholerstwa – wskazał martwe

ptaki – są potomkami dinozaurów w prostej linii, co oznacza, że niektóre z nich przetrwały tak zwane wielkie wymieranie kredowe i ewoluowały razem z innymi gatunkami. Z nami może być podobnie. Człowiek tu i ówdzie wywalczy sobie miejsce w nowym świecie, ale na dłuższą metę przestanie być panem świata. Krócej mówiąc: jeśli zdołasz ocalić Wrocław, może staniesz się protoplastą jakichś przyszłych Elojów czy też, co bardziej prawdopodobne, Morloków.

* * *

Plan dnia był napięty, zatem Biedrzycki prosto z tymczasowego laboratorium doktora udał się na rozstawione przed reptilium stanowisko dowodzenia, by poprowadzić pierwszą odprawę. Niósł swoim współpracownikom dobrą nowinę – wszystko wskazywało na to, że zwierzęta nie ożywają, co znacznie zwiększało szanse ludzi na przetrwanie. Tę złą, mówiącą o kolejnym masowym wymieraniu, postanowił zachować dla siebie. Jeśli Arendzikowski miał rację – a majorowi brakowało aparatu pojęciowego, by z nim polemizować – proces upadku będzie powolny, liczony w pokoleniach, a nawet stuleciach, Bartek nie widział więc najmniejszego sensu w ujawnianiu tych rewelacji już teraz. Jeśli zamierzał odbić miasto z rąk nieumarłych, musiał mieć pełne poparcie podwładnych. W tej sytuacji podkopywanie ich morale wizjami nieuchronnej zagłady, nawet w tak odległej perspektywie, nie wydawało mu się najlepszym pomysłem.

– Spocznij – rzucił, wchodząc do namiotu rozbitego na wyasfaltowanym placu przed niemal stuletnim budynkiem.

Tym razem wezwał do siebie nieco szersze grono współpracowników. Powodzenie kolejnej fazy operacji wymagało bezwzględnego posłuszeństwa wszystkich żołnierzy i oficerów, którzy wyszli cało z dotychczasowych pogromów, a mógł na nie liczyć wyłącznie wtedy, gdy każdy z tych ludzi zrozumie, o jaką stawkę toczy się gra, i zobaczy, że wbrew pozorom nie stoją na przegranej pozycji.

– Towarzy... – Podporucznik Deptuch zerwał się ze składanego

krzeselka, ale został natychmiast uciszony przez majora.

– Panowie! – Biedrzycki potoczył wzrokiem po twarzach obecnych. – Zanim zaczniemy, chciałbym poruszyć pewną, dla niektórych z was być może delikatną kwestię... – Zamilkł, by nabrać tchu. – Socjalizm, podobnie jak kapitalizm oraz reszta wszelkiej maści izmów, które definiowały nasze dotychczasowe życie, przestał istnieć. Definitywnie. Nasi łącznościowcy odebrali tej nocy wezwania pomocy z całego świata. Zaraza rozprzestrzeniła się na wszystkie kontynenty. Rządy i partie upadły. Nie ma już granic, armii ani państw. – Wzdrygnął się na wspomnienie niedawnej rozmowy z kompleksem 7215. – Oznacza to, że od tej chwili działamy wyłącznie na własny rachunek. Dzisiaj jest pierwszy dzień nowej ery, nowego porządku świata, dlatego proponuję, abyśmy porzucili sowiecką nowomowę i wrócili do bardziej naturalnych form komunikacji. Krótko mówiąc, koniec z towarzyszeniem. Koniec z politykierstwem. Jestem major Biedrzycki, oficer Wojska Polskiego, i od tej pory tak się do mnie macie zwracać.

Przez moment milczeli, a potem zaczęli kolejno strzelać obcasami i salutować mu. Uśmiechnął się, gdy stojący po jego lewej stronie Mawet wykonał ten sam gest co wszyscy. Spodziewał się oporu, choćby symbolicznych protestów, jeśli nie ze strony Bernaciaka, to już na pewno zomowca. A tu proszę, taka niespodzianka.

Przeniósł wzrok na Deptucha.

– To... – zająknął się stojący wciąż na baczność Paweł. – Znaczą panie majorze, melduję posłusznie, że wykonaliśmy zadanie.

– Świetnie. Jakie straty?

– Siedmiu zabitych. Znaczą... eee...

– Wiem, co to znaczy – przerwał mu Bartek. – Ile zaopatrzenia zdobyliście?

– Wszystkie ciężarówki zostały załadowane do pełna. To będzie jakieś... – podsumował w pamięci – ...dwadzieścia ton.

– Dużo żarcia tam zostało? – dopytywał major.

– Drugie tyle, a może i więcej. Same konserwy i suche racje.

– Co z magazynami amunicji?

– Wyglądały na nietknięte, ale nie kazaliście...

– Pytam tylko – warknął Biedrzycki. – Zaopatrzenie trafiło już do Hali Ludowej?

– Tak jest! A co do...

– O tym porozmawiamy później – podporucznika uciszyło uniesienie dłoni. – Przejdźmy do konkretów. – Major stanął przy mapie zajmującej całą powierzchnię stołu. – Sytuacja wygląda następująco: znajdujemy się na tak zwanej Wielkiej Wyspie, którą z resztą aglomeracji i terenami podmiejskimi łączy pięć przepraw mostowych. Trzy z nich znajdują się na północy i północnym wschodzie. Dwie na kanale od strony zachodniej, mowa oczywiście o pobliskich mostach: Szczytnickim i Zwierzynieckim. Do tego mamy dwa jazy, którymi można od biedy pokonać koryto rzeki, i kilka śluz – mówiąc, kolejno wskazywał wszystkie konstrukcje. – Pierwszym etapem naszych działań będzie opanowanie tych przyczółków bądź ich zniszczenie. Kapitanie Bernaciak?

Wywołany dowódca baonu brzeskiego rozłożył na skraju mapy odręczne notatki.

– Po zapoznaniu się z udostępnionymi informacjami chciałbym zasugerować następujące rozwiązania. Najbliższą nam przeprawę, czyli most Zwierzyniecki, barykadujemy, ponieważ to będzie nasza główna trasa wypadowa do centrum miasta. Most Szczytnicki – postukał palcem w mapę – musi zostać zniszczony, ponieważ jest zbyt łatwo dostępny i za szeroki, przez co trudny do zablokowania i ewentualnej obrony. Proponuję wysadzenie pierwszego przęsła z trzech, oczywiście od strony placu Grunwaldzkiego. Dzięki temu nie zablokujemy szlaku żeglugowego na tym odcinku rzeki. Kolejna przeprawa. Mosty Jagiellońskie. Tutaj sprawa się komplikuje. Mamy dwie nitki przeprawy przebiegającej nad dwoma kanałami, Powodziowym i Nawigacyjnym. Moim zdaniem one także powinny być wysadzone, ponieważ z racji rozmiarów i położenia mogą być trudne do obrony. Pomiędzy zoo a nimi znajdują się duże osiedla willowe, Zacisze i Zalesie, w których w tej chwili pewnie aż się roi od nieumarłych. Utrzymywanie tam stałego posterunku

więzałoby się więc z nieuniknionymi stratami w sile żywej, przynajmniej do chwili oczyszczenia tej części Wielkiej Wyspy. – Kapitan zamilkł, czekając na ewentualne komentarze.

– Dokończcie najpierw, potem będziemy dyskutowali – poprosił Biedrzycki.

– Tak jest. Rolę północnej przeprawy może pełnić most Swojczycki, znajdujący się niemal trzy kilometry dalej, mniej więcej w połowie północnego brzegu wyspy. Dojazd do niego będzie równie prosty, a granica osiedla Sępólno znajduje się znacznie dalej od przyczółków tamtejszych mostów, niż ma to miejsce w przypadku Kowal. Ostatni z mostów, Bartoszowicki, także możemy zachować, gdyż znajduje się na totalnym wygwizdowie, wybaczone panowie to określenie. W dodatku jest tak wąski, że zablokowanie go nie nastęrczy żadnych trudności, a przeprawa ta może nam się jeszcze przydać, na przykład jako droga ewakuacyjna na rzadko zamieszkane tereny.

– A co z jazami i śluzami? – zapytał major.

– Jazy można łatwo zablokować, wystarczy je pootwierać, zerwać pomosty i umocnić przyczółki. W przypadku śluz możemy postąpić podobnie, tyle że nie otwierając wrót, aby nie doprowadzić do ewentualnych podtopień, przyśpieszenia nurtu albo spadku poziomu wody w kanałach. Dostęp do tych instalacji jest utrudniony, są bowiem ogrodzone, a poza tym znajdują się na odludziu, więc jestem pewien, że nie napotkamy w ich okolicy wielu nieumarłych. Wzmocnijmy płoty, zatarasujmy pomosty, połóżmy miny na przedpolach. Zachowanie infrastruktury żeglugowej wydaje się konieczne, skoro mamy w planie wykorzystywanie barek.

– Nizner? – Major wskazał milczącego do tej pory podporucznika.

– Jeśli chcemy oczyścić wyspę z nieumarłych, musimy mieć dostęp do barek – zaczął pewnym tonem Sławek. – Najbliższe linie kolejowe znajdują się za Odrą, na Brochowie i na Swojczycach... – Wskazał czarne kreski biegnące mniej więcej wzdłuż południowego i północnego brzegu wyspy. – Nie możemy więc pakować zombie do wagonów, chyba że zdecydujemy się na

regularne wypadki za rzekę, na przykład przez Kowale, na co chyba nikt z nas nie ma ochoty.

Zebrani potwierdzili to zgodnymi pomrukami. Mawet zmeł pod nosem przekleństwo, słysząc po raz wtóry źle kojarzącą się nazwę. Kowale. To tam stracił pierwszych ludzi, na głównej ulicy, tuż za stoczną.

– Nie wchodźmy w dygresje – zareagował major, widząc, co się święci.

– Zostają nam więc tylko barki – podjął podporucznik – które możemy znaleźć w stoczni znajdującej się przy mostach Jagiellońskich albo... jeśli będzie ich tam za mało... w porcie miejskim, do którego da się dotrzeć zarówno kanałem Nawigacyjnym, jak i Powodziowym. – Przesunął dwoma palcami po mapie, zatrzymując je dopiero po drugiej stronie centrum Wrocławia.

– Chwila! – ożywił się zomowiec. – Skąd weźmiemy ludzi, którzy umieją tym szajsem pływać?

– Mam pod rozkazami paru ludzi znających się także na obsłudze jednostek śródlądowych – zapewnił go natychmiast dowódca saperów. – Oni zajmą się koniecznym przeszkoleniem ochotników. To z pewnością potrwa, ale za najdalej dwa tygodnie powinniśmy dysponować odpowiednią liczbą mechaników i sterników.

– Dwa tygodnie? – podchwycił major.

– Może trzy – sprostował asekuracyjnie kapitan Bernaciak.

– I po tak krótkim czasie będą w stanie obsłużyć te barki, przepływać nimi przez śluzy, przybijać do brzegu? – Mawet nadal nie wyglądał na przekonanego.

– Może to trudniejsze niż trafianie blondyną w plecy uciekającego studenta, ale zapewniam, że moi chłopcy dadzą sobie radę – odparował rozeźlony Bernaciak. – Nie zapominajcie, że częścią parku pontonowego są łodzie motorowe.

– Łódeczki raczej, które są tycie w porównaniu z tymi olbrzymami – zaśmiał się zomowiec, ignorując przytyk i zarazem celnie punktując saperską. – To jakbyście twierdzili, że kto nie spadł z trójkołowego rowerka, da sobie radę z jazdą na junaku.

– Mylicie się. Jednostki nie grają aż tak wielkiej roli. Podstawy nawigowania w obu przypadkach są identyczne – odburknął kapitan.

– Wytlumaczcie mi więc, dlaczego trzeba szkoły kończyć, żeby...

– Dość! – Biedrzycki uciał irytującą go coraz bardziej utarczkę. – Będzie, jak będzie. Jesteśmy zdani na to, co mamy. Kontynuujcie, Nizner.

– Ale żeby to było realne – dokończył znaczącym tonem podporucznik, przenosząc wzrok na Bernaciaka – nie możemy wysadzić żadnego z mostów Jagiellońskich. Choćby dlatego, że jeden z nich biegnie dokładnie nad dolnymi wrotami tamtejszej służby.

– Jeśli nie zamkniemy żadnej nitki – zaprotestował dowódca saperów – będziemy mieli duży problem z ewentualną obroną na tym kierunku. Za plecami spore osiedla willowe, za rzeką natomiast całe Kowale. Utrzymanie tam stałego posterunku będzie nas wiele kosztowało. Zbyt wiele...

– Z tego, co pamiętam – wtrącił znów Mawet – na tych mostach ustawiono wcześniej posterunki kontrolne. Obie jezdnie od strony Kowal blokowały wasze BTR-y. Może nadal tam stoją?

To tamtędy wjechał do centrum po zagładzie swojego plutonu.

– Sprawdzę to – obiecał Biedrzycki. – Aczkolwiek szczerze wątpię, czy nasi chłopcy wrócili na wyznaczone pozycje po wolicie Zatylnego. Przed spodziewanym nalotem wydałem im rozkaz ewakuacji poza granice aglomeracji.

– Skoro tak mówicie... – Zomowiec sięgnął do kieszeni na piersi, by wyjąć wymiętoloną paczkę junaków.

– Założmy, że już ich tam nie ma – podsumował major. – Tak będzie bezpieczniej. Mówcie dalej, Nizner.

Podporucznik nie odezwał się jednak od razu. Stał pochylony nad mapą i przyglądał się uważnie obszarom bliższym centrum.

– Chyba wiem, jak rozwiązać ten problem – oświadczył, zanim Biedrzycki zdążył go ponaglić. – Nie musimy wysadzać mostów Jagiellońskich. Wystarczy, że zerwiemy ich nawierzchnię na odcinku kilku metrów, jak KBW zrobił to na moście Grunwaldzkim.

- Myślicie, że to takie proste? – zachnął się Bernaciak.
- Myślę, że to jest do zrobienia, skoro udało się nawet tamtym tępakom – odparował Nizner.
- Zastanówcie się, kapitanie – Biedrzycki odezwał się spokojnie, choć wkurzali go obaj – i odpowiedzcie jako fachowiec na proste pytanie: jak trudna i długotrwała byłaby taka operacja?
- Nie znam szczegółów konstrukcji tego mostu – zastrzegł się Bernaciak – a bez tego nie jestem w stanie podać żadnych konkretów. Co innego gdybyście mnie zapytali o ilość materiałów wybuchowych potrzebnych do wysadzenia...
- Jeśli zablokujemy kanał Nawigacyjny – skontrolował Nizner – stracimy możliwość dotarcia drogą wodną do pozostałych części miasta, a to może być kluczowe na późniejszych etapach operacji oczyszczania Wrocławia.
- Dlaczego nie zablokujemy ich na dobre? – zaproponował nieśmiało Deptuch. – Wyślijmy kilkudziesięciu chłopaków z siekierami i łopatami...
- Którędy? – zapytali równocześnie kapitan i major.
- Przez most Swojczycki.
- Chcecie wysłać konwój przez Sępólno? – zdziwił się Biedrzycki. – Tam są tysiące zombie! Nie tykałbym tej bomby zegarowej, dopóki nie rozbudujemy naszych sił i nie zabezpieczymy lepiej zajętego terytorium.
- Możemy ominąć wszystkie tereny zamieszkałe na tej trasie – zapewnił go Deptuch, po czym pochylił się nad stołem. – Transportery opancerzone przejadą ulicą Mickiewicza, ale przed Sępólnem skręcą w aleję Olimpijską i przez kompleks stadionu dostaną się na wały.
- To już brzmi lepiej, z tym że wpakujecie się prosto na izolatorium, a tam...
- Izolatorium! – Podporucznik się skrzywił. – W takim razie skręcimy wcześniej na Pola Marsowe, by przez kąpielisko dostać się w pobliże przeprawy... – Mówiąc, sunął palcem przez tereny zielone oddzielające Stadion Olimpijski od gęsto zabudowanych ulic największego osiedla na wyspie. – Nie zbliżymy się do tych kamienic na mniej niż kilkaset metrów.

– To wykonalne – rzucił Nizner.

Biedrzycki rozważał tę propozycję, skubiąc dolną wargę. Zachowanie mostów mogło przynieść im wiele korzyści w odleglejszej przyszłości, tak samo jak utrzymanie żeglowności kanału, dzięki której mieli szanse dotrzeć do dalszych rejonów miasta bez narażania się na kontakty z nieumarłymi.

– Jak chcecie zablokować te mosty? – zapytał Pawła.

– Macie na stanie jakieś bloki pontonowe? – Deptuch zwrócił się do kapitana.

– Tylko kilka PMP, po drodze nasz park został niestety mocno zdekompletowany – wyjaśnił Bernaciak, krzywiąc się, jakby kazali mu przełknąć kawał cytryny. – Mostu z tego na pewno nie zbudujemy.

– Ale możecie zrzucić taki blok na drodze albo na moście?

– Jasne! – Saper pojął w lot. – Taki blok waży ponad sześć ton. Ma przy tym niemal siedem metrów szerokości. To doskonała podstawa dla barykady. Ludzi coś takiego nie zatrzyma, zwłaszcza gdyby dysponowali ciężkim sprzętem – zastrzegł – ale nieumarli nie dadzą rady przejść, choćby ich tam były setki albo nawet tysiące.

– Świetnie. Skoro wiemy już, jak zabezpieczyć Wielką Wyspę, przejdźmy do kolejnego punktu, czyli rozmieszczenia ocalonych. Nizner?

– Z naszego punktu widzenia najlepszym rozwiązaniem wydaje się użycie kompleksu Wytwórni Filmów Fabularnych. Mamy w nim dwa solidne budynki od frontu i czworokąt dawnego Pawilonu Czterech Kopuł, w których w razie konieczności można ulokować setki osób. Uważam, że w pawilonie powinniśmy urządzić obóz przejściowy, na przykład na wewnętrznym dziedzińcu, gdzie da się rozstawić namioty. Tam ocaleni przechodziliby kwarantannę, po której trafialiby do jednego z sąsiednich budynków. W tym bliższym umieszczalibyśmy kandydatów do służby w naszych szeregach, do drugiego odsyłalibyśmy wszystkich pozostałych. Za tą lokacją przemawia bliskość wspomnianych obiektów i ich izolacja. Od najbliższych zamieszkanym budynków, mówię tu nie o zwartej zabudowie,

lecz o osiedlu willowym, dzieli ją prawie sto metrów.

– Jakież inne propozycje?

Sławek pogładził się po brodzie.

– W pierwszej fazie operacji to jedyny wystarczająco duży i łatwy do zabezpieczenia obiekt zdolny pomieścić wiele osób. W dalszej kolejności... bo zakładam, że zaczniemy od przeprowadzenia czystek na terenach leżących między zoo a mostem Szczytnickim... możemy zaadaptować na nasze potrzeby zabudowania drugiego liceum ogólnokształcącego przy ulicy Rosenbergów. To spory poniemiecki ośrodek szkolny oddalony od wytwórni o niecałe pół kilometra. W obu tych lokacjach znajdzie schronienie po co najmniej tysiąc osób. W wytwórni nawet więcej.

– To powinno wystarczyć. – Biedrzycki przytaknął. – Zwłaszcza na początku. W miarę postępów akcji oczyszczania zyskamy dostęp do całych osiedli, na które relokujemy ludzi...

Patrząc na mapę, łatwo było planować kolejne posunięcia. Wysadzenie i blokada wybranych przepraw. Oczyszczenie z nieumarłych terenu parku i samych Szczytników. Następnie zajęcie pozabawionych zwartej zabudowy osiedli Zacisze i Zalesie. Potem pacyfikacja terenów zielonych oraz Stadionu Olimpijskiego. I wreszcie powolny marsz na wschód, w kierunku Sępólna i Biskupina, głównych skupisk ludzkich na Wielkiej Wyspie. To tam rozegra się najważniejszy akt tej tragedii. Major przeniósł wzrok na zachód, za rzekę. Jeśli zdoła ocalić wystarczająco wiele mężczyzn i kobiet w kwiecie wieku, będzie mógł ich później posłać z misją oczyszczania kolejnych dzielnic... czyli na niemal pewną śmierć. Nie, nie na śmierć, na coś znacznie gorszego. Na uwięzienie duszy, czymkolwiek ona jest, wewnątrz martwego ciała. Być może na stulecia albo i całą wieczność. Ale czy miał jakikolwiek wybór?

– To by było na tyle, panowie. Możecie...

Mawet wpadł mu w słowo.

– Warto by najpierw sprawdzić, majorze, czy jest się dla kogo wysilać.

– Co przez to rozumiecie? – Biedrzycki tak się zdziwił, że nie

okazał złości.

– Przygotowujemy się do ratowania tysięcy ocalonych, a przecież nie wiemy nawet, czy ktokolwiek tam jeszcze dycha – odparł zomowiec, wydmuchnąwszy chmurę cuchnącego dymu.

– O czym wy mówicie, do cholery?

– O tym, kurwa, że przez kilka godzin szwendałem się po tym wielkim ceglano-betonowym cmentarzysku, najpierw leżąc jak ten buc z Brochowa do centrum, a potem przez calusieńskie miasto tutaj, i nie, nie widziałem po drodze choćby jednego żywego człowieka!

Bartek spuścił głowę. Porucznik miał rację. Plan zakładał, być może błędnie, że zaraza nie wybiła wszystkich mieszkańców Wrocławia. Że gdzieś tam, za Odrą, kryją się nie tylko poszczególne jednostki, ale też większe skupiska ludzi czekających na ratunek. U licha, wedle ostatnich szacunków to miasto liczyło prawie pół miliona mieszkańców! Ktoś musiał przetrwać tę noc!

– Dobrze mówicie – rzekł, nadal nie okazując przepełniającej go irytacji. – Warto to sprawdzić, zanim podejmiemy działania.

– Jak chcecie to zrobić?

– To akurat proste – zaśmiał się Nizner. – Choćby starym indiańskim sposobem.

– Czy wy nie możecie chociaż raz powiedzieć czegoś wprost?! – Biedrzycki wreszcie dał upust swojej irytacji.

– Mamy kontakt z chłopakami w rozgłośni radiowej – wyjaśnił Nizner. – Mamy Halę Ludową. Na razie w niemal całym Wrocławiu jest prąd. – Powiódł spojrzeniem po zdumionych twarzach, ani na moment nie przestając szczerzyć zębów. – Wystarczy grzecznie poprosić, żeby ocaleni dali nam znać o swoim istnieniu – dokończył triumfalnie. – Jak? W najprostszy, najbezpieczniejszy, a zarazem najskuteczniejszy w tej sytuacji sposób...

sobota, 10 sierpnia 1963, godzina 10:12
Zakład Karny Nr 1 przy ulicy Kłęczkowskiej 35

Kapitan stanął w progu sekretariatu. Powitała go absolutna cisza. Kubisiowa już nigdy nie zagadnie go o samopoczucie, nie zaproponuje herbaty, nie przyniesie „Trybuny Ludu”. Zginęła tego ranka za tymi murami, jak siedemdziesięcioro troje innych ludzi. Oddała życie, próbując nieść pomoc cierpiącemu funkcjonariuszowi. *Nie, nie, nie. To, co dzisiaj jej się przydarzyło, jest po stokroć gorsze od śmierci. Stała się chodzącym trupem. Odrażającym potworem, którego nie sposób unicestwić. Nawet kulami...* Okrutny przypomniał sobie głowę odmieńca rozerwaną bezpośrednim trafieniem z makarowa, mózg i krew tryskające strumieniami na bruk. *Nawet ogniem...* Już miał przed oczami nogi Grabowskiego, które poruszały się, jakby nadal były przytwierdzone do spopielonego od pasa w górę ciała.

Stres dopadł go dopiero teraz, gdy znalazł wreszcie chwilę na ochłonięcie. Wystarczyła chwila względnego spokoju, by ostatnie wydarzenia nabrały cech koszmaru, sennego majaku szaleńca. Gdyby kilka dni wcześniej ktoś mu powiedział, że pozbędzie się wszystkich więźniów, a na ich miejsce sprowadzi rodziny funkcjonariuszy, pewnie kazałby mu iść i wytrzeźwieć. Albo wpięprzyłby mu za sianie fermentu. A tu proszę, nie dość, że podjął te decyzje, to jeszcze przyszło mu się mierzyć z zastępami żądnych krwi nieumarłych, którzy wedle nauki i zdrowego rozsądku nie powinni w ogóle istnieć.

Problem w tym, że istnieją i wciąż stanowią ogromne zagrożenie dla każdego, kto jeszcze żyje.

Siedemdziesiąt cztery ofiary to naprawdę niska cena, takie słowa usłyszał od Patryka, gdy udało im się dokonać pełnego bilansu strat. W pierwszym odruchu chciał zaprotestować, opieprzyć chorążego, ale już po chwili zastanowienia przyznał

mu rację. Jedna trzecia ofiar poniosła śmierć – *o ile ten stan można nadal nazywać śmiercią* – wskutek bombardowania szczątkami eksplodujących cystern. Nie, nie jedna trzecia, tylko połowa, a nawet więcej, ponieważ należało wliczyć także ludzi, którzy ruszyli z pomocą poszkodowanym. Nie miał przecież wpływu na to, co stało się z tymi dzielnymi kobietami i mężczyznami, tak samo jak nie mógł odpowiadać za to, co wydarzyło się tej nocy na mieście.

Był jednak winny śmierci i przeistoczenia się w zombie wszystkich tych, których poprowadził do akcji przy skwerze, w kaplicy i na placu. Ile ich było w sumie? Dwadzieścioro? Trzydzieścioro? Mógłby to zliczyć, ale nie chciał nawet myśleć, ile krwi ma na rękach. *Może lepiej przyjąć optykę Rojewskiego i rachować tylko pozytywne efekty działań?* Udało mu się ocalić pięćset dwadzieścia osób, w tym czterysta pięćdziesiąt osiem kobiet i dzieci. Całkiem nieźle, jeśli spojrzeć na sprawę z punktu widzenia aktualnych włodarzy miasta. Doktor Wegner twierdził, że ostatnie raporty triumwiratu były więcej niż alarmujące. Zaraza rozprzestrzeniła się w zastraszającym tempie. Na długo przed świtem milicja, a potem wojsko utraciły kontrolę nad większością dzielnic. Liczba ofiar szła już nie w setki, ale w tysiące! Dziesiątki tysięcy, jeśli wierzyć Wegnerowi. Cisza panująca od jakiegoś czasu za murem i tłumy wałęsających się po ulicach odmieńców, których widział przed chwilą na własne oczy podczas inspekcji strażnic, zdawały się potwierdzać najgorsze przypuszczenia.

Czyż nie dlatego towarzyszy Zatylny wydał rozkaz ewakuacji partyjnych elit? Dziwne tylko, że Ruscy nie weszli jeszcze do miasta. Okrutny nadstawił ucha, ale z zewnątrz, pomimo uchylonego okna, nie dobiegały żadne dźwięki. *Czyżby i oni padli ofiarą zarazy, którą mieli zwalczyć? Niewykluczone. Choroba nie wybierała, dopadała wszystkich, którzy mieli choćby przelotną styczność z... z... Właśnie: z czym? W zombie zamieniał się każdy, kto umarł. Krauz nie miał przecież żadnego kontaktu z odmieńcami. Jego zgon – jakże niepotrzebny, a przy tym dodatkowo obciążający sumienie Wojciecha – był efektem*

wykrwawienia. A mimo to Łukasz stał się taką samą bestią jak te, które rozszarpywały ludzi gołymi rękami.

Nie myśl o tym wszystkim, zganił się kapitan, przekraczając próg. Nie skierował się jednak do swojego gabinetu, jak miał to w zwyczaju, tylko nacisnął klamkę drzwi po lewej, prowadzących do pomieszczeń zajmowanych przez naczelnika. Było tu schludniej niż u niego. Żadnych stosów akt, żadnych teczek osobowych. W tym miejscu decydowano o całokształcie, nie zbędnych detalach. Od brudnej roboty pan pułkownik miał przecież zastępcę.

Wojciech zasiadł w wygodnym fotelu, który widywał dotąd z drugiej strony wielkiego jak lotnisko, mahoniowego biurka. Położył dłonie na politurowanym, choć lekko już wytartym blacie, jak lubił robić jego – oby już były – szef. Przymknął oczy. Siedział tak dłuższą chwilę, ale nie zdołał się wczuć w naczelnika. Dzieliło ich zbyt wiele. Sposób myślenia tego drania był mu całkowicie obcy. Zajrzał do przepastnej szuflady po prawej – same rupiecie. W drugiej też nie znalazł niczego wartego zainteresowania. Trzecią musiał wyważyć służbowym nożem, niemniej uczynił to bez wahania. To włamanie będzie najmniejszą z przewin, jakie zarzuci mu dawny właściciel gabinetu, o ile kiedykolwiek zdoła wrócić.

Przejrzał trzymane z dala od cudzych oczu dokumenty, głównie donosy i anonimy, które trafiły natychmiast do kosza. W innej teczce pułkownik gromadził pisma z centrali dotyczące wyroków śmierci wykonywanych w jego zakładzie karnym. Pułkownik podejmował się mokrej roboty chętnie, i to bez względu na to, czy klient jadzi faktycznie miał sporo na sumieniu czy po prostu zawadzał władzy ludowej. Głębiej, pod skoroszytem zawierającym nieaktualne już numery telefonów, Okrutny dostrzegł klucz. Masywny, żelazny, dwupiórowy. Ściskając go w dłoni, przeniósł wzrok na stojącą po przeciwnej stronie gabinetu szafę pancerną. Była tak stara jak to więzienie, zdobiona niczym cenny antyk.

Ciekawe, co pan pułkownik chował za grubymi na pięć centymetrów stalowymi drzwiami?... Dwa szybkie obroty i ciężkie

jak diabli skrzydło odskoczyło od korpusu szafy. Otworzyło się bezgłośnie, jak świeżo naoliwione, odsłaniając kilka półek wypełnionych szkłem, oczywiście pełnym. Na najniższej Wojciech dostrzegł jednak coś, co zainteresowało go znacznie bardziej. Kartonowe pudełeczka ze znajomym nadrukiem: „Zakłady Metalowe Pilmet. 15 naboí kaliber 7,62”. Było ich tam ze dwadzieścia. Co więcej, obok leżało kilka innych, opisanych cyrylicą, nieco bardziej pękatych. Serce zabiło mu nieco żywiej, gdy otwierał jedno z nich. Tak, to były dziewiątki. *Suczy syn trzymał w szafie więcej amunicji, niż znajdowało się w zbrojowni. Dlaczego? Tego pewnie nikt już się nie dowie...*

Okrutny przeniósł zdobycz na biurko. Przeliczył wszystko raz jeszcze. Trzysta sześćdziesiąt naboí do tetetek i siedemdziesiąt pięć do jego makarowa. *Z takim arsenałem nie musiałbym posyłać ludzi na pewną śmierć*, pomyślał, czując, jak odradza się w nim wściekłość.

– Towarzyszu kapitanie? – z zamyślenia wyrwał go głos Rojewskiego.

Wojciech otrzeźwiał w momencie. Przyszedł tutaj, ponieważ zwołał kolejną odprawę. Pojawił się wcześniej, by poukładać sobie wszystko na spokojnie, ale wizyta w gabinecie szefa tak go pochłonęła, że nawet nie zauważył, kiedy upłynął kwadrans.

– Popatrz na to – powiedział, wskazując leżącą przed nim amunicję. – Skąd macie tyle naboí? – zapytał stojący w progu chorąży.

– Skurwiel miał je tutaj cały czas! – Okrutny wskazał sejf.

– Pułkownik?

– Nie kto inny.

– Szlag... – Rojewski stanął obok kapitana. – Ile tego jest?

– Wystarczająco dużo, żebyśmy nie musieli ryzykować życia najpierw na skwerze, a potem w kaplicy.

– A to wredny skurwysyn! – W ocenie przełożonego byli wyjątkowo zgodni.

– Jeśli wylezie z tego bunkra i nie da sobie przy tym odgryźć dupy, osobiście go zastrzelę – wycedził przez zaciśnięte zęby Wojciech. – Macie na to moje słowo.

– Szkoda kuli na takiego gnoja – stwierdził Patryk, zapuszczając żurawia do szafy. – Widzę, że nie tylko naboje chomikował.

– Nie da się ukryć.

– A niech mnie, bimber! – zdziwił się chorąży, wyciągając jedną z przykurzonych flaszek.

– Nasz pan pułkownik księżycową chlał?

– Owszem, ale nie byle jaką – w głosie podoficera zabrzmiało uznanie. – Toż to najprawdziwszy „Swojczycki”!

Wszyscy znali tę markę, choć głównie ze słyszenia. Mało który z chłopaków miał szczęście skosztować tego rarytasu, który podobno bił na głowę najlepsze dokonania Polmosów. A tutaj, w tej szafie, stało dziesięć litrowych, prawidłowo zalakowanych flaszek z charakterystycznymi nalepkami.

– Będzie czym opić dzisiejszy sukces. – Kapitan także się uśmiechnął. – Ale dopiero po odprawie. – Podeszedł do szafy, zamknął drzwi, przekręcił klucz, ale nie zabrał Rojewskiemu wyjętej uprzednio flaszki.

Przeszli razem do gabinetu naprzeciw, by tam zaczekać, aż pojawią się pozostali, czyli sierżant Ziółkowska i doktor Wegner. Z dawnej kadry ostali się tylko we czwórkę, jednakże Okrutny nie zamierzał na razie rozszerzać zespołu o nowe twarze. Sytuacja uległa drastycznej zmianie, na obiekcie nie było już więźniów, jeśli nie liczyć tych paru tymczasowych, którzy wrócili pod bramę, przez co zginęli Sękała i Rawiński.

Wegner pojawił się zaraz po Katarzynie. Nie przeprosił za spóźnienie. Wszedł do gabinetu mocno przygaszony, ramiona miał spuszczone, wzrok wbity w podłogę.

– Coś nie tak? – zapytał kapitan.

– Nie. Ja tylko... – Lekarz popatrzył na niego z wyrzutem. – To mnie przerasta. Jako człowieka. Dopóki miałem robotę, nie było czasu na myślenie, ale teraz...

Wojciech rozumiał go aż za dobrze. Sam nie mógł uciec przed cisnącymi się do głowy ponurymi wizjami wydarzeń przeszłych, jak i tych, które mogą jeszcze nadejść. Nie mogąc przyznać tego otwarcie, zagrał tą samą kartą co zawsze.

– Tylko mi tu nie defetyzujcie. Poradziliśmy sobie z problemem.

Sytuacja została opanowana.

– Ale za jaką cenę?

Okrutny zerknął na Patryka.

– Stosunkowo niewysoką, jeśli porównamy nasze straty do tych poniesionych przez milicję i wojsko po tamtej stronie muru. – Chorąży wygłosił tę samą formułkę, którą wcześniej próbował pocieszyć przełożonego. – Zaraza zdziesiątkowała każdy oddział, jaki wszedł do miasta. Z tego, co wiemy od Bednarka, ocalał nie więcej niż jeden mundurowy na stu. Może dwóch. A skoro tak, wykpił się naprawdę tanio.

– Siedemdziesięciu ludzi to dla was niewysoka cena?! – prychnął gniewnie Wegner.

– Siedemdziesięciu czterech – poprawił go spokojnie Patryk. – I proszę nie zapominać, że narażając własne życie, ocaliliśmy pięćset dwadzieścia innych osób.

– Na tym zakończmy ten spór, proszę. – Okrutny poprawił się na wysłużonym fotelu. – Mamy pilniejsze sprawy do omówienia. – Wskazał lekarzowi ostatnie wolne miejsce naprzeciw biurka. – Przetrwaliśmy najgorsze, ale nie ma co spoczywać na laurach. Nie wiemy nawet, jak wygląda sytuacja na mieście...

– Przepraszam, towarzyszu kapitanie – wtrąciła Ziółkowska, zrywając się z krzesła. – Nie macie tu radia?

– Na cholerę wam teraz radio?

– To wy nic nie wiecie? – zdumiała się.

– O czym? – zapytali unisono Patryk i Wojciech.

Doktor Wegner nie wydawał się zainteresowany tą wymianą zdań.

– Wrocławska rozgłośnia nadaje wciąż komunikaty – poinformowała ich Katarzyna.

– Tak, wiem. To nagrane wcześniej propagandowe gówno może lecieć w nieskończoność.

– Ale ja nie mówię o przemówieniu Cyrankiewicza! – Była tak zaaferowana, że podniosła głos. – Niedawno zaczęli podawać nowe informacje. I aktualizują je co jakiś czas!

– Skąd wy to wszystko wiecie? – Okrutny nie krył zaskoczenia. –

Przecież od bombardowania nie mamy na obiekcie prądu.

Spadające z nieba szczątki cystern musiały uszkodzić linie energetyczne, jeśli nie na terenie więzienia, to gdzieś w pobliżu. Światła w całej okolicy zgasły, zanim ziemia przestała się trząść.

– Mam u siebie w dyżurce tranzystor – wyjaśniła.

– Dlaczego mówicie mi o tym dopiero teraz? – Kapitan nie krył oburzenia.

– Myślałam, że wy też słuchacie... – wymamrotała zbita z tropu. – Mogę przynieść moją eltrę, jeśli chcecie.

– Na jednej nodze, Zielińska! – Patryk uprzedził przełożonego.

On także wyglądał na żywo zainteresowanego. Ledwie Katarzyna zniknęła w korytarzu, posłał kapitanowi znaczące spojrzenie.

– Jeśli wojsko nadaje, to znaczy, że sytuacja nie wygląda tak źle, jak do tej pory myśleliśmy...

Okrutny pogładził się po brodzie. Pod opuszkami czuł ostry zarost. Od minionego popołudnia nie miał chwili, by zadbać o siebie.

– Jeden na stu, powiadacie, Patryku – rzucił kąśliwie lekarz. – Najwyżej dwóch.

– Tak twierdził Bednarek. – Chorąży nie wyglądał na urażonego tym słownym atakiem. – Nie wymyślił sobie tego. Na naszą prośbę zasięgnął języka u kierowców najważniejszych szych z partii i ze sztabu.

– Znając ich wybująłą wyobraźnię, trzeba było podzielić przez dziesięć wszystko, co opowiadali – nie odpuszczał Wegner.

– Tak też zrobiłem – zapewnił go Rojewski.

– Spokój! – Kapitan walnął otwartą dłońią w blat, aż obaj podskoczyli.

Zaczął się denerwować. Fakt, że wojsko nadaje aktualne komunikaty, mógł oznaczać, że sytuacja na mieście nie jest wcale tragiczna. Niewykluczone, że lada moment rozpocznie się nowa, bardziej przemyślana ofensywa. Może Rosjanie mimo wszystko wkroczą, tylko później, niż zakładał to Zatylny, i stąd ta cisza za murem... Cisza przed burzą.

Jeśli wojsko oczyści miasto, jeśli wieści o rozprzestrzenieniu się

zarazy na cały kraj okażą się plotkami... Okrutny wolał nie myśleć, co będzie, gdy pułkownik opuści schron i pojawi się ponownie na Klęczkowskiej. Wszyscy jak tu siedzą, trafią pod sąd albo od razu do katowni i zadyndają na jadzi.

Doktor Wegner miał rację tam, przy bramie. Wypuściliśmy za mur prawie półtora tysiąca przestępców, w tym wielu groźnych recydywistów. Czegoś takiego władza ludowa nam nie daruje, nawet jeśli wszystko, co robiliśmy, robiliśmy w dobrej wierze, chcąc ratować niewinnych ludzi. Ta myśl ustąpiła zaraz innej, jeszcze bardziej przerażającej. Wysłaliśmy w miasto konwój z niemal osiemdziesięcioma kryminalistami, najgorszymi zwyrodnialcami, jakich nosiła ta ziemia. Uczyniliśmy to w nadziei, że wkraczający do miasta Sowietci zajmą się problemem i zlikwidują ich na miejscu, ale czas płynął, a oddziały Armii Czerwonej nadal nie przekroczyły linii Odry.

Jeśli tym kanaliom uda się wydostać z więźniarek...

sobota, 10 sierpnia 1963, godzina 10:12
Miejski Ogród Zoologiczny przy ulicy Wróblewskiego 1-5

– Dym?

– Tak. – Nizner skinął energicznie głową.

– Czy to ma w ogóle sens?

– Jak najbardziej, to... panie majorze.

Biedrzycki zignorował kolejne potknięcie podporucznika. Wiedział, że musi dać podwładnym więcej czasu na wyzbycie się tego nawyku.

– Wytłumaczcie mi to jeszcze raz – poprosił. – Ale wiecie, jak chłop krowie na rowie.

– Tajest! – Podporucznik musiał zebrać myśli, zanim ponownie się odezwał. – Z tego, co wiemy, część miasta nie ma już prądu. Nie możemy też liczyć na telefony. Sami przyznacie, że to wątpliwe, aby w którejś centrali siedziały jeszcze operatorki. Znam parę osobiście, ale żadna nie wyglądała mi na samobójczynię...

– Skupcie się na temacie, nie na babach!

– Tajest. Znajdujemy się daleko od centrum, można powiedzieć na uboczu, co więcej, nie chcemy na razie posyłać ludzi na tamten brzeg.

– Nie chcemy.

– Zatem pozostaje nam tylko jedna opcja. Czas sięgnąć po prymitywne, ale sprawdzone metody. Czytaliście Maya? No właśnie – uśmiechnął się, widząc, że major kiwa głową. – Ja też. Jak Apacze porozumiewali się między sobą na większe odległości? Sygnałami dymnymi. Proponuję, abyśmy wykorzystali ich pomysłowość. Wystarczy, że nagramy nowy komunikat, w którym polecicie ocalałym z Armagedonu ludziom, by jutro w samo południe nasączyli kawał szmaty olejem albo innym tłuszczem i go podpalili. Niech rzucą żagwie na podwórze,

na ulicę, niech zrobią pochodnię z kija od szczotki albo sztyła od łopaty. Byłe to cholerstwo kopciło jak zajechany parowóz.

– Dlaczego dopiero jutro? – zainteresował się Biedrzycki.

– Musimy dać ludziom czas na odebranie wiadomości. Zanim ją nagracie, zanim zostanie wyemitowana, minie pewnie kilka godzin.

– Możemy się sprężyć.

– Wy tak, ale nie macie wpływu na to, kiedy wiadomość zostanie odsłuchana. Ludzie mają dzisiaj na głowach trochę więcej niż zwykle, więc pewnie nie śledzą z zapartym tchem nowych komunikatów sztabu kryzysowego.

– Racja.

– Myślę, że doba nadawania wystarczy, by spora część ocalonych odpowiedziała na nasz apel. Zwłaszcza że poprosicie w nim, aby ludzie informowali się o nim nawzajem. Niech drą się przez okna, niech łążą po dachach na sąsiednie ulice, byle powiadomili każdego, kto żyw.

– Chcecie, podporuczniku, żebyśmy zdjęli z anteny nadawane od dziewiętej instrukcje? Te, które nagrałem według waszych wskazówek?

Nizner nie odpowiedział od razu.

– Nie. Może niech chłopaki nadają je na przemian z apelem. Jak ktoś złapie naszą częstotliwość, to pewnie przy niej zostanie. Wielkiego wyboru nie będzie miał – dodał lekko żartobliwym tonem.

– Fakt – przyznał bezwiednie major.

Dyżurni z centrum łączności zameldowali mu, że od ponad godziny nie wyłapali żadnego nowego komunikatu. Dziewięćdziesiąt procent polskich rozgłośni zamilkło na dobre, dwie z nich – Kraków i Poznań – zeszyły z anteny dosłownie przed chwilą, i to w naprawdę dramatycznych okolicznościach. Pozostałe, zapewne porzucone przez obsługę, nadawały w kółko przemówienie Cyrankiewicza, które pasowało do obecnej sytuacji jak pięść do nosa. Można się więc było spodziewać, że każdy, kto miał choć odrobinę oleju w głowie, nastroił swój odbiornik na jedyną stację, która podawała w miarę aktualne

wiadomości. Dlatego Biedrzycki rozkazał, by obsługujący nadajnik żołnierze wchodzili co jakiś czas na żywo, zapowiadając jego nagrane wystąpienie.

– A jak chcecie dotrzeć do osób mieszkających na terenach pozbawionych zasilania? – zapytał po chwili zastanowienia. – Sami przed chwilą powiedzieliście, że w części miasta nie ma prądu.

– No co wy, majorze! – zachnął się Sławek. – Ludzie tranzystory teraz po domach mają. Nasze, krajowe. Mogą słuchać swoich ulubionych rozgłośni na spacerze, w parkach, nad wodą, jak jakieś Amerykany. To się nazywa postęp techniczny.

– Wiem, co to tranzystor – burknął Biedrzycki, niezadowolony z faktu, że sam na to nie wpadł. – I powiadacie, że to jedyny sposób?

– O ile nie chcecie drałować po całym mieście z ulotkami albo plakatami.

– Nie bądźcie tacy do przodu, Nizner, bo was z tyłu zabraknie – rzucił ostrzegawczym tonem major. – Obserwacji chcecie dokonać z dachu Hali Ludowej, jeśli dobrze rozumiem?

– Tak. To doskonały punkt obserwacyjny. Najlepszy w okolicy. Wejdę tam jutro z krótkofalówką... powiedzmy, po jedenastej, żeby mieć czas na spokojne namierzenie i wyeliminowanie ewentualnych pożarów, a potem zobaczymy, czy jest kogo ratować.

– Nie.

– Co znaczy: nie? – Podporucznik zdębiał.

– Nie wejdziecie.

– Ale...

– Ja pójdę – wyjaśnił Biedrzycki. – Chcę to zobaczyć na własne oczy. A skoro o patrzeniu mowa... – Odwrócił się do Deptucha. – Pokażcie nam, co też tam nasi czechosłowaccy koledzy wymodzili.

* * *

SKOT-y stały w równym rzędzie na placu pomiędzy Iglicą a głównym wejściem do Hali Ludowej. Otaczał je wianuszek ludzi

w mundurach. Chyba każdy, kto nie miał w tym czasie służby, przyszedł tu, by nacieszyć oczy widokiem najnowszych transporterów opancerzonych.

– Cudo – mruknął major, przyglądając się uważnie smukłej burcie ośmiokołowego pojazdu bojowego.

Wysoki, ostro ścięty przód amfibii przechodził w dwudzielną burtę zwieńczoną w środkowej części przysadzistą wieżyczką. W porównaniu z wysłużonymi BTR-ami był to prawdziwy cud techniki.

– Tak wyglądałaby przyszłość wojsk zmechanizowanych, gdyby nie te... – Deptuch splunął z odrazą. – Gdyby nie te nieumarłe bękarty.

Wszyscy znali specyfikację tych wozów, może prócz Maweta wywodzącego się ze służb, do których takie maszyny miały trafić w odleglejszej przyszłości. Te egzemplarze SKOT-ów przywieziono do Wrocławia parę tygodni wcześniej, aby sztabowcy mogli się zapoznać ze sprzętem, który znajdzie się na stanie Ludowego Wojska Polskiego już za parę miesięcy. Tak przynajmniej głosiła wersja oficjalna. Biedrzycki bardziej wierzył innej, jego zdaniem prawdopodobniejszej: owoc polsko-czechosłowackiej współpracy miał zostać zaprezentowany, obok wielu innych nowinek technologicznych, na lipcowej paradzie z okazji Narodowego Święta Odrodzenia Polski.

Pomysł zacny, spalił jednak na panewce z powodu ogłoszenia stanu epidemii niespełna tydzień przed coroczną defiladą. W kręgach władzy zapanowała histeria tak silna, że minister obrony narodowej nie próbował nawet dyskutować z przewodniczącym triumwiratu, gdy ten nie wyraził zgody na wywiezienie z terenu objętego kwarantanną takiej ilości sprzętu i obsługujących go ludzi. Prościej i bezpieczniej było ściągnąć z czeskich montowni kolejne egzemplarze, tym razem prosto do Warszawy.

Biedrzycki wspiął się do włązu przedziału kierowcy. Pod pancierzem nie było tak ciasno jak w czołgu. Szeroka kierownica przypominała te znane z ciężarówek – konstrukcję wozu oparto, było nie było, na jednym z największych modeli tatry.

– Osiem cylindrów. Prawie dwanaście litrów pojemności. Sto osiemdziesiąt koni – recytował podekscytowany Deptuch. – Jest moc!

– No, no. – Mawet rozartał niedopałek junaka obcasem. – To lepsza maszyna niż nasz BTR-60.

– Pod każdym względem – zapewnił go podporucznik. – Sto dziesięć na asfalcie. Dziewięć na godzinę w wodzie. Patrzycie na przyszłość.

– Nie da się ukryć – przyznał Bartek i jął wspinać się wyżej.

Stanął we włązie, trzymając się osłony rury wydechowej. Teraz miał przed oczami płaskie zadaszanie wozu i masywną wieżyczkę bojową.

– KPWT czternaście i pół milimetra – odpowiedział usłużnie Deptuch.

– Widzę.

– Można nim kosić zombie jak zboże.

– O ile ma się wystarczająco dużo amunicji – przypomniał mu nie bez uszczypliwości Bartek.

Podporucznik spochmurniał. Wozy przejął bez trudu, ale amunicja do ich głównego uzbrojenia znajdowała się w bunkrach, do których nie miał niestety dostępu, a zapasy ściągnięte wcześniej spod komendy nie były aż tak wielkie, by SKOT-y mogły się mierzyć z hordami nieumarłych.

– Możemy tam wrócić, to... panie majorze.

– Możemy i wrócimy, macie na to moje słowo – odparł Biedrzycki, zeskakując na beton. – Najpierw jednak musimy uzyskać pełne rozeznanie w sytuacji.

sobota, 10 sierpnia 1963, godzina 10:18
Zakład Karny Nr 1 przy ulicy Klęczkowskiej 35

– Zaraz, jeszcze chwilę... – Katarzyna stała z radiem przy uchu. – Już.

Odstawiła kolibra na blat, po czym przekreśliła znajdujący się na górnej płycie obudowy potencjometr. Kapitan Okrutny, doktor Wegner i chorąży Rojewski pochylili się nad niewielką kremową obudową z tworzywa sztucznego, której przód zdobił przesłonięty siedmioma pionowymi paskami głośnik i znajdująca się na prawo od niego tarcza do złudzenia przypominająca szybkościomierz nowej warszawy, tyle że widoczne na niej liczby układały się w dziwaczny ciąg – oznaczały bowiem długość fal.

Przy tym natężeniu dźwięku głośnik lekko charczał, niemniej dało się słyszeć każde wypowiedane przez spikera słowo.

– Tu Polskie Radio Wrocław. Nadajemy komunikat specjalny Wojskowego Centrum Kryzysowego. Przemówi do państwa dowódca korpusu specjalnego, generał Biedrzycki.

Coś zachrząściło, jakby w studio niezbyt umiejętnie przełączono aparaturę. Przez moment słyhać było tylko biały szum, ale zaraz rozległ się szelest przekładanych kartek, po którym z głośnika dobiegł nieco bardziej nosowy, zadziwiająco spokojny głos.

Obywatele i obywatelki. Mieszkańcy Wrocławia oraz pozostałych miejscowości, do których dociera ta transmisja. Dzisiaj w godzinach porannych oddziały operujące w strefie kwarantanny otrzymały rozkaz tymczasowego wycofania się na pozycje wyjściowe. To planowy manewr, który nie oznacza zakończenia działań zmierzających do całkowitego oczyszczenia miasta z zarażonych. Gdy tylko nadejdzie oczekiwane wsparcie, nasi dzielni żołnierze rozpoczną kolejny etap likwidacji skutków epidemii. Na to jednak potrzebny jest czas, gdyż mamy do

czynienia z czymś więcej niż osławiona czarna ospa. Macie moje słowo honoru, że wszystkie jednostki pozostały na posterunkach i już wkrótce podejmą skoordynowane, skuteczne działania, by ocalić was przed zagrożeniem, które stanowią zarażeni.

Apeluję w tym miejscu do wszystkich wrocławian, którzy mnie słyszą. Zachowajcie szczególną ostrożność i czujność! Zagroza wam nowa, nieznana dotąd ludzkości zaraza, po stokroć bardziej śmiertelna niż dżuma. Ostrzegam więc tych, którzy jeszcze tego nie wiedzą. Nawet przelotny kontakt z zarażonym grozi nieuchronną infekcją, w wyniku której ofiara zmienia się niemal natychmiast w pozbawione wszelkich cech ludzkich monstrum, zwane przez naukę zombie. Potwory te, mówiąc inaczej – nieumarli, mordują z zimną krwią każdego, kogo zdołają dopaść, nawet członków najbliższej rodziny, same natomiast są niezwykle trudne do zabicia. Zapamiętajcie więc... Jeśli nie chcecie podzielić losu tysięcy nieszczęśników błąkających się obecnie po ulicach, musicie bezwzględnie przestrzegać zaleceń przygotowanych przez grono najwybitniejszych specjalistów z Wojskowego Centrum Kryzysowego, którym przewodzi sam doktor Bogumił Arendzikowski. Oto one:

Obywatele i obywatelki. Pod żadnym pozorem nie opuszczajcie kamienic i domów, w których znaleźliście schronienie. Wyjście na ulicę oraz próba opuszczenia terenu kwarantanny grożą nieuchronną śmiercią! Za nic w świecie nie zbliżajcie się do zarażonych. Jeśli zdołają was wyczuć, nie odpuszczą, dopóki nie zakosztują waszej krwi. Uciekając, możecie narazić własne rodziny. Podejmując z nimi walkę, wystawiacie się na ryzyko zarażenia. Groźne mutacje sprawiły, że stali się niezwykle odporni na ból i zadawane im rany. Większość nawet po rozczłonkowaniu nadal będzie w stanie was zabić. Wystarczy jedno dotknięcie, aby doszło do infekcji!

Zabarykadujcie wejścia do kamienic i domów. Upewnijcie się, że w pobliżu nie ma zarażonych. Jeśli sąsiedzi nie odpowiedzą na wasze wezwania, odstępście od drzwi. Milczenie może oznaczać przemianę, a przemiana to śmiertelne zagrożenie dla was i waszych bliskich. Izolujcie chorych i rannych, ale nie

spuszczajcie ich z oka. Jeśli to możliwe, unieruchamiajcie takie osoby, na przykład zamykając w osobnych pomieszczeniach albo przywiązując do łóżek. To z pozoru okrutne, ale naprawdę konieczne zabezpieczenie. W chwili zgonu każdy człowiek, który przebywa w strefie kwarantanny, może się przeistoczyć w nieumarłego. Jeśli stanie się to niezauważenie, zombie pozbawi życia pozostałych członków waszej grupy, zanim ktokolwiek zdoła zareagować. Dlatego zaklinam was, nie róbcie żadnych wyjątków, nawet gdyby chodziło o waszą ukochaną matkę albo jedyne dziecko.

Dla własnego bezpieczeństwa nie twórzcie dużych skupisk. Pozostańcie blisko siebie, lecz zadbajcie o możliwość natychmiastowej izolacji. Jeśli mieszkacie na parterze, a na waszej ulicy roi się od nieumarłych, ewakuujcie się na wyższe piętro albo przenieście się do najdalszych pomieszczeń, na przykład znajdujących się od podwórza. Jeśli udzieliliście komuś pomocy i przyjęliście tę osobę pod swój dach, zamykajcie się na klucz przed pójściem spać, a po przebudzeniu sprawdzajcie zawsze, czy za ścianą jest wciąż żywy człowiek. Otwierajcie drzwi dopiero wtedy, gdy usłyszycie czyjś głos. Zombie nie są w stanie wydać z siebie żadnego dźwięku, dlatego, powtarzam, cisza w pomieszczeniu obok może oznaczać śmiertelne zagrożenie.

Po zabezpieczeniu wejść przenieście całą żywność, jaką przechowujecie w piwnicach, na najwyższe piętra albo strychy. Zgromadźcie tam także wszystkie lekarstwa i środki opatrunkowe. Zadbajcie o to, by mieć pod ręką zapasy węgla oraz drewna na opał. Napełnijcie wszystkie wanny, balie, wiadra i inne duże naczynia bieżącą wodą. Nasze oddziały kontrolują elektrociepłownię i wodociągi miejskie, więc energii i wody nie powinno w najbliższym czasie zabraknąć, jednakże w każdej chwili może dojść do lokalnych awarii, których nie będzie komu usunąć.

Uzbrójcie się w przedmioty, którymi w razie konieczności będziecie mogli odepchnąć albo obalić atakujących was zarażonych. Powtarzam, odepchnąć albo obalić! Podjęcie

bezpośredniej walki z zombie zwłaszcza w zamkniętych pomieszczeniach równoznaczne jest ze śmiercią. W razie najgorszego waszą jedyną szansą jest ucieczka, dlatego radzę, abyście opracowali co najmniej dwa plany ewakuacji z dotychczasowych kryjówek. Jeśli sytuacja zmusi was do wyjścia na otwartą przestrzeń, starajcie się jak najszybciej znaleźć nowe schronienie. Unikajcie skupisk nieumarłych. Pamiętajcie, wystarczy jeden dotyk, a staniecie się tacy sami jak oni!

Pozostańcie na nasłuchu, ale tam, gdzie brakuje prądu, oszczędzajcie baterie, bo od nich może zależeć wasze życie. Za pośrednictwem fal radiowych przez całą dobę będziemy was informować o podejmowanych działaniach i przekazywać ostrzeżenia. Mówił generał Biedrzycki, dowódca Wojskowego Centrum Kryzysowego...

Po kilku sekundach ciszy, a raczej narastającego szumu, spiker zapowiedział powtórkę komunikatu.

Ziółkowska zgodnie z poleceniem wyłączyła radio.

Okrutny opadł ciężko na oparcie fotela. Przetarł dłońmi spoconą twarz. Milczał, trawiając zasłyszane informacje, podobnie jak reszta, dopóki Patryk nie postawił na blacie wyniesionej z gabinetu naczelnika flaszki. Stukot pełnego szkła o drewno wyrwał pozostałych uczestników odprawy z chwilowego letargu.

– „Swojczycki” – mruknęła z uznaniem Katarzyna, gdy kapitan pochylił się, by wyjąć z szafki kilka niedomytych szklanek. – Skąd...

– Nie wasza sprawa! – uciął Okrutny, dając chorążemu znak, by odbił korek.

– Pić będziecie? – obruszył się doktor Wegner. – Świat się wali, a wy po samogon sięgacie?

– Czasami, jak to mądrzy ludzie mawiają: bez litra nie razbieriesz – zaśmiał się z jego oburzenia Rojewski, rozlewając po dwa palce lekko mętnego trunku. – Sporo mamy do przemyślenia, a nic tak nie rozjaśnia umysłu jak łyček czegoś mocniejszego. – Zawiesił szyjkę butelki nad ostatnią szklanką, posyłając lekarzowi pytające spojrzenie. – Jednego dla kurażu?

Wegner machnął ręką z rezygnacją.

– A co mi tam.

Chorąży rozsunał naczynia. Opróżnili je jednym haustem, bo i nie polał za wiele. Alkohol palił przyjemnie w przełyk, ciepło rozlewało się po całym żołądku, jakby płyn, który właśnie spożyli, zawierał ciekły ogień.

– Ten, kto go pędzi, to prawdziwy cudotwórca – wysapał z uznaniem Patryk.

– Znajomy z filharmonii mówi o nim „wirtuoz destylatora” – poparła go zaczerwieniona na twarzy Ziółkowska.

– Ile to ma procent? – Lekarz gapił się w pustą szklanekę, jakby zobaczył na jej dnie ducha.

– Nie napisali – odpowiedział mu Rojewski po ponownym obejrzeniu etykiety i oblizaniu ust – ale na moje oko tak ze sto dwadzieścia. Albo i więcej.

Okrutny nakazał gestem, by odstawili szkło, ale gdy chorąży znów sięgnął po flaszkę, powstrzymał go jednym ruchem dłoni.

– Za moment, Patryku – rzucił nieco ochryplym głosem, ponieważ i jego krtań ucierpiała lekko w starciu z tak mocnym bimbrem. – Najpierw porozmawiajmy o tym, co właśnie usłyszeliśmy. Jakież wnioski?

– Tak po mojemu, to jest źle – wyrwał się Rojewski. – A nawet gorzej.

– Dlaczego tak uważacie?

– Ten cały generał... jak mu tam... Biedrzycki. Nawiasem mówiąc, słyszeliście o kimś takim wcześniej? – przesunął wzrokiem po twarzach obecnych. – Doktorze, pan miał kontakty z triumwiratem.

Wegner pokręcił wolno głową.

– W sztabie kryzysowym mieli chyba majora o takim albo bardzo podobnym nazwisku – odpowiedział po chwili głębszego zamyślenia. – Ale... Wiecie, mnie zastanawia co innego. To całe Wojskowe Centrum Kryzysowe. Nie widziałem tej nazwy w żadnym komunikacie triumwiratu, a ostatni wydano około trzeciej trzydzieści.

– Uważacie, że ta audycja jest jakimś oszustwem? – zdziwił się kapitan.

– Tego nie powiedziałem – zastrzegł lekarz. – Ale sami pomyślcie. Nieznany nikomu generał dowodzący organizacją, o której parę godzin temu nikt nie słyszał...

– Myślicie, że ktoś zaszył się w rozgłośni radiowej i udaje nowe władze? – Ziółkowska wyglądała na poruszoną.

– Nie – zaprzeczył stanowczo Patryk, zanim doktor Wegner zdążył ponownie otworzyć usta. – To nie jest głupi kawał jakiegoś stukniętego radiowca. Komunikat był zbyt konkretny jak na zwykłe błaznowanie. Żadnych bzdur ani przechwałek, wszystko za to niezwykle praktyczne i sensowne. Gdyby kazano mi usiąść i sporządzić listę najpilniejszych porad, nie różniłaby się wiele od tego, co właśnie usłyszeliśmy. Więcej powiem, byłaby krótsza o kilka punktów.

Wegner pokiwał głową.

– Coś w tym jest.

– A wiecie, co mnie zaciekało? – odezwał się Okrutny i nie czekając na reakcję, zaraz dodał: – Ten cały Biedrzycki kazał ludziom gromadzić wszelkie dostępne zapasy. Wszelkie. Nawet wodę i drewno na opał.

– No kazał... – zafrasował się chorąży.

– I co to waszym zdaniem może znaczyć? – Doktor Wegner pochylił się w stronę kapitana.

– To chyba oczywiste. Nie będzie żadnej błyskawicznej ofensywy, która oczyściłaby miasto. Ile wody trzeba, by przetrwać dobę albo dwie? Zwłaszcza że wodociągi nadal działają, a elektrociepłownia dostarcza prąd?

– Do nas nie dostarcza – przypomniał mu chorąży.

– Do nas nie, fakt, ale my mieliśmy tego pecha, że załapaliśmy się na spadające z nieba płonące cysterny, które poniszczyły linie średniego i niskiego napięcia. Trzy czwarte miasta nadal może mieć zasilanie.

– Skoro przygotowują ludzi na oblężenie, to znaczy, że... – zaczęła Ziółkowska.

– ...Ruscy nie wejdą, a oni sami nie mają wystarczającej ilości sprzętu i ludzi, by przeprowadzić czystkę na tak wielką skalę – dokończył za nią Okrutny. – Musimy się przygotować na dłuższy

pobyt za tym murem. – Z trudem powstrzymał się od westchnienia ulgi.

Przez moment myślał, że audycja zwiastuje rychłe wybawienie, które dla niego, Patryka, Ziółkowskiej, a niewykluczone, że i dla doktora Wegnera, oznaczałoby wydany w ekspresowym tempie wyrok śmierci i kulkę w łeb. Wyglądało jednak na to, że Zatylnemu przyjdzie kiblować w bunkrze – Wojciech miał przecucie graniczące z pewnością, że żaden z partyjnych prominentów nie wyściubi nosa spod gmachu KW, dopóki z ulic nie zniknie ostatni nieumarły – a to z kolei znaczyło, że szanse tymczasowego naczelnika więzienia na przeżycie znacznie wrosły. Z drugiej jednak strony będzie musiał tygodniami bronić tego miejsca przed zarazą, która – co wiedział z autopsji i wysłuchanego komunikatu – niosła nie mniejsze zagrożenie.

– Ta wzmianka o nadchodzącym wsparciu to waszym zdaniem kłamstwo? – zainteresował się Wegner.

– Tak – potwierdził Okrutny. – Biedrzycki chciał w ten sposób podnieść morale ludności cywilnej i dać jej cień nadziei. Z tego, co mi wiadomo, zaraza pokonała kordony sanitarne. W chwili obecnej ogniska epidemii występują w całym kraju. W innych miastach wojewódzkich sytuacja nie jest wcale lepsza. Skąd to całe Wojskowe Centrum Kryzysowe miałyby otrzymać wsparcie, skoro każda istniejąca jeszcze jednostka walczy o przetrwanie na własnym terenie?

– Jesteście pewni, że zaraza panoszy się wszędzie? – zapytała zaskoczona tą informacją Ziółkowska.

Kapitan wskazał Patrykowi puste szklanki, po czym wyprostował dwa palce, wskazujący i środkowy. Chorąży nie potrzebował dalszych wskazówek.

– Tuż przed tym... bombardowaniem – wyjaśnił Okrutny – zadzwonił do mnie ktoś ze stolicy. Krewny z resortu. Pytał, co u nas, czy milicja i wojsko radzą sobie z pacyfikacją izolatoriów, ponieważ jego oddział zaraz zostanie wysłany na ulice Warszawy, by zlikwidować źródła zarazy w stolicy... – Przerwał na moment, by wypić świeżo nalany biber. Zatchnęło go, ale wystarczyło mocne chuchnięcie, by mógł kontynuować. –

Zapytałem go przy okazji, czy wie może coś więcej o sytuacji w kraju. Wiedział i powiedział. KC ewakuowano cholera wie gdzie. Raporty o nowych źródłach zarazy napływały do MSW nieprzerwanie, całymi setkami. Było ich ponoć tyle, że po szóstej skończył się papier w dalekopisach. Dodał też, że za granicą nie jest wiele lepiej. Chłopaki z pionu nasłuchu twierdzili, że największe stacje milkły jedna po drugiej. Zarówno po naszej, jak i po drugiej stronie.

– To dlatego zdecydowaliście się na wypuszczenie więźniów. – Doktor Wegner pokiwał głową. Jako jedyny nie wypił jeszcze drugiej kolejki, ale nadrobił to teraz, przechylając szklanekę niemal do pionu.

– Nie – zaprzeczył kapitan. – Dowiedziałem się tego wszystkiego już po podjęciu decyzji.

– Nie rozumiem...

– I niech tak na razie zostanie – rzucił Okrutny. – Mamy ważniejsze sprawy na głowie. Musimy ustalić, co dalej.

– W świetle zaleceń generała... – zaczął Patryk.

– Wiecie, ja myślę, że to ten major – wpadł mu w słowo lekko podchmielony Wegner.

– O czym wy mówicie? – zdziwił się kapitan.

– Ten cały Biedrzycki to nie żaden generał, tylko major. – Lekarz wyartykułował każde słowo z przesadą. – Nazwisko ma dość rzadkie, przyznacie, a w raportach triumwiratu właśnie takie padło parę razy, tyle że w odniesieniu do zwykłego majora.

– Mógł awansować – zauważył Patryk.

– Z majora od razu na generała? – zaśmiał się Wegner.

– Czemu nie? W taką noc...

– Doktor może mieć rację. – Poparcie przyszło z najmniej oczekiwanej strony. Okrutny odchylił się mocniej na ponemieckim fotelu. – Kto by go awansował, skoro od paru godzin nie mamy ani rządu, ani naczelnego dowództwa? Myślę, że zrobił z siebie generała i stworzył całe to Wojskowe Centrum Kryzysowe, żeby jego komunikaty brzmiały poważniej. Kto by tam słuchał wynurzeń jakiegoś nikomu nieznanego majora? A generał to przecież szczyt, splendor. Jak generał coś ci każe, to

się nie zastanawiasz, tylko wykonujesz rozkazy.

– Wojskowe Centrum Kryzysowe, jak to dumnie brzmi – zauważył chorąży.

– Nawet jeśli to zwykła przykrywka, udzielane przez niego rady uratują życie wielu ludziom – wtrąciła Ziółkowska.

– I o to właśnie chodzi – podchwycił kapitan. – Gdzieś tam są żołnierze, którzy przetrwali pierwszą fazę oczyszczania miasta. Ludzie, którzy musieli się wycofać, ale nie zrezygnowali i znów spróbują, tyle że teraz już z głową, powoli, na spokojnie, dokładnie tak, ja my to zrobiliśmy na sam koniec. Stąd te wezwania do gromadzenia zapasów. Ta część operacji potrwa nie dni, ale tygodnie. Jeśli chcemy doczekać ratunku, musimy spędzić za murem co najmniej miesiąc. Jesteśmy na to gotowi?

Nie odpowiedzieli od razu, choć kazał im przed spotkaniem dokonać spisu inwentarza.

– Powiem tak... – pierwszy odezwał się Rojewski. – Mamy na obiekcie pięćset dwadzieścia osób. Przy obecnych stanach magazynowych mąki i ziemniaków damy radę wykarmić tyle gąb przez jakieś dwadzieścia dni. Może dociągniemy do pełnego miesiąca, jeśli zaczniemy racjonować żywność już dzisiaj.

– A co ze świniami? – zainteresował się Wegner.

– Właśnie nie wiem.

– Jak to: nie wiecie?

– A tak to – wypalił chorąży. – Wolałbym nie mieć na obiekcie stada nieumarłych wieprzy. Dacie mi gwarancję, że zarżnięta świnia nie wpieprzy rzeźników, zanim zdążą ją pociąć na kotlety?

Lekarz spuścił głowę.

– Wiecie co? – Gęstą jak smoła ciszę przerwała moment później Ziółkowska. – Nie dalej niż pół godziny temu jadłam świeżuteńką kaszankę.

– A ja zagryzłem chleb pyszną słoniną – wypalił Rojewski. – Jeden zero dla ciebie, tylko co to ma wspólnego...

– Dużo – nie dała mu dokończyć. – Dostałam ją od Agnieszki Michalskiej, kiedy już sobie popłakałyśmy nad naszym losem. Zarzekała się, że to jeszcze ciepła kiszka. Ponoć szwagier z Żernik ubił świnie wczoraj wieczorem, jak usłyszał, co się na mieście

dzieje. Do późnej nocy ją rozbierali całą rodziną. A my zgarnęliśmy Agnieszkę kwadrans po tym, jak wróciła z wałową do domu.

– Wczoraj wieczorem? – Patryk podrapał się po brodzie.

– Wczoraj wieczorem.

– To by mogło znaczyć... – Chorąży przeniósł wzrok na lekarza.

– To może znaczyć wszystko – zgasił go Wegner. – O tym, czy wasze wieprzki nie ożyją, dowiecie się dopiero, jak je będziecie zarzynać.

– Ale...

– Jakoś nie przypominam sobie, żeby wczoraj ludzie masowo ożywali, a sami widzieliście, co stało się pod bramą. – Doktor Wegner odstawił pustą szklankę na blat, po czym spojrzał wyczekująco na kapitana.

– Polej – rozkazał Okrutny i zaraz dodał: – Nie ma na co czekać. Patryku, po odprawie pójdziesz do chlewików, weźmiesz dwóch tymczasowych. Niech wybiorą wieprzka, któregoś z tych najmniejszych, i zaciągną go na spaceriak za Babińcem. Ten, na którym trzymamy zombie ze skwerku. Tam go zarzniecie.

– Dlaczego na spacerniku? – zdziwił się Rojewski. – W rzeźni będzie prościej.

– Dlatego, że jeśli ożyje, nie będziemy musieli go zaganiać za żadne ogrodzenie, a rzeźnia, gdybyście nie pamiętali, znajduje się tuż obok magazynów i kuchni – wyjaśnił kapitan.

– Też racja... – zgodził się podoficer.

Stuknęli się szklankami po raz trzeci.

– Wiecie – rzucił Wegner, krzywiąc się, jakby poczęstowali go piołunem – zastanawiam się nad tym, co Biedrzycki powiedział o dużych skupiskach ludzi. Mamy czterysta osób w Iksie i sto dwadzieścia w Babińcu. To sporo, nie uważacie?

– Owszem – przyznał kapitan – ale tak musi być. Przynajmniej przez dzień albo dwa. Na razie nie ma ich jak inaczej rozlokować.

– Wiem, wiem – pokiwał głową Wegner. – Właśnie dlatego tak mnie to niepokoi. Jeśli ktoś umrze, będziemy mieli nie lada problem.

– Dlaczego ktoś miałby umrzeć? – zachnął się Patryk.

– Dlatego, że umieranie to ludzka rzecz – odparł spokojnie lekarz. – Zawały serca, wylewy krwi do mózgu, nawet zwykłe zadławienie ością może prowadzić do śmierci człowieka. Nie zapominajcie, że mamy w tych celach dziesiątki starszych albo schorowanych ludzi, o których nic nie wiemy. Kompletnie nic. Wystarczy, że któryś z nich zasłabnie... – Nie musiał kończyć, jego rozmówcy doskonale zdawali sobie sprawę, do jakiego piekła by doszło, gdyby w którymś z bloków, pośrodku takiego tłumu, pojawił się nieumarły.

Po chwili zastanowienia Rojewski zaproponował:

– Poinstruujemy ludzi, jak mają się zachowywać w razie alarmu...

– Zdecydowana większość ocalonych to nie mundurowi, tylko kobiety i dzieci – przerwał mu natychmiast Okrutny. – W dzień może udałoby się nam nad nimi zapanować, ale obudzone w środku nocy na pewno wpadną w panikę. Zamiast szukać najbezpieczniejszej drogi do wyjść, zaczną się tratować, a każdy, kogo zdeptają... – Aż się wzdrygnął na tę myśl. – Nie pamiętacie, co wyczyniały baby pod kaplicą? Gdyby nie sparaliżował ich strach, toby uciekły, zanim nieumarli zdołali zablokować skwer. Tymczasem znalazły się w pułapce. W Iksie będzie równie źle, jeśli nie gorzej, mówię wam.

– To może pozamykajmy wszystkie przejścia – zasugerowała nieśmiało Ziółkowska.

– I co nam to da? – zapytał Rojewski, kręcąc głową. – Wtedy dopiero ludzi naginie.

Katarzyna posmutniała. Nie przemyślała tego należycie. Zamknięcie krat odcięłoby dostęp do schodów, wszakże ludzie mogliby skakać z wyższych pomostów na siatki zabezpieczające. W przypadku pojedynczych osób zakończyłoby się to niegroźnymi obrażeniami, lecz gdyby takich straceńców było więcej... Zbladła, wyobraziwszy sobie, że spanikowane matki wyrzucają za barierki własne dzieci.

– To co mamy robić? – zatroskała się.

– Myślę, że warto by rozważyć propozycję Biedrzyckiego – rzucił Wegner. – Tę o zamykaniu drzwi na klucz.

– To jest więzienie – przypomniał mu rozbawiony tym pomysłem kapitan. – Nie ma możliwości zamknięcia cel od środka.

– Wiem przecież! – Lekarz posłał mu karcące spojrzenie. – Ale da się to zrobić z zewnątrz.

– Mamy pozamykać naszych bliskich jak pospolitych kryminalistów? – zaśmiał się Rojewski. – Pomijam już fakt, że nigdy nie pójdą na coś takiego.

– Czemu? – zdziwił się Wegner.

– Bo to wolni ludzie. Nikt przy zdrowych zmysłach nie da się traktować jak więzień! – Chorąży podniósł głos. – Czy wy dalibyscie się zamknąć w celi?

– Po tym, co usłyszałem w radio i widziałem przy Babińcu, zgodziłbym się bez wahania – zapewnił go lekarz. – Tylko na noc, rzecz jasna.

– A co z dniem? – nie odpuszczał Patryk.

– W dzień powinniśmy dać ludziom jak najwięcej swobody. Niech korzystają z otwartej przestrzeni. Albo pracują przy przystosowywaniu reszty zabudowań do celów mieszkalnych. To powinno zniwelować negatywne skutki zamykania cel na noc.

– Hm... – Kapitan spojrzał na niego uważniej. – Komunikat Biedrzyckiego leci na okrągło, jeśli dobrze zrozumiałem? – Przeniósł wzrok na Katarzynę.

– Tak. Dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Możemy go jakoś retransmitować przez nasze kołchoźniki? – Teraz Okrutny odwrócił się do chorążego.

– Owszem – odparł zapytany ostrożnie – ale musielibyśmy w tym celu uruchomić agregat prądotwórczy.

– Zatem odpalicie go, jak tylko uporacie się z tym świniakiem. Powiedzmy, na trzy powtórzenia komunikatu. Potem poinformujemy przez nasz radiowęzeł, że musimy zamknąć wszystkich na noc w celach dla ich własnego bezpieczeństwa.

sobota, 10 sierpnia 1963, godzina 11:47
Zajezdnia Tramwajowa Nr 2 przy ulicy Słowiańskiej 16–30

Fabian żuł leniwie źdźbło trawy. Najadł się wcześniej do syta, korzystając ze szczodrości ocalonych kobiet, a że wodę mineralną miał pod ręką, nie przejmował się nieznośnym żarem, który od samego rana wypalał zastygłe w niemal idealnym bezruchu miasto. Słońce stało w zenicie, a na błękitnym niebie próżno było szukać choć jednej chmurki, ale nawet tutaj, na pachnącym rozgrzaną smołą dachu, Sprycha szybko znalazł przytulne schronienie. Przed momentem położył się na brzuchu obok rzucającej cień nadbudówki świetlika, wyganiając stamtąd trzymającego wartę Janiczka.

Powiódł wzrokiem po ulicy widocznej za płotem i rzadko posadzonymi młodymi topolami. Na razie nie miał powodów do narzekań. Willa, którą udało mu się odbić tego ranka, okazała się przychodnią zakładową, co bardzo ucieszyło Fabiana, zwłaszcza że znalazł w niej małe, ale całkiem dobrze wyposażone ambulatorium, w którym – przymykając oczy i wodząc opuszkami palców po złożonych w metalowej szufladzie narzędziach – poczuł się niemal jak u siebie. Nie w domu, lecz w ustronnym nadrzecznym bunkrze, dokąd zwykł zabierać ostatnie ofiary, by upajać się ich cierpieniem, a następnie radować podniebienie przepysznym mięsem oraz ciepłą, słodką i gęstą jak miód krwią...

Na wspomnienie niedostępnych teraz rozkoszy przeszył go miły dreszcz. Wybuch epidemii nie tylko odebrał mu możliwość kosztowania największych przysmaków, ale też pozbawił źródła ekstatycznej przyjemności, którą czerpał z wielogodzinnego katowania ofiary, napawając się jej przerażeniem i nade wszystko chłonąc jej cierpienie. Już nigdy nie będzie mu dane wciągnąć do płuc ostatniego oddechu konającej w jego obecności

kobiety. Już nigdy nie wtuli się w odarte ze skóry, lepkie od limfy i krwi ciało w agonii, by poczuć jakże delikatny, przedśmiertny dreszcz, który dzieli życie od niebytu...

Z dawnych uciech pozostała mu – o ile odważy się kiedyś zaryzykować – tylko jedna, czyli skórowanie, choć na pewno nie takie, do jakiego zdążył przywyknąć. Na razie wolał nie kusić losu, zbyt dobrze pamiętał, że niektóre z jego wybranek umierały za wcześnie, oczywiście ku jego rozpaczcy. Przynajmniej trzy skonały na haku, zanim zdążył obrać im ze skóry całe ręce, a jedna... ta, mimo że wyglądała na hożą, zgasła jak zdmuchnięta przeciagiem świeca, zanim dokończył pierwsze cięcie.

Jakże miałyby teraz odróżnić, czy nagłe zdarzenie płata skóry poskutkowało zwykłym omdleniem, czy jest to już śmiertelne zejście, po którym jedno nierozważne dotknięcie martwego ciała może sprawić, że podzieli los ofiary?

– Szef posłucha!

Z zamyślenia wyrwał go nabożny szept podpalacza. Spojrzał we wskazanym kierunku, za smukłe drzewka i poniemieckie ogrodzenie. Janiczek, który nie musiał rozpamiętywać utraconego sensu życia, obserwował uważnie ulicę, jak mu kazano. Gdy tylko zauważył, że sytuacja w dole zaczyna się zmieniać, przywezwał szefa na dach i od tamtej pory wspólnie śledzili rozwój wydarzeń.

Nieumarli tłoczyli się już tylko wokół drugiej z czterech ciężarówek. Trzecią z rzędu zostawili w spokoju, zanim Sprycha wystawił warty, ale z niej już od dawna nie dobiegały żadne dźwięki, co sugerowało, że któryś z więźniów albo zmarł, albo został zabity przez zdesperowanych kompanów, co doprowadziło do masakry i tragicznej śmierci całej dwudziestki osadzonych.

Około wpół do dwunastej ponad jęki dobiegające od strony ulicy wybił się zduszony okrzyk mający źródło w czołowym wozie dawnego konwoju. To on właśnie zaalarmował wartownika i skłonił do wezwania samozwańczego herszta. Zanim jednak Sprycha zdążył się wdrapać na dach hali, odmieńcy zostawili w spokoju i tę więźniarkę, otaczając zwartym kręgiem

stara, w którym wyczuwali ostatnie potencjalne ofiary.

Fabian zerknął w bezchmurne niebo. W takim upale trudno było wytrzymać na otwartej przestrzeni, a co dopiero w rozgrzanym metalowym pudle. Dziwił się więc, że żuczki z tej więźniarki wciąż dychają. Jego skromnym zdaniem ci ludzie powinni szczeznąć już godzinę temu. Twardzi jednak byli, jak widać. Przedłużali swoją agonię, komplikując życie zarówno sobie, jak i jemu.

– Szef tam popatrzy! – Podpalacz wskazał na skraj milczącego tłumu.

Fabian skupił wzrok na wyciągających ręce ku burcie wozu szarych postaciach.

– Gdzie?

– No tam, na wprost szoferki.

– Po cholere?

– Czy to nie ten zdun, o którym szef mówił, że mu wszystkie flaki powypruwali?

Sprycha wyłuskał z tłumu znajomą sylwetkę w płóciennym więziennym garniaku. *Tak, to na pewno Bugalski, ale...* Przyjrzał się uważniej, poczekał, aż chodzący trup potknie się znowu i odchyli.

– Nie...

Rozdarta koszula odsłaniała siny teraz kałdun Jędrzeja, jednakże nie rozpruty od mostka po pachwinę jak przedtem, tylko wydęty i gruzłowaty, jakby mu ktoś te bebechy nie tak jak trzeba do środka powcisnął, a potem rany na zakładkę zakleił.

– Tak, szefie, to on – upierał się Janiczek, nie mając bladego pojęcia, o czym myśli w tej chwili herszt.

– Widzę – burknął Fabian.

– Ale on cały jest.

– To też widzę.

– To się chyba szef pomylił i on...

– Wiem, co widziałem! – przerwał mu zirytowany do granic Sprycha, podnosząc głos.

– Ale...

– Chcesz do niego zejść i poprosić o adres tego, kto go tak ładnie

poskładał?

– Nie no, nie chcę... – Janiczek zaprzeczył zdecydowanym ruchem głowy.

– To stul pysk i nie drąż tematu.

Zamilkli. Fabian wrócił do obserwowania ostatniej więźniarki, w której nadal tkwili żywi ludzie. Nikt nie wystawiał już rąk przez świetliki. Wrzaski, które miały ściągnąć pomoc, dawno zamieniły się w nieartykułowane i ledwie słyszalne jęki, niemniej najwyraźniej żaden jeszcze nie wyzionął ducha we wnętrzu piekarnika, w jaki musiała przeistoczyć się rozgrzana do kilkudziesięciu stopni Celsjusza paka więźniarki.

Jak długo to jeszcze potrwa? Trudno powiedzieć, choć patrząc na los tych z pierwszego wozu, pewnie krócej niż dłużej. Minuty, może kwadrans, na pewno nie godzinę... Sprycha drgnął, gdy od strony ulicy dobiegł stłumiony łomot, jakby ktoś własnym ciałem próbował sforsować zamki w metalowych drzwiach. Buda więźniarki zakołysała się raz, potem drugi. Nagle ktoś przywarł ustami do przedniego świetlika. Przenikliwe wołanie urwało się w pół słowa – był to ostatni artykułowany dźwięk, jaki dotarł do ich uszu. Nad Słowiańską zapadła grobowa cisza.

Odmieńcy opuszczali kolejno łapska, nie drapali już burt wozu, ale też nie odstępowali. Zamierali po prostu, jakby utracili cel życia, czy też tego stanu, w jakim obecnie trwali. Tylko niektórzy, ci drepczący na skraju ciżby, zaczęli się oddalać, choć nie odeszli więcej niż kilka kroków.

– Czy oni?... – zapytał łamiącym się głosem Janiczek.

– Tak – warknęła Fabian. – Już po nich. I dzięki Bogu. W końcu możemy przystąpić do realizacji planu.

– A nie można było zrobić wcześniej tego, co szef tam sobie wykombinował? – Bartek podniósł spojrzenie. – Uratowalibyśmy kupę git-ludzi.

– Nie można było – odparł po chwili namysłu Sprycha. – Zaraz się przekonasz, że i w tych warunkach nie będzie to wcale proste. W życiu byśmy ich nie odciągnęli sprzed zajezdni, gdyby w którymś z samochodów pozostał ktoś żywy. Może zwabilibyśmy kilku, ale cała reszta trzymałaby się tych

ciężarówek jak wesz ostatniego włosa.

– No chyba że tak.

– Nie spuszczaaj odmieńców z oka – poleciał mu Fabian. – Teraz, kiedy ich uwagi nie przykuwają nasi przyjaciele, mogą poszukać ciekawszego zajęcia niż gapienie się w te konserwy na kółkach. Sygnały pamiętasz? – upewnił się.

– Jasne, szefie.

– Świetnie. W takim razie czas najwyższy obudzić dziunie.

* * *

Siedział na schodkach wagonu tramwajowego w ożywczym cieniu, krojąc odebranych cieciewi kozikiem jabłko, jedno z tych, które dała im w podzięce Zielińska.

Gdy tylko zszedł z dachu, nakazał chłopakom, by grzecznie, acz stanowczo zaprosili wszystkie uciekinierki oraz niejaką Wiciakową, która schroniła się w willi już wcześniej wraz z dwójką dzieci. Sam natomiast rozłożył się wygodnie między rozsuniętymi drzwiami świeżo odmalowanego KSW i czekał cierpliwie, aż jego polecenie zostanie wykonane. Nie trwało to dłużej niż pięć minut. Stawiły się wszystkie, oczywiście bez dzieci, które pozostały w budynku przychodni pod opieką Sójki i Zgorzelskiego, ponieważ Sprycha wciąż był ich najmniej pewny. Jakżeby mogły odmówić prośbie wybawcy? Poza tym ciekawiło je, o co też może mu chodzić.

– Drogie panie – zagaił Fabian, gdy już przeżuł kolejną porcję soczystego mięszu. – Jak wcześniej wspominałem, mam do was jeszcze jedną, ale za to ogromną prośbę. Wiecie już, że teren zajezdni nie jest dostatecznie chroniony. Wyjaśniliśmy to sobie jasno podczas pamiętnej „rozmowy” z panem Macińskim. Wprawdzie nie jest aż tak źle, jak wydawało mi się z rana, ponieważ przy wyjeździe od strony ulicy Krętej mamy całkiem solidną bramę, lecz wciąż pozostaje problem z frontem – świeżo odkrojonym kawałkiem jabłka wskazał widoczne za wagonami szczyty młodych topoli i czarne elewacje kamienic. – Nie wiem dlaczego, ale jeden z tamtejszych wjazdów stoi otworem. A właśnie na wprost niego stoi teraz setka, jeśli nie więcej, tych

przeklętych odmieńców... – Zamilkł, by odgryźć kawałek soczystego owocu. – Musimy coś z tym zrobić, jeśli chcemy tutaj pozostać – dodał z pełnymi ustami.

Uśmiechnął się, widząc, że mu przytakują. Wypoczęły, umyły się, poprzebierały. W niczym nie przypominały tamtych wystraszonych kur domowych, które tylko cudem przetrwały zetknięcie z chodzącą śmiercią.

– Co pan zamierza, panie Fabianie? – zainteresowała się stateczna kobieta, jedna z tych, których nie angażował we wcześniejsze działania.

– Zaraz do tego przejdę, pani Urszulo – zapewnił, posyłając jej szeroki uśmiech. – Proszę mi tylko dać przełknąć. – Roześmiały się, choć nieco nerwowo, jakby zaczynały przeczuwać, do czego zmierza. – Możemy zrobić tylko jedno – oznajmił po tym, jak oblizał sok z warg. – Trzeba ich odciągnąć jak najdalej od wejścia.



– Jak to: odciągnąć? – zapytała ponownie Marzec-Wróblewska.

– Tak to... Ktoś musi wyjść na ulicę, zwrócić na siebie uwagę tych bestii, a potem poprowadzić je w kierunku placu albo w tę

boczną uliczkę, której wylot znajduje się na wprost zajezdni.

– Jezusie! – pisnęła Zielińska. – Przecież to niemal pewne samobójstwo!

– Pełna zgoda – przyznał Sprycha, poważniejąc.

– Nie możecie tam iść! – dodała Klimecka, blednąc jak kreda.

– Pani Joanna jak zwykle ma rację – stwierdził, odkrawając kolejny kęs.

– Ale... – na twarzy Urszuli Marzec-Wróblewskiej pojawił się mars.

– Nie możemy tam iść, więc wpadłem na taki oto pomysł... – Zawiesił na moment głos. – Skoro jesteście naszymi dłużniczkami, poproszę o to was, moje drogie panie.

Zamilkły jak jedna, w momencie. Spoglądały na niego, jakby nie wierzyły własnym uszom.

– Nas? – szepnęła Zielińska, oglądając się bojaźliwie na stojących za nią mężczyzn – Jak to: nas?

– Normalnie. – Sprycha przyjrzał się jabłku, szukając miejsca, które mógłby jeszcze okroić, a gdy go nie znalazł, cisnął ogryzek na ziemię. – Będziecie wychodzić kolejno parami, dopóki ulica nie opustoszeje na tyle, abyśmy mogli uruchomić więźniarki i zablokować nimi trzecią bramę.

– To jakiś żart? – bąknęła stojąca na końcu po prawej Ewa Szala-Dąbrowska.

– Ależ skąd, szanowna pani. – Fabian zerwał się ze schodków. – W tym właśnie celu zostałyście wpuszczone do naszej zajezdni.

– Pan żeś chyba oszalał! – wydarła się Zielińska.

– Dlaczego pani tak sądzi? – zapytał, robiąc taką minę, jakby sprawiła mu zawód tym atakiem. – Przecież to jedyny sposób na zabezpieczenie naszej kryjówki, a jak słusznie zauważyła pani Urszula, wyjście na ulicę grozi niemal pewną śmiercią.

– Nie, nie. To musi być jakiś żart... – mamrotała blada jak kreda Lińska-Złoch.

– Zapewniam, pani Doroto, że jestem poważny jak pani grób.

Zamurowało je ponownie, ale tylko na moment. Potem odwróciły się jak na dany znak – i natychmiast trafiły na mur milczących mężczyzn, których miny, w odróżnieniu od uśmiechu

Fabiana, nie pozostawiały żadnych złudzeń. Stały więc tak, nie mając pojęcia, co począć, dopóki nie rozległ się głośny śmiech.

Wiciakowa rżała, aż jej oczy łzawiły, zupełnie jakby usłyszała znakomity kawał.

– Macie tych swoich zbawców, durne suki! – wychrypiała po chwili. – Pan Marcin miał nosa, kiedy mówił, że nie należy was wpuszczać. Że też go nie posłuchałam. A wy – wymierzyła palcem w Fabiana – wy nie jesteście żadnymi robotnikami kolejowymi. Oni noszą granatowe drelichy, a te wasze są szare jak więzienne ancugi.

– Brawo! – Sprycha nagroził ją prześmiewczymi brawami. – Przyzna jednak pani Weronika, że rozegrałam tę partię po arcymistrzowsku. Z nami byście nigdy nie gadały, ale mając przed sobą te niemalże Kochanowskie obrazy nędzy i rozpaczy... – zaśmiał się, choć nie tak głośno jak ona przedtem. – Widzicie, drogie panie, zawsze staram się być dwa, a nawet trzy kroki przed potencjalnym przeciwnikiem. Dlatego wciąż żyję.

– Nie ma takiej siły, która zmusi mnie do wyjścia za to ogrodzenie! – zapiszczała Zielińska, splunąwszy mu pod nogi. – Nie ma! Możecie mnie rozgrzanym żelazem przypalać, na pasy kroić...

– Nikt cię palcem nie tknie, muszko ty moja zadziorna – zapewnił ją ze słodkim uśmiechem Sprycha, kładąc dłoń na sercu. – Sama tam pójdziesz. Zrobisz wszystko, co ci każe.

– Ciekawe, czym mnie do tego zmusicie? – złożyła ręce na piersi i uniosła butnie głowę.

– To proste – odparł Fabian spokojnym, konwersacyjnym tonem. – Każda, która odmówi, będzie patrzyła, jak te potwory rozrywają jej dzieci, zanim sama podzieli ich los.

Teraz znów spoglądały na niego wszystkie. Z niedowierzaniem, przerażeniem, nienawiścią. Widział po ich oczach, że są gotowe na wszystko, skinął więc głową, dając chłopakom umówiony znak. Obezwładnili je, zanim którakolwiek zdążyła drgnąć. Chwycili od tyłu, wykręcili ręce, ten i ów pomógł sobie kopniakiem albo nożem. Fabian musiał odczekać, aż ucichną wrzaski i złorzeczenia. Kobiety, trzymane przez o wiele

silniejszych bandytów, na nic więcej nie mogły sobie pozwolić.

– Ty gnoju parszywy! Żebyś tak zdychał w bólach przez wiele dni! – chrypiała Zielińska mimo żelaznego chwytu Jakuzy. – Żeby ci...

Kolejny znak i Ulfing użył pięści, by zakończyć tę tyradę. Sprycha uprzedził swoich ludzi, że jeśli dojdzie do bicia, mają zachować umiar. Te kobiety były mu potrzebne całe i zdrowe, nie półprzytomne ani okaleczone. Lucyna zachwiała się po celnie wymierzonym ciosie, po czym padła na dopiero co opatrzone kolana, ale przytomności nie straciła. Darek chwycił ją natychmiast za gardło, a wykrecona mocno ręka ustawiła klęczącą kobietę do pionu.

– Jeszcze nie skończyłem. – Fabian przykucnął przed nią. – Zmusiłyście mnie tym obszczekiwaniem, abym przedstawił wam najpierw karę za odmowę, ale wyobraźcie sobie, moje drogie panie, że jest też nagroda! Każda z was, która wykona zadanie i przeżyje, będzie mogła wrócić po swoje dzieci i odejść z nimi. Macie na to moje słowo! – znów przyłożył dłoń do serca.

– Kłamiesz, draniu! – załkała Klimecka.

– Żebym tak zdychał całe dni w niewysłowionych bólach, jeśli kłamię – odparł, zachowując całkowitą powagę. Moment później podniósł się energicznie na nogi. – Ale dość już tego gadania. Bierzmy się do roboty. Na pierwszy ogień pójdą pani Ewa – wskazał Siarę-Sańpruch – i... – zawiesił głos, jakby musiał się zastanowić nad kolejnym wyborem – ...moja ulubienica, pani Urszula.

Wskazał te kobiety, które jego zdaniem miały najmniejsze szanse na przeżycie. *Poziom trudności zadania będzie rósł za każdą próbą, lepiej więc zachować na koniec te, które działają najwięcej.*

– Nie, błagam, nie! – Wyznaczone szamotały się, wrywały, ale z osiłkami pokroju Grzelaka i Szczygły nie miały najmniejszych szans.

Zaciągnęły je do furtki przy portierni od frontu, którą Sprycha mógł teraz otworzyć dzięki kluczom odebranych Macińskiemu. Pozostałe kobiety związane i usadzono w jednym z wagonów,

skąd mogły obserwować poczynania swoich koleżanek, a przynajmniej początkową ich część. Reszta chłopaków – prócz pilnującego ich Ulfiga i Magdziarka, który wciąż nie czuł się najlepiej – wdrapała się na dachy tramwajów, by mieć lepszy widok.

Fabian stanął przed zapłakanymi wybrankami, które na pierwszy rzut oka mogły uchodzić za siostry. Obie miały krótko ścięte włosy i pełne sylwetki, obie ryczały też z równie wielkim zacięciem, gdy złotowa i drwal zmuszali je do ukłęknięcia, aby wysłuchały ostatnich instrukcji szefa.

– Wasze zadanie polega na ściągnięciu jak największej liczby odmieńców w tę boczną uliczkę, której nazwy nie znam i nie zamierzam poznawać – wskazał pustą przestrzeń między narożnymi kamienicami. – Nie w stronę placu, nie w stronę dworca, tylko tam. Czy to jasne? – Gdy nie odpowiedziały, odwrócił się na moment, jakby chciał sprawdzić, co robią pozostali. To był umówiony znak. Wybrał Grzelaka i Szczyglę, ponieważ wiedział, że ci dwaj darzą płec piękną ogromną niechęcią, jeśli można to tak ująć. Jego bali się jednak bardziej, miał więc całkowitą pewność, że nie posuną się dalej, niż im pozwolił. Nie mylił się. Bili mocno, ale tak, by zostały tylko sińce. – Czy to jasne? – powtórzył, obojętnie się przyglądając ciemniejącym śladom na twarzach obu kobiet.

– Tak... – szepnęła najpierw jedna, a potem druga.

– Świetnie. Dam wam dobrą radę, kochane panie. Trzymajcie się chodnika po prawej, żeby te, które pójdą po was, jeśli zajdzie taka potrzeba, miały większe szanse przeżycia. Zrozumiano?

– Tak...

– Doskonale. W takim razie zapraszam na ulicę!

Skinął głową i obie zostały wypchnięte za furtkę, którą zatrzasnął za ich plecami z hukiem tak głośnym, że w otaczającej ciszy zabrzmiało to jak wystrzał.

– Nawet o tym nie myślcie – dodał, widząc, że Urszula zerka przez ramię w stronę niemal pustego teraz placu. – Jeśli zrobicie coś nie tak, Cangaceiro przywlecze tu wasze bachory. Poprzywiązujemy je do płotu i zwabimy do nich te bestie... –

Zawiesił głos, by ta wizja utrwaliła się w ich głowach. Zobaczyły Magdziarka dopiero teraz, gdy wyłonił się z hali. Jego zmasakrowana twarz wystarczyła do odebrania im resztek nadziei. – Zastanówcie się dobrze, co jest lepsze: zginąć, ratując życie najbliższych, czy umrzeć ze świadomością, że skazało się rodzone dzieci na okrutną śmierć?

Po tych słowach wycofał się z chłopakami aż pod wagony, by nie ściągnąć na siebie uwagi nieumarłych, gdyby coś poszło nie tak. Obserwując zachowania odmieńców, dość szybko bowiem zauważył, że ci zaczynają reagować na ludzi dopiero wtedy, gdy ktoś zbliży się do nich na odległość kilku metrów – bez względu na to, czy z przodu, z boku czy z tyłu. Przeprowadził też kilka eksperymentów, hałasując, ciskając rozmaitymi przedmiotami, a nawet stając w polu widzenia tych bestii. Wniosek mógł być tylko jeden: zarażeni, a raczej chodzące trupy, bo tym w istocie byli, nie widzieli, nie słyszeli i nie odczuwali bólu. Wyczuwali za to w niewiadomy sposób obecność wszystkiego, w czym tliło się życie. Na tej właśnie wiedzy Sprycha oparł swój plan.

– Cangaceiro! – zawołał, nie spuszczać wzroku ze znajdujących się wciąż przy furtce kobiet. – Jeśli te krowy nie ruszą się z miejsca w ciągu następnych pięciu sekund, przyprowadzisz mi ich bachory!

– Z przyjemnością. – Magdziarek charknął, odrywając się od burty tramwaju. – Nie obrazi się szef, jak będą troszku połamane?

– Jak ci pasuje, przyjacielu, byle żyły.

Ta krótka wymiana zdań wystarczyła, by zapłakane kobiety ruszyły w kierunku zbiegu ulic. Najpierw, trzymając się za ręce, potruczały pod ścianę kamienicy. Tam przystanąły, na moment tylko, by obejrzeć się bojaźliwie na zajezdnię. Pewnie chciały sprawdzić, czy Magdziarek nie opuścił posterunku. Widok jego sinofioletowej, obitej mordy musiał natchnąć je złudną nadzieją, ponieważ ruszyły dalej wzdłuż muru, skulone, czujne jak nie przymierzając, sanitariuszki z kronik powstania warszawskiego. Dotarły do rogu i znikły na chwilę z pola widzenia Fabiana, ale zaraz je znowu zobaczył, ledwie wspiął się na szczeble

podstawionej drabiny inspekcyjnej. Stały u wylotu ulicy za drugim starem, na samym środku kocich łbów, i zaczęły drzeć się wniebogłosy.

Głupie, nie wiedziały jeszcze, że odmieńcy ich nie usłyszą, ale wystarczyła chwila, by zrozumiały, że w ten sposób niewiele wskórają.

– Obstawia szef? – zapytał Nerynk, gdy Sprycha dołączył do chłopaków okupujących dachy tramwajów.

– Niby co mam obstawiać?

– Zakładamy się, którą dopadną pierwszą – wyjaśnił Paweł.

– Skoro tak, stawiam na... panią Urszulkę.

– Coś czuję, że nieźle się dzisiaj obłowię – zarechotał Kaczmarek.

– Niby dlaczego?

– Bo tylko ja i Perek postawiłem na tą drugą. Szef patrzy – wskazał głową ulicę.

Obie kobiety właśnie podchodziły wolno do zgromadzonych przy ciężarówce nieumarłych. Strzelały przy tym oczami na wszystkie strony, jakby się spodziewały, że z bram wypadnie na nie druga taka horda. Wokół panował jednak bezruch i niemal kompletna cisza. Zarażeni nie wydawali żadnych dźwięków, jeśli nie liczyć szurania, z jakim poruszali się po bruku, i okazjonalnych łomotów, gdy padali, potykając się o własne nogi albo o krawężnik.

Nagle Ewa zamarła, chwyciła Urszulę za rękę i pociągnęła ją w tył.

– Co ty robisz, larwo jedna! – wydarł się Grzelak. – Podrzucić ci do towarzystwa synalka?!

Odpowiedział mu zgodny rechot, ale chyba go nie usłyszała, a może puściła tę groźbę mimo uszu. Nadal powstrzymywała szarpiącą się towarzyszkę niedoli, coś jej tłumacząc, wskazując w głąb ulicy. Urszula pokręciła głową, odwarknęła coś krótko, po czym wyrwała się z niezbyt mocnego uścisku i zrobiła zdecydowany krok w stronę odmieńców.

– Zuch-dziewczynka! – pochwalił ją Nerynk, sprzedając kuksańca złodziejowi. – Patrzaj i żałuj.

– Nie bądź taki Szybki Bill – ofuknął go poirytowany Tomasz.

Sytuacja nie rozwijała się po jego myśli. Bardziej aktywna, a co za tym idzie, rezolutniejsza była w tym momencie Marzec-Wróblewska. I to ona mogła dłużej wytrzymać, jeśli tak dalej pójdzie.

Zarażeni wyczuli już obecność kobiet. Ci stojący na zewnątrz kręgu obracali się jak figurki na źle zmontowanej pozytywce. Chwiejnie, zrywami, młóćąc powietrze rozczapierzonymi rękami. Rząd za rzędem ruszały ku wylotowi bocznej ulicy.

– Stójcie... Wytrzymajcie jeszcze chwilę... – mamrotał Nerynk. Pozostali też coś tam mruczeli pod nosem.

Ekscytacja tą chwilą udzieliła się także Fabianowi. Skazane na porażkę baby miały szansę go zadziwić. W ich kierunku człapało już ze trzydzieści bestii. *Oby nie skrewiły. Oby... No nie!* W chwili gdy to pomyślał, obydwie naraz zaczęły się cofać. Jeszcze moment i zerwały się do ucieczki. Bez tobołów i dzieci były o wiele szybsze od niemrawych zombie, bez trudu więc oderwały się od pogoni. Odmieńcy najpierw opuścili łapy, a potem znów się zatrzymali. Tylko dwóch dreptało dalej, chyba siłą rozpędu.

– Wracać mi tam! – wydarł się Sprycha, przykładając dłonie do ust. – Bo jak nie... – Prawą ręką wskazał willę.

Musiały usłuchać i zrobiły to, ale tym razem ich podchody nie przyniosły efektu. Zarażeni nie tworzyli już zbitego tłumu, dlatego nie były w stanie pociągnąć za sobą aż tylu jak za pierwszym razem. *Dobre i to*, uznał jednak Fabian, pamiętając, że ma jeszcze pięć przynęt, a może nawet osiem, jeśli uda mu się złamać pozostałe baby.

Tymczasem odmieńcy podjęli pościg. Ewa i Urszula mimo nerwów i z trudem powstrzymywanej paniki pamiętały o wydanych im instrukcjach. Ściągnęły leżące ich śladem bestie w pobliże prawego chodnika, a im dalej odchodziły od skrzyżowania, tym większa część jezdni pozostawała wolna.

– Szef widzi to co ja? – Nerynk kręcił z niedowierzaniem głową. – Jeszcze mo...

Zamilkł w pół słowa, gdyż w bocznej uliczce doszło nagle do zamieszania. Obie kobiety, wycofujące się wzdłuż poczerńiałej,

poznaczonej bliznami przestrzelin ściany, nagle podskoczyły, jakby zobaczyły diabła gorszego nawet od Sprychy. Znajdująca się bliżej kamienicy Urszula wpadła na towarzyszkę, przewróciła ją w próbie ucieczki na środek ulicy. Nie miała jednak najmniejszych szans; padła jak długa, potykając się o rękę leżącej już na chodniku Ewy. W tej samej chwili stało się jasne, co jest przyczyną tego zamieszania. Z mijanej bramy wyszła chwiejnym krokiem dziewczynka, nie mogła mieć więcej niż dziesięć lat. Jeden z jej złotych warkoczków wisiał o wiele niżej niż drugi – razem z płatem oderwanej skóry – a niemal cały fartuszek pokrywała warstwa zakrzepłej krwi.

Ewa jej nie widziała. Właśnie opierała się dłońmi o płyty chodnika, próbując wstać. Pisnęła więc tylko cienko, gdy martwe dziecko wpiło się w nią jak spragniona pieszczoł pociecha. Tyle że w tym wypadku nie chodziło bynajmniej o przytulanie. Wystarczyło parę uderzeń serca, by całkiem porządnie zbudowana kobieta zwiotczała jak balon, z którego spuszczone powietrze, i wyrznęła na twarz.

– I co na to powiecie, leszcze? – zaśmiał się Kaczmarek, fetując zwycięstwo.

– Szefie! – Nerynk wskazał palcem ulicę.

Sprycha spojrział za płot. Urszula gnała w stronę zajezdni, nie bacząc, że zwraca na siebie uwagę wywabionych odmieńców. Na jej i Fabiana szczęście była zbyt szybka, żeby zdążyli podjąć za nią pościg.

– A ty co?! – wrzasnął, gdy zaczęła dobijać się do furtki.

– Zrobiłam swoje! – odkrzyknęła. – Wpuście mnie!

– Zrobiłaś swoje? Chyba cię pogięło, kobieto! Wracaj na ulicę i odciągnij te bestie, jak ci kazano!

– Zrobiłam swoje! – upierała się Marzec-Wróblewska.

– O tym, czy robota jest wykonana, ja decyduję, nie ty! – wycedził, czując narastającą złość.

– Ona ją zabiła! Na moich oczach... Wpuście mnie! Zrobiłam swoje!

– Cangaceiro! – rzucił Sprycha, schodząc po drabinie.

– Robi się, szefie! – Magdziarek ruszył do hali.

– Ostatni raz mówię, wracaj na ulicę! – Fabian przeniósł wzrok na kobietę.

Leżała teraz pod furtką, trzymając się kutych płaskowników, i płakała. Nie ruszyła się, dopóki Cangaceiro nie wrócił, ciągnąc za sobą obu jej synów. Dopiero gdy usłyszała ich wrzaski, podniosła się na tyle, by uklęknąć.

– Nie chcę od was nic więcej – mamrotała przez łzy. – Oddajcie mi tylko dzieci. Pójdziemy tak jak stoimy, tylko mi je oddajcie.

Sprycha wskazał odmieńców kłębiących się przy ciężarówkach.

– Wracaj do roboty!

– Zrobiłam, co kazaliście! Odciągnęłam te potwory!

– Za mało i za blisko! – skontrował.

– One mnie zabijają, jak Ewę! – skamlała.

– Jeśli natychmiast się nie ruszysz, my zabijemy twoje dzieci – zagroził, lecz ona nie podniosła się z klęczek. – Myślisz, że blefuję?

– Litości...

Nie oglądając się, skinął na Magdziarka. Wrzaski dzieciaków wzmogły się, doszedł też do nich skowyt kobiet zamkniętych w tramwaju. Wszystkie błagały go, by przestał, ale miał to gdzieś. Gdyby teraz odpuścił, żadna nie wykonałaby zadania. Nadeszła pora, by dać im naukę. Lekcję, którą zapamiętają do końca życia. Rychłego końca.

– Grzelak! Szczygło! – przywołał najsilniejszych z grupy, po czym sięgnął po klucz.

Wypadli na zewnątrz, zanim Urszula zdążyła się pozbierać. Chwycili ją za ręce i powlekli w stronę najbliższego stada. Zatrzymali się ponad dwadzieścia metrów od skraju tłumu zarażonych, kilka razy dalej niż było trzeba, w miejscu, z którego będzie miała doskonały widok na egzekucję. Cangaceiro w tym samym czasie zaciągnął pobitych i skrępowanych sznurem chłopców pod samo ogrodzenie. Odarł ich z koszul, przywiązał do krat, także w pewnej odległości od zarażonych, by nie wyczuli go za wcześnie, a gdy skończył, spojrział wyczekująco na Fabiana.

Marzec-Wróblewska widziała te przygotowania. Rozumiała, czemu służą. W żelaznym chwycie dwu par męskich rąk nie

mogła nawet drgnąć, błagała więc:

– Pójdę! Pójdę! Zrobię, co każecie, tylko ich puście!

– Za późno – odpowiedział uprzejmym tonem Sprycha. – Ostrzegałem, ale nie chciałaś słuchać, dlatego posłużysz za przykład dla pozostałych.

Machnął ręką.

Magdziarek podszedł bliżej tłumu. Na tyle blisko, by odmieńcy go wyczuli, ale zanim zdążyli zareagować, odskoczył. Powtórzył ten manewr trzykrotnie, zanim udało mu się wyłuskać jedną bestię. Poprowadził ją wzdłuż płotu ku związanym dzieciakom, a gdy зараżony wyczuł je, po prostu się wycofał.

Grzelak i Szczygło z trudem przytrzymywali głowę szarpiącej się matki, zmuszali ją, by patrzyła do samego końca, choć niewiele mogła zobaczyć przez rześiste łyzy. Za to doskonale słyszała, jak Władzio i Kazio ją wołają. Wszystkie to słyszały, ponieważ zamilkły na długo przed tym, nim postać w zakrwawionym więziennym stroju – Sprycha rozpoznał w niej jednego z uciekinierów, niejakiego Piaseckiego – przyczłapała do miejsca, w którym złożono jej ofiarę. Trochę to trwało, ale w końcu sine łapy znalazły dostęp do wijącego się za płotem ciała. Krew trysnęła z rozorywanych pazurami ran. Odmieniec był tak silny, że bez trudu wrywał całe garście delikatnych tkanek. Gdy skończył ze starszym bratem, zaczął dobierać się do kwilącego cicho młodszego.

– Masz, co chciałaś! – warknął Fabian, gdy odrażająca egzekucja dobiegła końca, a Cangaceiro odciągnął martwego git-człowieka bliżej hordy. – Puście ją!

Złotowa i drwal pchnęli półprzytomną kobietę na bruk, a sami wycofali się pośpiesznie za furtkę. Urszula została tam, gdzie upadła. Nie miała sił ani chęci uciekać. Sprycha spojrzał na poblądłe twarze reszty kobiet. Jeden rzut oka wystarczył, by zrozumiał, że żadna z nich już mu się nie sprzeciwi.

– Wiciakowa i Zielińska! – wywarczał dwa kolejne nazwiska.

Przyciągnięto je do jego stóp, pod furtkę, by mógł wyjaśnić, czego od nich oczekuje.

– Dokończycie robotę za te idiotki. Macie odciągnąć zwabionych

przez nie odmieńców dalej w głąb ulicy. Aż za tę wyrwę po prawej – wskazał miejsce, gdzie brakowało wyburzonej kamienicy. – Potem wróćcie szybko, trzymając się lewej strony, żeby za wami nie poleźli, i wykonacie swoje zadanie. Macie zebrać jak najwięcej tych pokrak i poprowadzić je lewą stroną, mniej więcej na tę samą odległość.

– A którędy wrócimy? – zapytała blada jak kreda Weronika.

– Wasza sprawa. Możecie obejść ten kwartał od strony placu albo tamtędy, od bunkra, jak wolicie. Ale jeśli sprowadzicie tutaj choćby jednego odmieńca... – Wskazał palcem na wijących się przy płocie odmienionych chłopców Urszuli.

Same wyszły za furtkę. Nie guzdrały się także jak poprzedniczki. Zatrzymały się tylko na moment przy leżącej wciąż na bruku Marzec-Wróblewskiej, lecz odtrąciła je gniewnie, jakby dobrowolnie współpracowały z diabłami, które zamordowały jej dzieci.

Sprycha tymczasem zajął swoje miejsce na dachu tramwaju.

– Którą teraz szef obstawia? – zapytał natychmiast Nerynk.

Decyzja nie była równie łatwa jak przedtem.

– A ty którą wybrałeś? – Fabian spojrzał na Kaczmarka.

– Nie powiem, bo wszyscy by na nią stawiali, a to zabawa przecież.

– Co racja, to racja. Niech będzie, że wybieram tę tam, Weronikę. Nasza Lucynka dużo więcej przeszła, kiedy tamta siedziała od nocy w ukryciu. No i zna lepiej teren, skoro mieszkała gdzieś tu w pobliżu – przypomniał sobie słowa Macińskiego.

Reszta zakładów rozłożyła się mniej więcej pół na pół. Złodziej i Perek, jako wygrani poprzedniej tury, typowali ostatni. Obaj zgodnie postawili na Zielińską.

Pierwsza część zadania była względnie prosta. Weronika i Lucyna widziały, co wydarzyło się w bocznej ulicy, zatem robiły wszystko, by uniknąć błędu poprzedniczek. Trzymając się krawężnika, poprowadziły grupkę odmieńców dwie bramy dalej, potem przebiegły na drugą stronę jezdni i szybkim truchtem wróciły na skrzyżowanie. Były młodsze, sprawniejsze i co

oczywiste, bardziej zdeterminowane od Ewy i Urszuli, udało im się więc pociągnąć za sobą prawie dwa razy tyle bestii. Zarażeni szli za nimi jak owce za pastuchem. Ani razu nie zagrozili rezolutnym matkom. Nie spodobało się to chłopakom, którzy przez cały czas gwizdali i kłęli, widząc, jak sprawnie przebiega ta część akcji.

Druga grupa znalazła się na wyznaczonym miejscu niespełna trzy minuty później, po czym Wiciak i Zielińska oderwały się od pogoni i środkiem opustoszałej jezdni pognały w stronę przeciwnego wylotu ulicy. Zanim jednak zdążyły przebiec pierwsze czterdzieści, pięćdziesiąt metrów, Nerynk poderwał się na równe nogi.

– Patrzcie! Patrzcie!

Zawiedzeni brakiem emocji bandyci zmrużyli oczy. Na ulicy, którą wskazywał Paweł, brakowało tylko dwu kamienic: tej, za którą kobiety zaprowadziły pierwszą grupę zarażonych, i jeszcze jednej, znajdującej się jakieś sto metrów dalej po tej samej stronie. Właśnie z tamtej szczyby wybiegł przed momentem pies. Zwykły kundel, choć całkiem spory, biało-rudo-czarny. Wypadł na chodnik, obejrzał się strachliwie raz i drugi, po czym podkulił ogon i wolnym truchtem ruszył uciekającym kobietom naprzeciw. Dostrzegły go niemal natychmiast i zatrzymały się pośrodku jezdni, nie wiedząc, co robić. One także nie miały pewności, czy zwierzę nie jest zarażone.

Sprycha zagryzł nerwowo wargę. Przy odrobinie szczęścia mógł zyskać odpowiedź na dość ważne pytanie, które nie dawało mu spokoju od paru godzin. Mniej więcej od chwili, gdy zauważył gawrona, który parę minut po zdobyciu willi przysiadł na lusterku trzeciego stara. Łapy martwych natychmiast wyciągnęły się do ptaka, ale był dla nich za szybki, wzbił się w niebo, skrzecząc z wyrzutem, zanim zdołali go pochwycić.

Wtedy właśnie Fabian sobie uzmysłowił, że od rana nie słyszał ptasich treli. Nie widział też choćby jednego psa czy kota, mimo że zawsze sporo tych zwierząt błąkało się po mieście. Gdy zaczął się nad tym głębiej zastanawiać, poczuł nawrót strachu. Zadbał o to, by znaleźć schronienie przed ludźmi, ale co będzie, gdy trafi

na odmienione zwierzęta? Każdy zarażony ptak dopadnie go bez trudu, jak tylko wystawi nos poza zabudowania. Każdy szczur przedostanie się z łatwością do wnętrza budynków zajezdni. Nie mówiąc już o muchach i komarach... Trzasnął się otwartą dłonią w kark, kiedy poczuł znajome swędzenie.

Ten pies mógł dać mu odpowiedź, czy wszystko, co zrobił do tej pory, miało jakikolwiek sens.

– Kurwa mać – jęknął Grzelak.

Z bardziej oddalonego prześwitu między kamienicami wynurzyła się horda odmieńców. Co najmniej setka ich dreptała za skamlącym kundlem, który nie uciekał jak powinien, tylko kręcił się niezdecydowanie, uskakując przed napastnikami w ostatniej chwili. Wystarczyła chwila, by bestie zablokowały wylot ulicy i znajdujące się na niej kobiety, które – co tu dużo mówić – trafiły między przysłowiowy młot i kowadło.

Za plecami miały tych, których wyprowadziły ze Słowiańskiej, przed sobą dwa razy liczniejszy tłum ścigający psa. Jedyne, co mogły zrobić w tej sytuacji, to szukać schronienia w budynkach. Rozdzieliły się więc, próbując szczęścia w przeciwległych kamienicach. Niestety wszystkie bramy, do których się dobijały, były na głucho zamknięte. Sprawdziły ponad dwie trzecie dostępnych wejść, aż w końcu Weronika pisnęła radośnie, a potem przywołała towarzyszkę niedoli. Zniknęły w mroku klatki schodowej, ale tylko na moment. Zaraz wypadły ponownie na sam środek jezdni. Wiciakowa chwiała się jak ogłuszona albo pijana.

– Chyba nadziała się po ćmaku na jakiegoś miglanca – zarechotał Nerynk, czując wygraną.

Weronika jednak, podtrzymywana przez koleżankę, powoli dochodziła do siebie. Pies był już tylko dwadzieścia kroków za nimi, idący jego tropem zarażeni parę metrów dalej. Musiały się więc cofnąć i zrobiły to, aby zyskać parę cennych sekund. Nawet z tej odległości można było zobaczyć, że naradzają się po drodze, jakby próbowały podjąć decyzję. Wielkiego wyboru nie miały. Najrozsądniejsza, z ich punktu widzenia rzecz jasna, była próba przemknięcia między dwiema mniej licznymi grupami

odmieńców. Wolny pas jezdni liczył jednak nie więcej niż dwa metry szerokości, a musiałyby go pokonać, zanim te potwory je wyczują, co na tym dystansie wydawało się niemożliwe.

Mimo to zaryzykowały. Chłopcy widzieli, jak się zegnają znakiem krzyża, a potem ruszają sprintem nisko pochylone. Dwa ludzkie pociski, zdeterminowane, by przebić się przez mur śmierci.

– Dajesz, Lucyna – emocjonowali się ci, którzy obstawili śmierć Wiciakowej.

– We-ro-ni-ka! We-ro-ni-ka! – darli się pozostali.

Zarażeni wyczuli je, gdy znalazły się dziesięć kroków od czoła hordy. Zareagowali jak zawsze, ale byli zbyt wolni i łapska najbliższych smagnęły powietrze tuż za plecami biegnących kobiet. Ci z tylnych szeregów mieli sekundę więcej na reakcję. Wystarczyło, że ten i ów musnął uciekinierki palcami. W połowie dystansu zaczęły tracić rytm. Pierwsza upadła Zielińska. Weronikę obsiedli mgnienie oka później. Wyrwa pomiędzy dwiema grupami uległa zamknięciu, tak więc kundel też nie miał najmniejszych szans. Kręcił się bezradnie przed ławą nadchodzących odmieńców, aż sam zniknął w kłębowisku szarych ciał.

– No, rebiata, pan wygrał po raz drugi! – Kaczmarek nie krył radości.

– Kogo teraz posyłamy? – zainteresował się Grzelak.

– Teraz to zrobimy sobie krótką przerwę – odparł Fabian, nie spuszczać wzroku z bestii kłębiących się w bocznej ulicy.

Czekał, aż pożerający nowe ofiary zarażeni się uspokoją. Chciał sprawdzić, czy zabity pies powstanie z martwych jak Zielińska i Wiciakowa. Niestety tłum odmieńców był zbyt gęsty, by dało się dostrzec niewielkie zwierzę. Fabian zwlekał jeszcze przez kwadrans, ale w końcu poczuł się zmuszony wydać kolejny rozkaz.

Miał do dyspozycji tylko trzy kobiety, a po Słowiańskiej kręciła się wciąż prawie połowa odmieńców zwabionych tam przez próbujących ucieczki więźniów. Na półprzytomną Urszulę nie mógł liczyć, co więcej, zaczynał się zastanawiać, czy nie będzie

mu zawadą. Na razie nie wybudziła się z letargu, w jaki zapadła po egzekucji, ale kto wie, co jej strzeli do głowy, gdy dojdzie do siebie. Jej nieprzemyślana interwencja mogła zniweczyć misterny plan.

– Cangaceiro.

– Tak, szefie?

– Pozbądź się tej suki – wskazał leżącą na bruku kobietę.

– Mogę? – Magdziarek wyszczerzyłyby zęby, gdyby nie opuchnięta gęba.

– Możesz. Ale nie na ulicy. Zaciągnij ją tam – wskazał piaskownicę za pobliską, remontowaną kamienicą.

– Jasne.

– I uważaj. Wiesz, czym dzisiaj grozi kontakt z trupem.

– Luzik, szefie. Nie tknę gadziny palcem – podrzucił w dłoni ciężki młotek.

– Tylko nie przesadzaj. Mamy robotę.

Tym razem Magdziarek nie odpowiedział. Wyszedł szybkim krokiem za ogrodzenie, zbliżył się do leżącej wciąż na bruku Marzec-Wróblewskiej, obwiązał jej nogi konopnym sznurem i powłókł ją za sobą. Nie opierała się z początku – wciąż była w szoku po stracie ukochanych dzieci – ale im dalej ją od nich odciągał, tym bardziej się ożywiała. W końcu rozczapierzyła dłonie, jakby dotarło do niej, co zamierza z nią zrobić. Zdierała paznokcie o granitowe kocie łby, szukając punktu oparcia, lecz była za słaba, by przeciwstawić się bezwzględnemu bandziorowi. Spowalniała go jednak tym szarpaniem, przez co zanim dotarł do krawężnika, odwinął się i przyłożył jej młotkiem po żebrach. Zwiotczała w momencie, ale to mu nie przeszkodziło unieść ręki do kolejnego ciosu.

– Cangaceiro! – ostrzegł go Fabian, przejmując się nie tyle losem bitej, ile kłopotem, jaki może mieć, jeśli ta zginie zbyt blisko zajezdni.

Magdziarek opuścił wzniesioną do ciosu rękę, choć uczynił to naprawdę niechętnie. Rozleniwieni gangsterzy spoglądali ze znużeniem, jak ich kompan wciąż na wpół przytomną Urszulę na chodnik, a potem wlecze po ziemi i trawie do piaskownicy.

Wrzucił ją do wnętrza zbitego z desek kwadratu, nogą obrócił na brzuch, po czym przyklęknął, by kolejnym kawałkiem sznurka spętać jej dłonie. Szarpnęła się, gdy kończył, ale to nie mogło już niczego zmienić. Usadził ją ponownie jednym mocnym szarpnięciem, wyjął z kieszeni spodni worek. Zwykły, jutowy, w jakim trzymano piasek do tramwajowych hamulców. Założył go na głowę kobiety, wyprostował plecy i sięgnął po wetknięty za pas młotek. Szybkie uderzenie w ciemność dopełniło kaźni. Nawet z tej odległości dostrzegli ciemną plamę rozlewającą się szybko po złotawej tkaninie. Cwaniak wiedział, co zrobić, by krew nie bryzgnęła na niego. Drugi cios, z oburęcznego wymachu, Cangaceiro zadał leżącej już na piasku ofierze. Trzecie i kilka następnych posłużyło li tylko do rozładowania przepełniającej go frustracji.

– Do nogi, psie! – wrzasnął Sprycha, widząc, że Magdziarek za bardzo daje się ponieść emocjom. – Już!

Gdy Cangaceiro opuścił ciężkie, ale wciąż czyste narzędzie, Fabian podszedł do przednich drzwi wagonu, w którym przetrzymywano pozostałe kobiety.

Wodził wzrokiem po ich wylęknionych twarzach nie dlatego, że chciał im napędzić jeszcze większego strachu. Potrzebował chwili na zastanowienie. Posłanie na ulicę kolejnej pary odpadało. Odtąd kobiety będą musiały działać w pojedynkę.

– Ty! – wskazał Dorotę Lińską-Złoch, po czym obrócił się na pięcie i ruszył w stronę furtki.

– Szefie, jakże to tak?! – zawołał z dachu Nerynk. – Sama jedna ma tam iść?

– A co, żal ci się jej zrobiło? – wychrypiał spocony Magdziarek, który właśnie wślizgiwał się na teren zajezdni.

– No co ty – obruszył się Paweł. – Zakłady nam diabli wezmą.

– Zawsze możesz iść z nią, nie, chłopaki?! – rzucił przez ramię Sprycha.

Zarechotali, zachęcając nożownika z Kędzierzyna do wzięcia udziału w rywalizacji.

Cangaceiro przejął wypchniętą przez Ulfiga kobietę, zaciągnął ją do furtki i tam poczekał, aż herszt wyda nowe instrukcje.

– Wywabisz tych drani w boczną uliczkę... – zaczął Fabian.

– Ale tam już...

– Nie przerywaj mi, suko! – warknął. – Nie przejmuj się tamtymi. Swoich zaprowadzisz bliżej, mniej więcej na początek pierwszej wyrwy, albo nie, niech wleżą w szczerbę między kamienicami. Mają mi zniknąć z oczu, jasne?

Przytaknęła skwapliwie. Błyskawicznie zrozumiała, że ma o wiele łatwiej niż poprzedniczki. To tylko pięćdziesiąt, sześćdziesiąt metrów od Słowiańskiej i droga powrotu będzie czysta. Była pewna, że da radę, i właśnie ta pewność ją zgubiła.

Zaczęła całkiem dobrze. Wywabiła spomiędzy ogrodzenia zajezdni i stara prawie trzydziestu odmieńców. Wycofywała się powoli, nieco tylko szybciej od nich, przystając co chwilę, by żaden z prowadzonych nie zawieruszył się po drodze. Zerkąła przez ramię od czasu do czasu, by sprawdzić, czy na ulicy za nią nie pojawił się jakiś zarażony. Miała szanse, ogromne szanse na wykonanie zadania, ale... Nagle, nie wiadomo dlaczego, rozległ się dziwny dźwięk, jakby nieopodal odpalono całą serię niewielkich ładunków wybuchowych. Było to tak zaskakujące, że zarówno Dorota, jak i obserwujący ją mężczyźni zamarli na moment, zerkając lękliwie w stronę źródła tych huków, które znajdowało się gdzieś na południowy wschód od zajezdni. Pech chciał, że bestie nie kierowały się wzrokiem ani słuchem i ta sekunda wahania wystarczyła, by dopadły przynętę, zanim ta zdążyła oprzytomnieć. Nie pomogła próba odskoczenia w tył – wysoki krawężnik, znajdujący się tuż za Lińską-Złoch, a przeoczony w panice, dopełnił dzieła.

– Pani Klimecka! – Sprycha nie czekał tym razem z wyborem.

– Jak pan może, panie Fabianie – wysapała Joanna, gdy Cangaceiro przywłókł ją do furtki. – Przecież my też jesteśmy ludźmi.

– Kto ci, muszko, takich bredni naopowiadał? – zaśmiał się, szczerze rozbawiony jej słowami. – Spójrz tam. – Wskazał palcem na dachy pobliskich tramwajów. – To są ludzie. Git-ludzie. Ty, one i cała reszta mieszkańców tego zawszonego miasta to tylko robactwo, któremu pozwalamy żyć, byśmy mogli zaspokajac

nasze żądze. Spłodzono was, by tacy jak ja, Cangaceiro, Jakuza, a nawet Młody mieli kogo okradać, napadać, zabijać. Człowiekiem się nie rodzisz, człowiekiem możesz zostać, ale niewielu to jest dane. Dobrze mówię?! – podniósł głos, odwracając się w stronę chłopaków.

– Sie wie! – odkrzyknęli zgodnie, radośni i spokojni, jakby obserwowali nie zmagania na śmierć i życie, lecz dzieci bawiące się w berka.

– Ty... ty... – sapała Klimecka, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów.

– Daj sobie spokój, i tak mnie nie obrazisz – zadrwił z niej. – Choć wkurwić możesz, a wtedy... – Uśmiechnął się lubieżnie. – Pamiętaj, kogo mamy w willi.

– Przysięgałeś, draniu, że palcem ich nie tkniecie!

– I podtrzymuję to, co powiedziałem – zapewnił ją. – Zauważ jednak, muszko, że nie poruszaliśmy tematu wyprowadzania nas z równowagi, a ty zaczynasz mnie irytować tym pyskowaniem. Zrozumiano?

Spojrzała na niego bykiem, ale po kilku sekundach spuściła wzrok.

– Won na ulicę – popchnął ją w stronę furtki. – Dokończ robotę tej idiotki, a potem poprowadź swoją grupę pod kamienicę przed bliższą wyrwą.

Spokorniała, gdy tylko znalazła się za ogrodzeniem. Pokazówka z dziećmi Urszuli wystarczyła, by wzięła sobie groźby do serca. Szła ze spuszczoną głową ku zarażonym, którzy przed momentem rozszarpali jej poprzedniczkę. Prezentowała postawę całkowicie odmienną od niespodziewanego entuzjazmu Doroty. Nie wróżyło to najlepiej, ale co było robić – Fabian musiał się na nią zdać, ponieważ na ławce rezerwowych została już tylko jedna kobieta.

Joanna zachowywała dużą ostrożność, nie podchodziła za blisko i błyskawicznie odskakiwała, co oznaczało, że zanim dotrze do wyrwy, zostawi za sobą sporą część odmieńców zwabionych przez Lińską-Złoch. Zarażeni nie tworzyli bowiem zwartej grupy, a ona, mimo poleceń wykrzykiwanych z terenu zajezdni, nie

umiała ich ponownie zebrać do kupy. Im bardziej chciała naprawić początkowy błąd, tym bardziej jej się rozłazili. Głównie dlatego, że zbyttno się ich bała. W końcu chodzące trupy zajęły niemal połowę jezdni, a od wyrwy pomiędzy kamienicami dzieliło je wciąż ponad trzydzieści metrów.

– Co ona wyprawia? – żółdkował się Perek. – Spieprzy nam cały plan.

– Cangaceiro, skocz po jej córnię. – Magdziarkowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. – Tylko nie znęcaj się nad nią, jak nad tamtymi smarkami! – ostrzegł go Fabian. – Ma wyglądać na nietkniętą!

– A jak się będzie opierać?

– To jej przyłoż w dupę, jak kiedyś swoim pociechom – poradził mu Nerynk.

– Tylko nie młotkiem! – dorzucił Grzelak.

Z góry dobiegły radosne rechoty. Magdziarek zareagował na nie pogardliwym gestem.

– Sprężaj się tam! – zawołał za nim Sprycha. – A wy zawrzyjcie te parszywe gęby. I niech mi któryś przyniesie z warsztatu kawał sznura od pantografu. Tak ze cztery, pięć metrów.

Morawiec, szturchany przez starszych kompanów, śmignął na drabinę.

Cangaceiro wrócił zdyszany chwilę po Młodym, wlekąc za sobą zapłakaną, ale wyglądającą poza tym na nietkniętą Anastazję.

– Do płotu z nią? – zapytał.

– Nie. Dawaj ją tutaj, na górę.

Fabian musiał zmotywować tę kobietę. Egzekucja dziecka nie wchodziła w grę, ponieważ przykład Marzec-Wróblewskiej wskazywał dobitnie, że tak surowa kara wyłączyłaby ją z gry. Postanowił więc, że skłoni Klimecką do większej uległości w inny sposób.

– Szanowna pani Joanno! – wydarł się, przykładając dłonie do ust, gdy wszystko było już gotowe.

Klimecka usłyszała go, odskoczyła na bezpieczną odległość od trójki odmieńców, których próbowała ściągnąć w głąb ulicy, i zamarła, widząc córkę stojącą na skraju dachu tramwaju

z grubą pętlą na szyi. Koniec liny, przerzuconej przez kabel trakcji, trzymało kilku bandytów.

– Nie! – wrzasnęła tak przeraźliwie, że nawet Sprychę przeszły ciarki.

– Albo zacznie pani robić co trzeba i jak trzeba, albo... – popchnął dziewczynkę na tyle mocno, że straciła na moment podparcie, zamajtała związanymi nogami w powietrzu, charcząc i wybałuszając oczy, lecz po wykonaniu jednego wahnienia wróciła, a on chwycił ją za włosy i wciągnął ponownie na dach. – Pani wybór!

Joanna stała jeszcze przez moment, jakby widok wiszącej córki pozbawił ją zmysłów, ale zaraz wzięła się w garść. Fabian wiedział, co robi. Zagranie na matczynych uczuciach czyniło cuda. Teraz Klimecka poczyniała sobie agresywniej, choć daleko jej jeszcze było do brawury Urszuli, którą notabene teraz musiała zwabić w głąb ulicy razem z winnymi jej przemiany zarażonymi.

Sprycha uśmiechnął się pod nosem. Niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Trochę to trwało, ale pierwsza grupa trafiła wreszcie do wyrwy między kamienicami, tam gdzie chciał ją mieć. Wtedy zdyszana Joanna wróciła sprintem do stara, by wykonać przydzielone jej zadanie.

Na Słowiańskiej zostało około czterdziestu odmieńców. Część stała między płotem zajezdni a burtą więźniarki, reszta znajdowała się za wozem, przez co wygarnięcie wszystkich za jednym zamachem nie było możliwe. Klimecka postanowiła zająć się tymi drugimi, gdyż to zadanie wydało jej się łatwiejsze. Niestety nie przewidziała, podobnie jak Fabian, że wykonując ruch w ich stronę, ściągnie uwagę córki na płot i przywiązanych do niego synów Marzec-Wróblewskiej.

Anastazja, która do tej chwili stała na samym skraju dachu, dysząc ciężko, jakby przechodziła atak astmy, nagle zamarła. Szukając wzrokiem matki, dostrzegła przy ogrodzeniu dwie wijące się, półnagie, ale znajome sylwetki. Rozpoznała twarze chłopców, z którymi bawiła się nie dalej niż pół godziny temu. Zobaczyła rozległe rany na ich obnażonych torsach, siną skórę, krew i połyskujące wnętrzości, które podrygiwały z każdym

spazmatycznym ruchem nieumarłych ofiar wcześniejszej egzekucji.

Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, przerażona dziewczynka wydała z siebie tak przenikliwy pisk, że zawstydziła tym nawet swoją matkę. Każdy, kto nie był kompletnie głuchy, wbił w nią natychmiast wzrok, zrobiła to także – na swoje nieszczęście – Joanna. Atak paniki córki zaskoczył ją w chwili, gdy wywabiała sporą grupę zarażonych. Zapomniawszy o wszystkim innym, zamarła, kierując wzrok w stronę tramwajów. Była przekonana, że Sprycha znów krzywdzi jej dziecko, może nawet je zabija.

Trudno powiedzieć, czy zdążyła poczuć ulgę na widok bezpiecznej Anastazji. Odmieńcy nie dysponowali ani wzrokiem, ani słuchem. Kierowali się zupełnie innym zmysłem, prac bez ustanku tam, gdzie wyczuwali tłące się życie. A jedynym jego źródłem w ich zasięgu była w tym momencie oniemiała matka. Wyrwała im się, wracając do przytomności, ale tylko po to, by upaść na chodnik metr dalej. Tam już została, przywalona kilkunastoma ciałami, do samego końca słysząc krzyki córki.

– Zobacz, co narobiłaś, durna bździągwo! – warknął zdegustowany tym wszystkim Sprycha. – Patrz! – wykręcił jej głowę, by spojrzeć na skrzyżowanie. – Zabiłaś tymi piskami własną matkę, okropna dziewucho! A tak jej dobrze szło!

Był tak wściekły, że pchnął ją, ale tym razem nie chwycił, gdy zadyndała na przewieszanej przez kable trakcyjne linie. Ze związanymi w kostkach nogami i skrępowanymi rękami dziewczynka nie mogła sięgnąć pozornie bliskiego dachu. Nie spadła jednak jak skazańcy po otwarciu zapadni, a siła ciężenia nie zdołała złamać jej karku. Okręcała się więc i dławiała przez dłuższą chwilę, zanim ostatecznie znieruchomiła.

– Puście linę! – Wkurzony Fabian otrzeźwiał na tyle, by podjąć właściwą decyzję. Gdy ciało dziewczynki gruchnęło o beton, wychylił się i zawołał: – Cangaceiro, wywlec tego bachora za ogrodzenie! Najlepiej gdzieś blisko piaskownicy. Tylko uważaj, bo to już odmieniec!

Magdziarek obszedł wciąż nieruchome ciało, owinął grubą na palec linę wokół przedramienia i pociągnął uduszoną

dziewczynkę za furtkę. Była lekka, nie musiał się więc specjalnie wysilać. Anastazja spoczęła na brudnym piasku dwa metry od wijącej się, zakrwawionej Urszuli.

– Jakuza, przyprowadź mi ostatnią bożą krówkę – rzucił Sprycha, ponownie stając przy furtce.

Kobieta, którą zostawił sobie na koniec, Ewa, także dwojga nazwisk, a przy tym matka maleńkiej Poli, spoglądała na niego z nienawiścią tak czystą, że niemal godną miana ludzkiej.

– Mam ją zmiękczyć? – zapytał Cangaceiro, który także to zauważył.

– Dam ci znać, jeśli zajdzie taka potrzeba – odparł Fabian, zbywając go, a przy tym rzucając groźbę pod adresem nie do końca złamanej kobiety. – Chyba wiesz, co masz robić – dodał, zwracając się bezpośrednio do niej. – Kończysz robotę Klimeckiej, potem wygarniasz ostatnią grupę tych poczwiar i prowadzisz je w boczną uliczkę. Radzę jednak uważać. Jeśli skrewisz, rzucę tym bestiom na pożarcie nie tylko twoją córkę, ale i wszystkie pozostałe bachory.

Szala-Dąbrowska skrzywiła się, jakby ją te słowa zabolaly, ale jej spojrzenie nie stało się nawet o cień mniej harde.

– Mój mąż cię dopadnie, kanalio – rzuciła przez zaciśnięte zęby, gdy znalazła się na ulicy. – Jest oficerem w służbach, wiesz? Załatwi was wszystkich!

Sprycha parsknął, jakby usłyszał dobry żart.

– A kto mu powie o tym, że tu zdechłyście? – zapytał, z trudem powstrzymując śmiech.

– Ja.

– Najpierw musisz przeżyć, a patrząc na to, jak skończyły twoje poprzedniczki, marnie widzisz twoje szanse.

– Jeśli mnie się nie uda, znajdzie się inny sprawiedliwy. W tych domach z pewnością mieszka wielu zacnych ludzi – wskazała pobliskie kamienice. – Część z nich wciąż żyje. I patrzy na to, co wyprawiacie. Jak tylko wojsko zapanuje...

– Nikt nad niczym nie zapanuje, durna babo! – zgasił ją, wodząc wzrokiem po oknach narożnych zabudowań. Gdy podniósł głowę, zauważył, że w kilku zafalowały firanki, jakby ktoś cofnął

się pośpiesznie. – Słyszysz jakieś strzały? Bo ja nie. Wokół cisza jak makiem zasiał. Wiesz, co to znaczy, muszko? Wasz świat się skończył. Nie ma już żadnego wojska, nie ma władzy, nie ma nic. A te tchórzliwe szczury, które gnieźdzą się wokół nas, także dostaną za swoje, spokojna twoja owłosiona. Najpierw jednak musimy uporać się z tym szajsem – skinął głową w stronę odmieńców. – Spraw się, a damę słowo, sama będziesz mogła zakapować nas mężulkowi, jeśli jeszcze dycha... – Roześmiał się w głos. – Zawieź mnie, a na tobie spocznie wino za śmierć tych wszystkich smarków – dokończył, poważniejąc.

– I tak pozabijacie nasze dzieci – wypaliła.

– Mylisz się – zapewnił ją. – Ja nigdy nie łamię danego słowa. Oczyść do reszty ulicę, a oddam ci córkę i resztę tych bachorów.

Prychnęła z nieskrywaną pogardą, ale ruszyła w stronę zarażonych, zaraz jednak zatrzymała się ponownie.

– Dlaczego mam ich ciągnąć w tę boczną ulicę? – zapytała. – Nie prościej będzie pognać ich tam, w stronę dworca?

– Prościej może tak – odpowiedział – ale ja chcę mieć ich tutaj.

– Dlaczego?

Zmierzył ją ostrym spojrzeniem, lecz zamiast rzucić kolejną obelgę bądź pogroźkę, odezwał się normalnym, konwersacyjnym tonem. *Chce wiedzieć, to niech się dowie*, uznał.

– Widzisz tamten szyld na ostatniej kamienicy po lewej? Tak, tam. To bar „Pod Jedyńką”. Najbliższy wyszynk, do którego pragniemy mieć swobodny dostęp – wyjaśnił.

– Tyle ludzi musiało zginąć, żebyście mogli dostać się do wody?

– Nie słuchałaś, co mówiłem do Klimeckiej? U zbiegu tych ulic w ciągu ostatniej godziny nie zginął żaden człowiek. Dzięki waszemu poświęceniu wszyscy żyjemy, dobrze mówię, chłopaki?

– Jak zawsze, szefie! – przytaknął Nerynk.

Ewa zmeła w ustach przekleństwo, splunęła w stronę zajezdni, a potem ruszyła prosto na gromadę zombie.

– Szef tak na poważnie? – zapytał Magdziarek, gdy oddaliła się na tyle, że nie mogła go usłyszeć. – Chce ją szef puścić?

– Czy ty masz mnie za idiotę? – Sprycha zmierzył go ostrym spojrzeniem.

- No nie mam właśnie.
- Więc na tym poprzestańmy.

Wrócili na dach tramwaju. Większość siedzących tam zuczków była już mocno znudzona obserwowaniem wydarzeń na ulicy, dlatego Sprycha polecił wydać kolejny posiłek. Zapasy, nawet powiększone o to, co miały ze sobą kobiety, nie były duże, ale zanim ten dzień dobiegnie końca, powinny się powiększyć, i to po wielekroć. Nie mówiąc już o dostępie do upragnionego alkoholu. Przypomniawszy o tym chłopakom, referując pokrótce, co zrobili, gdy Szala-Dąbrowska wykona zadanie. Był pewien, że kobieta da z siebie wszystko, lecz na wszelki wypadek kazał sprowadzić syna jej odmienionej imienniczki, Mirona. Wolał, by pamiętała, o jaką stawkę toczy się gra.

Ewa radziła sobie dobrze. Bez trudu dokończyła robotę po Klimeckiej, następnie zajęła się wywabieniem ostatniej grupki odmieńców, tych spod ogrodzenia zajezdni. To też jej się udało. Nie skrewiła jak jej poprzedniczki – zarażeni leżli za nią zbitą gromadą, dzięki czemu po wprowadzeniu ich w głąb bocznej ulicy mogła mieć spore szanse na wydostanie się z pułapki.

Fabian obserwował jej poczynania, zagryzając chlebem wędzoną domową kiełbasę znaną w tobołku Marzec-Wróblewskiej. Gdy Ewa rozpoczęła finalny bieg ku życiu, lawirując pomiędzy bestiami z obu grup, przełknął ostatni kęs, otarł usta i ruszył do drabiny. Przy furtce znalazł się tuż po niej. Była spocona, ciężko dyszała, ale oczy wciąż jej lśniły, jakby zgromadziła w nich wszystkie błyskawice tego świata.

- I co teraz? – wycharczała.
- Teraz przekonasz się, że nigdy nie łamię danego słowa – odparł, otwierając nieśpiesznie furtkę.

sobota, 10 sierpnia 1963, godzina 12:00
Miejski Ogród Zoologiczny przy ulicy Wróblewskiego 1-5

Operacja Barykada rozpoczęła się zgodnie z planem w samo południe.

Z brzeskiego baonu inżynieryjnego wyodrębniono dziewięć oddziałów podzielonych na zespoły uderzeniowe, których zadaniem było zablokowanie bądź zniszczenie istniejących przepraw. Dziewięć, ponieważ do pięciu mostów dołączono także wszystkie śluzy i jazy.

Na przygotowanie potrzebnego sprzętu i ludzi Bernaciak otrzymał tylko dwie godziny – i to niecałe! – ale wywiązał się z zadania wzorowo, co w tych warunkach mogło zakrawać na cud. Biedrzycki także nie próżnował, choć zgodnie z obietnicą nie patrzył kapitanowi na ręce. Musiał nie tylko napisać, ale i nagrać kolejny komunikat, a to, wbrew pozorom, nie było wiele łatwiejsze. Instrukcje powinny być podane w jak najprostszym i zrozumiałym dla wszystkich sposobie. Major musiał jednak unikać wszelkich sformułowań i określeń, które zdradzałyby odbiorcom za dużo szczegółów. Właśnie dlatego poprzednim razem Nizner zaproponował, by Biedrzycki posłużył się w odezwie rangą generała. Ocaleni wrocławianie mieli odnieść wrażenie, że z pomocą przyjdzie im nie garstka żołnierzy, lecz cała armia.

Podobny cel przyświecał Bartkowi przy tworzeniu obecnej zapowiedzi działań saperów. Wierzył, że seria następujących po sobie eksplozji – miało ich być więcej niż trzeba, aby mieszkańcy Wrocławia łatwiej uwierzyli w sprzedawaną im iluzję – wspomogło siłę przekazu i podbuduje morale cywili. To tylko miał na uwadze, gdy zasiadał przed mikrofonem z plikiem pokreślonych notatek w dłoniach. Nie ograniczył się do jednego przekazu. Podczas sesji nagrał aż trzy różne komunikaty. Ten główny oraz dwie odezwy skierowane do mieszkańców osiedli,

na które jego oddziały ruszą w pierwszej kolejności. Wolał, by ludzie kryjący się wciąż po domach Zacisza i Zalesia byli gotowi na to, co nastąpi w najbliższych dniach. Ostatni kwadrans przed rozpoczęciem operacji Biedrzycki przeznaczył na posiłek, gdyż głód go rozpraszał, a od mniej niż skromnego śniadania mijało właśnie pięć godzin.

Dwie minuty po dwunastej major pojawił się znów na stanowisku dowodzenia. Przy stole operacyjnym czekał na niego nadzorujący całość działań kapitan Bernaciak. Prócz nich pod łopoczącym leniwie brezentem znajdowało się jeszcze dziesięciu podoficerów i żołnierzy: dziewięciu radiotelegrafistów, których zadaniem było utrzymywanie łączności z wysłanymi w teren oddziałami, oraz obsługujący ich goniec. Resztę ludzi odesłano do prac przy umacnianiu perymetru, czyli mówiąc po ludzku, do kopania rowów i sypania ziemi pod betonowy mur okalający teren ogrodu zoologicznego.

– Meldunek z Wyspy Szczytnickiej! – Pierwsza kartka trafiła w ręce majora, zanim zdążył się dobrze przyjrzeć znacznikom rozstawionym na mapie taktycznej.

Informacja była krótka. Żołnierze dotarli pontonami na niewielką wysepkę leżącą pomiędzy wałami chroniącymi zoo a terenami należącymi do politechniki, istotną o tyle, że w przekopie Szczytniki mieściła się jedna z trzech śluz, które należało zabezpieczyć. Równie ważne, a może nawet ważniejsze, było przejście stacji milicji wodnej, jednostki dysponującej co najmniej pięcioma nowoczesnymi motorówkami patrolowymi. Nic dziwnego więc, że to tam właśnie skierowano obsady dwu z trzech łodzi biorących udział w tej akcji.

* * *

Pantony dobiły niemal równocześnie do gęsto zarośniętego brzegu tuż za krańcem kamiennego przyczółka. Wciągnięcie ich wyżej trwało sekundy. Ośmiu żołnierzy w mundurach polowych z podwiniętymi wysoko rękawami przycupnęło w wysokiej do pasa trawie, lustrując odległe o kilkanaście metrów, kryte blachą falistą szopy. Dowodzący nimi sierżant Danielewicz uniósł głowę

nieco wyżej, by zerknąć w kierunku przekopu, u którego ujścia czekała ostatnia z wysłanych na Wyspę Szczytnicką obsad. Po nawiązaniu kontaktu wzrokowego z podwładnymi dał im umówiony znak – kilkakrotne szybkie machnięcie ręką w stronę śluzy. Dwaj szeregowcy natarli energicznie na pagaje, ruszając ku uchylonym wrotom wspornym.

– Myszkowski, Jarzyński! – Teraz ręka sierżanta wskazała pobliskie zabudowania stancy.

Obaj wymienieni szeregowcy pokonali szybkim krokiem pas trawy i przycupnęli przy ogrodzeniu. Nożycami do metalu sprawnie przecięli kilkanaście oczek siatki okalającej niepozorne parterowe budynki, po czym przyklękawszy po obu stronach otworu, rozchylili ją mocno.

– Stasiak, Berczyński!

Kolejna para ruszyła biegiem w teren.

– Marcinkiewicz, Sopuszyński!

Trzeci zespół potruczał w głąb wyspy, omijając pobliskie zabudowania.

– Ty, Patryk, zostaniesz tutaj – rozkazał sierżant, zanim sam podążył śladem podwładnych. – Przygotuj pontony na wypadek szybkiej ewakuacji.

Kapral Grubiak skinął tylko głową. Obrócił obie gumowe łodzie, ułożył pagaje w odpowiednich miejscach, a potem wspiął się ponownie na skraj porośniętej pokrzywami stromizny i zamarł tam ze wzrokiem wbitym w plecy stojących przy płocie kolegów.

Stasiak i Berczyński przeczołgali się przez otwór w ogrodzeniu i natychmiast ruszyli w przeciwne strony. Pierwszy miał sprawdzić zabudowania przystani, drugi – budynek komisariatu. Wrócili niemal równocześnie.

– Melduję, że wszystkie motorówki są na miejscu – wysapał Robert, przyklękając naprzeciw sierżanta.

– Stanica zamknięta na trzy spusty – dodał Jarek.

– Świetnie. – Danielewicz sięgnął po radiotelefon. – Perkoz Jeden do Lwa, odbiór.

– Tu Lew, meldujcie, Perkoz Jeden, odbiór.

– W komisariacie milicji wodnej zgodnie z oczekiwaniami nie

ma nikogo. Wszystkie motorówki są na terenie przystani. Odbiór.

– Przyjąłem. Dobra robota, Kornelu. Przejdźcie teraz do celu numer dwa, odbiór!

– Wykonuję, bez odbioru. – Sierżant rozłączył się, ale nie odłożył mikrofonu. Zważył go w dłoni, po czym przekręcił potencjometr i znów się odezwał. – Pietraszko, co u was, odbiór? – wezwał obsadę ostatniego pontonu.

Odpowiedź nadeszła po chwili. Tomasz był mocno zdyszany.

– Przy służbie czysto. Otworzyliśmy szerzej wrota od strony zoo. Właśnie zakładamy ładunki na pomoście po przeciwnej stronie komory. Potrzebujemy jeszcze dwu, trzech minut, odbiór.

– Zameldujcie się po zabezpieczeniu służby, bez odbioru.

Odwieszając mikrofon, Danielewicz dał znak do wymarszu. Kolejne zabudowania otaczał pierścień drzew i gęstych zarośli. Wokół panowała niczym nie zmacona cisza. Nie było słychać ptasich treli, nawet owady gdzieś poznikały, jakby życie bez względu na formę próbowało się ukryć przed inwazją chodzących trupów.

Pozostali żołnierze obchodzili budynek po budynku, zaglądając w okna i szarpiąc za klamki, ale nie trafili na choćby jedno otwarte wejście. Nikt też nie odpowiedział na ich wezwania. Zaraza wybuchła w piątkowy wieczór, już po tym jak pracujący w tutejszych warsztatach i na przystaniach ludzie rozeszli się do domów. A garstka stróżów oraz pracowników nastawni służby, którzy pełnili dyżur feralnej nocy, musiała dać nogę wkrótce po tym, jak rozległy się pierwsze strzały.

Inie ma się czemu dziwić, skwitował w myślach sierżant, gdy jego podzieleni na pary ludzie obeszlą wszystkie zabudowania wyspy, nie napotyając żywej ani nieumarłej duszy. Do sprawdzenia zostało już tylko kilka śródlądowych jednostek przycumowanych do pomostów cywilnej przystani, kawałek poniżej progu wodnego.

– Perkoz Jeden, tu Śłuża, odbiór – z głośnika przenośnej radiostacji dobiegł mechanicznie zniekształcony głos Pietraszki.

– Śłuża, tu Perkoz Jeden, meldujcie, odbiór. – Danielewicz zatrzymał się przed trapem prowadzącym na zardzewiałą

pogłębiarkę, dając sygnał pozostałym, aby rozpoczęły przeszukiwanie stojącej nieco dalej barki.

– Pomost został zaminowany, drugie wrota otworzyliśmy ręcznie na całą szerokość. Czekamy na rozkaz odpalenia ładunków, odbiór.

– Możecie odpalać. Spotykamy się w punkcie zborym numer jeden, bez odbioru. – Odwiesiwszy mikrofon, sierżant otarł chustką spocone czoło.

Ruszył szybkim krokiem, ale zaraz zwolnił, ponieważ trap chybotał się mocno przy każdym stąpieniu. Ledwie zdążył minąć linię brzegu, do jego uszu doleciały jakieś wrzaski. Wydawało mu się, że rozpoznaje głos Żmudzińskiego, ale zanim zdołał zrozumieć choć słowo, krzyki utonęły w serii niezbyt głośnych eksplozji. Ładunki umieszczone pod pomostem wieńczącym masywne wrota pobliskiej śluzy wybuchały kolejno, zmieniając ażurową metalową konstrukcję w kupę powyginanych prętów i blach, po których nie przeszedłby nawet akrobata.

Coś świsnęło obok ucha sierżanta. Coś załomotało o pokład przed nim, i to w wielu miejscach naraz. Nagle poczuł mocne szarpnięcie, jakby ktoś chciał mu wyrwać radiotelefon. Zatoczył się i byłby upadł, gdyby nie zdążył chwycić się lin. Wtulił instynktownie głowę w ramiona, choć wiedział, że na reakcję jest już za późno. Zanim łomot spadających na barkę i pogłębiarkę odłamków umilkł, gdzieś z lewej dobiegł zduszony okrzyk. Jednakże to był dopiero początek koszmaru. Względna cisza trwała tylko kilka uderzeń serca, które waliło Kornelowi z taką mocą, jakby zamierzało wyrwać się z jego piersi. Potem rozległ się potępieńczy jęk naprężanego metalu zakończony głośnym trzaskiem i ogłuszającym zgrzytem. Woda wokół trapu zawrzała.

– Cholera jasna!

Ci durnie użyli zbyt dużej ilości materiałów wybuchowych! Albo wrota były zbyt skorodowane! Bez względu na powód eksplozje poczyniły znacznie większe szkody, niż to było zamierzone. Danielewicz momentalnie zrozumiał, dlaczego woda jest wzburzona. Nadwreżony eksplozjami mechanizm śluzy

poddawał się naporowi ciśnienia kilkumetrowej ściany wody zgromadzonej w komorze.

Sierżant sięgnął po radiotelefon, ale jego ręka trafiła w próżnię. Urządzenie zniknęło, z ramienia zwiślał mu tylko równo zerwany parciały pasek, na którym jeszcze przed chwilą było przymocowane.

– Wracać na brzeg! – wrzasnął, przykładając dłonie do ust. – Natychmiast!

Zaskoczeni niespodziewanym bombardowaniem żołnierze podnosili się ostrożnie, nie rozumiejąc jeszcze, dlaczego pokład pod ich stopami kołysze się coraz mocniej. Nie przestając krzyczeć, sierżant przeliczył chwiejące się postacie. *Jest dobrze, wszyscy prze...* Nagle zatrzymał się jak wryty. *Powinno być ich tam sześciu, nie ośmiu...*

– Uważajcie! – wydarł się jeszcze głośniejsze, ale został zagłuszony przez potworny ryk, z jakim ściana wody wyrwała się z wnętrza śluzy.

Nie było to wydarzenie na miarę kataklizmu naturalnego, wszakże i ono wystarczyło, by znajdujące się poniżej progu wodnego jednostki wierzgnęły na fali przyboju, jakby nagle ożyły. Grube jak przedramiona liny, którymi przycumowano pogłębiarkę, trzaskały kolejno niczym przegryzane przez szwaczki nici. Trap najpierw poleciał metr w górę, potem osunął się błyskawicznie, pociągając za sobą krzyczącego wciąż sierżanta.

Nurt zasilany wodą zza śluzy był tak wartki, że poniósł zerwany z cum statek i cisnął nim o zakotwiczoną kilka metrów dalej wielką barkę, na którą poprzedniego dnia sypano wybierany muł. Siła zderzenia okazała się tak duża, że ścięła z nóg wszystkich ludzi znajdujących się na pokładzie obu jednostek. Ktoś wypadł z wrzaskiem za burzę, moment później rozległ się drugi, podobny plusk. Ktoś inny wzywał rozpaczliwie pomocy ze śródokręcia. Przerażliwy krzyk dobiegający od strony dziobu umilkł nagle jak ucięty nożem.

Danielewicz przyglądał się temu wszystkiemu, leżąc po pas w rwącej, mulistej wodzie. Wciąż trzymał się linek

zabezpieczających trapu, którego przeciwległy koniec spoczywał teraz na dnie przekopu. Na szczęście masa wody nie była tak potężna jak w razie całkowitego wyrwania wrót. Lejkowate rozwarcie w górnej części konstrukcji miało nie więcej niż trzy metry wysokości, dzięki czemu udało się uniknąć znacznie poważniejszej katastrofy. Woda wciąż przelewała się wartkim strumieniem, lecz sierżant wiedział już, że najgorsze ma za sobą.

Spojrzał więc w przeciwnym kierunku. Pogłębiarka, wbita dziobem w burtę pordzewiałej barki, obracała się wolno, pchana wciąż mocnym, lecz już nie tak rwącym nurtem. Bulgotanie dobiegające od strony przekopu cichło stopniowo, drewniany podest łączący jeszcze chwilę temu pokład statku z nabrzeżem też przestał wierzgać jak ukąszony przez gza koń, zatem sierżant ruszył ostrożnie na czworakach ku bliskiemu brzegowi. Tam dopiero odważył się wstać. Nie czuł bólu, prócz kilku zadrapań i otarć nie miał chyba poważniejszych obrażeń. Stracił jednak radiotelefon i kałasznikowa, co nie było największym z jego zmartwień. Musiał ratować podwładnych, którzy zostali na pokładzie barki!

Widział ich dobrze: przy relingu opodal szerokiego dziobu stał na szeroko rozstawionych nogach Berczyński. Bluzę munduru miał rozdartą, z czoła i rany na piersi ciekła mu krew. Obok niego gramolił się z pokładu Stasiak, który nie wyglądał wiele lepiej. Nieco dalej Danielewicz dostrzegł dwie inne sylwetki ludzkie, zupełnie mu obce, nie noszące mundurów.

– Nieumarli! – ryknął, wskazując intruzów oszołomionym wciąż szeregowcom.

Nie zareagowali tak, jak by sobie tego życzył. W stanie silnego oszołomienia być może go nawet nie usłyszeli. Rozejrzał się pośpiesznie wokół. Obciążona wydobytym z dna przekopu mułem barka zerwała się z kotwicy, ale najpierw fala, a potem uderzenie pogłębiarki zepchnęły jej kanciastą rufę na brzeg. Osiadła na nim na tyle, by dało się wdrapać na płaski pokład, lecz na oczach sierżanta zaczynała właśnie sunąć ponownie ku środkowi przekopu.

Nie miał czasu na zastanawianie. Puścił się pędem w kierunku

pamiętajęj lepsze czasy jednostki. Wybił się mocno ze stromego nabrzeża i z hukiem przywarł torsem do szczytu niezbyt wysokiego nadburcia. Zawisł na nim, walcząc o utracony siłą zderzenia dech. Pociemniało mu w oczach, ale nie odpuszczał. Wiedział, że jest ostatnią deską ratunku dla rannych podkomendnych. Kryzys nie trwał długo, parę głębszych wdechów przywróciło mu część sił. Akurat tyle, by zdołał się podciągnąć. Dzięki oparciu dla stopy, jakie znalazł moment później w szerokiej kluzie, jednym zrywem przetoczył się na brudny pokład.

Myszkowskiego i Jarzyńskiego nigdzie nie było widać. *To oni musieli wypaść za burłę*, uświadomił sobie, wspominając zasłyszany wcześniej krzyk i plusk. *Przy tak rwącym nurcie, w pełnym oporządzeniu, nie mieli najmniejszych szans.*

Z przekleństwem na ustach spróbował wstać, chwytając się pogiętej i pordzewiałej obudowy luku. Wciąż na klęczkach omiół wzrokiem resztę pokładu, dźwignął się na nogi i ruszył biegiem wzdłuż burty, prosto na dalszego z dwóch – nie, teraz już z trzech – nieumarłych. Przed sobą dostrzegł pozbawione nóg i gubiące wnętrzości zwłoki Marcinkiewicza, byłego poborcy podatkowego, który miał tego pecha, że dostał powołanie na manewry dosłownie kilka dni przed feralnym piątkiem i na drugi dzień po zameldowaniu się w baonie trafił w sam środek piekła. Zabrakło mu wprawy, a może szczęścia, zatem pierwszy wpadł w łapy żywych trupów czających się na pokładzie barki, a teraz dołączył do ich cuchnącej armii i pomimo odniesienia straszliwych ran pełzył prosto na niego.

Za narożnikiem luku, zza którego wypęził Marcinkiewicz, widać było strzaskaną potwornie głowę. W twarzy zniekształconej tak mocno, że sierżant z największym trudem rozpoznał w niej Mirka Sopuszyńskiego, także rezerwisty, który załapał się do baonu na kilka godzin przed ogłoszeniem wymarszu.

Wysłanie ich tutaj okazało się wielkim błędem, ale...

Danielewicz nie miał czasu na rozpamiętywanie. Przeskoczył nad zmasakrowanym Markusem, odbijając się lewą nogą od obramowania ładowni, i nie patrząc za siebie, pognął dalej, ku

zarażonemu, który szedł chwiejnym krokiem w stronę dziobu i znajdujących się tam rannych żołnierzy. Trzeci zombie stał w wąskim przejściu między ładowniami. Kornel wiedział, że nie musi się nim na razie przejmować. Kapitan wyjaśnił wyruszającym w pole podwładnym, że zarażeni są w stanie wyczuć człowieka z mniej więcej dziesięciu metrów, a ten sztywny drań znajdował się ze trzy razy dalej od jego ludzi. Minął więc żywego trupa i zanim ten zdążył się odwrócić, zniknął mu z pola widzenia czy też czucia.

Musiał jednak zrobić coś z tym ostatnim, jeśli chciał mieć choć minimalne szanse na ocalenie Berczyńskiego, który otrzeźwiał już na tyle, by zająć się poważniej rannym Stasiakiem. Na razie sierżant biegł prosto na nieumarłego, który tarasował wąski pas pokładu między nadburciem a wypełnioną w połowie ładownią, ponieważ nie miał żadnego pomysłu, jak wybrnąć z tej sytuacji. Nie znalazłszy lepszego rozwiązania, przyśpieszył jeszcze bardziej, gdy odmieniec wyczuł go tym swoim szóstym zmysłem i zaczął odwracać głowę. To był impuls, raczej instynktowny odruch niż celowe działanie. Danielewicz chwycił obiema dłońmi za metalowy słupek jakiejś konstrukcji i uchwycony go kurczowo wyprowadził poziome kopnięcie, wkładając w nie wszystkie siły. Ciężki wojskowy bucior trafił zarażonego na wysokości barku, posyłając go na półmetrowe obramowanie dziobowej ładowni. Zombie przetoczył się przez stalową przeszkodę, po czym zniknął z głośnym cmoknięciem w grubej warstwie na wpół zaschniętego szlamu.

Kornel nie skończył tak samo tylko dlatego, że dłonie mu omdlały w momencie kontaktu z chodzącymi zwłokami. Pchany siłą odśrodkową wyrznął plecami o wąski pas pokładu, przeturlał się po nim parę razy, sycząc z bólu, aż w końcu zamarł, rechocząc, jakby wygrał z podwładnymi zakład o co najmniej pół litra. Załatwił drania na cacy i sam przeżył, a co najważniejsze, ocalił obu szeregowych.

Zdołał wstać, choć bolały go wszystkie członki, a przed oczami wciąż latały mu mroczki. Zataczając się, pobiegł na dziób. Berczyński wciąż klęczał nad Stasiakiem opartym o wymazane

krwią polery.

– Zbieramy się stąd, chłopaki, zanim ta łajba... – wysapał, chwytając Jarka za ramię, by przecisnąć się do leżącego za nim Roberta.

Tyle zdążył powiedzieć, zanim zrobiło mu się ciemno przed oczami. Ostatnie, co zobaczył, to zastygła w ohydny grymasie sina twarz zmasakrowanego żołnierza, w której nie było krzty życia.

* * *

– Perkoz Jeden, jak wygląda sytuacja na wyspie, odbiór?! – Radiotelegrafista odpowiedzialny za kontakt z oddziałem Danielewicza powtarzał wywołanie raz po raz, oczywiście bez skutku.

– Szlag – mruknął Bernaciak, świadom, co może oznaczać milczenie sierżanta.

– Nie unikniemy dalszych strat – rzucił Biedrzycki, nie patrząc mu w oczy. – Ważne, że zdołali wysadzić ten pomost, zanim... – zawiesił głos.

Przed chwilą usłyszeli serię eksplozji, które powinny zakończyć operację blokowania śluzy. Nie doczekali się jednak meldunku o wykonaniu zadania.

– Panie majorze, Perkoz Dwa na linii!

Dwójka zajmowała się zabezpieczeniem mostu Zwierzynieckiego. Tam nie powinno być żadnych problemów, zatem meldunek mógł dotyczyć sytuacji na wyspie, którą saperzy pracujący na przyczółku przy zoo mieli w zasięgu wzroku.

– Łączcie! – Biedrzycki sięgnął po leżące na skraju stołu słuchawki, ale po chwili namysłu podał je kapitanowi.

– Perkoz Dwa, meldujcie, odbiór! – Bernaciak z trudem powściągnął emocje.

– Towarzyszu kapitanie, melduje się kapral Wasik. Na śluzie chyba coś poszło nie tak, odbiór.

– To już wiemy. Krystian. Melduj, co widzisz, odbiór.

– Po wysadzeniu pomostu wrota puściły, odbiór.

– Wyrwało je całkiem? – Kapitan podniósł głos.

– Nie, ale są mocno wygięte w górnej części. Woda wali przez wyrwę jak szlag.

– Widzicie gdzieś naszych?

Przez moment słyszał tylko szum.

– Tak, towarzyszu kapitanie. Widzę jednego na brzegu, przy pontonach. To chyba Grubiak.

– Jest sam?

– Tak.

– Wyślijcie kogoś pod jaz, niech zasięgnie języka i da nam znać, jak wygląda sytuacja, bez odbioru – rozkazał Bernaciak, ochłonawszy na tyle, by zakończyć zdanie regulaminowym odezwaniami. – Za chwilę się dowiemy, w czym problem – dodał, zwracając się do majora. – Może fala zaskoczyła ich w czasie inspekcji jednostek pływających.

Biedrzycki spojrzał na niego spode łba.

– Drugie radio miał mieć saper oddelegowany do wysadzenia pomostu – przypomniał kapitanowi ponurym tonem.

Czekali kilka długich minut, przyjmując meldunki pozostałych oddziałów. Perkoz Trzy założył połowę ładunków pod przęsłem mostu Szczytnickiego, nie napotykając żadnych przeszkód ze strony nieumarłych. Sporo ich kręciło się wokół dawnego izolatorium i na samym placu, ale na szczęście żadnemu nie wpadło do głowy, by zainteresować się mostem i leżącym za nim parkiem, dzięki czemu saperzy, także ci operujący z pontonów, mogli pracować w skupieniu i spokoju.

Perkoz Cztery, Pięć i Sześć zbliżały się właśnie do kąpieliska przy Stadionie Olimpijskim. Te oddziały połączono w jeden duży konwój, ponieważ mogły dotrzeć do wyznaczonych celów tą samą trasą, omijając szerokim łukiem wszystkie większe osiedla. Stu ludzi, osiem BTR-ów, sześć ciężarówek, w tym dwie przewożące przęsła mostu pontonowego, i prowadzący kolumnę SKOT nie napotkały dotychczas żadnych przeszkód, których nie zdołałyby pokonać. Ciężkie transportery rozjeżdżały na miazgę każdego nieumarłego, który trafił im pod koła i gąsienice, ale były to naprawdę jednostkowe przypadki.

Jeszcze minuta, dwie i konwój wjedzie na wały

przeciwpowodziowe, którymi dotrze do przyczółka mostu Swojczyckiego, by tam rozdzielić się na trzy zespoły zadaniowe.

Dwa transportery składające się na Perkoza Pięć pozostaną na miejscu, by zabezpieczyć przeprawę od strony Swojczyc, jeden transporter przewożący żołnierzy Szóstki dotrze do leżącego na wschodnim krańcu wyspy mostu Bartoszowickiego i znajdujących się nieco dalej instalacji wodnych przy Wyspie Opatowickiej. Pozostałe wozy i prowadzący je SKOT, dowodzony przez Deptucha, ruszą natomiast na zachód, w kierunku odległych o niemal dwa kilometry mostów Jagiellońskich.

– Perkoz Dwa na linii – zameldował radiotelegrafista, gdy Biedrzycki przesunął znaczniki konwoju na wysokość stadionu.

– Tu Lew, meldujcie! – Bernaciak natychmiast złapał za słuchawki.

– Melduje się kapral Komar. Jestem przy jazie, towarzyszu kapitanie. Rozmawiałem z Grubiakiem, on też nie wie nic ponad to, co wam... – Michał zamilkł raptownie, ale tylko na moment. – Towarzyszu kapitanie, przy pontonach pojawili się właśnie Żmudziński i Pietraszko. Artur jest ranny, i to raczej poważnie. Dostał w brzuch. Właśnie zaczynają go opatrywać, odbiór.

– Widzicie w pobliżu kogoś jeszcze? Jakichś nieumarłych, odbiór? – naciskał Bernaciak.

– Dajcie minutkę, towarzyszu kapitanie. – W słuchawkach przez chwilę rozlegało się wyłącznie głośnie sapanie. – Wszedłem na wał. Stąd widzę wszystko aż po milicyjną stanicę. Melduję, że w polu widzenia nie ma nikogo innego, odbiór.

– Zapytajcie Pietraszkę, co tam się stało, odbiór!

– Tak jest.

Tym razem sapanie było nieco cichsze. Major i kapitan, czekając w napięciu na wyjaśnienia, nie zareagowali na kolejny meldunek z terenu. Konwój minął pierwszy most Swojczycki i właśnie się rozdzielił.

– Perkoz Dwa do Lwa, wychodzi na to, że Żmudziński zaraz po odpaleniu lontów zobaczył jakiegoś dzieciaka przy śluzie. Próbował go ostrzec, odgonić i dostał odłamkiem w bebechy. Żle z nim, ale chłopaki już spuszczaają ponton na wodę. Możecie

podesłać na wały sanitariuszy, odbiór?

Bernaciak skinął na radiotelegrafistę obsługującego Jedynekę.

– Przekażcie do hali, że potrzebuję sanitarkę przy jazie!

Natychmiast!

– Tak jest.

– Lew do Perkoza Dwa, pomoc w drodze, odbiór.

– Kurwa mać...

– Komar!

– To... towarzyszu kapitanie, on, oni... noż kurwa mać!

– Przestańcie bełkotać i mówcie, co tam się dzieje! – wydarł się Bernaciak, ale przerażony kapral nadal nie mógł się wystąpić.

– On ich, no, on...

– Możecie dopisać tych trzech do listy dzisiejszych strat. – Biedrzycki doskonale wiedział, co znaczą te nieskładne słowa, zbyt wiele podobnych meldunków słyszał minionej nocy, by mieć złudzenia. – Ten wasz Żmudziński kipnął na pontonie.

– Komar, jesteście tam, odbiór? – Kapitan raz jeszcze przeszedł w tryb nadawania.

– Jestem...

– Potwierdźcie śmierć Grubiaka, Żmudzińskiego i Pietraszki, odbiór.

– No, byli już trzy metry od brzegu, kiedy...

– Odpowiadajcie jasno, kapralu, albo traficie do czyszczenia latryn, odbiór!

– Tak jest, towarzyszu kapitanie. Już po nich. Grubiak wypadł za burtę i poszedł pod wodę jak kamień. Pietraszko padł jak ścięty. Tylko Żmudziński jeszcze się rusza.

– Czy ponton nadal płynie w stronę brzegu, odbiór?

– Nie... Już nie, prąd go znosi w kierunku mostu.

– Nie spuszczajcie ich z oczu, Komar – poleciał kapitan, po czym opuściwszy słuchawki, obrócił się do radiotelegrafisty utrzymującego kontakt z Dwójką. – A wy uprzedźcie chłopaków pod Szczytnickim, że za moment mogą mieć niechcianych gości.

– Przy odrobinie szczęścia trafią do śluzu – stwierdził z nadzieją w głosie Biedrzycki, przyjrawszy się dokładnie mapie.

Wolałby, aby sama natura zadbała o pozbycie się tych

konkretnych zombie. W końcu to byli przyjaciele albo chociaż koledzy żołnierzy, którzy musieliby się nimi zająć, a każda taka interakcja podkopywała i tak niewysokie morale ludzi, którzy minionej nocy przeszli piekło.

– Jak sytuacja, odbiór? – Bernaciak znów wywołał kaprala.

– Ponton oddała się powoli od brzegu, towarzyszu kapitanie – zameldował kilka sekund później Komar. – Zaczyna się obracać... Zwalnia... Zaraz, chyba prąd ściąga go w kierunku śluzy... Tak, sunie coraz szybciej w głąb przekopu. Tracę go z oczu. Jest już za tym wybetonowanym cypelkiem.

– Dobra nasza – ucieszył się major. – Każcie mu wracać na posterunek. I odwołajcie sanitariuszy. Kurwa jego mać! – Odwrócił się gwałtownie do radiotelegrafisty. – Powiadomcie WRN, migiem! Niech zabezpieczą swoją barkę! Cholera wie, co ta fala zabrała zza śluzy – wyjaśnił zaskoczonemu kapitanowi.

Przez to wszystko wyleciało mu z głowy, że niespełna kilometr dalej stoi na kotwicy barka wypełniona zaopatrzeniem dla nich wszystkich.

– Wysłać na wyspę drugi oddział? – zapytał Bernaciak, kiedy już powtórzył rozkazy kapralowi.

Biedrzycki przygryzł wargę.

– Tak. Ale tym razem większy. Musimy mieć pewność, że nic z tamtej strony nie przylezie.

– Panie majorze, podporucznik Nizner na linii – zameldował radiotelegrafista, gdy tylko zakończyli wymianę zdań.

Biedrzycki sięgnął po zapasowe słuchawki. Nizner zabrał się z konwojem Deptucha, oficjalnie, aby naocznie sprawdzić sytuację w stoczni. Bartek przypuszczał jednak, że jego doradca chce się powozić SKOT-em. Nie dziwił mu się specjalnie, sam miał ochotę wsiąść do tego cudu socjalistycznej techniki.

– Perkoz Cztery, tu Lew, odbiór.

– Panie majorze, mam świetną wiadomość. Na kanale Nawigacyjnym stoi co najmniej kilkanaście barek, odbiór.

– Skąd się tam wzięły, odbiór? – zapytał zaskoczony Biedrzycki.

– To jednostki, które od wczoraj czekały na zezwolenie przepłynięcia przez miasto. Na większości jest węgiel ze Śląska,

ale co najmniej dwie przewożą z Opolą zboże, odbiór.

– Skąd wiecie? – Major pomiął regulaminową formułkę.

– Od załóg – Podporucznik skrócił odpowiedź za jego przykładem.

– Są na nich marynarze?

– Nie inaczej.

Biedrzycki potrzebował chwili na przyswojenie i przetworzenie tych informacji. Analizując sytuację miasta, nie brał pod uwagę wielu czynników, a jednym z nich było istnienie bardzo ruchliwego szlaku żeglugowego łączącego Górny Śląsk z wybrzeżem, szlaku, którym nawet podczas kwarantanny przewożono przez Wrocław ogromne masy towarów. Każda barka motorowa, z tego, co mówił mu wcześniej Bernaciak, miała nośność co najmniej kilkuset ton. Na Odrze powyżej Wrocławia musiało być ich wciąż parędziesiąt, jeśli nie więcej. W dodatku załogi powinny wciąż przebywać na ich pokładach, co oznaczało, że nie będzie potrzeby przyuczania ludzi do obsługi jednostek pływających, a co za tym idzie, akcja oczyszczania miasta przebiegnie planowo, bez zbędnych opóźnień.

– Nizner, wydzielcie kilkusobowy oddział, który przygotowuje wszystkich marynarzy do ewakuacji! Ilu ich tam może być?

– Nie wiem. Może nawet ze stu albo i więcej...

– Stu, powiadacie? Dobra, zrobimy tak: chcę mieć te barki ze zbożem tutaj, przy zoo. Zapakujcie na nie przy okazji resztę załóg...

– Zaraz, zaraz. Jeden moment, panie majorze – przerwał mu Nizner. – Nie wiem, czy to się da zrobić. Przecież taka barka nie zawróci na wąskim kanale jak samochód na szosie. Dajcie chwilę...

Bartek skrzywił się mocno. No tak, sądząc z mapy, kanał miał około pięćdziesięciu metrów szerokości, barki natomiast... barki z pewnością były o wiele dłuższe. Czekaając na odpowiedź, podszedł do wysłuchującego bieżących raportów Bernaciaka, żeby streścić mu dotychczasową rozmowę z podporucznikiem.

– Jeśli to klasyczne zestawy, wystarczy, że załogi przepną bizony na drugi koniec barek. – Kapitan szybko znalazł

połowiczne rozwiązanie. – Ale jeśli mamy do czynienia z BM-kami, to faktycznie może być problem.

– Te całe bizony nie mogłyby ich jakoś odholować? – zapytał Biedrzycki.

– Nie, majorze, nie mogłyby.

– Dlaczego?

– Długo by gadać.

– A tak w skrócie?

– To pchacze, nie holowniki. Zupełnie inna zasada działania. Poza tym po drodze jest śluza. Nie, to zbyt niebezpieczne.

– Panie majorze, chyba wiem, jak poradzić sobie z tym problemem – ze słuchawek dobiegł lekko zniekształcony głos podporucznika.

– Mówcie!

– Jeden z marynarzy podpowiedział mi właśnie, że kanał przy wejściu do stoczni został specjalnie poszerzony, by można było swobodnie manewrować. Ma prawie sto metrów. Tam da się obrócić każdą barcę.

– Świetnie. W takim razie wyeksponujcie mi tutaj jednostki ze zbożem i wszystkie załogi. Ci ludzie są zbyt cenni, abyśmy mieli ich stracić.

– Ile mogę im powiedzieć?

Biedrzycki się zawahał.

– Tyle, ile będzie trzeba. Nie ma co ukrywać prawdy, ale lepiej trzymajcie się oficjalnej wersji. Nie podłamujmy ich na starcie.

– Przyjąłem, bez odbioru.

– Towarzysz Niesyto na linii, to... panie majorze – zająknął się szeregowiec obsługujący rezerwową radiostację.

– Mam nadzieję, że zdążyłeś zareagować? – rzucił Bartek, zanim jego rozmówca otworzył usta.

– Cudem, człowieku! Cudem! – w głosie Krzysztofa pobrzmiwała wściekłość. – Co wy tam wyprawiacie?

– Wrota śluzy doznały uszkodzeń w wyniku eksplozji – wyjaśnił major.

– Myślałem, że wysłaliście zawodowych saperów, nie jakichś partaczy amatorów!

– Nasi chłopcy nie popełnili błędu. To raczej cywilbanda zamalowywała rdzę, zamiast ją usuwać na bieżąco. Mów lepiej, co się stało.

– Całe szczęście, że fala porwała kilka łódek, gdyby nie one, patrzyłbym teraz na pięćset ton nasiąkającej wodą żywności. Za tymi zasranymi żaglóweczkami pojawiła się pieprzona pogłębiarka, która minęła nas o włos. O pici włos, człowieku! Gdybyś słyszał ten upiorny zgrzyt, z którym tarła o burtę mojego pływającego magazynu! Na szczęście nie poczyniła większych szkód, a zanim dotarła tu barka z waszymi łajzami, udało nam się...

– Czekaj. Jaka barka? Z jakimi łajzami? O czym ty mówisz? – wpadł mu w słowo Biedrzycki, odrywając wzrok od stołu i leżącej na nim mapy, na której goniec uaktualnił właśnie rozmieszczenie znaczników.

Perkoz Sześć i Cztery trafiły na wyznaczone pozycje ostatnie. Zadowolona mina Bernaciaka świadczyła, że jak dotąd nie doszło do kolejnych wypadków.

– Na barce z mułem, którą przyniosła chwilę później wysoka woda – zaczął wyjaśniać spokojnie Niesyto – moi chłopcy widzieli zarażonych, większość w mundurach polowych. Domyśliłem się, że to mogą być wasi.

– Ilu ich było?

– Czy to ważne?

– Jak cholera.

– Z ośmiu, kilku na dziobie, paru na śródokręciu.

Major i kapitan spojrzeli na siebie znacząco. Trzech na pontonie, ośmiu na barce – to o jednego więcej, niż liczył oddział Danielewicza. Na wyspie nie pozostał więc żaden żołnierz, za to kryła się tam niewiadoma liczba zombie, którzy doprowadzili do zagłady zespołu zadaniowego.

– Jeszcze raz przepraszam za to zamieszanie – odezwał się Bartek. – To powinna być ostatnia niespodzianka, jaką wam sprawiliśmy w tej fazie operacji.

– Oby. Moi zaczynają mi już dziurę w brzuchu wiercić, żeby przenieść więcej zapasów na brzeg. Gdybyśmy stracili tę barkę...

– Wiem, nie musisz się powtarzać, bez odbioru.

sobota, 10 sierpnia 1963, godzina 12:15
Zajezdnia Tramwajowa Nr 2 przy ulicy Słowiańskiej 16–30

– Oddaj mi dziecko! – Ewa posłała Fabianowi nienawistne spojrzenie. – Obiecałeś! – ostatnie słowo dodała bardziej płaczliwym tonem.

– Za chwilę – zbył ją, ale już bez uprzedniej napastliwości. – Najpierw zabezpieczymy teren. Nie chcesz chyba, żeby te pokraki znowu tu przylazły. Musiałbym ponownie wysłać cię na ulicę, muszko moja złota. – Wiedział, że zdesperowana kobieta odpuści, gdy tylko bojaźliwie zerknęła na skrzyżowanie. – Do roboty! – odsunął się, przepuszczając przez furtkę idących gęsiego kompanów. – Ty zostaniesz z panią! – zatrzymał Magdziarka, kładąc mu dłoń na piersi. – Ale ani się waż jej tknąć! – dodał, dostrzegłszy przerażenie w oczach kobiety, która miała okazję widzieć, do czego młotkowy jest zdolny.

– A jeśli będzie mi tu fikać? – zapytał Cangaceiro, łypiąc na nią lubieżnie mniej podbitym lewym okiem.

Połowa jego twarzy zniknęła pod fioletowiejącą opuchlizną, tak że musiał wypowiadać słowa półgębkiem, co z pewnością nielecho bolało. Nie przejmował się tym jednak, a w każdym razie nie dał po sobie poznać, że cierpi.

– Jeśli będzie fikać, możesz ją skarcić, aczkolwiek nie przypuszczam, by doszło do czegoś podobnego. – Sprycha posłał Ewie jeden ze swoich uwodzicielskich uśmiechów. – Pani będzie cię słuchać jak stara dewotka odprawiającego sumę biskupa. – Znowu przeniósł wzrok na Magdziarka. – Jak mówię „nie rusz”, to nie ruszasz, zrozumiano? Staniesz metr od niej i nie wykonasz najłżejszego ruchu, jeśli ona dupy nie ruszy. Janiczek będzie miał na ciebie oko – wskazał dach zajezdni i siedzącego na nim obserwatora.

Cangaceiro musiał znowu poczuć długo tłumiony zew krwi,

dlatego wszystko mogło się zdarzyć. Sprycha wolał więc powtórzyć mu dwa razy, niż potem żałować.

– A ty siadaj i ani drgnij! – rozkazał Ewie.

Zrobiła, co kazał, natychmiast, bez szemrania, zatem mógł spokojnie wyjść za bramę. Grzelak odpalał właśnie najbliższego stara. Nogi Jakuzy sterczały z kabiny drugiego. Na razie wszystko szło jak trzeba. Silnik pierwszej więźniarki zacharczał i ucichł. Kłęby gryzącego dymu buchnęły z rury wydechowej, zasnuwając połowę ulicy.

– Ty w ogóle wiesz, co robisz? – zaśmiał się przydzielony do złotowy Kaczmarek.

– Warszawa to to nie jest – odwarknął były taksówkarz. – Ale patrz teraz!

Wyszarpnął spod deski rozdzielczej garść splątanych przewodów, przyjrzał się im uważnie, mrużąc oczy, po czym ujął dwa, czarny i czerwony. Podniósł je, pokazując złodziejowi, a potem złączył, aż poszły iskry.

Sprycha przypadł do bruku, podobnie jak wszyscy pozostali. Po błękitnym niebie przetoczył się ogłuszający ryk, jakby naraz uderzyło sto gromów. Szyby w oknach pobliskich kamienic zadrżały. Kilka rozprysnęło się w drobny mak.

– Coś ty, kurwa, narobił...? – wymamrotał rozplaszczony obok więźniarki Nerynk.

Złotowa wyglądał na nie mniej wstrząśniętego od nich. Patrzył z niedowierzaniem na rozłączone ponownie przewody.

– To nie ja!

– Tam! Patrzcie! Tam! – z góry dobiegł piskliwy głos podpalacza.

Fabian spojrzął na dach zajezdni. Janiczek stał, wskazując gdzieś za odbudowywaną kamienicę.

– Co: tam? – zapytał, spoglądając mniej więcej na wschód, ale z poziomu ulicy nie dostrzegł niczego interesującego.

– Dym! Hen, daleko za domami! Chyba coś wybuchło! – darł się Janiczek.

– Ty lepiej patrz, czy jakieś pokraki tu nie leżą! – krzyknął Fabian.

Wracając, zerknął za ogrodzenie. Ewa leżała na ziemi, struchlała. Magdziarek podnosił się właśnie, był tuż obok niej, w dłoni trzymał młotek.

– Cangaceiro!

– Przecież ja nic... – wybąkał oszołomiony wciąż bandyta.

– Waruj!

Sprycha przeszedł na rozwidlenie.

Grzelak ponownie zwarł przewody, tym razem już nie tak ostentacyjnie. Silnik zaskoczył i – choć pracował nierówno – nie wyglądało na to, by miał zgasnąć.

Złotowa wrzucił wsteczny i kierowany przez Sójkę podprowadził więźniarkę pod ścianę, ustawiając ją w poprzek wylotu bocznej ulicy. Plan był prosty. Dwa stary, ustawione w jednej linii, stworzą coś na kształt barykady. Trzeci zablokuje niezabezpieczoną bramę zajezdni, a ostatni... Wóz, z którego uciekli, posłuży im do realizacji finalnego etapu tej operacji.

Ulfig także zdołał odpalić maszynę, która następnie z pomocą Nerynka trafiła na swoje miejsce. Pomiędzy ściętymi maskami obu ciężarówek pozostał jednak prawie dwumetrowy odstęp. Fabian cofnął się, robiąc miejsce Marutowi i Szczygłe, którzy przepychali beżowego wartburga, jedną z dwu osobówek, jakie stały na tym odcinku Słowiańskiej. Druga z nich, biała syrena, znajdowała się na razie zbyt daleko, by ją tu ściągać. Zaparkowano ją kilka metrów od zakratowanego wejścia do baru „Pod Jedyką”.

– Musimy, szefie? – zapytał Grzelak, podchodząc do Fabiana. – Toż to takie cacko...

Żał mu było nowiusieńkiej enerdowskiej trzystajedenastki. O takiej marzył, jak wszyscy jego koledzy, kiedy jeszcze siedział zawodowo za kółkiem.

– Masz lepszy pomysł?

Złotowa pokręcił głową.

– Nie mam, ale żał niszczyć taki skarb.

Sprycha się zaśmiał.

– Teraz wszystkie auta na mieście są nasze. Znajdziesz sobie coś lepszego.

Na jego znak pięciu chłopów zaparło się i zaczęło rozhuśtywać ustawioną w poprzek ulicy limuzynę. Wystarczyło pięć wahnień, by poleciała na bok i z głośnym zgrzytem zablokowała wyrwę.

Pozostało już tylko zabezpieczenie przestrzeni pod starami, ale to Fabian miał od dawna przemyślane. Chłopaki najpierw przebili opony w obu ciężarówkach, by zmniejszyć wysokość prześwitu, potem przenieśli znalezione w magazynie za placem manewrowym zapasowe drzwi przesuwne do tramwajów, które rozstawili wzdłuż burt, a na koniec podparli barykadą usypaną z belek, desek, cegieł i worków wypełnionych piaskiem.

Gdy szykowali barykadę, znów zaskoczył ich potężny huk. Tym razem usłyszeli trzy następujące krótko po sobie wybuchy, które zwielokrotniło echo odbijające się od ścian pobliskich kamienic. Przez to eksplozje wydały się im głośniejsze i bliższe niż w rzeczywistości.

– Co jest, jak pragnę zdrowia? – Kaczmarek dał wyraz swemu zdziwieniu, otrzepując z pyłu spodnie, po tym jak ponownie padł na bruk.

Oprócz niego tylko dwie osoby zareagowały równie nerwowo: Nerynk i Ewa.

– Chcesz iść sprawdzić? – rzucił poirytowany Fabian, który zdołał się wprawdzie powstrzymać przed paniczną reakcją, ale też czuł niepokój.

– Niespecjalnie – mruknął złodziej.

– No to bierz się do roboty.

Na wózkach, które podciągnęli prawie pod furtkę, zostało jeszcze trochę tramwajowego złomu i ponad dwadzieścia ciężkich worków. Obrócili z tym wszystkim w parę minut. Jakuba w tym czasie zaparkował trzecią więźniarkę przy ogrodzeniu, tarasując ostatnią bramę. Tam też powtórzyli całą operację z drzwiami, gruzem i workami. Poszło im szybciej, ponieważ nie musieli wynosić tego tałatajstwa na ulicę, a stos przygotowanych uprzednio materiałów znajdował się zaledwie kilka metrów od stara.

– A teraz, moi panowie... – Sprycha stanął na stopniu kabiny ostatniego z wozów konwoju – pora na wielką nagrodę! Wszyscy

na pakę! – rozkazał, zeskakując na jezdnię.

– A szef dokąd? – zawołał za nim Grzelak.

– Zaraz wróczę!

Fabian przeszedł wzdłuż ogrodzenia, mijając obu odmienionych chłopców. Stał przy furtce i kiwając palcem, przywołał do siebie Ewę.

– Oddasz mi teraz dziecko? – zapytała, nie podnosząc głosu i nie spuszczając wzroku z mamroczącego coś do siebie Magdziarka, który wciąż nie schował młotka.

– Jeszcze nie skończyliśmy. – Odsunął się, robiąc jej przejście, ale nawet nie drgnęła. – Wiesz, mnie tam wszystko jedno, muszko, czy pójdiesz ze mną czy zostaniesz tutaj – dodał, ruszając w stronę czekających przy ciężarówce ludzi.

Zerwała się z chodnika i wypadła za furtkę, jakby jej ktoś spódnicę podpalił. Gdy znalazła się na ulicy, Sprycha rzucił młotkowemu klucze, jak było umówione.

– Dlaczego nie pozwolicie mi odejść? – dopytywała Ewa, drepząc krok za nim. – Przecież zrobiłam, co chcieliście.

– A ja dałem słowo, że oddam ci córkę, jak tylko dokończymy robotę – zapewnił ją po raz kolejny. – Zostało nam już tylko jedno... Chcemy dostać się do tego baru – wskazał czarną kamienicę w głębi ulicy – a to znaczy, że musimy oddalić się bardziej od ogrodzenia zajezdni. Wiesz, muszko, ja naprawdę lubię tego drania – odprowadził wzrokiem znikającego między tramwajami Magdziarka – ale głowy za niego nigdy bym nie dał. Naprawdę będzie lepiej, jeśli pojedziesz z nami.

Nie spoglądał w jej kierunku, zatem nie wiedział, jak zareagowała na te słowa, i było mu to obojętne. Ważne, że poszła z własnej woli i dała się bez oporów wsadzić do kabiny stara. Siedzący za kierownicą Ulfig skrzywił się na jej widok, ale zmilczał. Znał swoje miejsce w szeregu, poza tym zdążył już zrozumieć, że Fabian nie robi niczego przypadkiem. Choć tego nie było we wspólnie omówionym planie, na pewno miał ukryty cel w ciągnięciu ze sobą tej kobiety.

Podjechali pod lokal kilkanaście sekund później. Gdy pozostali opuścili pakę, Jakuzza ustawił więźniarkę tyłem do wejścia, aby

mogli przymocować do zderzaka łańcuchy, którymi polecono im wyrwać chroniącą drzwi kratę.

– Zaczekajcie! – Sprycha wyskoczył z kabiny, zanim zdołali przepleść ogniwa przez grube na palec pręty. – Ty! – wskazał Kaczmarek. – Taki cwany jesteś, więc pewnie dasz radę ją otworzyć?

Złodziej obrzucił wzrokiem sporą, czarną, chyba jeszcze poniemiecką kłódkę.

– Znaczy, żeby nie zniszczyć? – uściślił.

Fabian przytaknął.

– No niby dam – rzucił po chwili zastanowienia Tomek – ale to na pewno potrwa, no i przydałyby się jakieś narzędzia. Nie prościej ją rozpieprzyć? Do tego wystarczy majzel i zwykły jasiek.

– A te zamki? – Sprycha wskazał drzwi za kratą.

Złodziej zaśmiał się w głos.

– Takie gówna to zwykłym drutem pootwieram, jak szef da minutkę albo dwie.

– Dobra – zdecydował Fabian. – Rozpieprzaj kłódkę, a potem bierz się za zamki. Jakuza, daj Kozakowi swoją skrzynkę narzędziową.

Kaczmarek zatarł ręce. Pasowało mu to nowe przezwisko. Sprycha dość szybko ponadawał swoim ludziom łatwe do zapamiętania ksywki. Po części były to pseudonimy, które nosili już wcześniej, za kratami, ale w przypadku tych, których poznał dopiero niedawno, wymyślił nowe, własne. I tak Janiczek został Dymkiem, Marut Otellem, Sójka Mojką, Nerynk Siatą, Morawiec Młodym, Zgorzelski Pigolem, a Perek Cyjankiewiczem. Na razie w rozmowach między sobą częściej używali własnych imion, ale z wolna przyzwyczajali się do ksywek, a co najważniejsze, reagowali na nie jak powinni.

– Zarąb, zasuwasz na czujkę! – Fabian popchnął Szczyglę w kierunku znajdującej się tylko kilkanaście metrów dalej przecznicy. – Złotowa, ty obczajasz tyły! – Drugi członek gangu został wysłany na skrzyżowanie, które musieli minąć, jadąc pod bar.

Na szczęście w okolicy nie było wielu nieumarłych, ale Fabian

uznał, że lepiej dmuchać na zimne, pamiętając, co wynikło z pojawienia się na ulicy jednego psa. Nie wiadomo przecież, czy jakiś inny kundel nie przyprowadzi z takim trudem usuniętych odmieńców.

Reszta chłopaków stała po obu stronach ciężarówki, czekając, aż włamywacz skończy odbijać kłódkę, a potem rozprawi się z dwoma zamkami. Kaczmarek nie kłamał. Krata stanęła otworem, zanim Grzelak dotarł na wyznaczony posterunek. Zdrzwiami poszło mu jeszcze szybciej. Nie minęła minuta i Sprycha mógł wejść do pogrążonego w półmroku, pachnącego piwem i kiszoną kapustą wnętrza. Wymacał kontakt na ścianie po prawej i przekręcił go bez wahania.

Blask bijący od sześciu brudnych lamp rozświetlił sporą salę przystrojoną kotylicjami, wstążeczkami i balonikami, jakby miała się tutaj odbyć jakaś impreza. Chrzyciny, wesele albo imieniny kogoś, kto miał sporo hajsu i koneksji. Miasto, w którym na każdym kroku odkażano klamki i bano się nawet podać rękę na powitanie, zaprzestało świętowania już parę tygodni temu, o czym osadzeni nie mogli wiedzieć, ale i tak byli zdziwieni tym widokiem.

Sprycha obszedł ciąg zestawionych stolików nakrytych najlepszymi obrusami, wodząc dłonią po oparciach prostych, znacznie podniszczonych krzesel. Dwa z nich, przystrojone tiulem, ozdobiono tabliczkami z napisem, który głosił: „Na zawsze razem”. *Zatem to ślub. A jak ślub, to i weselisko. A na weselisku, nie ma bata, gorzała musi łąć się strumieniami, a żarcie powinno być lepsze od klasycznej meduzy.* Fabian zarechotał na myśl o tym, że obłowią się bardziej, niż mógł marzyć.

– Nieźle... – podsumował, obrzucając wzrokiem dwa stojące w przyległym pomieszczeniu stoły bilardowe, które zapobiegliwy szynkarz kazał przesunąć pod ściany, robiąc miejsce na tańce. – Siata, Cyjankiewicz, sprawdźcie, czy wszystkie okna są porządnie zakratowane i czy nie ma stąd jakiegoś tylnego wyjścia. – Fabian wydał kolejne polecenie, badając spojrzeniem kontuar.

Na zakurzonej półce stało kilka napoczętych butelek gorzały. „Siwucha”, „Czysta Zwykła”, „Bałtyk” – nic specjalnego, jak to w takiej speluncie. Sprycha uśmiechnął się szerzej dopiero wtedy, gdy zerknął za kontuar. Z dala od wzroku klientów stał równy rząd flaszek. Kilka sowieckich szampanów i ze dwa tuziny półlitrowek „Żytniej”. Obok piętrzył się stos skrzynek wypełnionych butelkowanym „Piastem”. Właściciele tego przybytku dobrze zaopatrzyli się nie tylko na wesele, ale i na nadchodzący gorący weekend, niestety zaraza pokrzyżowała im śmiałe plany ogolenia z kasy okolicznych moczymord. *Nie ma jednak tego złego, co nie wyjdzie na dobrze*, pomyślał Sprycha, dziękując w duchu zapobiegliwemu szynkarzowi i parze młodej, dzięki którym będzie mógł zaspokoić jedno z najsilniejszych pragnień swoich kompanów. Wiedział, że dostarczanie im satysfakcji jest równie ważne jak budzenie w nich strachu. Dlatego ogromnie mu zależało na jak najszybszym zdobyciu sporej ilości alkoholu.

Perek i Nerynk szybko obeszli wszystkie pomieszczenia, przynosząc dobre wieści.

– Okna zostały zakratowane prawie tak dobrze jak u nas za murem – podsumował krótko Olaf.

– Na zapleczu to nawet lepiej – dodał Paweł. – Drzwi od tyłu podwójne, skrzydło od środka stalowe. Na trzy zasuwki zamykane.

– Cyjankiewicz, każ Kozakowi, żeby poblokował te zamki od wewnątrz – polecił Sprycha. – Tylko tak, żeby za diabła nie dało się ich otworzyć.

– Szefie, można na słówko? – zagadnął Ulfig, ustępując miejsca wychodzącemu na zewnątrz trucicielowi.

– Mów.

– Ja w sprawie tej tam... – Jakuzka wskazał kabinę stara.

– Co z nią?

– Wiem, że szef ma wszystko poukładane i tak dalej, ale... – Zawahał się. – Chodzi o to, żeby się jej nie pozbywać. Wie szef, brom przestaje już działać, lada moment chłopaków zaczną brać chcica, a ona zdrowa, jurna baba. Rozumie szef, bardziej nam się

nada tam, w zajezdni... – zawiesił znacząco głos.

Fabian pochylił się do niego, jakby nie chciał, żeby wynoszący alkohol usłyszeli, co ma do powiedzenia. Od samego początku zdawał sobie sprawę, że mogą mu wypomnieć zbyt pochopne wytracenie kobiet, lecz jak słusznie zauważył wytatuowany Ślżak, miał plan.

– Te cztery młódki z willi zostawiłem właśnie na tę okoliczność – rzekł.

– Co to cztery dupy na tyłu chłopa? – Darek także zniżył głos. – Nas przecie tuzin jest, nie licząc szefa – dodał, mając w domyśle, że Fabian zafasuje sobie jedną z dziewczuch na własność.

– Rozejrzyj się – odparł Sprycha, a gdy Ulfig potoczył wzrokiem po ścianach, zaśmiał się w głos. – Nie po szynku, tylko po okolicy. W pobliskich kamienicach jest tyle młódek, może nawet jeszcze nie branych, że nie przelecicie ich do usranego końca świata. Co ja mówię, całe to pieprzone miasto może być naszym folwarkiem i haremem w jednym. Za tydzień albo dwa, jak bydlu pokończy się żarcie, te dziunie zrobią dla nas wszystko, rozumiesz? Naprawdę wszystko.

– No niby racja – przyznał Jakuz – ale tę możemy już wyobrazać...

– Możemy... – powtórzył nieobecny głosem Sprycha. – Skoro o obracaniu mowa, będziesz niańczył jej bachora? – zapytał, kompletnie zaskakując Ulfiga.

– A na cholerę mi ten zasraniec?

– Myślisz, że muszka da ci dupy po tym, jak zabijemy jej dziecko? Naprawdę? Idę o zakład, że przegryzie gardło pierwszemu, który spróbuje ją tknąć.

– A ja myślę, że da. Nie z takimi sobie radziłyśmy, jak przyszło co do czego, hyhyhy. – Jakuz zacisnął pięść, pokazując, że zmuszanie kobiet do uległości nie jest mu obce, podobnie zresztą jak co najmniej połowie tej bandy.

I tym się różnili. Fabian, choć oskarżony o okrutniejsze zbrodnie, nigdy wcześniej nie przymuszał kobiet do seksu. Nie musiał tego robić, ponieważ same lepiły się do niego jak przysłowiowe muchy – stąd właśnie wziął niby pieszczotliwe

określenie, które tak bardzo podobało się jego ofiarom. Co za tym idzie, nie pojmował, jaką przyjemność można czerpać ze spółkowania z pobitą do nieprzytomności albo upitą w trupa babą. To jakby wkładać kuskę w kawał surowej wątroby czy innego mięcha, jak to mają w zwyczaju robić czeladnicy u wsiowego masarza. Tak to przynajmniej wyglądało z jego perspektywy.

Przecież w tym wszystkim chodzi o wzajemny kontakt, o chłonięcie reakcji drugiej osoby. Czyż nie to jest najprzyjemniejsze w intymnych zbliżeniach? Czyż nie dlatego cucił ofiary za każdym razem, gdy omdlewały, czyż nie dlatego dostosowywał tempo skórowania do wytrzymałości każdej z nich i tak bardzo się starał, by któraś nie skończyła przed czasem? Czyż nie dlatego musiały być do samego końca świadome tego, co im robi? Gdyby było inaczej, czym by się różnił od wspomnianego rzeźnika, bezrozumnego buca, który pracuje w rzeźni i bezrefleksyjnie rozbiera od rana do nocy tłuste maciory bądź inne jałówki?

– Wiesz, że dałem jej słowo, a u mnie ono zawsze droższe pieniędzy? – postanowił zmienić podejście.

Jakuza rozszerzył oczy, zanim zrozumiał, że z tym argumentem nie podyskutuje.

– Nie chce jej szef chyba puścić? – zapytał ostrożnie.

– Nie chcę.

– No to jak...

– Nie gadaj tyle, tylko chodź. – Wyszli na ulicę, tam Sprycha gwizdnął na Grzelaka, a kiedy ten obejrzał się przez ramię, zawołał: – Czysto?

Złotowa skinął głową, pokazując uniesiony kciuk.

– Spokój większy niż na comiesięcznym spotkaniu ZBoWiD-u – odkrzyknął.

– Świetnie. – Fabian odwrócił się do Jakuzy. – Zasuwasz do willi. Każ Pigolowi zebrać wszystkie bachory. Przyprawdzicie je tutaj. Znaczy do baru. Tylko migiem! – Zdezorientowany Ulfig przytaknął, zaczął się odwracać, ale zamarł w pół ruchu, jakby dopiero dotarło do niego, co usłyszał.

– Wszystkie co do jednego?

– Nie. Co drugiego wystrzelcie po drodze z procy, najlepiej na Księżyc. Rób, co mówię, bo nie chcę sterczeć na tej ulicy dłużej niż to konieczne – ponaglił go Sprycha. – Aha, i powiedz Cangaceiro, że już czas.

* * *

Zanim Jakuzza sprowadził dzieci, pozostali zdążyli wyczyścić zaplecze baru, niewielki magazynek wypełniony weselnym pieczystym i wędlinami, a potem zabrali się do pozbawionej okienek piwniczki, w której właściciele trzymali beczki z kapustą, słoje kwaszonych ogórków, płaty solonej słoniny, smalec w kamiennych garnkach i worki mąki. Samej wódki wynieśli stamtąd cztery tuziny półlitrowych flaszek, do tego kolejnych dwanaście skrzynek butelkowanego „Piasta” i dwie beczki lanego z tego samego browaru.

– Nie zapomnijcie, barany, o kuflach i stakanach! – zawołał Fabian, gdy ostatni z jego ludzi przeniósł zdobycz na więźniarkę.

Kaczmarek natychmiast wskoczył za kontuar, by zebrać naręcza szkła. Podawał je każdemu, kto podszedł, dopóki nie ogołocił całej lady.

– Będziemy pić jak pany, kochanie, nie chamy! – zarechotał, mijając osowiałą Ewę.

Sprowadzona do szynku kobieta nie odpowiedziała, zmierzyła go tylko pogardliwym spojrzeniem.

– Macie już tę swoją berbeluchę – wycedziła, odwracając się do Sprychy. – Czy teraz oddasz mi dziecko i pozwolisz odejść?

– Tak.

Ta zwięzła i raczej niespodziewana odpowiedź sprawiła, że Ewa zaniemówiła. Dopiero po chwili odzyskała głos, a i tak, gdy otworzyła usta, słowa z trudem przeciskały się przez zaciśniętą krtań.

– Na... prawdę?

– Tak. Posłałem już człowieka do willi. Zaraz powinien wrócić. – Gdy kończył to mówić, dostrzegł zdziwienie malujące się na twarzach ludzi czekających na zewnątrz przy starze. Uśmiechnął

się więc przyjaźniej. – Siadaj – przysunął jej krzesło.

Pokręciła głową.

– Biorę dzieciaka i już mnie tu nie ma.

– Jak tam sobie chcesz – wzruszył ramionami – ale najpierw posłuchasz, co mam ci do zakomunikowania. Siadaj, proszę.

Opadła ostrożnie na rozchybotane siedzisko, wciąż patrząc mu prosto w oczy, ale odwzajemniał to spojrzenie z obojętnością i spokojem, które wydały jej się pocieszające. Moment później oczy zrobiły jej się okrągłe ze zdziwienia, gdy zobaczyła pierwsze z wprowadzanych do baru dzieci.

– Co wy kombinujecie? – szepnęła, blednąc.

– Nic.

– Zatem co robią tu te wszystkie maluchy? – wskazała gromadkę zapłakanych chłopców i dziewczynek, wprowadzonych i zostawionych w głębi pomieszczenia, przy samym kontuarze.

– Przyrzekłem, że ani ja, ani żaden z moich ludzi nie ruszy ciebie i tych zasrańców, a musisz wiedzieć, że zawsze dotrzymuję słowa – odparł Fabian, nadal uśmiechając się przyjaźniej. – Pigol, oddajże pani jej dziecko – rzucił przez ramię, a gdy Zgorzelski wykonał polecenie, cofnął się za nim, lecz tylko o dwa kroki, przekrzywiając przy tym lekko głowę, jakby widok czułości okazywanej przez młodą matkę jedynej pociesze sprawiał mu niekłamaną przyjemność.

– Hej, zasrańce! – rzucił radosnym tonem do reszty dzieciaków. – Patrzcie!

Sięgnął po kartonowe pudełko po butach, stojące na samym końcu lady, chwycił je w obie dłonie i szybkim ruchem posłał pod sufit mrowie białych, wyciętych z papieru motyli. Weselne ozdoby odbiły się od sklepienia, po czym zaczęły opadać, wirując niczym prawdziwy rój owadów. Zdumione dzieci zadarły główki, spoglądając z otwartymi ustami na ten niesamowity spektakl.

Dobrze to sobie wykombinował. Nawet tuląca do piersi córkę Ewa nie zareagowała od razu na fakt, że Cangaceiro wpycha do baru obitego Macińskiego. Upojona odzyskaniem dziecka i obietnicą rychłego uwolnienia kobieta straciła na moment

czujność, a opadające powoli motyle rozproszyły ją jeszcze bardziej. O to właśnie chodziło Sprysze.

Odwrócił się do trzymanego tuż za progiem ciecia.

– Powtórzę, bo pewnie żeś pan nie słyszał tego, co przed chwilą powiedziałem. Przynależem, że ani ja, ani żaden z moich ludzi nie tkniemy palcem tych szczyli i kobiet, które wykonają postawione przed nimi zadanie... – Cieć łypał na niego spode łba, niewiele z tego wszystkiego rozumiejąc. Został zamknięty w piwnicy zaraz po schwytaniu, nie mógł więc wiedzieć, co dokładnie się wydarzyło na Słowiańskiej w ciągu ostatniej godziny. Magdziarek wyprowadził go boczną furtką, za dziećmi, zatem nie widział też odmienionych chłopców przy ogrodzeniu ani piaskownicy ze spętanymi ofiarami. – Właśnie dlatego pan to za nas zrobisz – dokończył przyjaznym tonem Fabian.

Zanim cieć pozbierał myśli, Sprycha chlasnął go ukrytym w dłoni nożem po gardle, równocześnie uskakując z drogi, by Cangaceiro mógł wepchnąć dławiącego się własną krwią mężczyznę w głąb sali.

Mgnienie oka później, zanim Ewa zdążyła się zerwać z krzesła, a dzieciaki wydrzeć ponownie gęby, obaj bandyci wypadli z szynku, zatrzaszkując za sobą drzwi. Krata trafiła na miejsce sekundę później, Kaczmarek zablokował ją zaraz grubym drutem, skręcając go po kilkakroć, jak mu polecono. Zdążył odskoczyć, zanim popchnięte od środka skrzydło uderzyło w metalowe pręty. Ewa napierała na nie z całych sił w szaleńczej desperacji, jednakże blokowane przez kratę nie dało się otworzyć na tyle, by w prześwicie zmieściła choćby dłoń.

Przeraźliwe piski uwiecznionych dzieci zagłuszały jej złorzeczenia, ale po kilkunastu sekundach zauważyli, że zniknęła spod drzwi. Sprycha usłyszał stłumiony brzęk tłuczonych szyb, lecz nie przejął się tym zbyt. Kazał przecież sprawdzić, czy wszystkie okna są zakratowane. Niech walczy, niech próbuje, choć i tak nie ma najmniejszych szans. Chlasnął Macińskiego tak, by ten wykrwawił się prawie natychmiast, zatem jeszcze moment i „Pod Jedyką” pojawi się bezlitosny, nieumarły kat, który zadba o nią, jej córkę i resztę dzieci.

– Patrzcie, panowie, i uczcie się – zwrócił się do kompanów, gdy piski dzieciarni wzmożyły się jeszcze bardziej, co świadczyło zapewne o zmartwychwstaniu ciecica. – Trzeba honorowym być, zawsze danego słowa dotrzymywać, jak ja to ro...

Nie dokończył, instynktownie wtulił głowę w ramiona, gdy od strony centrum dobiegł huk kilku kolejnych eksplozji. Zanim przebrzmiały echa, stojący na czujce Szczygło wrzasnął coś niezbyt zrozumiałe, machając przy tym rękami.

– Panowie, do wozu! – Sprycha chciałby doczekać końca zaplanowanego przedstawienia, chciałby usłyszeć, jak bachory milkną kolejno, aż za drzwiami zapanuje martwa cisza. Ot, taka namiastka satysfakcji, która niestety nie była mu dana. Coś wydarzyło się za rogiem; sądząc po reakcji Szczygły, coś wielce niepokojącego. Wolał więc nie ryzykować, skoro był już tak bliski sukcesu. Gdy pozostali zajmowali miejsca na pace, między stosami skrzynek i worków, gestem nakazał Grzelakowi wycofanie się na teren zajezdni. Star, według ustalonego wcześniej planu, miał podjechać do bocznej bramy, tej przy wiadukcie.

– Ruszaj! – wskoczył do szoferki rozwścieczony faktem, że z wnętrza szynku wciąż dobiegają wrzaski wielu dzieci.

Jakuza natychmiast wcisnął pedał gazu, ale zanim więźniarka dotarła w pobliże skrzyżowania, przy którym czatował Zarąb, zza rogu kamienicy wypadł zaprzęg. Dwa spienione konie ciągnęły za sobą strzaskaną w połowie furmankę. Pozbawione opony przednie prawe koło krzeszło iskry o bruk. Spłoszone zwierzęta próbowały skręcić na widok wyłaniającej się równie niespodziewanie rozpedzonej ciężarówki, ale ten ostry zwrot doprowadził tylko do wywrócenia się resztek wozu, co spotęgowało chaos i spowolniło szkapy jeszcze bardziej. Pierwszy deresz poślizgnął się, pociągając na kocie łby drugiego.

– Ja pierdolę – jęknął Jakuz, podejmując w ułamku sekundy jedyną słuszną decyzję.

Ostre hamowanie zakończyłoby się niezłą masakrą na pace, dlatego odbił lekko w lewo, aby przejechać między zdezorientowanym Szczygłem a tyłem idącej w drzazgi furmanki.

Wyhamował tak łagodnie, jak to było możliwe, choć rzucając od burty do burty git-ludzie i tak go za to skłębili, a potem natychmiast wrzucił wsteczny, by oddalić się od okupującej jezdnię za skrzyżowaniem hordy zarażonych. Gdy znów się zatrzymał, by zabrać ostatniego członka gangu, gwizdnął tylko, zerknąwszy w lusterko. Zarząd prowadził w kierunku starych dwu ubrane po wiejsku młode kobiety. Były brudne, poobdzierane i zakrwawione, ale poruszały się żwawo.

– No to macie ich już sześć – skwitował Fabian, który moment później także je zauważył.

Ulfig przytaknął i znów wcisnął pedał gazu, gdy dano mu znak, że może ruszać. Nie rozpędzał się jednak tak bardzo jak za pierwszym razem, ponieważ przed sobą miał wciąż oszalałe ze strachu konie, a i brama znajdowała się niedaleko. Poza tym zamierzał uniknąć dalszych strat w zdobytym towarze. Ludźmi mniej się przejmował.

Gdy star wjechał między otwarte na oścież metalowe wrota, pilnowane przez Młodego, spoglądający w stronę wiaduktu Sprycha chwycił kierowcę za ramię.

– Zatrzymaj się! – rzucił niespodziewanie.

Darek usłuchał, a gdy tylko ucichł pisk hamulców, Fabian wypadł jak oparzony z szoferki i pognał ku głównej ulicy. Nie zatrzymał się przy bramie, lecz minął ją i wybiegł na środek jezdni. Tam dopiero stanął, twarzą do wiaduktu, pod którym przed momentem zniknęły spłoszone konie.

– Szefie! – wydzielali się Nerynk i Perek, którym zlecił wcześniej zadanie zabezpieczenia terenu zajezdni od tej strony.

Fabian zbył ich machnięciem ręki. Nawet na moment nie oderwał wzroku od zabijanych przez nieumarłych koni, które znalazłszy się pod torami, trafiły w sam środek liczącej ponad stu zarażonych hordy. Przerażone zwierzęta nie miały najmniejszych szans, mimo że miotały się szaleńczo, tratując ociężałych przeciwników. Otoczone ze wszystkich stron padły i zostały niemal natychmiast rozszarpane. Sprycha nie ruszył się jednak z miejsca przez kolejne pięć minut, od czasu do czasu tylko zerkając na boki albo za siebie, by nie zaskoczył go jakiś

nieumarły maruder. W końcu dołączył do niego zaniepokojony Magdziarek.

– Lepiej stąd chodźmy, szefie. – Pociągnął Fabiana za rękaw koszuli.

– Czekaj...

– Na co?

– Chcę wiedzieć, czy ożyją.

– Kto? – Nic nie rozumiejący Cangaceiro rozejrzał się bojaźliwie.

– Nie kto, tylko co.

– Co?

– Czekaj, powiedziałem. – Sprycha wyswobodził się z chwytu młotkowego. – Patrz – dodał, gdy wokół koni zrobiło się na powrót pusto. – Patrz i ciesz się, durniu.

– Ale z czego? – Magdziarek spoglądał na niego z coraz większym niepokojem.

– Z tego, że nasze szanse na przeżycie właśnie ogromnie wzrosły!

sobota, 10 sierpnia 1963, godzina 15:00
Miejski Ogród Zoologiczny przy ulicy Wróblewskiego 1-5

Ostatnie wozy wróciły do bazy w Hali Ludowej kilka minut przed piętnastą. Operacja Barykada zakończyła się pełnym sukcesem. Wszystkie zespoły wykonały postawione przed nimi zadania, a poza utratą drużyny wysłanej na Wyspę Szczytnicką nie odnotowano żadnych poważniejszych incydentów. Po stronie zysków można było zapisać zdobycie ogromnych ilości zboża oraz – co nie mniej ważne – sprowadzenie do bazy ponad stu marynarzy znających wszelkie tajniki żeglugi śródlądowej.

Biedrzycki odwiedził ich zaraz po przywiezieniu, pozostawiając nadzór nad resztą działań kapitanowi Bernaciakowi. Rozmowa była tyleż krótka, co owocna. Większość marynarzy przebywających obecnie na terenie wytwórni filmowej pochodziła z innych regionów kraju, siłą rzeczy nie miała więc wyboru i musiała przystać na propozycję współpracy. Ci, których od domów i rodzin dzieliło czasem zaledwie kilka kilometrów, także nie stawali okoniem, poznawszy prawdziwe rozmiary zagrożenia. Tylko ośmiu rodowitych wrocławian postanowiło szukać szczęścia na własną rękę, na co major po krótkiej chwili wahania wyraził zgodę.

Tak naprawdę nie potrzebował aż tylu marynarzy – dziesięć pełnych załóg wystarczyłoby w zupełności, by zrealizować plany snute przez podporucznika Niznera, tymczasem tą setką obsadziłby i dwadzieścia pięć pchaczy albo barek. Mógł więc – gdyby zaszła taka potrzeba – sprowadzić na kanał Nawigacyjny drugie tyle jednostek pływających, które od piątku wieczorem cumowały w górnym biegu Odry.

Po owocnym spotkaniu jeden z szyprów, niemłody już, lecz wciąż postawny mężczyzna nazwiskiem Mateusz Gaździński, skontaktował się przez dostarczoną radiostację z kolegami,

k którzy utknęli między Wrocławiem a Opolem. Nizner nie mylił się, oceniając, że na tym odcinku Odry może znajdować się kilkanaście albo nawet więcej barek, niestety miał także rację w innej kwestii: zdecydowana większość przewoziła węgiel ze śląskich kopalni, który tą drogą miał trafić do portu w Szczecinie. Czarne złoto, choć bardzo cenne i przydatne, nie znajdowało się chwilowo na liście priorytetowych potrzeb opanowanego przez zombie miasta, tak więc Bartek za pośrednictwem wspomnianego Gaździńskiego poprosił kapitanów, aby ci wstrzymali się z wybieraniem kotwic i pozostali przez kilka kolejnych dni we względnie bezpiecznym miejscu, jakim było oddalone od większych skupisk ludzkich koryto rzeki.

Zamierzał ściągać tych ludzi na Wielką Wyspę, ale pozostawić przeważającą część jednostek pływających tam, gdzie obecnie się znajdowały. Obawiał się, że sprowadzenie do Wrocławia kolejnych dziesiątków barek naraz zagrozi kompletną blokadą kanałów i co gorsza, zniweczy jego dotychczasowe działania zmierzające do odcięcia Wielkiej Wyspy od reszty aglomeracji. Bez trudu bowiem potrafił sobie wyobrazić sytuację, w której dochodzi do dowolnego zdarzenia losowego skutkującego zerwaniem cum, kolizją lub wpadnięciem w dryf jakiejś ściągniętej jednostki. W takim wypadku stojące jedna przy drugiej barki zatarasowałyby w okamgnieniu koryto rzeki, tworząc coś w rodzaju szerokiego i praktycznie niemożliwego do usunięcia mostu pontonowego, którym nieumarli czy też inni niechciani goście mogliby przechodzić na zabezpieczony już teren, i to tabunami.

Opuściwszy wytwórnę filmową, major dokonał zaplanowanej wcześniej inspekcji wysuniętych posterunków od strony Pergoli. Tam także panował zadziwiający jak na obecne warunki spokój. Hektary poniemieckiego parku otaczającego rozległy kompleks Hali Ludowej stanowiły idealną strefę buforową. Znajdujące się za nimi niewielkie osiedla domków jednorodzinnych, z tego, co donosili wysyłani regularnie na przedpola zwiadowcy, wydawały się całkowicie wyludnione. Po krętych uliczkach, w odróżnieniu od centrum miasta, kręcili się co najwyżej pojedynczy nieumarli.

Nieco więcej zombie napotymano za solidnymi parkanami i ogrodzeniami poniemieckich posesji, ale nadal chodziło o maksymalnie kilkuosobowe grupki, nie zwarte hordy, z jakimi ścierały się wysyłane do Śródmieścia oddziały milicji i wojska.

W oparciu o te informacje Biedrzycki zdecydował, że ta okolica powinna zostać oczyszczona w pierwszej kolejności. Nie wykluczał, że wyśle ludzi już jutro, i to zanim uzyska odpowiedź na nadane wezwanie. Nagrał odezwę do ocalonych mieszkańców Wrocławia, nawołując ich, by nazajutrz w samo południe podpalili przedmioty mogące dać najwięcej dymu. Nizner podrzucił mu wcześniej kilka ciekawych sugestii w tej materii, by mniej obeznani z tematem wiedzieli, czego szukać w mieszkaniach, na strychach, w ogródkach i po piwnicach.

Perspektywa wspinaczki na szczyt kopuły wieńczącej zadaszenie gigantycznej hali, która wznosiła się teraz przed nim w całej okazałości, napawała majora obawą. Nie dlatego, że bał się wysokości, gdyż z tym akurat jako były spadochroniarz nie miał najmniejszego problemu. Ciążyła mu myśl, iż po wybiciu dwunastej na błękitnym niebie nie pojawi się żadna siwa smużka albo będzie ich tak niewiele, że poświęcanie żołnierzy, których ocalił, wyprowadzając w ostatniej chwili na wyspę, straci sens.

Biedrzycki musiał się zmierzyć z rzeczywistością. Musiał zorientować się w sytuacji, zanim wyśle chłopców za rzekę, by narażali życie w imię szczytnych, lecz bezsensownych celów. Jeśli żołnierze zaczną ginąć w trakcie operacji oczyszczania sąsiednich dzielnic – a w obecnych warunkach wydawało się to nieuniknione – nie ratując przy tym nikogo bądź ratując co najwyżej pojedyncze osoby – wszystko pójdzie w diabły. Świadomość, że w prawie półmilionowej metropolii po zaledwie dobie nie ma już nikogo żywego, może załamać do reszty i tak już rekordowo niskie morale, co z kolei doprowadzi do fali dezercji i wiążących się z nią prób opuszczenia miasta w złudnej nadziei na znalezienie trudno dostępnych czy też odludnych terenów, których nieumarli nie zdążyli albo nie zdołali jeszcze opanować. *Kto wie, czy na domiar wszystkiego nie dojdzie do otwartego buntu, pozbycia się części kadry i – co chyba jeszcze gorsze –*

likwidacji zespołu doktora Arendzikowskiego, który jest ostatnią nadzieją na pokonanie zarazy.

Miejsce, w którym ostatni żyjący przedstawiciel triumwiratu przeprowadzał badania nad schwytanymi zombie, było ostatnim celem na trasie popołudniowego obchodu majora.

* * *

Arendzikowski siedział na rozkładanym krześle pośrodku ścieżki, dokładnie naprzeciw wzniesionej z czerwonej cegły przedziwnej budowli, która zupełnie nie pasowała do tego miejsca. Okrągłe baszty zwieńczone stylizowanymi blankami, schody wiodące na krużganki, łukowato sklepione zakratowane okna – wszystko to miało w zamyśle twórcy przypominać średniowieczną warownię, tyle że widzianą oczami rozmiłowanego w baśniach dziecka. Do tego sielskiego obrazka nie pasowało tylko jedno: nieumarli. Za każdą z krat znajdował się obecnie zombie, przewieziony bladym świtem z Ołbińskiej albo schwytany podczas niedawnego oczyszczania perymetru Hali Ludowej.

– Piękny zameczek znalazłeś swojej księżniczce – rzucił major, zbliżając się do zamyślonego doktora.

Bogdan nie zareagował na zaczepkę. Nadal wpatrywał się uważnie w dostarczoną mu przez Maweta pielęgniarkę. Biedrzycki także na nią zerknął. Coś mu nie pasowało w jej wyglądzie, postanowił więc podejść bliżej, ale zanim zdążył zrobić pierwszy krok, Arendzikowski chwycił go za rękę.

– Czekaj! – syknął i znów zamarł.

Przez dłuższą chwilę wpatrywali się w postać z grubsza już tylko przypominającą młodą kobietę. Twarz siostry Młocickiej była kompletnie sina, z niegdyś gęstych, jasnych, lekko kręconych włosów zostały już tylko pojedyncze pasma. Pokryte bielmem oczy wydawały się równie suche i matowe jak spękana skóra, a ciało było mocno napuchnięte. Jedna z pierwszych ofiar zarazy stała mocno przygarbiona, opierając się prawym ramieniem o mur, jakby zmogło ją zmęczenie. Wtem zaczęła prostować plecy...

Doktor poruszył się w tym samym momencie. Podniósł ukrytą do tej pory przed wzrokiem Bartka rękę, zatrzymując stoper.

– Trzydzieści sześć minut – wymamrotał, kręcąc w zadumie głową. – Niesamowite.

– Możesz mówić jaśniej?

– Ręka przyrosła jej po trzydziestu sześciu minutach – wyjaśnił Arendzikowski, zrywając się z krzesła. – Po raz ósmy.

– To rzeczywiście niesamowite – przytaknął Biedrzycki.

Zdolności regeneracyjne tych potworów przerażały go nie mniej niż fakt, że mogą być nieśmiertelne.

– Nie rozumiesz – mruknął Bogdan, zapisując coś pośpiesznie w kajeciku. – Niesamowite jest to, że proces regeneracji nie ulega spowolnieniu. Każdy z moich obiektów – wskazał na sąsiednie klatki – scala się dokładnie w tym samym czasie.

– Po trzydziestu sześciu minutach.

– Tak.

– Wy tłumaczysz mi, dlaczego tak cię to niepokoi?

Doktor machnął ręką, jakby dawał komuś znak. Gdzieś z tyłu zaskrzypiały dawno nie oliwione zawiasy. Młocicka i czworo innych nieumarłych z sąsiednich klatek obróciło się równocześnie, wyczuwając zbliżającego się człowieka albo ludzi. Arendzikowski i Bartek znajdowali się ponad dziesięć metrów od zewnętrznej ściany zameczku, za trawnikiem rozdzielającym ścieżki dla zwiedzających, byli więc dla odmieńców niewidzialni.

W boksie siostry Młocickiej pojawiło się dwóch mężczyzn w białych kitlach. Jeden trzymał w ręku widły na przedłużonym drzewcu, drugi sporych rozmiarów topór. Biedrzycki obserwował w milczeniu, jak ten pierwszy wbija zakrzywione zęby narzędzia w pierś nieumarłej, unieruchamiając ją na moment, aby jego kompan mógł wziąć szeroki zamach i zadać cios. Szerokie i niewątpliwie ciężkie ostrze opadło na bark Iny, rozszczepiając go aż po pachę. Ramię, które dopiero co odrosło, znów poleciało w zdeptaną trawę. Z wielkiej rany nie trysnęła jednak krew, jak można by się spodziewać. Na widłach także próżno było jej szukać, gdy już zostały wyszarpięte z torsu chwiejącej się nieumarłej. Asystenci doktora wycofali się, zanim

ofiara zdołała odzyskać równowagę.

– Chodź. – Arendzikowski pociągnął majora za sobą.

Minęli trawnik, kierując się na pierwszą kratę po lewej. Z bliska Bartek zauważył więcej zmian wprowadzonych do tej budowli. Dawny wybieg dla niedźwiedzi podzielono prowizorycznym, ale bardzo wytrzymałym ogrodzeniem, za pomocą którego udało się stworzyć sąsiadujące ze sobą boksy. W każdym z nich umieszczono po jednym nieumarłym.

– Poznaj pana Rago. – Bogdan wskazał człapiącego ku nim nagiego zombie z mocno zniekształconym torsem. Stwór ten wyglądał, jakby jego ciało zamierzało spłynąć ze szkieletu, lecz w ostatniej chwili zrezygnowało z tego szalonego zamysłu. – To nasz, niestety już były, radiolog.

Biedrzycki posłał mu zdziwione spojrzenie.

– Znaczy taki fachman od radia?

Doktor pokręcił głową.

– Nie, radiologia to nowa specjalizacja medyczna. Krótko mówiąc, patrzysz na mojego byłego asystenta od prześwietleń.

– Co mu się przytrafiło? – zapytał major, odwracając wzrok od okropnie zdeformowanego mężczyzny.

Nie miał pojęcia, że w szpitalu na Ołbińskiej również doszło do incydentów z udziałem nieumarłych. Wydawało mu się, że ta placówka jest najlepiej zabezpieczonym miejscem w całym mieście, a tu proszę...

– Około drugiej nad ranem kazałem mu zrobić prześwietlenie klatki piersiowej jednego ze świeżo dostarczonych okazów. Chłopak całą noc zapieprzał jak nakręcony. Wiesz, to był taki człowiek iskierka, zawsze wszędzie go było pełno. No i popełnił błąd, naprawdę niewielki, ale kosztowny. Ustawiając wózek pod aparatem rentgenowskim, nie dopiął jak trzeba paska unieruchamiającego rękę zarażonego. Odwrócił się na chwilę, żeby poprawić lampę i... Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, nie miał już serca. Bestia wyrwała mu je na naszych oczach i natychmiast wpakowała sobie do gęby. Wyobrażasz to sobie?

– Owszem. – Biedrzycki wzdrygnął się na myśl o tym, jak ta scena musiała wyglądać. – Ohyda.

– Pozbyliśmy się tego małego łysego amatora ludzkich serc, ponieważ chłopcy z ochrony zareagowali nieco zbyt emocjonalnie i niewiele z niego zostało, podobnie jak z aparatu... – Zamilkł na chwilę, wspominając jatkę. – I tak Piotr zajął jego miejsce w programie. Zawsze chciał przysłużyć się nauce, choć chyba nie do końca w taki sposób... – Arendzikowski cofnął się o krok, by nie sięgnęły go wysunięte przez kraty łapska.

– Co na nim testujecie?

– Działanie rozmaitych kwasów. Niestety nie mamy ich tyle, żeby doprowadzić do kompletnego rozpuszczenia ciała, więc testujemy punktowo, to tu, to tam.

Bartek zerknął raz jeszcze na ciastowate, jakby luzowane, ciało zombie.

– Ten nie regeneruje się tak dobrze jak Młocicka – zauważył.

– Godzinę temu potraktowaliśmy go trzystoma mililitrami wody królewskiej.

– Co takiego?!

– Z początku topił się jak boczek na patelni, ale po jakichś dwudziestu minutach proces rozpuszczania tkanek uległ najpierw zatrzymaniu, a potem samoistnemu odwróceniu. To było coś naprawdę niesamowitego, aczkolwiek – Arendzikowski pociągnął majora w stronę drugiej klatki – zaręczam ci, że wolałbyś tego nie oglądać.

W sąsiednim boksie stał szczupły mężczyzna. Krótko ostrzyżony, z kilkudniowym zarostem na twarzy. Musiał zginać całkiem niedawno, ponieważ jego skóra nie nabrała jeszcze trupio senej barwy. Nie to jednak było w nim najciekawsze. Facet miał na sobie przesiąknięty krwią podkoszulek i... sięgającą kostek niebieską spódnicę.

– A to, jeśli wierzyć znalezionym przy nim dokumentom, niejaki pan Ludwik Oleś. Jeden z nowych okazów, sprowadzonych do zoo przez twoich chłopców.

– Opieprzę durniów, aż im w pięty pójdzie – warknął Biedrzycki.

– Za co? – zdziwił się Bogdan.

– Za to, że ryzykowali życie dla tak kretyńskiego żartu! – Bartek wskazał część garderoby, która pasowała nieumarłemu jak pięść do nosa.

Arendzikowski wybuchnął śmiechem.

– I tu się zdziwisz. Rozmawiałem już z nimi, ponieważ też mnie to zaciekało. Ponoć znaleźli go w tej kiecce. Nie mają pojęcia, dlaczego ją włożył, ale jedno jest pewne, przez nią zginął. Znaleźli go w krzakach, w które spódnica zaplątała się podczas próby ucieczki. Nieumarli dopadli biedaka, zanim zdążył się pozbyć tego cholerstwa.

– Hm...

– Stawiałbym na to, że pan Oleś balował w którejś z pobliskich willi. Wiesz, jak teraz jest. Drinki zamiast czystej, maski, przebieranki, jazz.

– Co na nim testowaliście?

– Rażenie prądem. Wykorzystaliśmy fakt, że za jego boksem znajduje się tablica rozdzielcza.

– I jak?

– Elektrowstrząsy to raczej ślepy zaułek naszych eksperymentów – podsumował Arendzikowski, ruszając dalej.

Zatrzymali się na brukowanej ścieżce, by przyjrzeć się kolejnemu nieumarłemu, a raczej... jego szczątkom. Tors z naderwaną głową leżał na środku celi, ale kończyny Bartek dostrzegł dopiero po chwili, ponieważ umieszczono je – jak przypuszczał, celowo – w najodleglejszych kątach boksu. Za to flaki nieszczęśnika zdobiły wszystkie zarośla, a tych pod basztą trochę rośło.

– A to co?

– Wyniki eksperymentów przeprowadzonych na Młocickiej skłoniły mnie do podjęcia bardziej radykalnej próby. W przypadku szanownego pana Wojciecha Kołaczkiwicza postanowiliśmy jednak pójść o krok dalej. Rozczłonkowaliśmy go bardzo starannie, aby sprawdzić, jak zachowa się ciało nieumarłego, któremu uniemożliwimy, a w każdym razie utrudnimy dotarcie do odciętych członków.

– I jak wyniki?

– Niech ci wystarczy za odpowiedź, że to już trzecia dzisiejsza próba.

Biedrzycki westchnął. Nie mieściło mu się w głowie, że odcięta kończyna może przyrosnąć do korpusu nieumarłego ani że wszelkie rany zasklepiają się na nim, jakby ciało było ulepione z surowego ciasta, a nie z mięśni i innych tkanek. Już wcześniej się przekonał, że gdy idzie o chodzące trupy, po najpotworniejszych obrażeniach, takich jak rany kłute i szarpane, nie pozostaje choćby blizna. Nawet jeśli kogoś rozpruto od krocza po szyję, po paru godzinach nie sposób było powiedzieć, którędy przebiegało cięcie. To jednak było coś innego niż poskładanie się w całość z kawałków.

– Niepojęte... – mruknął.

– Chodź. – Doktor pociągnął go za ramię. – Musisz zobaczyć naszego Michałka.

Minęli następną klatkę, nie patrząc nawet na leżącą w niej Młocicką, i zatrzymali się dopiero przed kolejną, także umieszczoną pod okrągłą basztą. Przetrzymywany w niej zombie nie stał przy kracie jak wszyscy pozostali – oczywiście z wyjątkiem pana Kołaczkiwicza. Bartek wypatrzył nieumarłego na przeciwległym końcu boksu. Dzieliło ich niespełna sześć metrów, zatem odmieniec powinien już wyczuć potencjalne ofiary i przywlec się do nich, ale tego nie zrobił.

– Za tamtą ścianą stoi któryś z twoich asystentów? – zapytał podejrzliwym tonem major.

– Zimno – odparł rozbawiony Bogdan.

– Sprowadziliście tam jakieś zwierzęta?

– Zimniej.

– Dlaczego w takim razie ten drań nie chce nas zabić?

– I to jest właściwe pytanie, mój drogi. – Arendzikowski stanął przed nim, a plecami do klatki. – Jak widzisz, panu Poetschke także co nieco brakuje – wskazał kciukiem nadal nie ruszającego się żywego trupa.

Bartek dopiero teraz zauważył, że nieumarły nie ma lewej ręki.

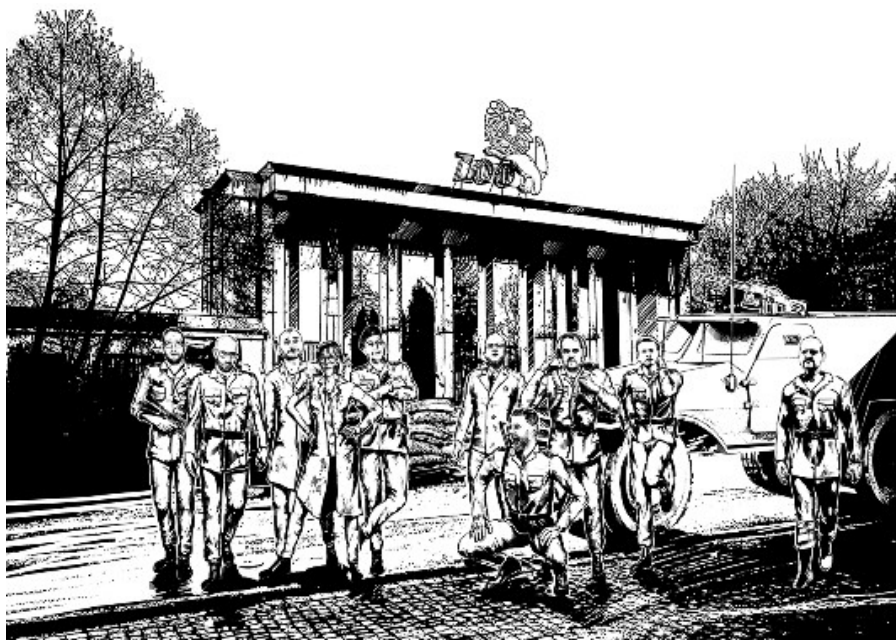
– Wy tłumaczysz mi, o co tutaj chodzi?

– To chyba nasz najciekawszy dzisiejszy eksperyment. – Doktor

uśmiechnął się triumfalnie. – Obcieliśmy panu Michałowi rękę i wsadziliśmy ją do skrzyni, która trafiła następnie za tamtą ścianę.

– Czekaj... – Biedrzycki chwycił go za ramiona. – To znaczy, że oni...

– Nie. – Arendzikowski ostudził jego zapał jednym słowem. – Pozwól mi dokończyć. Zaraz po obcięciu ręki obiekt reagował na obecność ludzi podobnie jak wszystkie pozostałe, ale gdy kazałem asystentom odejść na bezpieczną odległość, nie zostawał przy kracie, tylko wracał pod tamtą ścianę. A teraz najciekawsze. Po mniej więcej trzech godzinach od amputacji pan Poetschke zareagował na kolejną przynętę z widocznym opóźnieniem. W tej chwili mamy... – spojrzął na zegarek – piątą godzinę eksperymentu. Zgodnie z notatkami – przeniósł wzrok na kartkę przybitą do ściany obok kraty – pan Michał nie ruszył się stamtąd od niemal trzech kwadransów, a drażniliśmy go w tym czasie wielokrotnie, podchodząc naprawdę blisko.



– Zatem nie da się z nimi walczyć w ten sposób... – Major posmutniał.

– Niestety nie. Chyba że zdołacie przekonać takiego delikwenta, by dał wam spokój przez ponad cztery godziny od podprowadzenia którejś z kończyn.

– Na to w warunkach polowych nie możemy sobie pozwolić – rzekł poważnym tonem Bartek. – Czy któryś z twoich eksperymentów dał jakąkolwiek odpowiedź na dręczące nas pytania? – dodał, widząc, że Arendzikowski odwraca się, by podejść do kolejnej klatki.

– Nie – usłyszał kilka sekund później, gdy doktor otarł spocone czoło chusteczką. – Wbrew temu, co tu widzisz, nie skupiamy się wyłącznie na odkryciu sposobów unieszkodliwiania tych bestii. Pamiętam, o co mnie prosiłeś, ale będę potrzebował znacznie więcej czasu, by zaprezentować konkretne wyniki.

– A co wiemy już teraz? – naciskał major.

Bogdan rozłożył ręce w geście bezradności.

– Niewiele więcej niż nad ranem. Po pierwsze: zarażonych nie da się zabić żadną znaną nam metodą, ponieważ są już martwi. Po drugie: te chodzące zwłoki nie czują bólu ani skutków zmęczenia. Po trzecie: mają zdumiewającą zdolność regeneracji, której zrozumienie, jak sam widziałeś przed momentem, będzie wymagać dalszych eksperymentów i szczegółowych badań. Po czwarte: zombie wykrywają obecność każdej formy życia w promieniu mniej więcej dziesięciu metrów. Mówię oczywiście o faunie, nie florze. Po piąte: te bestie atakują wszystkie istoty, jakie wejdą im w drogę, i nie ma dla nich znaczenia, czy będzie to człowiek czy zwierzę, lecz... – zawiesił głos, unosząc równocześnie palec wskazujący – ...mając wybór, zawsze wybiorą najpierw nas, ludzi. Nawet jeśli druga z ofiar będzie kilkakrotnie większa. To ostatnie zachowanie może mieć ścisły związek z naszym niedawnym odkryciem, że zabite zwierzęta pozostają martwe. Szczerze mówiąc, po twoim wyjściu przeprowadziłem kilka dodatkowych testów...

– Bez mojej zgody? – warknął rozgniewany tym wyznaniem Biedrzycki.

– Nie chciałem ci zawracać głowy, a...
– Wiesz, co stanie się z tym ogrodem, jeśli ostatni opiekunowie pójdą precz?

– Wiem, że tego nie zrobią.

– Niby skąd?

– To tacy sami pasjonaci jak my, lekarze – wyjaśnił spokojnie Arendzikowski. – Zrozum, bycie opiekunem takich zwierząt to coś więcej niż zawód. To powołanie, przyjacielu. Nie dla wszystkich, fakt, ale ci, którzy z nami zostali po twoim porannym przemówieniu, nie porzucą pracy bez względu na to, co mówią i ile razy ich jeszcze okłamiesz. Możesz mi wierzyć. Poza tym są fachowcami, więc wiedzą lepiej niż ty i ja, czym skończy się pozostawienie przy życiu wszystkich największych drapieżników. Właśnie dlatego pomagają mi przy kilku kluczowych eksperymentach.

Major nie wierzył własnym uszom.

– Pomagali ci w zabijaniu własnych podopiecznych?

– Ależ skąd. Nigdy bym ich nie poprosił o coś takiego, niemniej powinieneś wiedzieć, że nie mieli żadnych oporów przed sprowadzeniem tutaj kilku spętanych bawołów i innych mniej lub bardziej egzotycznych trawożerców.

– Wy, ludzie, nigdy nie przestaniecie mnie zaskakiwać – wymamrotał zdumiony Biedrzycki.

– Wróćmy do tematu – poprosił niezrażony jego reakcją lekarz. – Pozostała nam do omówienia ostatnia, a zarazem najważniejsza kwestia, mianowicie: dlaczego i jak nas zabijają. – Urwał, aby ściągnąć na siebie pełną uwagę rozmówcy. – Co wiemy na pewno? Nieumarli pozbawiają żywych jakiegoś rodzaju energii, nie wiem nawet, jak ją nazwać, więc pójdę po linii najmniejszego oporu. Niech będzie, że to energia życiowa. Wysysają ją z nas czy też wchłaniają podczas fizycznego kontaktu. Co ciekawe, wystarczy do tego zwykłe dotknięcie.

– Dlaczego więc masakrują swoje ofiary? – zaciekał się Bartek.

– Proces spokojnej absorpcji może trwać do trzydziestu sekund. Tak przynajmniej wynika z treści raportów opisujących

przypadki zarejestrowane podczas pacyfikacji izolatoriów. Natomiast rozszarpywana ofiara ginie niemal natychmiast.

– Wypruwają nam flaki, żeby zintensyfikować ten proces?

– Albo przyśpieszyć. Szczerze powiedziawszy, wątpię, aby to ich rajcowało. Jestem za to niemal pewien, że potrzebują tej energii do regeneracji własnych ciał. Już ci mówię dlaczego. – Wyciągnął z kieszeni kajecik, w którym zapisywał wcześniej uwagi. – Młocicka, cykl trzeci. Regeneracja trwa trzydzieści pięć minut jedenaście sekund zamiast średnich trzydziestu sześciu. Skąd ta zmiana? Wyobraź sobie, że zaraz po odrąbaniu ręki wprowadziliśmy do jej boks spętana antylopę. Siostra Ina rozszarpała ją, po czym położyła się i zastygła na odciętej kończynie. Zabicie ofiary przyśpieszyło proces regeneracji o prawie minutę. Podobną, choć mniej znaczącą różnicę uzyskaliśmy w cyklu piątym. Sześć sekund po zabiciu starego borsuka. Niby niedużo, ale z naukowego punktu widzenia jest do bardzo istotna różnica. A teraz posłuchaj! – uciszył Bartka, przewracając kartkę. – Z relacji naocznych świadków wiemy, że niektórzy zombie regenerowali się w znacznie szybszym tempie. Jeden z moich asystentów przejrzał pod tym kątem raporty spływające na twoje biurko podczas pierwszych godzin pandemii. Znalazł w nich opisy kilkunastu przypadków, które wskazują, że każde wchłonięcie energii ofiary oznaczało przyśpieszone gojenie ran.

– Chwila moment! – Biedrzycki nie dał sobie tym razem przerwać. – Chcesz powiedzieć, że nieumarli po zabiciu... nazwijmy to... odpowiedniej liczby ofiar mogliby powrócić do życia?

– Aż tak daleko bym się nie posuwał. Oni są martwi. Ich narządy nie funkcjonują, a co za tym idzie, ulegają nieodwracalnej degradacji. Takiego stanu nie da się cofnąć całkowicie. – Zawahał się. – Chyba. Sam już nie wiem, co o tym wszystkim sądzić. Z naukowego i zdroworozsądkowego punktu widzenia to wydaje się niemożliwe, ale ostatnia noc podkopała we mnie wiarę w stan naszej aktualnej wiedzy. Wszystko, co zobaczyłem, wykracza daleko poza granicę poznania, więc... – zamilkł.

– Dobra. Zabijają nas, żeby odebrać nam tę nie dającą się zmierzyć energię, którą dla świętego spokoju nazwaliśmy duszą – podsumował Biedrzycki.

– Nie.

– Jak to: nie?

– A tak to. Gdyby ją nam odbierali, tobyśmy nie ożywali.

– Niby racja... – Major zaczynał się gubić. – Zatem...

– Założyłbym, że istnieją dwa rodzaje nieznaney nam jeszcze energii życiowej. To oczywiście tylko hipoteza, nie mająca żadnego poparcia w badaniach i dowodach. Oparłem ją na pobieżnej analizie zjawisk, których znaczenia i przebiegu wciąż nie rozumiemy. Niemniej nie znajdziesz lepszego wytłumaczenia faktu, że człowiek zabity przez nieumarłego zmartwychwstaje. Czyli coś musi w nim zostawać.

– Coś musi – przyznał Bartek. – Ale co?

– Tego się nie dowiemy, dopóki nie odzyskam dostępu do laboratoriów triumwiratu – oświadczył Arendzikowski. – Chociaż...

– Widzisz inne rozwiązanie?

– Nie. Pomyślałem, że odzyskanie dostępu do sprzętu może nie wystarczyć.

– Nie rozumiem.

– Do pojęcia tych procesów trzeba wielu precyzyjniejszych badań.

Biedrzycki odskoczył od doktora, jakby stali się nagle dwoma przeciwnymi biegunami magnesów.

– Chcesz im pozwolić na zabijanie ludzi w kontrolowanych warunkach?!

– Nie pytaj, jeśli nie chcesz usłyszeć odpowiedzi.

– Człowieku! To najbardziej nieetyczna rzecz, jaką w życiu słyszałem.

– Naprawdę? A korzystasz na co dzień z dobrodziejstw medycyny? Korzystasz. – Kiwnął głową dla emfazy. – Tymczasem wiesz, jakim cierpieniem jest okupiona wiedza, którą posiadają współcześni lekarze?

– Co ty bredzisz, Bogdan...

– Mówię szczerą prawdę. Dam ci prosty przykład. Słyszałeś o akupunkturze? To taka egzotyczna technika leczenia schorzeń, rodem z Dalekiego Wschodu. Polega na wbijaniu cieniutkich igiełek w najbardziej newralgiczne punkty systemu nerwowego człowieka.

– Jezu.

– Miliony ludzi korzystają z niej codziennie, a wiesz, jak dawni mistrzowie nauk medycznych, jeśli można ich tak nazwać, uzyskali wiedzę na temat rozmieszczenia owych akupunktów? Powiem ci: obdzierali ze skóry jeńców wojennych. Setkami, jeśli nie tysiącami. Żywcem!

– Powołaj się jeszcze na spuściznę po Josefie Mengele.

– Nie przeginaj!

– Ja przeginam?

– Tak. Mówimy o badaniach, które mogą uratować rodzaj ludzki, nie o jakichś popierdolonych rasistowskich fanaberiach. Poza tym nie powiedziałem, że chcę albo zamierzam je przeprowadzać, tylko że będą, kurwa, konieczne, jeśli mamy rozwiązać ten problem.

sobota, 10 sierpnia 1963, godzina 15:25
Zajezdnia Tramwajowa Nr 2 przy ulicy Słowiańskiej 16–30

– Wasze zdrowie, panowie! – Sprycha podniósł napełnioną do połowy szklanekę. – Obiecałem wolność i wam ją dałem!

Odpowiedziała mu pijacka wrzawa, chłopaki darli ryje, walili otwartymi dłońmi w stoły, ten i ów próbował gwizdnąć. Zabawa była przednia, napchani czerstwym, ale za to białym chlebem, i to suto nakrytym słoniną, rozpijali już czwartego litra, a pora była wciąż wczesna.

– Za Sprychę i jego zajebiaszczy gang! – wydarł się leżący na sienniku pod ścianą Kaczmarek.

– Za Sprychę! – Kolejny ryk, jeszcze głośniejszy, umilkł dopiero wtedy, gdy wychylili szklanki.

– Pojedlim, popilim, przydałoby się teraz... – rzucił w ciszę Jakuzą, milknąc znacząco.

– Zakurzyć? – wybełkotał mający już mocno w czubie Janiczek.

– Głodnemu chleb na myśli – zarechotał Szczygło. – Podupczyć by się zdało, nie rebiata?

– Wygrałeś, bracie, talon na balon! – Ulfing otarł usta wierzchem dłoni. – Szef powie, jak to będzie z tymi babami – oparł się łokciami o blat, wbijając lekko zmącony wzrok w rozpartego wygodnie Fabiana.

– A w czym problem? – Sprycha odłożył prawie pustego stakana.

– Sześć ich jest, a nas trzynastu, znaczy dwunastu, nie licząc szefa – wyjaśnił Jakuzą, wracając do wątkowanego pod barem tematu. – Trza by coś w tej materii ustalić, bo się nam rychło niezły, nomen omen, burdel zrobi. Wie szef: kto przed kim, a kto po kim, kiedy z którą i tak dalej.

Przy stole, ustawionym w największej izbie na parterze willi, zrobiło się nagle cicho jak makiem zasiał. Wszyscy wbili wzrok

w Fabiana, jedni bardziej przytomny, inni mniej, ale w każdym z tych spojrzeń dało się wyczuć ogromne oczekiwanie.

– Wszystkie są wasze – rzucił Sprycha po chwili zamyślenia, które udał, ponieważ miał wszystko poukładane już od dawna. – Mnie tam rybka, róbcie z nimi, co chcecie, tylko pamiętajcie, że jak która pod wami zdechnie, to i wy skończycie jak zdun... – On także zawiesił głos.

– A nie mógłby ich szef jakoś nam poprzydzielać czy coś? – nie ustępował Ulfig.

– A co ja, burdeltata jestem, albo jakiś don alfonso?

– Nie no, co szef, ale przy tyłu chłopca to delikatna sprawa. Wiem, co mówię. Widziałem już paru takich, co po stakanie sprzedali bratu kosę w plecy, bo wetkał chwosta nie tam gdzie trzeba.

– Dobrze. – Fabian skinął na Nerynka, by ten znowu połał, później zagryzł kawałkiem chleba ze słoniną i opadł ciężko na oparcie wysłużonej wersalki. – Dopóki nie znajdziemy więcej dziewczuch, podzielicie się nimi tak! – Sięgnął do kieszeni, wyjął pomietą kartkę i rzucił ją przed Jakuzę.

Darek rozłożył pośpiesznie arkusik maszynowego papieru. Zanim skończył czytać, na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Nie no, szef to ma głowę.

– Ty się tak szefowi nie podlizuj, tylko gadaj, co tam jest napisane! – ponaglił go Marut.

– No więc tak...

– Nie zaczyna się zdania od więc – burknął ośmielony alkoholem Perek, którego nie wiadomo dlaczego ubodło prostactwo języka kolegi.

– I właśnie dlatego, panie magister, zacząłem je od no. – Ulfig był w zbyt sielankowym humorze, by dać się sprowokować. – Słuchajcie, oblechy. Plan jest taki. Dobieramy się w pary. Dla przykładu jestem ja i Złotowa...

– Ja cię tam dupczył nie będę, za suchy jesteś jak na mój gust! – zaśmiał się Grzelak.

– Znaczy nie w pary tylko po dwóch – poprawił się natychmiast

Jakuza. – I jedziemy z tym koksem. Będzie tak: codziennie przypada nam inna dziołcha, a bieremy je podług alfabetu. Dzisiaj, dla przykładu, wyobracamy Bednarkową. Jutro Jamrozińską, we wtorek Kalinowską, we środę Łopatę...

– Czekaj no, która to Łopata, bo jakoś jej nie kojarzę? – zainteresował się Zgorzelski.

– Niższa z tych, co pospadały z furmanki – wyjaśnił Szczygło.

– Znaczy z tych złapanych dzisiaj na ulicy?

– Nie inaczej.

– ...w czwartek Porębską, a w piątek Sabatowską – zamknął wyliczankę Ulfig. – Od soboty, jeśli nie złapiemy niczego nowego...

– ...albo trypra! – wtrącił Grzelak.

– ...lecimy od początku – dokończył Jakuza.

– Gadaj lepiej, jak nas szef podzielił – poprosił Marut.

– A co, bromik przestał już działać? – zakpił Kaczmarek.

– Tak jakby...

– No to gratuluję szanownemu koledze, bo mnie jeszcze mocno trzyma – zarechotał Jakuza, ale kilka kuksańców ze strony sąsiadów skróciło ten wybuch radości. – Dobra, dobra, już czytam. Para pierwsza: Otello i Zarąb. Para druga: Ja i Złotówa. Trójka: Cyjankiewicz i Siata. Czwórka: Kozak i Pigol, Piątka: Mojka i Młody. Szóstka...

Tym razem to Janiczek nie pozwolił mu dokończyć.

– Szefie złoty, no jak to tak! – Spojrzał na Fabiana z takim żalem, jakby ten zabił mu ojca gitarą. – Co ja sobie użyję w takiej parze? Ja po tym zwierzu to drzewo bałbym się rznąć, a co dopiero babę...

– Pamiętaj, bracie: kto pierwszy, ten lepszy! Nie daj się wyprzedzić młotkowemu! – poradził mu rozbawiony Kaczmarek.

– Jak mu która odpyskuje albo się postawi, to on ją przecież od razu młotkiem zatłucze. – Dymek nie dał się zbić z tropu.

– Zawsze możesz zaproponować, że mu narzędzia potrzy masz! – poradził Marut.

– Tylko się nie pomył i za inny trzonek nie chwyć! – Szczygło rozbawił tym wtrętem całą resztę gangu.

– Ty nie bądź taki mądry, Zarąb, bo jesteś w kolejce zaraz po nas, więc jak Magdziarkowi odbije, to będziesz miał tak samo przesrane jak i ja.

Były drwal sposepniał, ale nie zareagował. Właśnie dotarło do niego, że w tym rotacyjnym systemie każdy może być stratny. Cangaceiro natomiast skwitował ataki na siebie zwykłym wzruszeniem ramion, co mogło znaczyć, że zgadza się z przedstawioną przez Dymka diagnozą bądź ma ją gdzieś.

– Rozumiem wasze obawy, ale zapewniam, że są bezpodstawne – odezwał się Sprycha, sięgając po napełnioną ponownie szklanę.

– Szefie, na bank? Po tym, co Cangaceiro pokazał dzisiaj...

– Jeszcze nie skończyłem! – Fabian podniósł głos. Tylko o jeden ton, lecz to wystarczyło, by jego oponent natychmiast ścichł. – Jeśli coś mu odwali i zabije albo okaleczy którąś z moich muszek, wypadnie z tego interesu na dobre. Zrozumiano?

Ostatnie słowo skierował do gapiącego się w stół Magdziarka.

– Zrozumiano – odpowiedział mu chór głosów.

– Ta zasada dotyczy was wszystkich. – Sprycha potoczył wzrokiem po reszcie bandy. – Baby są do obracania. Dopóki nie nałapiemy ich więcej, nie życzę sobie żadnego katowania ani okaleczania. Upuszczajcie z krzyża ile wlezie, ale na tym szlus!

– A jak która będzie się stawiać? – zapytał Grzelak.

– W takim wypadku możesz ją skarcić, ale nie jak własną żonę. Żadnego wybijania zębów, łamania rąk ani walenia po łbie do utraty przytomności. Zrozumiano? – Odpowiedzieli, choć z ociąganiem i bez takiego entuzjazmu jak wcześniej. Bycie królami świata w ich rozumieniu powinno wyglądać nieco inaczej, ale żaden nie śmiał dyskutować z decyzjami samozwańczego szefa. – No i git. – Sprycha krótko podsumował, a potem wstał.

– A gdzie to szef ucieka? – zainteresował się Nerynk.

– Czas oddać cesarzowi, co boskie – odmruknął Fabian, przepychając się do drzwi.

– Szef chce zaliczyć, zanim rozkalibrujemy towar – zaśmiał się Szczygło.

– Chcesz być w formie, to się odlej, jak mówi stare czechosłowackie przysłowie – odpowiedział Sprycha.

Zarechotali, odprowadzając go wzrokiem, a potem znowu wzniesli stakany.

– Za wolność! – zaintonował Jakuz.

* * *

– Mogę na słówko, szefie?

Fabian drgnął, słysząc tuż za plecami głos Cyjankiewicza. Dał się podejść jak pierwszy lepszy cipas.

– Nie widzisz, co robię? – warknął mocno rozżłoszczony.

– Myślałem, że szef już skończył.

Sprycha zapiął rozporek. Faktycznie, zamyślił się i stał pod tym murkiem z interesem na wierzchu, jak jakiś debil.

– Cóż to takiego ważnego, że nie mogłeś poczekać, aż wrócę? – zapytał, odwracając się do Olafa. – Tobie też nie pasuje przydział do pary?

– Nie, szefie, mnie tam obojętne, z kim i po kim będę pukał. To i tak przecież chwilowe.

– O co więc chodzi? – Fabian minął go, kierując się na ganek.

– O te wybuchy.

Facet czyta w moich myślach!

Zaskoczony Sprycha zatrzymał się w pół kroku. Zagapienie sprzed chwili zawdzięczał temu właśnie tematowi. Fakt, iż ktoś coś wysadza, mógł oznaczać, że władze nie poddały się jeszcze i gdzieś tam, na razie dość daleko od zajezdni, są wciąż oddziały wojska albo milicji, które robią swoje. *Mógł, ale nie musiał*, pocieszał się dopiero co, oddając moc. Być może stali się mimowolnymi świadkami wysadzania mostów albo budynków, mającego na celu powstrzymanie bądź opóźnienie hord nieumarłych, przed którymi wspomniane jednostki uciekały. Wiele by dał, aby tak właśnie było, lecz pewności mieć nie mógł, co oznaczało, że lepiej dmuchać na zimne.

– Co z nimi? – zapytał, odwracając się do Perka.

– Tak się zastanawiałem, kto mógł odpalać te ładunki i po co.

– I do czego doszedłeś?

– Do niczego wesołego i dlatego postanowiłem pogadać o tym z szefem.

– A dlaczego nie zrobiłeś tego przy ludziach?

– Po co psuć im humor, skoro tak dobrze się bawią?

– Też racja – przyznał Fabian, spoglądając nad ramieniem Cyjankiewicza w kierunku, z którego dobiegały wcześniej odgłosy eksplozji. – Powiedz mi zatem, jak ty to widzisz.

– Po mojemu to wojsko. Słyszałem wczoraj wieczorem, jak klawisze mówili, że władza nakazała ściągnąć do miasta całe pułki, a nawet dywizje. Może któreś z tych odwodów dotarły właśnie do Wrocławia.

– Po wybuchach zapadła na powrót cisza – przypomniał mu Sprycha, wytykając w rozumowaniu lukę, jaka przedtem pojawiła się także w jego rozważaniach.

– Może zabezpieczali pozycje wyjściowe, z których jutro ruszą do frontalnego ataku?

To było całkiem sensowne wytłumaczenie. Żołnierze woleli nie wchodzić z marszu do strefy kwarantanny. Byli pewnie zmęczeni relokacją, a ich dowódcy potrzebowali lepszego rozpoznania.

– To by znaczyło, że nie jesteśmy tutaj tak bezpieczni, jak byśmy sobie tego życzyli. – Fabian wyraził na głos dręczącą go od kilku godzin wątpliwość.

– Zwłaszcza że nie dysponujemy żadną sensowną bronią – poparł go Cyjankiewicz.

– Klamki nie włosy, na dupie nie rosną – rzucił w zamyśleniu Sprycha.

– To prawda, a co gorsza, w tej okolicy też ich nie znajdziemy. Z tego, co wiem, walki z zarażonymi prowadzono głównie po drugiej stronie miasta. Wolałbym nie zapuszczać się tak daleko, szczególnie po tym, co widzieliśmy tam, na torach...

– Skąd w takim razie weźmiemy broń?

– Myślałem, że szef coś wykombinuje. Szef na wszystko ma gotową odpowiedź.

Fabian się uśmiechnął.

– Święte słowa – powiedział. – Wiem, skąd wziąć wystarczająco dużo broni, żebyśmy nie musieli obawiać się jakichś zasranych

żołnierzyków. O ile w ogóle zdołają tutaj dotrzeć.

– Naprawdę?

Sprycha ujął go za ramię, poprowadził do przeciwległego węgła i tam ustawił twarzą mniej więcej na północny zachód.

– Tam, skąd przyjechaliśmy, mają jej sporo – rzucił.

– Chce szef... – zaczął Perek, ale nie dane mu było skończyć.

– Nie chcę, ale muszę – warknął Fabian, któremu też nie pasowało atakowanie gołymi rękami ludzi uzbrojonych nie tylko w tetetki, ale i peemy. – Chyba że masz lepszy plan.

– Zastanawiałem się, szefie... – Cyjankiewicz przygryzł nerwowo wargę.

– No wyduś to wreszcie z siebie, bo nam gorzała stygnie!

– Pamięta szef odgłosy strzelaniny, które słyszeliśmy zaraz po przejściu hordy? Stamtąd dochodziły – wskazał ulicę za placem. – Z niedaleka. Może powinniśmy najpierw sprawdzić, kto strzelał i jak sobie poradził?

– Dobrze gadasz... – przyznał Sprycha, przyglądając się uważnie rzędom kamienic.

Próbował sobie przypomnieć tamten moment. Najpierw słyszał palbę kilkunastu co najwyżej karabinów, potem ktoś użył ciężkiej broni, chyba karabinów maszynowych, a na końcu rozległ się wybuch, bodaj granatu. Walka była krótka, zbyt krótka, jak na taką masę nieumarłych, co mogło świadczyć o przegranej obrońców. Jeśli zginęli, ich broń czekała, by ją podnieść. Jeśli przetrwali, pewnie przyjmą każdą pomoc, i to z otwartymi ramionami. *A jak już dadzą nam karabiny...*

Fabian drgnął, słysząc za plecami siarczystą wiąchę. Z willi wypadł najpierw Ulf, a tuż po nim zaczęli się wysypywać pozostali.

– Co jest?! – zagrzmiał Sprycha, w lot się domyślając, o co może chodzić.

– Mówiłem szefowi, że to wariat! – zaskamlał Janiczek.

To było wystarczające potwierdzenie podejrzeń.

– Co zrobił?

– Zaciukał tę tam, no jak jej...

– Sabatowską – podpowiedział Jakuza, doczytując nazwisko

z kartki zostawionej przez Sprychę.

– Chciał ją zapiąć od tyłu, a gdy zaczęła się drzeć i szarpać, przypieprzył jej młotkiem, o tu – wskazał lewą skroń. – No i mamy na piętrze chodzącego trupa!

– Cangaceiro! – wydarł się Fabian, celując palcem w stojącego najbliżej drzwi Magdziarka. – Ostrzegałem cię, zawszony pojebie!

– No wkurwiła mnie suka jedna! – odburknął otumaniony wódką młotkowy.

– Won do hali! – Sprycha wskazał sąsiednie zabudowania. – Śpisz dzisiaj w tramwaju!

– Za takie gównno? – obruszył się Cangaceiro.

– Wypierdalaj! I módl się, żebym nie nabrał z czasem większego wkurwienia, bo jak skórowanie kocham, twoim własnym młotkiem we śnie cię zajebię!

– No jak tak, o suchym pysku mam iść?

– Jeszcze słowo i nie będziesz musiał.

Fabian już nie krzyczał, co oznaczało, że jest bardzo bliski zrealizowania groźby. Dlatego Magdziarek wzruszył ramionami, jakby to on był prawdziwą ofiarą tego nieporozumienia, po czym odwrócił się i powłókł jak zбитy pies w kierunku tylnego wejścia do hali.

– Wróć! – Sprycha znów podniósł głos.

– Tak, szefie? – Cangaceiro nagle stał się bardziej ożywiony.

– Trza tę sukę wywabić i odciągnąć gdzieś dalej, najlepiej do piaskownicy. Weź z warsztatu co trzeba i załatw to, a potem, dobrze radzę, zejź mi z oczu!

sobota, 10 sierpnia 1963, godzina 22:00
Zakład Karny Nr 1 przy ulicy Klęczkowskiej 35

Rojewski, wsparty łokciami o poręcz, przyglądał się z najwyższego pomostu, jak kolejni ewakuowani znikają w przydzielonych im celach. W Iksie panowała niemal idealna cisza. Dzieci poszły spać już wcześniej, a dorośli, wciąż przygnębieni wcześniejszymi wydarzeniami i niedawną śmiercią bliskich albo znajomych, nie mieli wielkiej ochoty na rozmowy, o okazywaniu radości nie wspominając. Z dołu dobiegało więc tylko sporadyczne kasłanie i zgrzyt kluczy obracających się w kolejnych zamkach.

Doktor Wegner miał rację. Wysłuchawszy kilku powtórek komunikatu Biedrzyckiego, ludzie sami poprosili o ogłoszenie ciszy nocnej i odizolowanie ich od pozostałych. Patryk nie dziwił im się specjalnie. Sam w dalszym ciągu podskakiwał na każdy niespodziewany dźwięk, a nerwów nie zdołał ukoić nawet przedni bimber, którego wypił dzisiaj sporo, o parę kolejek więcej, niż powinien. Podobnie zresztą jak zdecydowana większość obecnych rezydentów cel. Alkohol był bowiem jedyną dostępną – i zarazem skuteczną – drogą ucieczki przed panującym wokół koszmarem.

Od kilku godzin na terenie więzienia panował idealny spokój. Zawalisko przy Babińcu starannie ogrodzono, a ci nieumarli, którzy zdołali jakimś cudem wypełznąć spod gruzów, bezzwłocznie trafiali „za druty”. O szesnastej wydano gorący posiłek – wieprzek zarznięty na spacerniaku przez jednego z tymczasowych wbrew obawom nie ożył, zatem rozebrano go natychmiast po przeniesieniu do rzeźni i nagotowano pysznego, choć rzadkiego gulaszu, którego zostało jeszcze tyle, że i jutro będzie czym wykarmić tę całą czeredę.

Czterysta osób. Niby nie tak dużo, lecz po podzieleniu na

rodziny ewakuowani zajęli prawie wszystkie cele. Tylko jedno skrzydło najwyższego poziomu pozostało puste – tutaj urzędowali mundurowi czy raczej ci z nich, którzy nie mieli rodzin we Wrocławiu. Jak choćby on sam. Patryk pogładził się po zbyt mocno zarośniętej brodzie. *Trzeba będzie to nadrobić, zdecydował, ale nie dzisiaj, tylko jutro po ogłoszeniu pobudki.*

– Wszystkie cele zabezpieczone, towarzyszu chorąży – zameldował Fijałkowski, stukając przepisowo obcasami.

– Przyjąłem. Wiecie, co macie robić.

– Tak jest!

– Możecie odmaszerować.

Rojewski odprowadził wzrokiem Kacpra wracającego na posterunek przy schodach, gdzie czekali na niego dyżurni z niższych pięter, od których zebrał wcześniej raporty. Tej nocy na każdym poziomie służbę pełniło sześciu funkcjonariuszy, po dwóch na blok. Ich zadaniem było błyskawiczne reagowanie na sygnały zamkniętych w celach ludzi. W razie potrzeby mieli wyprowadzać na pomosty tych, którzy poczuli się źle – nie po to jednak, by ich spałować jak jeszcze niedawno więźniów świeżaków, lecz by służyć im pomocą. Kapitan Okrutny wyraził się jasno podczas wieczornej odprawy: krewni funkcjonariuszy nie mogą nawet przez moment czuć się jak osadzeni. Jeśli nie zdołają przenocować w zamkniętej na głucho ciasnej celi, trzeba będzie ich przenieść na plac. Dać im czas na aklimatyzację. Jakkolwiek spojrzeć, było to więzienie, miejsce kary i kaźni.

Na razie nic nie zapowiadało problemów, choć teraz, po zamknięciu drzwi, wiele się mogło zmienić. Rojewski obrzucił wzrokiem puste i ciche galerie. Oczy go piekły, w ustach czuł potworną suchość. Sam chętnie przyłożyłby głowę do poduszki, ale musiał wytrzymać na posterunku jeszcze chwilę. W dole pojawiały się kolejno płomyki. To dyżurni zapalali lampy naftowe, które posłużą za jedyne źródło światła, gdy już rozlegnie się dzwonek ogłaszający ciszę nocną. Generatory, uruchomione po raz drugi krótko po ósmej, zostaną wyłączone na jego znak. Potem złoży meldunek Okrutnemu i będzie mógł rozprostować kości na twardej pryczy.

Nie przesadzał z długością sygnału, by nie pobudzić dzieciaków. Musnął palcem czerwony przycisk, lecz to wystarczyło, by wewnątrz Iksa natychmiast zrobiło się ciemno. Niemal w tym samym momencie z zewnątrz dobiegł podobny, tyle że o wiele cichszy dźwięk. Zgodnie z rozkazem Agnieszka Medygrał, która miała pod opieką znacznie mniej ludzi, zaraz po nim ogłosiła ciszę nocną dla Babińca.

Patryk wszedł do wnętrza wartowni zawieszanej między pomostami, sięgnął po radiotelefon i wywołał przełożonego.

– Towarzyszu kapitanie, melduje się chorąży Rojewski. U nas na razie cisza i spokój, odbiór.

– I oby tak już zostało – odpowiedział niezbyt regulaminowo Okrutny, ale Patryk nie miał mu tego za złe.

* * *

Zaczęło się koło północy, może chwilę po wybiciu godziny duchów, gdy wszyscy dyżurni zaczęli już pochrapywać. Ktoś załomotał w drzwi celi numer 316 w pawilonie C, tuż obok wartowni. W kompletnej ciszy uderzenia niosły się wielokrotnym echem, budząc nawet Patryka. Wyrwany z głębokiego snu chorąży leżał przez moment nieruchomo, próbując zrozumieć, gdzie jest i dlaczego otaczają go egipskie ciemności. Na szczęście nie zerwał się jak ktoś odpoczywający na pryczy obok, kto kłął teraz ile wlezie, walnąwszy głową w ramę górnego łóżka.

– Zamknijcie się, Matras! – warknął Rojewski, wymacując przeszkodę, by nie powtórzyć błędu podwładnego.

Po wyjściu na pomost dostrzegł od razu źródło zamieszania. W migotliwym blasku lamp zobaczył Lenarta stojącego przed wspomnianą celą z pękiem kluczy w ręku.

– Już, już! – Radek próbował uspokoić dobijającego się do drzwi, niewątpliwie spanikowanego człowieka. – Spokojnie, przyjacielu, zaraz otworzę!

Po takim ćmaku trudno było znaleźć właściwy klucz, ale szeregowy zdołał go w końcu wypatrzeć. Zamek zazgrzytał znajomo, gdy rygle puszczały. Mgnienie oka później pchnięte

mocno skrzydło odbiło się od ściany, a z wnętrza celi wypadł człowiek, nieomal przewracając idącego mu z pomocą funkcjonariusza.

Panika, tak właśnie wygląda panika, uświadomił sobie Patryk, widząc, że nieznanemu mu mężczyźnie pada na kolana, trzymając się kurczowo poręczy. Pot perlił się na jego twarzy i wysokim czole. Dyszał, jakby sam diabeł gonił go wiele godzin przez ostatni krąg piekieł.

– Chcesz pan wyjść na zewnątrz, panie Kuźmiński? – zapytał Lenart, stając o krok za przerażonym uciekinierem.

Wyciągnął rękę, zamierzając położyć ją na ramieniu klęczącego, ale nie zdążył dokończyć ruchu. W głębi otwartej celi za jego plecami rozległ się płacz. Dzieci, a musiało ich tam być kilkoro, zaczynały się drzeć jedno po drugim. Ich matka, szczupła blondynka w powłóczystej koszuli nocnej, która dziwnie kontrastowała z masywnymi drzwiami do celi i kratami, zatrzymała się w progu, nie wiedząc, co robić: podejść do męża czy uspokajając pociechy.

– Pani wróci do celi, pani Elu – poprosił szeregowy, który sam zaczynał się gubić.

– Konrad? – pisnęła kobieta.

– Nic mi nie będzie – wysapał Kuźmiński. – Zajmij się Natalką.

Zanim jego żona zdążyła się odwrócić, na galerię wyszli dwaj chłopcy. Stanęli za ojcem, trzymając się za rączki. Jeden był o kilka lat starszy od drugiego, i to on pierwszy przyłgnął do ojca. Patryk nie miał doktoratu z psychologii, ale wiedział, że to tylko może pomóc, warknął więc na rozpaczliwie rozglądającego się funkcjonariusza, dając mu znać, by nie interweniował. Niech sytuacja uspokoi się sama. Matka uciszała już trzecie dziecko, chyba najmłodsze. Na szczęście te hałasy nie zbu...

Kolejny łomot, tym razem trzy cele dalej. Ten był raptowniejszy i towarzyszyły mu krzyki, a raczej przeraźliwe wrzaski. Radek zaklął pod nosem, porzucając dochodzącego do siebie Koźmińskiego.

– Michałku, zabierz Kacperka i wracajcie do mamy – poprosił na odchodnym.

Znał tę rodzinę, przyjaźnił się z nią od lat, mieszkając po sąsiedzku. Brat pani Eli, który pracował jako kierowca w dziale transportu, na szczęście – albo wręcz przeciwnie – był nieobecny tego dnia we Wrocławiu. Wraz z konwojentami wyruszył jeszcze w piątkowe popołudnie do centralnej Polski po przenoszonych z Wroniek więźniów. Gdzie teraz był, nie sposób powiedzieć, ale wszyscy jego najbliżsi krewni znaleźli schronienie za murem.

– Ruchy tam! – Rojewski pogonił guzdrzącego się jego zdaniem podwładnego.

Te hałasy z pewnością pobudziły więcej osób, niewykluczone więc, że zaraz zrobi się rejwach jak nie przymierzając, w ulu. Sen był lekiem na każde zło, pozwalał przetrwać najgorsze chwile, a ci panikarze właśnie spędzali go z oczu dziesiątkom potrzebujących.

– Uciszcie się, Byrski! – Radek odczytał nazwisko z kartki przyczepionej do drzwi. – Już otwieram!

Łomoty umilkły jak nożem ucięte, ale w celi nadal ktoś wrzeszczał. Patryk zaklął, słysząc stukanie do drzwi z przeciwnej strony, tyle że piętro niżej. *Zaczyna się*, pomyślał, rozwścieczony do białości perspektywą zarwania kolejnej nocy. Ledwie stał na nogach, a zapowiadał się niezły zapieprz. Kto mu zaręczy, że zaraz nie podniesie się raban na całego?

Zanim Lenart poradził sobie z zamkiem, wewnątrz celi zapanowała na powrót cisza. Powtórzyła się sytuacja spod celi 316, tyle że mężczyzna podobnej postury co Kuźmiński wytoczył się na galerię, ale zamiast dopaść poręczy, chwycił wypuszczającego go funkcjonariusza. Obaj zachwiali się, zrobili krok w kierunku balustrady. Radek, zgodnie z rozkazem kapitana, nie stawiał oporu, a przynajmniej tak to wyglądało z perspektywy Patryka. Coś jednak było nie tak...

– Kurwa mać! – sapnął chorąży, gdy obaj, Byrski i Lenart, przechylili się mocniej, a następnie polecili za barierkę.

Rojewski się wychylił, by nie stracić ich z oczu. Spadli bezwładnie jak worki ziemniaków na znajdującą się dwa piętra niżej siatkę zabezpieczającą. Wyrznęli w nią z takim impetem, że mało brakowało, a zarwałyby się pod ich ciężarem. Na posadzkę

pod nimi trysnęły strugi krwi. Mimo to uszu Patryka nie dobiegł żaden jęk. Zdębiały przeniósł wzrok na galerię. Kuźmiński wciąż klęczał, dysząc i powoli dochodząc do siebie, jego synowie stali tuż za nim, zerkając w kierunku trójki podchodzących do nich rówieśników. Najstarszy chłopak był tylko nieco wyższy od Michałka, może nawet znali się z podwórka. Obok niego dreptały dwie dziewczynki, młodsza miała może trzy, cztery latka.

– Mamusiu, a Kubusiowi leci z buzi krewka! – zawołał Kacperek, wskazując palcem zbliżające się dzieci Byrskich.

– Mamusiu, a Nadia nie ma jednego oczka! – zapisał jego brat, cofając się o krok.

Dalej wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Patryk wiedział, co się święci, wiedział, że powinien zareagować, a mimo to stał tam jak wmurowany, nie mogąc się ruszyć ani dobyć głosu. Zaraza dopadła Byrskich, kimkolwiek byli. *Ale jak? Jak, do kurwy nędzy, ci ludzie się przemienili, skoro nikt z nich nie miał kontaktu z zarażonymi, a potem zostali zamknięci, odizolowani!*

Pani Ela wypadła z celi w momencie, gdy dwoje dzieci znajomych uwieszało się na jej zaskoczonym takim obrotem sprawy mężu. Jakub wyciągał już ręce, by pochwycić struchlałego Michała, ale matka była szybsza. Pociągnęła obu synów do celi, wołając o pomoc. Niewiele to jednak dało, szczególnie że nie mogła zamknąć drzwi. Mały odmieniec pochwyciwszy rękami powietrze, odzyskał równowagę, po czym obrócił się i ruszył ku wrzeszczącej panicznie kobiecie. Dwa kroki za nim szła jego matka. Zmasakrowana, pokryta krwią, powłócząca bebechami. Ona także wyczuła już ofiary, parła więc przed siebie, nie bacząc na dogorywającego pod jej dziećmi Kuźmińskiego. Krzyki pod trzysta szesnastką nasiliły się, a potem umilkły raptownie.

Rojewski otrząsnął się jak pies wychodzący z wody. *Reaguj, do kurwy nędzy! Zrób coś, zanim będzie za późno!* – darł się znajomy głos w jego głowie. Spojrzał w dół. Lenart i jego zabójca gramolili się niezdarne, próbując stanąć na chybotliwej, naderwanej siatce. Ktoś właśnie przełaził przez poręcz, by im pomóc.

– Zostaw ich, Janek! To nieumarli!

Ten okrzyk, dobiegający gdzieś zza pleców, przywrócił

chorążego do rzeczywistości. Stojący już na siatce Brzostek zadarł głowę, żeby sprawdzić, kim jest wołający. To go zgubiło. Lenart nie zdołał wprawdzie wstać, ale wywalając się ponownie, sięgnął ręką do buta kolegi. Szeregowy zdołał się wyrwać z tak słabego chwytu, ale było widać, że jest oszołomiony. Próba powrotu za poręcz skończyła się więc niepowodzeniem. Miękkie nogi nie zdołały utrzymać ciężaru ciała i Janek osunął się, nie puszczając poręczy. Po czym został w tej pozycji, gdyż obaj zombie zdążyli dopełznąć do krawędzi siatki.

Rojewski się obejrzał. Za nim stała roztrzęsiona Rzosińska.

– No zróbże coś, baranie jeden! – syknęła, nie zważając na jego stopień.

Kopniak wymierzony w goleń otrzeźwił go do reszty.

– Nie otwierać tych pieprzonych drzwi! – wydarł się Patryk na cały głos.

W trzech przypadkach było już jednak za późno. Nieumarli wylali się na prawą galerię drugiego poziomu w bloku B, a także lewą i prawą pierwszego w bloku A.

Te miejsca były stracone, tak samo jak pełniący tam służbę funkcjonariusze. Wiśniewskiego dopadła jakaś babcia, kiedy pomagał jej wstać z podłogi, Dworczyk w porę się zorientował, próbował uciekać, ale nie miał gdzie. Obie galerie na jego poziomie zostały opanowane przez zombie, a na siatce pomiędzy nimi także nie było bezpiecznie – kolejni zarażeni spadali w dół jak ulęgałki. Zabawa w kotka i myszkę trwała chwilę, lecz w końcu zapędzili go pod kratę i tam rozszarpali, ponieważ w panice nie umiał trafić kluczem w dziurkę. Podobny los spotkał Kuchtę i Dąbrowskiego. Karola zombie wciągnęli do celi, ledwie zdążył otworzyć drzwi, przez parę sekund za próg wystawały wierzgające nogi. Jurek odkopnął sięgającego ku niemu rozczapierzonymi rękami starca, jednakże cofając się, wlaźł prosto na pozbawioną dłoni kobietę, która dosłownie ukreśliła mu głowę.

Pozostali dyżurni albo połapali się w porę, albo osłupieli z zaskoczenia, w każdym razie stali teraz na swoich galeriach, nie reagując na dobiegające zewsząd łomoty. Wszyscy wpatrywali

się z wyczekiwaniem w centralną wartownię i znajdującego się przed nią przełożonego.

* * *

Patryk splunął z odrazą za balustradę, wsłuchując się w zwielokrotnione echem wrzaski – teraz do drzwi cel łomotano już we wszystkich blokach, na niemal każdym poziomie. Zerknął na stojącą obok, nie do końca ubraną Rzosińską. Ona także gapiła się w niego jak sroka w gnat. Musiał podjąć decyzję. Od tego zależał los setek ludzi, z których wielu dobrze znał.

Milczał jednak. Zaciskał dłonie na poręczy z taką siłą, że z trudem wytrzymawał ból, a mimo to nie otwierał ust, ponieważ zdawał sobie sprawę z tego, że w każdej z dziesiątków cel może czaić się śmierć, której nie wolno mu uwolnić. Dyżurni nie byli w stanie sprawdzić, czy ludzie dobijają się do drzwi ze zwykłego strachu potęgowanego wrzawą czy raczej walczą o życie z odmieńcami.

– Zrób coś, błagam – szepnęła blada jak jej halka Elżbieta. – Oni... Oni tam giną!

Pokręcił głową. *Nie, nie wydaję rozkazu, który próbujesz na mnie wymusić.* Nie spuszczał wzroku z podwładnych stojących na pomostach. *Każdy dyżurny zna przynajmniej część zamkniętych w danym rewirze ludzi. Niewykluczone więc, że któryś zaryzykuje próbę uratowania choć kilkorga z nich, a to...* Gdzieś za jego plecami, w dole, rozległ się znajomy zgrzyt. Rycząc jak ranny zwierzę, oderwał się od barierki i przypadł do przeciwległej poręczy. Fijałkowski wypuścił na pomost rodziców. Na swoje i Roszaka szczęście tylko spanikowanych.

– Ani mi się waż, Kacper! – ryknął chorąży, widząc, że ośmielony tym sukcesem funkcjonariusz podbiega do kolejnych drzwi. – Nie otwieraj tej celi, to rozkaz!

Sebastian w tym czasie pozwolił wypuszczonym starszkom przejść na schody. Krata szczęknęła sekundę później, zatraskując się za ich plecami. Bez oglądania się za siebie zbiegli po metalowych stopniach.

– Patrz, durniu! – Rzosińska szarpnęła Patryka za rękaw

koszuli. – Mamy szansę...

– Zamknij się! – uciszył ją. – Gównu mamy! Skąd pewność, że w celi, którą otworzysz, nie będzie zarażonych?!

– Wystarczy zapytać! – wypaliła, także podnosząc głos.

Może mieć rację, tyle zdążył pomyśleć, zanim Fijałkowski otworzył na oścież kolejną celę. Na pomoście pojawiła się znajoma sylwetka. Blondynka ciągnąca za sobą na oko siedmioletniego zakrwawionego mocno chłopczyka.

– Serio? – odburknął, uświadamiając sobie, że człowiek pragnący uciec z matni powie wszystko, co będzie chciał usłyszeć ten, kto dzierży klucze. Tymczasem jedna, jedyna pomyłka doprowadzi do... Wskazał Elżbiecie oświetlony trzema lampami naftowymi pomost. Fijałkowski potknął się o własne nogi, próbując odskoczyć od drzwi celi, zza których wypadł właśnie zataczający się mężczyzna, ale nawet gdyby udało mu się wykonać czysty unik, nie miałyby żadnych szans. Uciekająca kobieta przystanęła, gdy zza pleców doleciał ją przeraźliwy wrzask ginącego funkcjonariusza.

– Sylwia! – Roszak opuścił posterunek przy kracie, by zmotywować ją do kontynuowania ucieczki.

Nieporęcka jednak zamieniła się w słup soli. Nie potrafiła oderwać wzroku od krwawej łaźni rozgrywającej się na jej oczach niespełna dziesięć metrów dalej. Jej mąż dosłownie wgrzyzł się w rozdarty pazurami brzuch Fijałkowskiego. Szarpnięta za ramię przez Roszaka kobieta zatoczyła się jak pijana, przewracając trzymające się jej kurczowo ranne dziecko. Sebastian zaklął, pochylił się, by podnieść chłopca, ale zatrzymał się w pół ruchu i zaraz odskoczył jak oparzony. W tym samym momencie Sylwia osunęła się na posadzkę, bardzo powoli, jakby ktoś spuścił z niej powietrze. Stojący dwa kroki dalej funkcjonariusz gapił się na nią, rozdziawiając usta.

– Spieprzaj stamtąd, człowieku! – wydarł się Rojewski. – Za kratę! Wiej za kratę!

Roszak albo go nie usłyszał, albo był w szoku. Ocknął się dopiero po kilku sekundach, gdy Sylwia i dziecko zaczęli się podnosić z posadzki. Fijałkowski i Nieporęcki także już wstali, ale

oni na szczęście skierowali swe kroki w stronę najbliższej z cel oraz – wszystko na to wskazywało – znajdujących się tam wciąż żywych ludzi.

– Ruchy, Seba! – Rzosińska zawtórowała przełożonemu.

Roszak pognał do kraty, lecz nawet z tej odległości było widać, że jest zbyt spanikowany, by racjonalnie myśleć. Ręce drżały mu tak, że upuścił klucze dwukrotnie, zanim stanął przy blokującej drogę ucieczki metalowej przeszkodzie. Odmieniona Sylwia i jej synek zbliżali się do niego bez pośpiechu, jakby mieli pewność, że ofiara nie zdoła się wymknąć. Sebastian często zerkał przez ramię, co opóźniało go jeszcze bardziej i zmniejszało szanse na ratunek. Zrozumiał w końcu, że musi coś zrobić, rozejrzał się, po czym... sięgnął po stojącą na krześle lampę naftową. Rycząc wściekle, cisnął ją na posadzkę, prosto pod nogi nadchodzących, w nadziei że płomienie zatrzymają ich lub spowolnią, jak by to się stało w przypadku żywych przeciwników. Zombie weszli jednak w ogień, nie zwalniając nawet na moment. Płomienie sięgały Sylwii do pasa, jej syn zniknął w nich niemal całkowicie, a gdy wynurzył się spomiędzy pomarańczowych jęzorów, palił się cały od stóp po czubek głowy. Nafta z rozbitej lampy musiała chlusnąć na ubranie jego i matki, ponieważ już sekundę później oboje zaczęli przypominać samobieżne pochodnie.

Sebastian zdębiał na ten widok. Opuścił ręce. Klucze spadły z głośnym klanguem na szare lastryko. Rojewski odciągnął Rzosińską od poręczy na moment przed tym, nim skwierczące, ale wciąż poruszające się zwłoki dopadły kolejnego z jego podwładnych. Nie chciał, by Elżbieta patrzyła na to, co wydarzy się chwilę później. Takie widoki mogą dręczyć człowieka latami, czasem nawet do końca życia.

– Teraz już rozumiesz, dlaczego nie pozwolę im otwierać tych pierdolonych drzwi?! – Patrzyła na niego szklistymi od łez oczami, kuląc się za każdym razem, gdy z dołu dobiegał skowyt rozrywanego i palonego żywca Roszaka. Na szczęście nie trwało to długo. – Rozumiesz? – potrząsnął nią jak kukłą.

– Tak.

* * *

Babiniec różnił się od Iksa tym, że Ziółkowska nie nakazała zamknięcia oddanych jej pod opiekę ludzi, aby nie tworzyć niepotrzebnie dusznej atmosfery. Na obiekcie przebywało obecnie tylko sto dwadzieścia osób, głównie wielodzietne rodziny. Sierżant pozwoliła ich członkom zająć sąsiadujące cele, tak więc rodzice mieli jedno pomieszczenie dla siebie, a ich pociechy spały tuż obok za ścianą, co dla wielu ewakuowanych było luksusem nieosiągalnym w miejscu dotychczasowego zamieszkania. Nic dziwnego zatem, że kilkanaście rodziny planowało przeprowadzkę z Iksa do dawnej żeńskiej części więzienia. Okrutny nie zgodził się jednak na przekwaterowanie tego wieczoru. Miał dość zamieszania na jeden dzień – tak samo jak podoficerowie, w tym Patryk, chwilowo zarządzający męską częścią zakładu karnego.

Katarzynie również nie paliło się do dodatkowej roboty, jaką byłby nadzór nad przenosinami bambetli prawie osiemdziesięciu osób. *Jutro też jest dzień*, pomyślała, gdy tylko wybrzmiał dzwonek ogłaszający ciszę nocną. Po krótkim obchodzie zasiadła przy stoliku dyżurnej, luzując wycieńczoną Agnieszką Michalską. Ona sama także ledwie trzymała się na nogach, ale w jej wypadku nie chodziło wyłącznie o zmęczenie fizyczne. Nerwy miała tak skołatane, że za nic nie zdołałaby teraz zasnąć. Wciąż drżała na całym ciele na wspomnienie wydarzeń, których była świadkiem. Choć starała się zachować kamienną twarz, zwłaszcza wobec kolegów i przełożonego, to niewiele było trzeba, aby załamała się do reszty.

Nieumarli? Chodzące zwłoki, których nie da się niczym zabić? Żywe trupy masakrujące znane mi dobrze osoby? Przecież to jakaś pieprzona apokalipsa!

Miała pełną świadomość, że te mury nie zagwarantują bezpieczeństwa ani jej, ani chroniącym się za nimi ludziom. Pozwolą przetrwać we względnym spokoju tydzień, może miesiąc, ale co dalej? Zapasy wyczerpią się raczej prędzej niż później, nawet jeśli Okrutny zarządzi w najbliższych dniach racjonowanie żywności – wykarmienie pięciuset osób z okładem

to przecież nie przelewki. Gdy składziki opustoszeją, trzeba będzie ruszyć dupę i zdobyć żywność. Rojewski miał rację, kiedy mówił, że w okolicznych kamienicach na pewno jest jej sporo. Ludzie powoli zaczynali robić zapasy na zimę, chomikowali weki, kompoty, kupowali ziemniaki na metry. Przy odrobinie szczęścia da się na tym pociągnąć przez kolejne tygodnie, ale z czasem trzeba będzie iść coraz dalej w miasto, a wtedy straty w ludziach zaczną rosnać. A potem... potem nadejdzie zima, która...

Bez względu na to, co czekało pozostałych, jej los wydawał się przesądzony. Wątpiła, czy zdoła przetrwać taki koszmar. Jeden dzień wystarczył, by trzęsła się jak osika, a to przecież był dopiero początek, kropla w bezkresnym oceanie stresu i udręki, na które zostanie wystawiona...

Zobaczyła, że z celi w oddali wynurza się chwiejnym krokiem jakaś postać. Niewysoka, przygarbiona, przeraźliwie chuda. Sądząc po długich rozpuszczonych włosach, chyba dziewczynka. W gęstym półmroku trudno było dostrzec więcej szczegółów. *Kolejna umęczona dusza, która nie może zasnąć*, pomyślała Katarzyna, szczerze współczując zagubionemu dziecku. Kruszyna błędziła przez chwilę po pustym holu więziennego bloku, a potem skierowała się do oświetlonego lampą naftową stolika. Dreptała niepewnie, przyśpieszając z każdym krokiem, jakby ten nikły blask przyciągał ją niczym ogień ćmę. Gdy znalazła się kilka metrów od Katarzyny, podniosła głowę. Spod szopy zmierzwionych, pozlepianych czymś włosów wychynęła... bezkształtna zakrwawiona masa, w której próżno by doszukiwać się delikatnych rysów dziecięcej twarzy. Chude rączki wyciągnęły się w kierunku zmartwiałej funkcjonariuszki. Już tylko centymetry dzieliły jej szyję od sinych paluchów...

Ziółkowska zerwała się na równe nogi, odtrącając krzesło, które poleciało na posadzkę z głośnym hukiem. Gdyby nie miała ściśniętego strachem gardła, pewnie wydarłaby się na cały głos, budząc każdego z ponad stu ewakuowanych. Przycisnęła obie dłonie do mostka, jakby tym gestem mogła powstrzymać walące w obłąkańczym tempie serce od wyłamania żeber.

Cholerny sen! Taki realistyczny. Nie zauważyła nawet, kiedy

zamknęła oczy. Miała wrażenie, że od chwili, gdy usiadła przy stoliku, minęło zaledwie kilka minut, ale jedno zerknięcie na zegarek uświadomiło jej, że dochodzi północ. Zaśmiała się pod nosem, widząc w oddali przyczajoną, ale znajomą sylwetkę zmienniczki. Rozregulowany stresem mózg zarejestrował echa jej kroków i przetworzył je w koszmar. *Nie ostatni zapewne tej nocy*, skonstatowała ze złością, czując, jak szybko znużenie wypiera adrenalinę.

– Już w porządku! – rzuciła do przerażonej Agnieszki, która zamarła na widok panikującej przełożonej. – Przysnęłam – usprawiedliwiła swoje zachowanie.

– Ten strach nas wykończy, mówię ci – odparła Michalska, ruszając z miejsca. – Też się obudziłam przekonana, że mnie osaczają.

– Będziemy musiały się do tego przyzwyczaić. – Ziółkowska podniosła krzesło.

– Albo poprosić doktora Wegnera o przepisanie relanium.

– Co się tam dzieje? – z góry dobiegł zniżony, ale i tak doskonale słyszalny głos sierżant Medygrał.

– Nic takiego, potknęłam się o krzesło i narobiłam hałasu – odpowiedziała Katarzyna, zatajając prawdziwą przyczynę swojego zachowania.

– Na drugi raz bardziej uważaj, ludzi pobudzisz.

– Tajest.

Szefowa bloku poczłapała z powrotem do celi.

– Możesz już iść. – Agnieszka położyła na blacie mocno podniszczoną książkę.

– Nie, zostanę. Po tym koszmarze i tak nie dam rady zasnąć, a i tobie będzie raźniej.

Michalska usiadła na drugim krześle, naprzeciw Ziółkowskiej. Skręciła knot stojącej pomiędzy nimi naftówki, by blask nie raził jej oczu.

Parter tego skrzydła Babińca oświetlały tylko trzy podobne lampy, przez co większość bloku niknęła w nieprzeniknionych ciemnościach i równie złowrogiej ciszy.

– Zauważyłaś? – zagadnęła w pewnym momencie Agnieszka.

– Co? – Przywołana do rzeczywistości Katarzyna nie wiedziała, co jej koleżanka może mieć na myśli.

– Nie słysząc już kasłania.

Wsluchiwały się przez dłuższą chwilę w dobiegające z najbliższych cel ledwie uchwytnie pochrapywania i sapnięcia.

– Faktycznie – przyznała Ziółkowska. – Facet zna się na rzeczy.

– Mówisz o doktorze?

– Tak. Cały wieczór siedział u nas i poił ludzi jakimiś naparami. Kolejka stała do niego taka, jak do salonu AGD, kiedy rzucą odkurzacze. Ludzie utyskiwali później, że gówno z niego, nie medyk, bo prawie nikomu nie pomógł, a tu proszę, trzeba było tylko czasu... – Uśmiechnęła się pod nosem.

Dobrze jest, pomyślała, im ciszej na bloku, tym lepiej ludzie się wyśpią. A potrzebowali snu jak kania dżdżu. Zwłaszcza starszuszki i maluchy, czyli zdecydowana większość tej ferajny.

– Może jednak się połóżysz? – zaproponowała Michalska, widząc, że powieki przełożonej opadają coraz niżej, a jej wzrok staje się z chwili na chwilę bardziej mętny.

Katarzyna otrząsnęła się jak zmoczony pies, ale niewiele to pomogło.

– Wiesz... – zaczęła i zamilkła w pół słowa, widząc, że z mroku za plecami Agnieszki wynurzają się rozczapierzone ręce.

Wzdrygnęła się, pewna, że sen powrócił, lecz szare dłonie nie zniknęły. Michalska podskoczyła, gdy poczuła dotyk zimnych palców na karku. Zerwała się z krzesła, jęcząc głośno, a potem zatoczyła i wpadła na stół. Nogi ugięły się pod nią, jakby miała zaraz zemdleć. Sparaliżowana strachem Ziółkowska spojrzała jej w oczy. Wielkie, okrągłe, pełne zdziwienia, ale i przerażenia.

Sprawczyni tego zamieszania, nastoletnia, znana jej z widzenia dziewczyna, zrobiła kolejny krok, zaczepiła bosą stopą o odtrącone krzesło, po czym wyrznęła jak długa, łapiąc chwiejącą się wciąż Agnieszkę za lewą nogę. Sekundę później obie leżały obok stołu. Nieruchoma ofiara i odmieniec wpełzający na nią jak nie przymierzając... Wąż. Skojarzenie to otworzyło jakąś klapkę w umyśle Katarzyny. *To Gabriela, córka Moniki Wąż.*

Ziółkowska wpatrywała się w tę scenę jak zahipnotyzowana.

Wiedziała, jak wygląda atak nieumarłego, wciąż jednak nie wierzyła własnym oczom. To musiał być sen. Koszmar jak ten poprzedni, tyle że tym razem przysnęła mocniej i nie mogła się obudzić.

Uchwyciwszy kątem oka jakiś ruch w ciemnościach, podniosła spojrzenie. Z mroku wyłaniały się kolejne widmowe postacie. Rozpoznała je. Miała przed sobą zakrwawioną od stóp do głów Monikę i jej męża Waldka; za nimi z mroku wychynęli dwaj synowie jej sąsiadki Anki Czarnieckiej. Młodszy Michałek miał może siedem lat. Starszy Kacper niespełna dwa więcej. Serce stanęło jej na widok otwartych zakrwawionych ust i wyrwconych oczu chłopców. Szli prosto na nią, ewidentnie martwi, tuż przed upiornymi sylwetkami obojga rodziców, a ona nie mogła się ruszyć ani dobyć głosu. *Boże, niech się okaże, że to tylko kolejny sen!* – tyle zdążyła pomyśleć, zanim dzieci, szybsze od apatycznych dorosłych odmieńców, uczepliły się jej z obu stron...

Ból nie był tak potworny, jak się tego obawiała. Rejestrowała go podświadomie, jakby to nie jej ręce odzierano właśnie ze skóry. Odpywała, oddalała się od własnego ciała. Skąpany w blasku przygaszonej lampy więzienny blok zaczął się rozpływać, roztapiać w bezkresnym mroku. Na moment przed tym, nim do reszty zanurzyła się w oceanie czerni, zdążyła odnotować wzrokiem i umysłem, że Anka Czarniecka, z uczepionym kurczowo jej boku oseskiem, wpada na stół. Impet zderzenia wyłamał do reszty jedną z nóg ponemieckiego mebla. Lampa naftowa zachwiała się, przewróciła, a potem potoczyła wolno ku krawędzi przechylonego blatu, by spaść prosto na zwłoki Agnieszki i masakrującą ją wciąż dziewczynę.

* * *

Zdyszana Rzosińska wpadła do Babińca i zatrzymała się jak wryta dwa kroki za progiem. Blok tonął w półmroku rozświetlanym wieloma... ludzkimi pochodniami.

– Co jest, jak pragnę zdrowia? – wysapał szeregowy Matras, wyhamowując tuż za nią.

Rojewski wysłał ich, by ostrzegli dyżurnych w drugiej części więzienia, ale wszystko wskazywało na to, że spóźnili się, i to sporo. Przy stoliku na wprost wejścia widać było poruszające się chwiejnym krokiem upiorne płonące postacie. Na jednych dopiero tliło się ubranie, innych ryczące płomienie ogarniały od stóp po głowę, ale prócz trzasku zasilanego ludzkim tłuszczem ognia w przepastnym gmachu panowała kompletna cisza. Najgorsze jednak było to, że znaczną część podpalonych nieszczęśników stanowiły dzieci.

– To samo co u nas – warknęła Elżbieta, ogarnawszy wzrokiem to pandemonium – tylko gorzej. O wiele gorzej.

– Wiejemy? – zapytał Marcin, cofając się o krok.

– Oszalałeś? – Zerknęła przez ramię, posyłając mu pogardliwe spojrzenie, po czym przyłożyła dłonie do ust i ryknęła na cały głos: – Alarm! Wstawać, kto żyw! Uciekać na plac!

Matras dołączył do niej, razem narobili tyle hałasu, że słyhać ich było nawet w kaplicy, niestety efekt osiągnęli znikomy. Tylko w kilku celach na wyższych poziomach pojawiły się migotliwe światełka, świadczące o tym, że ktoś zapala świece albo karbidówki. Na dole, gdzie okiem sięgnąć – jeśli nie liczyć palących się nieumarłych – nadal panowały nieprzeniknione ciemności i całkowita cisza.

– Ja cię... – Z góry doleciał stek przekleństw tak rozbudowanych, że ich autorką mogła być tylko jedna osoba.

Rzosińska zadarła głowę. Sierżant Medygrał przyglądała się płonącym odmieńcom z drugiego piętra. Włosy miała w nieładzie, bluzę mundurową rozpiętą, już na pierwszy rzut oka było widać, że wyrwała się z bardzo głębokiego snu. Potrzebowała kilku sekund, by zaskoczyć, a gdy już ogarnęła sytuację, natychmiast zadęła w gwizdek.

– Nie zbliżajcie się do tych drani! – wrzasnęła, wskazując podpalone, ale nadal żwawe zwłoki. – Wy tam! – przeniosła wzrok na ludzi tłoczących się na galeriach. – Jazda na dół! Zostawcie manatki! – dodała pośpiesznie, widząc, że niektórzy z nocujących w jej bloku zawracają do cel. – Spierdalać mi stąd w podskokach, jeśli wam życie miłe! Natychmiast!

Tym razem zareagowali jak trzeba. Rzucili się hurmem w kierunku schodów. Kraty na szczęście, podobnie jak drzwi, pozostały otwarte, a i uciekinierów – niestety – nie było zbyt wielu. Elżbieta naliczyła ich na tym piętrze ze trzydziestu, wliczając kilkoro, którzy nie zerwali się od razu do biegu. Zdziwiła się, dlaczego ci durnie nie posłuchali rozkazu, lecz moment później zrozumiała, z kim, a raczej z czym ma do czynienia.

Jeden z nieruchawych stał na drodze siedmioosobowej rodziny, która zajmowała ostatnie dwie cele w tym ciągu. Matka wlekąca za sobą cztery nieletnie pociechy nie patrzyła przed siebie, ojciec zamarudził w tyle, ponieważ wspierał ramieniem kulejącą mocno starowinkę. Wszystko rozegrało się w okamgnieniu. Chudy mężczyzna w rozchełstanej koszuli ożywił się, gdy uciekająca czeredka znalazła się przed jego celą. Schylił się, pochwycił prawą ręką jedno z dzieci, lewą natomiast złapał za ramię zdezorientowaną kobiecinę. Cała trójka wywaliła się momentalnie, tarasując pomost i pociągając za sobą resztę dzieci. Zaskoczony takim obrotem spraw ojciec najpierw się zatrzymał, potem wyrwał ramię z uścisku lamentującej staruszki i popędził w stronę walczących o życie pociech. Przerażliwe piski umilkły jednak, zanim zdążył dotrzeć do przegradzającego galerię kłębowniska ciał. Elżbieta widziała, że desperat nie zważa na wrzaski stojącej piętro wyżej sierżant Medygrał. Próba wyrwania ze szponów śmierci najmłodszego z synów zakończyła się zgodnie z oczekiwaniami Rzosińskiej, czyli tragicznie. Wystarczył jeden kontakt, jeden chwyt, by ważący prawie sto kilogramów facet stracił przytomność i runął jak kłoda między nieżyjące już dzieci.

Oparta o ścianę babcia przeżegnała się parokrotnie. Poruszała się z takim trudem i tak wolno, że zamienieni w zombie krewni zdążyli wstać, zanim zdołała zrobić trzy kroki. Rzosińska zagryzła pięść do krwi, obserwując ostatni akt tego dramatu. Własne wnuki opadły kwilącą z przerażenia starowinkę, powalając ją w okamgnieniu.

Elżbieta podskoczyła, gdy tuż za jej plecami rozległ się głośny

trzask, a zaraz potem głuchy łomot. Pisnęła przeraźliwie, zorientowawszy się, co było jego źródłem. Szeregowy Matras zniknął pod trzema splecionymi w uścisku ciałami, które spadając z najwyższej kondygnacji, przebiły się przez siatkę zabezpieczającą parter i zmiażdżyły głowę stojącemu pod nią funkcjonariuszowi. Ułamki kości i strzępy mózgu trysnęły szerokim strumieniem z pękającej czaszki, Rzosińska wyrwana ze snu narzuciła na halkę tylko bluzę mundurową, zatem poczuła ciepło emanujące z miazgi, która opryskała jej łydki.

Ciepło, które bardzo szybko zamieniło się w dojmujący chłód, jakby szczątki Marcina zamarzały w okamgnieniu. Pot wystąpił Elżbiecie na czoło, gdy zdała sobie sprawę z tego, co to oznacza naprawdę. *Miałam kontakt z tkankami zabitego przez zarażonych człowieka! Nie było ich wiele, parędziesiąt gram co najwyżej, ale...* Spanikowana zaczęła ścierać maź z nóg, paprząc mózgowiem kolegi wewnątrz dłoni i drąc się, jakby wpadła do wrzącego oleju. Zakręciło jej się w głowie. Byłaby upadła, gdyby nie zdążyła się podeprzeć najpierw jedną, a potem drugą ręką. Zrobiła głębszy wdech, by zapanować nad narastającą paniką, lecz to nie pomogło. Traciła siły, jakby ktoś je z niej wysysał. Wrzasnęła, gdy na prawym przegubie poczuła mocny chwyt. Nie potrafiła się wyrwać. Nie była w stanie choćby krzyknąć, kiedy jeden z odmieńców, którzy spadli z pomostu, wbił jej szponiastą dłoń w twarz, wyłupiając oko i przebijając policzek w trzech miejscach.

* * *

Medygrał widziała to wszystko z góry, ale choć wrzeszczała jak opętana, nie mogła nikomu pomóc. Ani nieznannej bliżej rodzinie z pierwszego piętra, ani Rzosińskiej oraz jej partnerowi, na których spadli zombie znajdujący się jeszcze przed momentem na galerii za jej plecami. Nie spostrzegła się nawet, kiedy zachodzili ją od tyłu. Całe szczęście dopadli kogoś stojącego za jej plecami. Kogoś, kto walcząc o życie, przegibnął się przez balustradę i pociągnął napastników za sobą. Nie była do końca pewna, ale osobą, której zawdzięczała, że wciąż żyje, był

najprawdopodobniej szeregowy Adrian Pietranek, któremu przydzieliła jedną z sąsiednich cel. Kapitan Okrutny oddelegował go do pilnowania Babińca, ponieważ mało która z jej dziewczyn przeżyła wydarzenia minionego dnia. To one pośpieszyły z pomocą ofiarom na gruzowisku. I to one pierwsze poznały grozę odmiany.

– Dzięki, człowieku – mruknęła z wdzięcznością, odwracając wzrok od nieruchomiejącej w dole funkcjonariuszki.

Uciekinierzy, a w każdym razie ci, którzy zdążyli zbiec na parter, tłoczyli się właśnie przy drzwiach prowadzących na plac. Na szczęście było ich tak niewielu, że zdążyli opuścić blok, zanim płonące zombie doczłapały za nimi do wyjścia. Agnieszka potoczyła wokół spojrzeniem; w rozświetlanej płomieniami i nielicznymi lampami przestrzeni zobaczyła dziesiątki kołyszących się leniwie i poruszających niemrawo ludzkich postaci. W Babińcu na powrót zapanowała względna cisza, którą po chwili przerwał jakiś dźwięk, coś jakby płacz dziecka. I zaraz umilkł jak ucięty nożem.

– Jest tu kto?! – zawołała. Chwilę później w drzwiach jednej z oświetlonych karbidówką cel znajdujących się piętro niżej dostrzegła ruch. Ktoś wyrżał ostrożnie na galerię, ale nie odpowiedział na jej wołanie. – Spokojnie, oni nas nie usłyszą! – dorzuciła, domyślając się, czego obawia się ten człowiek.

Zombie wyczuwają w jakiś sposób obecność żywych ludzi, ale na pewno nie widzą ich ani nie słyszą, powiedziała sobie w duchu dla kurażu. Kapitan Okrutny sprawdził to wielokrotnie w trakcie i po akcji oczyszczania więzienia.

– Jest pani pewna? – odkrzyknął nieznany jej z twarzy mężczyzna.

– Na sto procent! – odparła, starając się, by jej głos brzmiał w miarę spokojnie. – Jak widać!

Wyszedł krok dalej, rozejrzał się po galerii. Wielodzietna rodzina, której zagładę Medygrał obserwowała przed momentem, tkwiła wciąż kilkanaście metrów od miejsca, w którym stanął, dzięki czemu mógł się czuć w miarę bezpiecznie. To jednak niewiele znaczyło w tej sytuacji.

Uciekinierzy ściągnęli pod schody niemal wszystkie żywe trupy, jakie znajdowały się w holu, zatem ta droga ucieczki została na dobre odcięta. Agnieszka zerknęła przez ramię ukradkiem, aby ocalały nie zauważył, że ona także jest przerażona. Galeria za jej plecami była o dziwo pusta. Nieumarłymi, którzy spadli z Pietrankiem, byli znajomi z sąsiedniej celi, Patrycja Dominiak i jej narzeczony Oskar Kamiński, ale co stało się z ich synkiem? Głupie pytanie. *Skoro oni się przemienili, dziecko też z pewnością już nie żyje...* Po chwili zastanowienia uznała, że nie ma powodu się nim przejmować. Tymek nie skończył jeszcze dwóch latek, nie był więc w stanie jej zagrozić. Pozostawała jednak jeszcze kwestia szeregowego Marczyńskiego, drugiego obok Pietranka funkcjonariusza oddelegowanego do pilnowania Babińca. Medygrał przydzieliła mu celę na samym końcu galerii. Raczej nie pokazał się od wszczęcia alarmu, a skoro nie zareagował na te wrzaski...

– Co mamy robić? – zapytał roztrzęsiony mężczyzna z dołu.

– Daj mi sekundę, przyjacielu – odkrzyknęła, nie mogąc i nie chcąc zajmować się dwiema sprawami naraz. – Będzie dobrze. Zaraz coś wymyślę.

Rozważyła dostępne opcje. Zejście na dół nie wchodziło w grę. Najbliższe żywe trupy stały niespełna trzy metry od wylotu schodów. Wyczułyby ją, zanim zdążyłaby zbiec do holu. Klatka schodowa przy kaplicy była zasypana gruzem. Trzeciego wyjścia, znajdującego się na samym końcu bloku, nie mogła dostrzec z miejsca, w którym stała, ponieważ skrywały je teraz nieprzeniknione ciemności. Rzosińska, wchodząc na blok, zabrała stojącą przy drzwiach lampę karbidową.

Tak czy inaczej nie miała wielkiego wyboru. Albo zaryzykuje poprowadzenie tych ludzi na sam koniec Babińca, albo każe im wrócić do celi, zabarykadować wejście i przeczekać do świtu.

Ale czy to drugie rozwiązanie coś im da?

Nie wiedziała, jak wygląda sytuacja w Iksie, ale podejrzewała, że i tam musiało dojść do podobnych wydarzeń, skoro Rojewski wysłał do niej swoich ludzi. Może Rzosińska i ten drugi przybiegli, by prosić ją o pomoc w opanowaniu sytuacji, która

tam wymknęła się spod kontroli? *Nie. Chłopcy w głównym bloku mieli większe szanse. Trzymali ludzi w zamkniętych celach, tak więc...* Minuty upływały, podczas gdy myśli kłębiły się w głowie Agnieszki. Facet na dole zaczął panikować.

– Jak się nazywasz? – zapytała, by zyskać na czasie.

– Muniowski jestem. Daniel.

Nazwisko obito jej się o uszy. *Tak, jego żona pracowała w kancelarii...*

– Dlaczego nie uciekliście z innymi?

– Natalia spanikowała. Nie dałem rady wyciągnąć jej z celi.

– Rozumiem. Ilu was tam jest?

– Troje. My i nasza córeczka.

Troje. Świetnie. Z większą rodziną mógłby być kłopot. Zwłaszcza dzieciaki trudno upilnować.

– Zrobimy tak – zdecydowała. – Ewakuujcie się do mnie, na górę.

– Ale... – zaprotestował mężczyzna.

– Nie przerywaj mi, Daniel! Wiem, co mówię. Wejdźcie na wyższy poziom. Przedostaniemy się pomostem na drugą stronę i tamtędy zejdziemy na dół. – Wskazała palcem przeciwległą klatkę schodową, w której poblizu znajdowali się tylko dwaj drepczący wolno nieumarli. – Ja odwrócę ich uwagę, a wy pobiegniecie do tylnego wyjścia – przesunęła rękę, celując w nieprzeniknione ciemności. – Wiecie, gdzie ono jest?

– Tak... Chyba tak.

– Nim tutaj weszliście – przypomniała, ponieważ zdając sobie sprawę, że mogli być zbyt wystraszeni, by pamiętać tak nieistotne szczegóły.

– Przechodziliśmy obok strażnicy – powiedział nadspodziewanie przytomnie Muniowski.

– Tak. Tamtędy wydostaniemy się na zewnątrz.

– A jeśli tam też...

– Widziałeś, ile osób się ewakuowało? – zapytała, mając nadzieję, iż nie wychynął nosa z celi i nie wie, że uratowała się zaledwie garstka z ponad setki uciekinierów, którzy znaleźli schronienie pod tym dachem.

– Nie.

Ulżyło jej, gdy zaprzeczył.

– Słyszysz jakieś krzyki dobiegające z zewnątrz?

– Nie.

– To znaczy, że nic tam się nie dzieje, rozumiesz? Nic im nie grozi.

– Skoro tak...

– Bierzcie dzieciaka i zasuwaszcie na górę. Tylko nie targajcie żadnych maneli! – ostrzegła. – Nikt ich wam nie ukradnie.

Muniowski zniknął na moment, po czym wynurzył się z celi ponownie, ciągnąc za rękę młodą kobietę o długich ciemnych włosach, która tuliła do piersi kwilące cicho dziecko. Nieumarli z galerii – zgodnie z oczekiwaniami Agnieszki – nie zareagowali na ich ucieczkę, dzięki czemu ewakuacja przebiegła spokojnie. Chwilę później oboje Muniowscy, lekko zdyszani biegiem po stromych schodach, stali już obok sierżant Medygrał.

– Teraz posłuchajcie mnie uważnie... – Pochyliła się do nich, gdy odsapnęli. – Musimy jak najszybciej przebiec do tamtego pomostu. – Łącznik mającył jakieś trzydzieści metrów od nich.

– Dlaczego: przebiec? – zaniepokoiła się Natalia.

– Dlatego, że w jednej z cel, które miniemy po drodze, może przebywać nieumarły – wyjaśniła Medygrał najspokojniej, jak umiała, ale te słowa i tak przeraziły młodych rodziców. – Przy odrobinie szczęścia... – zaczęła.

– Szczęścia? – parsknął Muniowski. – Od wczoraj mamy wszyscy wyłącznie nieustającego pecha.

– Alternatywą jest zabarykadowanie się w celi i czekanie na ratunek, który być może nadejdzie za późno. – Uczyniła ruch głową w kierunku płonących w dole odmieńców.

Ogień na razie się nie rozprzestrzenił, ale istniało ryzyko, że rozłazący się powoli zombie doprowadzą do poważnego pożaru.

– Trzymajcie się mnie i nie zwalnijcie nawet na moment! – zawołała, popychając ich do biegu. – Uważajcie na trzecie drzwi od końca! Tam możemy zostać zaatakowani.

Pognali galerią, mijając kolejne otwarte lub tylko lekko uchylone drzwi. Agnieszka spoglądała z niepokojem na wejście

do pomieszczenia, w którym nocował szeregowy Marczyński. Ciężkie metalowe skrzydło było otwarte szerzej, niż powinno. To mogło znaczyć...

Znajdowała się na wysokości celi przydzielonej Patrycji Dominiak, gdy kątem oka dostrzegła jakiś ruch.

– Szlag – jęknęła, uchylając się przed opadającą szybko ręką.

Coś musiało zwabić Marczyńskiego do sąsiadów. Może usłyszał wołania albo odgłosy szamotaniny. W każdym razie zareagował i... przyplącił to życiem. Agnieszka zdążyła przemknąć, zanim nieumarły wytoczył się z celi Patrycji, lecz pozostali nie mieli tyle szczęścia. Nieumarły wpadł prosto na Muniowskiego. Uderzył w niego z takim impetem, że obaj wylecieli za barierkę.

Natalia, widząc, że zombie zmiata biegnącego krok przed nią męża, zatrzymała się jak wryta i zaczęła krzyczeć tak przeraźliwie, jakby ktoś odzierał ją żywcem ze skóry. Medygrał zawrócił, chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą. To była ostatnia przeszkoda na drodze ku ocaleniu. Przynajmniej na tym piętrze. Muniowska opierała się jednak i nie zamierzała umilknąć. Dopiero dwa siarczyste policzki otrzeźwiły ją na tyle, że wysłuchiwała słów nie mniej wystraszonej, ale rezolutniejszej funkcjonariuszki.

– Jemu już nie pomożesz, ale nadal masz dla kogo żyć. Ocal chociaż dziecko!

Szlochająca kobieta zerknęła w dół na splecione ciała leżące wciąż na siatce, potem przeniosła wzrok na wystraszoną córeczkę. Liliana też płakała, ale nie było czasu na jej uciszanie. Obie kobiety pobiegły do łącznika, którym przedostały się na drugą stronę bloku, gdzie wszystkie cele były puste. Zejście na dół zajęło im nie więcej niż minutę. Dopiero tam, oddaliwszy się na bezpieczną odległość od żywych trupów, przystanęły na moment, by odsapnąć i ustalić, co dalej. Tam też Natalii udało się w końcu uciszyć córkę.

Zaraz miały wkroczyć w jeszcze gęstszy mrok i zagłębić się w wąskie przejście obok strażnicy, prowadzące do stalowych drzwi. Agnieszka po dziesięciu latach służby w tym bloku trafiłaby tam z zamkniętymi oczami, jednakże jej towarzyszka

nie znała planów Babińca tak dobrze jak ona, poza tym znów zaczęła panikować na samą myśl o czekających na nie ciemnościach.

Medygrał chwycił ją za dłoń.

– Nie będziemy biegać. Pójdziemy powoli, spokojnie. Jeśli chcesz, wyciągnij drugą rękę przed siebie. Tam nie ma nic, o co można by się uderzyć, ale poczujesz się pewniej.

Natalia przełknęła głośno ślinę, nadal się wahając, lecz w końcu potaknęła skinieniem. Nie był to zdecydowany ruch, niemniej wystarczył za potwierdzenie.

Zrobiły wspólnie pierwszy krok, potem następny. Po dziesiątym poruszały się już w gęstej jak smoła czerni. *Jeszcze tylko dwadzieścia metrów*, pocieszała się w myślach Agnieszka, także wyciągając przed siebie rękę, tak na wszelki wypadek. Jej towarzyszka nie miała szansy tego zobaczyć, a strach był silniejszy od przekonania, że aż do kraty nie napotka żadnej przeszkody.

Dwudziesty krok. Dwudziesty pierwszy. Nagle wyczuła, że coś jest nie tak. W nieprzeniknionym mroku nie była w stanie niczego dostrzec, ale usłyszała szmer, coś jakby szelest trącego o siebie materiału. Zatrzymała się. Zaskoczona jej zachowaniem Natalia natychmiast podskoczyła i zapiszczała. Dziecko znów zaczęło płakać.

– Szlag by to! – syknęła Medygrał.

Teraz już nie słyszała niczego poza wyciem przerażonej Liliany.

– Co się dzieje? – zapytała płaczliwym tonem Muniowska.

– Nie wiem... – odparła znajdująca się na skraju paniki Agnieszka. Nagle coś ją olśniło. – Masz może zapałki?

– Tak.

– Daj mi je – poprosiła, chwytając rękę Natalii także drugą dłonią, w której po chwili pojawiło się niewielkie pudełeczko.

Bez namysłu wyjęła z niego kilka drewniek i potarła ich główki o draskę. Płomyk nie był zbyt jasny i zaraz przygasł, ale wystarczył do wyłowienia z mroku kilkunastu sunących w ich kierunku upiornych postaci.

Coś zwabiło tutaj zombie z cel najbliżej wyjścia. Zapewne

kilkoro uciekinierów wybrało to wyjście, zamiast czekać na swoją kolej przy bocznych drzwiach, czego w ogólnym rosgardiaszu nie zauważyła. Odmieńcy otaczali je z trzech stron, wyciągając łapska.

Zdążyła się tylko przeżegnać...

* * *

– Ile? – Zaskoczony Okrutny potarł dłońmi zarośnięte czarną szczeciną policzki.

Rojewski splunął na posadzkę, zanim powtórzył to, co przed chwilą zdołał wymamrotać. Na samą myśl o tej liczbie robiło mu się niedobrze.

– Sto siedemnaście. Wliczając w to tych z Babińca.

– Sto siedemnaście? Z ponad pięciuset... Jak to możliwe? – Kapitan rozejrzał się po rozświetlonym bloku.

Chorąży – zanim kazał obudzić przełożonego – posłał dwóch funkcjonariuszy do pomieszczenia z generatorami. Uznał, że w tej sytuacji nie ma co oszczędzać. Zapanowanie nad nieumarłymi przy blasku kilku naftówek nie wchodziło w grę.

– Nie wiem. Może doktor będzie mądrzejszy. – Patryk wskazał głową zaspanego Wegnera, jednakże ten nie miał zbyt pewnej miny.

Okrutny także spojrział na towarzyszącego mu lekarza.

– Jakim cudem zaraza zdołała osiągnąć tylu ludzi? – zapytał. – Mimo że zostali odizolowani zgodnie z instrukcją Biedrzyckiego i nie mieli kontaktu z zarażonymi?

– Tego akurat nie wiemy – burknął Wegner.

– Czego?

– Czy nie mieli kontaktu z zarażonymi.

– Przecież to ewakuowani. Nie brali udziału w...

– Nie tutaj – przerwał mu doktor, podchodząc bliżej celi, obok której się zatrzymali. – Wcześniej. Na mieście.

– To możliwe – przyznał po chwili zastanowienia Patryk.

– Ale... – Kapitan wciąż miał wątpliwości.

– Dajcie mi chwilę – poprosił lekarz, po czym odwrócił się do Rojewskiego i zapytał: – Krzyżami poznaczaliście cele,

w których są zarażeni?

– Tak. Kazałem je namalować wszędzie tam, gdzie nikt nie odpowiada na wezwania.

– Rozumiem.

Białe znaki zdobiły większość drzwi z tych, które znajdowały się w polu widzenia całej trójki.

Wegner podszedł jeszcze bliżej celi. Wzdrygnął się, gdy usłyszał rumor, z jakim coś walnęło w metalowe drzwi, lecz nie powstrzymało go to przed zrobieniem kolejnego kroku. Pochylił się, by spojrzeć na przyklejoną pod wizjerem kartkę, na której funkcjonariusze wypisali imiona i nazwiska osób przydzielonych do tego pomieszczenia. Łomotanie narastało, dopóki nie przeszedł pod kolejną oznaczoną podobnie celę. Sprawdził ich jeszcze kilka, oddalając się coraz bardziej od zmarkotniałych mundurowych.

– Ocalało jedynie sto siedemnaście osób. – Okrutny wciąż nie mógł uwierzyć w ogrom strat. – Dlaczego nie obudziliście mnie od razu? – dodał, spoglądając z wyrzutem na podwładnego.

– Nie miałem czasu – odparł ze stoickim spokojem Rojewski. – Poza tym co by to zmieniło?

Miał rację. Obecność kapitana na miejscu zdarzeń nic by nie dała. Im więcej czasu mijało, tym silniejsze Patryk zyskiwał przekonanie, że decyzja o nieotwieraniu cel była jedyną słuszną. Dzięki niej udało się ocalić kilkadziesiąt rodzin, które mogłyby zginąć w chaosie, jaki by niewątpliwie powstał po wypuszczeniu ludzi zamkniętych w celach z zarażonymi. Przykład Babińca był tego doskonałym dowodem. Spośród stu dwudziestu ewakuowanych, którymi zajęła się Medygrał, ocalało zaledwie siedemnastu. Większość kobiet i dzieci zginęła, zanim ktoś zdołał podnieść alarm, ponieważ nieumarli łazili w całkowitej ciszy z celi do celi, zabijając i przemieniając każdego, kogo dopadli. Zaskoczone, rozespane ofiary umierały, nie wydawszy choćby głośniejszego jęku.

Gdzieś w głębi skrzydła B ktoś zaczął krzyczeć i walić pięściami w drzwi. Kapitan natychmiast posłał ostre spojrzenie podwładnemu.

– To jeszcze nie koniec?

Chorąży pokręcił głową.

– Nie o to chodzi. Od pół godziny nie zanotowaliśmy żadnych nowych ofiar, ale ludzie wciąż panikują.

– Dlaczego ich jeszcze nie wypuściliście? – zdziwił się Okrutny.

– Zostało mi tylko czterech ludzi – wyjaśnił Patryk. – Najpierw musimy oczyścić wszystkie galerie z tych nieumarłych, którzy wydostali się, zanim...

Przełożony uciszył go uniesieniem dłoni.

– Ilu ludzi Agnieszki jest wśród ocalonych z Babińca?

Patryk nie odpowiedział od razu. Spuścił głowę i znów splunął na posadzkę.

– Zero. Chłopcy, których do niej posłałem, też zginęli.

– Ja pierdołę... – Kapitan ukrył twarz w dłoniach.

Kładąc się spać, miałem nadzieję, że najgorsze za nami, tymczasem wystarczyło parę godzin nocy, by została nas tylko garstka. Reszta ocalonych to cywilbanda. Jeśli dojdzie do kolejnego incydentu, czego nie mogę wykluczyć...

– Panowie! – Wegner wyglądał na zaaferowanego. – Chyba na coś wpadłem.

– Mówcie!

– Sprawdziłem nazwiska osób przebywających w celach oznaczonych krzyżami. Zdecydowana większość uskarżała się wczoraj na ten cholerny kaszel. Jestem pewien, że jak porównamy spis ofiar z rejestrem moich pacjentów, zgodność będzie wyjątkowo duża.

– Od przeziębienia się nie umiera – prychnął kpiąco Rojewski. – Zwłaszcza latem.

– To nie było przeziębienie. – Wegner zmierzył go ponurym wzrokiem. – Ci ludzie nawdychali się dymu z krematoriów, w których palono ciała zarażonych.

– Dym ich zabił? – Okrutny zrobił wielkie oczy.

– Nie tyle dym, ile toksyny, które się w nim znajdowały.

Kapitan zbladł. Przypomniał sobie uczucie mdłości, które go ogarnęło, gdy wyszedł w piątek wieczorem na obchód.

– Jeśli ten dym był trujący... – zaczął.

– ...to każdy z nas może lada moment umrzeć – dokończył Wegner. – Na szczęście ten proces trochę trwa. Najpierw muszą wystąpić określone symptomy...

– Na przykład kaszel – szepnął Patryk.

– Tak, kaszel.

– To wszystko przez nas. – Okrutny posmutniał w momencie, pokręcił głową.

– Jakie wszystko? – zapytał chorąży.

– No, to... – Kapitan rozłożył szeroko ręce. – Gdybyśmy nie ściągnęli tutaj naszych rodzin i nie kazali im czekać całymi godzinami w tym dymie... – Urwał.

– Na mieście jest tak samo źle, jeśli nie gorzej – przypomniał mu Wegner. – Gdybyście nic nie zrobili, być może nikt by nie dotrwał do tego ranka. To przecież w przeważającej większości starcy, kobiety i dzieci.

– Teraz już nie – wtrącił Patryk grobowym głosem.

– Słucham? – Lekarz spojrział na niego dziwnie.

– Wśród tych, którzy przeżyli, jest tylko kilkoro nieletnich – sprecyzował chorąży. – Z moich notatek wynika, że tego ataku zarazy nie przetrwała żadna wielodzietna rodzina.

niedziela, 11 sierpnia 1963, godzina 11:45
Miejski Ogród Zoologiczny przy ulicy Wróblewskiego 1-5

Biedrzycki wyszedł przez okienko inspekcyjne na przedostatni płat dachu Hali Ludowej. Kąt nachylenia pokrytej blachą kopuły nie był wcale taki wielki, zatem major – choć znalazł się na wysokości ponad czterdziestu metrów – nie odczuwał strachu, a w każdym razie robił wszystko, by nie okazać go przy podwładnych. Razem z nim na szczyt budowli wspięło się jeszcze dwóch ludzi. Radiotelegrafista ze sprzętem potrzebnym do utrzymania kontaktu z centrum dowodzenia w zoo i Nizner, który miał się zająć robieniem zdjęć dokumentujących sytuację w mieście, aby sztabowcy otrzymali solidny materiał do przemyśleń przy opracowywaniu planu wykroczenia poza Wielką Wyspę.

Kilkanaście piętér to jednak sporo, dlatego Bartek, nienawykły do przebywania na takiej wysokości, szybko poczuł, że wilgotnieją mu dłonie i podeszwy stóp. Na wszelki wypadek nie oddalał się więc zbyt od ściany, w której osadzono rząd najwyższych świetlików. Od miejsca, w którym znajdowała się drabina prowadząca na najwyższy poziom kaskadowego zadaszenia kopuły, dzieliło go paręnaście metrów. Pokonał je, ostrożnie stawiając stopy, po czym wspiał się po lekko zardzewiałych szczeblach na zwieńczenie dachu budowli. Na jego szczęście budowniczy Hali Ludowej zaprojektował otoczony wysokimi barierkami pomost, którym można było dotrzeć do centralnego punktu z masztem flagowym. To u jego podnóża miał się znajdować punkt obserwacyjny.

Biedrzycki dotarł do celu pierwszy. Nizner przepuścił radiotelegrafistę, po czym sam wspiał się na górę. W odróżnieniu od majora i sierżanta nie trzymał się jednak pomostu. Przeskoczywszy na drugą stronę barierki, zaczął się oddalać ku

krawędzi kopuły, robiąc dowódcy kolejne zdjęcia.

– Nie marnuj na mnie filmu – ofuknął go Bartek, raczej poirytowany faktem, że podporucznik uwieczni jego niepewną minę, niż przejęty perspektywą upadku Niznera. Daleko by nie poleciał: najwyższa ściana miała ze dwa metry wysokości, a ryzyko stoczenia się po pochyłym wprowadzie, ale nie tak znów stromym zadaszeniu niższej części było minimalne.

– Bez obaw. Na wszelki wypadek zabrałem sześć rolek – uspokoił go podwładny, odwracając się w kierunku centrum. – A niech mnie... – mruknął na widok morza zieleni i dachów za spiczastą iglicą, ciągnących się hen daleko, prawie po horyzont. – Warto było tu wleźć.

Biedrzycki przytaknął. Wsparty obiema spoconymi wciąż dłońmi o barierkę poczuł się pewniej, a panorama, którą miał przed oczami, faktycznie zapierała dech w piersiach. Niebo nad miastem było tego dnia bezchmurne, prażące niemiłosiernie słońce stało w zenicie, dzięki czemu mógł podziwiać wedutę calusieńkiej aglomeracji, a nawet majaczący w oddali masyw Ślęzy. Wszedł na dach Hali Ludowej kwadrans przed ustalonym terminem, by przeanalizować sytuację i móc potem rozstrzygnąć, które słupy dymu pochodzą z dogasających pożarów, a które są efektem jego apelu.

Z mapnikiem w dłoni przyglądał się kolejnym dzielnicom i osiedlom, próbując wypatrzeć punkty orientacyjne, w późniejszym czasie pomocne w dokładniejszym ustaleniu miejsc, na które powinni zwrócić uwagę w pierwszej kolejności. Nad centrum miasta unosiło się kilkanaście grubych kolumn siwego dymu i parę cieńszych, aczkolwiek żadna z nich nie była w niebo w pobliżu krematorium. Żołnierzom udało się wykonać wydane jeszcze w piątkową noc rozkazy i zasypać rowy, do których trafiały zwłoki osób uznanych w selektoriach za zarażone.

Po zakończeniu rekonesansu Bartek zerknął raz jeszcze na zegarek. Do południa zostały już tylko trzy minuty.

– Połączcie mnie z Bernaciakiem – polecił stojącemu tuż za nim sierżantowi Radtkemu.

– Tajest!

Moment później ciężka ebonitowa słuchawka trafiła w dłoń majora.

– Jak sytuacja na górze? – zapytał natychmiast kapitan.

– Na razie spokój. Niebo jest czyste, widoczność znakomita.

– Jakież pożary?

– Owszem. Co najmniej kilkanaście, ale dym jest już siwy, niezbyt gęsty, co oznacza, że ogień właśnie dogasa.

– Świetnie.

– Wyślijcie rozkaz do rozgłośni. Niech chłopcy zaczną nadawać.

– Tak jest.

Bartek oddał słuchawkę radiotelegrafiście.

– Przygotujcie się, Nizner – napomniał podporucznika, który przyglądał się właśnie miejscom leżącym na wschód od hali, czyli terenom, na których przyjdzie im działać w najbliższych dniach podczas operacji oczyszczania Wielkiej Wyspy.

– Tajest!

Cała trójka znieruchomiała, wypatrując pojawienia się umówionych sygnałów. Przeczesywali horyzont czujnym wzrokiem w poszukiwaniu najmniejszych choćby zmian, lecz choć czas mijał nieubłaganie, niebo – poza wcześniej zauważonymi słupami dymu – pozostawało krystalicznie czyste.

Biedrzycki ponownie zerknął na zegarek. Trzy po dwunastej. Krótsza wskazówka poruszała się po kremowej tarczy poljota niepowstrzymanym rytmem, odmierzając kolejne sekundy. Wkrótce po raz czwarty minęła szczyt cyferblatu.

– Tam, towarzyszu majorze! – zawołał nagle Radtke, wskazując palcem na wschód, w kierunku Sępólna.

Obrócili się równocześnie. Nad dachy, mniej więcej pośrodku osiedla, wzbijały się trzy, nie, już cztery czarne smużki. Wiatr rozwiewał je niemal natychmiast, ale z każdym momentem grubły i stawały się bardziej widoczne. Wpatrywali się w nie z uwagą, wodząc wzrokiem po zwartej zabudowie obu osiedli, lecz wbrew swoim nadziejom nie dostrzegli żadnych więcej pióropuszy dymu.

– Majorze!

Zawiedziony Biedrzycki przeniósł spojrzenie na wołającego podporucznika i zobaczył, że ten spogląda teraz na południe, za Odrę, wskazując kolejne sygnały dymne. Było ich tam ponad dziesięć, rozrzuconych na dość dużej przestrzeni.

– Towarzyszu majorze, kapitan! – Radtke znów podetknął Bartkowi słuchawkę.

– Jak wygląda sytuacja? – w głosie Bernaciaka dało się wyczuć napięcie.

– Marnie – odpowiedział zgodnie z prawdą Biedrzycki. – Na razie mamy kilkanaście nowych smug dymu, i to głównie... – Zwrócił się ku centrum.

– Głównie co? – zapytał zdziwiony nagłą pauzą kapitan.

Major nie odpowiedział, opuścił słuchawkę, wpatrując się w labirynty dachów, nad które wzbijały się właśnie dziesiątki czarnych pasm. Próbował je zliczyć, ale było ich tak dużo, że szybko stracił rachubę. Obrócił się w stronę Sępolna. Do kilku pierwszych dołączyły ze dwa tuziny kolejnych pióropuszy dymu. Na południu było podobnie.

– Co się dzieje?

– Widzimy sygnały! Dziesiątki sygnałów! – krzyknął Biedrzycki, po czym oddał słuchawkę rozglądającemu się wokół radiotelegrafście. – Meldujcie kapitanowi, co widzicie. A wy, Nizner, róbcie zdjęcia, do cholery, a nie gapcie się jak sroka w gnat!

Z każdą sekundą w niebo nad miastem wzbijały się nowe czarne smugi. Bliżej i dalej, pojedynczo i całymi skupiskami. Na każdym osiedlu i w każdej dzielnicy. Dziesięć po dwunastej były ich już setki.

Zaraza zdziesiątkowała Wrocław w kilka godzin, lecz nie zdołała zabić wszystkich mieszkańców. Z niemal pół miliona ocalał promil, może procent, ale to wciąż były setki, jeśli nie tysiące osób, które Biedrzycki miał szanse uratować.

– Nizner, skupcie się przede wszystkim na dokładnym obfotografowaniu centrum – rozkazał. – Potem udokumentujcie mi sytuację na pozostałych kierunkach.

– Tak jest!

Uradowany podporucznik wymieniał właśnie film.

Bartek oparł mapnik o balustradę i zaczął nanosić na plan pobliskich osiedli każde źródło dymu, jakie zauważył. Nad Sępólnem były ich dziesiątki, nad Biskupinem nieco mniej, ale też sporo, za to nad najbliższymi terenami willowymi widział tylko pojedyncze smużki. Tego jednak się spodziewał. Bogatsi, lepiej ustosunkowani mieszkańcy miasta bądź załapali się do bunkra, bądź jeszcze w piątkową noc zdążyli dać nogę, przekupując patrole strzegące blokad na wschodzie. *I bardzo dobrze, uznał major po chwili zastanowienia. Będzie gdzie rozmieszczać pierwszą falę ewakuowanych. Jeśli szczęście nam dopisze, najdalej za dwa, trzy miesiące Wielka Wyspa znów zatętni życiem, a potem...* Potem ocalańcy nauczą się żyć w nowej rzeczywistości. Z jednej strony wciąż oblegani przez setki tysięcy krwiożerczych nieumarłych, z drugiej – względnie bezpieczni, oddzieleni od piekła nieśmiertelnych wrogów szeroką rzeką i fortyfikacjami, które wspólnymi siłami wzniosą na ciągnących się kilometrami wałach przeciwpowodziowych.

Najważniejsze, że miał o co walczyć. Pióropuszy dymu szybko przestało przybywać, ocalonych nie mogło być wiele w porównaniu z liczbą ludności sprzed wybuchu epidemii – wszakże nawet jeśli uratują tylko tysiąc osób, w tym kobiet i dzieci, będzie można myśleć o...

– Towarzyszu majorze! – z zamyślenia wyrwał go głos radiotelegrafisty. – Doktor na linii.

– Słuchaj, Bartek... – zaczął Arendzikowski, zanim major zdążył się odezwać.

– Nie uwierzysz... – wpadł mu w słowo Biedrzycki, pragnąc podzielić się z kimś dobrą nowiną i nową nadzieją.

– Przyjdź pod basztę najszybciej, jak się da – przerwał mu podenerwowany lekarz. – Muszę ci coś pokazać.

Radość Biedrzyckiego wyparowała w momencie. Arendzikowski nie należał do panikarzy, jeśli więc poczuł się czymś zaniepokojony, musiało to być ważne.

– Nizner! – Major zwrócił na siebie uwagę szalejącego z aparatem podporucznika. – Po zrobieniu zdjęć dokończcie za

mnie mapowanie terenu. Muszę pilnie wracać do zoo.

- Coś się stało? – zaniepokoił się Sławek.
- Oby nie to, czego się obawiam – odparł Biedrzycki, ruszając w dół pomostu.

* * *

Arendzikowski czekał na niego na ścieżce pomiędzy willą dyrekcji a narożnikiem ogrodu zoologicznego, w którym mieściła się zaanektowana przez niego Baszta Niedźwiedzi. Nawet z daleka dało się zauważyć, że jest bardzo poruszony. Nie stał, jak miał to w zwyczaju, tylko przechadzał się nerwowym krokiem od ogrodzenia pobliskiego wybiegu pod krzewy przy murze i z powrotem.

- Co się dzieje? – zapytał Biedrzycki z duszą na ramieniu.
- Chodź! – Bogdan pociągnął go za sobą.
- Możesz mi powiedzieć...
- Zaraz sam zobaczysz.

Bartek zamilkł, udzieliło mu się podenerwowanie lekarza. Dotarli do baszty, nie zwalniając nawet na moment. Teren przed zakratowanymi wybiegami zmienił się nie do poznania. Wszystkie krzewy na pasie zieleni pomiędzy dwiema ścieżkami wycięto. Trawę skoszono, a w żwir i ziemię powtykano mrowie palików tworzących skomplikowany wzór. Obaj asystenci Arendzikowskiego uwijali się jak w ukropie.

Z bliska major zobaczył, że przed niemal każdym wybiegiem zaznaczono pola przypominające kształtem lejki znane ze stadionów lekkoatletycznych, na których rozgrywane są konkurencje rzutu oszczepem oraz pchnięcia kulą. Podobieństwo rzucało się w oczy, od razu więc zrozumiał, że i w tym wypadku musi chodzić o dokonywanie jakichś pomiarów.

– Może w końcu mi powiesz, co się stało? – zapytał, ledwie przystanął przed klatką pielęgniarki, której nazwiska znów zapomniał.

- Nie gadaj, chodź. – Doktor wstąpił na lejkowate pole.

Bartek poszedł za nim. Gdy zbliżyli się do krat mniej więcej na pięć metrów, kołysząca się hipnotycznie w głębi boksu

nieumarła ruszyła w ich stronę. Trafwszy na pręty, zatrzymała się i wyciągnęła ręce do potencjalnych ofiar.

– Twoja ulubienica wydaje się równie spragniona przytulane jak poprzednim razem – rzucił kwaśno major. – Wytłumaczysz mi wreszcie...

– Zaraz! – uciszył go Arendzikowski, po czym zaczął się cofać, dając mu znak, by zrobił to samo.

Zamiast energicznie się oddalić, wycofywał się niezwykle powoli, sunąc stopa za stopą. Z każdą chwilą coraz bardziej drobił krocuki. W końcu, niedaleko szeregu palików połączonych sznurkiem, zwolnił maksymalnie i przemieszczał się dosłownie o centymetry, spoglądając co rusz pod nogi. Nastąpił na sznurek rozciągnięty tuż nad ziemią, nawet na moment nie przerywając tego dziwnego baletu. Bartek zwyczajnie szedł obok niego, nie widząc sensu w kopiowaniu dziwnych ruchów lekarza.

– Stop! – zawołał w pewnej chwili asystent obserwujący uważnie reakcje zombie.

Spoglądając w kierunku baszty, Biedrzycki zobaczył, że nieumarła zaczyna opuszczać ręce. Właśnie wyszli poza zasięg zmysłów, którymi ich wyczuwała, jakkolwiek one działały.

Drugi asystent podbiegł natychmiast do Arendzikowskiego, by wyręć metalowym prętem linię tam, gdzie znajdowały się czubki butów doktora.

– Widzisz?

Rowek znajdował się jakieś trzy centymetry za sznurkiem.

– Widzę. I co z tego?

– Nadal nie rozumiesz?

Bartek rozłożył ręce.

– Ich zmysły się wyostrzają. – Doktor spojrzał mu prosto w oczy. – Nabierają mocy.

– Przecież to tylko kilka centymetrów. Błąd pomiaru, nic więcej.

– Chciałbym, żeby tak było – odparł Arendzikowski tak poważnym tonem, że major poczuł ciarki. Musiał przełknąć ślinę, by móc wydobyć z siebie głos.

– Chcesz powiedzieć...

– Tak. Nie. – Arendzikowski złapał się za głowę. – Nie wiem

jeszcze, ale jeśli moja teoria się sprawdzi, możemy mieć przekurewski problem. Po tym jak przywieźliście na Ołbińską pierwszy transport nieumarłych, dokonaliśmy wszelkich możliwych pomiarów. Obiekt numer jeden dostrzegął człowieka z odległości... – sięgnął do notatek – ...dziewięciu metrów i trzydziestu dwóch centymetrów. Dzisiaj rano zaczął reagować przy dziewięciu metrach i pięćdziesięciu dziewięciu centymetrach.

– To nadal niewielka różnica – zauważył ostrożnie Biedrzycki.

– Owszem. Wydaje się nieznacząca, ale jeśli mam rację, to jest początek jakiegoś procesu.

– Albo efekt uboczny twoich eksperymentów.

– Nie sądzę! – zachnął się Bogdan. Pociągnął Bartka za ramię, kierując się na lejkowate pole przed innym boksem, w którym stał jeden z zombie pojmanych dzień wcześniej w pobliskim parku. Przedtem, o ile major dobrze pamiętał, klatkę tę zajmował dawny asystent doktora, niejaki Rago. – Na nim niczego jeszcze nie próbowaliśmy – wyjaśnił Arendzikowski, gdy stanęli kilka kroków od prętów, wabiąc odmieńca. – Spójrz... – Lekarz cofnął się, by wskazać pierwszy sznurek. – To pomiar z wczorajszego wieczoru. A to wynik sprzed niespełna pół godziny. – Następny kawałek szarej dratwy rozciągał się około dziesięciu centymetrów dalej.

– Ta różnica może wynikać z błędu pomiaru. Jak wy to w ogóle badacie?

– Tak, jak widziałeś. Zwabiamy obiekt pod kraty, potem jeden z nas cofa się bardzo wolno, znacznie wolniej niż ja przed chwilą, bo to był tylko pokaz, i czekamy na wystąpienie określonych reakcji. Nie chcę wchodzić w niepotrzebne szczegóły, więc ujmę to tak: ustaliliśmy, w którym dokładnie momencie zombie przestają nas wyczuwać. To pozwala nam na dokonanie pomiaru z dokładnością do dwóch, trzech centymetrów. Taki jest margines błędu w tym przypadku.

– Szlag! – Bartek nie odrywał spojrzenia od sznurków, które dzielił większy odstęp.

Arendzikowski pokiwał głową.

– Te dwadzieścia czy trzydzieści centymetrów na dobę to niby niewiele, ale pomnóż je przez trzydzieści albo lepiej, przez trzysta sześćdziesiąt pięć... – Zawiesił głos. – Za rok te bestie będą nas mogły wyczuć z ponad stu metrów! I to pod warunkiem, że przyrost będzie następował liniowo, a nie wykładniczo!

– Dlaczego zakładasz czarny scenariusz?

– Od tego mnie masz.

– No dobrze, ale to wcale nie musi tak działać. Może wzrost ich percepcji będzie mała z czasem. Nie twierdzisz chyba, że za kilka lat będą w stanie wyczuć człowieka z paru kilometrów! – Ze zdenerwowania nieświadomie podniósł głos.

– A niby dlaczego nie? – zapytał Bogdan. – Rekin potrafi wyczuć kroplę krwi w wodzie z odległości kilkuset metrów. Sokół dostrzega ofiarę wielkości myszy z podobnej wysokości. A te skurwiele – wskazał klatki – są czymś więcej niż zwykłymi zwierzętami. Już samo ich istnienie przeczy wszystkiemu, co dotąd wiedzieliśmy o życiu. Lepiej więc założyć najczarniejszy scenariusz, niż potem żałować.

Biedrzycki otarł pot z czoła. Zimny pot. To odkrycie doktora zmieniało zasady gry, i to diametralnie. Koniec z powolnym oczyszczaniem terenu. Koniec z przedkładaniem ostrożności ponad wszystko inne. Wielka Wyspa musi zostać oczyszczona z żywych trupów w ciągu maksymalnie dwóch, trzech tygodni, aby można było rozpocząć drugi etap operacji i ściągnąć ocalałych z innych dzielnic miasta, zanim pod ich kryjówki i schronienia przedostaną się nieprzebrane rzesze zombie. W tym samym czasie trzeba będzie pracować nad umocnieniem wałów, aby za rok albo nawet szybciej móc odeprzeć wygłodniałą hordę, która zbierze się za rzeką i w końcu ją pokona, choćby zasypując koryto tysiącami własnych ciał. Na terenie Wrocławia było prawie pół miliona zombie, wystarczająco wiele, by ludzie nie mogli czuć się tutaj bezpiecznie. Ile z tych bestii da się zneutralizować do wiosny albo lata? Może dziesiątki tysięcy, ale na pewno nie setki.

– Obyś się mylił, Bogdan – skrzeknął, mając przed oczami obraz

tłumu żywych trupów, które przelewają się przez koryto Odry i prą szeroką ławą na zwieńczone prymitywnymi fortyfikacjami wały przeciwpowodziowe. – Ile czasu potrzebujesz na zweryfikowanie swojej teorii? – zapytał, po tym jak już zdołał odzyskać głos.

– Kilka dni, może tydzień. Tyle powinno wystarczyć na dokładne pomiary i sformułowanie wniosków.

– Mogę jakoś pomóc?

– Nie. Mam wystarczająco dużo obiektów do badań. Ludzi też mi nie brakuje... – Arendzikowski umilkł na chwilę. – Gdybyś jednak zmienił zdanie w tamtej kwestii...

– W jakiej znowu kwestii? – Bartek był wciąż zbyt zdezorientowany prześladowającą go wizją, by zrozumieć, do czego zmierza lekarz.

– Mówię o eksperymentach z karmieniem...

– Zapomnij! – Major podniósł głos. – Po moim trupie! Nie pozwolę wam zabić choć jednego człowieka!

– Zaczekaj. – Doktor wyciągnął ręce przed siebie w obronnym geście. – Pozwól mi dokończyć.

– Nie. Powiedziałem: nie! Koniec kropka!

Biedrzycki obrócił się na pięcie i odszedł.

niedziela, 11 sierpnia 1963, godzina 12:03

Zajezdnia Tramwajowa Nr 2 przy ulicy Słowiańskiej 16–30

– Szefie! Szefie! – Natrętne wołanie zza okna zmusiło Sprychę do wygrzebania się spod koca.

Wściekał się podwójnie, gdyż pokazał chłopakom swoją jedyną słabość. Pozwolił, by zobaczyli, jak łatwo go spić. Nie powinien do tego dopuścić, ale po takim dniu, po tym wszystkim, co się wydarzyło, nawet jego hamulce puściły i przestał się pilnować. Tak naprawdę skuł się do nieprzytomności, by choć na moment zapomnieć o otaczającym go koszmarze. Na szczęście pozostali nie wstrzymywali się z piciem od samego początku imprezy, zatem sami ledwie trzymali się na nogach, gdy zasnął w fotelu przy stole, wypuszczając z dłoni na wpół pełną szklankę siwuchy.

Miał tak potężnego kaca, że od rana zdążył wyduldać cały słoik wody po kwaszonych ogórkach, co powinno pomóc, jeśli wierzyć ludowej mądrości, lecz w jego przypadku najpierw zwiększyło niesmak w ustach, a potem przyprawiło o potworną zgagę. Przed pójściem do paki nie pił dużo, a jeśli już, to sięgał po koniaczek, najchętniej po przedni bułgarski „Słoneczny Brzeg”. Stać go było na takie zbytki, ponieważ ofiary stroiły się na randki, zabierając z domu całe złoto, jakim mogły się obwieścić, teraz jednak...

Pokręciłby głową ze smutkiem, gdyby go tak nie bolała. Musiał zapomnieć o większości luksusów, a także o dawaniu upustu najszybszym żądom, przynajmniej przez jakiś czas, dopóki nie pojmie w pełni nowych reguł rządzących światem po zarazie. Pocieszał się myślą, że już jutro albo pojutrze znajdzie w którejś z okolicznych kamienic dobrze zaopatrzone barek. Nikt nie zabroni mu przecież brać i robić tego, co zechce. To miasto nie należało bowiem do nieumarłych, tylko do niego.

– Zaraz! – warknął, podnosząc się z wersalki jednym zrywem, czego natychmiast pożałował. Ból głowy był tak potworny, że

mało brakowało, a znów by zwymiotował. – Nie pali się! – krzyknął w stronę uchylonego okna, zza którego dobiegały wołania.

– No jak nie, jak tak – usłyszał niezbyt składną odpowiedź.

To chyba Mojka, uznał, próbując przypasować głos do człowieka. Czegóż ten małomiasteczkowy podrzynacz gardła tak się wydziera? Zerknął na tykający bezlitośnie budzik. Minęła właśnie dwunasta. Krótkie spojrzenie w bijący od okna blask spotęgowało dotkliwy ból, umiejscowiony gdzieś głęboko za oczodołami, zupełnie jakby promienie słońca, wzmacniane przez nerwy wzrokowe, wypalały dziury w jego płatach czołowych.

– Szefie!

– Zamknij mordę, dobry człowieku! – wydarł się, rozeźlony jak każdy kacor. – Idę już, idę!

Pali się? Zaniepokoila go ta wiadomość. Czyżby Dymek dał upust swojej pasji i podłożył ogień pod któryś z budynków zajezdni albo sąsiadujące z nią kamienice? Jeśli tak, trzeba będzie drania ukarać, i to znacznie przykładniej niż wczoraj Cangaceiro. Skrzywił się na wspomnienie ostatniego wyczynu młotkowego. *Debil jeden, jemu także trzeba będzie skrócić smycz.* Dobrze mieć kogoś takiego u boku, ponieważ nikt przy zdrowych zmysłach nie zadrze z człowiekiem chronionym przez aż tak wielkiego zjeba, ale pies musi wiedzieć, kto jest jego panem. *Jeśli pozwolę temu tłukowi zabijać każdego, kto tylko źle spojrzy, skończy się to niepotrzebnym bratobójczym rozlewem krwi.*

Fabian już wcześniej zauważył, że reszta patrzy krzywo na Magdziarka. Poprzedniego wieczoru, podczas nocnej libacji, z której został słusznie wykluczony, ośmieleni gorzałą członkowie gangu nie kryli rozgoryczenia. Jedna baba do obracania na dwóch to żadna radocha, musiał im to przyznać, a ten baran zatłukł sukę, jakby nie rozumiał, że szkodzi tym pozostałym.

Trzeba naprawić jego błąd, i to szybko, dzisiaj, najpóźniej jutro, postanowił, człapiąc ku drzwiom. *Złożymy sąsiedzką wizytę i prócz świeżego zaopatrzenia wygarniemy z paru chałup co zgrabniejsze sztuki. Tak, chłopakom od razu poprawią się*

humorki, jeśli każdemu załatwię brankę. Miejsca za ogrodzeniem było sporo, a on miał już plan, jak zorganizować wszystko tak, by jego ludzie mogli sobie ulżyć, kiedy tylko najdzie ich ochota. Może nawet pozwoli im wybierać, żeby każdy miał własną dupę i nie musiał dzielić się nią z pozostałymi... Nie, uznał po chwili zastanowienia, nie będzie wybierania. Baba babie nierówna, a te barany zaraz zaczną się wadzić o te najładniejsze. Karuzela sprawdzi się lepiej, zdecydował, schodząc wolno po skrzypiących przeraźliwie i jakby chybotliwych schodach.

W przybudówce za halą tramwajową jest wystarczająco wiele biur, w których chłopaki mogą zamieszkać. Willę przerobi się na melinę. Tu będą pili wieczorami i chędożyli, kiedy przyjdzie im ochota. Pokoi jest tyle, że da się w nich pomieścić więcej niż tuzin bab, jeśli zajdzie taka potrzeba, a skoro wejście i wszystkie okna zostały solidnie zakratowane, nie pouciekają, nawet jeśli nikt nie będzie pilnował tego burdelu. No bo gdzie miałyby pryskać? Na miasto? Na żer żywych trupów? Do swoich domów, skąd zostaną ponownie wygarnięte, po tym jak ich rodziny zasilą szeregi nieumarłych? Bo tak, trzeba będzie zabić parę tych szcurów dla przykładu, dziwki staną się od tego potulne jak baranki. Może nawet pogodzą się z losem...

Wychodząc na zewnątrz, zmrużył oczy. W jego twarz uderzył straszny żar, ale nie bijący od ognia, tylko zwykły, słoneczny. Sprycha nie miał pojęcia, czy upał w tę niedzielę jeszcze się zwiększył, czy to raczej kac potęguje dokuczliwe uczucie gorąca. W każdym razie miał takie wrażenie, jakby ktoś go postawił przed piecem hutniczym, z którego spuszczają właśnie surówkę.

– Dlaczego mnie budzisz, durniu?! – wysyczał do stojącego dwa kroki od niego golibrody.

– Nie widzi szef? – Sójka wskazał palcem gdzieś w górę.

Fabian oderwał wzrok od kojąco szarych płyt chodnika. Na ulicy za bramką coś płonęło. Szmaty jakieś albo inne śmieci. Dym walił z nich czarny i gęsty, jakby ktoś nasaczył to cholerstwo użytym olejem albo ropą. Gdy Sprycha zadartł głowę, zobaczył, że podobne słupy dymu unoszą się także od strony Słowiańskiej.

– Co, u licha? – mruknął.

– Pojęcia nie mam, szefie – odpowiedział pośpiesznie Sójka. – Chwilę temu zaczęli wyciepywać z okien płonące łachmany. Jak na jakąś komendę.

Jak na komendę? Ciekawe, pomyślał Fabian, walcząc z kolejnym nawrotem nudności. Trudno skupić się na problemie, kiedy żółć podchodzi do gardła, jednakże zdołał zapanować nad odruchem wymiotnym i spróbował się skupić.

Zza rogu willi wypadł zdyszany Ulfig.

– Widzieliście? – rzucił.

– Trudno tego syfu nie zauważyć – wymamrotał Sprycha, przypominając sobie, że Jakuza miał pilnować drugiej bramy, tej od strony dworca. – Tam też tak dymią?

– Nawet bardziej.

Cofnęli się od bramki aż pod magazyny przy torach, by zyskać szersze pole widzenia. Zza kamienic, od prawa do lewa, w niebo biły pióropusze dymu. Jedne siwe, drugie smoliście czarne, niektóre grube jak przy pożarze, inne tak wątle, że z trudem dało się je zauważyć. Były ich już dziesiątki, a ciągle pojawiały się nowe.

– O co tu może chodzić? – zastanawiał się na głos Fabian, na moment zapominając o dolegliwościach.

– To musi być jakaś zorganizowana akcja – stwierdził Ulfig, przytakując własnym słowem, jakby potwierdzał, że dobrze gada.

– Ale że tak na komendę? – obruszył się nieskładnie Miron.

– To chyba oczywiste – odwarknął Jakuza. – Nie pamiętam jakoś, żeby ludzie mieli w zwyczaju ciepać przez okna podpalonymi gaciami. Zwłaszcza przed sumą. Jakby to zrobił jeden albo dwóch, to jeszcze rozumiem, że mogli się zmówić po sąsiedzku, ale tylu? – wskazał pocięty smugami dymu błękit.

– Masz rację – zgodził się Fabian, czując, że zaczyna w końcu dochodzić do siebie.

– No ale kto i jak mógłby im kazać to zrobić? – dociekał gapiący się w niebo golibroda.

Milczeli przez chwilę, pogrążeni w zadumie nad tą kwestią. W tym czasie dołączyło do nich paru kolejnych chłopaków, także

zafascynowanych postępowaniem mieszkańców miasta. Skoordynowanie takich działań na skalę dzielnicy, gdy nie ma prądu i nie sposób wyjść na ulicę, wydawało się niemożliwe, chyba że...

– Radio – bąknął Sprycha.

Jakuza klepnął się dłonią w spocone czoło, aż plasnęło.

– No jasne. Pamięta szef, jedna z tych bab, co zamknęły się w naszej willi z Macińskim, wspominała o jakimś generale i jego obietnicach. – Ulfig miał mocniejszą głowę i był znacznie lepiej zaprawiony w picciu, dzięki czemu kojarzenie faktów przychodziło mu teraz łatwiej niż wciąż skacowanemu Fabianowi. – To pewnie on kazał ludziom wyrzucać te podpalone szmaty.

– Ale po co? – mruknął zadziwiony przenikliwością tego wyводу Sójka.

– To cholerstwo jara się i kopci, jakby ktoś je celowo nasączył olejem – zauważył Sprycha. – A to może znaczyć, że...

– ...wojsko sprawdza najprostszym sposobem, czy ktoś w mieście przeżył – dokończył za niego Jakuz.

– A, to takie buty – wymamrotał Miron, kręcąc głowę z podziwem.

Fabian z każdą sekundą odzyskiwał jasność myśli.

– Skoro ta baba wiedziała o odezwach generała, musiała mieć dostęp do radia.

– W biurach jest kilka odbiorników – odpowiedział usłużnie przysłuchujący się tej rozmowie Cyjankiewicz – ale jak szef wie, od paru godzin nie mamy prądu.

Celna uwaga.

W samym środku libacji zgasło światło. Najpierw myśleli, że przepaliła się migocząca od pewnego czasu żarówka, ale nie, wyglądała na nietkniętą. Potem sprawdzili podrutowane niemiłosiernie korki, lecz koniec końców wyszło na to, że na mieście skończył się prąd, czego Sprycha się spodziewał raczej prędzej niż później, jako że do obsługi elektrociepłowni trzeba ludzi, a ci z pewnością mieli robotę głęboko w dupie, kiedy wokół szalała zaraza. *I tak długo wytrzymali na posterunku, uznał*

Fabian, aczkolwiek nie był pewien, czy to aby nie zasługa procesu automatyzacji takich zakładów.

Tak czy inaczej, liczyło się tylko jedno: od dzisiaj będą musieli obejść się bez elektryki, co jego zdaniem nie stanowiło wielkiego problemu. Węgla mieli pod dostatkiem – na sąsiednim placu przy torach kolejowych leżały całe hałdy czarnego złota, a po piwnicach w okolicy było go pewnie drugie tyle. Z gotowaniem strawy i ogrzewaniem, gdy już nadejdą chłody, poradzą więc sobie bez trudu. Myszkujący po magazynach zajezdni Marut znalazł kilka beczek nafty i całe naręcza lamp, których tramwajarze musieli używać zaraz po wojnie, zatem i ciemności nie musieli się obawiać.

– Nie mieli tu jakiegoś tranzystora? – zdziwił się, kierując te słowa do Perka.

– Same pioniry widziałem – odparł po chwili zastanowienia truciciel.

– W stróżówkach też tylko odbiorniki lampowe stoją – poparł go Jakuz, który rozejrzał się po terenie zajezdni równie dokładnie jak Otello.

– W takim razie czas złożyć wizytę któremuś z naszych przemyłych sąsiadów – rzucił Sprycha, uznając, że upiecze dwie pieczenie przy jednym ogniu.

* * *

Część chłopaków upierała się, by zajść do kamienicy na Krętej, tej, którą obserwował wcześniej Pigol, ale Sprycha miał inny plan. Pokazówkę, jaką zamierzał urządzić, powinno zobaczyć jak najwięcej osób, musiał więc wybrać jeden z budynków stojących przy Słowiańskiej. Po krótkim namyśle wskazał bramę numer czternaście, najbliższą zatarasowanego więźniarką wjazdu.

Jego zdaniem ten właśnie adres miał najwięcej niezaprzeczalnych atutów. Po pierwsze: ściana szczytowa budynku przylegała do terenu zajezdni, tak więc nie musieli się zbyt oddalać, a ewentualny odwrót przyjdzie im łatwiej. Mogliby się nawet przebić przez zmurszałe ponemieckie cegły wzorem robotników remontujących kamienicę naprzeciw.

Sprycha nie przypuszczał jednak, aby zaszła taka konieczność – ulicę oczyścili przecież, a tych kilkoro nieumarłych, którzy mogą przebywać w budynku, nie powinno stanowić większego zagrożenia dla uzbrojonych porządnie mężczyzn, którzy wiedzą, co robić. Po drugie: ozdobiony sześcioma balkonami front widać było ze wszystkich przeciwległych kamienic, dzięki czemu nikt nie przeoczy szykowanego przez niego spektaklu. I po trzecie wreszcie: na kocich łbach i chodniku pod oknami dogasały aż cztery kupki zwęglonych szmat świadczące o tym, że kryje się tam wystarczająco dużo ocalonych, by mógł osiągnąć zakładany cel.

Fabian wziął ze sobą siedmiu chłopca. Szczygłe, Marutowi i Nerynkowi kazał zabrać z warsztatów ciężkie strażackie siekiery, Kaczmarkowi przypadł w udziale długi łom, a Grzelak i Ulfig dostali drzewca od kos, którymi w razie konieczności mieli trzymać na dystans napotkanych w budynku nieumarłych. Ostatni z nich, Magdziarek, musiał się zadowolić własnym młotkiem, ale to akurat bardzo mu pasowało. On też niósł zwój grubej liny, po której mogliby się opuścić przez otwór wybity w ścianie. Sprycha niczego nie pozostawiał przypadkowi.

Ulica była wciąż pusta jak półki w GS-ie w piątkowe popołudnie, wyszli więc na nią bez obaw, robiąc przy okazji tyle hałasu, ile wlezie, aby żaden z wciąż żywych mieszkańców okolicznych kamienic nie przegapił nadciągającego widowiska. Zamknięte na klucz drzwi Kozak potraktował łomem, potem musieli się trochę natrudzić z uchyleniem prawego skrzydła, ponieważ zapobiegliwi lokatorzy usypali w korytarzu barykadę ze zdezelowanych mebli obłożonych workami węgla, aby dodatkowo zabezpieczyć bramę przelotową. Podobnie stos komód i innego śmiecia blokował oba wejścia od podwórza, których jednak na razie nie ruszali.

W obszernym, pogrążonym w przyjemnym półmroku korytarzu, z którego można było przejść na właściwą klatkę schodową, cuchnęło starością, żeby nie powiedzieć: stęchlizną. Obłazące z farby ściany miały barwę rzygowin, a przynajmniej tak się ten kolor kojarzył Sprysze, którego nadal dręczyła zgaga

i powracające, choć na szczęście coraz rzadsze nudności.

Mimo to prowadził swoich ludzi, pewnie stąpając po rozchwierutanych schodach wiodących do mieszkań na pierwszym piętrze. Tam Cangaceiro załomotał we wskazane z trojga drzwi.

– Otwórzcie po dobroci, bo i tak wejdziemy! – rzucił Fabian, gdy młotkowy odstąpił od pomalowanego na brąz, sztukowanego dyktą skrzydła, które nie stanowiło poważnej przeszkody.

Odpowiedziała mu cisza. Kozak odczekał parę sekund, po czym ścisnął łom w dłoniach i posłał Sprysze pytające spojrzenie. Nie ruszył się jednak z miejsca, gdyż zobaczył, że szef kręci bardzo wolno głową, po czym przykłada palec do ust, nakazując pozostałym chłopakom milczenie.

Fabian nasłuchiwał przez dłuższą chwilę z uchem przytkniętym do uchylonej palcem szczeliny na listy. Oskoczył raptownie, gdy coś trąciło klapkę zabezpieczającą otwór. Zanim zdążył wyprostować plecy, drzwi zadrżały, jakby ktoś uderzył w nie z drugiej strony. Moment później wszyscy usłyszeli coś jakby drapanie.

– Odmieńcy? – zapytał zaniepokojony Nerynk.

– Na to wygląda – potwierdził szef, odsuwając się o krok.

– A jeśli skurwie syny, które tu mieszkają, próbują nas nabrać? – rzucił podejrziwy jak zawsze Grzelak.

– Bez obaw, w tym mieszkaniu są same żywe trupy, nawet jeśli o tym jeszcze nie wiedzą! – stwierdził rozbawionym tonem Sprycha, celowo podnosząc głos. – Wrócimy tutaj i sprawdzimy, co w trawie piszczy, ale najpierw musimy załatwić to, po co przyszliśmy.

W pozostałych mieszkaniach na tym piętrze także nikt nie odpowiadał. W odróżnieniu od pierwszego jednak za ich drzwiami panowała grobowa cisza. Wyłamali więc drzwi do tego po prawej, ale w środku nie znaleźli śladu żywej duszy, tylko pootwierane szafy i porozrzucane rzeczy, jakby lokatorzy pakowali się w ogromnym pośpiechu. Chawirę, w której miauczał wygłodniały kot, zostawili w spokoju.

Na drugim piętrze zobaczyli aż cztery pary drzwi, tutaj też mieli

więcej szczęścia. Otwarto im, zanim Cangaceiro zdążył podnieść młotek. W progu mieszkania stanął wysoki chłopak, na pewno niepełnoletni.

– Rodzice w domu? – zagaił uprzejmym tonem Sprycha, na co tamten pokręcił tylko głową. Widać było, że jest potwornie przerażony. Pobielał na twarzy, spocił się, ręce mu mocno drżały. – Znaczy co, sam tu tak siedzisz?

– Ro... rodzice są w dele... delegacji... – dukał z trudem nastolatek.

– W delegacji, powiadasz. – Fabian skinął na Kaczmarka. Ten, nie mówiąc słowa, przycisnął się obok chłopaka i wszedł do mieszkania. – Bez nerw, synek. Jeśli nie kłamiesz, włos ci z głowy nie spadnie. Rozumiesz?

– T-t... tak – wyjąkał tamten, kuląc się po kolejnym trzasku otwieranych kopniakiem drzwi.

– Lipiński się nazywasz, jak widzę... – Sprycha odczytał nazwisko z mosiężnej tabliczki na drzwiach. – A na chrzcie jak ci dali?

– Ale... Aleks...

– Aleksy, też pięknie. – W przedpokoju za plecami chłopaka pojawił się Kozak. Skinął głową, dając znać, że chata jest pusta. Fabian, który zdążył już nabrać zaufania do wytrawnego złodzieja, przyjął jego meldunek za pewnik. – Prawdę powiedziałeś, więc nie masz się czego bać – uśmiechnął się przyjaźnie do rozedrganego nastolatka, jakby był sąsiadem, który wpadł poprosić o sól albo cukier. – Ochłoń, brachu, nic ci nie grozi – dodał, widząc, że poprzednie słowa nie uspokoiły chłopaka. – My swojaków nie tykamy, a coś mi się widzi, że ty już wiesz, z kim warto dzisiaj trzymać. Zadam ci teraz parę pytań, jeśli nie masz nic przeciw.

Aleks przełknął głośno ślinę i zbladł jeszcze bardziej.

– Masz co jeść?

Takiego pytania na pewno się nie spodziewał. Mimo to kiwnął głową.

– Trochę niby zostało, ale...

– Spokojnie, synu. Tak tylko pytam, bo my mamy żarcia w bród,

więc gdybyś znalazł się w potrzebie, możesz walić do nas jak w dym. Co tam, wpadnij później do zajezdni, damy ci całą siatkę konserw, żebyś nie musiał na szaber łązić i niepotrzebnie ryzykować. Z tak pomocnym facetem chętnie się podzielimy, nie, chłopaki?

Członkowie gangu poparli go cichymi pomrukami, nie rozumiejąc jednak, dlaczego szef cacka się z tym gówniarzem. Oni załatwiliby to krótko. Łepek po paru strzałach w ryj wszystko by wyśpiewał jak nie przymierzając, dewotka na spowiedzi. Nie odzywali się, ponieważ to Fabian tutaj rządził, a do tej pory zawsze wiedział, co robi.

– Ile osób ocalało z waszej kamienicy? – pytał dalej Sprycha, nie przejmując się tym, co myślą jego ludzie.

– Ja nie... – zaczął płaczliwie Aleks.

– Umawialiśmy się na pełną szczerość, pamiętasz? – Fabian wpadł mu w słowo, momentalnie poważniejąc. – Ktoś dobrze zabarykadował bramę, nie mów mi, że nie brałeś w tym udziału.

– Po... pomagałem pa... panu Głuszkowi z trzeciego piętra, panu Kasierskiemu i mojemu sąsiadowi – wskazał przeciwległe drzwi – pa... panu Prorokowi.

– No, już lepiej – pochwalił go Sprycha. – Oni sami są, jak ty, czy z rodzinami?

– Głuszkowie są wszyscy...

– Czyli?

– Pan Szymon, jego żona i troje dzieci.

– Mów dalej.

– Pan Prorok mieszka sam. A u pana Kasierskiego jest tylko żona, znaczy chyba jeszcze narzeczona. – Chłopak odpowiadał coraz skłádniej, zaczynał się uspokajać.

– Tylko oni przetrwali?

– Nie. Na czwartym piętrze były jeszcze siostry Bugiel, ale nie widziałem ich od wczoraj rana.

– A co z resztą lokatorów?

– Pan Szymon, to znaczy pan Głuszek, powiedział wczoraj wieczorem, jak zrobił zebranie, tam, na drugim piętrze, że posprawdzał wszystkie mieszkania i tylko my zostaliśmy...

Znaczy żywi, bo pode mną, pod ósemką i dziesiątką ponoć siedzą za... zarażeni. – Tego słowa chłopak nie zdołał wymówić w całości, co nie uszło uwagi Fabiana. – Niektóre drzwi na wyższych kondygnacjach pan Szymon zdążył już pozabijać deskami, żeby się przypadkiem nie wydostali, te na pierwszym piętrze są wciąż niezabezpieczone, bo gwoździ mu zabrakło. Ale obiecał, że coś wykombinuje.

– Rozumiem. A gdzie się podzieli pozostali lokatorzy?

– Spakowali się i wczoraj rano uciekli na dworzec, chociaż w komunikatach ostrzegano, żeby tego nie robić. Ale chyba udało im się wyjechać z miasta, bo żaden jak dotąd nie wrócił.

– No tak... Szczury zawsze uciekają z tonącego okrętu. – Fabian nie wyprowadził młodzieńca z błędu. – A radio masz?

– Tak. Znaczy rodzice mają.

– Rozumiem. Takie normalne na prąd czy wiesz, jedno z tych nowoczesnych, przenośnych?

– Takie normalne, proszę pana.

– Szkoda... – Fabian pokręcił głową. – Naprawdę szkoda. Ale czekaj, wiesz może, który z sąsiadów ma takie przenośne radio?

– Pan Prorok ma radyjko na baterie. Wiem, bo dzisiaj rano słuchaliśmy u niego nowego komunikatu.

– Tego o znakach dymnych?

– Tak.

– Generał chciał wiedzieć, ilu ludzi ocalało?

– Tak, ale z niego ponoć żaden generał. – Tym stwierdzeniem Aleks zaskoczył Sprychę.

– A ty skąd to wiesz?

– Pan Szymon nam powiedział. Podobno jeszcze w piątek pan Biedrzycki był zwykłym majorem.

– Widzę, że oblatany gość z tego twojego sąsiada. I poukładany. To on wpadł na pomysł zabarykadowania bramy?

– Tak. Ma dużą rodzinę, więc robi, co może, by ją chronić, no i nas przy okazji.

– Kozak...

– Co, szefie? – odezwał się stojący wciąż w przedpokoju Kaczmarek.

– To nie do ciebie było. – Sprycha powstrzymał go, unosząc dłoń. – Mówię, że z tego faceta musi być niezły kozak. Pewnie jakiś urzędnik, lekarz albo inżynier.

– Nie, pan Szymon jest z mi... mili... – zaczął wyjaśniać Aleks, lecz zamilkł w pół słowa i znów pobrał, jakby zdał sobie sprawę, że chyba za dużo powiedział.

– Milicjant? Proszę, proszę. – Fabian zaśmiał się, uprzedzając reakcję kompanów. – Cudnie. Dogadamy się z nim bez dwóch zdań, bo widzisz, my też, poniekąd, z jego resortu jesteśmy, nie, chłopaki?

Pokiwali głowami, pomruczeli coś pod nosem, nadal zdziwieni tym, co szef wyprawia. Zaczynali jednak rozumieć, że wyciągnięcie informacji tą metodą bywa skuteczniejsze.

– Ale... – jęknął zdezorientowany chłopak.

– Można powiedzieć, żeśmy koledzy po fachu – zapewnił go przyjaznym tonem Sprycha. – Pod którym numerem mieszka pan władza?

– Ja...

– Szczerść, bracie – przypomniał mu Sprycha. – Tak się umawialiśmy.

– Do... dokładnie na... nade mną.

– No widzisz, to nie było wcale takie trudne. – Fabian poklepał go po ramieniu. – Poza tym mówienie prawdy zawsze popłaca. – Obrócił się, jakby chciał odejść, ale zatrzymał się w pół ruchu. – Jeszcze jedna sprawa. Pranie suszycie na strychu, jak się domyślam?

Tym pytaniem zaskoczył wszystkich, nawet swoich chłopaków.

– Tak... – bąknął oszołomiony Aleks.

– Klucz masz?

Chłopak zerknął w lewo, na niewielką szafeczkę. To wystarczyło za odpowiedź.

– Przytrzymaj go, Kozak.

Chwycony od tyłu Lipiński nie miał żadnych szans. Był tak przerażony nagłą zmianą zachowania rozmówców, że nie próbował się nawet wyrywać.

– Zarąb, Jakuza, bierzcie klucz i lećcie na strych. Przynieście

z góry tyle sznura do prania, ile zdołacie zebrać. Tylko nie naróbcie na schodach za wiele rabanu! – ostrzegł, gdy ruszali w górę, przeskakując po dwa stopnie.

– Na cholereę nam ten sznurek? – zdziwił się Nerynk.

– Ten cały Głuszek to blacharz – wyjaśnił ze spokojem Fabian. – Może nawet jakiś oficer. Taki z pewnością nie zostawia klamki na komendzie. Chcesz przyjąć kulkę, jak wejdziemy mu na chatę?

– No raczej nie.

– Więc zamknij ryj i rób, co ci każe. – Sprycha odwrócił się do unieruchomionego przez złodzieja, popiskującego wciąż Aleksa. – Morda w kubeł, powiedziałem, bo jak nie... – rzucił groźnie, wyjmując z kieszeni składany nóż.

Chłopak natychmiast umilkł. Sprycha przeszedł pod sąsiednie drzwi, sprawdził napis na mosiężnej tabliczce, po czym przyłożywszy palec do wizjera, przywołał do siebie Nerynka i Maruta. Wskazał im głową, by zajęli miejsca po obu stronach wejścia. Gdy zamarli, gotowi do natychmiastowej akcji, zapukał.

Odpowiedziała mu cisza. Zastukał więc raz jeszcze, ale już bardziej natarczywie.

– Pan otworzy, panie Prorok, po co mamy niszczyć takie piękne drzwi. Mogą się panu jeszcze przydać! – rzucił ostrym tonem, lecz znów nie doczekał się żadnej reakcji.

Przez parę sekund trwał w bezruchu, po czym cofnął się i skinął na obu pomocników.

– Wyważyć! – rozkazał. – Znajdźcie mi tego padalca! I radio! – dodał, gdy stanęli obok siebie, szykując się do równoczesnego kopnięcia. – Tylko mi go nie uszkodźcie!

– Gościa czy tranzystora? – zapytał przytomnie Nerynk.

– On ma żyć, a radio ma działać. Zrozumiano?

Potaknęli, zanim wzięli zamach. Zamki, choć wyglądały na solidne, puściły już po pierwszej próbie. W tej kamienicy wszystko trzymało się na słowo honoru, podobnie jak w wielu innych domach, o które administracja i lokatorzy nie dbali latami, jak to zwykle bywa w wypadku wspólnej, czyli niczyjej własności.

Sprycha oparł się o poręcz, czekając na efekty przeszukania.

W końcu zza wyłamanych drzwi wyszli obaj gangsterzy, ciągnąc na wpół przytomnego mężczyznę i triumfalnie pokazując zdobyty tranzystor. Pojawili się na korytarzu tuż przed wracającym ze strychu Ulfigiem.

– Co się tak guzdraliście? – obsobaczył ich Sprycha, odbierając wsunięte w futerał z dermy radyjko.

Sprawdził je, przekręcając energicznie gałkę, i zaraz wyłączył.

– Cwaniak schował się pod łóżkiem – wyjaśnił w tym czasie rozbawiony dusiciel.

Fabian przyjrzał się z bliska twarzy pobitego. Opuchlizna wokół oka była spora, a delikwent wyglądał raczej na umysłowego niż fizycznego, tak więc mogło trochę potrwać, zanim dojdzie do siebie.

– No i git. Jakuzza, zostaw im kawał sznura. – Podał Ulfigowi nóż, by ten miał czym rozciąć zdobyczną linkę. – A wy zwiążcie gościa, ale tak porządnie, w baleron, i...

Zaśmiali się w głos, gdy wyjaśnił im, co jeszcze mają zrobić.

Sam poprowadził Jakuzę do mieszkania Lipińskich, gdzie w podobny sposób związali Aleksa. Sznura zostało jeszcze sporo, zwłaszcza że Szczygło zniósł go dużo więcej niż Ulfig, ale Sprycha kazał chłopakom zabrać resztę ze sobą.

– Jaki mamy plan? – zapytał zaciekawiony rozwojem wypadków Grzelak.

– Teraz złożymy wizytę panu władzy – odparł Fabian, przyglądając się obojętnie zwiazanemu chłopakowi.

* * *

Ustawili się po obu stronach drzwi prowadzących do mieszkania milicjanta. Nie zamierzali pukać. Sprycha wyłożył im plan detalicznie, sam zaś, schodząc z linii ewentualnego strzału, stanął z boku, oparty o parapet okna wychodzącego na podwórze, i stamtąd dał znak.

Grzelak podpalił nasączoną olejem szmatę, a gdy ta zaczęła solidnie kopcić, rzucił ją pod drzwi. Kaczmarek w tym samym czasie podważył końcówką łomu klapkę otworu na listy. Pozostali czekali spokojnie, obserwując, jak przeciąg zasysa gęste

czarne kłęby do mieszkania.

– Teraz! – rzucił chwilę później Fabian.

Kryjący się za futryną Kaczmarek potraktował łomem najpierw górny zawias, potem środkowy, a na końcu dolny. Miał w tym sporą wprawę, tak więc robota poszła mu szybko i sprawnie. Sprycha odradził ruszanie zamków, ponieważ drzwi Głuszka, choć wyglądały na solidniejsze, także były ponemieckie i w paru miejscach połatane. Poza tym majstrując wytrychem, złodziej musiałby stać w polu rażenia broni milicjanta, a to drewno, jakkolwiek grube, na pewno nie zatrzymałoby kuli. Nawet wystrzelonej z tetetki.

Dopiero gdy wszystkie zawiasy puściły, chłopaki naparli drzewcami na skrzydło, które odchyliło się wolno, po czym upadło z głośnym hukiem w głąb zadymionego przedpokoju. Wtedy właśnie Ulfig, Marut, Szczygło i Nerynk wbiegli do środka, osłonięci dwiema żywymi tarczami.

Pomysł Fabiana był prosty. Skrępowanych jeńców przywiązano do postawionego na sztorc stołu kuchennego Lipińskich, który gangsterzy – chwyciwszy za dwie pozostawione nogi – popychali przed sobą jak taran. W zadymionym pomieszczeniu, przy bardzo ograniczonej widoczności, ewentualni obrońcy łatwo mogli wziąć skrępowanych sąsiadów za agresorów, na co Sprycha słusznie liczył.

W momencie rozpoczęcia właściwej akcji z głębi mieszkania padły strzały. Po czwartym ogłuszającym huku rozległo się charakterystyczne szczęknięcie iglicy w pustej komorze. Wtedy napastnicy porzucili niezbyt żywe już tarcze i depcząc po spodniej części blatu, popędzili dalej, by jak najszybciej dopaść i obezwładnić strzelca.

Odgłosy szamotaniny nie trwały długo. Czterech silnych, pozbawionych skrupułów mężczyzn bez trudu poradziło sobie z wyszkolonym funkcjonariuszem, zwłaszcza że ten ostatni właśnie utracił jedyną przewagę.

Cangaceiro zgarnął w tym czasie płonąca wciąż szmatę i nałożył na nią przyniesiony z dołu sagan. Sprycha moment wcześniej otworzył na oścież okno, uprzednio polecivszy swoim ludziom

zrobić to samo w mieszkaniu, aby jak najszybciej powstał przeciąg, który wyssie gryzący dym.

Nadszedł czas na rozpoczęcie przedstawienia. Huk tych czterech wystrzałów z pewnością nie uszedł uwagi mieszkańców sąsiednich kamienic.

I dobrze, niech zgromadzą się przy oknach, niech zerkają lekliwie zza firanek i zaciągniętych szczelnie zasłon. Będą mieli na co popatrzeć. Będą mieli o czym myśleć.

Sprycha wkroczył do cuchnącego spalenizną mieszkania, deptając po jęczących wciąż, rannych jeńcach. Nie spojrział nawet w ich stronę, lecz po wejściu do dużego pokoju, w którym zgromadzono rodzinę Głuszka, nakazał gestem, by Ulfig i Grzelak wywiązali się ze zleconego im wcześniej zadania.

Stanął na niewielkim balkonie, oparł się obiema dłońmi o rozgrzaną słońcem metalową poręcz i wciągnął do płuc świeże powietrze. Smród spalenizny spotęgował nudności, robił więc, co mógł, by nie puścić pawia w decydującym momencie.

Kilka głębokich wdechów pokonało nieprzyjemne uczucie. Nawet ból głowy zelżał, ale tylko odrobinę.

– Gotowe, szefie – poinformował go Jakuza, stając w drzwiach balkonu.

– Świetnie.

Sprycha wrócił do pokoju, usiadł na podstawionym mu przez Cangaceiro krześle pomiędzy drzwiami balkonu a jedynym oknem. Po prawej miał rodzinę milicjanta. Skrępowaną sznurem do prania żonę i trójkę dzieci umieszczono na wersalce pod sporym monidłem zawieszonym pośrodku seledynowej, wymalowanej w klasyczny szlaczek ściany. Tylko matce pozostawiono względną swobodę, by mogła trzymać na rękach najmłodsze z dzieci, niespełna półroczną córeczkę – Sprycha uznał, że takie ustępstwo może mu się przysłużyć w dwójnasób: po pierwsze szczył nie będzie ryczał, przerywając co chwila rozmowę, a po drugie blacharz może dać się zwieść pozorom, gdyż dostrzeże cień nadziei w tym jakże ludzkim odruchu.

Obok zapłakanej kobiety usadzono dwóch spętanych jak Lipiński i jego sąsiad chłopców: cztero- i co najwyżej

sześcioletniego. Ojciec rodziny, także dobrze związany, wylądował na fotelu pod drugą ścianą, skąd mógł widzieć nie tylko wszystkich napastników, ale i swoich bliskich.

Fabian machnął ręką, gdy tylko skrzyżował spojrzenia z rozwścieczonym milicjantem. Ulfig i Marut chwycili leżącego nadal w przedpokoju, obficie krwawiącego, ale wciąż przytomnego Aleksa i przebiegłszy kilka kroków, cisnęli nim w kierunku zamkniętego na powrót okna. Omdlewający chłopak nie miał nawet sił, by krzyknąć, gdy jego głowa, a potem tułów przebijały się przez podwójne szyby. Po sekundzie albo dwu z dołu dobiegł charakterystyczny głuchy łomot, z jakim kilkudziesięciokilogramowe ciało spadło na bruk.

Fabian musiał wyteńczyć słuch, by to usłyszeć, ponieważ Głuszkowa rozdarła się tak przeraźliwie, jakby zabijał jej własne dzieci. Uśmiechnął się pod nosem, ponieważ wiedział, że to jeszcze nie koniec, a ten wrzask był dla niego miodem lanym na serce, największym komplementem. Moment później tym samym oknem mieszkanie opuścił drugi z rannych, przy równie przejmującym akompaniamencie.

– Trudno być prorokiem we własnym kraju, nie uważasz, przyjacielu? – zażartował Fabian, gdy kobieta na wersalce zaczęła w końcu tracić dech.

Nie spuścił nawet na moment wzroku z puciołowatej twarzy pojmanego milicjanta. Nienawiść bijąca z podkrążonych oczu tego człowieka zniknęła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, a zastąpiło ją czyste przerażenie. *Ten człowiek wie, że przegrał. A skoro tak, czas rozpocząć zabawę.* Sprycha obrócił się na krześle, by spojrzeć ku wciąż kwilącej Głuszkowej i jej płaczącej córeczce.

– Zamknij się, suko, i ucisz w końcu tego bachora, bo nauczymy go latać poza kolejnością – rzucił gniewnym tonem.

– Ty potworze! – plunęła w jego kierunku, ale była zbyt roztrzęsiona, by trafić, mimo że dzieliło ich może półtora metra. – Żebyś zdychał w niewysłowionych bólach! Żebyś tak cierpiał całymi dniami! Dobry Bóg sprawi, że zapłacisz za to wszystko!

– Marzena! – zawołał Głuszek, gdyż dobrze wiedział, czym się jej wybuch skończy.

Umilkł jednak zaraz, ponieważ Fabian wymierzył w niego palcem wskazującym, nie patrząc nawet w jego stronę, sam zaś odczekał, aż spanikowana kobieta się wykrzyczy, po czym uśmiechnął się szeroko i bez cienia złości w głosie powiedział:

– Ile miałaś lat, muszko, gdy wybuchła wojna? Osiem, dziesięć? Idę o zakład, że wtedy też modliłaś się do tego samego Boga, podobnie jak miliony innych kretynów, błagając o to, by Hitler i jego przydupasy konali tygodniami w niekończących się bólach. I popatrz, Pan was wysłuchał, co prawda dopiero po sześciu latach, ale Szkopy przegrały. Problem jednak w tym, że twój Bóg zastąpił ich jeszcze gorszą czerwoną hołotą. Znów więc padliście tłumnie na kolana, by modlić się o uwolnienie Polski spod sowieckiej okupacji. Nie wspominając o odpowiednim pokaraniu bezbożników, którzy was ciemieżyli. Jak się dobrze zastanowić, Bóg musi was, rozmodlonych, strasznie nie lubić, muszko, ponieważ obalił socjalistyczną władzę dopiero po osiemnastu latach tych błagań, zsyłając w zamian jeszcze gorszą zarazę, która zamienia pobożne muszki w potwory niemal tak okrutne jak ja. Na twoim miejscu uważałbym więc podczas zmawiania kolejnych paciorków, o co prosisz, ponieważ przy kolejnym spełnieniu twoich błagań Ziemia stanie się dziewiątym kręgiem piekieł... – zaśmiał się okrutnie.

Głuszkowa słuchała jego tyrady z otwartymi ustami, kompletnie zaskoczona tym, co i jak mówił. Spodziewała się wyzwisk, rękoczynów nawet, tymczasem on z niej najnormalniej w świecie kpił. Choć może nie... Właśnie dotarło do niej, że w jego słowach kryje się wiele prawdy. Gdy odwrócił się moment później do Szymona, spuściła głowę. Zajął się, jak jej kazał, uciszaniem córeczki.

– Zastanawiasz się pewnie, sąsiedzie, po co wpadliśmy – zagał tymczasem Fabian, rozsiadając się wygodniej. – Wyobraź sobie, że chcieliśmy posłuchać radyjka.

Pstryknął palcami na Nerynka, któremu przekazał wcześniej pieczę nad zdobytym tranzystorem. Parę sekund później wszyscy

usłyszeli zniekształcony zakłóceniami głos mężczyzny, który w dość nieporadny sposób jak na radiowca dziękował ocalałym za obywatelską postawę i obiecywał, że pomoc jest już w drodze, apelując równocześnie, by ludzie stosowali się ściśle do zaleceń z innych komunikatów.

Po mniej więcej minucie Sprycha dał kolejny znak i radio zostało wyłączone. Nie było sensu marnować baterii na słuchanie tego, co już wiedzieli.

– Zrobimy tak – rzucił do milicjanta. – Ty powiesz wszystko, co wiesz o panu majorze Biedrzyckim i jego operacji, a ja, jeśli będę zadowolony z odpowiedzi, daruję życie twoim bliskim.

Głuszek milczał przez chwilę, mierząc go uważnym spojrzeniem.

– Tak jak darowałeś je tamtym dzieciakom? – wskazał głową kierunek, w którym mniej więcej znajdował się najbliższy szynk.

Fabian westchnął. Zatem blacharz widział akcję z bachorami i co gorsza, rozumiał, na czym polegała. Stało się jasne, że po dobroci nic nie powie. *Trzeba odłożyć marchewkę i znów sięgnąć po kij.*

– Chcę, żebyś zrozumiał jedno, przyjacielu. Jesteś chodzącym trupem bez względu na to, jak zakończy się nasza rozmowa, ale twoja rodzina wciąż ma szansę dożyć jutra. Gadaj, co wiesz, albo zaczniemy zabijać twoje dzieci.

Milicjant przełknął głośno ślinę. Był tak mocno związany, że o obronie nie mogło być mowy, ale z jego zaciętej miny dało się wyczytać, że wciąż myśli o tym, jak by tu pokrzyżować im plany.

– Jeśli któryś tknie palcem moją żonę albo jedno z dzieci, nic wam nie powiem. Nic!

– Ostrzegałem cię, przyjacielu – rzucił obojętnym tonem Fabian, po czym nie spuszczać wzroku z Głuszka, uniósł prawą rękę i wyprostował palec wskazujący.

Stojący pomiędzy wersalką a balkonem Cangaceiro chwycił siedzącego najbliżej niego struchlałego sześciolatka i zanim ktokolwiek zdążył zareagować, jednym płynnym ruchem przerzucił go za balustradę. Dzieciak poleciał w dół z przeraźliwym piskiem. Zderzenia jego ciała z ziemią nikt

w mieszkaniu nie usłyszał, ponieważ chłopiec był lżejszy od poprzednich ofiar, a Marzena, widząc, co się dzieje, wydała z siebie tak nieludzki skowyt, że nawet Sprysze ścierpła na moment skóra. Zarąb, który stał w pogotowiu za wersalką, unieruchomił ją mocnym chwytem za kark.

– Ostrzegalem – powtórzył Fabian, zadowolony z efektu, jaki zabicie dziecka zrobiło na ojcu. – Pamiętaj, przyjacielu. Jego krew plami twoje ręce, nie nasze. A teraz...

– Masz rację co do jednego, zasrany skurwielu, Boga nie ma – warknął przytrzymywany przez Kaczmarka milicjant. – Jesteś tym jebanym kanibalem, którego by stracono w przyszłym tygodniu, gdyby nie zaraza...

– Szymon! – wychrypiała jego żona pomimo dławiącego chwytu drwała. – Błagam!

Sprycha nie musiał się odwracać, by wiedzieć, jak bardzo Głuszkowa boi się o swoje pozostałe pocięchy.

– On i tak nam nie daruje – syknął jej mąż. – Nie widziałaś, co zrobił z dziećmi kobiet, które posłał na pewną śmierć?

– Na twoim miejscu przejmowałbym się bardziej tym, co zrobię z twoimi bachorami – zagroził rozbawiony jego postawą Fabian. – Ale ty, nie wiedzieć czemu, masz je w dupie. Nie, czekaj! – Płasnął dłonią w czoło, jakby coś do niego dotarło. – Jak mogłem tego wcześniej nie zauważyć? Twój synowie od samego początku wydawali mi się dziwnie podobni do tego tam... – Wskazał okno. – Jak mu było... Prorok?

Członkowie gangu wybuchnęli śmiechem, w ten sposób kwitując przytyk, a Głuszek natychmiast spurpurowiał na twarzy, jakby miał zaraz dostać wylewu.

– Ty... – wycharczał.

– Jeszcze jedno słowo nie na temat i... – ostrzegł go Sprycha, unosząc prawą rękę, lecz nie prostując palców.

Milicjant, słysząc błagalne kwilenie żony, zamilkł. Spuścił głowę, by oprawca nie mógł czytać z jego twarzy, ale Fabian i tak wiedział, że w umyśle mężczyzny pękają ostatnie tamy. Człowiek zrobi wiele, jeśli nie wszystko, by ratować potomstwo, właśnie dlatego dał tym parchom cień szansy, której mogli się uchwycić.

Przychodząc tutaj, zamierzał urządzić pokazową egzekucję, jednakże chwila rozmowy z młodym Lipińskim uświadomiła mu, że od naocznego świadka wydarzeń na mieście może zdobyć mnóstwo cennych informacji. Dlatego urządził ten cyrk.

– Co chcecie wiedzieć? – zapytał ponuro Głuszek.

– Zacznijmy od tego, czemu siedzisz w domu, na dodatek w cywilnych ciuchach, a nie walczysz z zarazą jak reszta mundurowych?

– Dlaczego nie walczę z zarazą? – Milicjant prychnął. – Powiem ci. Zmobilizowano nas w piątek wieczorem. Kazano zgłosić się na komisariaty, skąd zostaliśmy przewiezieni do Komendy Wojewódzkiej, tam wydano nam sprzęt do tłumienia rozruchów i wyobraź sobie, dodatkową amunicję. Władza ludowa posłała nas do pacyfikowania izolatorium na placu Grunwaldzkim. Nic nam jednak nie powiedziano o odmieńcach, nie ostrzeżono nas, tylko kazano karnie bronić pozycji i strzelać do każdego, kto spróbuje przełamać kordon. Robiliśmy to, pruliśmy do tych skurwieli ile wlezie, ale oni nie padali, nawet po tym, jak kule roztrzaskiwały im czaszki. Wielu z nas wtedy zwątpiło, niektórzy nawet uciekli, ale jakimś cudem zdołaliśmy utrzymać kordon do przybycia odwodów, mimo że ponad połowa naszych poległa w ciągu pierwszych dwu godzin starć. Wiesz, czemu nie odpuściliśmy, chociaż wszyscy tam srali w gacie ze strachu? Dla nich to robiliśmy, dla swoich rodzin... – wskazał głową wersalkę, po czym zamilkł na moment. – Potem jednak, późną nocą, gdy zobaczyłem, że władza nie ma żadnego planu, że posyła na śmierć kolejnych ludzi fala za falą, co kompletnie nic nie daje, zagadałem do tych paru chłopaków, z którymi mnie tam przewieźli na samym początku. Z ponad sześćdziesięciu ludzi, bo tyłu nas wysłano na plac, po kilku godzinach starć zostało tylko czterech, a komunikaty napływające z terenu nie nastrajały optymistycznie. Do miasta wkroczyło właśnie wojsko, odgłosy strzelaniny dobiegały już ze wszystkich stron. Postanowiliśmy więc, że przestaniemy się narażać, a przy pierwszej sposobności pryśniemy. W środku nocy zostaliśmy zluzowani. Przewieźli nas na komendę, żebyśmy odsapnęli przed powrotem na pierwszą

linię... Wtedy daliśmy drapaka. Wszyscy czterej. Wróciłem do domu, mając nadzieję, że moi bliscy wciąż żyją. Nie wiem, czy inni mieli tyle szczęścia co ja... – Zamilkł na dobre.

– Gdybyś nie zgrywał kozaka, tylko od razu odpowiedział, nie musiałbyś patrzeć, jak zabijamy ci syna. – Sprycha umiejętnie grał na jedynej strunie, jaka mu została. – Gadaj, co wiesz o Biedrzyckim.

– To młody major. Jeden z chłopców na posyłki wierchuszki, który po rejeradzie zwierzchników został z tym całym burdelem na głowie. Widziałem go tamtej nocy na komendzie. Wyglądał na rozgarniętego, ale... – urwał. – Na moje oko robi z siebie generała, żeby dać ludziom nadzieję. Te jego komunikaty...

– Co z nimi?

– Obiecanki macanki, nic więcej. Zanim padły telefony, skontaktowałem się z paroma osobami. Z takimi, co to sporo wiedzą albo mają wtyki. Wszyscy, do których udało mi się dotrzeć, mówili, że nie jest dobrze. Że sytuacja wymknęła się spod kontroli. Zaraza pomimo kordonu ochronnego rozlała się ponoć po całym kraju... Dlatego uważam, że nie będzie żadnej odsieczy. Nie ma już armii, rządu, nie ma już nic. Każdy musi pilnować własnej dupy, jeśli chce przeżyć.

– Zatem twoim zdaniem to wszystko pic na wodę? – zapytał szczerze zainteresowany Sprycha.

– Może nie wszystko, ale większość na pewno. Niewykluczone, że Biedrzycki zebrał część podległych mu oddziałów i wycofał je w jakieś bezpieczniejsze miejsce, ale kłamie w żywe oczy, wmawiając ludziom, że zdoła oczyścić miasto, jak tylko otrzyma wsparcie. Gra na zwłokę, i tyle. Gdyby istniała szansa na pokonanie zarazy, tobyśmy ją wyplenili już tamtej nocy, kiedy odmieńców była garstka, a nas całe legiony.

– Rozumiem... – Sprycha pokiwał głową w głębokim zamyśleniu. Głuszek potwierdził tylko to, do czego on sam doszedł już wcześniej, tak naprawdę jednak nie powiedział nic konkretnego. Opuścił teatr działań zbyt szybko, by wejść w posiadanie cennych informacji, lub też... – Fabian spojrzął mu prosto w oczy. – To wszystko, co masz mi do powiedzenia na ten

temat?

– Tak – odparł bez wahania milicjant.

– Jesteś pewien?

Ponowna twierdząca odpowiedź nadeszła po kilkusekundowym zastanowieniu.

– Wiesz, przyjacielu – rzucił rozbawiony Sprycha – wy, krawężniki, to jacyś głupi jesteście. Poważnie. Jakim cudem udaje wam się złapać kogokolwiek, to dla mnie tajemnica.

Głuszek zbaraniał, słysząc te słowa.

– Co?

– Weźmy na przykład ciebie. Siedzisz tutaj zdany na naszą łaskę. Wiesz, co chcemy usłyszeć, byłeś naocznym świadkiem wydarzeń, otarłeś się nawet o tego całego Biedrzyckiego, ale zamiast nawcisnąć nam kitu, żebyśmy uznali cię za wartościowe źródło informacji, zwyczajnie powiedziałaś prawdę. Przyznałeś, że tak naprawdę nic nie wiesz.

– Wolelibyście, żebym nakłamał?... – wymamrotał zaskoczony milicjant.

– Skądże znowu – zastrzegł się Fabian. – Ale kto wie, czy nie łyknęlibyśmy wstawianego kitu, gdybyś tylko umiał go nam sprzedać, tak jak ja tobie przed chwilą. – Zaśmiał się, widząc, jak mężczyzna blednie. – Tym się różnimy, przyjacielu, i dlatego tacy jak ty zawsze będą skazani na pożarcie, wybaczyć tę niezbyt fortuną, ale jakże pasującą do sytuacji grę słów.

– Ale... – bąknął całkiem pogubiony Głuszek.

Sprycha uciszył go gestem.

– Chciałem dowiedzieć się czegoś więcej w ramach bonusu, lecz w rzeczywistości przyszliśmy dać wam, to znaczy ludziom mieszkającym w tej kamienicy, nauczkę. Uczynić z was przykład. Dla pozostałych. Odkąd my tu rządymy, nikt nie śmie kiwnąć palcem bez naszego pozwolenia, a co dopiero mówić o dawaniu sygnałów jakimś urojonym generałom.

Sprycha uniósł ponownie rękę, prostując tym razem dwa palce. Cangaceiro chwycił drugiego chłopca i bez mrugnięcia okiem posłał go śladem starszego brata. Milicjant ponownie spurpurowiał na twarzy, a moment później zsiniał, gdy Fabian

jakby nigdy nic wyprostował trzeci palec. Magdziarek wyszarpnął ośeska z rąk trzymanej wciąż przez Szczygłą kobiety i nie zważając na jej zduszone błagania, wyrzucił becik za barierkę.

Gdy czwarty palec dołączył do poprzednich, ze swoich miejsc ruszyli się Ulf i Marut. Głuszkowa była zbyt ciężka, żeby Cangaceiro dał sobie z nią radę, lecz dwaj żyłaści faceci nie powinni mieć z nią problemu. Najpierw jednak musieli ją dokładniej spętać, ponieważ w rękach wciąż miała sporo luzu z powodu trzymanej do niedawna córeczki.

– Szefie... – Jakuzza przystanął na moment obok Sprychy.

– Czego?

– Może byśmy ją tak zabrali, wie szef, do willi? Na miejsce tamtej... – zawieszając głos, wskazał głową Magdziarka.

– Pamiętasz, co mówiłem o babach, którym zabijamy dzieci?

– No niby tak, ale...

– Nie ma żadnego ale. W tej bramie są jeszcze trzy świeżynki. Je sobie weźmiecie.

Darek pozostał sceptyczny, ale zrobił, co mu kazano. Uwinęli się raz-dwa i żona milicjanta dołączyła do dzieci. Głuszek, kiedy się do niego zabrali, nie wierzył jak ona, nie wyklinał, nie skowyczał. Do samego końca spoglądał z nienawiścią w oczy rozbawionego Fabiana.

* * *

W mieszkaniu na ostatnim piętrze, oznaczonym tabliczką z nazwiskiem Bugiel, nie zastali nikogo, choć powinny przebywać tam siostry wspomniane przez Lipińskiego. Mieli pewność, że żadna z nich nie zdołałaby zejść niezauważona, kontynuowali więc przeszukiwanie najwyższej kondygnacji, aż weszli ponownie na strych, gdzie... Mało brakowało, by ją przeoczyli, na szczęście Szczygło zauważył, że coś jest nie tak z praniem, które rzucali, zbierając sznury. Pościel i ubrania leżały na kupie pod ścianą, a on nie przypominał sobie, żeby zostawili taki porządek. Pogmerawszy drzewcem znaleźli przerażoną dziewczynę – tylko jedną. Patrycja twierdziła uparcie – nawet gdy dostała po pysku

od Grzelaka, a ten umiał przyłożyć babie jak mało który – że jej siostra Paulina postanowiła uciec z miasta jeszcze w sobotę, zaraz po tym, jak obie zobaczyły, co wyprawia się na Słowiańskiej.

Sprycha jej nie uwierzył, choć powtarzała w kółko to samo, zaklinając się na wszystkie świętości. Dopiero po tym jak wypłuła trzeci ząb, kazał Złotówie odstąpić, ponieważ była im potrzebna na miejsce zakatowanej przez Cangaceiro ofiary.

Chłopaki przyjęli tę decyzję z nieskrywaną radością, po czym skierowali kroki do mieszkania ostatniego z lokatorów, o którym wspominał Aleks.

Nietrudno było odgadnąć, gdzie mieszka Kasierski. Drzwi prowadzące do jego mieszkania przyozdobiono barwnymi kotylionami i balonikami, bardzo podobnymi do tych, które Fabian widział dzień wcześniej w szynku. To natchnęło go pewną myślą. Tym razem wszedł do mieszkania pierwszy, zaraz po tym jak chłopcy wykopali drzwi. Młodą parę znalazł w sypialni – stali w najdalszym kącie pomieszczenia, za wielkim, ponemieckim chyba łóżem. Mieszkali w innym pionie niż milicjant, w dodatku od podwórza, nie mogli więc widzieć spadających na ulicę ofiar, choć z pewnością słyszeli strzały i towarzyszące egzekucji wrzaski. To wystarczyło, by zmrozić ich do szpiku kości.

Fabian stanął w progu, tocząc wzrokiem po meblach. Długa biała suknia, co ciekawe, wcale nie tradycyjna, bo pozbawiona rękawów, wisała wciąż na drzwiach od szafy, podobnie jak smoliście czarny garnitur.

Sprycha przeniósł spojrzenie na kompletnie łysego brodacza i apetycznie wyglądającą blondynkę. Kolejna muszka w jego typie, której niestety nie będzie mógł wykorzystać... To znaczy po swojemu. Może z czasem, gdy przywyknie do faktu, że trupy ozywają i stają się bardziej niebezpieczne od ludzi pokroju Magdziarka, odważy się zaryzykować częściowe oskórowanie żywcem jednej albo drugiej dziwki, którą chłopcy się już znudzą. Z przykrością pomyślał, że już nigdy nie będzie mu dane poczuć tego, co go najbardziej podniecało w zabijaniu, czyli momentu, w którym ofiara wydaje ostatnie tchnienie...

Rozmarzył się, spoglądając na młodą parę, ale szybko oprzytomniał.

– Mam pytanie – odezwał się, przekraczając próg skromnie urządzonej sypialni. – To dla was wyrychtowano bar „Pod Jędynką”?

Zaskoczony Kasierski najpierw zrobił wielkie oczy, a potem przytaknął.

– Owszem...

– Skromna uroczystość, na góra paręnaście osób, ale w tych warunkach to rozumiałe – podsumował Fabian, wchodząc głębiej, by zrobić miejsce kompanom. – Zaraza, te sprawy, a życie nie znosi próżni, nieprawdaż? Ale, ale, za jedno muszę wam podziękować. Na gorzałkę nie żałowaliście. Żarcie też niczego sobie, ale wiecie, co najbardziej mi się podobało? – Zawiesił na moment głos, jakby spodziewał się odpowiedzi. – Te motylki z papieru. Świetna sprawa. Dzieci były zachwycone. Chyba powinienem wam podziękować.

– Za co? – zdziwiła się narzeczona.

– Za ułatwienie nam roboty – odparł ze spokojem Sprycha, jakby to cokolwiek mogło wyjaśnić. – Ale my tu gadu-gadu... – zerknął na zabrany z mieszkania milicjanta zegarek – a czas płynie. Dość tego miziania. Idziemy.

Maciej i Karolina wtulili się w siebie jeszcze bardziej.

– Dokąd?

– Pójdziecie po dobroci albo... – Fabian zignorował jej pytanie i pobiegł spojrzeniem do stojących w przedpokoju kompanów. – Wasz wybór.

– Gdzie nas zabieracie?

Sprycha zastanowił się przelotnie, czy ciągnąć tę zabawę i okłamać ich jak Głuszka czy raczej dać się w końcu wyżyć chłopakom. Druga opcja wydała mu się bardziej atrakcyjna. Ból głowy zaczynał wracać, i to ze zdwojoną siłą, a poza tym od tego całego gadania suszyło go potężnie, jakby miał w przetyku piasku z co najmniej pół Sahary.

– Znacie taki kawał? – zwrócił się do spanikowanej pary. – Przychodzi brodacze do szefa gangu i pyta, co powinien zrobić, bo

właśnie poznał niesamowitą dziewczynę, a szef mu na to: ożeń się, młody, będziemy mieli żonę.

Grzelak i pozostali zarechotali, a oboje narzeczeni zbledli jeszcze bardziej, choć wydawało się to niemożliwe. Aluzja była tak cienka, że pojęli ją w okamgnieniu.

– Dlaczego nam to robicie? – wyszeptała Karolina, gdy śmiechy umilkły.

– Bo możemy – odparł Sprycha, dając znak Złotówie.

Taryfiarz i Jakuza ruszyli ku młodej parze. Kasierski, ku ich zdumieniu, wysunął się przed narzeczoną, a może już żonę – w dobie ślubów cywilnych trudno było określić stan faktyczny – jakby chciał o nią walczyć. Zaskoczył tym gangsterów i równocześnie rozbawił. Iść z gołymi rękami na dwóch gości z łomem?

– Tylko go nie zabijcie! – rozkazał Fabian. – Ma wrzeszczeć, jak go będziecie wywalali przez okno!

– Zrobi się – mruknął Ulfig, podrzucając w dłoniach łom.

– A z nią jak z jajkiem! – dodał Sprycha, zanim Grzelak skoczył na broniącego swojej kobiety brodacza.

Walka powinna być krótka, ale facet albo był tak zdeterminowany, albo miał większe umiejętności, niż się po nim spodziewali. W każdym razie zrobił szybki unik przed prawym prostym Złotowy i wyprowadził uderzenie z dołu, którym trafił atakującego prosto w podbródek. Cięższy od niego o kilkanaście kilogramów Grzelak zwałił się po tym ciosie jak kłoda, ale Jakuza nie próżnował. Łom dotarł do celu mgnienie oka później, łamiąc kości ręki blokującej uderzenie. Kasierski zawył z bólu, cofnął się pół kroku, lecz nadal nie zamierzał się poddać. Ulfig spróbował uderzyć raz jeszcze, ale tym razem chybił. Nie mógł podejść bliżej przeciwnika, nie depcząc po leżącym między wielkim łóżkiem a ścianą Złotową.

– Brać go! – ryknął Sprycha, widząc, że reszta nie za bardzo wie, co robić. – Przyszpilcie gnoja drzewcami! – polecił. – Ranny może być, byle zipał! Chcę, żeby ta suka patrzyła, jak jej fagas leci na pysk z balkonu!

Musieli się przegrupować, na co potrzebowali kilku sekund.

Kobieta wykorzystała ten moment, przypadła do narzeczonego, szepnęła mu coś na ucho, po czym oboje cofnęli się w sam kąt, spoglądając z odrazą na wściekłego Fabiana.

Wyraz ich oczu powiedział mu więcej, niżby chciał.

– Nie pozwólcie im... – Tyle zdążył z siebie wyrzucić. Karolina i Maciej pocałowali się i przegibnęli przez parapet, strącając przy okazji kilka doniczek z rachitycznymi kwiatkami. – Skurwe... – Sprycha zmełł w ustach przekleństwo, po czym z całych sił kopnął nieprzytomnego wciąż Grzelaka.

Gdyby ten dureń nie był taki pewny siebie, mieliby teraz dwie branki, w tym jedną, na którą sam ostrzył sobie zęby.

Ulfig wychylił się przez okno, zamarł na parę sekund, po czym wyprostował plecy i spojrzał wymownie na szefa. Trawa czy nie trawa, upadek z czwartego piętra musiał skończyć się śmiercią, jeśli nawet nie natychmiastową, to dość szybką.

– Co robimy? – zapytał, podnosząc upuszczony łom.

– To, co było ustalone – odwar knął Fabian. – Wracamy na ulicę i pokazujemy tym szczerom, kto tu rządzi.

* * *

Wszystkie zwłoki zostały tak związane, by można je było przeciągnąć w inne miejsce bez obawy o kontakt z żywym trupem. Każdy z gangsterów chwycił za ponad dwumetrowy kawał sznura i ruszył za Sprychą w stronę do zajezdni i znajdującej się po drugiej stronie ulicy piaskownicy, do której wcześniej trafiły zwłoki zakatowanych kobiet.

Fabian zastanawiał się, czy nie powinien stanąć i wykrzyknąć przyglądającym im się zza firanek i zasłon ocalonym, że to on jest teraz jedynym panem i władcą tej okolicy. Że bez jego zgody mają prawo co najwyżej oddychać. Po namyśle jednak zrezygnował z tego punktu przedstawienia. Po pierwsze zbyt bolą go głowa, po drugie lekcja, jakiej udzielił mieszkańcom kamienicy numer czternaście, była wystarczająco czytelna. Dlatego zatrzymał się tylko przed wyłamaną bramą i wyciągnąwszy rękę, w której trzymał zdobyczny, ale bezużyteczny pistolet, zatoczył szeroki łuk, wskazując lufą kolejne okna.

Uśmiechnął się pod nosem, widząc, jak szybko bydło, które do niedawna obserwowało masakrę, cofa się w głąb mieszkań. Nie miał wątpliwości, że wszyscy zrozumieli ten przekaz.

niedziela, 11 sierpnia 1963, godzina 13:00
Miejski Ogród Zoologiczny przy ulicy Wróblewskiego 1-5

– Moi ludzie docierają właśnie na pozycje wyjściowe – zameldował Bernaciak.

– Możecie zaczynać, jak tylko będziecie gotowi – odparł Biedrzycki, nie odrywając wzroku od mapy.

Zaniepokojony tym, co usłyszał od Arendzikowskiego, wysłał ludzi w teren już dzisiaj, nie chcąc odkładać na później żadnej decyzji. Skoro czas ma być najbardziej decydującym czynnikiem, postanowił przyspieszyć planowane działania, aczkolwiek nie poszedł całkiem na żywioł, jak zrobiono to pierwszej nocy. Może nie wiedział jeszcze wszystkiego o zombie, ale jego ludzie nie szli do walki z nimi w ciemno. W ciągu minionej doby przekazano im całą wiedzę o nieśmiertelnym wrogu, jaką zgromadzono od feralnego piątku. Poinstruowano ich także, co mają robić w sytuacjach kryzysowych, i zezwolono nawet na wykonanie planowego odwrotu, jeśli tylko warunki na którymś odcinku okażą się zbyt trudne.

Biedrzycki mógł posłać w teren tylko nieco ponad setkę przeszkolonych i dobrze uzbrojonych ludzi naraz – reszta, razem z marynarzami, zajmowała się na razie dyslokacją i rozładunkiem barek potrzebnych do przetrzymywania zombie. Te skromne siły powinny jednak wystarczyć do przeprowadzenia lokalnych operacji, a na razie nie miał co marzyć o oczyszczeniu Sępolna albo Biskupina, gdzie przemianie mogło ulec nawet kilkanaście tysięcy mieszkańców, nawet jeśli nie liczyć tłumu nieumarłych z izolatorium przy stadionie.

Major przygryzł w zadumie wargę. Jedna zmiana wystarczyła do postawienia całej reszty jego planów na głowie, a był przy tym pewien, że w nadchodzących tygodniach czeka go więcej niespodzianek. Dlatego z tak wielkim niepokojem wpatrywał się

w mapę sytuacyjną, na którą dyżurni nanosili wszystkie bieżące ruchy jednostek.

– Panie majorze, czy mógłbym prosić na słowo?

Za stanowiskiem radiostacji przystanął Nizner.

– Mówcie. Tylko się streszczajcie, bo zaraz zaczynamy, a wołałbym...

– Tajest. – Podporucznik podszedł do mapy. – Chciałbym zwrócić uwagę na pewien problem.

Bartek oderwał wzrok od szachowych pionków wskazujących aktualne rozmieszczenie pododdziałów kapitana.

– Jaki znowu problem?

– Chodzi o więzienie – rzucił zwięźle Nizner.

– Jakie znowu więzienie? – zdziwił się major. – O ile wiem, na Wielkiej Wyspie nie ma żadnego więzienia.

– To prawda, ale ja mówię o Zakładzie Karnym Numer Jeden, tym z Kłęczkowskiej. – Podporucznik pochylił się nad mapą, by wskazać wymieniane miejsce.

Biedrzycki przyjrzał się okolicy, na której wylądował palec podwładnego.

– To parę kilometrów stąd, nie rozumiem, na czym może polegać ten... jak go nazywacie... problem.

– Tam siedziało prawie półtora tysiąca ludzi.

– I?

– Nie mamy bladego pojęcia, co się tam dzieje. W piątek nikogo to nie interesowało, a potem, jak padły telefony, nie mieliśmy jak sprawdzić...

– Przestańcie kluczyć, Nizner, tylko mówcie, o co wam chodzi. Za kilka minut pošyłam ludzi do akcji.

– Tak w skrócie, majorze, chodzi o to, że siedzi tam z półtora tysiąca mężczyzn i kobiet. Spora część z nich to drobni przestępcy, ludzie, którzy nie zasługują na to, by wyzdychać z głodu.

Biedrzycki posłał mu zdziwione spojrzenie.

– Dlaczego mieliby zdychać z głodu? – zapytał.

– Myślicie, że tam było inaczej niż w dwójce? Jak znam życie, strażnicy wzięli nogi za pas, gdy tylko zrozumieli, co się święci,

a w celach spiżarek raczej nie ma. A to przecież ludzie. Żywi ludzie. Pomyślcie, są ich setki w jednym miejscu... – Sławek pokiwał głową, widząc reakcję przełożonego. – Tak, możecie załatwić sobie siłę roboczą, dzięki której podwoicie siły do walki z zombie. Będziecie mogli wycofać wszystkich żołnierzy harujących teraz przy budowie umocnień na przeprawach i tych z barek. Marynarzy w sumie też, a są po przeszkoleniu, wielu z nich umie posługiwać się bronią.

Biedrzycki pogładził palcami rosnącą dopiero brodę.

Kusząca wizja, ale daleko wykraczająca poza moje plany. Poza tym sprowadzenie na wyspę setek kryminalistów nie wydaje mi się specjalnie rozsądne. To przecież czarne owce, ludzie żyjący poza prawem. Nad takimi bardzo trudno zapanować, zwłaszcza w takich czasach.

Podzielił się swymi wątpliwościami z Niznerem.

– Przecież ja nie proponuję, żeby otworzyć bramy tego więzienia – obruszył się podporucznik. – Warto by jednak posłać tam paru ludzi, niech się rozeznają w sytuacji. Wystarczy obsada motorówki. Popłynęlibyśmy w stronę Zacisza, tam, przed jazem, jest śluza zamykająca kanał przeciwpowodziowy. Wokół same działki. Patrole z naszego brzegu nie zauważyły żadnej aktywności nieumarłych aż do okolic mostu Warszawskiego, gdzie był wcześniej jeden z naszych posterunków. Jeśli to będzie możliwe, otworzymy wrota ręcznie, poczekamy, aż kanał się napełni, i dopłyniemy nim pod samo więzienie – postukał w mapę. – W przeciwnym razie trzeba będzie płynąć głównym korytem i dodatkowo pokonać łąki na wałach, choć tam też nie powinno być wielu nieumarłych.

– Dopłyniecie tam i co dalej?

– Sprawdzimy, jak wygląda sytuacja. Dowiemy się, czy ktoś z załogi został na posterunku. Jeśli tak, zostawimy mu jedną z rezerwowych radiostacji. Nawiążecie z nim stały kontakt i wspólnie rozważycie dostępne opcje.

– A co będzie, jeśli więźniowie przejęli kontrolę nad więzieniem?

– Opuścimy temat i wrócimy – odparł zwięźle Nizner.

– Hm... – Biedrzycki znów przyjrzał się mapie.

Kompleks więzienia znajdował się kilkadziesiąt metrów od kanału. Załoga motorówki byłaby w miarę bezpieczna, a gdyby nawet coś się jej przytrafiło, utrata trzech albo czterech ludzi nie zmieniłaby znacząco układu sił.

– Posłuchajcie, majorze. Ja to wszystko mam już poukładane. Tam siedzą ze dwie, jak nie trzy setki ludzi, których spokojnie możemy tutaj ściągnąć. Alimenciarze, cały przestępczy plankton z przypadku, wiecie, te wszystkie moczymordy, co to szybciej biją, niż myślą, gdy się uwalą na niedzielnych potańcówkach w wiejskiej remizie. No i wywrotowcy – dodał znaczącym tonem.

Polityczni... tych władza ludowa lubiła sadzać z zatwardziałymi kryminalistami dla szybszego i większego zmiękczenia. Na Klęczkowskiej też musi być ich sporo, uznał major, niemniej wciąż miał wątpliwości.

– Dajcie mi się z tym przespać – poprosił, przyjmując pierwszy meldunek z terenu.

– Nie ma sprawy. – Nizner odsunął się od stołu. – Tylko nie zwlekajcie za długo. Z głodu nikt się jeszcze nie zesrał, jak powiadają, ale jeśli ci ludzie zostali za kratami bez nadzoru, lada moment może się tam rozpętać piekło... Zwłaszcza dla tych osadzonych, którzy nas najbardziej interesują...

Urwał w pół słowa. Zagłuszył go odgłos wystrzału tak głośny i wyraźny, że obaj z majorem drgnęli. Odnieśli wrażenie, że ktoś użył broni tuż obok, na terenie zoo, lecz gdy po pierwszym huku nastąpiły kolejne, szybko zrozumieli, że hałas potęgowała cisza zaległa nad gwarnym niegdyś miastem.

– Dam wam znać jeszcze dzisiaj wieczorem – obiecał Bartek, zagłębiając się w lekturze krótkiej wiadomości z oczyszczanego osiedla.

* * *

– I jak poszło? – w głosie pytającego dało się wyczuć zniecierpliwienie.

– Chyba dobrze.

– Zgodził się?

- Jeszcze nie, ale jestem pewien, że dziś wieczorem to zrobi.
- Świetnie. Doskonale... Ale jesteś całkowicie pewien, że nie domyślił się niczego?
- Spokojnie, doktorze. Ściemniać to ja umiem jak nikt...

niedziela, 11 sierpnia 1963, godzina 13:25
Zajezdnia Tramwajowa Nr 2 przy ulicy Słowiańskiej 16–30

– Sucze syny – syknął przez zaciśnięte zęby Pigol, gdy ponownie zapadła cisza.

Gdzieś tam, po drugiej stronie miasta, trwała regularna strzelanina. Nie była to może kanonada, jak ta z piątkowej nocy, kiedy żołnierze i milicjanci nawalali do nieumarłych ze wszystkiego, co było pod ręką, ale na pewno brało w niej udział niemało osób. Na oko, a raczej ucho Fabiana były ich dziesiątki, lecz nie setki ani nie tysiące. Odbijające się wielokrotnym echem kaszlnięcia powtarzalnych mosinów, nie dający się pomylić z niczym innym huk makarowów, pykanie tetetek. Od kilku do kilkunastu następujących po sobie strzałów, czasem rozdzielanych przerwą, nawet dłuższą, czasem nakładających się na siebie.

Ktoś tam robi przedstawienie na użytek ocalonych, uznał Sprycha, stając pomiędzy chłopakami za halą zajezdni, w miejscu, którego nie było widać z pobliskich kamienic. Ściągnął tam wszystkich prócz Morawca i Janiczka, którzy siedzieli w stróżówkach, pilnując obu bram. Nie chciał, żeby mieszkańcy Słowiańskiej i Krętej zauważyli strach, z jakim git-ludzie wsłuchują się w odległą wymianę ognia. Po dzisiejszym pokazie siły to byłoby nie mogło zobaczyć, że oprawcy też mają nietęgie miny.

A mieli, co od razu rzuciło mu się w oczy.

Musiał coś z tym zrobić, zanim stanie w obliczu kolejnego kryzysu.

– Co teraz, szefie? – zagadnął przygryzający nerwowo wargę Perek.

– A co ma być? – zdziwił się Fabian.

– To tam nie brzmi za ciekawie... – stwierdził stojący za ich

plecami Grzelak.

– Radziłbym się wstrzymać jeszcze momencik z zasrywaniem gaci, zwłaszcza że nie macie drugich na zmianę – ofuknął ich Sprycha, udając rozbawienie. – I myślcie, do kurwy nędzy, panowie, to naprawdę nie boli.

– Że niby co?... – wymamrotał Sójka, patrząc na niego tak, jakby wojskowi napieprzali do zombie nie gdzieś po drugiej stronie miasta, tylko już na sąsiedniej ulicy.

Fabian widział, że towarzystwo się pietra. Zupełnie jak na początku, gdy wzięli tę durną eksplozję za zapowiedź Armagedonu. Nawet ci, którzy zazwyczaj wykazywali się większym opanowaniem, teraz byli bladzi jak kreda i przytakiwali tchórzom. Dlatego właśnie musiał zrobić coś, cokolwiek, zanim niedoszli władcy tego miasta zaczną się poważnie zastanawiać, czy nie rozsądniej będzie czmychnąć z zajezdni i poszukać szczęścia hen daleko poza rogatkami Wrocławia, gdzie władzy już nie ma, a i nieumarli nie chadzają hordami.

– Gówno – odwarknął i obrócił się plecami do wnętrza hali, zza której dobiegały echa walki toczonej w innej dzielnicy. – Wsłuchajcie się uważnie. Co słyszycie?

– No napierdalają tam jak nie przymierzając, do kaczek... – podsumował Nerynk.

– Z czego?

– Karabiny powtarzalne, pistolety – odpowiedział niemal natychmiast Jakuz, który nasłuchał się podobnych dźwięków, służąc w wojsku, i przynajmniej na razie nie miał takiego stracha jak ten czy ów z kolegów.

– Właśnie. – Fabian poklepał Darka po ramieniu. Cieszyło go, że Ślązak nie pęka tak łatwo jak reszta krawaciarskiej braci. – Sucze syny nie używają broni maszynowej ani ciężkiej. Mówi wam to coś?

Popatrzyli po sobie lekko speszeni. Większość kręciła głowami, wpatrując się w niego z napięciem jak w lekarza, który ma postawić ważną diagnozę.

– Może nie mają takiej potrzeby... – odezwał się w końcu

Zgorzelski.

– Albo robią akcję na pokaz – wpadł mu w słowo Fabian, nie pozwalając się defetyzmu. – Robią wszystko, żeby uspokoić czekające na ratunek bydło. Słuchajcie... Czy tak brzmiała kanonada w piątkową noc? Nie. Gdzieś tam, na przedmieściach, ktoś po prostu naporza do pojedynczych odmieńców... O! – Uniósł palec, gdy na moment znów zapadła kilkusekundowa cisza, po której usłyszeli osiem następujących po sobie kaszlnięć. – Rozumiecie już? Oczyszczanie miasta z hord nieumarłych tak nie wygląda. Blacharz nie kłamał, ten cały Biedrzycki to wielki kiciarz. Pozoruje działania na większą skalę, żeby podtrzymać ludzi na duchu. Sądząc po tych odgłosach, ma tam najwyżej setkę chłopów pod bronią. Z takimi siłami to mogą sobie jakiś PGR wyzwolić, a nie Wrocław. Kozak – zwrócił się do złodzieja, jedyne miejscowe w tym gronie. – Ty znasz miasto. Powiedz mi, gdzie tu najbliższej jest okolica na tyle rzadko zamieszкана, by można było się okopać i urządzić takie szopki.

Kaczmarek się skrzywił, jakby kazano mu zjeść cytrynę. Myślał długo, wsłuchując się w palbę, sprawdzając, skąd dochodzą echa wystrzałów, i próbując sobie przypomnieć topografię odleglejszych rejonów miasta.

– Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że wojsko siedzi w parku Szczytnickim, blisko Hali Ludowej. Tam jest sporo terenów zielonych, do tego niewielkie działnice willowe. Po części opuszczone, bo zmotoryzowana elita i badylarze bez trudu zdobyli zezwolenia i opuścili miasto.

– To gdzieś za Odrą? – dopytał Sprycha.

– Tak... – Kaczmarek zrobił taką minę, jakby nagle go olśniło. – W sumie to chyba wyspa jakaś jest...

– Wyspa?

– Wielka Wyspa, jeśli mnie pamięć nie myli – wyjaśnił złodziej. – Szeffie, połowa tego miasta leży na wyspach różnej wielkości. Nie na darmo Wrocław nazywają Wenecją Północy.

Fabian zapamiętał sobie tę informację. Mogła być użyteczna, i to bardzo, jeśli zrobi się za gorąco albo gdy przyjdzie do wybierania nowej siedziby, bo ta zajezdnia nie rokowała najlepiej. Na

chwilową kryjówkę nadawała się idealnie, ale dla kogoś, kto patrzył perspektywicznie jak on, mógł to być tylko przystanek na długiej drodze do rządzenia tą gigantyczną nekropolią.

– Dobra, kończymy eliminacje do „Wielkiej Gry” i wracamy do tematu. Wszystko wskazuje na to, że Biedrzycki zwiął na inną wyspę. Taką, gdzie przed zarazą mieszkało mało ludzi.

– No, może nie tak mało... – Widząc karcące spojrzenie szefa, Kaczmarek dodał pośpiesznie: – Ale na pewno dużo mniej niż tutaj.

– Pamiętacie te niedawne wybuchy? – Sprycha rozłożył szeroko ręce, zachęcając ich tym gestem do myślenia. – Pamiętacie. Po mojemu, sucze syny mosty powysadzały, żeby im tam zarażonych nie nalazło, dobrze mówię? – spojrzał znacząco na złodzieja.

– Na to wygląda, szefie.

– Właśnie. Gdyby ten cały Biedrzycki dysponował wielką armią, nie odcinałby się od reszty miasta. Ale zrobił to, wszyscy słyszeliście, jak jego ludzie wysadzali mosty.

– O ile to mosty były – wymamrotał ponury jak własna mogiła Sójka.

– Nie, dziury w dupach sobie tymi ładunkami poszerzali, żeby więcej małomiasteczkowych golibrodów mogło się w nich pomieścić, jak już wszystkim pokażą, gdzie ich mają! – zakpił Fabian.

Co najmniej połowa chłopaków zarechotała razem z nim. *Jak dobrze pójdzie, reszta też odzyska wkrótce rezon, pomyślał. Na chwilę co prawda, ale to i tak lepsze niż nic.*

– Jak szef dowali, to nie ma co zbierać... – Rozbawiony Marut poklepał skrytykowanego kompana po ramieniu.

– Kozak, ty wiesz, gdzie są... znaczy były te mosty. Czy eksplozje mogły dochodzić z tych właśnie miejsc?

Tym razem Kaczmarek nie potrzebował tyle czasu do namysłu.

– Tak. Z tego co pamiętam, kierunki się zgadzały. Mniej więcej, oczywiście...

– Sami widzicie – podjął natychmiast Sprycha, nie mając bladego pojęcia, czy wrocławski złodziej popiera go, gdyż też nie

chce rozpadu gangu, czy mówi prawdę. Postanowił, że dowie się tego na spokojnie później, w cztery oczy.

– Szkoda, że żadnej mapy nie mamy – rzucił z żalem w głosie Szczygło.

– Jak to: nie mamy? – zachnął się Ulfig. – W biurze na drugim piętrze przybudówki wisi wielki plan aglomeracji z naniesionymi wszystkimi liniami tramwajowymi.

Pomieszczenia te spenetrowali jeszcze w sobotę, ale szukali wtedy cenniejszych rzeczy, nic więc dziwnego, że nie zwrócili uwagi na ten akurat szczegół.

– Prowadź! – Fabian postanowił kuć żelazo, póki gorące.

* * *

– To by się zgadzało – stwierdził Sprycha, gdy stanęli w gabinecie dawnego kierownika zajezdni i przyjrzeni się zajmującemu pół ściany, konturowemu planowi miasta, na którym zaznaczono wszystkie ważniejsze ulice i przebiegające nimi linie tramwajowe. Nawet te najdłuższe, prowadzące do odległej o kilkanaście kilometrów Leśnicy. Kaczmarek nie kłamał. Kierunki, z których dobiegały wcześniej eksplozje, pokrywały się mniej więcej z punktami przepraw. – Jak widzicie, panowie, nie mamy się czego obawiać. Przynajmniej w nadchodzących tygodniach, a może nawet miesiącach.

– To jednak regularne wojo – zauważył Perek. – Na takich przydałoby się mieć coś więcej niż tylko łomy i siekiery.

– Tą kłamką, cośmy ją zabrali blacharzowi, możemy co najwyżej wybić komuś zęby – poparł go Nerynk.

– Albo straszyć baby i ich bachory – dodał równie ponury Grzelak.

– Macie rację – przyznał Fabian, wracając w myślach do wieczornej rozmowy.

Teraz, mając przed oczami plan miasta, mógł dokładnie zaplanować kolejne ruchy.

– Czyli że co? – zainteresował się Sójka.

– Musimy zdobyć amunicję i broń.

– Łatwo powiedzieć – mruknął Grzelak.

– A jeszcze łatwiej zrobić – zaśmiał się Sprycha, podchodząc do mapy. – Pamiętacie, gdzie polazła ta horda z torów? – zapytał, stojąc plecami do reszty. – Skoro my jesteśmy tu... to nieumarli poszli tą ulicą – przesunął palcem po planie. – I co się stało? Kilka minut później usłyszeliśmy odgłosy strzelaniny.

– Fakt – podchwycił Ulfig. – Ktoś tam zdrowo napieprzał, nawet z cekaemów.

– To nie mogło być daleko stąd – kontynuował Fabian, przyglądając się czarnej linii prowadzącej tą samą ulicą za Odrę. – Gdybym ja planował rozmieszczenie blokad, jedną z nich postawiłbym tutaj – wskazał znajdujący się jakiś kilometr od zajezdni most Warszawski, jedyną kołową przeprawę przez aż trzy biegnące na tym odcinku równolegle kanały rzeki. Spojrzał na pozostałych. – Idę o zakład, że te cekaemy i cała reszta broni po pokonanych przez odmieńców żołnierzach wciąż tam jest.

– Podobnie jak horda – przypomniał mu Szczygło.

– Pozbycie się truposzy z ulicy to pestka, jak już zapewne zauważyliście. – Uśmiechnięty Sprycha znów przeniósł wzrok na plan miasta. – O ile człowiek ma odpowiednią ilość przynęty i wie, co robić.

– Szef chyba nie chce posłać tam reszty naszych bab? – zaniepokoił się Nerynk.

– Nie. Ale myślę, że najwyższy czas, abyśmy wybrali się na mały rekonesans. Który z panów ma chęć na odświeżający spacer?

Nie zobaczył lasu uniesionych rąk, nie usłyszał próśb o wybranie do elitarnego grona. Wybrał więc sam – oczywiście tych, którzy jego zdaniem najlepiej nadawali się do tej misji.

– Kozak, Jakuz a i Złotówa. – Spojrzał na zdobyczny zegarek. – Ruszamy za pół godziny. Ty – zwrócił się do Kaczmarka – przygotuj jakiś prowiant, na wypadek gdybyśmy musieli gdzieś przeczekać. A wy – wskazał obu członków gangu obeznanych z mechaniką – skołujcie wszystkie narzędzia, jakie mogą być potrzebne do odpalenia samochodu.

Miał plan. Ambitny plan, który – jeśli wypali – zapewni mu spokój na długie tygodnie. Zwłaszcza ze strony swoich ludzi.

* * *

Szli na zwiady, tak im przynajmniej powiedział, gdy zapytali, jednakże w rzeczywistości zamierzał dokonać czegoś bardziej spektakularnego, o ile tylko będzie to możliwe. Opuścili teren zajezdni tylną bramą, potem ruszyli wzdłuż torów, trzymając się jak najdalej od nieumarłych – zarówno tych kręcących się wciąż przy lokomotywni, jak i znacznie liczniejszych, choć teraz już bardziej rozproszonych członków hordy, którzy zamarudzili po pamiętnym przemarszu i sterczeli jak kołki między nasypem a wysokim, porośniętym trawą kopcem zajmującym sporą część placu.

– A to co za cudo? – zapytał Sprycha, wskazując pagórek.

– Gruzowisko – wyjaśnił zwięźle złodziej, spięty pierwszym samodzielnym wypadem.

– Jakie znowu gruzowisko? – zdziwił się Fabian.

– Normalne. Trafił tu gruz z rozbiórki okolicznych kamienic. To, co do niczego się nie nadawało, bo jak szef pewnie wie, dobrą cegłę wywieziono pociągami do stolicy, gdzie posłużyła przy odbudowie. – Splunął, jakby myśl o tym, że ktoś postawi w Warszawie nowe domy z tego, co zostało po jego mieście, napawała go niesmakiem. – Tutaj wokół była kiedyś ciasna zabudowa – dodał, obejmując gestem pobliski plac. – Tam gdzie są budy sklepików, po tej stronie Jedności Narodowej, tam gdzie widzicie ten ciąg oficyn. Wszystko poszło w pizdu za czasów Festung Breslau.

– Gruzowisko – powtórzył Sprycha, przyglądając się kopcowi.

Śmiecia musiało być niemało, zatem utylizacja faktycznie nie wchodziła w grę. Władza ludowa postanowiła zasypać cały ten szajs najzwyczajszą ziemią i stworzyć swoisty kurhan, w którym spoczęły nie szczątki ludzi, lecz spory wycinek historii.

– Niejedynie w tym mieście, gdyby szef chciał wiedzieć – rzucił Kaczmarek, rozglądając się uważnie.

Tory na tym odcinku biegły niemal równoległe do ulicy, na którą zesła największa część hordy ścigającej uciekinierów z dworca, dlatego Sprycha i jego kompani nie mieli żadnych problemów z przedostaniem się aż do wiaduktu. Najbliżsi

zombie znajdowali się kilkadziesiąt metrów od nich, tak więc ludzie nie musieli się ich obawiać. To była jednak najłatwiejsza część zadania. Pokonawszy niespełna trzysta metrów otwartego terenu, na którym mogli dostrzec każde zagrożenie, i to z bardzo daleka, weszli pomiędzy gęste zarośla a ścisłą zabudowę. Tuż po prawej mieli mur dzielący tory od terenów przemysłowych, po lewej wspomniane krzewy, za którymi znajdowało się cholera wie co, na szczęście także ogrodzone, tyle że zwykłą siatką. Zapytany o tę okolicę Kaczmarek ochoczo wyjaśnił, że za ciągiem magazynów Metalzbytu i rzędu warsztatów trafią na tak zwane Fajanse, czyli fabrykę ceramiki sanitarnej, a zaraz za nią zaczną się tereny należące do Browaru Piastowskiego. Tego samego, z którego pochodziło piwo zdobyte w szynku.

Ta ostatnia informacja zelektryzowała Ulfiga i Grzelaka na tyle, że przestali oglądać się bez przerwy na co bujniejsze krzewy. Sprycha także okazał pewne zainteresowanie, ponieważ miejsce wydało mu się perspektywiczne. *To mogłaby być nasza nowa kwatera*, pomyślał. Przedwojenne zabudowania browaru budziły zaufanie. Wprawdzie ogrodzenie na tyłach nie różniło się zbytnio od tego, które oddzielało teren zajezdni od torowiska, ale przynajmniej było o jedną płytę wyższe, od góry zaś solidnie zabezpieczone drutem kolczastym – władza zadbała, by obywatele nie mieli łatwego dostępu do darmowego piwa. Kaczmarek twierdził, że od ulicy wygląda to jeszcze lepiej – grube, kute kraty osadzono na całej długości ceglanego murku, od kamienic należących do Fajansów aż po brzeg kanału przeciwpowodziowego. W dodatku od wschodu teren graniczył bezpośrednio z rzeką.

Ekipa zatrzymała się na dłuższą chwilę przy bramie bocznicą prowadzącej na teren zakładów piwowarskich, od strony których wciąż dolatywała ostra woń sfermentowanego chmielu.

– Za tymi wrotami jest raj – wymamrotał Złotówa, gapiąc się na ustawione w przymy aluminiowe beczki.

– Ale utracony... – dodał ze smutkiem Jakuz, ruchem głowy pokazując wałęsających się tu i ówdzie odmieńców.

W polu widzenia mieli ich kilkunastu, samych mężczyzn

ubranych w mocno poplamione, czasem podarte drelichy. Jeden wychynął właśnie zza załomu muru po prawej, cichy jak sama śmierć. Nie zauważyliby go na czas, gdyby nie potknął się i nie rymsnął prosto na siny ryj.

– Podoba mi się ta lokacja. Trzeba tu będzie wrócić, ale w większej sile – zawyrokował Sprycha, któremu serce podeszło do gardła, gdy sobie uświadomił, jak blisko był kontaktu z nieumarłym. Z nich wszystkich stał najbliżej tej części muru, trzymając się grubych prętów i wtulając twarz między nie, by jak najwięcej zobaczyć. Ustawiona pod ostrym kątem brama nie pozwalała zajrzeć za przylegający do niej fragment ogrodzenia, co niemalże go zgubiło. – Na razie, żeby sprawdzić, jak przedstawia się sytuacja, musimy dotrzeć do mostu.

Tak to w każdym razie zaplanował, przyglądając się mapie zawieszanej na ścianie biura. Rzeczywistość jednak bardzo szybko skorygowała jego zamierzenia. Dwutorowa przeprawa kolejowa nad kanałem okazała się zablokowana prymitywną barykadą, dość prostą do pokonania w przypadku żywego, myślącego człowieka, za to stanowiącą zaporę nie do przebycia dla bezmózgich odmieńców.

Niestety na wale przeciwpowodziowym za kilkunastometrowym pasem wody pełno było zarażonych. Ta odległość wystarczała, by zwiadowcy nie musieli się przejmować ewentualnym wykryciem, ale nie mieli też co marzyć o przedostaniu się na sąsiedni most.

– I to by było na tyle – mruknął zawiedziony Kaczmarek, popatrując bojaźliwie na prawie setkę widmowych postaci, które stały pod rozłożystymi dębami na całym odcinku między mostem kolejowym a Warszawskim. Część pospadała ze stromego zbocza i utknęła w mule przy samym brzegu kanału, lecz nawet ci z nich znajdowali się za daleko, by stanowić zagrożenie.

Sprycha miał jednak inne zdanie.

– Nie jest aż tak źle – rzucił, spoglądając na prawo.

Przyczółek mostu wychodził kilka metrów poza linię brzegową, dzięki czemu spod barykady można było dostrzec wybrukowane dolne nabrzeże, ciągnące się podcieniami wzdłuż placu, który

stanowił zaplecze magazynowe browaru, a wcześniej fabryki słod. Można było tam zejść, pokonując zamkniętą na klucz bramę, i dostać się praktycznie pod sam przyczółek mostu Warszawskiego. Mniej więcej w połowie drogi Fabian wypatrzył słup, chyba podstawę latarni, po którym można by w razie konieczności dostać się na górny poziom, wychodząc tuż obok pomalowanej na zielono kanciapy.

– Na terenie browaru pełno jest nieumarłych – zaprotestował Grzelak, gdy usłyszał, jaki jest nowy plan.

– Tam przy boczniccy kręciło się ich paru, to fakt, ale tutaj nie widać żywej duszy – odparł spokojnie Sprycha, nie zwracając uwagi na swoje przejęzyczenie. – Poza tym spojrzcie tam – wskazał palcem wyższy poziom.

Z początku nie wiedzieli, o co mu chodzi, gdyż teren był rozległy i nieźle zagracony, jednakże już po chwili dostrzegli wśród stosów beczek jakiś ruch. Szczury. Wielkie jak koty gryzonię przemykały chyłkiem pod ścianami, znikając i pojawiając się co chwila na otwartym terenie, jakby nic im nie groziło.

– To chyba znaczy, że jest czysto – stwierdził ostrożnie Ulfig.

– Idź sprawdzić – rzucił natychmiast Fabian.

– Ja, szefie?

– A kto, ja? Ty jesteś z nas wszystkich najłżejszy i najzwinniejszy. Śmigaj.

Ślązak zamruczał coś w swojej gwarze, poczekał, aż Kaczmarek upora się z zamkiem, po czym ruszył od dawna nie używanymi schodkami w dół, ku wybrukowanej przystani. Szedł spowitymi w mrok podcieniami lekko zgarbiony, trzymając łom w pogotowiu, jednakże nad wodą panował kompletny bezruch. Przejścia prowadzące do podziemi dawnej fabryki już dawno zamurowano, nie napotkał więc żadnych przeszkód po drodze do słupa. Wdrapał się na niego zwinnie, a następnie zeskoczył na wybrukowany plac i zamarł przy ogrodzeniu rozpląszczony jak wygrzewająca się w słońcu żaba.

Czekał tak prawie minutę, lustrując wyloty alejek pomiędzy wysokimi na kilka metrów pryzmami skrzyń i beczek. Nic, spokój, totalny bezruch. Nawet szczury zniknęły, zapewne

splószone jego niespodziewanym przybyciem. Zniecierpliwiony Sprycha machnął ręką, ale Jakuzę tego nie widział. Spojrzał w stronę kompanów dopiero wtedy, gdy Kaczmarek gwizdnął przeraźliwie, wkładając dwa palce do ust. Skinął głową, przyjmując do wiadomości kolejne polecenie, ujął mocniej łom i zniknął w jednej z alejek. Nie było go przez kilka boleśnie długich minut, podczas których Fabian i pozostali wsłuchiwali się w nieustający i niesłabnący klekot odległej palby. W końcu Ulfig wynurzył się zza ustawionych w piramidę drewnianych beczek i uniósł kciuk, dając znak, że teren jest czysty.

– Szefie, mam pomysł – odezwał się Grzelak, gdy Sprycha skierował się ku bramie. – Skoro na górnym poziomie nie ma tych szwendających się trupów, możemy dostać się tam przez ogrodzenie... – Wskazał betonowy płot browaru. – Weźmiemy kilka dech z barykady, zrobimy sobie coś w rodzaju drabiny, a z tamtej strony będzie można jakieś skrzynie podstawić, na wypadek gdybyśmy musieli ewakuować się tą drogą. Drut kolczasty poprzecinamy, mam przecież narzędzia. – Poklepał przewieszoną przez ramię skórzaną torbę monterską.

– Dobry pomysł – pochwalił go Fabian – ale mam lepszy. Jakuzę! – zawołał, a kiedy Ulfig podszedł bliżej, kazał mu zrobić od wewnątrz coś w rodzaju podestu z pustych skrzynek na piwo.

Gdy konstrukcja była gotowa, krzepki Ślęzak przerzucił na ich stronę wystarczająco dużo drewnianych pak, by i po swojej stronie wzniesli podobny podest. Mogli mieć teraz pewność, że w razie potrzeby pokonają mur w parę sekund.

Sprycha wolał dmuchać na zimne. Zwłaszcza po niedawnym zajściu przy bramie. Dlatego po wysłuchaniu relacji Darka zdecydował, że dobrze byłoby też zablokować czymś wyloty alejek prowadzących w głąb placu magazynowego czy też rupieciarni, w jaką zamieniono przez lata tę część zaplecza browaru. Mieli pod ręką wystarczająco wiele nieszczelnych beczek i wykoślawionych skrzynek, by wznieść trudne do pokonania zapory, zatem w niespełną godzinę stworzyli bezpieczny korytarz, którym mogliby przejść od torowiska aż do frontowego ogrodzenia.

Nie zrobili tego tylko dlatego, że wylot szerokiej ulicy prowadzącej na most blokowały trzy wojskowe transportery. Dwa były zbyt krótkie, by zagrozić szeroką przeprawę, ustawiono więc za nimi kolejny, który w razie potrzeby odsłaniał ponad dwumetrową wyrwę, aby przepuścić ludzi albo samochody. Wokół wozów kłębił się tłum odmieńców. Setki, jeśli nie tysiące nieumarłych stały tam w kompletnej ciszy jak nie przymierzając, czoło pochodu pierwszomajowego. Zbliżenie się do ogrodzenia na mniej niż dziesięć metrów poskutkowałoby ściągnięciem ich uwagi, a kto zaręczy, że kraty wytrzymają napór takiej masy ciał?

Obserwując zombie z bezpiecznej odległości, Sprycha wpadł na inny pomysł. Wspiął się ostrożnie na stojący piętnaście metrów od ogrodzenia, wyglądający bardzo stabilnie stos skrzyń i przykłęknąwszy na jego szczycie, przyjrzał się uważnie sytuacji na ulicy. Wylot mostu blokowały dwie przypominające opancerzone ciężarówki maszyny, na których zamontowano stanowiska ciężkich karabinów maszynowych. Po obu ich stronach kłębił się tłum żywych trupów, jakby posterunek został zaatakowany z kilku stron naraz. Fabian nie przypuszczał, by zarażeni byli w stanie zaplanować i skoordynować taki atak, jego dotychczasowe obserwacje bowiem prowadziły do jedyne go logicznego wniosku: to były bezmyślne bestie zaślepione żądzą krwi znacznie bardziej niż Cangaceiro. Ci mundurowi mieli po prostu pecha, że fala ściganych uchodźców z drugiego brzegu rzeki dotarła w to miejsce mniej więcej w tym samym momencie co tysiące zgniłków leżących za ludźmi uciekającymi z dworca. Tak to musiało wyglądać. Walka nie trwała długo. Większość mundurowych zginęła na miejscu – w pierwszych szeregach hordy dostrzegł parę hełmów i charakterystycznych mundurów polowych. Ci nieliczni, którzy przeżyli, o ile w ogóle byli tacy, zbiegli pewnie do kamienicy naprzeciw albo poszukali ratunku w wodzie.

Przeniósł spojrzenie za most, na samotny budynek, przy którego bramie roіło się od nieumarłych. Zapchali całe wąskie przejście między żywopłotami, ale drzwi, po części

przeszkolonych, nie zdołali sforsować.

Sprycha zlustrował wyższe kondygnacje. W żadnym z zamkniętych szczelnie okien nie było widać ludzkiej twarzy, co mogło sugerować, że mieszkańcy albo podzielili los wojskowych, albo zbiegli, zanim doszło do masakry. W tak wielki upał nawet bydło ze Słowiańskiej się wietrzyło, ujawniając swoje kryjówki, które Perek na polecenie szefa pozaznaczał na szkicu tak na wszelki wypadek.

Na myśl o nieziemskim upale Fabian poluzował kołnierzyk grubej koszuli. Żar doskwierał mu mocno, szczególnie że kac jeszcze nie minął, choć połknął aż dwie aspiryny znalezione w mieszkaniu zapobiegliwego pana Proroka i opróżnił do reszty słoje po ogórkach zjedzonych poprzedniego wieczoru.

Zanim wyruszył na most, zlecił Szczygłę, Morawcowi i Marutowi, by wzięli ze sobą trzy baby i przetrzasnęli wszystkie dostępne mieszkania pod czternastką. Kazał zabrać wszystko, co cenne – głównie dlatego, że się o to dopytywali – a poza tym całe żarcie, gorzałę i tyle ubrań, ile zdołają przenieść. Zwłaszcza męskich. Dość już miał łażenia w cuchnących ulem i za grubych jak na tę pogodę drelichach. A i brankom przydadzą się gacie na zmianę, nawet jeśli wcześniej należały do kogoś innego.

– Co o tym myślisz? – zagadnął Ulfiga, gdy ten przysiadł obok i także zaczął się przyglądać obleżonym transporterom.

– Piękne maszyny – odparł Ślżak, kiwając z uznaniem głową. – Jechałem raz taką, znaczy prowadziłem ją. Smok prawdziwy, powiem szefowi – dodał z nieskrywanym podziwem. – Bestia, nie wóz. Rozjechałbym tę całą hołotę i nawet bym nie musiał włączyć wycieraczek.

– BTR-152 – dodał Grzelak nie mniej rozmarzonym tonem. – Szkoda, że nie mamy rady ich stąd wydostać. Widzi szef? – Wskazał przedział załogowy bliższej z maszyn. – Te skrzynki tam to na amunicję są. Większość chyba pełna, bo ten, kto obsługiwał gniazdo SGMB, dał nogę, zanim skończyła mu się druga taśma.

– Czyje gniazdo?

– No cekaemu – poprawił się taryfiarz.

– Mów do mnie po polsku – warknął Sprycha.

Nie lubił, kiedy podwładni wiedzieli więcej od niego, a na wojskowości akurat niewiele się znał.

– Szef gdzie służył? – zainteresował się Jakuza, któremu nie mieściło się w głowie, że ktoś może nie wiedzieć tak podstawowych rzeczy. – W podwodniakach?

– Generałów do woja nie biorą – burknął Fabian, obracając sprawę w żart.

– A, chyba że tak...

W tych czasach trudno było się wykręcić od zasadniczej służby wojskowej, ale jeśli ktoś miał wystarczające koneksje, dostawał lewe papiery albo kategorię E. Niektórzy nie musieli nawet kombinować, lecz tego Sprycha wolał nie wyjawiać. *Niech sobie myślą, że należą do wąskiego grona szczęśliwców, którzy umiejętnie wymigali się od woja...*

– Powiadasz, Jakuza, że dałbyś radę wyjechać z tego kotła? – pociągnął temat, zanim padło kolejne niewygodne pytanie.

– No... W sumie tak. Chociaż...

Fabian miał już plan.

– Po drodze tutaj minęliśmy stos drabin – wskazał kciukiem za plecy, przypominając, gdzie leżą narzędzia, którymi wspomagali się robotnicy obsługujący to składowisko. – Jedną, z tej przyzmy w rogu, możemy przerzucić na szczyt ogrodzenia, a ty przejdiesz po niej i skoczysz na maskę bliższego transportera. Jest wystarczająco szeroka...

– Mam skoczyć? Tam? A jeśli się potknę...? – wpadł mu w słowo poblady Jakuza, oceniając wzrokiem odległość pomiędzy BTR-em a końcem wyobrażonej drabiny. – To ze cztery metry będą, jeśli nie więcej.

– Rekord świata to ponad osiem, dasz radę – zażartował Grzelak, zadowolony, że to nie jemu szef każe tak ryzykować.

– Spokojna twoja owłosiona – zaśmiał się Fabian. – Jeśli weźmiemy dłuższą drabinę, to jej kraniec będzie wystawał z półtora metra za ogrodzenie. Kozak i Złotowa przytrzymają ją od tego końca i ustabilizują.

– Ale ich tam jest mrowie...

– Na razie. Powiedzmy, że chwilę wcześniej odwrócę uwagę tej

hałastry.

– Jak?

– Podejdę do płota. – Sprycha wskazał punkt oddalony od wjazdu na most i blokujących go transporterów o jakieś trzydzieści metrów. – Albo jeszcze lepiej, przespaceruję się wzdłuż ogrodzenia, stąd tam – przesunął palcem w lewo. – Dranie powinni za mną poleżeć, a jeśli nawet tego nie zrobią, i tak zyskasz sekundę albo dwie, żeby się pozbierać, bo będą stali plecami do ciebie.

Po tej stronie ogrodzenia było wystarczająco dużo wolnego miejsca, żeby nie musiał zbliżać się do krat. Przy odrobinie szczęścia zdoła odciągnąć nieumarłych od BTR-ów, zanim Jakuza dotrze górą za ogrodzenie i przeskoczy na transporter.

– Pytanie tylko, czy dasz radę go odpalić, bo jeśli nie... – Grzelak pokręcił głową.

– Nie takie cuda odpalałem – zachnął się Ulfing. – Poza tym te maszyny muszą być gotowe do natychmiastowego uruchomienia. To nie była blokada, tylko zwykły punkt kontrolny. Żołnierze przepuszczali tych, którzy posiadali dokumenty zezwalające na opuszczenie tej części miasta, ale gdy nadeszła horda... – Przytaknął własnym myślom. – Podejrzewam, że nie będę musiał specjalnie kombinować.

– Na wszelki wypadek – wtrącił Sprycha – użyjemy dwu drabin. Jak coś pójdzie nie tak, dasz nam znać i któryś z chłopaków przerzuci za ogrodzenie tę drugą, po której się ewakuujesz z zebraną bronią.

Obaj skinęli ochoczo głowami. Podobało im się, że mają nad sobą kogoś, kto nie dość, że pamięta o wszystkim, to jeszcze wie, jak rozwiązać każdy problem.

* * *

Wykonanie tej części zadania było łatwiejsze, niż przypuszczali. Drewniane drabiny, które wyglądały bardzo solidnie, okazały się zadziwiająco lekkie. Wtargali dwie na pryzmę skrzyń, sprawdzivszy uprzednio, czy jest wystarczająco stabilna. Pojawienie się ludzi niespełna cztery metry od ogrodzenia

zwróciło oczywiście uwagę nieumarłych, ale ogrodzenie wytrzymało. Krata nawet nie drgnęła, mimo że napierały na nią setki żywych trupów. Gdy pierwsza drabina znalazła się na swoim miejscu, Fabian postanowił dokonać niewielkiej korekty planu, zrozumiał bowiem, że pewnej części zombie nie da się odciągnąć spod transportera, skoro podtrzymujący drugi kraniec drabiny mężczyźni będą wyczuwalni przez bestie. Kazał więc Ulfigowi wziąć drugą, krótszą i lżejszą, drabinę i od razu ułożyć ją pomiędzy ogrodzeniem a maską transportera. Ślżak przystał na to bez oporów.

Przejście po wzmocnionych prętami szczeblach zajęło Jakuzie tylko kilka sekund. Dotarł nad kraty, przykleknął i paroma szybkimi ruchami stworzył drugą część pomostu, którym miał się ewakuować w razie niepowodzenia. Moment wcześniej Sprycha zbliżył się do ulicy, aby ściągnąć na siebie uwagę nieumarłych, jednakże zgodnie z przypuszczeniem tylko część z nich, i to ta stojąca dalej od BTR-ów, zareagowała tak, jak tego chciał. Musiał więc zrobić jeszcze krok, a potem następny, stanąć dosłownie o centymetry od wyciągających się ku niemu łapsk, by tłuszcz wreszcie ruszyła.

– Chodźcie do tatusia, zaśmierdki... – Chciał zażartować, by pokazać, że się boi, lecz wypadło to dość żałośnie, ponieważ imadło strachu zaciskało się na jego krtani coraz mocniej z każdą upływającą sekundą.

Ledwie skończył mówić, pożałował, że nie wyznaczył do tej roboty któregoś z chłopaków. Jedną z krat osadzono słabiej niż pozostałe, a może zdarzył się tu wcześniej jakiś wypadek, po którym ogrodzenie naprawiono, oczywiście na odpięprz, prowizorycznie, jak to było ostatnio w zwyczaju. W każdym razie odmieńcy zdołali poruszyć kuty panel, przechylając go o kilka centymetrów w najwyższym miejscu, co w zupełności wystarczyło, by Fabian zwątpił w wytrzymałość jedynej przeszkody, która dzieliła go od kilku tysięcy wygłodniałych bestii, i stracił pewność siebie.

Nie skrewił jednak, choć miał ochotę zwać gdzie pieprz rośnie. Przesunął się tylko nieco dalej, pilnie obserwując odchył

nieszczęsnego panelu, i już po chwili z wielką ulgą zauważył, że gdy główny nacisk został przeniesiony na sąsiedni odcinek ogrodzenia, szpara przestała się powiększać.

– Teraz! – wrzasnął do Ulfiga, który wycofał się przezornie na przymę, by czekać na umówiony sygnał.

Wszyscy nieumarli po tej stronie blokady odwrócili się już plecami do transportera, zatem kiedy Jakuzza ruszył szybkim, lecz ostrożnym truchtem po tych samych szczęblach, które zdążył już pokonać dwa razy, udało mu się ich wyprzedzić. Zbiegnięcie po drugiej drabinie na szeroką maskę wozu i wspięcie się na szczyt zadaszanej kabiny, obok gniazda cekaemu, trwało o wiele krócej niż wykonanie przez zombie niezdarnego obrotu. Mimo to Darek poczuł się bardzo nieswojo, kiedy masa milczących zombie zawróciła ku niemu.

Próbując o tym nie myśleć, zeskoczył do przedziału bojowego i szybko się rozejrzał. Sprycha kazał mu sprawdzić, ile amunicji zostało, pochylił się więc, by zważyć w dłoniach kolejne pojemniki. Zgodnie z oczekiwaniami większość okazała się pełna. Prócz nich i paru porzuconych hełmów nie znalazł jednak nic więcej – żadnego pistoletu ani karabinu. Zajrzał przez burtę do wnętrza sąsiedniego wozu, sprawdzając, czy nie ma w nim jakiejś broni. Niestety nie było, za to przez otwarty właz zaczęli się właśnie gramolić odmieńcy.

Przyglądał im się przez dłuższą chwilę, dopóki nie uznał, że nie mają najmniejszych szans na dostanie się do środka, po czym przeskoczył ostrożnie, przerzucił całą amunicję do transportera, który miał uruchomić, a potem zatrzymawszy się o krok od paluchów drapiących metal, zajrzał do przedziału załogowego ostatniej maszyny. Tam odkrył coś, co wydało mu się najbardziej interesujące ze wszystkich znalezisk. Płaskie, kwadratowe skrzynie. Ani chybi granaty. Raz jeszcze zerknął na uchylony właz i wystające z niego łapska. *Nie, z tej strony na pewno nic mi nie grozi.* Splunął w kierunku nieumarłych, szczerząc zęby. Tego dnia zasłuży na pochwałę, może nawet szef przydzieli mu jedną z dziwek na własność. To by była właściwa nagroda.

Przeniósł trzy takie skrzynie, uprzednio sprawdziwszy ich

zawartość. Zrobił to najostrożniej, jak umiał, nie rzucając nimi jak przedtem zwykłą amunicją, następnie zaś wsunął się z poczuciem ulgi na fotel kierowcy, dziękując w myślach temu, kto zamknął wcześniej pancerną odsłonę okna. Rozejrzał się po kabinie, przypominając sobie rozmieszczenie zegarów, przełączników i wajch. Przymknął oczy przed wciśnięciem czerwonego guzika, lecz zaraz otworzył je ponownie, z szerokim uśmiechem na twarzy. Sześciocyndrowy silnik zagrał pięknie, jak powinien, może nie od pierwszego pyknięcia, ale to przecież była drzemiąca bestia, nie sportowa syrena. Chwycił za gałkę najbliższej dźwigni i z rozmachem wrzucił jedynekę, podciągnął dwa metry do przodu, ostrożnie, żeby nie uderzyć w ogrodzenie. Skręcił kierownicę, bardzo wolno cofając, co wymagało sporo sił i zachodu, później znów podjechał odrobinę do przodu, z chrzęstem miażdżąc coś wielkimi kołami. Wolał nie myśleć o tych stworach jak o ludziach. Rozjeżdżał kolejnych nieumarłych za każdym razem, gdy pokonywał te parę metrów, a musiał to zrobić kilkakrotnie, zanim transporter stanął przodem do osi ulicy. Rozgniatając kilkanaście dalszych ciał, podjechał tak blisko ogrodzenia, jak to tylko możliwe, i tam zatrzymał wóz, nie gasząc silnika.

Grzelak i Kaczmarek przystawili w tym czasie do płotu drabinę, po której wszyscy wspięli się jeden po drugim i przez zadaszenie kabiny zeskoczyli na tył wozu.

– Dajesz! – Zadowolony z sukcesu Sprycha załomotał pięścią w dach.

Nie dość, że wszystko poszło jak z płatka, to jeszcze udało mu się zdobyć coś, o czym do tej pory mógł tylko pomarzyć. Wprawdzie nie znaleźli pistoletów ani karabinów, ale wiedział, że ta broń musi gdzieś tu być, zatem znalezienie jej pozostawało wyłącznie kwestią czasu. Szczególnie że już wpadł na pewien pomysł...

– Ile mamy paliwa? – zapytał, przekrzykując ryk ponad stukonnego silnika.

– Prawie maks – odparł Ulfig.

– Świetnie. Przebij się przez nich, a potem jedź bardzo powoli,

tak by horda za nami nadążyła.

Jakuza skinął głową. Nie rozumiał, o co chodzi, ale miał to gdzieś. Szef kombinował lepiej od niego.

Wóz szarpnął mocno, gdy Ulfig zwolnił sprzęgło, lecz chłopakami tylko potrząsło, zdążyli bowiem opaść na rozkładane siedziska. Fabian wybaczył to kierowcy, składając ten błąd w sztuce na karb jego braku wyczucia. Ta bestia była przecież mocna jak czołg. Najważniejsze, że toczyli się już po chodniku, skręcając wolno w kierunku jezdni. BTR-em telepało, jakby jechał po bezdrożach, choć ponemiecka kostka była niezwykle równo ułożona. Darek nawet się nie domyślał, z ilu nieumarłych robi miazgę, zakładał jednak, że są ich dziesiątki, jeśli nie setki.

W końcu przestało nimi kołysać. Kilka sekund później Jakuzza podniósł przednią osłonę, opuścił zaś boczną, żeby mieć lepszy widok. Horda szła za nimi, jak chciał tego Sprycha, stojący teraz na tyle wozu i z uśmiechkiem przyglądający się falującemu morzu milczących zombie.

Jego plan, ten dalekosiężny, zakładał przeniesienie kwatery gangu na teren browaru, który od frontu wyglądał jeszcze bardziej imponująco. Ceglane budowle w dziewiętnastowiecznym stylu, ogrodzone solidnym płotem, graniczące z linią kolejową i korytem rzeki, wydawały się idealnym miejscem na stałą siedzibę. Zwłaszcza że w czasie marszu torami dostrzegł też wielki silos zbożowy, na którym warto będzie położyć łapy. W tym celu jednak musiał się pozbyć tej hordy. Wpadł na szatański pomysł, że ją po prostu wyprowadzi, jak ten grajek z bajki, co to najpierw oczyścił miasto ze szczurów, a potem, gdy mu nie zapłacono za tę usługę, wywiódł także wszystkie dzieci. Życie to wprawdzie nie bajka, ale takie przypowieści czasami służą za inspirację, co też miało miejsce w tym wypadku.

Jadąc powoli, w tempie marszu nieumarłych, można ich wywleć gdzieś między most i zajezdnię i tam zostawić, gwałtownie przyspieszając. Fabian rozważał, czy nie byłoby rozsądniej skręcić w prawo, w ulicę przed albo za szkołą, i porzucić odmieńców na ewentualnej drodze Biedrzyckiego – na wypadek

gdyby major naprawdę zamierzał walczyć o to miasto – ale ostatecznie uznał, że lepiej oszczędzać zdobyczną maszynę, która z pewnością paliła jak smok. Na takie ruchy przyjdzie pora, gdy już okrzepną, poznają lepiej sytuację nie tylko w mieście, ale i poza jego rogatkami.

Na razie tylko jedno było dla niego jasne – koliber odbierał komunikaty wyłącznie z wrocławskiej rozgłośni. Każda inna krajowa stacja milczała, nie udało im się także złapać żadnego sygnału z zagranicy, co akurat nie martwiło specjalnie Sprychy, ponieważ tranzystor Proroka nawet przed zarazą nie odbierał na falach długich żadnej stacji prócz Warszawy. *Gdzieś tam musi być cywilizacja, pomyślał i zaraz zerknął z obawą za most. Byle nie na wschodzie...*

Minęli szkołę. Kwartał dalej Fabian wypatrzył bardzo długą i prostą ulicę, chciał nawet wydać rozkaz i skręcić w prawo, jednakże coś go powstrzymało. *Lepiej trzymać się planu, uznał.*

Wrócił do obserwacji terenu. Horda, szeroka na całą ulicę i rozciągnięta na długości ponad stu metrów, dopiero mijała szkołę. Jeszcze kilka minut i nieumarli znajdą się w bezpiecznej odległości od mostu i browaru. Na jezdni w tyle pozostali tylko ci, których Jakuza rozjechał, wykręcając, a potem przebijając się przez tłum. Zmasakrowanych zwłok była co najmniej setka, ale to ledwie kropla w morzu przy tym, ile ich udało się wyprowadzić. *Trzeba dać im czas na regenerację, a potem podjechać tutaj raz jeszcze, oczywiście okrężną drogą, i tak samo poprowadzić drani prosto jak po sznurku, tyle że w tę boczną uliczkę...* Zakonotował sobie, aby sprawdzić jej nazwę na planie.

– Dobra, wystarczy już tego holowania! – zawołał, oglądając się przez ramię. – Możesz dodać gazu!

– Robi się! – odkrzyknął Jakuza.

Sekundę później rozległ się przeraźliwy zgrzyt, potem następny, któremu towarzyszyła soczysta wiącha puszczonej przez Ślązaka.

– Co jest?

– Ta kurwa, dwójka, nie wchodzi!

– Co?

- Nie mogę wrzucić wyższego biegu.
- Dlaczego?
- Nie wiem. Coś się spieprzyło.

Fabian spojrzał na Złotówę.

- Pomóż mu.

Taryfiarz skinął głową, po czym ruszył w stronę kabiny. Usiadł w fotelu dowódcy i wspólnie z Ulfigiem zajęli się próbą odblokowania skrzyni biegów, co bardziej przypominało kłótnię niż współpracę. BTR tymczasem zdążył dojechać do jedyne go odbicia w prawo, za którym stały już tylko trzy kamienice dzielące ich od rozległego placu, kopca i znajdującej się za nim zajezdni.

Sprycha spojrzał na prosty szyld znajdującego się na samym rogu zakładu fryzjerskiego i ulokowanego po przeciwnej stronie baru „Wiarus”, który mogliby splądrować, gdyby nie fakt, że sprowadzili pod jego drzwi ze trzy tysiące zarażonych, jeśli nie więcej. Co gorsza, minawszy ostatnią przecnicę, nie mieli już gdzie odbić.

- To przyśpiesz chociaż na tej jedynce, żebyśmy mogli im się urwać! – polecił Fabian, podchodząc do kabiny.

Silnik zawył głośniejsz, ale prędkość niewiele wzrosła.

- Jeszcze!

– Wolałbym tego nie robić, szefie – jęknął płacząco Jakuza.

- Zatrzymaj silnik, jeśli to zrobimy! – poparł go natychmiast Złotowa.

– Jeśli tego nie zrobicie, będziemy mieli na wieczornej popijawie parę tysięcy niechcianych gości! – wściekał się Fabian. – I własne flaki na zagrychę!

– Jeśli tego nie zrobimy, szefie – odparł hardo Ulfig, który miał cykora, bo znał się na motorach jak mało kto i wiedział, że z tą skrzynią biegów jest coś bardzo nie tak – będziemy mieli szansę gdziekolwiek dojechać. A jak utkniemy pośrodku tej hordy, to nikt i nic nam nie pomoże.

– Dobra, w takim razie skręcisz w lewo, jak tylko wyjedziemy na otwartą przestrzeń. Spróbujemy ich wyprowadzić w głąb tego placu, a potem zwiejemy ile sił w nogach do zajezdni.

Nie było to najrozsądniejsze rozwiązanie, ale lepszego w tej chwili nie mieli. Im dłużej Sprycha zastanawiał się nad sytuacją, tym bardziej był przekonany, że zgubiła go własna pazerność. Po fakcie rozumiał, że już dawno mógł podjechać pod most więźniarką i odciągnąć nią horde, gdziekolwiek by zechciał, ponieważ w odróżnieniu od tej kupy pancernego złomu silniki należących do zakładu karnego starów chodziły jak szwajcarskie zegarki.

– Mam lepszy pomysł, szefie – z zamyślenia wyrwał go głos Jakuzy.

– Doprawdy? – Sprycha nie zdołał się powstrzymać przed uszczypliwością.

– Poważnie mówię. Siadajcie wszyscy i złapcie się czegoś, byle mocno, bo trochę nami potrząsie! – ostrzegł Darek, odbijając w lewo.

Jechali prosto na zajezdnię. Tyle że przed sobą mieli kopiec kryjący gruzowisko.

– Co ty wyprawiasz? – zapytał spietrany Fabian, opadając na najbliższe rozkładane siedzisko.

– Szef weźmie, może się przydać... – Kaczmarek podał mu hełm.

Kilka ich wałało się po podłodze między skrzynkami.

– Uwaga! – zawołał Jakuzza na moment przed tym, nim przednie koła BTR-a wjechały na pochyłe zbocze.

Wóz przechylił się, może niezbyt mocno, lecz Sprycha nie musiał już wstawać, by widzieć nad tylną burtą morze szarych postaci podążających niestrudzenie ich tropem. Choć silnik był jeszcze bardziej przeraźliwie, jechali teraz znacznie wolniej, a mimo to... horda zaczynała zostawać w tyle. Odmieńcy okazali się zbyt niezdarni, by pokonać strome wzniesienie, zwłaszcza że ścieżka prowadząca na szczyt kopca była tak wąska, że mogła się na niej pomieścić tylko nieznaczna część żywych trupów. Atakujący trawiaste zbocze po jej obu stronach wywalali się jeden po drugim, pociągając za sobą następnych, a ci podcinali kolejnych. Idący żwirową ścieżką wciąż jednak trzymali się rzężącego BTR-a jak przysłowiowy rzep psiego ogona i choć zostały ich już tylko setki, nie tysiące, to nadal stanowili realne

zagrożenie. Ledwie Sprycha zdążył o tym pomyśleć, Ulfig zaśmiał się dziko, a potem skręcił ostro kierownicę.

– A teraz patrzcie i podziwiajcie! – zawołał.

Zjeżdżali w dół, gwałtownie przyśpieszając. Silnik, co ciekawe, przestał wyć i charczeć, mimo że transporter nabierał prędkości z każdym obrotem wielkich kół.

– Wysprzęgliłem drania! – wyjaśnił rozradowany Jakuz, gdy znów znaleźli się na równym terenie, po przeżyciu wstrząsu, który omal nie pourywał im głów.

Wytracali prędkość, i to dość szybko, a gdy osiągnęli mniej więcej poprzednie tempo, Ulfig puścił ostrożnie sprzęgło. Sprycha w tym samym czasie dopadł tylnej burty. Nieumarli zostali na wzniesieniu. Część zombie z kolumny na ścieżce zdążyła skręcić za zjeżdżającym wozem, jednakże zejście po stromiźnie przekraczało zdolności tych pokrak, staczali się więc bezwładnie niczym lawina. Było pewne, że żaden nie zdoła wstać, zanim transporter oddali się na więcej niż dziesięć metrów, a to wystarczało do zgubienia pogoni.

Fabian z triumfalnym uśmiechem na twarzy przyglądał się tym żywym trupom, które zdezorientowane zniknięciem ofiar zaczynały właśnie wytracać tempo. Zanim BTR zjechał ponownie na ulicę, nikt już za nim nie laźł.

* * *

– Szef patrzy!

Fabian podniósł się nad poziom zadasznienia kabiny. Nie wierzył własnym oczom: na Słowiańskiej znów zaroiło się od tego draństwa! Taka przynajmniej była jego pierwsza myśl, gdy zobaczył kilkadziesiąt postaci, ale wystarczyła sekunda, by zrozumiał, że ma przed sobą nie ożywieńców, a mieszkańców okolicznych kamienic, którzy z niewiadomych mu jeszcze powodów wylegli na ulicę.

– Skurwiele wzięli nas za żołnierzy! – Kaczmarek uprzedził Sprychę o mgnienie oka.

Ludzie wiwatowali i machali rękami, biegnąc w stronę sunącego ku zajezdni BTR-a.

Na czoło wysforował się postawny mężczyzna w czerwonej koszulce i szarych spodniach.

– Tam są, panie oficerze! Tam!... – krzyczał, co usłyszeli wyraźniej, gdy Jakuzza zatrzymał wóz i obroty przeciążonego silnika zmałały. – W zajezdni! Niewiele więcej niż dziesięciu! To zbiegli więźniowie! Wystrzelajcie ich, zanim wszystkich nas tu wymordują!

– A to wredna menda – syknął Grzelak.

– Wiesz, jak się tym posługiwać, Kozak? – zapytał Fabian, wskazując zamontowany na dachu cekaem.

– No wiem.

– To pošlij im ostrzegawczą seryjkę.

– Tak po ludziach?

– Nie – odparł Sprycha po chwili wahania. – Wal nad ich głowami, byle w stronę kamienicy.

Złodziej usłuchał, wyprostował się, złapał pewnie za uchwyty i obracając nieco karabin, nacisnął spusty.

Zaskoczeni tym widokiem ludzie zamarli, a gdy broń zaterkotała, padli na bruk gdzie kto stał. Długa seria skruszyła tynk pod co najmniej sześcioma oknami.

– Dość! – Fabian otworzył tylny właz i zeskokczył na ulicę. Wciąż miał na głowie hełm, zatem ocaleni nie poznali go od razu i nie zdążyli czmychnąć do swoich nor. – Za mną!

Ulfig z łomem w rękę i Grzelak ze zdobyczną saperką wypadli z kabiny transportera. Kaczmarek poszedł w ślady kompanów. Maszerowali czterej przeciw co najmniej piętnastu mężczyznom w sile wieku, a jak głosi przysłowie: i Herkules dupa, kiedy ludzi kupa. W tym wypadku żaden z pasażerów BTR-a nie przypominał posturą mitycznego herosa, zatem cywile mogliby roznieść bandytów w pył. Mogliby, gdyby nie paraliżujący ich strach.

Zanim którykolwiek z leżących mężczyzn zdążył choćby drgnąć, z zajezdni wypadła reszta gangu. Cangaceiro przybiegł z dwoma młotkami w dłoniach, prowadząc pozostałych, uzbrojonych w co popadło, od siekier po noże, a nawet widły.

– Czekaście! – Sprycha powstrzymał ich uniesieniem ręki. –

Kozak, wracaj do cekaemu! A wy – kopnął faceta w czerwonej koszulce – wstawać i pod ścianę! Już!

Wykonali jego polecenie szybciej i sprawniej, niż się spodziewał. Chwilę później przechadzał się już przed nimi z wrednym uśmiechem na ustach, podobny do esesmana z ruskiego filmu wojennego, i spoglądał hardo w ich wytrzeszczone, wilgotne od łez oczy. Nagle ogarnęła go olbrzymia satysfakcja. Był panem życia i śmierci tego bydła. Ponurym zniwiarzem gorszym od samej zarazy. I choć nie mógł zafundować temu robactwu takich samych cierpień, jakie były udziałem wszystkich jego wcześniejszych ofiar, postanowił, że zrobi, co w jego mocy, żeby dranie całymi dniami srali pod siebie ze strachu.

Przespacerował się w jedną stronę, potem w drugą, nic nie mówiąc, tylko patrząc na nich i uśmiechając się złowieszczo. Na koniec cofnął się na środek ulicy, by każda z trzydziestu pięciu osób, które stanęły pod ścianą, dobrze go widziała.

– Nie mam czasu na pierdoły, więc zrobimy tak... – Wydarzenia minionych dwu godzin zbytnio go wyprowadziły z równowagi, by chciał się zabawić z tą hołotą jak z mieszkańcami czternastki. – Nie miałem w planach zabijać dzisiaj nikogo więcej, ale skoro tak ładnie mnie poprosiliście, pójdę wam na rękę. Wybiorę z waszej wesolej gromadki jedną, jedyną osobę... – uniósł na wysokość twarzy wyprostowany palec wskazujący prawej dłoni – ...której rodzina zapłaci za ten cyrk. Cała rodzina, wliczając w to psy, koty i złote rybki – dodał, ścierając im z twarzy wyraz ulgi. – A tak w ogóle, komu powinniście dziękować, że możecie szlajać się po ulicy? – Rozłożył szeroko ręce, jakby zachęcał ich do odpowiedzi.

– Panu? – bąknęła w końcu jedna z kobiet.

– Nie panu, tylko panom – wskazał stojących za nim murem chłopaków. – To my wypruwaliśmy sobie flaki jakichś lafirynd, żebyście mogli wyleźć ze swoich nor, a wy tak nam odpłacacie? Sygnały dymne wysyłacie panu obesraj-majorowi? Na widok samochodu opancerzonego lecicie jak ćmy do ognia, donosząc na nas, swoich dobroczyńców? – Zamilkł i pokręcił głową, jakby nie

mógł uwierzyć, że to zrobili. – Koniec z cackaniem się! Wujek Sprycha przestał was lubić. Nie umieliście docenić jego wysiłków, więc od teraz będziecie traktowani jak cała reszta tego zawszonego trupowiska. Zero pobjazania! Zero litości! – Ruszył znów wzdłuż szeregu, wyciągając za włosy co młodsze i ładniejsze kobiety. Wybrał ich w sumie siedem z trzynastu obecnych. – Przejdźcie na drugą stronę – polecił, wskazując zajezdnię.

Baby, jak to baby, zaczęły lamentować, ale nie zważał na to. Przywołani członkowie gangu szybko zawlekli je pod ogrodzenie, lecz nie poprowadzili dalej, ponieważ nie wiedzieli jeszcze, do czego to wszystko zmierza. Mieli tylko nadzieję, że szefowi, przynajmniej w kwestii bab, chodzi o to samo co im.

Fabian tymczasem kazał pozostałym lokatorom zewrzeć szereg i znów przeszedł tam i z powrotem, zatrzymując się kilkakrotnie przed różnymi osobami, jakby chciał im się dokładniej przyjrzeć. Jeden z mężczyzn, chudy okularnik, nie wytrzymał, padł jak podcięty po paru sekundach kontaktu wzrokowego, co setnie ubawiło członków gangu. W końcu Sprycha postanowił zakończyć tę komedię. Dokonał wyboru na samym początku, cała reszta była zwykłą pokazówką.

– Kogo masz w koszyczku, Czerwony Koszulku? – rzucił w twarz facetowi, który tak ochoczo ich zadenuncjował. – Wiesz, jak kończy się twoja bajka? Teraz zły wilk pójdzie do twojego domku i wpierdoli nie tylko babcię, ale i całą resztę rodziny, rozumiesz, kanalio? – Mężczyzna nie odpowiedział, zbladł za to jeszcze bardziej. – Ty! – Sprycha wskazał stojącą obok kobietę. – Mów, jak nazywa się ten śmieć i gdzie mieszka. – Gdy baba zaczęła coś bełkotać, kręcąc głową, pochylił się, tak że ich twarze dzieliło dosłownie kilka centymetrów. – Gadaj albo zmienię zdanie i twoja rodzina też znajdzie się w naszej bajce!

– On na... nazywa się Ga... Gawlik – wydukała przerażona kobieta. – Mieszka tu, po... pod dziewiętnastką. Mieszkanie nu... numer trzy. Na pie... pierwszym piętrze.

– Spierdalać! – ryknął, odsuwając się o krok, a gdy nie zareagowała, powtórzył jeszcze głośniejszym głosem: – Spierdalać do domów

i sprowadzić mi tu wszystkich, którzy jeszcze dychają! Tylko nie próbujcie kombinować, bo moi chłopcy przejdą się po mieszkaniach i rodzina każdego, kto się nie stawi, podzieli los tego tu, Czerwonego Koszulka. Za dziesięć minut widzę was tutaj! Wszystkich co do sztuki!

* * *

Zanim minął wyznaczony czas, Sprycha zasiadł na masce zdobycznego transportera plecami do kamienicy, w której mieszkała rodzina Gawlika, ale twarzą do tłumu potwornie wystraszonych lokatorów, których Cangaceiro do spółki z resztą gangu zagonił pod ogrodzenie zajezdni.

Gdy akcja dobiegła końca, Fabian zapytał:

– Kogo brakuje?

Wpatrzył się uważnie w blade twarze. Nie sądził, by któryś z tych pajaców zaryzykował niewykonanie polecenia, zwłaszcza że jasno powiedział, jakie będą tego konsekwencje, lecz i tak postanowił ich sprawdzić, mając w tym ukryty cel.

– Ten, kto wskaże mi nieobecnych, będzie miał zagwarantowaną nietykalność z naszej strony. Dla siebie i swojej rodziny. Więcej nawet, zostanie otoczony moją osobistą opieką. Każdy, kto mu podskoczy, skończy w piaskownicy. – Wskazał głową pobliski skwerek. – Ta oferta będzie ważna jeszcze tylko przez... – zawiesił głos, patrząc na zegarek – ...minutę.

Nie odrywał wzroku od wskazówki, która miarowo odmierzała kolejne sekundy. Siedemnastokamieniowy wostok milicjanta, z okolicznościowym grawerunkiem, dar od komendy za wzorową służbę, stał się jego ulubionym czasomierzem. Każde spojrzenie na cyferblat przypominało mu o tym, że zamiast dyndać na jadzi, jest królem tej betonowo-ceglanej dżungli, a co więcej, może zrobić, co tylko zechce. *Nie... nie wszystko, niestety*, uświadomił sobie ze smutkiem, i to jeszcze bardziej go wkurzyło. Okrutnie brakowało mu tych doznań, tych...

W czterdziestej szóstej sekundzie usłyszał nakładające się na siebie męskie głosy. Trudno było zrozumieć, co mówią, ale jednego był pewien: w ich wypowiedziach powtórzyło się to

samo nazwisko.

Oderwał spojrzenie od zegarka. Z tłumu wystąpili równocześnie dwaj faceci. Jeden po trzydziestce, jasne włosy, wysokie czoło, z charakterystyczną hiszpańską bródką, drugi bardzo młody, w sumie jeszcze dzieciak, ale nad wyraz wyrośnięty. Wojskowe spodnie i koszulkę musiał podebrać komuś z krewnych albo kupić na bazarze, ponieważ sam na pewno nie mógł jeszcze pójść w kamasze.

Ludzie patrzyli na nich spode łba, jak na zdrajców, którymi faktycznie byli.

– Jeszcze raz, ale po kolei – rzucił Sprycha, przyglądając im się uważnie. – Ty zacznasz! – wskazał starszego.

– Nie widzę wśród nas córki Kuchnowskich.

Fabian przeniósł wzrok na chłopaka.

– Baški nie ma – wymamrotał tamten.

– Mówicie o tej samej osobie? – doprecyzował Sprycha.

Przytaknęli zgodnie. Widzowie tego spektaklu gniewnie zaszemrali.

– Którzy to Kuchnowscy? – Potoczył wzrokiem po zbitej masie lokatorów, z której natychmiast wypchnięto parę po czterdziestce. Mężczyzna patrzył na Fabiana z wyraźną pogardą, splunął też za siebie, pod nogi sąsiadów, którzy tak ochoczo pozbyli się go ze swojego grona. Wyglądał na byłego oficera, który niemało w życiu widział i którego niełatwo zastraszyć. Może dlatego zdecydował się na ukrycie jedynej córki. Był na ulicy wśród tych, co wybiegli zatrzymać transporter. Jego żona nie wyglądała na aż tak charakterną. Sprysze wystarczyło skrzyżować z nią spojrzenia, by zaczęła ryczeć. – Zwiążcie ich i zabierzcie do Gawlików – rozkazał Sprycha, nie chcąc przedłużać tego przedstawienia. Miał jeszcze wiele roboty, a dnia ubywało. Przyjrzał się bacznie kapusiom. Chciał jednego, dostał aż dwóch. Korciło go, by rzucić im po nożu i dać chłopakom odrobinę rozrywki, ale nie, wynik tej walki zdawał się z góry przesądzony, poza tym bydło także czerpałoby radość z porażki donosiciela. *Niech zostaną obaj. Jak to mówią, co dwie pary oczu, to nie jedna.*

– Jak się nazywasz? – zapytał chłopaka.
– Daniel – odparł tamten.
– To imię czy nazwisko?
– Imię, panie szefie. Z domu Fiedczak jestem.
– Gdzie mieszkasz?
– Pod siedemnastką, na ostatnim piętrze. – Chłopak wskazał otwarte na oścież okna.

Fabian przeniósł wzrok na tego drugiego.

– A ty?

– Saternus, Tomasz. Z Krętej.

No proszę, pomyślał Sprycha. I jeszcze mieszkają na tyle daleko od siebie, że mogą kontrolować dwie różne części tej bandy.

– A ta cała Basia to gdzie mieszka?

Obaj wskazali bramę sąsiadującą z kamienicą Gawlików. Tę samą, w której mieszkał Fiedczak.

– Zarąb, Siata, idźcie z naszym młodym przyjacielem. Pokaże wam, do których drzwi trzeba zapukać. Tylko na jednej nodze i żeby mi była przytomna!

Obaj gangsterzy zgarnęli Daniela i ruszyli szybkim krokiem ku pobliskiej bramie. Kuchnowska, widząc to, padła na kolana, zaczęła bełkotać coś przez łyzy, ale Grzelak, który dopiero co związał jej ręce, szybko załatwił sprawę. Szybki cios w skroń posłał ją na bruk. Mąż, także już związany, warknął coś, czego Fabian nie zdołał dosłyszeć, lecz sądząc z reakcji Maruta, musiało to być coś bardzo obraźliwego, bo kopali go ze Złotową przez całą minutę, mimo że już po paru pierwszych uderzeniach przestał reagować.

Sprycha odczekał spokojnie, aż jego ludzie się wyżyją, po czym kazał im zanieść Kuchnowskich na górę i tam dopiero docucić. Saternus, stojący nieopodal miejsca, w którym katowano rodziców nieobecnej dziewczyny, spuścił głowę, ale nie cofnął się nawet o krok. *Będzie z niego dobry materiał na kapo, uznał z zadowoleniem Fabian.*

– Posłuchajcie mnie uważnie, pieprzeni zawszańcy – podniósł głos, by przekrzyczeć lamentujące wciąż baby. – I zapamiętajcie, ponieważ nie będę się powtarzał: ze Sprychą się nie zadziera.

Albo jesteście z nami, albo idziecie do piachu... – Zamilkł, uświadomiwszy sobie, że to przestało być takie proste. Pobliską piaskownicę wypełniały związane ciała ludzi, których kazał zabić, lecz nie mógł pozbawić życia, jakkolwiek paranoicznie by to brzmiało. – Kiedy powiem, że macie skakać, pytacie jedynie: „Jak wysoko, szefie?”. Zrozumiano? – Odczekał kilka sekund, a gdy odpowiedź nie nadeszła, ryknął: – Zrozumiano?!

– Tak! – Saternus dał innym przykład. Zawtórował mu cichy chór łamiących się głosów.

Fabian prychnął z odrazą. Zawsze miał się za kogoś lepszego, ale dopiero w więzieniu zdał sobie sprawę, na czym polega różnica między prawdziwymi ludźmi, czyli chłopakami z ferajny, a całą resztą robactwa zwanego społeczeństwem. To sprawiło, że do reszty wyzbył się wyrzutów sumienia. Zamierzał tych tu gnoić, jak tylko się da. Po części dlatego, że sobie na to zasłużyli, aczkolwiek znacznie ważniejszym powodem była chęć odreagowania stresu, który przeżył podczas jazdy BTR-em, gdy nic nie było pewne i sam miał pełno w gaciach.

– Panowie Fiedczak i Saternus od tej pory są nietykalni – oznajmił zebrany. – Jeśli jednemu albo drugiemu coś się stanie, każę wyrznąć całą kamienicę, w której mieszka sprawca. Calusieńką, nawet jeśli się okaże, że mieszka w niej połowa z was. Zrozumiano?

Tym razem lokatorzy odpowiedzieli dużo składniej i głośniej, niezachęceni przez nikogo. W większości pamiętali wojnę i choć przeżyli ją nie w tym mieście, z pewnością też dostali za swoje. Musieli się podporządkować okupantowi, by przetrwać lata okupacji, potem gięli karki pod nową władzą, która traktowała ich niewiele lepiej, a ledwie kilka lat po śmierci Stalina, kiedy życie stało się znośniejsze, wpadli w jeszcze większe gówno. Nie żałował ich, bo na nic lepszego jego zdaniem nie zasługiwali, stwierdzał tylko fakt.

Szczygło i Nerynk wracali właśnie, ciągnąc za włosy drobną szatynkę. Młodszy kapuś szedł za nimi lekko przygarbiony. Na widok słanych mu nienawistnych spojrzeń spuścił oczy, ale raczej nie wyglądał na szczególnie przejętego.

– Do nogi! – warknął Sprycha, przywołując Fiedczaka, a gdy chłopak stanął przed maską BTR-a, wyjaśnił mu, na czym będzie polegało następne zadanie. Dzieciak zbladł, ale kiwnął głową. – Skoro jesteście już w komplecie, pora zaczynać... – dodał szef gangu.

Rozsiadł się wygodnie. Wyjął z kieszeni zabrane na tę wyprawę jabłko i odgryzłszy kawałek, zagał:

– Drodzy sąsiedzi. Nie ma już teatru, kina, radia ani tej piekielnej nowinki, telewizji, pozwólcie więc, że zastąpię te media staropolską klechdą. Będzie to mrożąca krew w żyłach opowieść o Czerwonym Koszulku. Był sobie raz wilk o imieniu Fabian, może niezbyt wielki, ale za to bardzo żarłoczny. Któregoś dnia, gdy wracał do swojej watahy, zobaczył przed sobą na ścieżce mężczyznę w czerwonej koszulce. Ha, pomyślał, dzisiaj się najem, jednakże kiedy podszedł bliżej, mężczyzna wyjął z kieszeni gwizdek i powiedział do niego tak: ty mi tu niczego nie próbuj, bo jak tylko gwizdnę, to zbiegną się wszyscy myśliwi, a oni mają takie fajne czapeczki i fuzje, którymi raz-dwa przerobią cię na sito. Wilk Fabian struchlał, bo to była najczystsza prawda. Myśliwi, przywoływani piszczeniem gwizdka, pojawiali się znikąd i faszrowali biedne drapieżniki łoświem. Następnego dnia jednak, gdy znów ruszał na polowanie, zobaczył na ścieżce owe fikuśne czapeczki, o których wspominał napotkany wieczorem człowiek. Złapał trop, poszedł za nim i co się okazało? Wszyscy myśliwi czmychnęli z lasu, porzucając w panice nie tylko nakrycia głowy, ale też strzelby. Wtedy jeszcze nie wiedział, co ich tak wystraszyło, ale pomyślał: ciekawe, co teraz powie Czerwony Koszulek? Zrezygnował z polowania na łosie i zasadził się przy ścieżce, którą zazwyczaj chodził śmiałek. Czekał i czekał. Gdy zaczęło mu burczeć w brzuchu, patrzy, a tu spomiędzy drzew wynurza się... – Sprycha zamilkł, spoglądając znacząco na Fiedczaka.

Chłopak nie od razu zaskoczył, ale nie trzeba było go napominać. Zadarł pośpiesznie głowę, przełknął ślinę i wymamrotał:

– Ta ma na imię Joanna.

– ...wynurza się Joanna, córka Czerwonego Koszulka. Mimo że gwizdała jak szalona, rozszarpał ją i zjadł, ponieważ wiedział, że zadni myśliwi nie przyjdą jej w sukurs – dokończył Fabian, po czym wgrzył się ponownie w jabłko. Nie musiał zerkać przez ramię, by wiedzieć, w którym momencie Cangaceiro wypchnął z okna najstarszą córkę Gawlików. Reakcja tłumu zgromadzonego pod płótem była więcej niż wymowna, a kręciła go znacznie bardziej niż gapienie się na powieszoną dziewczynę, której i tak nie mógł tknąć... Zaciśnął zęby, żeby nad sobą zapanować. Na jego szczęście lokatorzy byli tak wstrząśnięci wykonywaną na ich sąsiadach egzekucją, że nie mieli szans zauważyć drobnego przecież potknięcia. – Wilk zasmucił się wielce, ponieważ zrozumiał, że popełnił błąd. Dziewczyna okazała się smakowitym kąskiem, ale z pewnością miała rodzinę, być może nawet liczną. – W tym momencie Fabian uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, ile dzieci napłodziła jego obecna ofiara. Mógł tylko mieć nadzieję, że na jednym się nie skończyło. – Próbował iść tropem dziewczęcia do miasta, lecz tam było tyle obcych woni, że szybko się pogubił i jak niepyszny wrócił w ostępy. Jak znaleźć Czerwonego Koszulka, zastanawiał się do końca dnia, wściekły i głodny, a że łeb miał nie od parady, wreszcie wymyślił, co trzeba zrobić. Popędził w miejsce, gdzie leżały porzucone czapeczki myśliwych. Założył jedną, przez ramię przewiesił fuzję i tak przebrany pomaszerował do miasta. Wystarczyła chwila, a zobaczył, jak z pobliskiego domu wybiega Czerwony Koszulek, by poskarżyć się myśliwemu, że jego córeczka nie wróciła z lasu. Tu cię mam, ucieszył się wilk Fabian, ale wiatr akurat zawiął, zdarł mu z głowy czapeczkę, przez co ofiara za szybko się zorientowała, z kim naprawdę ma do czynienia. Czerwony Koszulek czmychnął do domu, ale wilk był tuż za nim i zaraz za progiem pochwycił... Damiana – sprawnie wplótł w narrację kolejne wypowiedziane przez Fiedczaka imię. – Pożarł go na miejscu, bo był już strasznie głodny. W okamgnieniu poradził sobie z młodzieńcem i już pędzi dalej. Wpada do izby, a tam siedzi... Jagoda. Dlaczego masz takie wielkie oczy, pyta ją zdziwiony. Bo wyglądasz tak, jakbyś chciał

mnie zjeść, odpowiada przerażona dziewczynka. Nie w ciemności, pomyślał, połykając ją w jednym kawałku, bo znany był z tego, że pozjadał wszystkie rozumy. Właśnie się oblizywał, gdy ktoś otworzył drzwi w głębi. Patrzy, a w progu pojawia się... Amanda. Dlaczego masz takie wielkie uszy, pyta ją. Zrobiły się takie duże, kiedy usłyszałam, że ktoś chce zjeść moją starszą siostrę, usłyszałam w odpowiedzi. Capnęła ją więc i też szybko przeżuł, bo to tylko dzieci były, a kto by się najadł dziećmi. Zanim schrupał co większe kości, z sąsiedniej izby wyszła... Kasia. – *Nieźle trafiłem*, ucieszył się Sprycha, robiąc przerwę w opowieści, by odgryźć kolejny kęs soczystego owocu. Wiedział, jak ma na imię żona Gawlika, bo o to przezornie zapytał, chcąc skończyć bajkę w odpowiednim momencie. – Ją schrupał bez pytania, bo znudziło go to całe gadanie. Znajdował tylko przystawki i przekąski, w dodatku coraz mniejsze, a łaknął przecież głównego dania. Zagląda więc do sąsiedniej izby, a tam na łóżku siedzi i czyta książkę... Nataniel. – Lokatorzy zaciskali powieki i raz po raz zegnali się znakiem krzyża. Domyślił się z tego, że Magdziarek powiesił właśnie jakiegoś smarka, co oznaczało, że lada chwila będzie mógł zakończyć tę wyliczankę. – Marny kąsek, jak sami widzicie. Co najwyżej na jeden ząb takiego okazałego wilka. Popatrzył uważniej... – zawiesił głos, jakby miał przejść do najciekawszej części opowiadanej bajki – i widzi, że pod kołderką ktoś się chowa. Odrzuca ją więc i cap, łapie... Sambora. – Obiecał sobie, że nie spojrzy na wieszane w trakcie egzekucji dzieci, ale powoli zaczynało go korcić. – Przełknął go więc w całości i dalej grzebie w pościeli, ponieważ węch mu podpowiada, że to nie koniec. I co w końcu znajduje między podusiami? Tak, nie mylicie się, Jasminkę. – Kobiety kłękały pod płotem, mężczyźni odwracali głowy. *Dobrze, bardzo dobrze*. – Ileż jeszcze dzieci mógł narobić ktoś taki jak Czerwony Koszulek, zdumiał się szczerze wciąż głodny wilk Fabian.

– To ostatnie było – bąknął usłużnie Fiedczak.

Sprycha cisnął ogryzek za plecy, żeby mieć wolne ręce.

– Już miał się rzucić do przeszukiwania reszty wielkiej chałupy, ale słyszy, że ktoś do drzwi wejściowych stuka. Ani chybi goście.

Ciekawiście na pewno, kto wpadł z wizytą. Toż to państwo Kuchnowscy, którzy chowali córeczkę przed kawalerami, aby mogła oddać rękę pięknemu księciuniowi! – Umówili się, że po dzieciach Gawlika załatwią parę cwaniaczków, co też się stało, oczywiście na oczach sprowadzonej Baśki, którą Grzelak tak przytrzymał, by wszystko widziała. – Może byli trochę łykowaci i słoni, jak to miastowi, ale pierwszy głód został wreszcie zaspokojony i wilk Fabian mógł już bez pośpiechu zacząć przeglądać chałupę. Zajrzał do szafy, potem na stryżek i do spiżarni. Tam właśnie, między modnymi sukienkami, ukryła się... pani Oliwia. Nie zjadaj mnie, błagała, ale na wilczy apetyt nie ma mocnych. Poza tym wilk Fabian miał złote serce, nie chciał pozwolić żyć matce, która straciła wszystkie dzieci. Mlasku, mlasku i już było po żonie Czerwonego Koszulka. Ale gdzie on sam się ukrywa? Oto tajemnica. Strapiony wilk nie umie go wywęszyc, bo w chałupie wszędzie czuć tym draniem. Zagląda więc do drewnutni: pusto. Patrzy do chlewika, tam też nikogo nie ma. Już miał sobie pójść, ale słyszy dziwny chrobot w wychodku. Tu cię mam, pomyślał. I rzeczywiście. Czerwony Koszulek w sławojce się chował, licząc, że smród jego własnego gówna zmyli węch mądrego wilka. Tak się jednak nie stało, a wiecie dlaczego? Powiem wam: bo życie to nie bajka i z silniejszym nigdy nie wygrasz. Koniec.

Sprycha zeskoczył z maski transportera, dając chłopakom znak, by rozegnali hołotę. Nie minęła minuta, a ulica na powrót była pusta. Teraz Fabian mógł się w spokoju przyjrzeć swojemu najnowszemu dziełu. Z siedmiu okien kremowej kamienicy zwisali zakneblowani i porządnie związani Gawlikowie oraz ich krnąbrni sąsiedzi. Raz jeszcze zdumiała go liczebność rodziny wicherzyciela. Uznał jednak, że dokonał właściwego wyboru. Robactwo dostało nauczkę, której tak szybko nie zapomni.

– Szef to ma gadane – pochwalił go Janiczek. – Szkoda tylko, że wcześniej nie wiedziałem, mógłbym coś podpalić, wie szef, dla osiągnięcia lepszego efektu dramatycznego.

– Następnym razem dam ci znać z odpowiednim wyprzedzeniem – obiecał Sprycha.



– To planuje szef powtórkę? – zainteresował się Perek.

– Czemu nie. Spodobało mi się opowiadanie ludziom bajek. Teraz, kiedy nie ma kina, telewizji ani radia, trudno o dobrą rozrywkę, a bracia Grimm to prawdziwa rzeźnia. Nawet bez zbyt wielu przeróbek. – Fabian spojrzał na wychodzących z bramy chłopaków. Cangaceiro wyglądał na wniebowziętego, pozostali też nie byli smutni. Każdy coś niósł.

– Sporą chałupę miał drań – rzucił w ich kierunku.

– A gdzie tam – zaśmiał się rozbawiony tą uwagą Szczygło. – Musieliśmy wyłamać drzwi do mieszkania obok, żeby wszystko wyglądało jak trzeba – wyjaśnił. – Tylko trzy okna po prawej należały do nory dzieciaroba. W dwu izbach się gnieździli, normalnie jak wszy na głowie Lenina. Ciśniej tam mieli niż my pod celą. Na szczęście sąsiedzi dali wcześniej nogę.

– Wychodzi na to, że wyświadczyliśmy mu przysługę – mruknął zniesmaczony Sprycha.

– Szefie, niech szef zobaczy, co znalazłem w tym drugim mieszkaniu! – Nerynk przepchnął się między pozostałymi, by pokazać niewielki aparat fotograficzny. – Najprawdziwsza zorka 4, szefie. Dokładnie taka jak moja.

– Gratuluję – mruknął Fabian, który zdążył już przejść w myślach do planowania kolejnego kroku.

– Dziękuję. – Rozanielony Siata nie zwrócił uwagi na lekceważący ton. – Wie szef co, tak sobie pomyślałem, że moglibyśmy uwiecznić to wydarzenie. Tyle się ostatnio dzieje, a zdjęcia to przecież jedyne świadectwo czasów, bo ludzka pamięć bywa jednak zawodna. Warto by coś pstryknąć dla potomnych.

– Dobra myśl – podchwycił Perek.

Reszcie także pomysł przypadł do gustu, a i Fabian po chwili zastanowienia uznał, że warto uwiecznić taki moment.

– W takim razie pstrykaj – rzucił. – Byle szybko, bo to jeszcze nie koniec szczęśliwego dnia.

Skrzyknęli się, ogarnęli, zawołali nawet siedzącego w odległej stróżówce Morawca, żeby znaleźć się na zdjęciu w komplecie. Siata ustawił aparat na trójnogu pod samym płótem, chcąc złapać jak najszerszą perspektywę, włączył samowyzwalacz, po czym szybko dołączył do reszty. Na pierwszym planie widnieli w szeregu wszyscy członkowie gangu. Za plecami mieli zdobyczny transporter – Jakuza podjechał ciężką maszyną kilka metrów do przodu, by kompozycja była bardziej symetryczna. Za tło robiła kamienica i wiszące z jej okien, podrygujące nieustannie, żywe trupy.

– Dobra, panowie – rzucił Fabian, gdy rozległo się charakterystyczne pstryknięcie. – Czas na obiadek, a potem bierzemy się do roboty.

– Do jakiej roboty? – zdziwił się Zgorzelski.

– Znalazłem dla nas ekstra melinę – odparł Fabian, zacierając rękę.

niedziela, 11 sierpnia 1963, godzina 15:12
Miejski Ogród Zoologiczny przy ulicy Wróblewskiego 1-5

– Wiadomość od to... pa... od majora! – zameldował goniec, lekko gubiąc się w nowej nomenklaturze.

Nizner odebrał od niego złożoną we czworo kartkę, zasalutował, ale na wiadomość zerknął dopiero wtedy, gdy młody szeregowiec opuścił namiot, rozbity na otoczonym solidnym ogrodzeniem wybiegu należącym wcześniej do jakichś stepowych trawozerców.

– Tak! – rzucił z satysfakcją, zaciskając lewą dłoń w pięść.

Biedrzycki zastanawiał się krócej i dał zgodę na więcej, niż można się było spodziewać. Z treści rozkazu wynikało, że podporucznik może wypłynąć choćby dzisiaj, byle wrócił przed zmrokiem i cały czas pozostawał w kontakcie radiowym. Szybkie zerknięcie na zegarek uświadomiło Sławkowi, że zdąży wykonać misję, i to na długo przed zmierzchem, nawet gdyby wystąpiły nieprzewidziane komplikacje.

Pewien otrzymania zgody, już po pierwszym spotkaniu z Biedrzyckim kazał żołnierzom przygotować jedną ze zdobytych w sobotę motorówek. Przeniesiono na nią zapakowaną szczelnie radiostację, kilka kartonów z racjami żywnościowymi, środki opatrunkowe. Wystarczyło więc zebrać załogę i ruszać w rejs.

Wyszedł z namiotu na palące słońce, wiedząc, kogo powinien zabrać.

– Macie ochotę na spacer po mieście? – zagadnął wylegującego się na trawie i żującego leniwie źdźbło trawy Maweta.

– Spierdalajcie, dobry człowieku – odwarknął zomowiec, nawet nie otwierając oczu.

Krew burzyła mu się w żyłach na samo wspomnienie niedawnej przeprawy z Brochowa pod komendę, a potem z centrum miasta

do zoo. To, że przeżył, pokonując w pojedynkę te kilkanaście kilometrów, zawdzięczał wyłącznie cudowi, nie zamierzał więc kusić ponownie losu, ponieważ cuda, jak wiedział, nie zdarzają się zbyt często.

– Poważnie mówię.

– Ja też.

– Dobrze, może niezbyt fortunnie się wyraziłem. – Nizner, do którego dotarło w końcu, dlaczego porucznik odmawia, nie odpuszczał. – Otrzymałem zezwolenie na wypad do pierdła, tego na Klęczkowskiej. To przy samej rzece, będziemy mieli tylko kilkadziesiąt metrów do pokonania piechotą, a na miejscu przydałby mi się ktoś z resortu, wiecie, dla lepszego rozeznania w sytuacji na miejscu.

– Chcecie dopłynąć tam Odrą? – uściślił porucznik, unosząc powieki.

Propozycja stawała się z każdym słowem bardziej interesująca. Więzienie, którym – kto wie – może da się zarządzać. To byłby powrót do korzeni. ZOMO, u licha, to nie ciotowate wojsko z poboru, tylko elita elit służb mundurowych. *Zbrojne ramię par... cywilizacji*, poprawił się w myślach. Kto, jak nie on, pasowałby na naczelnika zakładu karnego w nowych czasach?

– Dokładniej mówiąc, kanałem przeciwpowodziowym – wyjaśnił podporucznik.

– To zmienia postać rzeczy. Kiedy wypływamy?

– Za dziesięć minut. Z przystani przy moście Zwierzynieckim.

– Ilu nas będzie?

– Czterech.

– Świetnie.

* * *

Do załogi dokooptowali jeszcze Radtkego z łączności i Mirka Bojczewskiego, jednego z asystentów doktora – oficjalnie, żeby mieć na pokładzie kogoś z większym doświadczeniem medycznym, na wypadek gdyby sytuacja za murem okazała się bardziej tragiczna, niż zakładali, tak naprawdę zaś, by Arendzikowski zyskał jak najpełniejsze rozeznanie przed

kolejnym starciem z Biedrzyckim.

Pogoda była idealna na taki rejs: słońce prażyło, wiał lekki wietrzyk od wschodu, a wały po obu stronach koryta rzeki świeciły pustkami. Gdyby nie odgłosy nieustającej palby – tym głośniejsze, że przepływali zaledwie kilkaset metrów od skraju pacyfikowanych terenów – można by uznać, że to najzwyczajsza letnia niedziela w sennym mieście.

Cała czwórka oczywiście zdawała sobie sprawę, że to tylko pozory. Mijali tereny, na których nie powinno być wielu ludzi, co jednak nie znaczyło, że żadnych nie spotkają. Zarówno żywych, jak i nieumarłych. Mieszkańcy tych okolic po wybuchu piątkowej paniki z pewnością szukali schronienia w najrozmaitszych miejscach, Nizner nie mógł więc wykluczyć, że trafią po drodze na grupki zdesperowanych uciekinierów lub – jeśli będą mieli prawdziwego pecha – na tych, którym nie udało się uciec przed przeznaczeniem i którzy skończyli jako odmieńcy.

Był jednak dobrej myśli. Na lewym brzegu, za leżącym tuż za izolatorium cmentarzem Świętego Wawrzyńca, rozciągały się całe hektary pracowniczych ogródków działkowych, dobrze ogrodzonych, dzień i noc zamkniętych na klucz, zatem równie cichych i spokojnych jak sąsiadująca z nimi nekropolia. Na prawym brzegu też było ich trochę – choć na pewno mniej niż na Ołbinie – za nimi zaś znajdowało się spore osiedle domków jednorodzinnych oraz kilka podrzędnych obiektów sportowych. Nie bez powodu nazwano ten akurat zakątek miasta Zaciszem.

– Wiecie, tak się zastanawiam – zagadnął w pewnym momencie Mawet, rzucając te słowa w przestrzeń, do wszystkich i do nikogo zarazem – czy ta zaraza dotyka tylko tych, którzy umierają na bieżąco.

– Co macie na myśli, bo chyba nie do końca rozumiem? – Siedzący przy robiącej za ster kierownicy Nizner nie odwrócił się nawet.

– Tu po lewej – porucznik wskazał majestatyczne korony drzew – mamy cmentarz, jeśli dobrze kojarzę. Nurtuje mnie, czy pochowani ludzie też ożywają, jak te łajzy z izolatoriów.

– Wolałbym tego nie sprawdzać – wzdrygnął się siedzący obok

niego Radtke.

– Ciekawe spostrzeżenie. – Bojczewski widział problem z zupełnie innej perspektywy niż radiotelegrafista. – Jak dotąd nie pochyliliśmy się nad tą kwestią. Będę musiał wspomnieć o pańskich przemyśleniach doktorowi.

– Co w nich takiego ciekawego? – zainteresował się Nizner.

– Na przykład to, że zwłoki, jeśli ożywają, zaczną za jakiś czas wyłazić z mogił.

– Faktycznie – przytaknął zaskoczony podporucznik, któremu nawet do głowy nie przyszło, że istnieje też takie zagrożenie.

– Nie, to niemożliwe – obruszył się Radtke, zerkając bojaźliwie w kierunku niewidocznego z poziomu wody cmentarza. – To przecież same szkielety. Kości pozbawione ciała.

– Te cholery się regenerują, nie pamiętacie? – skontrował Mawet, rozbawiony zabobonnym lękiem sierżanta.

– Niby tak, ale potrzebują do tego kontaktu z kimś żywym – przypomniał mu Nizner.

– A mało to życia w ziemi? – wtrącił nieobecny tonem Bojczewski. – Robactwo, krety, gryznie nawet.

Zamilkli, rozważając każdy po swojemu, jakież to implikacje mogą dla nich wynikać z niespodziewanej teorii zomowca.

Podporucznik pierwszy otrząsnął się z rozmyślań.

– Trzeba będzie o tym pamiętać, żebyśmy się kiedyś nie zdziwili – podsumował. – W ciągu ostatnich kilkuset lat pochowano w tym mieście więcej ludzi, niż ich tu teraz mieszka. Mieszkało – poprawił się natychmiast.

– Nie mówiąc o tym, ilu spoczywa w nieoznakowanych grobach – dodał Mawet.

– Festung Breslau... – mruknął pod nosem Bojczewski.

– Boże drogi, a ja już myślałem, że idzie ku lepszemu – wymamrotał blady jak kreda radiotelegrafista.

– Bo idzie. – Zomowiec poklepał go po ramieniu. – Tylko powoli i nie dla każdego. Ale damy radę, zobaczycie.

– Przeżyjemy – poparł go Nizner – tylko co to będzie za życie?

– Gówniane, bez dwóch zdań – pokiwał głową Mawet. – Ale... skoro Bóg jednak istnieje, może jest dla nas nadzieja?

Tą konstatacją zaskoczył wszystkich.

– Wy wierzący jesteście? – zapytał lekarz, nie kryjąc zdziwienia.

– Sam już nie wiem, co ja jestem – wyznał porucznik. – Do piątku byłem zatwardziałym marksistą-leninistą, człowiekiem twardo stąpającym po ziemi, ale... – Zamilkł na moment. – Jak inaczej wytłumaczyć to, że ludzie nie umierają, oczywiście w dawnym rozumieniu tego słowa, nawet po tym, jak im urwać łeb? Albo ta regeneracja. Na własne oczy widziałem, jak bebechy wciągały się do rozplatanego brzucha. Jelita wiły się jak oślizgłe węże, wracając na swoje miejsce. – Sam też się wzdrygnął. – To przekracza ludzkie pojęcie!

– Racja – zgodził się z nim Bojczewski. – Niemniej to jeszcze nie znaczy, że mamy do czynienia z siłą wyższą.

– A jaką? Niższą? – zakpił Mawet.

– To po prostu aspekt natury, z którym nie zetknęliśmy się nigdy wcześniej. Stoimy w obliczu czegoś niepojętego, zgoła fantastycznego, to prawda. Być może jednak po prostu nie dorośliśmy do odpowiedzi.

– Znacie jeszcze jakieś odpowiedzi, do których nie dorośliśmy? – obruszył się porucznik.

– Owszem. Weźmy ten prosty dylemat: wszechświat jest skończony czy nieskończony? Jeśli to pierwsze, co jest poza jego granicami? Jeśli drugie, jak to w ogóle możliwe?

Widać było po minie Maweta, że próbuje ogarnąć nowe dla niego zagadnienie, jednakże tak samo jak zdecydowana większość ludzi szybko się poddał. Nizner również, choć po nieco dłuższej chwili, co do Radtkego zaś – chyba nawet nie próbował podejmować tej walki.

– Ten wasz wszechświat też można by podciągnąć pod działanie siły wyższej – stwierdził w końcu zomowiec.

– Naprawdę? Uważacie, że jakiś byt astralny stworzył to wszystko, cały wszechświat, żeby na jednej jedynej planecie eksperymentować z czymś tak niedoskonałym jak człowiek?

– Kto tam zrozumie Boga? – zbył go Mawet.

– Kto tam zrozumie Einsteina? – Lekarz nie odpuszczał. – Nie prościej przyznać, że prawie nic nie wiemy o otaczającym nas

świecie? Ziemia to tylko jedna z miliardów podobnych jej planet, jakie muszą istnieć w tym mrowiu galaktyk, które wypełniają znany nam wszechświat. Naprawdę uważacie, że ktoś rozumny stworzyłby ją po to, by w jednej pieczarze, powiedzmy, gdzieś na zadupiu Mongolii, mogła załęgnąć się jakaś pieprzona bakteria? Co ja mówię, nawet to porównanie nie oddaje skali problemu! Te proporcje byłyby chyba bliższe prawdy, gdyby wziąć pod uwagę rozmiary bakterii w stosunku do całej Drogi Mlecznej.

– Pięknych czasów dożyliśmy – zaśmiał się Nizner. – Zatwardziały ateista i laik przekonuje naukowca do istnienia Boga.

– Ja nikogo do niczego nie przekonuję – burknął urażony Mawet. – Podobno w Biblii zostało to opisane.

– Co?

– No... to wszystko! – Porucznik rozłożył ręce. – Te zombie i tak dalej.

– Poważnie? – Radtke zaniepokoił się jeszcze bardziej.

– Tak ludzie mówią. Nie czytałem wprawdzie, ale słyszałem, jak żołnierze rozmawiali przy śniadaniu na ten temat. Ponoć zostało przepowiedziane, że umarli powstaną i wyjdą z grobów. Dlatego zacząłem się nad tym zastanawiać.

– Boże! – jęknął zde gustowany Bojczewski, zasłaniając oczy otwartą dłonią.

To było chyba najcelniejsze podsumowanie tej rozmowy. Na ripostę zomowca zabrakło czasu, gdyż motorówka dotarła właśnie do rozwidlenia i Nizner zmniejszył obroty śruby, aby mogli przybić do brzegu.

Przed dziobem wznosiły się wysokie na kilka metrów, smolście czarne, stalowe wrota zamkniętej śluzy. Podporucznik wybrał prawy brzeg, uznając, że przycumowanie motorówki do cypelka kończącego wyspę będzie bezpieczniejszym rozwiązaniem aniżeli zostawianie jej po stronie ogródków działkowych. Choć w polu widzenia nie mieli ani jednego nieumarłego, to jednak Biedrzycki kazał im zachować najwyższą ostrożność, a i rozum podpowiadał, by nie ryzykować tam, gdzie nie jest to absolutnie konieczne.

Radtke został na pokładzie. Jego zadaniem było nawiązanie łączności z centrum dowodzenia w zoo oraz obserwacja przeciwległego brzegu. Pozostała trójka wspięła się na szczyt wału przy samej śluzie, tam Nizner ostrożnie zlustrował teren, zanim pozwolił reszcie wyjść na otwartą przestrzeń. W oddali, przy najbliższym moście, dostrzegł kilka charakterystycznie się kołyszących ludzkich sylwetek, na szczęście odmieńcy znajdowali się za daleko, by mogli stanowić zagrożenie, nawet gdyby z jakiegoś powodu ruszyli w tym akurat kierunku.

– Tam jest mechanizm ręcznego otwierania! – Podporucznik wskazał wielkie pokrętło.

Zostawili Bojczewskiego na czatach od strony bramy prowadzącej na teren ogródków działkowych, sami zaś przecięli nożycami do metalu grubą kłódkę, po czym chwycili we dwóch z Mawetem za rozgrzane słońcem koło. Dobrze zakonserwowany mechanizm przekładni poddał się niemal od razu, lecz że wrota były ogromne, musieli w tę robotę włożyć dużo siły. Na szczęście napór wody pomagał im, dzięki czemu już po kilku minutach mogli wyprostować plecy. Nie otworzyli wrót na oścież, ale ponad dwumetrowy prześwit w zupełności wystarczył, by motorówka mogła wpłynąć na kanał przeciwpowodziowy. Poziom wody po obu stronach nie różnił się wiele – zadaniem tego przekopu było odbieranie części wody przy bardzo wysokich stanach rzeki, a obecny, przy takich upałach, nie przekraczał od dawna normy, wręcz przeciwnie, wydawał się niższy niż zazwyczaj – tak więc już po dziesięciu minutach mogli popłynąć dalej.

Teraz poruszali się wolniej, utrzymując motorówkę na środku liczącego niespełna czterdzieści metrów szerokości koryta. W pobliżu mostu Warszawskiego dotarli dwie minuty później, tam jeszcze bardziej zwolnili, by zorientować się w sytuacji.

– Tu powinien być jeden z naszych posterunków... – przypomniał sobie Mawet.

Nie spuszczał oka z grupki nieumarłych, którzy nie wiadomo czemu wpadli do wody i tkwili teraz przy samym moście, na brzegu kanału, stojąc po kolana albo nawet po pas w mętnej,

szarej wodzie. Żaden z nich, a było ich kilkunastu, nie zwrócił najmniejszej uwagi na przepływającą obok motorówkę, za to jej pasażerowie z ciekawością wpatrywali się w dwie umundurowane postacie, których obecność w tym miejscu zdawała się sugerować, że wspomniany przez zomowca punkt kontrolny nie zdołał przetrwać tragicznych wydarzeń piątkowej nocy.

Biedrzycki kazał im sprawdzić to miejsce, na razie jednak nie widzieli szans na dobiecie do brzegu. Wymagałoby to zbliżenia się do co najmniej kilku nieumarłych, a więc i podjęcia walki z nimi, co w tych warunkach mogłoby być trudne. Radtke i Bojczewski nie brali do tej pory udziału w żadnej akcji na pierwszej linii, zatem ciężko było przewidzieć, jak się zachowają w razie realnego zagrożenia. Poza tym to miał być tylko zwiad, major zabronił im ryzykować. Wpłynęli pod betonowe przesłone mostu i już po chwili lustrowali uważnie oba brzegi po drugiej stronie.

Na lewym nie było ani jednego zombie; teren należał do jakichś zakładów i został ogrodzony, nadto nabrzeże na tym odcinku miało aż dwa poziomy. Niższy, wybrukowany kamieniami, ciągnął się pomiędzy mostem drogowym a kolejowym tuż nad poziomem wody. Tworzące go podcienia zadane zostały betonowym stropem podtrzymywanym na legarach wspartych licznymi ceglanyimi filarami. Wyżej znajdował się jakiś plac, na którym składowano stare skrzynie i beczki.

– Człowiek! – wrzasnął nagle Mawet, wskazując palcem na jedną z przym. – Żywy! Tam!

Nizner, którego w tym momencie bardziej interesował drugi brzeg, odwrócił się tak raptownie, że bezwiednie zakręcił kierownicą. Wkrótce już wszyscy czterej wpatrywali się w stos skrzyń, na którego szczycie przycupnął mężczyzna w szarych spodniach i wyglądającej bardzo czysto białej koszuli.

– Hej tam, na brzegu! – zawołał podporucznik, po tym jak ponownie ustabilizował kurs. – Nie bój się! Jesteśmy od generała Biedrzyckiego!

Nieznamy zamarł, jakby uważał, że pozostając w bezruchu, stanie się niewidzialny.

– Jak się nazywasz, przyjacielu? – zagaił Bojczewski.
– Co wam do tego? – odburknął cywil.
– Nic – zapewnił go lekarz. – Przez grzeczność pytam. Nic do ciebie nie mamy. Porozmawiać chcemy.

Facet ze szczytu pryzmy nawet nie drgnął. Nadal przyglądał im się z góry z taką miną, jakby byli żywymi trupami, tylko gadającymi.

– Jesteś głodny? – Nizner postanowił podejść eleganta z innej strony. Głowy by nie dał, ale był prawie pewien, że tamten przełknął nerwowo ślinę na wzmiankę o jedzeniu. Nagle coś go tknęło. – Zombie tam cię zapędziły? Są na placu?

Mężczyzna, ku jego zaskoczeniu, pokręcił głową.

– Nie.

– Więc możesz zejść?

– No niby mogę.

– Mamy racje żywnościowe. Dobre wojskowe żarcie. Podzielimy się nimi z tobą, przyjacielu... w zamian za parę informacji – dodał szybko.

Biedrzycki kazał przeprowadzić zwiad, a kto jak nie miejscowy nadawał się do pociągnięcia za język.

– Ale ja nic nie wiem – padła błyskawiczna odpowiedź.

Elegant wyglądał na spłoszonego, a nawet wystraszonego.

– Mieszkaś tutaj? – kontynuował podporucznik.

– Tutaj?

– No nie na tym placu, tylko w tej okolicy.

– Tak.

– Wiesz może, co się stało z naszymi ludźmi, którzy strzegli mostu?

Mężczyzna zerknął w kierunku przeprawy.

– Horda na nich poszła w sobotę z samego rana. Ze trzy tysiące bestii...

– Jak to: poszła? – zdziwił się Mawet, wpadając mu w słowo. – Przecież nieumarli nie łążą po mieście jak my.

Mówiąc te słowa, przypomniał sobie, co zaszło przed katedrą.

– Normalnie. Ludzie uciekali z dworca, najpierw po torach, potem ulicą, a te potwory przylazły za nimi.

– Z dworca... – mruknął zomowiec. *Tego należało się spodziewać po akcji na Brochowie.*

Dla pozostałych członków załogi także było to logiczne i sensowne wytłumaczenie. Z taką masą nieumarłych nie poradziłaby sobie dobrze wyposażona kompania, a na tę pozycję wysłano co najwyżej pluton, i to pewnie w okrojonym stanie osobowym.

– Nie będziesz miał nic przeciw, przyjacielu, jeśli wejdę tam do ciebie? – zapytał Nizner, wskazując palcem słup, na który można było się wspiąć. – Znaczy na plac. Nie zbliżę się do ciebie bez twojej zgody. Wdrapię się na inną pryzmę. Chcę tylko zobaczyć na własne oczy, jak wygląda sytuacja przy moście. Przy okazji przyniosę ci jedzenie! – obiecał, wskazując stos szarych kartonów. – Bez obaw, tylko ja wejdę na górę, a broń zostawię w motorówce. – Mówiąc, odpiął pas z kaburą i podał go zomowcowi.

– Dobra – zgodził się elegant po kilku sekundach, jakby musiał przemyśleć tę propozycję.

Jego zachowanie wydawało im się trochę dziwne, rozumieli jednak, że cywile, którzy zupełnie niespodziewanie zostali zmuszeni do walki o życie z czymś tak niezrozumiałym jak żywe trupy, mieli pełne prawo popaść w lekką paranoję. Znany wszystkim ład społeczny rozpadł się w ciągu zaledwie paru godzin, a zastąpiło go prawo silniejszego w najczystszej postaci.

Kto wie, co przeżył ten człowiek i kogo stracił, zanim dotarł do względnie bezpiecznej kryjówki, do której teraz chciał wtargnąć Nizner. Niewykluczone, że padł ofiarą uzbrojonych maruderów, co mogłoby tłumaczyć jego brak zaufania do służb mundurowych.

Podporucznik poprosił Maweta o nóż, pośpiesznie otworzył nim jeden z kartonów i napchał za pazuchę zapakowanych szczelnie racji.

– Jak tylko zejdem na brzeg, moi koledzy wrócą na środek kanału. Nic ci z naszej strony nie grozi...

– Słyszysz tę kanonadę? – wpadł mu w słowo Bojczewski. – Nasi chłopcy rozpoczęli właśnie akcję oczyszczania Wielkiej Wyspy,

żeby stworzyć na niej bezpieczną strefę dla ocalałej ludności cywilnej.

– Naprawdę nie musisz się nas obawiać, cokolwiek cię do tej pory spotkało – zapewnił go Nizner, skacząc na brzeg, zanim motorówka zdążyła przybić, tak aby zniknęła z oczu wystraszonego mężczyzny na jak najkrócej.

Mawet przejął ster. Silnik zamruczał łagodnie, gdy śruba zaczęła się obracać w przeciwnym kierunku, ściągając niewielką jednostkę na środek nurtu. Nizner w tym czasie wspiął się zwinnie na słup i po dotarciu nad poziom siatki zeskoczył na betonową nawierzchnię.

– Tu ci zostawię żarcie – poinformował cywila, układając hermetycznie zapakowane paczki na ziemi. – A wejść, jeśli pozwolisz, tam – wskazał inny stos skrzyń, bliższy mostowi i ulicy.

Mężczyzna nie odpowiedział. Zerkał za to nieustannie w stronę motorówki, jakby się obawiał, że zamierzają go wziąć w dwa ognie. Sławek cofał się tymczasem, trzymając ręce na widoku. Odwrócił się dopiero pod wybranym stosem skrzyń, a po paru sekundach był już na szczycie, w miejscu, z którego mógł zobaczyć dwa transportery blokujące wjazd na most, garść nieumarłych zaplątanych w zasieki broniące niegdyś dostępu do posterunku i około stu pięćdziesięciu mniej lub bardziej zmasakrowanych zombie leżących bądź stojących przy kratkach ogrodzenia tego zakładu.

– Mówiłeś, że to była kilkutysięczna horda.

– Bo to prawda.

– Dlaczego więc na ulicy jest tak pusto? – Nizner wskazał głową za ogrodzenie.

– Parę godzin temu ktoś odpalił jeden z transporterów i odciągnął większość tych bestii.

Tak, ten człowiek mówi prawdę. Potrafię się nawet domyślić, którądy BTR przejechał przez zbity tłum, miażdżąc kończyny, torsy i głowy stojących na jego drodze nieumarłych...

– A potem wrócił? – zagadnął eleganta, raz jeszcze przyglądając się obu ciężkim maszynom stojącym tyłem do siebie i blokującym

niemal cały przejazd.

Zauważył przy tym, że z BTR-ów zdemontowano ciężkie karabiny maszynowe. Na bruku pomiędzy transporterami a zasiekami nie było widać żadnej broni, choć w kłęby drutu kolczastego zaplątało się czterech mundurowych.

– Nie – odparł po chwili wahania elegant. – Trzy wozy tutaj mieli.

– Aha. – To była dobra wiadomość, wskazująca, że co najmniej część wysłanego tu oddziału ocalała i być może ukrywa się gdzieś w pobliżu. – Nie wiesz może, gdzie są żołnierze uratowani z tego pogromu?

Mężczyzna pokręcił przecząco głową.

– Wątpię, żeby ktoś przeżył – stwierdził.

– W takim razie kto uruchomił ten transporter? – zdziwił się Nizner.

– Jacyś cywile. Widziałem tylko, jak odjeżdżali – dodał pośpiesznie, widząc, że żołnierz chce zadać kolejne pytanie.

– Rozumiem. – Nizner zobaczył już wszystko, co chciał, a nawet więcej. – Zostawmy w spokoju ten posterunek – zmienił temat. – Mówisz, że mieszkasz w pobliżu?

– W sumie tak.

– Powiedz mi, czy wielu was ocalało w tej okolicy?

– Nie widzieliście dymów? – zaśmiał się elegant, nieco bardziej ośmielony.

– Widzieliśmy i cholernie nas ucieszyło, że tyle osób zdołało przetrwać najgorsze – zapewnił go Nizner. – Pozwól jednak, przyjacielu, że skorzystam z okazji i wypytam cię o parę szczegółów, bo nie ma to jak naoczny świadek. Sygnały dymne powiedziały nam, że żyjecie, ale nie wiemy nic o warunkach, w jakich przyszło wam egzystować. Macie dostęp do jedzenia?

– Tak. Na parę dni na pewno wystarczy.

– A jak jest z wodą?

– Z kranów wciąż leci.

– Posłuchaj dobrej rady. Nabierzcie wody do wanien, wiader i wszystkich innych pojemnych naczyń, bo nie jesteśmy w stanie powiedzieć, jak długo jeszcze uda nam się utrzymać działanie

wodociągów. Zabezpieczyliśmy wprawdzie teren i zbiorniki wody, ale nie mamy nikogo, kto by się na tym znał. Jeśli dojdzie do awarii... – pokręcił z rezygnacją głową. – Gdybyście mieli u siebie kogoś, kto pracował w tej branży, ewakuujemy go stąd nawet dzisiaj. Z całą rodziną, rzecz jasna.

– Nie znam nikogo takiego – odparł po chwili zastanowienia elegant. – Tu w okolicy sami robotnicy z Browaru i Fajansów mieszkają.

Browar Piastowski. No jasne. Podporucznik zaśmiał się pod nosem. Z wrażenia zupełnie zapomniał, co to za miejsce. Przestało go dziwić, co ten facet tu robi i dlaczego zachowuje się, jakby przyłapali go na czymś nielegalnym.

– Dzięki, przyjacielu. Będę się zbierał. Jesteś pewien, że niczego ci nie brakuje? – Zatrzymał się przy siatce.

Elegant patrzył mu prosto w oczy.

– Przydałby się jakiś pistolet – rzucił w końcu bardzo niepewnym tonem.

– Na nich – podporucznik machnął ręką w stronę ulicy – broń palna nie działa. Możesz ich podziurawić jak sito, a dalej będą na ciebie leżli. To pieprzone chodzące trupy.

– Skoro tak, po co sami strzelacie? – wypalił tamten. – Na wiwat?

Dobiegająca od strony Zacisza kanonada zdawała się przeczyć słowom Niznera.

– Broń palna pomaga w chwilowym obezwładnieniu nieumarłych – wyjaśnił Sławek. – Strzelamy im w kolana i stawy barkowe, by utracili władzę w kończynach, to daje nam czas potrzebny do nałożenia im pęt.... – Zamilkł na moment, zastanawiając się, ile jeszcze może temu człowiekowi powiedzieć. – Długo tu siedzisz?

– Ze dwie godziny – odparł elegant.

– W takim razie na pewno widziałeś albo słyszałeś przepływające kanałem żeglugowym barki – wskazał za wały na drugi brzeg Odry.

Nawet w tej chwili zza czarnego kamiennego muru dzielącego koryta rzeki dobiegało miarowe terkotanie silnika spalinowego.

Widać było także smużkę dymu z komina przepływającej tamtą odnogą jednostki.

– Trudno je przegapić – przyznał tamten.

– To też część naszej operacji. Przekaż swoim, że za kilka dni przejmemy ponownie ten posterunek i... teren browaru. To doskonałe miejsce na bazę wypadową dla naszych oddziałów i ewentualny punkt ewakuacyjny. – Przyjrzał się siatce oddzielającej go od wody. – Zrobię, co w mojej mocy, by przekonać generała, żeby zaczął oczyszczanie miasta od tej okolicy. Ktokolwiek wam zagraża, będzie się miał z pyszna – dodał znaczącym tonem.

Jego rozmówca bynajmniej nie wyglądał na zadowolonego, choć wcześniejsza prośba o broń mogła mieć tylko jedno podłoże – tam, gdzie nie sięgają ramiona władzy, zaczyna obowiązywać prawo silniejszego, o czym ci ludzie boleśnie się przekonali.

– Pan zaczeka – poprosił elegant, gdy Nizner zaczął się wspinać na siatkę.

– Tak?

– Ja też mam pytanie.

– Słucham.

– Naprawdę jest was tam tylu, że dacie radę odzyskać kontrolę nad całym Wrocławiem?

Podporucznik nie odpowiedział od razu. Za dobrą monetę wziął fakt, że cywil pyta tylko o Wrocław, co mogło wskazywać, że nie ma pojęcia o globalnym zasięgu pandemii. Ta wiedza w niczym by się nie przysłużyła ocalonym – ogarnięci paniką nie czekali by na ratunek, tylko próbowali ratować się na własną rękę, wybierając ucieczkę z niegdyś gęsto zaludnionych dzielnic na obrzeża miasta, a potem na wieś, czego zdecydowana większość na pewno by nie przeżyła. Lepiej, by siedzieli na tyłkach tam, gdzie wojsko dotrze prędzej czy później.

– Dlaczego pytasz?

Mężczyzna się zawahał.

– Ludzie gadają – wypalił w końcu, zebrawszy się na odwagę – że ten wasz cały Biedrzycki to żaden generał, tylko zwykły major. I że te jego komunikaty radiowe to zwykłe mydlenie oczu.

– Jacy ludzie?

– Ano tacy bywali. Z magistratu choćby albo z milicji.

To było coś nowego. Nizner potrzebował chwili na przetrwanie tej informacji. Planując kampanię propagandową, nie wziął pod uwagę faktu, że wśród ocalonych mogą znaleźć się osoby, które obracały się w kręgach władzy: urzędnicy, ludzie ustosunkowani, którym dygnitarze powiedzieli w zaufaniu więcej niż trzeba. Po krótkim namyśle uznał, że nie pora na szczerość.

– Major Biedrzycki otrzymał awans dwa dni temu decyzją samego ministra obrony – skłamał. – Przyznano mu stopień generalski, ponieważ po śmierci wielu wyższych dowódców przejął zwierzchnictwo nad wszystkimi jednostkami wojskowymi stacjonującymi w naszym okręgu. – Z każdym wypowiedzianym słowem Nizner rozkręcał się coraz bardziej, aż zaczął wpadać w pompatyczne tony. – Nie lękajcie się. Już dzisiaj jest nas wystarczająco wielu, a wciąż dołączają do nas nowi rekruci. Nie dalej jak wczoraj szeregi oddziałów generała zasiliło ponad stu doświadczonych marynarzy. A do tego dojdą lada moment ocaleni z oczyszczanych terenów. Wybranych ochotników przeszkolimy w technikach walki z nieumarłymi i także skierujemy na pierwszą linię. Ta akcja potrwa kilka tygodni, może kilka miesięcy, ale jednego możesz być pewien, przyjacielu: przyjdzie taki dzień, że ty i twoi bliscy nie będziecie musieli się dłużej obawiać nieumarłych. Albo traficie na wolną od zarazy Wielką Wyspę, albo my zadbamy o to, aby w waszej okolicy nie pozostał ani jeden żywy trup. Masz na to moje słowo.

* * *

Chwilę później, gdy Nizner przejął ster, nieznajomy pożegnał załogę odpływającej motorówki niepewnym machnięciem ręki.

– Nie zaniepokoiło was zachowanie tego faceta? – zapytał Mawet, odpowiadając tamtemu niedbałym salutem do gołej głowy.

– Nie – odparł podporucznik. – Wiecie, co to za miejsce?

– Na moje oko Browar Piastowski – odpowiedział Bojczewski,

który dobrze znał tę dzielnicę, ponieważ pracował na Ołbińskiej, a mieszkał także niedaleko, na przeciwległym końcu długiej arterii, która prowadziła do mostu Warszawskiego.

– No tak... – Zomowiec pokiwał głową. – Przyłapaliśmy drania na szabrowaniu państwowego mienia.

– Owszem. Dlatego na widok mundurów, zwłaszcza waszego, mało się nie zesrał ze strachu.

– A wy obdarowaliście parszywego złodzieja żarciem, zamiast go... – oburzył się Mawet.

– Dałem mu te racje żywnościowe w zamian za naprawdę cenne informacje. Sytuacja w mieście jest mniej wesoła, niż sądziliśmy.

– To znaczy? – zainteresował się lekarz.

– Wśród ocalałych szerzą się plotki na temat Biedrzyckiego.

– Jakie znowu plotki?

– Zarazę przetrwało wielu urzędników i milicjantów, którzy wiedzą, kim był nasz dowódca, i co gorsza, rozprowadzają o tym wszem wobec. Coś mi się wydaje, że będziemy musieli zmienić taktykę propagandową. Radtke? – Podporucznik odwrócił się do radiotelegrafisty. – Łączcie z kwaterą główną. Trzeba jak najszybciej poinformować o tym fakcie. No i o losach posterunku przy moście Warszawskim.

* * *

Zostawiwszy browar za rufą, motorówka minęła most Trzebnicki i znów się zatrzymała, tym razem około pięćdziesięciu metrów od kolejnej przeprawy kołowej przez Odrę, dokładnie na wysokości więzienia, znajdującego się przecznicę od brzegu, do którego właśnie cumowali.

Wokół panował totalny bezruch i spokój. Tutaj nawet odgłosy niemilknącej strzelaniny nie raniły już uszu. Najbliżsi, dość liczni, nieumarli stali na głównej ulicy i na samym moście. Nizner pokiwał głową, obserwując ich przez lornetkę. Dobrze zrobił, decydując się na otwarcie śluzy, ponieważ nie mieliby najmniejszych szans na wydostanie się z wyspy oddzielającej kanał przeciwpowodziowy od bardzo szerokiego w tym miejscu koryta Starej Odry.

– Doktorze – zwrócił się do Bojczewskiego, gdy zakotwiczyli motorówkę rufą do brzegu, tak by mogli odpłynąć natychmiast po powrocie na pokład. – Teraz wy prowadzicie.

Mawet i Radtke nie kryli zdziwienia.

– Co wy wyprawiacie? – warknął zomowiec.

– Wiecie, gdzie jesteśmy? – zapytał asystent Arendzikowskiego, gdy stanęli na brukowanej ulicy przed niezbyt wysokim ceglany murem.

– Tak dokładnie to nie – przyznał podporucznik. – Ale...

– A wiecie, co dzieli nas od więzienia? – naciskał lekarz.

– Według mapy jakiś niezabudowany teren – odpowiedział radiotelegrafista, który poświęcił sporo czasu na zapoznanie się z planem okolicy.

– To tereny należące do Państwowego Szpitala Klinicznego Numer Dwa Akademii Medycznej we Wrocławiu.

– I co z tego? – burknął zdezorientowany zomowiec.

– To z tego, że na ulicę Kraszewskiego możemy dotrzeć albo tamtędy – wskazał pobliski most – albo przez tereny należące do Kliniki Psychiatrii.

– To jest dom wariatów? – Mawetowi opadła szczęka.

– W potocznym tej nazwy rozumieniu, tak – potwierdził lekarz.

– A że doktor Bojczewski pracował tutaj przez ponad dwa lata, zna ten teren jak własną kieszeń – wtrącił Nizner, poirytowany, że od dłuższej chwili sterczą na otwartej przestrzeni. – Dlatego to on będzie nas teraz prowadził.

– Skoro tak się sprawy mają... – Zomowiec zszedł z drogi lekarza. – Ale mogliście mnie uprzedzić, że ten kilkudziesięciometrowy spacer będzie wymagał mierzenia się z ludźmi jeszcze bardziej nieobliczalnymi od nieumarłych.

Bojczewski nie skomentował tej uwagi, za to wyciągnął rękę po mapnik.

– Przedostaniemy się przez tereny zielone, na których nie powinno być nikogo, o ile nie znalazło tutaj nieumarłych. Tam jest furka, prowadząca do jednego z budynków technicznych – wskazał zakratowane wejście, za którym widać było piętrowy domek z charakterystycznej czerwonej cegły zwieńczony

ozdobnym metalowym krzyżem. – Kierując się na wprost, dotrzemy do wjazdu przy warsztatach, który prowadzi na ulicę Kraszewskiego. Dokładnie naprzeciw znajduje się boczna brama więzienia. Przejdziemy przez ten park, omijając szerokim łukiem wszelkie zabudowania.

– Park – mruknął nadal wkurzony Mawet. – Widoczność będzie żadna.

– To zadbanej teren – zapewnił go lekarz. – Staraliśmy się, żeby pacjenci nie mieli wielu potencjalnych kryjówek.

– Wypuszczaliście tam czubków? – zapytał wystraszony tą informacją Radtke.

– Owszem, pozwalaliśmy pacjentom wypoczywać na terenie parku – przyznał Bojczewski. – Ale tylko tym najspokojniejszym. Wątpię jednak, by po wybuchu epidemii wypuszczano ich z oddziałów, zatem ryzyko trafienia na kogoś jest naprawdę minimalne w porównaniu z tamtą ulicą – ponownie wskazał most. – No i jak już wspomniałem, wyjdziemy prosto na boczną bramę więzienia.

– Dość tego gadania! – Nizner ruszył w kierunku kraty, która podobnie jak furka obok była zamknięta. Na szczęście pracownicy kliniki nie wysilili się specjalnie, uznając, że łańcuch spięty solidną kłódką wystarczy do powstrzymania intruzów. A Sławek, uprzedzony przez Bojczewskiego, zadbał o zabranie odpowiedniego sprzętu.

Przedostali się na wybrukowaną jeszcze za Niemca alejkę, którą dotarli szybkim truchtem w pobliże warsztatów. Wbrew obawom Maweta i radiotelegrafisty park po lewej okazał się kompletnie pusty, tak samo jak skoszone nieużytki dzielące ich od mostu. Za to natrafili na kilka wypalonych miejsc. Pośrodku jednego z płytkiego krateru sterczała kupa pogiętego żelastwa.

– Kie licho? – mruknął Radtke, przyglądając się dziwnej konstrukcji.

– Cholera wie, ale chyba spadło z nieba... – Mawet zadarł głowę.

Faktycznie, w koronie rozłożystego dębu ziała spora dziura, jakby coś się przez nią przebiło.

– Dowiemy się, co to takiego, jak już dotrzemy do więzienia –

zapewnił towarzyszy Nizner, ruszając dalej.

Z drugą bramą poradzili sobie równie szybko jak z pierwszą, a nawet szybciej, bo tutaj kłódka wisiała od wewnętrznej strony i nie musieli kombinować z przekładaniem za kraty ciężkich nożyc.

Na Kraszewskiego stali nieumarli, roiło się od nich przy wylotach podobnie jak na Wybrzeżu Korzeniowskiego, aczkolwiek było też kilku w perspektywie ulicy. Niestety znajdowali się na tyle blisko, że natychmiast wyczuli zbliżających się ludzi.

– Co robimy? – szepnął Radtke, widząc, że kolejni zombie odwracają się niezdarnie w jego kierunku.

Nizner rozejrzał się pośpiesznie.

– Ściągnijmy ich do parku i tam im się urwijmy – zaproponował.

– Nie! – zaprotestował lekarz. – W ten sposób narazimy pacjentów i personel szpitala...

– O ile ktoś tam jeszcze żyje – prychnął Mawet.

– A co z tymi łąkami po drugiej stronie? – zapytał podporucznik, wskazując nieużytki. – Tam zwabieni nikomu nie zagroją.

Teren był rozległy i niezabudowany, jeśli nie liczyć jednej willi u zbiegu ulic przy wylocie mostu, lecz tam pewnie nie było już nikogo, ponieważ za murem kłębił się tłum odmieńców.

– Panowie, decydujcie się wreszcie, co robimy – zapiszczał dziwnie ciekim głosem Radtke.

– Niech będą łąki – zgodził się lekarz.

– A nie prościej ich rozwalić? – zapytał zomowiec, odbezpieczając makarowa.

– Tak powstrzymacie ich tylko na chwilę – przypomniał mu podporucznik. – A możemy potrzebować czystej drogi ucieczki.

– No niby racja...

– Wycofajcie się wszyscy biegiem do parku – rzucił Bojczewski. – Ja ściągnę ich uwagę na siebie i wyprowadzę na środek tej łąki.

– Nie. – Nizner podał mu mapnik. – Ja to zrobię. Wy jesteście zbyt cenni dla tej misji.

– Wy tym bardziej – stwierdził stanowczym tonem lekarz.

– No nie, na to się nie pisałem! – zaprotestował Mawet. – Noga dalej mnie napieprza! – przypomniał im, masując zranione poprzedniego dnia udo.

– Nawet kulejąc, będziecie dwa razy szybsi od tych nieboraków – ocenił Nizner, kierując się ku bramie, ponieważ najbliższy żywy trup dotarł już na odległość kilku kroków. – Wycofujemy się za furtkę! Natychmiast!

Gdy cała czwórka wróciła na teren szpitalny, podporucznik chwycił nożyce do metalu i zablokował nimi kratę, by zatrzymać nadchodzących zombie.

– Co wy wyprawiacie? – zdumiał się Bojczewski.

– Próbuję zebrać ich w kupę, żeby łatwiej było ich wyprowadzić – wysapał Nizner.

Mawet doskoczył do niego i razem złapali ciężkie narzędzie. Mimo ich wspólnego wysiłku furtka otwierała się powoli, ponieważ napierało na nią już czterech nieumarłych, a sukinsyny były silne, jakby miały mięśnie ze stali. Radtke i Bojczewski, wykonując wcześniej wydany rozkaz, oddalili się na ponad dwadzieścia metrów i ukryli za jednym z budynków.

– Teraz! – syknął Nizner, dając znak zomowcowi.

Odskoczyli od furtki, porzucając nożyce, aby nie przeszkadzały im w ucieczce. Pobiegli w głąb placu otoczonego szopami, na chwilę znikając nieumarłym z radaru. Dopiero tam się rozdzielili, podporucznik pobiegł dalej, a Mawet zawrócił.

– Tutaj jestem, zdechlaki! – krzyknął, stając dziesięć kroków od odmieńców.

Ci natychmiast podjęli przerwany moment wcześniej pościg, całkiem jak drapiezniki, które wyczuły na nowo trop ofiary. Zomowiec trzymał ich na dystans, nie pozwalając żadnemu podejść na mniej niż osiem metrów, ale i nie uciekając im za daleko, by nie stanęli ponownie ani się nie rozleźli. Prowadził ich na środek skoszonej kilka dni wcześniej łąki. Szedł dalej przed siebie, mimo że pozostali członkowie oddziału zaczęli machać rękami, dając znak, że pora wiać. Urwał się żywym trupom dopiero wtedy, gdy te zabrnęły ponad czterdzieści metrów od bramy.

Utykając lekko, zatoczył szeroki krąg, by ominąć je szerokim łukiem.

– I tak zostali wyprowadzeni w pole – zażartował, lekko zdyszany, gdy pojawił się znów przy bramie.

– Po coście zaciągnęli ich tak daleko? – zdziwił się Nizner.

– Wiem o odkryciu doktora Arendzikowskiego – rzucił zwięźle Mawet, samym ruchem oczu wskazując stojącego nieopodal radiotelegrafistę, który na szczęście był zbyt zajęty obserwacją nieumarłych, by zwrócić uwagę na tę wymianę zdań.

Podporucznik przyjął tę informację zdawkowym skinieniem głowy. *Tak, to była słuszna decyzja. Jeśli w szpitalu są wciąż pacjenci i lekarze, lepiej, by nieumarli po tej stronie muru znajdowali się jak najdalej od nich.* Nie wiedział, kiedy ani czy w ogóle dojdzie do częstszych wypadków w te strony. Chyba jako jedyny od razu rozpoznał charakterystyczne więzienne drelichy, w które ubrani byli czterej z sześciu zombie wyprowadzonych na środek łąki, co znaczyło, że więźniowie w jakiś sposób wydostali się za mur.

Po powrocie na Kraszewskiego Nizner chwycił natychmiast lornetkę i skierował ją w stronę wylotu ulicy. Tak jak przypuszczał, tam też roiło się od byłych osadzonych. Uznał, że powinien podzielić się swoją wiedzą z kolegami.

– Panowie – oświadczył, nie odsuwając okularów od oczu. – Chyba mamy problem.

– Co się dzieje? – Mawet podążył spojrzeniem w tym samym kierunku.

– Większość tych nieumarłych ma na sobie więzienne wdzianka.

– Kurwa ich mać – jęknął zomowiec.

Pozostali zerknęli bojaźliwie w stronę muru okalającego zakład karny.

– To co robimy? – zapytał lekarz.

– Wróćcie do parku, a ja spróbuję zwrócić na siebie uwagę garusów, którzy pozostali w więzieniu, o ile ktoś tam jeszcze jest. Jeśli coś pójdzie nie tak, dam nogę za bramę i zwieję do szpitala, zwabiając ich tam za sobą, abyście mieli czas na ucieczkę...

– Nie. – Lekarz odrzucił mu mapnik. – Ja to zrobię.

– Wy nie...

– Tylko ja znam ten szpital na tyle dobrze, by wiedzieć, gdzie się przed nimi ukryć i jak zniknąć im z oczu. Was wygarną bez trudu, możecie mi wierzyć. Poza tym pielęgniarze mnie znają, co dodatkowo przemawia za tym, abym to ja się tym zajął.

– Dobrze mówi – poparł go zomowiec.

– Jeśli nie zauważyli nas do tej pory, a sędzę, że nie mieli ku temu okazji – kontynuował Bojczewski – mogą uznać, że przyszedłem sam. Zaszycie się w głębi parku, abyście w razie potrzeby mogli odpłynąć bądź wezwać posiłki.

– Nie zostawimy was tutaj samego! – obruszył się Nizner.

– A jeśli zatrzymają was tam siłą? – zapytał Mawet.

Mirek nabrał powietrza do płuc.

– Zawsze mogę nawciskać im kitu, że jestem lekarzem z kliniki i przyszedłem prosić o pomoc, bo mamy na terenie szpitala coraz więcej zarażonych. Bez obaw, znam ten obiekt na tyle dobrze, że mi uwierzą.

Naradzali się jeszcze przez chwilę, ale koniec końców przystali na ten plan.

– Jak chcecie zwrócić na siebie uwagę? Pukanie do bramy na zadupiu zadupia raczej niewiele da.

– Niech któryś z was pożyczy mi pistolet.

Mawet pokręcił zdecydowanie głową, Radtke nie miał broni krótkiej, padło więc na Niznera, który z dużą niechęcią pozbył się służbowej tetetki. Bojczewski poprosił go, by zostawił w magazynku tylko dwa naboje.

– To powinno wystarczyć do zwrócenia ich uwagi – wyjaśnił. – Jeśli to faktycznie bandyci, niewiele zyskają, zdobywając broń bez amunicji.

niedziela, 11 sierpnia 1963, godzina 16:03
Zakład Karny Nr 1 przy ulicy Klęczkowskiej 35

Rojewski stanął z odbezpieczonym makarowem kilka kroków od pomalowanej na niebiesko stalowej bramy, której za dawnych czasów używano bardzo rzadko, zazwyczaj wywożąc zwłoki po egzekucji.

– Czysto! – usłyszał meldunek Matusiaka, ostatniego funkcjonariusza, jaki mu pozostał.

– Otwierać! – rzucił do cywili przebranych w wyciągnięte z magazynu mundury.

Musiał sięgnąć po ojców i braci pracowników tej placówki, ludzi nie znających się kompletnie na więziennej robocie, ponieważ już tylko na nich mógł liczyć.

Dwaj z nich uchylili ciężkie skrzydło na tyle, by mężczyzna stojący na ulicy mógł wejść za mur, po czym natychmiast je zatrzasnęli.

Bojczewski, zgodnie z wydanym mu wcześniej poleceniem, zatrzymał się krok za bramą, unosząc wysoko ręce. Nie burzył się, gdy go dokładnie, choć niewprawnie rewidowano. Nie wyglądał też ani na wystraszonego, ani na zdenerwowanego, co chorążemu wydawało się w tej sytuacji nader dziwne. Bardziej jednak zaniepokoił go fakt, że przybysz mierzy uważnym spojrzeniem każdego, kto pojawia się w polu widzenia, jakby kazano mu wysondować sytuację w więzieniu.

Pistolet, z którego wystrzelił wcześniej dwukrotnie, rzucił na bruk, tam na zewnątrz, zaraz po tym, jak Patryk wyrzwał przez okno budynku sąsiadującego z bocznym wyjazdem. W odpowiedzi na zadane pytanie stwierdził, że jest lekarzem pracującym w sąsiedniej klinice psychiatrycznej, następnie zaś dodał, że chce rozmawiać z naczelnikiem lub kimś, kto tu teraz dowodzi. Zanim go wpuścili, Matusiak starym więziennym

sposobem – za pomocą wysuniętego na zewnątrz lusterka – sprawdził, czy po obu stronach bramy tuż pod murem nie kryją się kompani nieznanego, ale nie, lekarz, o ile naprawdę mieli do czynienia z pracownikiem kliniki, był sam.

– Możecie opuścić ręce – rzucił Rojewski, gdy rewizja dobiegła końca. – Słucham.

– Prowadźcie mnie do naczelnika.

– Powiedzmy, że teraz ja pełnię tę funkcję – powiadomił go hardo Patryk, nie zamierzając spełniać żądania.

Po pierwsze nie chciał, by przybysz zobaczył coś więcej niż kawałek przestrzeni między zewnętrzną a wewnętrzną bramą, gdyż nieprzerwanie gnębiło go przecucie, że ten człowiek przyszedł tutaj na przeszpiegi. Po drugie nie mógł zaprowadzić go do kapitana z bardzo prozaicznego powodu. Okrutny chłap na umór od poprzedniego wieczoru, czemu nikt się specjalnie nie dziwił. Chłop wziął na swoje barki zbyt wielki ciężar i, po nocnej masakrze złamał się jak przysłowiowa zapałka.

Z pięćuset sześćdziesięciu siedmiu osób, które zdołał sprowadzić za ten mur, do tej pory zginęło, czy też uległo przemianie, ponad czterysta. Wśród stu czterdziestu sześciu ocalonych było tylko trzydziestu dwóch mężczyzn, z czego ponad połowa miała na karku szósty krzyżyk, a kolejnych dziesięciu mleko pod nosem.

Tak naprawdę Patryk mógł liczyć tylko na sześciu ludzi, byłych pracowników resortu albo dawnych żołnierzy, obeznanych z obsługą broni. Czwórki więźniów, których trzymano w chlewni, oczywiście pod kluczem, nie brał pod uwagę z oczywistych powodów. Pozostali cywile – mimo że wielu rozdał tego popołudnia pistolety i amunicję – postrzegał jako bezużytecznych. Byli bądź za starzy, bądź zbyt mało doświadczeni, aby stanowić znaczące wsparcie w chwili kryzysu. Dlatego właśnie uznał, że potraktuje niespodziewanego gościa, zachowując najwyższą ostrożność i nieufność.

– Wy? – zdziwił się Bojczewski, słysząc to związane oświadczenie.

– Tak, ja.

– Dobrze, w takim razie będę mówił z wami. Czy możemy... – wskazał gestem wewnętrzną bramę.

– Nie! – Rojewski rozstawił szerzej nogi. – Dalej nie wejdziecie.

– Dlaczego?

– Dlatego.

Lekarz podniósł ręce w geście poddania. Jedyne człowiek, który wyglądał na prawdziwego funkcjonariusza służby więziennej, zachowywał się bardzo dziwnie, wręcz podejrzanie. Pozostali na pewno nie nosili wcześniej tych mundurów, to dało się zauważyć już na pierwszy rzut oka. *Ktoś kazał im je włożyć, i to chyba całkiem niedawno, lecz nie pomyślał o postawie czy choćby podstawowym przeszkoleniu. No i te włosy – są za długie jak na pracowników resortu, pomyślał Bojczewski, na głos zaś powiedział:*

– Nie napieram. Skoro taka wasza wola, towarzyszu chorąży, możemy porozmawiać tutaj. Kazano mi zapytać, czy pójdziecie na wymianę. My dysponujemy nadmiarem leków i środków opatrunkowych, a wam pewnie nie brakuje żywności. Moglibyśmy pohandlować.

– Obawiam się, że na próżno ryzykowaliście. – Rojewski w ogóle się nie zastanawiał, jakby z góry wiedział, że odmówi. – Mamy do wykarmienia ponad tysiąc pięćset gąb, a wiecie, jak wygląda sytuacja na mieście.

– Ano wiem – przyznał Mirek.

Nie wyglądał na rozczarowanego tą odmową, jakby się jej spodziewał albo rzucił propozycję handlu wymiennego tylko dla picu, by usprawiedliwić próbę przeniknięcia za mur. To spostrzeżenie zwiększyło podejrzliwość chorążego.

– Wracajcie zatem do kliniki i przekazcie ordynatorowi, jeśli jeszcze żyje, że nie możemy przystać na waszą propozycję, ale dziękujemy za nią.

– Tak zrobię – zapewnił go przybysz, po czym skinął głową na pożegnanie.

Zanim jednak zdążył się odwrócić, zawiasy furtki w wewnętrznym murze zaskrzypiały przeraźliwie.

– Matusiak powiedział mi właśnie, że mamy gościa z kli... –

Doktor Wegner zatrzymał się jak wryty na widok obcego. – Mirek? To ty?

– Robert?

– To wy się znacie? – Zaskoczony Patryk obrócił się do doktora.

– Oczywiście – rzucił rozpromieniony Wegner, ruszając w stronę przybysza z szeroko rozłożonymi rękami. Gdy już się uściskali, i to bardzo serdecznie, dodał: – To ten kolega z Ołbińskiej, o którym tyle wam opowiadałem. Ten, co mi podsyłał faksy triumwiratu.

– Z Ołbińskiej? – Rojewski zdębiał do reszty. – Przecież...

– Wybacz chorążemu to oschłe powitanie. – Doktor nie zwracał na podoficera uwagi, ciągnął już równie zaskoczonego takim obrotem spraw kolegę ku bramie w wewnętrznym murze. – Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię widzę. Nie uwierzysz, jakie piekło tutaj przeżyliśmy.

– Zaraz, chwila! – Patryk zastąpił im drogę.

– Co wy wyprawiacie? – obruszył się Wegner. – Przecież to Mirek Bojczewski, lekarz. Ręczę za niego!

– Ale on twierdzi, że przysłali go z kliniki psychiatrycznej! – wypalił chorąży.

Doktor Wegner spojrzał dziwnie na kolegę.

– Dlaczego nie powiedziałaś prawdy? – zapytał z wyrzutem. – Dlaczego nie poprosiłaś o spotkanie ze mną?

– To nie są przebrani więźniowie? – Bojczewski odpowiedział pytaniem na pytanie, wskazując stojących przy bramie mężczyzn w niedopasowanych mundurach.

– Długo by opowiadać, bracie – westchnął Wegner, machając ręką. – Ale nie, to nie są osadzeni.

– Naprawdę tu rządzą? – Bojczewski zwrócił się do Rojewskiego.

– Patryk? – Doktor się zaśmiał. – Skąd. Nieobecnego naczelnika zastępuje kapitan Okrutny – wyjaśnił. Widząc konsternację obu mężczyzn, dodał zaraz: – Chorąży jest jego prawą ręką.

– Czyli nie tylko ja minąłem się z prawdą – zauważył kąśliwie przybysz.

– Dziwicie się? – odparł równie jadowitym tonem Rojewski.

- Ani trochę.
- Chodźmy do mnie, usiądziemy, napijemy się herbaty, pogadamy... – Wegner próbował ich pogodzić.
- Bojczewski nawet nie drgnął, nadal patrzył w oczy Patryka.
- Kontrolujecie całe więzienie? – zapytał.
- Owszem – odparł chorąży.
- Skąd więc ci liczni więźniowie na okolicznych ulicach?
- Jak wspomniał doktor, długo by opowiadać.
- Spróbujcie – zachęcił go przybysz.
- Wy pierwsi – zaproponował Patryk.
- Dobrze. Przysyła mnie... – Bojczewski się zająknął – generał Biedrzycki. Paru jego ludzi czeka na mój powrót po drugiej stronie ulicy, kazałem im się ukryć w bezpiecznym miejscu. Otrzymaliśmy rozkaz wybadania sytuacji w waszym zakładzie karnym, ale gdy po przybiciu do brzegu zobaczyliśmy te tłumy nieumarłych w więziennych drelichach, postanowiliśmy zachować daleko idącą ostrożność. Dlatego przyszedłem sam i podałem się za pracownika pobliskiej kliniki.
- Wojsko interesuje się tym miejscem? – zdziwił się chorąży.
- Długo by opowiadać – odparł Bojczewski, uśmiechając się bez cienia złośliwości.

niedziela, 11 sierpnia 1963, godzina 16:11
Zajezdnia Tramwajowa Nr 2 przy ulicy Słowiańskiej 16–30

Sprycha rozsiadł się wygodnie na wersalce ciecia. Dopiero przed chwilą zdał sobie ze zdumieniem sprawę, że przywykł do brudu, w jakim przyszło mu żyć. Jeszcze kilka miesięcy temu nie wszedłby do tej cuchnącej pleśnią, potem i tytoniem izby, nie mówiąc o spaniu w tak odrażającym barłogu. Nawet więzienie było oazą czystości w porównaniu z tym miejscem.

Świat upadał, bez dwóch zdań, ale człowiek nie świnia, przywyka do naprawdę strasznych warunków. Fabian wiedział to z opowieści rodziców, których nasłuchiwał się w dzieciństwie, a teraz sam tego doświadczał na własnej skórze. I nie czuł się z tym wcale źle. Parsknął śmiechem na tę myśl.

Co za dzień, co za piękny dzień!

Wszystko szło jak z płatka. Zdobył wóz pancerny, wprawdzie uszkodzony, ale lada moment będzie miał pod zajezdnią dwa następne. Znalazł idealne miejsce na nową kryjówkę, nie dość, że leżące na uboczu i doskonale chronione, to w dodatku pełne świeżo uwarzonego piwa. Robactwa potrzebnego do oczyszczenia browaru też mu nie zabraknie, zadbał o to, chcąc nie chcąc, zaraz po powrocie. Złamał mieszkańców Słowiańskiej i Krętej do reszty, zeszmacił ich, zgnoił. Mógł mieć co do tego pewność, bo widział spojrzenia, z jakimi to było rozchodziło się do domów po widowiskowej egzekucji Gawlików i tych drugich ćwoków, których nazwiska nie chciał nawet pamiętać.

Co więcej, udało mu się upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Gang miał teraz więcej branek, niż potrzebował. Jedyny problem polegał na tym, że te nowe zdziury za bardzo się stawiwały, co musiało prędzej czy później doprowadzić do aktów przemocy – niepotrzebnych jego zdaniem.

Cokolwiek o nim mówiono, miał swoje zasady. Owszem, jego

ofiara padały kobiety, zabił ich sporo, i to w naprawdę okrutny sposób, wszakże nigdy nie posunął się do czegoś tak odrażającego jak gwałt. Obdarcie żywcem ze skóry było częścią rytuału, adoracją, źródłem niedostępnych dla większości zimnych drani uniesień. Brał każdą, którą zdołał uwieść, czasem wielokrotnie, ale nigdy siłą. Uwodził je, jak wąż Ewę w raju, kusząc, szepcząc czułe słówka, usypiając czujność podarunkami, a gdy upojone złudnym poczuciem bezpieczeństwa oddawały mu się w ekstazie bez reszty, odbierał im to, co najcenniejsze dla każdej żywej istoty. Powoli, rozkoszując się każdą sekundą cierpienia, jakie zadawał całymi godzinami z chirurgiczną wręcz precyzją. Nie przejmował się więc, że chłopaki będą się nad kobietami znęcać, problem stanowiło ściąganie tu nowych dziwek, po które trzeba będzie leźć na sąsiednie ulice, w nieznane, i dlatego postanowił temu zapobiec.

Sprycha miał stuprocentową pewność, że dzisiejsza wieczorna libacja przebiegnie bez takich ekscesów jak poprzednia, Zimny bimber, gorące żarcie, uległe dziwki. To da swoim chłopakom w nagrodę za dzisiejsze sukcesy.

Pigol zagnał wszystkie dziewczyny do piwnicy, tej największej, gdzie wcześniej trzymano ciecica, związał je i unieruchomił dokładnie według instrukcji. Reszcie chłopaków Fabian przydzielał różne zadania – sześciu poszło obrobić opuszczone mieszkania w okolicznych kamienicach, Sprycha bowiem postanowił zgromadzić wszystko, co cenne bądź co może się przydać w nadchodzących mrocznych czasach, zanim gang przeniesie się pod nowy adres. Akcję szabrowania rozpoczęto od miejsc wytypowanych przez Fiedczaka i Saternusa.

Kapusie...

Fabian uśmiechnął się pod nosem. To był strzał w dziesiątkę. Starszy, ten z Krętej, musiał robić już wcześniej za konfidenta, bo ewidentnie miał sporą praktykę. Może nawet pracował dla któregoś departamentu SB. Bo czy normalny człowiek zapytany o najlepsze miejscówki sporządziłby pisemny raport pełen informacji nie tylko o mieszkaniach, ale także o ich dawnych lokatorach?

Z drugim, tym młodszym, była zupełnie inna sprawa. Wszyscy jego najbliżsi ulegli przemianie jeszcze w piątek. Saternus przygotował również oddzielną notatkę na temat Fiedczaków, ale Sprycha nie miał ochoty ani czasu się w nią zagłębiać. Zerknął tylko na sam początek, stąd wiedział, że ojciec rodziny dostał zawału w piątkowy wieczór, a potem już poszło z górki. Nieświadomi zagrożenia Fiedczakowie wyżarli się nawzajem jeden po drugim, aż został tylko ten tam, Daniel, którego uratował przypadek. Wysłany przez jeszcze żyjącego ojca do piwnicy po wałówkę, zmitrężył na pakowaniu słoików do worków po ziemniakach i zanim zdążył wrócić na górę, jego mieszkanie zmieniło się w trupiarnię. Został sam, a że sąsiedzi mieli wystarczająco wiele własnych problemów, by nie przejmować się sierotą, zamieszkał w piwnicy, gdzie żarcia mu nie brakowało, bo na górę zataszczył tylko jeden wór z trzech. Czuł się jednak niepewnie; potrzebował ochrony kogoś silniejszego – i tak padło na Sprychę. *Szkoda, że taki potencjał się zmarnuje*, pomyślał Fabian, *niezły byłby z niego kandydat na gitczłowieka*. Los donosicieli po zniknięciu gangu z zajezdni był przesadzony, ale co robić, przecież nie będzie ciągnął za sobą balastu. Tuzin apostołów wystarczał mu w zupełności.

Na razie zamierzał jednak dotrzymać danego tym dwóm słowa. Dzięki otrzymanym od nich wskazówkom zdobył wiele potrzebnych dóbr, w tym kilka flaszek ulubionego koniaczku. Chłopaki też sporo zyskali, poubierali się porządnie, odwiedzając chałupy, w których mieszkali niegdyś lokatorzy ich postury. Żaden nie nosił już więziennych drelichów. Wyglądali w końcu jak ludzie. Odświętne garniaki, wykrochmalone koszule, wyglancowane buty. Nawet eleganckie kapelusze. Sam szyk, tylko w jednym czy dwóch przypadkach nie do końca pasujący. Reszta zdobyczy trafiła chwilowo do przybudówki za główną halą, gdzie Fabian kazał przenieść kwatery. Na tyle daleko od willi, by miał święty spokój przez kolejnych kilka godzin.

Potrzebował tego czasu nie tylko na przemyślenia.

Po wyjściu z kanciapy przekopał szafki w gabinetach przychodni, gromadząc wszystkie narzędzia, jakie mogły okazać

się przydatne. Tutejszy sprzęt nie był nawet w części tak dobry jak ten, którym posługiwał się w swoim bunkrze, ale musiał mu dzisiaj wystarczyć.

Poukładał znalezione narzędzia na emaliowanej tacy, równiutko, w określonej kolejności, jak zawsze. Sprawdził raz jeszcze, czy na pewno niczego nie brakuje, po czym sięgnął po ciężką torbę lekarską, do której wcześniej napchał środków opatrunkowych i przeróżnych leków. Tak wyposażony ruszył schodami w dół, pogwizdując wesoło.

Jak dotąd bardzo udany, obfitujący we wrażenia dzień sprawił, że mimo wielu zastrzeżeń i wątpliwości Sprycha postanowił pójść na całość. To znaczy: na całość dostępną w nowej rzeczywistości.

Jego nową sceną miała być ta piwnica: przestronna, brudna, mroczna. Oświetlona pojedynczą żarówką dającą akurat tyle światła, by wyróżnić z nieprzeniknionych ciemności niemal całą wolną przestrzeń. Na granicy jasnego kręgu Pigol rozmieścił w półkolu związane fachowo kobiety. *Facet nie należy może do najbardziej zimnych drani, ale robi, co mu się każe, i to bez szemrania*, pomyślał z uznaniem Fabian. *Poza tym zna się, skubany, na tej robocie...* Kneble pozakładał tak, że spanikowane dziwki nie były w stanie wydać z siebie praktycznie żadnego dźwięku. Ruchy ograniczały im pętle założone na szyje i przymocowane do belek stropowych. Fabian się ucieszył, ponieważ lubił pracować w ciszy i spokoju. Nie licząc, rzecz jasna, wrzasków i błagań adorowanego obiektu, które stanowiły nieodłączną część rytuału i dawały mu tyle satysfakcji.

Podszedł wolno do stolika, jedyne mebla znajdującego się wewnątrz oświetlonego kręgu, i położył na odrapanym blacie najpierw torbę, a potem tacę. Sądząc po reakcji, większość klęczących branek zorientowała się, co dla nich szykuje. Tylko dwie gapiły się na niego błyszczącymi w półmroku wielkimi ślepiami, zbyt przerażone, by cokolwiek kojarzyć.

Macie pecha, moje drogie, westchnął w duchu, *ten stupor eliminuje was z zabawy*. Ofiara musiała być od początku do końca w pełni świadoma, inaczej to nie było to.

– Dzień dobry, muszki – rzucił, gdy przespacerował się przed nimi tam i z powrotem, próbując dokonać wyboru. – Bez obaw, nie będę opowiadał kolejnej bajki. Chcę wam tylko uświadomić, jak ogromny błąd popełniacie, okazując niewdzięczność nam, swoim wybawcom. A zrobię to na przykładzie... – stojąc bezpośrednio pod żarówką, wodził ręką w prawo i w lewo, aż wreszcie wskazał palcem jedną z nich – tej ślicznotki.

Podszedł do bledszej od kredy Porębskiej.

Oswobodził ją z pętli i przewrócił, omal nie dusząc przy okazji dwu innych dziwek, które musiały same odzyskać równowagę – co nie było wcale łatwe – ponieważ nie wykazywał chęci przyjscia im z pomocą.

Skupiony w całości na wybranej ofercie, chwycił za końcówkę sznura, którym była związana, i pociągnął ją za sobą, choć rzucała się jak wyrzucona na brzeg ryba. Musiał docisnąć jej skrępowane podudzia, klękając na nich, by nałożyć na kostki jeszcze jedną pętlę. Zadzierzgnąwszy ją starannie, skierował się ku znanemu warsztacie i zamontowanemu pod stropem piwnicy wielokrążkowi, by następnie powoli, obrót za obrotem, unieść Porębską z posadzki uwalanej grubą warstwą kurzu.

Parę sekund później wisiła już do góry nogami: stopy miała pod sufitem, głowę na wysokości jego klatki piersiowej. Nie rozwiązując rąk, skrępowanych nieco powyżej nadgarstków, założył na każdą nowe pęta, a gdy linki zostały mocno naprężone, sięgnął po nóż. Na widok obnażonego ostrza baby znów próbowały krzyczeć, lecz były kierownik monopolowego miał naprawdę wprawna rękę. Odgłosy były na tyle stłumione, że zupełnie nie przeszkadzały Fabianowi.

Nie śpieszył się. Wykonywał każdą czynność z taką atencją, jakby od tego zależało jego życie, co w pewnym sensie było prawdą. Ponaciągał linki przytrzymujące ręce ofiary tak, by nie mogła nimi ruszyć, i dopiero wtedy zbliżył się do niej, oczywiście od tyłu. Przyszła pora na zastrzyk. W pierwszej kolejności potraktował ją kilkoma centymetrami sześciennymi relanium. To powinno oszczędzić sporo kłopotu, przynajmniej na początku.

Po szybkim cięciu w okolicy karku szmata podtrzymująca

knebel opadła na podłogę. Kobieta natychmiast wypluła zwiniętą w kulkę chusteczkę.

– Błagam pana... – wybełkotała, zanim pokryty śliną i krwią kawałek materiału zdążył pokonać niespełna półtora metra, dzielące jej usta od popękanej wylewki. – Zrobię wszystko...

– Nic nie mów, muszko – poprosił nie pasującym do sytuacji, bardzo uprzejmym tonem.

Odwróciwszy się do stolika, wyjął z torby kilka zakorkowanych brązowych flaszek z wielkimi nalepkami, takich, jakie można często zobaczyć w aptekach. Do tego doszedł spory zwój gazy, paczka waty i kilka innych kojarzących się z przeprowadzaniem zabiegu przedmiotów.

– Zaklinam pana... – Porębska rozejrzała się rozpaczliwie. Spróbowała napiąć grube jak palec sznury, mimo że zerwanie więzów nie wchodziło w grę. Zrozumiała to, gdy szorstkie sploty tramwajarskich linek rozdarły jej skórę na nadgarstkach. – Zaklinam na wszystkie świętości...

– Patrzcie uważnie, moje panie – rzucił Fabian w stronę ledwie widocznej widowni, kompletnie ignorując mamrotanie ofiary. – Macie cholerne szczęście, ponieważ już za chwilę ujrzycie mój sekretny rytuał, którego przebiegu nikt przed wami nie widział. Naprawdę. Na pewno zadajecie sobie teraz pytanie: „Dlaczego ten człowiek dzieli się z nami swoim najskrytszym sekretem?”... – Zamilkł na moment. – To proste. Chcę, abyście zobaczyły, co czeka was wszystkie, jeśli nie okażecie uległości. Tak, dobrze słyszycie. Jedno słowo skargi ze strony moich chłopców, a spotkamy się tutaj, w tej piwnicy, ale już tylko we dwoje, by powtórzyć w bardziej kameralnych warunkach tę jakże intymną zabawę...

Mówiąc, narzucał na ramiona poncho zrobione z ceraty zdobiącej wcześniej stół w stróżówce. Tak ubrany włożył na głowę hełm znaleziony w kabinie więźniarki. Ciężki, z opuszczaną przezroczystą osłoną, jakich milicjanci używali podczas pacyfikowania rozruchów. Na koniec sięgnął po długie gumowe rękawice, wyszperane w schowku na parterze obok środków czystości i sprzętu dla sprzątaczek.

Spojrzał po sobie, ponieważ nie miał pod ręką lustra. Wyglądał jak idiota, ale czy to ważne? Liczyło się tylko to, że był dobrze zabezpieczony. To, co zamierzał zrobić, wiązało się z upuszczeniem mnóstwa krwi, a nie miał gwarancji, że ta dziwka nie umrze, zanim jej na to pozwoli. Tymczasem kontakt z juchą martwej osoby, co wiedział dzięki ostrzeżeniom nadawanym przez wojsko, stanowił śmiertelne zagrożenie.

Sprycha się bał. Bardziej nawet niż kilka godzin temu w transporterze. Najmniejszy błąd mógł doprowadzić do tragedii, jednakże pokusa była zbyt wielka. Miał świadomość, że adoracja nie będzie pełna, ale kto wie, jak daleko uda mu się posunąć, jeśli nie tym razem, to następnym, gdy już nabierze wprawy i dowie się więcej o życiu po śmierci.

Sięgnął po gazik, nasączył go spirytusem, potem oczyścił dokładnie skórę na lewym przedramieniu skamlącej nieprzerwanie ofiary. Celowo starał się nie myśleć o niej jak o osobie, o kimś, kto posiada świadomość i uczucia. W chwili gdy zawisła na bloczku, stała się przedmiotem, nie, raczej narkotykiem, którego jedynym zadaniem było dostarczenie mu uniesień graniczących z ekstazą. Odrzucił kłębek poszarzałej od brudu tkaniny, nalał spirytusu do przyniesionego kieliszka, po czym zamoczył w nim ostrze skalpela.

Ciął pewnie, kreśląc proste linie, nawet te długie, sięgające od nadgarstka po łokieć. Wsłuchiwał się w skowyt ofiary, delectował się nim jak w najpiękniejszą arię operową. Znów było jak kiedyś, znów czuł to przepyszne uniesienie... Stłumił je jednak w zarodku, by nie zaślepiło go, nie poniosło. Musiał pamiętać, że eksperymentuje, że stąpa po cienkim lodzie, że pierwszy, nawet drobny błąd może być tym ostatnim. Postanowił zrezygnować ze znacznej części przyjemności, nie żałował jednak, wiedząc, że będą następne okazje. Teraz już mógł robić, co zechce, kiedy zechce i gdzie zechce.

Pora kończyć pierwszy etap, pomyślał i sięgnął po kleszcze. Zaciśnął ich końcówki tuż pod poprzecznym cięciem poniżej łokcia i pociągnął, odrywając zdecydowanym ruchem szeroki na pięć centymetrów i długi prawie na trzydzieści płat skóry.

Wrzask ofiary urwał się w momencie. Ciało stało się nagle bezwładne, ale na to akurat był przygotowany. Nie ona pierwsza omdlała w trakcie rytuału. Sięgnął po sole trzeźwiące. Wystarczy, że...

Ktoś załomotał do drzwi.

– Szeffie!

Rozpoznał głos Pigola.

– Powiedziałem, żeby mi pod żadnym pozorem nie przeszkadzać! – wydarł się, do białości rozwścieczony tym najściem.

– Tak, ale ja... – mamrotał za drzwiami wystraszony Zgorzelski.

– Nie ma żadnego ale! Won!

– Szeffie, to ja tylko powiem, że Kaczmarek i tamci wrócili. Upierają się, że muszą z szefem pomówić.

– Przekazałeś im, że jestem zajęty?

– Tak.

– Przekazałeś, co robię?

– Tak – odparł Pigol po chwili wahania. – Ale dalej nalegali. Inaczej bym tutaj nie schodził.

Fabian zamarł z na wpół uniesioną ręką. Właśnie sobie uświadomił, że nie słyszał ryku silników. *Czyżby ta piwnica była aż tak dobrze wytłumiona? Nie. Jak się dobrze wsłuchać, wciąż można wychwycić echa trwającej gdzieś tam daleko strzelaniny. Czyli chłopaki wrócili bez transporterów. Coś musiało się stać. Coś poważnego, skoro odważyli się mi przeszkodzić...*

Podetknął sole trzeźwiące ofierze, a gdy zachłysnęła się pierwszym wdechem, sięgnął po największy z noży.

– Wybaczcie, muszki, ale obowiązki wzywają – rzucił obojętnym tonem, po czym wbił ostrze w okolice wyrostka robaczkowego, przeciągnął nim szybko w poprzek brzucha, wykonując okrężne cięcie aż pod mostek.

Wypatroszył ją jak rzeźnik owcę. Uwolnione spod otrzewnej flaki natychmiast rozepchnęły ranę, rozdymając się, jakby je ktoś napompował, i spłynęły w dół po podrygującym ciele. Fabian nie wiedział, czy Porębska udusiła się krwią zalewającą jej krtań czy serce stanęło jej pierwsze. Miał to gdzieś. Spieprzono mu chwilę,

na którą od tak dawna czekał. Musiał to odreagować. Gdy znieruchomiła, opuścił ją tak, by głową dotykała posadzki i rozlewających się wokół niej wnętrzności.

– Jesteś tam jeszcze, Pigol? – zapytał, pozbywając się zakrwawionych rękawic.

– Tak, szefie.

– Dobrze. Poczekasz tutaj, aż to ścierwo się zregeneruje. To potrwa nie dłużej niż pół godziny. Dopiero wtedy wyprowadzisz stąd resztę tych dziwek i zwołasz Cangaceiro. Powiesz mu, że kazałem pozbyć się odmienia. Niech go zaciągnie tam, gdzie pozostałych. Zrozumiano?

– Tak, szefie.

Cerata i rękawice spoczęły na ziemi, niespryskany juchą hełm wylądował na stole. Sprycha wypadł z piwnicy i pokonując po dwa stopnie naraz, dotarł do sieni. Kaczmarek, Ulfig i Grzelak stali na placu obok furtki. Miny rzeczywiście mieli nietęgę.

– Co jest? – warknął Fabian, wychodząc na rozświetlone blaskiem słońca podwórze.

– Chodźmy na stronę, szefie – poprosił złodziej.

To, że nie chciał mówić otwarcie, tutaj, na widoku, świadczyć mogło tylko o jednym: miał do przekazania naprawdę niewesołe wieści. Sprycha nie chciał, by postronne bydło dostrzegło jego reakcję, przytaknął więc propozycji i poprowadził chłopaków za halę, do gabinetu kierownika, tego, w którym wisiał plan miasta.

– Dobra, gadać mi, o co chodzi! – zażądał, ledwie Grzelak zamknął za sobą drzwi.

– Tak sobie myślę, szefie, że powinniśmy odpuścić ten browar – zaczął niepewnie Kaczmarek.

– W dupie mam, co sobie myślisz, Kozak. Chcę wiedzieć, co się stało. I gdzie są te pieprzone transportery, po które was wysłałem.

– To może ja powiem – zaproponował Jakuz.

– Tylko się streszczaj, dobrze radzę! – rzucił Fabian, przysiadając na skraju biurka.

– Jest tak... – Ulfig oparł się o ścianę, jakby potrzebował podpory, i to nie tylko duchowej. – Wróciliśmy na ten placyk za

browarem, jak szef kazał, i zauważyliśmy coś dziwnego. Ktoś przestawił ten trzeci transporter. Teraz stoi na miejscu zabranego przez nas wozu. Okazało się też, że z obu zdemontowano cekaemy i pozbierano całą broń z ulicy. Ale to nie koniec, szefie. Skurwe syny nie dość, że powyjmowały akumulatory, to jeszcze wymontowały z silników, co się tylko dało. Nie mamy teraz co marzyć o odpaleniu tych maszyn.

– Ktoś nas musiał obserwować za pierwszym razem – wtrącił Grzelak. – Idę o zakład, że z tej kamienicy naprzeciwno.

Sprycha pokiwał wolno głową.

– Przycwanili dranie – zgodził się ze swoimi ludźmi – ale jednego nie wzięli pod uwagę.

– Czego, szefie?

– Że mamy BTR-a. Możemy z niego wymontować wszystko, co potrzebne, i tak uruchomić następnego! – Uśmiechnął się triumfalnie, ale zaraz spoważniał, widząc ich grobowe miny. – Da się to przecież zrobić?

– Jasne – odparł Ulfig. – Ale poprzebijanych kół i spuszczonego oleju tak łatwo nie wymienimy. Szefie, oni wiedzieli, co robią. Te wozy zostały unieruchomione na dobre – zakończył, akcentując ostatnie dwa słowa.

– Zaraz – mruknął Fabian. – Skąd wiecie, że powyjmowali akumulatory?

– Przeskoczyłem na ulicę i sprawdziłem – wyjaśnił Ulfig.

– Strzelali do ciebie?

– Nie...

– To dlaczego wyglądasz jak feldfel, któremu kończy się przepustka z frontu wschodniego?

– Bo to jeszcze nie wszystko, co mamy do powiedzenia, szefie – odezwał się Kaczmarek.

– Słucham zatem.

– W czasie gdy Jakuza grzebał przy transporterze, na rzece pojawiła się motorówka. Przyuważyli mnie dranie, bo wtedy na czujce stałem, na tych skrzyniach, i nie bardzo miałem jak uciec.

– To byli ci od transporterów? – zainteresował się Fabian.

– Nie. Ludzie tego całego Biedrzyckiego. Przyplłynęli sprawdzić,

co się stało z ich posterunkiem.

– I?

– Jeden zszedł na brzeg i obejrzał sobie wszystko.

– Dlaczego go nie zdjęliście?

– Czym? – obruszył się Kaczmarek. – Śmiechem miałem go zabić albo nieświeżym oddechem obezwładnić? Reszta załogi, uzbrojona po zęby, została na pokładzie i cały czas miała mnie na oku. Ten, który zszedł na brzeg, bez przerwy zadawał pytania. Skąd jestem, ile nas ocalało, jak się trzymamy. Takie tam brednie.

– A ty dowiedziałeś się czegoś ciekawego?

– Jasna sprawa! – Złodziej uśmiechnął się dumnie. – Podszedłem fiuta jak dziecko... – zaczął, ale umilkł, słysząc pogardliwe parsknięcie Grzelaka. – No co? – burknął.

– Jak dziecko, to on cię rozrobił – zaśmiał się Złotowa.

– Jak dziecko, to ty zaraz będziesz kleiki jadł, jeśli jeszcze raz mu przerwiesz – zagroził Sprycha. – Co ci powiedział ten skurwiel?

Kaczmarek zreferował pokrótce rozmowę z oficerem. Fabian markotniał z każdym wypowiedzianym przez niego zdaniem. Skoro żołnierze Biedrzyckiego zamierzają przejąć browar i uczynić z niego swoją bazę wypadową, gang nie zdoła temu przeszkodzić, nawet gdyby zdobył kolejne BTR-y i wystarczającą ilość broni. Chłopaki, choć nie brakowało im ikry, nie mogli się równać z regularnymi, ostrzelanymi oddziałami. Zwłaszcza że będą mieć nad nimi ogromną przewagę liczebną. Nawet gdyby udało im się utrzymać browar, z czasem stałby się dla nich pułapką.

Słodycz dzisiejszego sukcesu zaczynała nabierać posmaku goryczy, jakby ktoś do niej dziegiu dolewał. I to nie jedną łyżkę.

– To faktycznie zmienia postać rzeczy – przyznał Sprycha. – Nie wiesz, kiedy tam się pojawiają?

– Z tego, co powiedział ten podporucznik, może to nastąpić lada dzień.

– Ta ich akcja oczyszczania miasta to też nie ściema – dodał Jakuza.

– Tak...

Sprycha musiał to sobie przemyśleć.

Odwrócił się plecami do swoich ludzi i spojrzął na plan miasta. Jedno było pewne: zajezdnia przestała być miejscem, w którym chciałby zostać. Jeśli wojsko zajmie browar, ktoś z lokatorów może się pokusić o wycieczkę torami, na przykład po zmroku, i nadać na nich mundurowym, a wtedy... Mieszkańcy Słowiańskiej zostali dzisiaj złamani, był tego całkowicie pewien, lecz nawet najbledszy cień nadziei może zachęcić kogoś z nich do zrobienia czegoś głupiego.

– Trzeba będzie zabrać im wszystkie radia – mruknął, nawet o tym nie wiedząc.

– Komu? – zdziwił się Grzelak.

– Nieważne, tak tylko na głos myślę – burknął gniewnie Fabian, zły na siebie, że uległ chwilowemu rozkojarzeniu.

– Po mojemu – obwieścił nagle Ulfig – powinniśmy stąd spierdalać. I to szybko, zanim pojawią się nowi sąsiedzi. Wrocław jest duży, pojedźmy gdzieś daleko od rzeki, najlepiej aż za Dworzec Główny – wskazał południową część metropolii. – Tam za rok nie dojdą, nawet jeśli im się uda oczyścić tę część miasta.

– O ile mają trochę rozumu we łbach, będą się trzymać wysp – poparł go Kaczmarek. – My tu też jesteśmy na wyspie, jakbyście nie wiedzieli.

– Jakuza dobrze gada – wtrącił Grzelak – ale najpierw trzeba by jednak skołować broń i amunicję.

– Tylko skąd? – Złodziej pomarkotniał.

Fabian zeskoczył z biurka i podszedł do wielkiej mapy, którą z taką uwagą studiowali od dłuższej chwili. Że też o tym wcześniej nie pomyślał!

– Co powiecie, panowie, na chwilowy powrót pod celę?

niedziela, 11 sierpnia 1963, godzina 17:04
Miejski Ogród Zoologiczny przy ulicy Wróblewskiego 1-5

Biedrzycki przyglądał się z zainteresowaniem mijanym posesjom przy Rosenbergów. Tu i ówdzie widział leżące na chodnikach albo trawnikach skrępowane sznurami postacie. Z daleka zombie wyglądali jak najzwyklejsi ludzie, zwłaszcza gdy brakowało czasu, by im się dokładniej przyjrzeć. Major napatrzył się jednak do tej pory na tyłu zarażonych, że bez trudu zachowywał całkowitą obojętność nawet wtedy, gdy miał przed oczami odmienione dzieci. Wzdłuż ulicy zgromadzono dziesiątki związanych, podrygujących ciał. Żołnierze z oddziałów pomocniczych przeciągali na Rosenbergów każdego obezwładnionego w okolicy nieumarłego, by transportowcy nie musieli się zapuszczać w boczne alejki i zaułki.

Opracowany minionego wieczoru system sprawdzał się, ale wiele wskazywało na to, że da się go jeszcze bardziej usprawnić. Tym razem w poczynaniach wojska nie było nawet cienia chaosu, żadnych pochopnych decyzji ani nieprzemyślanych działań. Czysta pragmatyka – ponieważ tylko ona dawała efekty, o czym Bartek przekonał się teraz naocznie.

Stu szesnastu ludzi oczyściło w ciągu czterech godzin cały teren pomiędzy Halą Ludową a wysadzonym dzień wcześniej mostem Szczytnickim. I to przy praktycznie zerowych stratach. Wprawdzie parę osób odniosło rany, na szczęście niezbyt poważne, kiedy przyszło im się wycofać w pośpiechu z szeregu nadodrzańskich kamieniczek, stojących u wylotu ulicy nieopodal zawałonej przeprawy. Trafiono tam na spore skupisko zarażonych, w tym ponad dwudziestu odmienionych milicjantów, którzy po przerwaniu kordonu w sobotę nad ranem szukali schronienia w najbliższych zabudowaniach, nie wiedząc, że czeka tam na nich tylko śmierć.

Wyłuskiwano ich pojedynczo i grupkami, metodą zaproponowaną przez Niznera, tą samą, którą zastosowali anonimowi cywile, aby odciągnąć kilkutysięczną horde żywych trupów spod mostu Warszawskiego. W tym wypadku użyto jednak nie transportera opancerzonego, lecz... rowerów. Biedrzycki rozważał posłanie na miejsce akcji gazika, ale po krótkim namyśle zrezygnował z tego pomysłu, ponieważ wolał oszczędzać paliwo, by nie zabrakło go do ciężarówek, które wywoziły obezwładnionych zombie, kursując nieprzerwanie aż na wały przy mostach Jagiellońskich, gdzie schwytani odmieńcy trafiali na pokłady barek.

Jednoślady były wystarczająco szybkie, by jeżdżący nimi ochotnicy mogli urwać się pogoni, zwłaszcza że mieli niezachwianą pewność, iż wycofują się na oczyszczony uprzednio teren, gdzie nic im nie grozi. Wywabionych przez nich zombie rozpraszano następnie w podobny sposób na tyle, na ile to było możliwe, i ostrzeliwano – na zimno, z odległości kilku kroków, by nie marnować amunicji. Najpierw dwie kule w kolana, a potem, gdy nieumarły już leżał, dwie kolejne w stawy barkowe, aby nie był w stanie poruszyć rękami. Proces regeneracji był na szczęście tak powolny, że pracującym przy wiązaniu ludziom nic nie groziło, jeśli tylko nie okazywali nadmiernej pewności siebie.

Bernaciak obiecywał w ostatnim meldunku, że jeszcze przed dziewiętnastą usunie ostatnich zombie z zabudowań pomiędzy ulicą Mickiewicza a aleją Młodej Gwardii, po czym zajmie się doczyszczaniem parku Szczytnickiego. Tego wieczoru jego ludzie mieli dotrzeć do krańców terenów zielonych, pod Pola Marsowe na wschodzie oraz do biegnących na południe ulic 9 Maja, Pugeta i Cmentarnej, co oznaczało, że wojsko przejmie kontrolę nad ponad czwartą częścią wyspy.

Jak to pięknie brzmi, pomyślał Biedrzycki, ćwierć Wielkiej Wyspy odbite w ciągu jednego dnia. Idealny tekst do komunikatu propagandowego, ale nic więcej. Ten sukces, niewątpliwy i spory, nie przekładał się bowiem nijak na tempo dalszych działań. Zaczęto od najłatwiejszej części zadania, jaką było

spacyfikowanie terenów rzadko zamieszkanym, na których znajdowały się niemal wyłącznie poniemieckie wille – w przeważającej mierze opuszczone wcześniej przez lokatorów – oraz rozległe parki. W takich miejscach nietrudno było wyłapać nielicznych nieumarłych. Uczyniono to skwapliwie, aby podbudować morale żołnierzy wciąż przeżywających poniesione niedawne straty.

Prawdziwe wyzwanie dopiero nadejdzie, gdy oddziały kapitana wyruszą dalej na wschód, zagłębiając się w wąskie uliczki Biskupina i Sępolna. Pacyfikacja gęsto zamieszkanym terenów po tej stronie rzeki będzie istnym sprawdzianem dla żołnierzy i ich dowódców, ponieważ o ile w dotychczas przejętym rejonie mieszkało przed zarazą około tysiąca ludzi, o tyle na osiedlach było ich co najmniej piętnaście, a może nawet dwadzieścia razy więcej. A to przecież miał być dopiero przedsmak walk, które trzeba będzie stoczyć – jeśli zapadnie taka decyzja – na zachodzie, za Odrą, gdzie spośród prawie pół miliona mieszkańców Wrocławia ocalało góra kilka tysięcy.

Pięćset tysięcy żywych trupów – ta niewyobrażalna liczba mogła wprowadzić człowieka w zwątpienie, tymczasem był to dopiero początek, wierzchnia warstwa problemu...

Ulica Cmentarna. Ta nazwa kołatała się po głowie majora jak kuleczka w potrząsanej ręką dziecka grzechotce. Biedrzycki wzdrygnął się na wspomnienie niedawnych słów podporucznika Niznera. W ziemi spoczywało trzy razy tyle ciał. Na cmentarzach, ale też w parkach, na skwerach, podwórzach, nawet na dnie rzeki. Ludzie ginęli we Wrocławiu masowo, zwłaszcza podczas ostatnich miesięcy wojny, gdy miasto ogłoszono twierdzą. Ci, którzy mieli szczęście, doczekali się godnego pochówku, resztę grzebano gdzie bądź i byle jak. Później często ginęli grabarze z przypadku i wszelka pamięć o nieoznakowanych mogiłach, nierzadko masowych, umierała razem z nimi.

Jeśli Mawet ma choć odrobinę racji w swoich przypuszczeniach, powinniśmy szykować się na prawdziwy horror. Bartek spojrział z odrazą na młode drzewka wyrastające z szerokiego trawnika dzielącego jezdnię od brukowanych chodników. *Pod nimi także*

mogą spoczywać szczątki, które zaraza pobudziła do ponownego życia.

Trzeba było to zbadać, lecz jak na złość jedyna nekropolia na wyspie mieściła się daleko na północno-wschodnich krańcach, za ludnym niegdyś Sępólnem, aczkolwiek na szczęście sąsiadowała bezpośrednio z wałami, dzięki czemu można było myśleć o dotarciu tam w miarę bezpiecznie drogą wodną. *To kolejny priorytet, który należy dopisać do wydłużającej się wciąż listy koniecznych działań, zakonotował sobie major. Tyle dobrego, że ekshumacji podjęli się ludzie Arendzikowskiego, więc sprawę da się utrzymać w tajemnicy, przynajmniej dopóki nie zajdzie konieczność jej wyjawienia. Trzymajmy kciuki, żeby stało się to jak najpóźniej!*

Co przyniesie jutro? Jakie jeszcze niespodzianki szykuje im matka natura lub – nie daj Boże – siła wyższa? Nad tym Biedrzycki wolał się nie zastanawiać. Miał na głowie wystarczająco dużo problemów, a na miejsce każdego rozwiązanego pojawiały się dwa nowe.

– Panie majorze – z zamyślenia wyrwał go kierowca. – Centrala do was!

Prowadzący wóz żołnierz wyciągnął do niego rękę ze słuchawką radiotelefonu.

– Tu Biedrzycki – rzucił, przykładając ją do ucha.

– Majorze, melduje się Nizner – usłyszał zwięzłą odpowiedź. – Jestem w więzieniu.

– Za co was posadzili? – zażartował major, który rozpaczliwie potrzebował oderwać się od czarnych myśli.

– Słucham? – zdziwił się podporucznik.

– To ja słucham. Meldujcie.

– Tajest. Sytuacja przedstawia się następująco. Naczelnik spieprzył do bunkra pod KC razem z resztą przydupasów Zatylnego. Jego zastępca, niejaki kapitan Okrutny, przejął jego obowiązki, po czym... ogłosił powszechną amnestię w imieniu swoim i sąsiadów.

– Co takiego? – Biedrzycki nie wierzył własnym uszom.

– Wypuścił wszystkich więźniów tuż przed terminem

planowanego nalotu, aby ściągnąć na teren zakładu karnego swojaków, to znaczy rodziny strażników i pracowników. Chciał uratować ich przed Ruskimi, bo wiecie, ktoś pod KC rozpuścił plotkę, że towarzysz, tfu, sekretarz, wezwał bratnią pomoc, która oczyści miasto ze wszystkiego, co nie żyje... i żyje przy okazji.

– Coś na ten temat słyszałem – przyznał Bartek.

– No więc ten Okrutny uwierzył w rychłe wkroczenie krasnoarmiejców i pozbył się więźniów, żeby dać szansę ocalenia swoim. Z tego, co mi mówiono, zdążył ściągnąć do więzienia ponad pięćset osób.

– Z tego, co wam mówiono? – zdziwił się major. – Nie rozmawialiście z nim osobiście? Zginął?

– Nie. Nie zginął. Leży przede mną, napruty jak messerschmitt.

– A to dopiero kanalia! – obruszył się Bartek.

– Nie do końca, majorze. Żebyście wiedzieli, co ci ludzie tu przeszli... – Nizner zawiesił głos.

– Gorzej od nas nie mogli mieć.

– I tu się mylicie.

– No to meldujcie, a nie pieprzcie mi tu farmazonów! – rozszłościł się Biedrzycki.

– Tajest. Niedługo później doszło do masakry. Ten wybuch, wiecie, ten, co myśleliśmy, że to atomówka... nastąpił niedaleko stąd, na moście kolejowym przy porcie. Na całą okolicę pospadało mnóstwo płonących szczątków cystern. Jeden rozpieprzył więzienną kaplicę. Kupa ludzi zginęła na miejscu, a jeszcze więcej straciło życie, rzucając się na ratunek rannym. Ale to była dopiero przygrywka. Oni postanowili palić ciała zarażonych... – dodał znaczącym tonem.

– Pojebało ich?

– Robili to, zanim zaczęliśmy nadawać ostrzeżenia. Chyba. W każdym razie nie mieli pojęcia o zagrożeniu, jakie stwarza wdychanie dymu ze stosów. Zresztą w tym wypadku można by dyskutować, czy to miało większy wpływ na sytuację. Cała ta okolica była zakopcona przez pół nocy, jeszcze z piątku na sobotę, z tego, co mi powiedziano.

– Streszczajcie się, Nizner!

– Tajest. W nocy z soboty na niedzielę w więzieniu doszło do masowej przemiany, która zdziesiątkowała mundurowych i cywili. Z masakry ocalała setka z niewielkim okładem. Tylko dlatego, że część ludzi pozamykano za naszą radą w celach. Rozwiązanie wydawało się dobre...

– Bo było dobre. Gdyby ich nie pozamykano, pewnie nikt by tam nie przetrwał.

– Dla nas to jasne, ale kapitan Okrutny uznał, że to wszystko jego wina. Wiecie, ci ludzie ginęli na jego oczach. To przecież on kazał odciąć im jedyną drogę ucieczki.

– Dzięki czemu uratował tych, którzy nie zostali zarażeni.

– Wy to wiecie, ja to wiem, ale jego przygniotło poczucie winy. Niby oficer służby więziennej, a jak się okazuje, ma sumienie.

– Akurat to, że ludzie padali jak muchy, nie obciąża jego sumienia – stwierdził Bartek. – Można nawet powiedzieć, że dwadzieścia procent ocalonych to ogromny sukces.

– Skoro o sukcesach mowa, powiem wam przy okazji, że wpadli tu na parę naprawdę świetnych pomysłów, dzięki którym bez amunicji poradzili sobie z pacyfikacją rzeszy nieumarłych... – Nizner opowiedział przełożonemu o chwytakach, wabieniu żywych trupów na spacerunki i eksperymencie ze świnia.

– Zasługi zasługami, ale tego wypuszczenia kryminalistów mu nie daruję.

– Daleko nie uciekli. Większość paradyje wciąż po ulicy prowadzącej do pobliskiego dworca. Poznać ich po twarzowych wdziankach.

– Większość, powiadacie, a reszta? Zaraz, zaraz! – Biedrzycki zmienił ton głosu. – A co zrobili z recydywistami i tymi o najwyższych wyrokach? Z tymi, którzy odsiadawali dożywocia i czekali na egzekucje? Musieli ich mieć tam setkę, jeśli nie więcej.

– Z tego, co powiedział mi chorąży Rojewski, to znaczy jeden z trzech funkcjonariuszy, którzy przeżyli tę hekatombę, najgorszych drani zapakowano w dobrze zamknięte więźniarki i porzucono gdzieś na mieście, aby Ruscy się nimi zajęli.

– Sprytnie posunięcie – przyznał major. – Niestety jak obaj doskonale wiemy, opcja ruskiej interwencji to mrzonka. Nie

chciałbym być w skórze Okrutnego, jeśli choć jeden z tych drani zdołał się wydostać na wolność.

– Zostawiono ich w zamkniętych więźniarkach, na otwartym terenie, w czasie, gdy nasi się wycofywali. Wiecie, te więźniarki to prawie pancerne auta, wątpię więc, by więźniowie zdołali się oswobodzić. Zwłaszcza że wozy były odpowiednio oznaczone, a w sobotę rano nikt rozsądny po ulicach się nie szwendał. A już zwłaszcza ślusarze z narzędziami, bo tylko ktoś taki mógłby sobie poradzić z zamkami. A przy tym upale, jaki mamy od piątku... – nie musiał kończyć.

Dwudziestu mężczyzn, ściśniętych przez wiele godzin w czymś, co przypomina wielki piekarnik, w dodatku pozbawionych sumienia kryminalistów, to przecież doskonały przepis na masakrę. A pierwszy zabity...

– Wiecie, gdzie ich wywieziono?

– Nie. To wie tylko Okrutny. Rojewski mówi, że kierowcy wrócili po dziesięciu czy piętnastu minutach, zatem nie mogli odjechać zbyt daleko, ale ich nie przepytam, bo wszyscy poginęli.

– Dobudźcie więc tego moczymordę i wyciągnijcie z niego tę informację!

– To raczej nie wchodzi w grę, majorze. Próbowaliśmy. Nawet kubeł lodowatej wody nie podziałał. Facet jest wielki jak tur, ale wychłał w pojedynkę ponad litr Swojczyckiego. Minie doba, zanim wytrzeźwieje na tyle, żeby gadać z sensem.

– Dobrze, w takim razie zostawmy go w spokoju. Nie to jest teraz najważniejsze. Przekażcie Rojewskiemu radiostację, tak jak się umówiliśmy, i wracajcie.

– Tajest. Ale jeszcze jedną sprawę mam... Mawet prosił, żeby zapytać, czy nie powinien zostać i przejąć w naszym imieniu dowodzenia tym obiektem. Moglibyśmy zabrać zamiast niego Okrutnego. Wypytalibyście go na miejscu, jak tylko wytrzeźwieje.

Biedrzycki rozważył tę propozycję.

– Nie. Mawet wraca z wami. Mam tu dla niego o wiele ważniejszą robotę. Ilu mężczyzn tam ocalało?

– Zdolnych do noszenia broni?

– O innych bym nie pytał.

- Niewielu, może z dziesięciu się nada. Reszta to baby i dzieci.
- Szlag.
- Wiecie, majorze, baby też się nadają do tej roboty. Tutaj na przykład doskonale się sprawdziły. Rojewski mówił, że w paru momentach odegrały nawet kluczową rolę, mobilizując facetów.
- Platerówek mi tu tylko brakuje – zachnął się Bartek.
- Na moje oko będziemy musieli po nie sięgnąć prędzej czy później.
- Przemysłę to. Powiedzcie mi jeszcze, czy to więzienie nadaje się na bazę wypadową.
- Moim zdaniem idealnie. Jeśli oczyścimy je z nieumarłych, możemy stworzyć coś w rodzaju twierdzy. Dostęp do rzeki jest łatwy, doszliśmy tutaj bez żadnego problemu przez park należący do szpitala psychiatrycznego.
- Szpital... – Bartek westchnął ciężko.
- Kolejne miejsce, które powinni sprawdzić. Takie instytucje były przecież strzeżone równie dobrze jak więzienia – pacjenci mogli jakimś cudem przetrwać. A skoro ktoś tam żyje, nie zasługuje na powolne konanie z głodu.
- Zbadajcie sytuację... – zaczął.
- Bojczewski już się tym zajął, majorze. – Nizner wpadł mu w słowo. – Parę lat temu pracował w tej klinice – dodał tonem wyjaśnienia.
- I co?
- Mówi, że na każdych drzwiach ktoś wymalował napis: „Nie wchodzić. Wszyscy nie żyją”.
- Dziwne. Tam powinno ocaleć więcej osób niż gdzie indziej.
- Nie mnie to oceniać, ale chyba ktoś z personelu postanowił skrócić cierpienia pacjentów. Mirek jest podobnego zdania.
- Co wy mówicie? To barbarzyństwo!
- W sytuacji, gdy większość lekarzy i pielęgniarzy zbiegła, chorzy byli pozostawieni sami sobie. Czekali ich znacznie gorszy los niż... – Nizner zamilkł. – Bojczewski tak to przedstawił. Jako wybór mniejszego zła. Trudno się z nim nie zgodzić, chociaż mam podobne odczucia jak wy. I sam nigdy bym się na coś takiego nie zdecydował.

Biedrzycki nie wiedział, co powiedzieć. Świat stanął na głowie. Dobro, jakim je znał, dzisiaj mogło okazać się czymś gorszym od dawnego zła. Właśnie uświadomił sobie, że wybory, których przyjdzie im dokonywać, nie będą już takie proste ani oczywiste.

– Dobra, Nizner, muszę kończyć, bo właśnie dojeżdżamy na pierwszą linię. – Urwał na moment. – Pakujcie się do motorówki, po drodze opracujecie mi plan ewakuacji i zabezpieczenia tego miejsca. Zostawimy w więzieniu szkieletową załogę, Rojewskiego i wszystkich, którzy jego zdaniem nadają się do służby. Resztę zabierzemy za kilka dni drogą wodną. Oczyszciliśmy dzielnicę domków jednorodzinnych, szkoła też jest już w naszych rękach... była zamknięta na głucho z powodu wakacji, a wszystkie półkolonie dawno już odwołano, więc nie napotkaliśmy żadnego oporu. Jak dobrze pójdzie, od jutra zaczniemy przyjmować uchodźców. Teraz każda para rąk się przyda.

– Tajest.

– Zaczekajcie... Przywieźcie tu jeden taki chwytak, na wzór dla naszych. Z tego, co mówiliście, może nam znacznie ułatwić robotę.

niedziela, 11 sierpnia 1963, godzina 22:00
Zajezdnia Tramwajowa Nr 2 przy ulicy Słowiańskiej 16–30

Pokonanie ogrodzenia nie było wielkim wyzwaniem, zwłaszcza dla osoby, która znała tę okolicę od urodzenia i nieraz zakradała się na teren zajezdni, a Paulina Bugiel robiła to, odkąd pamiętała. Kochała tramwaje, ciągnęła więc ze sobą siostrę, żeby pobawić się w motorniczą. Ciecie nie raz je przydybali, gdy nieopatrznie szarpnęły za mocno sznurek dzwonka albo narobiły innego rabanu, o co w takim miejscu nietrudno, jednakże wpadły tylko raz, przez nieporadność Patrycji, tę samą, przez którą i teraz jej siostra została złapana.

Paulina była czujna jak ptak. Najpierw bała się zarażonych, potem, gdy Głuszek z innymi zadbał o bezpieczeństwo mieszkańców ich klatki, z coraz większym niepokojem przyglądała się poczynaniom ludzi, którzy zajęli jej ukochaną zajezdnię. Kiedy przyszli, była gotowa. Przyczaiła się na półpiętrze i stamtąd usłyszała, że przepytują Aleksa. Po tym jak wymienił jej nazwisko, wiedziała, że musi uciekać.

– Zbieraj się, Pati – szepnęła do przerażonej siostry, ledwie zamknęła za sobą drzwi mieszkania. – Nie bierz nic, tylko chlebak z żarciem. Wrócimy do domu, jak sobie stąd pójdą.

Opracowała plan na taką okoliczność już pierwszego dnia, gdy tylko zobaczyła, co ci dranie wyprawiają na Słowiańskiej. Przygotowała dwie torby, do których trafiła połowa zapasów żywności, scyzoryki ojca, manierki z wodą, latarki na baterie, trochę leków, środki opatrunkowe, paczka waty, parę rzeczy na zmianę. Wszystko to, co mogło być potrzebne do przeżycia, gdyby zostały zmuszone do opuszczenia mieszkania na dłużej.

Patrycja potaknęła, przerzuciła posłusznie chlebak przez ramię, jak to wielokrotnie ćwiczyły. Właśnie zakładały buty, gdy na zewnątrz, na ich piętrze, rozległy się głosy. Paulina w ostatnim

momencie przypadła do siostry i zatkała jej usta dłonią. Zamarły w przedziwnej pozie, wciśnięte między pałta rodziców pośrodku ciemnego przedpokoju, wsłuchując się uważnie w każdy dźwięk dobiegający z klatki schodowej. Na ich szczęście bandyci szukali strychu i bez trudu znaleźli wejście na poddasze.

Odczekały dłuższą chwilę, z uszami przytkniętymi do szpary na listy. Najpierw jeden pognał na dół, jakby mu tyłek przypalano rozżarzoną żelazką, potem drugi podążył jego śladem, klęcząc jak szewc. Zapadła cisza. Paulina policzyła do dziesięciu, następnie przesunęła bardzo powoli łańcuch zabezpieczający, otworzyła ostrożnie oba zamki i uchyliwszy skrzypiące cicho drzwi, wyjrzała na klatkę schodową.

Pusto.

Skinęła na siostrę, przytykając palec do ust, a gdy Patrycja potwierdziła ruchem głowy, że rozumie, ruszyła w stronę wejścia na strych. Na dół nie było sensu iść. Sądząc po odgłosach, bandyci urzędowali jakieś dwa piętra niżej na klatce schodowej, nie miałyby więc najmniejszych szans na przemknięcie się obok nich. Pozostała im tylko jedna droga ucieczki – dach.

– Oszalałaś? – pisnęła cichutko Patrycja.

Choć były siostrami, różniły się tak bardzo, jak to tylko możliwe – nie wyglądem oczywiście, lecz charakterem, a nawet sprawnością fizyczną, mimo że obie miały podobną budowę ciała. Paula nie bała się niczego, Pati mdlała na widok własnego cienia.

– Oni po nas przyjdą. Chcesz skończyć jak tamte kobiety? – Rezulutniejsza z sióstr nie musiała precyzować, o kogo jej chodzi. Obie wypłakały sobie oczy, zagryzając kostki do krwi podczas obserwowania zmagania nieszczęsnych matek. – Te potwory nie znają litości.

– Ale ja spadnę! – upierała się Patrycja.

– Nie spadniesz. Wyjdziemy przez okno, wiesz które, wespniemy się po piorunochronie na dach i ukryjemy za kominem na szczycie dachu sąsiedniej kamienicy. Tam nas na pewno nie znajdą.

Musiały wybrać trudniejszą drogę, ponieważ normalne wyjście

na dach było zamknięte na kłódkę, wielką i naprawdę solidną, do której kluczem dysponowała tylko administracja. Owszem, mogłyby pokonać zabezpieczenie, miały nawet piłkę do metalu w domu, ale trwałoby to zbyt długo, no i narobiłyby przy tym sporo hałasu.

– Spadnę, siora. Wystarczy, że spojrzę w dół... – mamrotała opierająca się przy każdym kroku Patrycja.

Miała tak potworny lęk wysokości, że na samą myśl o wyjściu za okno jej dłonie i stopy ociekały potem. To był problem, duży problem, jednakże musiały sobie z nim poradzić, jeśli chciały żyć.

– Spróbuj chociaż! – poprosiła natarczywym szeptem Paulina.

Pati przełknęła głośno ślinę, podeszła do uchylonego okna, ale wystarczyło, że wysunęła na zewnątrz głowę, by strach dopadł ją z taką mocą, że aż przysiadła. To były przecież całe cztery piętra, nie licząc wysokiego parteru. Dwadzieścia metrów jak w morde strzelił. Dla niej co najmniej ściana Giewontu.

– Nie mogę.

– Zrobimy inaczej – zaproponowała Paulina. – Ja wyjdę pierwsza i cię wciągnę.

– Nie...

– Cały czas będę cię asekurowała.

– Nie...

– Zamkniesz oczy, dasz radę. To tylko metr wspinaczki, nie więcej, a piorunochron wytrzymał nawet wagę Aleksa, który jest dwa razy cięższy od ciebie.

Paula wymykała się na dach kilkakrotnie. Raz namówiła na to syna sąsiadów z dołu. Wszedł za nią, choć sądząc po minie, żałował swojej decyzji i nawet ten całus, który pozwoliła sobie skraść, jego pierwszy, nie był w stanie tego wynagrodzić. Już nigdy więcej nie dał się skusić na taką randkę.

– Nie mogę, Paula... – Siostra pokazała jej potwornie spocone dłonie.

– Musisz! – Skoro prośba nie zadziałała, pora na groźby. – Trafienie w łapy tych drani to coś gorszego niż śmierć, uwierz mi, Pati.

– Ale ja...

– Spróbuj chociaż.
– Daj mi chwilę.
– Jasne. Nic na siłę. Oddychaj głęboko. Będzie dobrze, wykaraskamy się z tego, jak zawsze. – Paulina pocieszała ją, jak umiała.

Zwalczenie atawistycznego lęku wysokości nie było łatwe, szczególnie że Patrycja bała się zeskoczyć z trzepaka, po tym, jak już udało się ją namówić, by na niego weszła. Pozostawanie w tym miejscu niosło wszakże ryzyko, i to spore. Bandyci mogli w każdej chwili wrócić na górę. Dlatego siostry Bugiel przycupnęły przy drzwiach strychu, by zawczasu usłyszeć odgłosy zbliżających się kroków.

Po kilku minutach hałasy na dole umilkły, a wcześniej ktoś tłukł się tam strasznie, jakby rozwaliał jakiś mebel.

– Wystarczy? – Zaniepokojona Patrycja przeniosła wzrok na siostrę.

Ta pokręciła zdecydowanie głową. Była blada jak kreda, dało się to zauważyć nawet w półmroku panującym na surowym poddaszu kamienicy.

Nagle poczuły swąd. *Ci dranie podpalają dom?* To była pierwsza myśl obu dziewczyn, ale nie, musiało chodzić o coś innego, ponieważ nikt nie uciekał. Moment później na dole, chyba piętro niżej, ktoś zaczął wywahać drzwi. Padły strzały, cztery, jeden po drugim. Po nich rozległy się dzikie wrzaski.

– Wystarczy! – Paulina pociągnęła siostrę do okna.

Wysunęła się zwinnie na zewnątrz, jak wezwany kiedyś przez ojca kominiarz, któremu trzymała torbę z narzędziami i gracę. Rzuciła na dach najpierw swój chlebak, potem ten należący do siostry. Chwyciła pewnie za rozgrzany słońcem drut i opierając się stopami o wąski parapet, dłońmi sięgnęła do krawędzi dachu.

– Widzisz, jakie to łatwe? – wysapała.

Skłamała. Sama musiała wyteńczyć wszystkie siły, by dostać się na pokrytą papą przestrzeń za rynną, ale zrobiła to, nie wydając żadnego dźwięku, by nie spłoszyć Pati. Obróciła się natychmiast, by wyciągnąć do siostry rękę, lecz ta, spanikowana, zamykała właśnie okno.

- Co ty wyprawiasz?! – syknęła zdesperowana Paula.
- Ty uciekaj, ja się tu schowam – odparła Patrycja.
- Gdzie? Te dranie przekopią wszystkie mieszkania. To złodzieje i mordercy. Wiedzą, gdzie i jak szukać.
- Tu się schowam.

Patrycja rozejrzała się pośpiesznie po strychu. Bandyci zabrali z niego wszystkie sznury do prania, ale cała pościel, ręczniki i suszące się ubrania leżały na zakurzonych deskach podłogi. Było tego tyle, że mogła usypać w kącie sporą przyzmę i zakopać się w niej jak te kraby w piasku, o których czytały w jednej z przygód Tomka Wilmowskiego.

Wściekła Paulina mogła tylko patrzeć zza szyby, jak siostra znosi poszwy i prześcieradła, a później, posławszy jej ostatni uśmiech, zaszywa się pod nimi. Bała się walić w okno, żeby nie usłyszeli jej tamci. Zbicie szyby także nie wchodziło w grę, bo nie tylko by ich zaalarmowała, ale też pokazała im, którądy uciekła i gdzie się ukryła.

Mimo wszystko postanowiła zostać na posterunku, by zobaczyć, jak się sprawy potoczą. Po nie tak znów długim czasie doczekała się ich przyjścia. Najpierw przetrząsnęli mieszkanie. Robili to szybko, lecz metodycznie – słyszała ich gniewne pokrzykiwania, gdyż okna były otwarte na oścież z powodu upałów, a ona znajdowała się tylko dwa, może trzy metry wyżej. W końcu jeden stwierdził, ku jej przerażeniu, że warto by zajrzeć ponownie na strych. Był to dla niej znak, że musi wiać. Błyskawicznie wspięła się na dach i przywarła do jego krawędzi. *Nie*, uznała po chwili, *któryś może tu przecież zaraz zajrzeć...*

Chwyciwszy oba chlebaki, pobiegła najostrożniej, jak umiała, ku sąsiedniej, narożnej kamienicy i dopiero tam przysiadła, za szerokim kominem, cała rozdygotana.

Siostrę zobaczyła wkrótce później, gdy wlekli ją za włosy, pobitą, zapłakaną, do dawnego ośrodka zdrowia. W miejsce, do którego postanowiła się teraz zakraść.

Zajezdnia, na jednym tylko odcinku, tuż za rogiem Krętej, nie była chroniona porządnym ogrodzeniem, lecz zwykłym płotkiem. Paulina poczekała więc do zapadnięcia zmroku, po czym zeszła

z dachu, oknem, którego bandyci użyli, ale na szczęście nie zamknęli za sobą. Wróciła do splądrowanego mieszkania, przebrała się w najczarniejsze rzeczy, jakie miała, a potem dla pewności wysmarowała twarz i dłonie sadzą z popielnika w kuchni. Zrobiła wszystko, by jak najmniej rzucać się w oczy.

Zeszła na dół dopiero przed dziesiątą, gdy do willi w zajezdni zleźli się wszyscy bandyci prócz dwóch trzymających jak zwykle wartę w stróżówkach. Przekradła się z podwórza do ogródka jordanowskiego, potem przebiegła na drugą stronę Krętej, do narożnego pustostanu. Tam odczekała dłuższą chwilę, wstrzymując oddech, jednakże dookoła panował niczym nie zmącony spokój. Wpatrywała się uważnie w okna niewielkiego budynku za ogrodzeniem. Wyglądało na to, że bandyci zebrali się na parterze, tam gdzie po złapaniu zaciągnął je lata temu cieć, ten sam, którego powlekli niedawno do baru „Pod Jedyńką”. Wtedy skończyło się na zwykłej burze i powiadomieniu rodziców; jeśli dziś da się przyłapać, konsekwencje będą znacznie poważniejsze. Kto wie, czy nie zapłaci za tę śmiałość życiem. Nie zamierzała jednak rezygnować, musiała odszukać siostrę, pokazać się jej, dać znać, że pracuje nad tym, jak ją wydostać.

Przemknęła na drugą stronę ulicy i przeskoczyła przez płot zwinnie, prostą przerzutką, jak nauczyli ją koledzy z klasy. Wylądowała w trawie między krzewami, które kryły ją zarówno przed wzrokiem wartownika, jak i ewentualnych obserwatorów stojących przy którymś z okien. W tych ciuchach, w czapce i z wysmarowaną twarzą zlewała się z otoczeniem, wtapiała w mrok, mogła być więc pewna, że jeśli zachowa odpowiednią ostrożność, zdoła podejść pod sam budynek, nie dając się zauważyć, nawet jeśli ktoś będzie spoglądał w jej stronę. Gęste zarośla powinny ułatwić jej zadanie, zwłaszcza że wczesnym popołudniem zerwał się nareszcie mocniejszy wiatr, dzięki któremu gałęzie i liście nieustannie falowały, maskując każdy jej ruch.

Dotarła pod tylną ścianę willi po kilku minutach powolnego pełzania. Przywarła do łuszczącego się tynku pod jednym z oświetlonych okien i zamarła jak przyczajony w sieci pająk.

Z wnętrza dobiegały odgłosy spokojnej rozmowy. Nie musiała się specjalnie wysilać, by zrozumieć poszczególne słowa. Choć bandyci nie podnosili głosu, słyszała ich wyraźnie, ponieważ także pootwierali okna, żeby nie siedzieć w zaduchu.

* * *

Sprycha od dłuższego czasu gapił się na plan miasta, który kazał zdjąć ze ściany w przybudówce biurowej i ustawić w swoim pokoju. Musiał podjąć ważną decyzję, a nie zamierzał robić tego pochopnie. Pomysł z przeprowadzką do browaru nie wypalił, ale była to tylko jedna z wielu opcji, być może wcale nie najlepsza. Dał więc chłopakom czas na odpoczynek, a sobie na przemyślenie paru innych rozwiązań. Przed dziesiątą, po sutej kolacji, kiedy wszyscy byli najedzeni i wyobracali już branki, zaprosił ich do stołu, żeby przy siwusze i zagrysze przedstawić nowy plan.

– Słuchajcie, panowie – zagaił, gdy otworzył już okno, by wpuścić trochę świeżego powietrza, bo po tym, jak nakopcili, Zarąb siekierę by mógł zawiesić w powietrzu. – Nie możemy tutaj zostać, to pewne. Zanim się stąd jednak ruszymy, musimy zdobyć broń i amunicję, które da się znaleźć tylko w tym miejscu... – Podszedł do mapy i postukał w niemal idealny prostokąt między ulicami, nie tak daleko od zaznaczonej czerwonym punktem zajezdni.

– Nie ma innego sposobu? – zapytał Perek, jak zwykle pełen obaw.

– Jestem otwarty na propozycje, panowie – odparł Sprycha, rozkładając szeroko ręce, jakby zachęcał ich do przedstawiania sugestii.

Odpowiedziała mu cisza. Nie znali tego miasta, a Kaczmarka zdążył wypytać i też do niczego sensownego nie doszli. Złodziejowi przyszły do głowy magazyny mieszczące się przy ulicy Poznańskiej, wszakże ich strzegło zawsze wojsko, jak każdego obiektu kwatermistrzowskiego, w którym magazynowano nie tylko broń, ale też masę innego sprzętu i tony amunicji. Porywanie się na taki atak bez jednego naboju

zakrawało więc na samobójstwo. Nie mówiąc już o tym, że ta cała Poznańska znajdowała się dużo dalej od znanego im doskonale pierdła.

– Jak sami widzicie, wybór mamy raczej niewielki. To może być prosta robota, jeśli zrobimy porządne rozpoznanie i uderzymy na nich z zaskoczenia.

– Chce szef zaatakować więzienie? Tak frontalnie? – Sójka musiał sobie gołnąć, zanim odważył się odezwać.

– Tak. Nie – odparł spokojnie Fabian, też sięgając po stakana.

– Czyli że jak? – wybełkotał zdezorientowany golibroda, poprawiając nerwowo okulary.

– Tak, chcę zaatakować więzienie, z którego nas wywieziono. Nie, nie zamierzam przypuszczać frontalnego ataku, bo to byłoby szaleństwo. Jeśli przestaniecie mi wreszcie przerywać, wyłuszcze wam, na czym polega mój plan. – Nawet ci najbardziej wyrywni tym razem zmilczeli. – Jutro rano pójdziemy na rozpoznanie. Ja, Kozak, może ktoś jeszcze. To ustalimy, jak przyjdzie co do czego. Sprawdzimy, czy jest jakaś bezpieczna droga podejścia do kamienic przy tych ulicach. – Wskazał Kłęczkowską i jej przecnicę od wschodniej strony. – Z góry przyjrzymy się uważnie rozmieszczeniu strażników, trasom patroli i całej reszcie. To pozwoli mi na uszczegółowienie planu, który w ogólnym zarysie wygląda tak: wiemy, że Okrutny wypuścił więźniów, aby zrobić za murem miejsce dla swoich. Tak twierdził nasz kabel, a nie mamy powodu, by mu nie wierzyć. – Przyciśnięty klawisz faktycznie zrobił wszystko, co mu kazano, dzięki czemu mogli cieszyć się teraz wolnością, siedząc w zajezdni i żłopiać gorzałę, zamiast jak cała reszta konwoju zmienić się w krwiożercze, ale bezmózgie bestie. – Dlatego nocą wejdziemy za mur i ukryjemy się dobrze, czekając na dywersję, którą załatwi nasz nieoceniony kolega Dymek – wskazał podpalacza.

– O, tak, tak. – Janiczek uśmiechnął się szeroko. – Dajcie mi kilka flaszek po tej gorzole i parę litrów benzyny, a sfajczę pół kicia, zanim się obejrzą.

– Wystarczy, że podłożysz ogień w jednym miejscu, pod

warsztaty albo jeszcze lepiej pod magazyny. Perspektywa utraty większości zapasów powinna ich bardziej ruszyć i spowodować większe zamieszanie.

– Ale to żarcie by się nam przydało, szefie – zauważył trzeźwo Grzelak.

– Wszystko się przecież nie sfajczy. – Sprycha machnął lekceważąco ręką. – Tam mają parę ton ziemniaków i całej reszty, nie wspominając o wieprzkach. Nawet gdybyśmy bardzo chcieli, nie dalibyśmy rady zabrać choćby ułamka...

– Też prawda – przyznał Ulfig, przełknąwszy setkę siwuchy.

– Kiedy zauważą pożar, wybuchnie panika, wszyscy polecą gasić ogień. Wtedy wmieszymy się dyskretnie w tłum i udając krewniaków blacharzy, zlokalizujemy uzbrojonych funkcjonariuszy. Jeśli każdy z nas zasadzi się na jednego, zdobędziemy tuzin klamek, a może i parę peemów. Na dany znak zlikwidujemy skurwieli, kosą pod żebro albo po gardle, i zanim się przemienią, odbierzemy im broń. Tylko pamiętajcie, to musi być skoordynowane działanie, jeśli ma przynieść efekty.

– Ale jak chce szef dać taki znak, żeby wszyscy go równocześnie zauważyli? – zapytał szczerze zaciekawiony Sójka.

– To akurat proste. W odpowiednim momencie rzucę granat. Eksplozja spowoduje dodatkowy zamęt i da wam sposobność do zadżgania zaskoczonych klawiszy.

Pokiwali zgodnie głowami, kazał więc połączyć następną kolejkę.

– Mamy w ciul tych granatów – stwierdził Jakuz, pusząc się tym, że to on zapewnił tę obfitość. – Możemy nimi ciepać na wszystkie strony, gdyby ktoś się stawiał.

– Możemy, ale myślę, że jeden albo dwa w zupełności wystarczą – uciął dyskusję Fabian. – Niemniej zabierzemy ich więcej, tak na wszelki wypadek. Gdy już zdobędziemy pistolety, spróbujemy dopaść pozostałych uzbrojonych klawiszy. W ogólnym zamieszaniu powinniśmy wystrzelać ich jak kaczkę.

– A jeśli nas za wcześnie rozpoznają? – zapytał Perek.

Wyraził na głos obawy większości. Niemal każdy pracownik więzienia znał przecież ich twarze. Byli elitą wśród osadzonych, tak więc istniało ryzyko, że któryś z psów Okrutnego wypatrzy

ich w tłumie, zwłaszcza gdy za blisko podejda.

– W takim chaosie, nocą, podczas szalejącego pożaru, w tłumie obcych? – zaśmiał się Sprycha. – Nie ma takiej możliwości! Ale dla bezpieczeństwa dołączymy do gaszących dopiero wtedy, gdy na placu pojawi się wystarczająco wielu gapiów.

– Moglibyśmy wysmarować wcześniej gęby popiołem albo błotem – rzucił Kaczmarek.

– Dobry pomysł, ale z tym błotem to bym nie przesadzał. Popiół wystarczy, w tych warunkach wyda się naturalniejszy. Pamiętajcie, że nie będą się nas spodziewać. Spadniemy na nich jak grom z jasnego nieba.

– Szef to ma łeb... – rzucił z podziwem Marut.

Pozostali potakiwali albo mrużeli z aprobatą.

– Dobra, a teraz druga sprawa – odezwał się Fabian, gdy już wypili jego zdrowie i zagryźli słoninę. – Nowa kryjówka. Browar opada z wiadomych powodów.

– To może przejmijmy pierdel? – zaproponował rozochocony Janiczek.

– On też leży blisko Odry – przypomniał mu Sprycha, pokazując niebieską wstęgę odległą o zaledwie jedną przecznicę od więzienia. – Te mundurowe kurwy też się tam pojawiają, i to raczej prędzej niż później.

– Tam łatwo byłoby się bronić – wtrącił Grzelak. – I mielibyśmy sporo zapasów, o ile nie sfajczymy wszystkiego w magazynach.

– Chcecie się zamknąć w murach jak jacyś pieprzeni średniowieczni kmiotkowie w oblężonym zamku? – zakpił Fabian. – Taki macie plan na przyszłość? Bo ja nie.

– To co szef zamierza zrobić? – zapytał Ulfig.

– Tak się zastanawiam... – rzucił Sprycha, podchodząc ponownie do mapy. – Powiedz mi, Kozak, dlaczego ta linia tramwajowa biegnie tak daleko za miasto?

Złodziej spojrzał na wskazane miejsce. Najpierw zmarszczył brwi, potem się wyprostował, a na koniec wyszczerzył zęby.

– To Leśnica, szefie. Taka niby dzielnica Wrocławia, ale w sumie osobna miejscowość. Nieduża, otoczona polami. Parę kilometrów za krańcem Fabrycznej. Idealne miejsce, że też sam na to

wcześniej nie wpadłem. Tam jest taki zamek, spory, normalnie forteca. Dziesięć lat temu trochę się sfajczył, ale komuna go odremontowała i urządziła w nim dom kultury. Znam obiekt, bo sczyściliśmy im raz biura.

– No proszę...

– Ale to cholernie daleko, szefie – zauważył Marut.

– Wozy mamy, benzynę też, bez problemu tam dojedziemy.

– Tak za dużo to tych wozów nie mamy – poprawił go Grzelak.

– Cztery stary, do tego BTR – wyliczył Fabian.

– No jak cztery, skoro w trzech siedzi pełno naszych... znaczy odmieńców?

– Proste. Wystarczy wypuścić tych biednych drani na jakąś przynętę i więźniarki znowu będą puste. Kozak, dasz radę otworzyć takie zamki?

Kaczmarek nie namyślał się wiele.

– Mając odpowiednie narzędzia, bez trudu, ale to trochę potrwa.

– Zatem postanowione. Po zdobyciu broni zlikwidujemy większość tego bydła... – zaczął Fabian.

– Dlaczego szef chce ich likwidować? – zdziwił się Sójka.

– A po co zostawiać świadków? Żeby wojsku nagadali, że żyjemy i świetnie się mamy?

– No fakt, o tym nie pomyślałem.

– Najpierw jednak wykorzystamy ich do oczyszczenia bocznic browaru. Zajedziemy tam starem po torach i wygarniemy parę beczek świeżo uwarzonego piwa. Pozostałych użyjemy jako przynęt do wywabienia odmieńców z więźniarek, ale to już na sam koniec.

– Syf w nich pewnie będzie nieładzi – stwierdził Perek, krzywiąc się niemiłosiernie. – Chłopcy srali pod siebie przez dwa dni, a w tym ukropie...

– I co z tego? – Grzelak wzruszył ramionami. – Nasze ruchadełka migiem doprowadzą te wozy do porządku. A skoro o nich mowa, nie wiem, co szef zrobił, ale podziałało. Potulne są jak baranki. Aż żal je bić.

– Po to coś zrobiłem, żebyście nie musieli ich kaleczyć. – Zadowolony z ostatniej wiadomości Sprycha opadł na wersalkę.

– Jak się baby nie bije, to jej wątroba gnije – rzucił rozbawionym tonem Szczygło.

– Oj tam – prychnął Grzelak – za dwa dni będziemy w Leśnicy, tam to dopiero sobie nałapiemy świeżynek.

– Albo po drodze same nam nawskakują do wozów – zaśmiał się Marut.

– À propos wozów. – Sprycha odwrócił się do Jakuzy. – Dasz radę naprawić tego rzęcha?

– Mówi szef o transporterze?

– Owszem.

– Myślę, że tak. Ale to będzie wymagało czasu.

– Wiesz już, co jest nie tak?

– Skrzynia padła, ale w tym sowieckim szrocie to normalka. Problem w tym, że dopóki jej nie rozbiorę, niewiele będę mógł powiedzieć. Ale na moje oko, szefie, to jakaś pierdoła jest.

– Zajmiesz się tym, jak tylko zdobędziemy broń, bo bez BTR-a nigdzie nie pojedziemy.

– Jechać, tylko powoli, to można nim choćby dzisiaj – stwierdził Jakuzę.

– Chcesz zaciągnąć do Leśnicy wszystkich nieumarłych z dzielnic, przez które będziemy przejeżdżali? – zakpił Sprycha. – Tobie chyba naprawdę marzy się powtórka ze Zbaraża, tyle że z armią nieśmiertelnych janczarów.

Wszyscy się roześmiali w głos, choć połowa nie miała pojęcia, co to Zbaraż ani kim są janczarzy.

* * *

Paula najpierw się ucieszyła, słysząc, że bandyci zamierzają opuścić teren zajezdni, jednakże gdy zaczęli mówić o wymordowaniu wszystkich jej sąsiadów i znajomych, radość szybko ustąpiła przerażeniu. Już wcześniej wiedziała, że to zimnokrwisci dranie i mordercy, ale miała nadzieję, że zadowolą się upodleniem ocalonych mieszkańców i z czasem im odpuszczą – przecież nawet Szkopy pozwalały zwykłym ludziom żyć, jeśli tylko im nie wadzili. Myliła się jednak, jak widać. Miała do czynienia z kimś znacznie gorszym od hitlerowców i...

odmieńców.

Szybko uznała, że wie dość, by móc działać. Przemknęła na róg i po piorunochronie wspięła się na piętro, do innego okna rozświetlonego migotliwym blaskiem lampy naftowej.

– Psst! – syknęła, by zwrócić na siebie uwagę którejś z zapłakanych kobiet.

Dopiero za trzecim razem ktoś zbliżył się do zakratowanego okna.

– Co ty tutaj robisz, dziewczyno?

Paulina rozpoznała ten głos. To była pani Przygoda, znajoma matki z sąsiedniej bramy.

– Szukam Pati, pani Irenko – szepnęła.

– Czyś ty oszalała? Jeśli te świnię cię zauważą...

– Im szybciej ją pani zawoła, tym krócej tu będę – wpadła jej w słowo Paula, by przerwać te niepotrzebne wyrzuty.

Kobieta westchnęła ciężko, po czym zniknęła z pola widzenia. Chwilę później za kratą zamajaczyła znajoma sylwetka.

– Pati... – zaczęła Paulina, ale głos uwiązł jej w gardle na widok twarzy skatowanej siostry.

Jedno oko całkiem zniknęło pod opuchlizną siniaka, który rozlewał się daleko na policzek, sięgając nawet zarysu szczęki. Popękane wargi odsłaniały szczerbę po lewej górnej dwójce.

– Nie mogłam... – wymamrotała Patrycja.

– Co oni ci zrobili?

Siostra nie odpowiedziała. Spuściła głowę, załkała cicho.

– To samo, co każdej z nas robią kilka razy dziennie – wtrąciła przysłuchująca się tej rozmowie pani Irenka. – Nie chcesz tego wiedzieć.

– Przepraszam... – szepnęła Pati, przełykając łzy.

– Nie musisz przepraszać. Rozumiem...

– Nie rozumiesz. Proszę cię o wybaczenie za to, co zrobię, co wszystkie zrobimy...

Zabrzmiało to bardzo, bardzo złowroźnie. Paulina poczuła, jak cierpnie jej skóra na karku.

– O czym ty mówisz?

– Dziewczyny mają już dość. One... One...

– Dziś w nocy zamierzamy odebrać sobie życie – dopowiedziała zdesperowanym tonem pani Irenka.

– Nie... – Paula w ostatnim momencie powstrzymała się od krzyku. – Nie możecie tego zrobić. Podśluchałam tych drani, wiem, co planują. Ostrzegę tych, których chcą napaść. Tamci mają broń. Oni nam pomogą.

– Jacy tamci? – zainteresowała się pani Irenka.

– Strażnicy więzienni z Kłęczkowskiej – wyjaśniła Paulina. – To stamtąd ci dranie uciekli.

– Śniesz na jawie, dziecko – parsknęła pani Irenka. – Jak chcesz w pojedynkę dotrzeć do więzienia, i to teraz, nocą? Na ulicach roi się od zarażonych.

– Dam radę. Nie na darmo zbierałam po dupie od ojca za włożenie w szkodę. Znam tę okolicę lepiej niż ktokolwiek inny.

– Znajomość terenu to jedno, a co z zarażonymi?

– To tylko bezrozumne bestie. Nie dopadną mnie.

– Pycha kroczy przed upadkiem... – mruknęła nieobecny głosem pani Irenka – pycha kroczy przed upadkiem...

Patrycja wbiła w nią spojrzenie zdrowego oka.

– Nie rób tego – poprosiła. – Nie powiedziałam im, gdzie jesteś, choć strasznie mnie bili. Myślą, że uciekłaś, więc masz szansę ukryć się i przeżyć.

– Wszystkie przeżyjemy! – syknęła rozzłoszczona Paulina.

– Ja nie chcę już żyć – wymamrotała jej siostra, ponownie spuszczać głowę. – Nie po tym, co mi zrobili.

Pani Irenka objęła ją ramieniem, wtuliły się w siebie, jakby były krwią z krwi, prawdziwą rodziną. Tragedia zbliżyła je do siebie bardziej, niż mogłyby przypuszczać.

– Dziewczyny, błagam. Dajcie mi szansę. Poczekaście jeszcze jeden dzień. Jutro będzie po wszystkim. Tamci przyjdą tutaj, wystrzelają drani i znowu będzie jak dawniej.

– Nigdy już nie będzie jak dawniej – zaśmiała się pani Irenka, ale jakoś tak melancholijnie. – Nigdy...

– Obiecacie mi, że nie zrobicie niczego głupiego, dopóki nie wrócę.

Patrycja i pani Irenka milczały, jakby się zastanawiały.

– Pójdiesz i ślad po tobie przepadnie – odpowiedziała w końcu sąsiadka.

– Nie. Wrócę przed świtem. Daję słowo.

– Nie obiecuj tego, czego nie jesteś w stanie dotrzymać.

– Wrócę – powtórzyła dobitniej Paulina.

– Zrozum, kochana. Odbierając sobie życie, nie tylko uwolnimy się z niewyobrażalnego koszmaru, ale zyskamy też szansę zabrania ze sobą kilku tych drani. Kiedy przyjdą po nas, a uwierz mi, że to zrobią, gdy znów się schlają, będziemy gotowe, cichutkie i uległe. Paru spotka naprawdę niemiła niespodzianka.

– Tak, a ci, którzy ocaleją, zemszczą się natychmiast na waszych rodzinach! – Zdesperowana Paula uderzyła w najczulszą nutę. – Może nawet wymordują wszystkich.

– I tak to zrobią, prędzej czy później. Przynajmniej umrzemy na naszych warunkach.

– Nie umrzecie, dołączycie do odmieńców – prychnęła jeszcze gniewniej Paulina.

Pani Irenka zamilkła na dłuższą chwilę. Widać było, że walczy z myślami.

– Dobrze. Idź. Poproszę dziewczyny, żeby wytrzymały jeszcze tę jedną noc, ale jeśli nie dasz nam jakiegoś znaku do rana, zrobimy to, cośmy sobie zaplanowały.

– Zgoda. Umowa stoi. Wrócę, zanim wstanie słońce! – obiecała Paulina.

– Gdybyśmy miały się już nie zobaczyć... – zaczęła Pati, lecz siostra uciszyła ją gniewnym syknięciem.

– Nie żegnaj się ze mną – poprosiła. – Wyciągnę cię stąd, wiesz, że to zrobię.

– Wiem, ale...

– Do rana, Pati. Do rana. Wytrzymaj, proszę cię.

* * *

Musiała im to obiecać, po prostu musiała. Nie mogły odebrać sobie życia, nie teraz, kiedy w tunelu pojawiło się światelko. Mimo wszystko miała pełną świadomość, na co się porywa. Chcąc wrócić przed świtem, powinna wyruszyć na Klęczkowską

natychmiast, szczególnie że – jak wiedziała – bandyci wybierali się tam rankiem. Skoro miała ostrzec strażników, musiała dotrzeć do nich wcześniej, aby mogli się przygotować i ukryć to, czego ich przeciwnicy nie powinni zobaczyć.

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić...

Dystans do pokonania wynosił niespełna siedemset metrów w linii prostej, ale w pozbawionym elektryczności mieście panowały egipskie ciemności. Księżyc, który dopiero co był w pełni, teraz wchodził w trzecią kwadrę, a co gorsza, wisiał tak nisko nad horyzontem, że jego blask niczego nie rozświetlał, i to pomimo naprawdę niewielkiego zachmurzenia.

Paulina wydostała się z terenu zajezdni, wspiąwszy się na dach magazynu od strony torów, ten sam, na którym wcześniej leżał Sprycha obserwujący uciekinierów przed hordą zombie. Stamtąd opuściła się ostrożnie za betonowy murek.

Miała trzy trasy do wyboru. Mogła pokonać wiadukt i pójść dalej torowiskiem w kierunku dworca Nadodrze, a potem, zależnie od sytuacji, albo skręcić w lewo na rozległy plac Powstańców Wielkopolskich i dostać się do parku Staszica, za którym była już ulica Reymonta, biegnąca do samego więzienia, albo próbować zejść na tyły dworca i tak dotrzeć do Kłęzkowskiej.

Druga trasa wiodła przez teren gazowni na Trzebnicką, a właściwie do wylotu Kłęzkowskiej, ulicy zaczynającej się niespełna pięćdziesiąt metrów od tylnej bramy zajezdni po drugiej stronie wiaduktu. Tyle że najkrótsza droga była zarazem najbardziej niebezpieczna, ponieważ trzeba będzie wejść między zwartą poniemiecką zabudowę, gdzie ominąć nieumarłych będzie cholernie trudno, zwłaszcza jeśli nie zauważy się ich w porę. Wprawdzie między kamienicami znajdowało się kilka pustostanów i wyrw po wyburzonych wcześniej budynkach, ale Paulina bałaby się zapędzać na te podwórza w panującej wokół ciemnicy.

Trzecia, najdłuższa, droga prowadziła także przez gazownię, a potem przez leżące za nią nieużytki rozciągające się aż do mostu Trzebnickiego. Nad rzeką Paulina musiałaby skręcić

w Wybrzeże Korzeniowskiego i nim albo nabrzeżnymi łąkami ominąć główne zabudowania domu wariatów, by przez znajdujący się nieco dalej park dotrzeć do ulicy Kraszewskiego, na tyły więzienia.

Znała tę okolicę jak własną kieszeń, ponieważ jako najbardziej niespokojny duch w rodzinie zdążyła wetknąć nos w każdy kąt i w każdą dziurę swojej dzielnicy. Ojciec śmiał się z niej, nazywał ją Łazikiem i nie szczędził jej razów, gdy przesadziła, matka zaś załamywała tylko ręce, przejmując się każdym sińcem i zadrapaniem, z jakimi córka wracała z kolejnych wypraw. Lata dziecięcych eksploracji nie poszły jednak na marne. Kosztem wielu pasów Paulina zdobyła ogromną wiedzę, umożliwiającą jej obecnie wykonanie zadania, którego się podjęła.

Długo zastanawiała się nad wyborem trasy, rozważając wszystkie za i przeciw. Najpierw odrzuciła pierwsze rozwiązanie. Nie miała wprawdzie stuprocentowej pewności, ale podejrzewała, że po masakrze na pobliskim dworcu ludzie rozbiegli się we wszystkie strony, pociągając za sobą tłumy nieumarłych, które także rozproszyły się po całej okolicy, blokując zarówno park, jak i główne ulice. Włazenie między kamienice również jej się nie uśmiechało, choć była gotowa podjąć to ryzyko, ponieważ Klęczkowską mogłaby się dostać najkrótszą drogą do garaży więziennej bazy transportowej, których dachy przylegały do więziennego muru. Tamtędy bez najmniejszego problemu przeszłaby na drugą stronę albo przynajmniej zwróciła na siebie jakoś uwagę strażników.

Czy jednak zdołałaby dotrzeć w pobliże garaży, unikając kontaktu z nieumarłymi, których pełno było na ulicach? Miałaby z tym kłopot nawet w biały dzień, a co dopiero w czarną noc... Spojrzała w niebo. Zanim znajdzie się w rejonie Trzebnickiej, księżyc zniknie za nadpływającymi od północy chmurami, a jeśli nawet nie, w kanionie ulicy okolonej wysokimi, czteropiętrowymi kamienicami będzie ciemniej niż w grobie.

Zatem najrozsądniej byłoby dojść do więzienia od tyłu, nieużytkami, na których nie powinno być nikogo, chyba że ktoś się tam zdołał schronić i był nie tylko żywy, ale też znacznie

bardziej wystraszony niż ona. Niestety od tamtej strony nie sposób było się przedostać za wysoki mur, a Paulina nie mogła być pewna, czy ktokolwiek usłyszy jej wołania zza ogrodzenia. Chociaż... od dwóch dni na mieście panowała taka cisza, że tylko głuchy nie zareagowałby na jej przeraźliwy wrzask.

Co jak co, ale już jako dziecko umiała narobić sporego hałasu.

Zatem postanowione, pomyślała, prostując nogi. Przykucnęła pośrodku torowiska, aby mieć wokół siebie jak najwięcej otwartej przestrzeni i jak najmniej rzucać się w oczy. To był jedyny luksus, na jaki było ją teraz stać.

Ruszyła w kierunku majaczących w mroku kopuł zbiorników gazowni. W normalnej sytuacji nie próbowałaby się zakraść na teren tej instytucji, jednakże tej nocy nie musiała się obawiać strażników ani ich psów – ci pierwsi zapewne już dawno zwiali, widząc, co się dzieje na pobliskim dworcu, a zwierzaki bądź zabrali ze sobą, bądź pozostawili w kojcach.

Przystanąła przy ścianie zieleni dzielącej ją od ogrodzenia gazowni. Nie przycupnęła tym razem, tylko odwróciła się bokiem do zarośli, gotowa do natychmiastowego sprintu. Zamarła jak posąg, nadstawiając ucha. Szelest listowia wydawał się kojąco jednostajny. W tych krzakach na pewno nie było bestii. Dla pewności odczekała kolejną minutę, po czym wolnym krokiem wcisnęła się w gęstwinię. Odciągnęła poluzowany odcinek drucianej siatki i prześlizgnęła się pod nim na drugą stronę. Tam ponownie przystanąła, nasłuchując.

Znów otaczała ją kompletna cisza. Żadnego szurania stóp, żadnego szelestu materiału ani głuchych stuknięć, z jakimi nieumarli wpadali na siebie. Obserwowała ich z okna, tam na Słowiańskiej, gdy otoczyli ciężarówki przewożące więźniów. Miała sporo czasu na naukę, którą teraz pożytkowała.

Nie niepokojona przemknęła między ścianami budynków kryjących wielkie zbiorniki. Za nimi znajdowało się kolejne wysokie ogrodzenie zwieńczone drutem kolczastym, które – niestety – musiała pokonać górą. Na szczęście była na to przygotowana. Zabraną z domu koc, złożony tak grubo jak się dało, uchronił ją przed skaleczeniem.

Zeskoczyła miękko na ziemię i ponownie się zatrzymała. Czasu miała sporo, po co więc niepotrzebnie ryzykować? Przed nią rozciągało się kilkaset metrów ziemi niczyjej. Paulina nie wiedziała, co mieściło się tutaj za Niemca, lecz po wojnie zostały tylko zarośnięte trawą i krzewami fundamenty jakichś hal i warsztatów. Wkraczała na tereny, o których w ferworze odbudowy kompletnie zapomniano. *To zadupie jeszcze długo będzie wyglądało jak pobojowisko, pomyślała z żalem, skoro w samym centrum Wrocławia, opodal Rynku, nadal straszą ruiny.*

Choć jeszcze niedawno przepełniał ją ogromny smutek z powodu tego, że jej dzielnica jest traktowana przez władze po macoszemu, po tym uczuciu nie pozostał nawet ślad. Dzięki zaniedbaniom włodarzy miasta mogła bowiem dotrzeć w miarę bezpiecznie aż do wałów i mostu.

Mogła, ale czy musiała?

Minął kwadrans, zanim dotarła na skraj ulicy Zakładowej. Przystanęła na wyslizganych kocich łbach, rozejrzała się wokół. Przy rozsianych wzdłuż jezdni warsztatach nie dostrzegła ani śladu życia, co bardzo ją ucieszyło. Chwila namysłu wystarczyła, by zmieniła kierunek marszu. Postanowiła dotrzeć do Trzebnickiej, nie zbliżając się do mostu, przy którym – z tego, co pamiętała – ustawiono wcześniej punkt kontrolny.

Jakieś pięćdziesiąt metrów od wylotu ulicy dostrzegła pierwszego zombie. Drań stał pod drzewem, częściowo ukryty za pokracznym pnem. Wynurzył się zza niego, rozczapierzając łapy, kiedy podeszła na mniej więcej dziesięć metrów, dzięki czemu miała czas się wycofać, co też natychmiast uczyniła. Chwilę później, gdy już odzyskała oddech i uspokoiła walące serce, szerokim łukiem ominęła ponownie znieruchomiłego nieumarłego.

Im bliżej skrzyżowania podchodziła, tym więcej było odmieńców, aczkolwiek nie na tyle dużo, by nie mogła przebiec pomiędzy nimi i wydostać się na główną ulicę, za którą ciągnął się spory skwer, także pozostałość po wyburzonych poniemieckich budynkach, i biegnąca wzdłuż niego ulica, zwana Wybrzeżem Korzeniowskiego.

Przebiegając przez Trzebnicką, rzuciła okiem na milicyjną warszawę i gazik, otoczone zbitym tłumem nieumarłych. W głębi ulicy od strony centrum też było ich sporo, przynajmniej wszędzie tam, gdzie mogła sięgnąć wzrokiem. Za to wylot biegnącej wzdłuż wałów Promenady wydawał się pusty. O tym, że tam też są żywe trupy, przekonała się dopiero wtedy, gdy minęła kępę gęstych krzewów. Niewidoczni wcześniej, najbliżsi z niemal dwudziestu zombie byli zaledwie o trzy, cztery kroki od niej. Zakląła więc siarczyście pod nosem i błyskawicznie zmieniła kierunek, pędząc ile sił w nogach w stronę Odry.

Musiała zostawić ich w tyle i udało jej się to bardzo szybko, choć wiele ryzykowała tym sprintem na ślepo, prosto w sięgającą powyżej kolan trawę. Gdyby leżał tam jakiś ogryzek, którego te bestie dopadły wcześniej, albo gdyby potknęła się na jakimś wykrocie i skręciła nogę... Wołała nie myśleć, jak by się to skończyło, i obiecała sobie, że był to ostatni tak nieroztropny ruch. W końcu walczyła nie tylko o swoje życie.

Zwolniła, gdy odmieńcy opuścili ręce, co było znakiem, że właśnie przestali ją wyczuwać. Zatrzymała się niedługo potem i znów zaczęła nasłuchiwać. Woda w kanale nie płynęła zbyt wartko, wydawać się wręcz mogło, że stoi, dzięki czemu na łące panowała niemal idealna cisza.

To dało Paulinie pewność, że nic nie pełźnie w jej kierunku. Zatrzymując się co kilka kroków, przemierzyła pas łąki i wróciła na ulicę około dwudziestu metrów za plecami ostatniego z nieumarłych. Skulona ze strachu minęła wielką paszczę zakratowanej bramy szpitala psychiatrycznego, po czym – posuwając się chyłkiem wzdłuż muru okalającego należący do kompleksu kliniki park – dotarła do następnego wejścia. Ku jej zaskoczeniu furtka, którą zamierzała pokonać górą, była otwarta. Rozcięta kłódka leżała na ziemi obok łańcucha.

Zaniepokoiło ją to. Ktoś tu był, i to raczej niedawno. Wątpiła jednak, by chodziło o bandziorów. Oni dopiero planowali wyprawę w to miejsce. Na wszelki wypadek zwolniła jeszcze bardziej, zbaczając z wybrukowanej ścieżki tuż za kapliczką. Postanowiła dotrzeć do ulicy Kraszewskiego szerokim łukiem,

przez łąki po prawej, na wypadek gdyby ten, kto włamał się na teren szpitala, nadal przebywał w okolicy.

Brnęła przez trawę, rozglądając się uważnie, ale teraz, po północy, było ciemno choć oko wykol. Nagle usłyszała gdzieś po prawej głośniejszy szmer. Zamarła. Dźwięk powtórzył się, moment później dołączył do niego kolejny, podobny, jakby ktoś powłóczył nogami.

Są tutaj! I to tuż przede mną! Co najmniej pięciu, jeśli nie więcej!

...

Zawróciła, przyśpieszając raptownie. Serce waliło jej jak młot, w piersi brakowało tchu, lecz zatrzymała się dopiero po przebiegnięciu prawie pięćdziesięciu metrów, daleko za ścieżką biegnącą przez przyszpitalny park.

Stała między wielkimi drzewami, których pnie były tylko o kilka odcieni ciemniejsze od otaczającego je mroku. Musiała jak najszybciej uspokoić oddech. Żeby słyszeć, żeby nie dać się zaskoczyć ponownie. Przykucnęła, by stać się jak najmniejszym celem, zacisnęła usta, przymknęła powieki i właśnie wtedy... poczuła na łydce muśnięcie. Delikatne, krótkie, jakby niematerialne.

Wrzasnęła ile sił w płucach, zanim straciła przytomność.

* * *

Otworzyła oczy. Nagle, gwałtownie. Pamiętała dotyk śmierci, uczucie zapadania się w nicość, ale... Wciąż wiedziała, gdzie się znajduje. Widziała nad sobą kilka gwiazd prześwitujących pomiędzy koronami drzew, czuła przez koszulę chłód ziemi, na której leżała.

Ja... żyję?

Ta myśl była zaskoczeniem, przecież drań dopadł ją, a oni nie odpuszczają. Nigdy i nikomu.

Podniosła się ostrożnie, słysząc gdzieś za sobą ciche, znajome mruczenie, jakby brzęczyk do akwarium pracował za ścianą.

Kot? Tutaj?

Dostrzegła go, podszedł bliżej, gdy tylko zaczęła się poruszać, usiadł przy porzuconym chlebaku, oblizując się łapczywie.

Pewnie był głodny, a ona miała kawał kiełbasy, do której nie mógł się dostać przez grube płótno.

– Ty cholerny sierściuchu – wymamrotała, czując ogromną ulgę, a potem roześmiała się w głos, co niestety zabrzmiało dość histerycznie, ponieważ wciąż była w szoku.

Sięgnęła po chlebak, rzuciła zwierzęciu kawałek wędliny, potem drugi i trzeci. Dopóki kot nie syczał i nie uciekał, ona także mogła czuć się bezpieczna.

Wtem gdzieś w oddali zapłonęło światło. Jasne, elektryczne. Ktoś zapalił latarkę. Nie tuż nad ziemią, ale wyżej. Znacznie wyżej.

– Hej, ty tam, w parku! – usłyszała donośny męski głos. – Żyjesz jeszcze?!

Zastanawiała się przez chwilę, czy powinna odpowiedzieć. Straciła orientację, nie wiedziała, czy ten, kto woła, znajduje się na terenie szpitala, więzienia czy też z zupełnie innej strony. Poza tym nie miała pojęcia, z kim ma do czynienia.

– Odezwij się, kobieto, jeśli potrzebujesz pomocy!

Kobieto? Skąd on może to...

No tak, najpierw narobiła takiego wrzasku, że zmarłych by pobudziła, a potem jeszcze wydała z siebie ten nerwowy śmiech, który mógł być różnie odebrany przez kogoś, kto jej dobrze nie znał.

Przyzwyczajonym na powrót do ciemności wzrokiem wypatrzyła najpierw pnie drzew, później zarys ścieżki. Wołanie dobiegało od strony Kraszewskiego, a więc niemal na pewno z terenu więzienia.

– Idziesz ze mną, głodomorze? – zapytała myjącego pyszczek kota, wabiąc go czwartym kawałkiem kiełbasy. – Jestem tutaj! – odkrzyknęła, wstając z ziemi. – Mam dla was pilną wiadomość!

niedziela, 11 sierpnia 1963, godzina 23:57
Zakład Karny Nr 1 przy ulicy Klęczkowskiej 35

Patryk otworzył drzwi na oścież, nie próbując nawet pukać. Dobiegające zza nich pochrapywanie było tak głośne, jakby Okrutny leżał tuż przed nim, a nie w sąsiednim pomieszczeniu. Poza tym chorąży dźwigał cholernie ciężkie wiadro, zabrane z witryny przeciwpożarowej znajdującej się na parterze, i nie zamierzał tracić czasu na zbędne konwenanse.

Wystarczył jeden, ale za to szybki zamach, by piętnaście litrów lodowatej wody pomknęło szerokim strumieniem w kierunku głowy i ramion pogrążonego w pijackim śnie przełożonego.

Tym razem udało się osiągnąć zamierzony skutek. Wcześniej, jeszcze za dnia, podczas wizyty żołnierzy, kapitan przewrócił tylko przekrwionymi oczami, puścił soczystą, choć nie do końca zrozumiałą wiąchę i ponownie wpadł w objęcia Morfeusza. Swojczycki posiadał legendarną moc – nie na darmo ludzie czekali tygodniami, by kupić od pokątnych handlarzy choć jedną flaszkę – na szczęście dwanaście godzin snu zrobiło swoje.

Okrutny zdołał wytrzeźwieć na tyle, by powróciło mu czucie. Zerwał się więc z kanapy, desperacko walcząc o oddech jak wyłowiona ze stawu ryba. Gdyby go całkiem nie zatchnęło, pewnie opieprzyłby Patryka z góry na dół, a potem zmieszał z błotem całą jego rodzinę do trzeciego albo i czwartego pokolenia wstecz. Ale choć wyglądał na rozwścieczonego do granic – oczy błyszczały mu tak, jakby lada moment miały z nich trysnąć powstrzymywane na wpół przymkniętymi powiekami błyskawice – dukał tylko:

– Co... ku... ku...

– Ogarnijcie się i chodźcie za mną! – Rojewski zignorował napastliwy bełkot. – Już, kurwa!

Okrutny zamknął usta. Bimber wyparował mu już z głowy,

a przynajmniej opary stały się na tyle rzadkie, że neurony – te nieliczne, które przetrwały starcie ze Swojczyckim – mogły zacząć ponownie funkcjonować. Skojarzył więc z niewielkim tylko opóźnieniem, że coś musiało się wydarzyć. Patryk, jego młodszy kolega z pracy, ale nade wszystko podwładny, nigdy jeszcze nie zwrócił się do niego w tak obcesowy sposób. Szczególnie że jako człowiek dużej kultury i niezłomnych zasad nie pozwalał sobie zazwyczaj na podobne impertynencje.

Wstrząśnięty podwójnie kapitan wstał z ociekającego wodą barłogu i ruszył posłusznie do drzwi, lecz po zrobieniu trzech chwiejnych kroków zatrzymał się, by po chwili wahania zawrócić i wytrzeć starannie twarz. Czarne włosy miał na szczęście obcięte regulaminowo, a nawet krócej, tak więc próba doprowadzenia się do jakiegoś takiego stanu nie trwała długo. Ponieważ Rojewski zdążył do tej pory zniknąć za progiem, nikt go nie poganiał ani nie pilnował, co nie oznacza, że szybko zwalczył pokusę, by runąć na kozetkę i zamknąć znowu oczy.

Coś się wydarzyło. Coś na tyle poważnego, że zdecydowano się mnie przywrócić do życia...

Skrzywił się na to niezbyt fortunne, choć trzeba przyznać, dość trafne porównanie i rzuciwszy jedno szybkie spojrzenie w lustro, ruszył ponownie w kierunku drzwi.

Chorąży i doktor Wegner czekali na niego w gabinecie. Prócz nich znajdowała się tam jeszcze jedna osoba, nieznana mu z wyglądu młoda kobieta, a w zasadzie chyba jeszcze dziewczyna. Miał problem z dokładniejszym określeniem jej wieku, ponieważ twarz wysmarowała czymś czarnym; sądząc po ostrym zapachu, najzwyczajszą pastą do butów.

Czyżby ta durna cywilbanda zaczęła sobie urządzić kocowy, jak gównarzeria na letnich koloniach? Taka myśl przemknęła mu przez głowę, ale oddalił ją natychmiast. Tu nie mogło chodzić o podobne wygłupy. Z czymś takim Patryk radził sobie w try miga, nie wyciągając palca z dupy.

– W czym rzecz? – zapytał ochrypłym tonem, ale nie mogąc na to nic poradzić. Słowa wciąż nie przechodziły gładko przez spieczoną prawie siedemdziesięcioprocentowym alkoholem

krtań.

– Siadajcie i słuchajcie – warknął Rojewski, wskazując mu fotel za biurkiem. – A ty – odwrócił się do nieznajomej – powtórzysz teraz wszystko, co wcześniej nam powiedziałaś.

– Tak jest! – Paulina, zdeprymowana pojawieniem się prawdziwego, choć nieco zbyt mocno zawianego jak na jej gust oficera, musiała pozbierać myśli. – Z samego rana, jakoś tak koło wpół do szóstej, przed naszą zajezdnią zatrzymał się konwój. Cztery ciężarówki i gazik. Kierowcy, wszyscy w szarych mundurach...

– Możesz pomijać mniej istotne szczegóły? – poprosił Okrutny, którego zaczynała boleć głowa. Suchość w przełyku także narastała, co jeszcze bardziej go rozpraszało.

– Tak jest! – Mało brakowało, a nieznajoma zasalutowałaby mu zamasyście. – Kierowcy przesiedli się do gazika i odjechali, zostawiając ciężarówki na środku ulicy. Ledwie zniknęli za zakrętem, drzwi jednej z nich otworzyły się i na ulicę zaczęli wyskakiwać ludzie. Część uciekła od razu, kilku jednak zostało na miejscu...

– Zaraz! – Kapitan zareagował z lekkim opóźnieniem, co też wydało się wszystkim zrozumiałe. – Jak to: otworzyły się?

– Normalnie – odparła zdziwiona tym pytaniem Paulina. – Jak drzwi.

– Przecież to niemożliwe – zachnął się Okrutny, spoglądając na towarzyszących mu dwóch mężczyzn. – Zostały zamknięte od zewnątrz!

Dziewczyna się spieszyła.

– Tego nie wiem, ale...

– Zaraz! – Kapitan wpadł jej w słowo, przenosząc spojrzenie na Patryka. – Rozumiecie coś z tego?

Rojewski pokiwał głową, jakby coś mu świtało, ale nie odpowiedział od razu.

– Po mojemu któryś z naszych po prostu nie zamknął tej suki jak trzeba – rzekł niechętnie.

– Przecież osobiście kazałem to sprawdzić tuż przed wyjazdem konwoju! – zaperzył się Okrutny.

– Wiem. Byłem przy tym. Widziałem też, jak ludzie wykonywali wasz rozkaz.

– W takim razie... – Wojciech zamilkł w pół słowa, w jego oczach równocześnie pojawił się błysk zrozumienia. – Przekabacili kogoś, gnoje!

– Na to wygląda – przyznał chorąży.

– Ci, co wysiedli... – Podeksycytowany Okrutny odwrócił się raptownie do dziewczyny. – Opisz mi ich. Wystarczy dwóch, trzech, tych najbardziej charakterystycznych.

– Jeden w drugiego zakazane gęby – zaczęła, ale zobaczyła po jego minie, że nie o to mu chodziło. – Któregoś musieli wynieść, był nieprzytomny, wyglądał, jakby go ktoś sprął.

– Wysokie czoło, czarna broda?

– Tak. Cholerny zwyrol...

– Magdziarek! – Okrutny znów jej przerwał. – Rzuciłem skurwiela do ciężarówki ze Sprychą – przypomniał sobie.

– Tak. Ten ich szef Sprycha się nazywa! – Tym razem to nieznajoma przerwała jemu, ale nawet tego nie zauważył, ponieważ robił, co mógł, by odtworzyć z pamięci, kogo jeszcze kazał umieścić w tej więźniarce.

– Ulfig, Sójka, Perek, Grzelak na pewno – wyliczał grobowym tonem Patryk, który miał więcej czasu na wspomnienia, ponieważ słyszał już raz relację dziewczyny. – Ten zdun, jak mu tam było, Bugalski... Nerynk, Marut. Śmietanka lokalnego krawaciarstwa.

– Kurwa... jego... mać... – Okrutny chwycił się obiema rękami za głowę. Co tam ból, co tam kac, właśnie się okazało, że wypuścił na miasto drugą, kto wie, czy nie gorszą, zarazę. Nagle dotarło do niego, co ta dziewczyna tu robi. Na pewno przyszła prosić o pomoc, a skoro zdecydowała się na taką wyprawę, i to samotnie, nocą, sytuacja na Słowiańskiej musiała być naprawdę niewesoła. – Mów dalej, proszę – rzucił pełnym obaw tonem.

– Jak już wspomniałam, część z nich próbowała uciekać, ale daleko nie zabiegli. Paru trafiło w łapy zarażonych, bo na placu i przyległych ulicach aż się roiło od tego tałatajstwa. Pozostali bandyci, widząc to, zawrócili, a żywe trupy polazły za nimi pod

zajeźdnię, w której się schronili.

– Ilu ich przetrwało?

– Trzynastu.

– Niedobrze – pokręcił głową Okrutny.

– Bardzo niedobrze! – zgodziła się z nim Paulina. – To zwierzęta, nie ludzie. Są gorsi nawet od zarażonych. Na początku wydawać się mogło, że mają sumienie. Gdy horda pogoniła ludzi z dworca po torach, przygarnęli do zajeźdni kilka kobiet z dziećmi...

Kapitan wiedział, że w przypadku kogoś takiego jak Sprycha nie mogło się to skończyć niczym dobrym, ale i jemu opadła szczęka, kiedy dziewczyna zaczęła opisywać kolejne wyczyny gangsterów: od zagnania matek do oczyszczenia ulicy po egzekucję rodziny Gawlika. Kapitan słuchał tego wszystkiego uważnie, spuszczać głowę coraz niżej.

To była jego wina. Jego bardzo wielka wina.

Nawet jeśli ci zwyrodnialcy wydostali się na wolność, zastraszając lub przekupując któregoś funkcjonariusza, za wszystko odpowiadał moralnie on sam. Gdyby nie kombinował tak zawzięcie i zostawił najgorsze szumowiny w jednym ze skrzydeł Iksa, izolując ich na dobre od reszty...

Westchnął z rezygnacją, gdy usłyszał o zdobyczym transporterze i cekaemie.

– Bardziej już tego nie mogłem spieszyć – wymamrotał, gdy Paulina w końcu umilkła. Miał na myśli zarówno sytuację na Słowińskiej, jak i to, co wydarzyło się za murem.

– Skąd mogliśmy wiedzieć, że Sprycha zdołał urobić kogoś z personelu? – Patryk próbował go pocieszyć, ale niewiele to dało.

– Przypomnij sobie, który ćwok odpowiadał za zabezpieczenie tej więźniarki – rzucił Okrutny, biorąc się w garść.

– Po cholere? – Chorąży wzruszył ramionami.

– Żebyśmy wiedzieli, kto...

– A po co wam to wiedzieć? Gdybyście nie zauważyli, wszyscy, którzy brali udział w tej operacji, już nie żyją. Wyłuskacie drania ze spacerniaka i każecie rozstrzelać? Ile razy? Raz, dwa czy może

będziemy to robili codziennie, aż w końcu przejdzie nam złość?

Kpina, dość czytelna w jego tonie, podziałała na przełożonego lepiej niż zimny prysznic. *Tak, oglądanie się za siebie nie ma w tym momencie najmniejszego sensu. Trzeba skupić się na tym, jak pomóc cywilom.* Niestety czarno to widział.

– Jeśli chodzi o pomoc... – zaczął niepewnie, nie wiedząc, jak wytłumaczyć takie sprawy dziewczynie.

– Zaczekajcie – przerwał mu Wegner. – Dajcie jej dokończyć.

Paulina wpatrywała się w Okrutnego natarczywie, jakby rzeczywiście miała jeszcze wiele do powiedzenia.

– To nie koniec?

Zwątpienie, które go właśnie ogarnęło, było już tylko o jeden odcień jaśniejsze od nieprzeniknionego mroku depresji. Musnął bezwiednie kieszeń, w której trzymał klucz od szafy pancерnej naczelnika. Zdziwił się, gdy nic nie wyczuł pod grubym materiałem, ale jeden rzut oka na twarz chorążego powiedział mu więcej, niż chciał wiedzieć.

Tego smutku nie utopi tak łatwo w Swojczyckim.

– Bandyci urządzili sobie w zajezdni burdel. Zagonili do niego już kilkanaście kobiet. Część zabrali z naszej ulicy, inne wyłapali na torach, jak mi się zdaje. Wczoraj trafiła tam też moja siostra... – Zatchnęło ją, ale tylko na krótką chwilę. – Przyszłam tutaj, żeby was ostrzec. Ten cały Sprycha chce zdobyć więcej broni, ponieważ zamierza się przebić do Leśnicy, by tam urządzić sobie nową kryjówkę w jakimś zamku czy pałacu. Wykombinował, że skoro wy macie pistolety i amunicję, to je wam odbierze.

– Nam? – zdziwił się Okrutny.

– Tak. Bandyci chcą zaatakować więzienie. Rano zrobią rozpoznanie, a potem wrócą wszyscy nocą i... – Streściła im najdokładniej, jak umiała, na czym zasadza się najnowszy plan Sprychy.

– A to skurwe syny... – mruknął kapitan, gdy znów umilkła. Potrzebował chwili, by przetrwać wszystkie szczegóły. – Jeśli tu przyleżą, znowu zginie masa ludzi – stwierdził w końcu. – Została nas przecież garstka, a rozdanie broni nieostrzelanym cywilom

to przecież doskonała recepta na kolejną masakrę.

– Nie defetyzujcie – wtrącił półgłosem Wegner. – Poprosimy wojsko o pomoc. Dla nas i dla ludzi ze Słowiańskiej.

– Jak? – zaśmiał się ochryple kapitan. – Tym? – Strącił słuchawkę głuchego telefonu na blat biurka. – Proszę, dzwońcie, najlepiej zębami: trzy razy o rynnę, raz o parapet.

– Porozumiemy się z nimi przez radiostację, tę, którą nam zostawili – doprecyzował ze stoickim spokojem lekarz.

Okrutny zrobił wielkie oczy.

– Kto nam zostawił radiostację?

– Ludzie Biedrzyckiego – wyjaśnił Rojewski. – Przypłynęli dzisiaj po południu motorówką, żeby wy badać sytuację. Niestety byliście mocno... niedysponowani, więc poprosili, oczywiście niezwykle uprzejmie, choć prostymi żołnierskimi słowami, żebyście się do nich zgłosili, jak tylko wytrzeźwiejecie.

– Tak... – Kapitan zerknął na zegarek. – Tak zrobię. Gdzie ta radiostacja?

– W gabinecie naczelnika.

* * *

Stała tam, na środku blatu, przenośna, ale też spora, wielkości plecaka, który z wyglądu przypominała choćby ze względu na zieloną płócienną osłonę i pasy uprząży.

Okrutny opadł na głęboki fotel naczelnika więzienia, pozostali stanęli po drugiej stronie biurka jak nie przymierzając, wyrzuty sumienia.

– Jakiś kod wywołania mają? – zapytał kapitan.

– Tak: Lew.

– A nam jakiś nadali?

– Owszem: Kraty.

Chorąży był konkretny i zwięzły, jak zawsze.

– Kraty, powiadacie... – Okrutny chwycił za słuchawki, po czym wyszukał wzrokiem dźwigienkę włącznika. Aparatura ożyła, w przyłożonym do ucha głośniczku pojawił się cichy szum.

– Ja Kraty, ja Kraty, odbiór. – Przez moment nic się nie działo, więc Okrutny powtórzył wezwanie.

– Tu Lew, z kim mam łączyć? – tym razem nadeszła krótka odpowiedź.

– Eee... – Kapitan posłał błagalne spojrzenie w kierunku chorążego.

– Generała lepiej nie budźcie – poradził mu przytomnie Patryk. – Zaczniście od oficera dyżurnego. Niech on zdecyduje.

– Łączcie z oficerem dyżurnym.

– Tak jest.

Pięć sekund ciszy, po których w słuchawce rozbrzmiał inny głos.

– Podporucznik Nizner, co tam słysząc, Patryku, odbiór.

– Mówi kapitan Okrutny – poprawił go Wojciech.

– A, to wy... I jak tam się mamy, a nie, nic nie mówcie... pozwólcie, że sam zgadnę. Czacha napierdała, a w ryju Sahara.

– Czy wy się nie zapominacie, towarzyszu podporuczniku? – obruszył się Okrutny. – Rozmawiacie z oficerem!

– To, czy nadal będziecie stojakiem na czapkę z czterema gwiazdkami, to się okaże, ale o bardziej ludzkiej porze, jak już zbierzemy sąd polowy.

– Rozumiem... – Kapitan z trudem przełknął ślinę.

Wiadomość go nie zaskoczyła. Ani nie zasmuciła, co ciekawe. Po tym, co usłyszał od Pauliny Bugiel, poczuł ulgę, i to ogromną, na wieść, że ktoś w końcu zdejmie z jego barków ciężące mu od wczoraj brzemię. Nawet gdyby miało się to wiązać z degradacją albo... albo z jeszcze poważniejszymi konsekwencjami.

– To dobrze, że rozumiecie, bo jeśli się okaże, że bandyci, których wywieźliście...

– Ja w tej sprawie właśnie. – Okrutny wpadł mu w słowo.

– Tak?

– Właśnie dotarła do nas pewna dziewczyna, mieszkanka ulicy, na której kazałem porzucić więźniarki przewożące najgorszą recydywę i krawaciarzy.

– Nie mówcie mi, że... – Nizner natychmiast spoważniał.

– Niestety. Jeśli wierzyć jej relacji, trzynastu z tych bandytów przetrwało i zabarykadowało się na terenie pobliskiej zajezdni tramwajowej. Zaczęli od terroryzowania ocalałych. Z tego, co

wiem, mają już na sumieniu prawie czterdzieści osób.

– Wy macie ich na sumieniu – skorygował podporucznik bez cienia złośliwości w głosie. Po prostu stwierdził fakt.

– Tak, wiem, ale to jeszcze nie wszystko.

Wyjaśnił najkrócej i najprościej, jak umiał, co zamierza Sprycha i jego banda. Opisał też, na prośbę dziewczyny, sytuację na Słowiańskiej, prosząc o interwencję także w tamtym miejscu.

Nizner wysłuchiwał tego wszystkiego, nie przerywając mu ani razu. Potem przez kilka sekund na łączu panowała niemal idealna cisza.

– Zaczekajcie, obudzę kogo trzeba – odezwał się w końcu podporucznik.

Okrutny siedział za biurkiem, trzymając słuchawki przy prawym uchu. Po mniej więcej pięciu minutach i wypiciu dwu pełnych szklanek kranówki dla przepłukania gardła, które paliło go tak, jakby naprawdę nałykał się piachu zgarniętego z dowolnej pustyni, nie wspominając o gąszczu rosnących na niej kaktusów, usłyszał jakieś szuranie, a później serię trzasków. Białe szum też jakby się nasilił.

– Tu Biedrzycki – w słuchawkach rozbrzmiał nowy, nieco zaspany głos. – Podporucznik wprowadził nas, to znaczy mnie i kapitana Bernaciaka, w temat. Możecie kontynuować. Ale przełączcie się na zewnętrznego głośnik.

– Tak jest, towarzyszu generale! – rzucił Okrutny, pochylając się nad radiostacją.

– Nie „towarzyszu” – sprostował od razu jego rozmówca – i nie „generale”. Jestem nadal majorem. Rzekomy awans to wymysł speców od radiowej propagandy, a komuna... komuna przeminęła z wiatrem, jak wszystko inne.

– Rozumiem... – Okrutny pogubił się troszkę w tempie proponowanych zmian, niemniej wołał o tym nie wspominać. – Gotowe – oznajmił, po tym jak udało mu się znaleźć odpowiednią dźwigienkę.

– Jak widzicie sytuację? – Bartek przeszedł od razu do sedna.

– Mogę? – Patryk wyciągnął rękę po słuchawki.

– Oczywiście. – Kapitan przekazał je bez wahania. – Chorążę

Rojewski przedstawi wam nasz punkt widzenia.

– Z dawnej załogi zostało nas tutaj tylko trzech, jak zapewne wiecie, majorze. – Chorąży nie owijał w bawełnę. – Spośród cywili możemy liczyć co najwyżej na czterech emerytowanych funkcjonariuszy. Pozostali ocaleni albo nigdy nie mieli broni w rękę, albo są zbyt starzy, by dobrze sobie z nią radzić. Padła wprawdzie sugestia, że moglibyśmy uzbroić część kobiet z rodzin funkcjonariuszy, ale prawdę mówiąc, marnie to widzę.

– Dlaczego?

– Nie to, że baby są jakieś gorsze... Kilka koleżanek z obsady Babińca sprawiło się lepiej niż większość moich podwładnych, jednakże ocalone to przecież najwyklesze księgowy, praczki, kucharki. Spanikują, ledwie znajdują się na linii ognia.

– Sugerujecie zatem, że nie dacie rady obronić więzienia w razie ataku?

– Tego nie powiedziałem – zaprzeczył Rojewski. – Siedzimy za solidnym murem, który trudno będzie pokonać bez przeprowadzenia klasycznego szturm. Do tego możemy obsadzić wieże strażnicze zespołami... Przydzielilibym do każdego jednego ostrzelanego mężczyznę i dwoje, troje pomocników, którymi by dowodził. To powinno wystarczyć do powstrzymania garstki atakujących, aczkolwiek... – Zamilkł na moment.

– Tak? – rzucił natychmiast Biedrzycki.

– Jeśli ich odeprzemy, mogą wrócić zdobyczym transporterem. Stopięćdziesiątkadwójka sforsuje taki mur jak nasz bez problemu, a kule z tetetek raczej nie przebiją jej pancerza. Nie zapomniałbym także o posiadanych przez bandytów granatach i cekaemie. Jeśli mają trochę oleju we łbach, użyją broni ciężkiej do prowadzenia ognia osłonowego, a wystarczy, że wyłączą choć na chwilę jeden z naszych posterunków...

– Tak. Ten transporter zmienia postać rzeczy – przyznał ktoś, zapewne wspomniany przez majora kapitan Bernaciak.

– Jeśli wedrą się na teren więzienia, nie zdołamy ich powstrzymać – kontynuował Rojewski. – Tu będą się liczyły wyłącznie umiejętności i zimna krew, a większość drani,

o których mowa, to przecież wielokrotni mordercy. Wystarczy, że zdobędą jeden posterunek i odbiorą pokonanym broń, a nikt żywy tu nie zostanie. To znaczy żywy w sensie...

– Darujcie sobie te tłumaczenia, wiemy, o co chodzi – przerwał mu Biedrzycki. – Mówiąc krótko, nie dacie rady się obronić.

– Jeśli sięgną tutaj BTR-a, a przecież mogą to zrobić bez problemu, rozniosą nas na strzępy – podsumował Patryk.

– Zastanówmy się więc, co możemy wspólnie zrobić.

– Jakies pomysły, przemyślenia? – Bernaciak natychmiast poparł majora. – Mówcie. Wy lepiej znacie teren i sytuację.

– Może najrozsądniej byłoby uderzyć na zajezdnię – zaproponowała nieśmiało Paulina. – Jeszcze tej nocy, najpóźniej rano, gdy część z nich wyjdzie na zwiady.

Chorąży powtórzył sugestię dziewczyny. Żołnierze zastanawiali się dłuższą chwilę, debatując nad mapą, co obecni w biurze naczelnika słyszeli, choć niezbyt wyraźnie.

– Przekażcie jej słuchawki – polecił w końcu Nizner. – Mamy do niej kilka konkretnych pytań.

Patryk wykonał rozkaz bez szemrania.

– Melduje się druha Bugiel, odbiór – wymamrotała przejęta takim obrotem sprawy Paulina.

– Rozmawiajcie z nami jak przez zwykły telefon – poinstruował ją Nizner.

– Tak jest!

Tę odpowiedź zbył milczeniem.

– Z tego, co wiemy, bandyci, kradnąc transporter opancerzony, pociągnęli za sobą kilkutysięczną hordę nieumarłych – zagał Biedrzycki.

– Tak było – przyznała dziewczyna. – Widziałam z dachu ten tłum zarażonych. Może ich tam być kilka tysięcy.

– Gdzie dokładnie się znajdują?

– Tak naprawdę to zajęli pół placu. Część stoi wciąż na Jedności, ale pierwsze szeregi hordy dotarły z rozpędu aż pod budy, za wylot Nowowiejskiej.

– Czyli od strony mostu Warszawskiego nie mielibyśmy się jak przebić?

– No niby nie, ale oni jakoś torami do browaru chodzili – stwierdziła po chwili zastanowienia. – Kolejowymi, nie tramwajowymi.

– A gdzie trzymają ten transporter?

– Na placu manewrowym zajezdni.

Przepytywali ją jeszcze chwilę, prosząc o opisanie zabudowań wykorzystywanych przez bandytów i podanie liczby strażników, godzin zmiany wart i tym podobnych dupereli, na które normalny człowiek nie zwraca zazwyczaj uwagi. Paulina jednak potrafiła odpowiedzieć na prawie każde zadane jej pytanie. Spędziła na dachu niemal cały dzień i napatrzyła się za wszystkie czasy. Co więcej, starała się zapamiętać wszystko, co mogło jej się przydać do ratowania siostry.

– Czy na tym spotkaniu, które podsłuchałaś, byli wszyscy bandyci? – zainteresował się w końcu Nizner.

– Chyba tak.

– Chyba czy na pewno?

– Stuprocentowej pewności nie mam, bo nie mogłam zajrzeć przez okno, ale słyszałam... – zliczyła z pamięci – sześć albo siedem głosów.

– Czyli kilku z nich mogło brakować?

– Nie sądzę, oni zazwyczaj trzymają się w kupie.

– Ale do browaru kogoś wcześniej wysłali?

– To prawda – potaknęła zawstydzona, że przyłapali ją na błędzie.

– Oddajcie słuchawki chorążemu – polecił Biedrzycki.

Zrobiła, co jej kazano.

– Mamy problem – przyznał bez ogródek major. – Jeśli bandyci zostawili czujkę w browarze, nie damy rady podpłynąć tam niezauważenie. A jest wysoce prawdopodobne, że ktoś tak szczerwany jak Sprycha zabezpieczył się na wszystkie sposoby. Wystarczy więc, że choć jeden z czatujących nad Odrą bandziorów pobiegnie do zajezdni i uprzedzi pozostałych o naszej obecności...

Nie musiał kończyć. Pozbawieni sumień ludzie pokroju wspomnianego kanibala, albo takiego Magdziarka, byli zdolni do

każdej podłości. Broniąc swojego, posunęliby się więc do czynów, o których ktoś normalny nawet by nie pomyślał. Na przykład wypuściliby kolejnych ocalonych na horde, by zwabić ją także na tory i odciąć na dobre tę drogę dostępu do ich kryjówek.

– Czyli my też jesteśmy od was odcięci – zauważył przytomnie Rojewski. – Nawet gdybyście posłali ludzi pontonami, bez trudu je zauważą na kanale i doniosą gdzie trzeba, a skoro ten Sprycha to taki łebski facet, szybko się domyśli, dokąd możecie płynąć.

– Z wami jest prostsza sprawa. Zapakujemy oddział szturmowy na jedną z barek, które od wczoraj przeprowadzamy do portu miejskiego. Z tego, co widzę, tuż za mostem kolejowym wszystkie kanały żeglugowe łączą się w jedno koryto, więc możemy wysadzić ludzi dopiero na wysokości szpitala psychiatrycznego, daleko poza zasięgiem wzroku bandytów siedzących w browarze.

– Most jest zablokowany przez ponad setkę nieumarłych – przypomniał mu chorąży.

– Nie szkodzi. Kanał przeciwpowodziowy pokonaliby na tych samych pontonach, którymi dopłyną z barki do wałów. Z dala od mostu. Nizner twierdzi, że nie musiał wchodzić w kontakt z zombie, gdy do was szedł.

– Zatem wesprzecie naszą obronę?

– Tak. To rozsądniejsze wyjście. Wyślemy do was dwie drużyny, w sumie dziesięciu, może dwunastu ludzi.

– Dwunastu, powiadacie? – Okrutny wyglądał na zawiedzionego.

– Więcej nie mogę, choćbym chciał. My też tu mamy swoje problemy.

– Majorze, a może by tak z marynarzami pokombinować? – wtrącił Nizner.

– To przecież cywile – obruszył się Biedrzycki.

– Ale chłopcy na schwał. Twardzi, a co najważniejsze, po regularnej służbie. Mawet twierdzi, że są lepsi od połowy ochotników, których mu partia podsyłała do koszar. Przed zarazą, rzecz jasna – dodał, żeby była pełna jasność.

– Nie podoba mi się ten pomysł – upierał się Bartek.

– Wystarczy, że porucznik wskaże nam dziesięciu najlepszych, a podwoimy siły, nie naruszając harmonogramu.

– Obudźcie go i przekażcie, o co chodzi – rozkazał Biedrzycki, po czym skupił uwagę na rozmówcach z więzienia. – Jeśli wszystko pójdzie dobrze, dostaniecie większe wsparcie. A co do planu, zdaję się na was. Wy lepiej znacie teren i wiecie, czego można się spodziewać po tych kryminalistach. Zróbmy tak: my zajmiemy się teraz przygotowaniem ludzi i sprzętu, aby przerzut był możliwy w ciągu najbliższych godzin, jeszcze przed świtem, a wy w tym czasie przedyskutujcie dostępne opcje. Zgłóście się ponownie, gdy opracujecie sensowny plan działania.

– Za pozwoleniem, majorze – odezwał się Nizner.

– Jeszcze tu jesteście? – zirytował się Bartek.

– Już znikam, tylko jedno chciałem powiedzieć – usprawiedliwił się podporucznik. – Czy moglibyśmy przeprowadzić tę akcję tak, by nie zabijać tych drani?

– Dlaczego?

– Pomijam problemy, jakie wynikną z ich zmartwychwstania w samym środku tłumu cywili, nawet jeśli wszyscy zostaną z wyprzedzeniem poinformowani o tym, co im może grozić. Chodzi mi o to, że w ten sposób spełnilibyśmy prośbę doktora...

– Wy znowu o tym? – obruszył się Biedrzycki.

– Staram się znaleźć takie rozwiązanie, żeby wilk był syty i owca cała. Arendzikowski zejdzie wam z pleców, jeśli przekażemy mu te bestie. Bo chyba nie uważacie ich nadal za ludzi, po tym co usłyszeliście?

– Uważam ich za ludzi, bo to są ludzie, ale co do jednego możemy się zgodzić: ci dranie nie zasługują na przeżycie – przyznał po chwili wahania major. – Mimo wszystko wolałbym się ich pozbyć w normalny sposób.

– Skoro i tak mają umrzeć, niech się na coś przydadzą. Jeśli ich zlikwidujemy tam, na Kłęczkowskiej, zmienią się po prostu w kolejnych nieumarłych. Wielu pewnie zginie, zanim zrozumie, co się w ogóle dzieje, a moim skromnym zdaniem powinni poczuć strach przed śmiercią.

– Podporucznik ma rację – wtrącił Bernaciak.

Milczenie Biedrzyckiego się przeciągało.

– No i dochodzą te nowe okoliczności, nie zapominajcie – rzucił enigmatycznie Nizner.

– A co one mają z tym wspólnego? – zapytał major.

Jego rozmówcy z więzienia nie usłyszeli odpowiedzi, podporucznik musiał jej udzielić szeptem albo Biedrzycki przestonił dłonią mikrofon. Zaintrygowała ich ta informacja, ale wiedzieli, że nawet jeśli zapytają o nią wprost, nie otrzymają satysfakcjonującej odpowiedzi. Tajemnica wojskowa obowiązywała nawet w obliczu totalnej zagłady.

– Dobrze – odezwał się w końcu major, aczkolwiek w jego głosie dało się wyczuć wyraźne wahanie. – Niech wam będzie. Rojewski, postarajcie się opracować taki plan, by jak najwięcej z nich dało się wziąć żywcem. Choć jeśli okaże się to zbyt ryzykowne, odpuście. To rozkaz.

– Tak zrobimy – potwierdził Patryk. – Bez odbioru.

Odłożył niepotrzebne chwilowo słuchawki na blat biurka.

– Jakież pomysły? – rzucił, przenosząc wzrok na pozostałych.

Okrutny dał sobie i chorążemu kwadrans na przemyślenie sprawy. Na szczególny wkład ze strony doktora Wegnera i dziewczyny nie liczył. Pierwszy, choć znał więzienie od podszewki, pokazał już, jaką reprezentuje wartość bojową. Paulina natomiast znajdowała się w zupełnie obcym dla siebie miejscu i mimo że okazała się osobą na tyle rezolutną, by dotrzeć w pojedynkę ze Słowiańskiej aż na Kraszewskiego, w dodatku nocą, w rozwiązaniu stojącego przed funkcjonariuszami służby więziennej problemu nie mogła pomóc.

Piętnaście minut to niby niewiele, ale jeśli człowiek się skupi i zna temat, potrafi dojść do naprawdę ciekawych wniosków. Zwłaszcza gdy działa pod presją, a od wyniku jego przemyśleń może zależeć życie jego bliskich.

– Podsumujmy. – Kapitan odezwał się pierwszy. – Będziemy mieli dziesięciu albo i dwudziestu chłopaków pod bronią, tamtych natomiast przyjdzie co najwyżej dziesięciu, ponieważ Sprycha nie jest głupcem i raczej nie pośle wszystkich swoich ludzi naraz. On sam z co najmniej jednym kompanem zostanie na

czatach, ktoś inny będzie obsługiwał zdobyczny cekaem. To daje nam góra dziesięciu ludzi, których będziemy musieli obezwładnić równocześnie.

– Dwóch na jednego – prychnęła Paulina, zaskakując ich wszystkich. – Łatwizna.

– Nie w nocy, pośrodku spanikowanego tłumu, podczas akcji gaszenia pożaru – zapewnił ją Patryk. – Wystarczy przecież, że kilku tych drani nam się wyślizgnie, a dojdzie do strasznej jatki. Co ja mówię, jeden może narobić takiego bajzlu, że się nie pozbieramy. Nie zapominajmy, że trzy czwarte ludzi znajdujących się na placu to będą cywile. Nie wolno nam ich narażać bardziej, niż to absolutnie konieczne.

Okrutny kiwał powoli głową, zapisując co chwilę pojedyncze słowo lub krótkie zdanie. Moment później zaczął otwierać kolejne szuflady i grzebał w nich dopóty, dopóki nie znalazł planu miasta. Rozłożył go na blacie, po tym jak Rojewski zrobił miejsce, przesuwając radiostację.

– Powiedz mi – kapitan wskazał dziewczynę – jaką ty byś wybrała drogę na miejscu Sprychy?

Paulina podeszła do biurka. Mapa, którą dysponowali mundurowi, była dziwna, o wiele bardziej szczegółowa od tych kupowanych w księgarniach, zawierała też masę nieznanych jej symboli i elementów graficznych. Mimo to Paula zdołała odszukać wzrokiem dworzec Nadodrze; zlokalizowanie więzienia i zajezdni to była już dla niej pestka.

– Oni nie znają dobrze miasta, wybiorą więc najprostszą i najkrótszą drogę – stwierdziła.

– Czyli?

– Przejdą przez tory kolejowe, wkroczą na teren gazowni i spróbują przebić się przez Klęczkowską. Tak na marginesie, od tej strony macie najslabszy punkt obrony – wskazała znajdujące się tuż przy murze garaże bazy transportowej.

– Co takiego? – Okrutny się zdumiał.

– Po tych dachach można bez problemu dotrzeć do muru i zeskoczyć na teren więzienia – wyjaśniła dziewczyna. – Ja bym wybrała to miejsce. Nie potrzebowałabym żadnego sprzętu,

który trzeba by tachać po mieście. Wystarczy kawałek liny, nożyce do drutu i po krzyku.

Pochylili się nad mapą wszyscy, nawet Wegner. Choć przepracowali w tym więzieniu całe lata, pozostali ślepi na tak elementarną prawdę. Paulina miała rację. To było miejsce, którym bandyci mogli się przedostać na teren kompleksu, i to bez potrzeby korzystania z drabin. Z pewnością mieli tego świadomość, ponieważ niejeden z nich obserwował okolicę z okna własnej celi, planując ewentualną ucieczkę.

Trasa, którą musieliby pokonać, aby dotrzeć do narożnika więzienia, nie była długa. Pozostawało tylko pytanie, ilu nieumarłych stanie im na drodze i jak...

– Zapomnieliśmy o jednym – mruknął Okrutny. – Jeśli wojsko nie rozpieprzy gangu tej nocy, zginą następni cywile. Sprycha użyje ich jako żywych tarcz albo każe porobić z nich przynęty, dzięki którym oczyści ulicę.

Dziewczyna zbladła, ona widziała już, jak to wygląda w praktyce. Zdawała też sobie sprawę, kto zginie, aby bandyci mogli najpierw zrobić rekonesans, a potem przeprowadzić właściwy atak.

– Musicie temu zapobiec...

– Słyszałaś, co powiedział major – zgasił ją natychmiast Patryk. – Wojskowi nie zaryzykują wysłania swoich ludzi przeciwko tak wielkiej hordzie.

– Dlaczego tak bardzo boją się ryzyka?

– Sądzę, że ich jest mniej, niż nam się wydaje – stwierdził Rojewski.

– Skąd ta myśl? – zainteresował się Okrutny.

– Powiedzmy, że wyczytałem to między wierszami podczas rozmowy z tym całym Niznerem. Kluczył za każdym razem, gdy pytałem go wprost o liczebność. A i major nie zaoferował nam wsparcia w takiej sile, na jaką liczyliśmy. Dziesięciu ludzi? Serio?

– Też odniosłem wrażenie, że Biedrzycki nie może wysłać tu większej liczby żołnierzy – zgodził się z chorążym doktor Wegner. – Wróćmy jednak do mieszkańców Słowiańskiej i Krętej.

– Dajcie się zastanowić... – poprosił Okrutny, po czym

zerknąwszy na chorążego, dodał: – Polałbyś chociaż setkę, żeby kaca klinem wyleczyć, jak głosi sprawdzona mądrość ludowa.

– Nie da rady. Rozkaz majora. – Odmowa była szybka i stanowcza. – Ale doktor może wam jakiś specyfik zaordynować, jeśli sobie życzycie.

– Dzięki za radę – mruknął rozczarowany kapitan. – Jakoś przeżyję. Zaczniemy od problemu numer jeden: jak ocalić cywili, których tamci posłają na pewną śmierć, by oczyścić drogę?

Milczeli jak zakłęci, dopóki Wegner nie odchrząknął znacząco.

– Może powinniśmy to zrobić za nich?

– Zabić cywili? – osłupiał kapitan.

– Nie. – Lekarz pokręcił głową. – Oczyścić ulicę.

– Jak to sobie wyobrażacie?

– Zastosujemy tę samą taktykę co oni przy kradzieży transportera opancerzonego. Użyjemy wozu. Powiedzmy, gazika Bednarka albo któregoś stara czy nawet autobusu, jeśli wolicie. Podjedziemy nim tak daleko, jak się da, odczekamy chwilę, a potem, bardzo wolno, wycofamy się w kierunku Reymonta. Nieumarli na pewno zareagują i poleżą za nami. Widzieliście, jak to działa, na spacerniaku. Wystarczy, że jeden wyczuje człowieka, a pozostali ruszają za nim kolejno, jakby umieli się komunikować.

– Im dłużej poczekamy, tym więcej ich się zlezie – podsumował kapitan.

– Można by wsadzić na pakę parę osób, żeby nieumarli bardziej się zaślinili... – Rojewskiemu ten pomysł także się spodobał.

– Idea warta przemyślenia, ale... Znacnie Sprychę. To przebiegły i podejrzliwy skurwiol. Jeśli oczyścimy mu drogę, domyśli się, że coś jest nie tak, i zmieni plany.

– Też prawda – przyznał chorąży ku rozpaczcy Pauliny, która już cieszyła się w duchu, że znaleziono sposób na ocalenie życia jej sąsiadom i znajomym.

– Ja bym tam zaryzykował – oświadczył doktor Wegner.

– Wsiedlibyście na tę ciężarówkę?

– Nie o to mi chodziło, ale w sumie czemu nie?

– Zatem o jakim ryzyku mówiliście przed chwilą?–

zainteresował się Okrutny.

– Z oczyszczeniem drogi – wypalił Wegner.

– Nie słyszeliście, że to wyda im się bardzo podejrzane?

– Albo uznają, że to dar losu – nie odpuszczał lekarz. – Nie każda ulica jest przecież zakorkowana przez te abominacje.

Spojrzeli na niego spode łba, nie wiedząc, co znaczy ostatnie słowo, ale woleli nie zdradzać swojej ignorancji.

– Zbierzmy nieumarłych z jakiegoś odcinka ulicy. – Rojewski zaproponował całkiem sensowny kompromis. – Wystarczająco wielu, by ta trasa wydała się bandytom atrakcyjna, nie wszystkich jednak. Część zombie zostawimy tam, gdzie są, żeby nie dawać Sprysze powodów do podejrzeń.

– Nie bardzo rozumiem... – wyznał Okrutny.

– Jeśli na ulicy pozostanie niewielu odmieńców, ludzie, którym Sprycha każe ich wywabić z Kłęczkowskiej, będą mieli spore szanse przeżycia.

– Takeście to sobie umyślili.

– Może nie jest to idealne rozwiązanie, ale pozostałe wydają się jeszcze gorsze – zawyrokował chorąży. – Tylko tym sposobem zminimalizujemy straty wśród cywili, nie płosząc zarazem bandytów.

– Zgoda. – Okrutny przystał na propozycję po chwili zastanowienia. Przez kolejne kilkadziesiąt sekund kontemplował mapę. – Zatem postanowione. Zbierzemy ekipę ochotników, z czym nie powinno być problemu, skoro doktor pojedzie z nimi.

Wegner pobrał na twarzy, przełknął też głośno ślinę.

– Użyjmy gazika – ciągnął niezrażony jego reakcją kapitan. – Jest dużo cichszy i zwrotniejszy od starów, no i ma od nich lepsze przyśpieszenie. Poza tym wystarczy zapakować do niego dwie osoby, by osiągnąć zamierzony efekt.

– Ale nie ma prawie żadnej osłony – zauważył Patryk.

– Też prawda...

– To ją sobie zróbcie! – krzyknęła Paulina, widząc zwątpienie rodzące się na twarzach funkcjonariuszy. – Wsadźcie za drzwi arkusze blachy albo jakieś dechy!

Znów zaskoczyła ich pomysłowością, jakby terminowała

u samego Adama Słodowego.

– To da się zrobić.

– Wszystko pięknie... – teraz postanowił wyrazić swoje obiekcje Wegner, który właśnie pożałował wcześniejszej wyrywności. – Do gazika dostaniemy się pewnie bez trudu, bo nie ma przy nim żadnych nieumarłych, ale jak wrócimy? Będzie nas otaczać masa żywych trupów. Cholera wie, ilu ich się tam kręci w głębi Klęzkowskiej i w przecznicach.

– Powrót to akurat żaden problem – odparł Wojciech. – Podjedziecie pod wieżę strażniczą na rogu Reymonta, tam opuścimy wam linę i albo sami po niej wejdziecie albo wciągniemy was kolejno na górę.

Lekki ton, jakim rzucił tę uwagę, uspokoił lekarza, choć nie do końca.

– A jak nas otoczą i zablokują?

Nie dało się tego wykluczyć, w razie gdyby kierowca pozwolił nieumarłym znaleźć się przed maską. Kilku nie zatrzyma wozu, ale kilkudziesięciu, zbitych w tłum, to już inna sprawa.

– Podczepimy was pod wyciągarkę ziła – zaproponował Okrutny. – To bydlę wyciągnęłoby czołg z bagna, więc i w tej sytuacji sobie poradzi. Stalówka ma ze dwieście metrów, będziecie mieli spore pole manewru.

– Trzeba by ze dwie przecznice oczyścić. Tak do Siemieńskiego – wyliczył tymczasem chorąży. – To powinno wystarczyć do naszych celów, a będzie także wyglądało na tyle zachęcająco, by skłonić drani do wybrania właśnie tej trasy.

– W porządku – skwitował kapitan. – Przejdźmy zatem do samej akcji. Kiedy i jak ich zgarniemy?

– Gdy tylko przeskoczą przez mur – zaproponował doktor Wegner. – Wiemy, z której strony nadejdą. Wystarczy ukryć żołnierzy w miejscu, którego nie wypatrzą ich obserwatorzy, i...

– Z was to normalnie jakiś Napoleon powinien być, albo nie, jeszcze lepiej: napoleonka! – zaśmiał się kapitan.

– Powiedziałem coś śmiesznego?

– Owszem, doktorze. Oni nie przeleżą przez mur hurmem, jak jacyś barbarzyńcy szturmujący średniowieczną fortecę. Z tego, co

mówiła dziewczyna, wynika, że zamierzają puścić przodem Janiczka, tego podpalacza, żeby nam jakiś magazyn sfajczył... Sądzę, że Sprysze chodzi o budynek gospodarczy znajdujący się tutaj, w sąsiednim narożniku.

– A nie główny magazyn?

– Nie. Placu przed nim nie da się obserwować zza muru, o osłanianiu ogniem swoich nawet nie wspominając – wyjaśnił Okrutny. – A tu proszę – wskazał ciąg kamienic po drugiej stronie ulicy. – Idealne miejsce na punkty obserwacyjne i potencjalne stanowiska ogniowe. Gdyby mieli więcej broni, mogliby pruć do nas jak do kaczek.

– Fakt – przyznał Patryk, przyjrzawszy się zabudowaniom po wschodniej i południowej stronie zakładu karnego. – To musi być ten budynek gospodarczy, jeśli chcą nas wyciągnąć na otwartą przestrzeń.

– Idźmy dalej. Reszta gangu ruszy do akcji dopiero wtedy, gdy nasi wylegną tłumnie na plac. No, doktorku, powiedzcie, gdzie mielibyśmy ukryć dwudziestu chłopów, żeby ani Janiczek, ani żaden obserwator ich nie zauważył? – zapytał kapitan, stukając ponownie we wskazane już wcześniej kamienice. – Przecież z dachu albo najwyższych pięter będą mieli widok na tę część kicia jak z łoży operowej na scenę.

– Przecież można ich tam posłać już po tym, jak ten cały Janiczek pójdzie do magazynu – upierał się przy swoim lekarz.

– Skąd?

– Co: skąd?

– No skąd posłać? Tak, żeby ich obserwatorzy nie zauważyli?

– Nie wiem – obruszył się Wegner. – Wy lepiej się na tym znacie. Wymyślcie coś.

– Dobrze, załóżmy, że ukryjemy żołnierzy w przybudówce garażowej, wiecie, tej stojącej naprzeciw skrzydła kaplicy... – zaczął Okrutny.

– To wymagałoby rozebrania barykady! – zaprotestował chorąży.

Jego chłopcy wylali sporo potu, aby otoczyć rumowisko solidnym ogrodzeniem, dzięki czemu nieumarli, którzy wciąż

wygrzebywali się spod gruzów, nie mogli zagrozić żywym.

– Mówię hipotetycznie, Patryku – uspokoił Rojewskiego kapitan. – Załóżmy, że udałoby się ich wyprowadzić jakoś skrycie, w czasie między podpaleniem magazynu a pojawieniem się reszty bandytów. Jak chcielibyście załatwić drani na otwartym terenie?

– Mamy broń palną, a oni nie! – oświadczył triumfalnie lekarz.

– A co z granatami i tym cekaemem, którym Sprycha ma osłaniać swoich kompanów w razie problemów? Jeśli ustawi go gdzieś tutaj – wskazał kamienice stojące mniej więcej pośrodku ulicy – wystrzela żołnierzy w kilka sekund, a w każdym razie przyszpili ich ogniem, dając swoim szansę na swobodne działanie. Wiecie, co będzie, gdy oprychy zaczną ciepać granatami na prawo i lewo, a możecie mi wierzyć, zrobią to, jak tylko zobaczą blokującą im drogę tyralierę mundurowych. Nie, kochany, to za duże ryzyko. Narazimy ludzi Biedrzyckiego, a ostrzał z cekaemu w zbity tłum...

– Zatem pozwalamy, żeby Janiczek podpalił magazyny? – zapytał Rojewski, kończąc definitywnie ten etap dyskusji.

– A niech sobie podpala – odparł jego przełożony, stukając palcem w plac przy spaceriakach w północno-wschodnim narożniku kompleksu więzienia. – Opróżnimy je ze wszystkiego, co cenne. Mamy czas do rana, żeby przenieść żarcie i sprzęt w bezpieczne miejsce.

– Niegłupie. I co dalej?

– Co dalej, pytacie... Moim zdaniem musimy im pozwolić wejść między naszych. Zadbamy o to, by akcja gaszenia wyglądała jak najbardziej naturalnie. Na początek uformujemy z wybranych ludzi kilka drużyn, wiecie, żywe łańcuchy podające wiadra wody z rąk do rąk i tak dalej. Resztę cywili ustawimy za kordonem, który utworzą przebrani w nasze mundury ochotnicy i marynarze. Z daleka nawet gołowąsy i staruszkowie powinni wyglądać jak najzwyczajni funkcjonariusze, zwłaszcza nocą, przy szalejącym pożarze.

– To prawda.

– Sprycha po zrobieniu rozeznania każe swoim wkroczyć na

teren więzienia. Na pewno wybiorą miejsce, na które nikt nie powinien w danym momencie patrzeć, więc garaże wydają się idealnym punktem przerzutowym. Wedle słów dziewczyny – skinął głową w stronę Pauli – dranie chcą się zakraść do każdego, kto będzie miał przy sobie broń, i na dany sygnał zaatakują niczego nie spodziewające się ofiary nożami, aby odebrać im peemy i tetetki, którymi posłużą się następnie do wywołania paniki i wystrzelania reszty uzbrojonych funkcjonariuszy.

– Tak to dokładnie miało wyglądać – potwierdziła Paulina.

– Sprawmy zatem, żeby poszli tam, gdzie chcemy. Dajmy przebierańcom broń, oczywiście bez amunicji. Każmy im blokować tłum gapiów, w którym, uwaga, ukryją się pozostali ludzie Biedrzyckiego. Gdy bandyci ustawią się za plecami przynęt, sami będą mieli za sobą po dwóch przeciwników na łebka. Wtedy ich zgarniemy, wszystkich równocześnie, z zaskoczenia. Jeśli dobrze to rozegramy, Sprycha albo ten, kogo zostawi przy cekaemie, nawet się nie spostrzeże, że jego kompani zostali obezwładnieni.

– Przydałaby się w tym momencie jakaś dywersja – zauważył Rojewski.

– Będą czekać na wybuch granatu, który odwróci uwagę nas wszystkich... – wymamrotał głęboko zamyślony kapitan. – W takim razie my możemy czekać na... klakson.

Pokiwali głowami. To nietypowy dźwięk, wystarczająco głośny, trudny do pomylenia z czymkolwiek innym.

– Możemy ustawić jeden z pozostałych gazików za spacerniakami – rzucił Patryk. – W dzień chłopaki zdejmą koło albo podniosą maskę, żeby wyglądał, jakby był w naprawie.

– I to nie wzbudzi podejrzeń? – zapytał Wegner. – Przecież mamy bazę transportową, a w niej warsztaty.

– Możecie udawać, że montujecie w nim te dodatkowe osłony – podpowiedziała Paulina.

– Świetna myśl – poparł ją Patryk. – Wytniemy z okien kilka krat, podstawimy spawarkę. Temu nie powinni się dziwić.

Okrutny nie odpowiadał, błędził wzrokiem, jakby spoglądał za ścianę.

- A może niech to nie będzie klakson, lecz odgłos wystrzału.
- To też dobra myśl – pochwalił go doktor. – Trudno przeoczyć taki huk, nawet stojąc blisko szalejącego ognia.
- Tylko kto ma strzelać i skąd? – zapytał chorąży.
- Snajperzy – odparł Okrutny, uśmiechając się szeroko.
- A skąd ich weźmiecie? – zdumiał się Wegner.
- Poprosimy Biedrzyckiego, żeby przysłał paru. – Kapitan machnął lekceważąco ręką. – Musi ich mieć w swoich oddziałach co najmniej kilku, a jeśli nie, to pewnie dysponuje karabinami wyborowymi. Nie potrzebujemy mistrzów olimpijskich, żeby posłali celnie kulkę na odległość stu metrów. Zwłaszcza jeśli będą dysponowali specjalistyczną bronią. Umieścimy snajperów w celach Babińca...
- A dlaczego nie na dachu?
- Tam Sprycha mógłby ich przedwcześnie zlokalizować. Pamiętajcie, ta gnida ma szósty zmysł, a my nie możemy popełnić najmniejszego błędu, dlatego lepiej będzie, jeśli strzelcy ukryją się za kratami, w głębi ciemnych pomieszczeń. Z cel na ostatnim piętrze powinni mieć idealny widok na wszystkie kamienice, a przy zachowaniu należytej ostrożności nikt ich nie zobaczy. Damy im dość czasu, by mogli wypatrzeć stanowisko obserwatora i cekaemu. Zwłaszcza to drugie powinno być łatwe do namierzenia. Gdy zameldują, że wypatrzyli cele, wydam rozkaz otwarcia ognia.
- Odstrzelimy drani na czujce? – zdziwił się Rojewski. – Mimo że wojskowi chcą mieć ich żywych?
- Tylko jednego, najwyżej dwóch. Zależy, ilu Sprycha zostawi. Resztę podamy Biedrzyckiemu na tacy. – Kapitan rozparł się wygodnie w fotelu.
- Plan nabierał rumieńców z każdą chwilą.
- A jeśli cekaem będzie obsługiwał sam Sprycha? – Rojewski spojrzał przełożonemu w oczy.
- Zrozumieli się bez słów. Zależało im na tym, by dopaść kanibala żywcem. Jednakże z każdą chwilą nabierali pewności, że Fabian nie stanie w pierwszej linii. To nie było w jego stylu. Lubił pociągać za sznurki, pozostając w cieniu.

– Każę snajperom go ranić – odparł w końcu Okrutny. – Na tyle poważnie, żeby nie mógł uciec, ale zarazem na tyle niegroźnie, by przeżył. Chcę widzieć, jak odpowiada za to wszystko, czego dopuścił się na Słowiańskiej.

– Ja też o niczym innym nie marzę – wtrąciła rozemocjonowana Paulina.

– Nie wątpię...

– No dobrze, a co zrobicie, jeśli snajperom nie uda się wypatrzeć Sprychy? – zapytał doktor Wegner.

– To spece, znają się na tej robocie, mają odpowiedni sprzęt, lornetki, noktowizory. Na pewno go namierzą. Jeśli chce nas obserwować, musi się pokazać.

– Założmy jednak – upierał się lekarz – że przyczai się gdzie indziej, nieco dalej, na przykład w jednej z waszych czynszówek...

– Z żadnej nie będzie miał czystego pola ostrzału – wpadł mu w słowo chorąży, który nie musiał patrzeć na mapę, by wiedzieć, że ma rację.

– ...albo zastosuje tę samą taktykę co wy i pozostanie do samego końca w głębi zaciemnionego pomieszczenia – dokończył niezrażony tą kontrą lekarz.

– Nie może tego zrobić, bo musi koordynować działania swoich, a radia przecież nie mają.

– A co będzie, jeśli się okaże, że wojsko nie ma snajperów?

– Nie defetyzujcie – uciął Okrutny.

– Ja nie defetyzuję. Staram się tylko spojrzeć na problem z każdej strony. O to przecież prosił Biedrzycki.

– Nie możemy wykluczyć takiego obrotu spraw – odezwał się po chwili milczenia chorąży.

– Nie możemy – zgodził się Okrutny, wzdychając ciężko. – Zróbmy więc tak. Gdy bandyci wmieszają się w tłum i zostaną namierzeni przez naszych, strzelę w powietrze albo nacisnę klakson, to jest jeszcze do ustalenia. Cywile zostaną wcześniej uprzedzeni, że na ten dźwięk mają wiać ile sił w nogach pod wschodni mur. Tylko tam nie sięgnie ich ogień z cekaemu, nawet jeśli te dranie wtargają go na ostatnie piętro którejś z kamienic.

Zaskoczenie da nam kilka sekund przewagi. To powinno wystarczyć. Poza tym, gdy bandyci otworzą ogień, snajperzy zdejmą ich w okamgnieniu.

– Skoro mam wybierać pomiędzy satysfakcją z egzekucji Sprychy a kolejnymi ofiarami wśród naszych, wolę pozostać nieutulony w żalu po tej gnidzie – oznajmił Patryk.

– Dobra! – Okrutny zatarł ręce. – Mamy plan, możemy kontaktować się z Lwem.

– A co zrobimy z nią? – Rojewski wskazał dziewczynę.

– Niech poczeka, aż nasi oczyszczą te dwie przecznice. To wprawdzie chwilę potrwa, ale...

– Ja nie mogę czekać! – Paulina podniosła głos. – Muszę iść już teraz!

– Dlaczego?

– Jeśli nie wrócę przed świtem, tamte kobiety odbiorą sobie życie! Mówiłam wam przecież!

– Mówiłaś, że masz im dać znać o nadchodzącej pomocy – poprawił ją doktor Wegner.

– Powiedziałaś, że wrócisz? – Kapitan nie krył zdziwienia. – Nie prościej było ustalić jakiś sygnał? Bo ja wiem, na przykład kilka strażaków z pistoletu układających się w jakiś umówiony ciąg... Jeden osobno, dwa szybkie i znów pojedynczy.

– Nie wpadłam na to – przyznała zawstydzona Paula.

– Wiesz, w drodze powrotnej możesz mieć mniej szczęścia.

– Muszę spróbować. – Spojrzała na zegarek.

Nie zdawała sobie sprawy, że jest już tak późno. Słońce miało wstać za niespełna trzy godziny.

– Nie mam nikogo, kogo mógłbym z tobą wysłać – stwierdził po chwili namysłu kapitan. – Broni też nie mogę ci dać. Jeśli wpadniesz w ich łapy... – Spojrzał na nią dziwnie, następnie przeniósł wzrok na Patryka. – Ona teraz zna każdy nasz ruch – dodał szeptem.

– Szlag... – zaklął chorąży.

– O czym wy, u licha, mówicie?! – wykrzyknęła Paulina. – Przecież nie jestem ich szpiegiem!

– Nic takiego nie powiedziałem! – zastrzegł się natychmiast

Okrutny. – Nie znam jednak człowieka, który obdzierany żywcem ze skóry nie wyśpiewa wszystkiego, co wie, a Sprycha jest specjalistą, i to wybitnym, w tego rodzaju torturach. Ma na sumieniu kilkanaście kobiet zamordowanych w taki właśnie brutalny sposób, a przynajmniej do tyłu morderstw się przyznał.

Bugiel zbladła, słysząc, czego dopuszczał się w przeszłości ten bandzior. Przypomniało jej się, że któraś z dziewczyn wspomniała coś o tym, że zabrał je rano do piwnicy i tam zaczął robić coś podobnego jednej z nich, by złamać pozostałe... Czy utrzymałaby język za zębami, gdyby zaczął obierać ją ze skóry jak jakieś warzywo? Była pewna, że wyśpiewałaby wszystko, i to już po kilku sekundach, ale nie mogła przecież zawieść Patrycji.

Nie mogła jej stracić.

– Jeśli tam nie pójde, one... moja siostra...

– To zbyt duże ryzyko.

– Ja muszę wrócić! – wydarła się, jakby wyimaginowane szczypce wyszarpaneły płat skóry z jej pleców.

– Mam dla ciebie propozycję – zwrócił się do niej kapitan. – Poczekaj, aż rozmówię się z majorem Biedrzyckim. Przedstawię mu sytuację, spróbuję przekonać, żeby wysłał do zajezdni drugi oddział albo chociaż zwiadowcę, który przekaże twojej siostrze i reszcie kobiet, że dotarłaś tutaj i że zamierzamy zlikwidować tę bandę. Może wszystko się ułoży i nie będziesz musiała się narażać.

– A jeśli major Biedrzycki się nie zgodzi?

– Wtedy pójdziesz.

Przez dłuższą chwilę patrzyła na niego w ponurym milczeniu, a potem bardzo powoli skinęła głową. Tylko raz i raczej niezbyt zdecydowanie, ale było to jakieś potwierdzenie. Odwrócił się więc i sięgnął po słuchawki.

*poniedziałek, 12 sierpnia 1963, godzina 03:11
okolice mostu Trzebnickiego*

Biedrzycki odmówił. Grzecznie, ale stanowczo, mimo że kapitan Okrutny – wspierany zdecydowanie przez chorążego Rojewskiego i doktora Wegnera – naciskał naprawdę mocno. Przyparty do muru major wyznał w końcu, że nie chce i nie może ryzykować, ponieważ jego ludzie przeszli w piątkową noc prawdziwe piekło i nie pozbiali się jeszcze po masakrach, w których poległa większość ich towarzyszy broni. Posłanie tych żołnierzy, na ślepo, nocą, w miejsce, w pobliżu którego znajduje się gigantyczna horda nieumarłych, mogłoby doprowadzić – zwłaszcza w przypadku dotkliwych strat – do kompletnego załamania morale, które dopiero co z trudem zaczęto odbudowywać. Poza tym nie miał aż tak wielu podwładnych, jak sugerowały to komunikaty propagandowe.

Tak, Biedrzycki rozumiał, czym to grozi, lecz jego zdaniem rachunek zysków i strat wypadł jednoznacznie. Ocalenie miasta było dla niego po tysiącokroć ważniejsze od życia paru osób, jakkolwiek okrutnie by to zabrzmiało. Szczególnie że działania, które mogła podjąć załoga więzienia pospołu z młodą informatorką, powinny zminimalizować straty wśród mieszkańców okolic zajezdni. Być może nawet do zera.

Plan przedstawiony przez Okrutnego, pod warunkiem uwzględnienia kilku drobnych uwag, został natomiast przyjęty, ponieważ zdaniem majora gwarantował zabicie bądź ujęcie większości zbiegów przy minimalnym ryzyku własnym. Bartkowi spodobało się zwłaszcza to, że przeciwnik zostanie zmuszony do opuszczenia własnego terenu i niczego nieświadomy trafi w zastawioną jeszcze tej nocy pułapkę.

Wojsko, na szczęście, dysponowało dwoma strzelcami wyborowymi, których włączono w skład oddziału specjalnego

składającego się z aż dwudziestu jeden ludzi. Do tuzina żołnierzy dołączyło bowiem dziewięciu marynarzy szkolonych przez Maweta. Za kwadrans trzecia wszyscy weszli na pokład barki wypełnionej węglem i odpłynęli w kierunku centrum miasta.

W tym samym momencie Paulina opuszczała Zakład Karny Nr 1. Wyprowadzono ją tą samą tylną bramą, którą weszła. Kapitan pomimo wcześniejszych oporów kazał dać jej tetetkę i aż sześć naboí. Ona z kolei musiała mu obiecać, że zrobi wszystko, co w ludzkiej mocy, aby wystrzelić je wszystkie w razie konieczności – na przykład, gdyby doszło do próby jej ujęcia – amunicja nie mogła bowiem wpaść w ręce bandytów.

Paulina precyzyjnie przeszła przez gęstwą ludzi opróżniających zagrożone spalaniem budynki i wyszła na pogrążoną w mroku i bezruchu ulicę. Przystanęła tylko na moment, by się przeżegnać, a potem ruszyła rażnym krokiem prosto w mroczną paszczę bramy technicznej szpitala, pamiętając, że park po drugiej stronie ulicy jest pusty i bezpieczny, podobnie jak spora część nabrzeżnego bulwaru oraz łąk znajdujących się pomiędzy nim a kanałem Odry.

Kota zostawiła za murem. Nie należał wprawdzie do niej, ale skoro los połączył ich w tak niesamowity sposób, postanowiła zatrzymać futrzaka. Nie mogła go jednak zabrać ze sobą w tę trasę z wiadomych powodów, poprosiła więc chorążego, by zaopiekował się Skradaczem, jak ochrzciła nowego pupila. Rojewski obiecał, że będzie mogła odebrać zwierzę, kiedy tylko zechce.

Noc wciąż była bardzo ciemna, mrok zalegający nad miastem zgęstniał nawet, ponieważ chmury zbierające się wcześniej daleko na północy zdążyły nadciągnąć nad Stare Miasto, przesłaniając grubym welonem wszystkie gwiazdy i księżyc. To jednak nie przerażało Pauliny tak bardzo jak poprzednio, gdy musiała uważać dosłownie na każdym kroku. Znała lokalizację większych skupisk nieumarłych; dzięki temu, że dobrze zapamiętała te miejsca, poruszała się o wiele szybciej niż przedtem, choć nie za szybko, nie chciała bowiem dać się zaskoczyć.

Ciążyła na niej zbyt wielka odpowiedzialność, by mogła sobie pozwolić na najmniejszą nawet lekkomyślność. Cały czas miała w pamięci opuchniętą, pokrytą siniakami twarz siostry. Jej drżące usta, poczerwieniałe od łez oczy. A na wspomnienie tonu i słów, którymi się pożegnały, dygotała mimowolnie, jakby niespodziewanie owioną ją podmuch lodowatego wiatru.

Stając w znajomej furtce, omiotła wzrokiem tę część Wybrzeża Korzeniowskiego, którą mogła zobaczyć. Tu także panował idylliczny wręcz spokój. Przebyła kolejne trzysta metrów miarowym krokiem, trzymając się północnego skraju bruku, od strony rzeki, po czym zaczęła zwalniać, aż w końcu przystanąła.

Gdzieś tutaj wróciła na ulicę z wąskiego pasa nabrzeżnej trawy, którym ominęła ostatnią grupę nieumarłych. Tym razem postanowiła nie schodzić nad wodę. Po długim namyśle wybrała przejście przez leżące po prawej tereny zielone, ponieważ zombie, którzy ruszyli za nią podczas wcześniejszej przeprawy, rozciągnęli się szeroką ławą, blokując całą ulicę, a kilku z nich stoczyło się nawet ze stromej skarpy i wylądowało w trawie przy brzegu. *Skoro potwory polazły za mną aż nad wodę, powinnam ominąć je od strony nieużytków*, uznała po dłuższym zastanowieniu.

Przeszła na drugą stronę jezdni i bardzo wolnym krokiem zbliżyła się do zarośli. To nie był klasyczny skwer, jakich pełno na mieście, ani też nie rozległa trawiasta parcela pozostawiona w niezabudowanym miejscu, jak choćby za gazownią, gdzie w międzywojniu znajdowały się lądowiska dla popularnych wtedy balonów i zeppelinów. Spory plac, powstały po rozbiórce zbombardowanych kamienic, zarastał latami na dziko i – niestety – bardzo gęsto, jednakże ona nie miała wyboru, musiała wejść w głąb tej mrocznej dżungli.

Gdyby nie groza sytuacji, czułaby się jak Tomek Wilmowski rzucony przez Alfreda Szklarskiego nad Orinoko albo inną egzotyczną rzekę. Właściwie w tym zakątku Wrocławia było dzisiaj znacznie niebezpieczniej niż w tropikach, które przemierzał bohater jej ulubionych książek. Przekonała się o tym niespełna minutę później, minąwszy ostatnią

z odbudowywanych kamienic, które miały się ciągnąć wzdłuż nabrzeżnej uliczki aż do terenów szpitala.

Gdzieś przed nią, po prawej, za sporą kępą krzewów, rozległ się głośny szelest. Coś poruszyło się w gęstwinie. Niezdarnie parło przez zarośla, robiąc coraz więcej hałasu. Zamarła, wsłuchując się w te dźwięki. Nie, to na pewno nie był jeden żywy trup. Mrok przemawiał do niej kolejnymi niepokojącymi odgłosami, lecz ściana czerni wciąż pozostawała nieruchoma, a może raczej nieprzenikniona.

Paulina nie zastanawiała się długo. Miała naprawdę niewielki wybór – mogła się wycofać w głąb ulicy, co nic by jej nie dało, albo pobiec dalej, aby urwać się bestiom próbującym sforsować pas zbyt gęstych dla nich zarośli. Wybrała tę drugą opcję, wierząc, że zdoła dotrzeć do Trzebnickiej, zanim którykolwiek z wałęsających się po tym terenie żywych trupów zastąpi jej drogę. Wydeptana przez okolicznych mieszkańców ścieżka wiodła ukosem w kierunku głównej ulicy i znajdujących się tam przystanków. Pas w miarę niskiej trawy po obu stronach miał nie więcej niż trzy metry szerokości. W jednym miejscu przejście zwężyło się nawet prawie dwukrotnie, ale co miała robić, dalsza zwłoka zwiększała ryzyko, że wpadnie w łapy tych bestii.

Próba przebicia się od strony wody miała jeszcze mniejsze szanse powodzenia, dlatego Paulina przeżegnała się raz jeszcze, po czym ruszyła z kopyta, przeczesując wzrokiem mrok przed sobą. W prawej dłoni ścisnęła kurczowo chropowatą kolbę darowanego pistoletu. Chorąży poinstruował ją dokładnie, jak ma się zachować, jeśli zombie stanie jej na drodze. Wiedziała więc, że powinna się zatrzymać, wymierzyć uważnie i strzelić – ale nie w głowę, nie w serce, tylko prosto w kolano.

Powtarzała to sobie w myślach cały czas, ale gdy tuż przed zwężeniem zobaczyła wynurzający się z gęstwiny zarys smolistej postaci, spanikowała i nacisnęła spust trzykrotnie, dwa razy pudłując, a trzecim nabojem urywając połowę szczęki znajdującego się już tylko metr od niej odmieńca. Na jej szczęście impet uderzenia kuli w kości czaszki był tak wielki, że zachwiaił nieumarłą i wytrącił ją na moment z równowagi. Przemieniona

w chodzącego trupa kobieta w czarnym jak sama noc palcie nie upadła jednak, lecz zanim znów zdołała wyciągnąć przed siebie ręce, Paulina była już pięć metrów za nią.

Skłęta się w myślach za tę paniczną reakcję. Straciła połowę naboju, w dodatku zupełnie niepotrzebnie, ponieważ zapomniała, czego jej uczono. To strach naciskał spust, nie ona.

Pędziła dalej, nie zwalniając nawet na moment. Dyszała przy tym ciężko, jakby pokonała co najmniej pół trasy maratonu, a nie pięćdziesiąt metrów odłogów. Serce waliło jej zbyt szybko i głośno, by mogła słyszeć cokolwiek prócz pulsowania własnej krwi w uszach. Rezygnacja ani zawrócenie nie wchodziły jednak w grę. Skoro podjęła decyzję, musiała trwać przy niej i przeć przed siebie. *To jeszcze tylko trzydzieści metrów, nie więcej.*

W połowie drogi dzielącej ją wciąż od szerokiego chodnika ulicy Trzebnickiej trafiła na dwa kolejne żywe trupy. Wyhamowała tym razem, jak instruował chorąży, i zatrzymała się nie dalej niż trzy metry od bliższego z nich: młodego mężczyzny w mocno zakrwawionym fartuchu lekarskim. Drugi z nieumarłych, noszący robocze dreluchy i o wiele masywniejszy od pierwszego, szedł tylko o pół kroku za swoim towarzyszem. Ręce jej drżały, gdy unosiła broń, ale kolejny zastrzyk adrenaliny pomógł nad nimi zapanować. Wymierzyła, wstrzymując oddech, a gdy uznała, że nadszedł właściwy moment, nacisnęła delikatnie spust. Kula przeszła przez kruchy staw jak przez papier. Niewysoki, a przy tym bardzo szczupły mężczyzna przewalił się momentalnie na bok. Upadł w poprzek ścieżki, blokując własnym ciałem przejście, ale też tworząc przeszkodę, której nie zdołał pokonać jego znacznie potężniej zbudowany towarzysz.

Paulina nie czekała, wystartowała ponownie do biegu, wybijając się krok przed leżącymi na ziemi ciałami. Poszybowała nad nimi, robiąc niemalże szpagat, ale wylądowała pewnie i zachwiawszy się tylko lekko, odzyskała równowagę, nie wypadając przy tym z narzuconego sobie rytmu. Żaden z sześciu kolejnych zombie nie miał szans jej dopaść, zanim wybiegła na ulicę, gdzie wreszcie zyskała lepszą widoczność.

Pokonała szeroką arterię wolnym krokiem, by jak najprędzej

uspokoić oddech i zapanować nad skołatanyymi nerwami. Znów ominęła szerokim łukiem tych zombie, których pociągnęła za sobą, przemierzając tę okolicę w drodze do więzienia. Tylko dwaj z nich znajdowali się na tyle blisko, że zdążyli zareagować na jej obecność, lecz zanim odwrócili się niezdarnie, zniknęła im z... no właśnie, z czego? Z pola widzenia? Nie wiedziała, czy ją widzą, słyszą czy wyczuwają węchem, zresztą i tak miała to gdzieś. Liczyło się wyłącznie to, że była bezpieczna, gdy oddalała się od nich na więcej niż dziesięć kroków.

Skręciła na łąkę, którą tutaj przyszła, ale znów musiała się zatrzymać. Tam, gdzie poprzednio nie było żywej duszy, teraz widziała kilkanaście, może nawet dwadzieścia ledwie odcinających się od ściany mroku postaci, których nie mogła pomylić z nikim innym ani z niczym innym. Jak się tu dostali, kiedy i dlaczego, tego nie wiedziała i nie chciała wiedzieć. Musiała wszakże wrócić na ulicę, ponieważ nieumarli blokowali jedyne przejście pomiędzy ciągami ogrodzonych warsztatów. Na jej szczęście była inna droga: wystarczyło pójść dalej Zakładową, ominąć jeszcze kilka prywatnych firemek i dopiero tam, za działkami, skręcić na nieużytki, które ciągnęły się klinem aż do torów. To była wprawdzie dłuższa i mniej bezpieczna trasa, zmuszająca ją do przejścia obok okupowanej przez żywe trupy lokomotywni, ale i na to Paulina znalazła szybko radę. Pokonanie siatek ogradzających prowizoryczne ogródki działkowe nie powinno zabrać wiele czasu, a jak już dostanie się do labiryntu ścieżek, dotrze prędzej czy później pod same zbiorniki gazowni.

Butka z masłem.

Z tą myślą pokonała odcinek ulicy, mijając sprintem kolejnych trzech adoratorów spragnionych jej energii życiowej. Zatrzymała się ponownie na środku brukowanej kocimi łbami jezdni, gdy tamci poopuszczali łapska. Znów mogła odetchnąć, odsapnąć, napić się wody. Najtrudniejsze miała już za sobą. Teraz musiała minąć te ogrodzone tereny, które dzieliły ją od zejścia na – *daj Boże!* – puściutkie łąki. Nie wiedziała, na ilu nieumarłych natknie się w tej części ulicy, wątpiła jednak, by było ich wielu. Spotkanie

człowieka w tej okolicy o tak późnej porze nawet przed epidemią graniczyło z cudem, zatem teraz tym bardziej nie powinno ich tu być. Te nieliczne wyjątki, na które trafiała do tej pory, tylko potwierdzały regułę, w którą wciąż święcie wierzyła.

Podjęła marsz, gdy puls zwolnił do tego stopnia, że przestał być słyszalny. Zerknęła na wschód. Niebo nad Psim Polem nadal było smoliście czarne. Miała czas, dużo czasu, a pokonała już ponad połowę trasy, i to tę trudniejszą.

Znów mogła rozkoszować się ciszą, w której najdrobniejszy szmer zdradzał obecność potworów. Mijane przez nią zabudowania pamiętały lepsze czasy, ale każdy z tych miniaturowych geszeftów, w sporej części prywatnych, był porządnie ogrodzony i do niedawna dobrze strzeżony, ponieważ okolica nie należała do najludniejszych, a złodziejstwo, tak tępione przez władze – podobno tylko dlatego, że żaden rząd nie lubi konkurencji, jak mawiali złośliwi – pleniło się strasznie, zwłaszcza na najbardziej zaniedbanych zadupiach.

To, co zobaczyła po wejściu między kolejne zabudowania, sprawiło, że puls znów jej przyśpieszył.

Coś musiało się tu wydarzyć w ciągu tych paru godzin, które spędziła na terenie więzienia. Kiedy przebiegała przez te tereny, kierując się w stronę Wybrzeża Korzeniowskiego, po wąskiej jezdni szwendało się tylko kilku nieumarłych, teraz natomiast trafiła na kolejne zbiegowisko, jeszcze liczniejsze od tego, które blokowało zejście na znane jej łąki. Zupełnie jakby odmieńcy przyleźli tutaj za kimś albo za czymś.

Nieco dalej, pośrodku ulicy, wypatrzyła ciemny kształt. Na pewno nie były to ludzkie zwłoki, tylko coś znacznie od nich większego. Koń? Krowa? Paulina nie potrafiła rozpoznać, jakie to zwierzę, ale to właśnie ono, uciekając w to odludne miejsce być może z którejś z sąsiednich posesji, ściągnęło za sobą każdego żywego trupa, do którego się zbliżyło.

Znów stanęła przed wyborem. Czy się cofnąć i szukać innej, okrzęnej drogi w głąb nieużytków, czy spróbować zwabić te bestie do siebie, a potem uciec im, przeskakując na drugą stronę ogrodzenia, i wrócić przez nie na ulicę, ale już daleko za tą

minihordą.

Zdecydowała się na to drugie rozwiązanie.

Po lewej miała poczerńiałe sztachety chroniące teren kolejnego prywaciarzkiego warsztatu mechanicznego, po prawej niezbyt wysoki ceglany mur zwieńczony kilkoma pasmami drutu kolczastego, otaczający poniemiecką halę fabryczną wykorzystywaną od niedawna w charakterze składu materiałów budowlanych.

Paulina zaczęła od przygotowania trasy ucieczki. Przeciągnęła pod mur fabryczki na w pół wypełniony i cuchnący nieludzko kubeł na śmieci. Wspiąwszy się na niego, rozcięła trzy biegnące górą druty kolczaste, oczywiście tuż przy jednym z mocno pordzewiałych wsporników, a potem opuściła je kolejno po tej stronie ogrodzenia, aby wisiały z dala od miejsca, w którym będzie wykonywać przerzutkę. Wołała nie zaczepić nogą o jedno ze splecionych stalowych ostrzy. Kiedyś, dawno temu, przeżyła podobną przygodę. Wspomnienie nie należało do najprzyjemniejszych, a długa blizna szpecąca wewnętrzną stronę łydki też nie przydawała jej powabu.

Gdy wszystko było gotowe, podeszła na tyle blisko hordy, by nieumarli mogli ją wyczuć. Odczekała chwilę, pozwalając im przyczłapać na odległość zaledwie czterech kroków, a że stali w zbitej grupie wokół zabitego zwierzęcia, ruszyli na nią wszyscy naraz, hurmem, dzięki czemu – cofając się powoli, oczywiście w ich tempie – odciągnęła najdalszego z nich na niemal dwadzieścia metrów od przeciwległego narożnika muru, czyli miejsca w którym zamierzała wrócić na ulicę.

Wystarczy tego dobrego, uznała, gdy od kubła dzieliło ją już tylko pięć metrów. Pokonawszy resztę trasy trzema susami, wspięła się zwinnie na chybotliwy kubeł, potem podciągnęła na szczyt muru i opierając się brzuchem o rozłożony na szczycie koc, przerzuciła nogi jak gimnastyk przez kozła.

Po drugiej stronie panowały jeszcze gęstsze ciemności. Między ścianą hali a ogrodzeniem było nie więcej niż półtora metra wolnej przestrzeni, Paulina nie widziała więc podłoża, na które zeskakiwała. Była jednak pewna, że wyląduje w trawie,

w najgorszym razie w pokrzywach, wszechobecnych w tej okolicy.

Rzeczywistość okazała się jednak znacznie boleśniejsza i okrutniejsza.

Pech, najwykleszy w świecie pech sprawił, że wybrała najgorsze możliwe miejsce. To nie była zastawiona na złodziei pułapka, tylko czyjeś niedbalstwo. Pracownik, któremu zlecono jakiś czas temu oczyszczenie studzienki ściekowej, nie zabezpieczył odpowiednio pokrywy wjazdu, a Paulina, zeskakując, trafiła jedną nogą w betonową obudowę kanału, natomiast jej druga stopa – uderzając w ciężką jak szlag, choć nie na tyle, by utrzymać ciężar dorosłej osoby pokrywę – ześlizgnęła się po niestabilnym płacie żeliwa w głąb studzienki.

Stało się to tak nagle i tak niespodziewanie, że dziewczyna nie zdążyła zareagować. Nie pisnęła nawet. Ból w kolanie nogi, na której spoczął ciężar ciała, był tak potworny, że momentalnie wycisnął jej dech z piersi. Musiała walczyć nie tylko z nim, ale też z brakiem tlenu w płucach i zaciśniętą przeponą, przez co wrażenie duszenia spotęgowało jeszcze panikę.

Nie wpadła do głębokiej studzienki tylko dlatego, że pokrywa, która teraz stała na sztorc, zmniejszyła otwór wlotowy o połowę, co wystarczyło, by osoba jej rozmiarów zaklinowała się w nim na dobre. Po kilkunastu sekundach panicznej szamotaniny Paulina odzyskała wreszcie oddech. Łapczywie wciągnęła powietrze do płuc, po czym wykonała kilka pośpiesznych oddechów, jak człowiek, który w ostatniej chwili wynurza się z toni. W tym momencie ból przejął kontrolę nad jej umysłem. Zamarła, opierając się jedną ręką o chybotliwą pokrywę, a drugą trzymając kępę trawy.

Ból w podkulonej zbyt mocno nodze nie ustawał. Pulsował za to rytmicznie, jakby w uszkodzonej rzepce zaczęło bić drugie serce. Każda próba wyprostowania nogi kończyła się przesywającym całe ciało spazmem, po którym Paulina wyła jak zraniony drapieżnik, lecz mimo to nie ustawała w wysiłkach, ponieważ wiedziała, że musi przybrać wygodniejszą pozycję, aby zmniejszyć nacisk na staw uszkodzony w trakcie niefortunnego

skoku. W końcu udało jej się przesunąć w tył, niedużo, o jakieś pół metra, i oprzeć plecami o mur.

W egipskich ciemnościach, które ją otaczały, nie widziała kompletnie nic, ale zanim poczuła nawrót paniki, przypomniała sobie o latarce w chlebaku. Przesunęła przewieszoną przez plecy torbę tak, by móc ją otworzyć, po czym wymacała wśród innych przedmiotów metalowy prostopadłościan z drucianym uchwytem. Snop żółtawego światła rozciął welon mroku, wyłuskując z niego krąg nieotynkowanej ściany, jakieś rupiecie i znajdujące się na pierwszym planie nogi Pauliny. Prawą widziała tylko do kolana, reszta kryła się w studziencie, co do lewej zaś... Kolano spuchło jak balon, pojawiły się na nim liczne krwiaki, nawet pękła skóra, nie wytrzymując naprężenia.

Paulina odetchnęła głęboko, po czym zacisnęła mocno zęby i pomagając sobie obiema rękami, wyprostowała szybkim ruchem zranioną kończynę. Po chwili nieopisanego cierpienia znów mogła otworzyć załzawione oczy. Znów mogła trzeźwiej myśleć.

Spokojnie, najważniejsze, że żyjesz, pocieszała się, uważnie oglądając opuchniętą nogę. Zaraz jednak ogarnęło ją zwątpienie. Spojrzała pośpiesznie na zegarek. Za dwadzieścia czwarta. Słońce wstanie dopiero wpół do szóstej, miała więc wystarczająco dużo czasu, by dotrzeć do zajezdni, nawet gdyby musiała się czołgać przez resztę drogi.

Boże spraw, abym zdołała wstać, abym mogła chodzić, zaklinała rzeczywistość, ostrożnie obmacując zranione miejsce. Czytała kiedyś, że człowiek w stanie szoku biega pomimo poważnych złamań. W jej przypadku było jednak inaczej. Albo nie wpadła w tak głęboki szok, jak jej się zdawało, albo to była tylko kolejna miejska legenda. Nie zdołała podnieść się z ziemi, o stanięciu nie mówiąc, choć usilnie próbowała, raz po raz doprowadzając udręczone ciało i umysł do granicy utraty przytomności.

Powinnam unieruchomić zwichnięte kolano! Tak, tylko je skrzyłem, mocno, bo mocno, ale to jeszcze nie złamanie. Chyba... Nie była niczego pewna, jedyne, co wiedziała, to zapamiętana z kursu pierwszej pomocy rada, że w wypadku takiego urazu

konieczne jest unieruchomienie stawu. *W plecaku mam bandażę...* Rozejrzała się wokół, omiatając światłem latarki zauważone wcześniej rupiecie. Niestety nic z tego, co ułożono pod ścianą hali, nie mogło się jej przydać. W trawie obok studzienki zauważyła deskę. Poczerniałą, wąską, długą na półtora metra. *Ona także nie nada się na łupki, ale mogę się na niej oprzeć, więc zastąpi kulę.*

Przesunęła dłońmi po ziemi, żeby sprawdzić, czy w gęstym kobiercu perzu nie kryją się przed jej wzrokiem inne, bardziej użyteczne przedmioty. Namacała kawał pręta zbrojeniowego, lekko wygiętego przy jednym końcu, nie grubszego od jej małego palca. *On też do niczego się raczej nie przyda...*

Dobra, nie mam szans na unieruchomienie nogi, uznała po zakończeniu poszukiwań. Muszę sobie poradzić bez łupek. Przynajmniej na razie. Gdzieś tu przecież muszą mieć więcej drewna, jakieś ścinki desek, płyty pilśniowej, dykty. Czegokolwiek, czym da się unieruchomić zranioną nogę. U licha, to jest przecież skład materiałów budowlanych!

Spróbowała wstać, ale uraz pokonał ją już po sekundzie.

Pati...

Pati!

Skupiła się na tym jednym słowie, na imieniu siostry. Wszystko inne przestało mieć znaczenie: ból, nieumarli, bandyci. Wyjąc nieludzko, odepchnęła się zdrową stopą od krawędzi studzienki, przesuając plecy w górę muru, o który wcześniej się oparła. Nie dbała o to, że rozdziera bluzkę o chropowatą powierzchnię zmurszałych cegieł. Nie obchodziło jej, że rani sobie skórę. Musiała wstać! Musiała iść!

Potrzebowała kilku prób i ponad kwadransa niewysłowionej męki, by stanąć o własnych siłach, znów pozbawiona tchu, znów ogłuszana rytmem szalejącego pulsu i zaślepiana łzami. W końcu jednak zdołała wyprostować plecy i sięgnąć po ustawioną wcześniej w pionie deskę. *Czas zrobić pierwszy krok...*

Wsparła się na kawałku drewna, sprawdzając, czy nie jest zbyt zbutwiałe, by wytrzymać takie obciążenie. *Dobra nasza, uznała. Zaraz jednak przyszła kolej na poruszenie nogą. Paulina*

przeniosła ciężar ciała na prowizoryczną kulę, po czym wykonała coś w rodzaju skoku, przesuwając zdrową nogę o kilkanaście centymetrów do przodu. Niewiele brakowało, by straciła ponownie równowagę, gdy przed oczami zapłonęły jej wszystkie gwiazdy.

Pati...

Pati!

Krok za krokiem, bardzo wolno, z długimi przerwami, przesuwała się wzdłuż muru ku zakratowanej bramie. Wiedziała, że nie zdoła z niej skorzystać, ponieważ łańcuch, na którym zapięto wielką kłódkę, był grubszy od krowiego, a ona miała tylko zwykłe nożyce do cięcia drutu, jednakże to nie to miejsce było celem jej mozolnej wędrówki, lecz odległy o niespełna dziesięć metrów kraniec dziedzińca i stojące tam – *dzięki Ci, Panie!* – skrzynie, po których... jeśli naprawdę się spręży... zdoła wspiąć się na mur i...

Zamarła, widząc tuż przed sobą siną rękę, która wynurzyła się nagle pomiędzy krat.

Nieumarli! Szlag by ich... Była zbyt blisko. Wyczuli ją i teraz wracali, leżąc wzdłuż muru od strony ulicy. Cofnęła się raptownie, by rozczapierzone paluchy nie zdołały jej chwycić. Zabolało. Potwornie zabolało, ale lepsze chwilowe cierpienie niż pewna śmierć.

Zmieniła kierunek kuśtykania, oddalając się od muru, by nie mogli jej dosięgnąć. Załom muru, do którego zamierzała się dostać, znajdował się jednak zbyt blisko, najwyżej osiem metrów od krańca hali i bramy. Jeśli ma ich zgubić i zyskać szansę na ucieczkę, musi sprawić, by ponownie się cofnęli w okolice kubła. Ale jak to zrobić? Hala była zbyt szeroka, przechodząc za nią, zniknie żywym trupom z radaru, zatem na pewno nie ruszą się spod bramy.

Hala! Ha!

Zaśmiała się przez łyzy. Przecież nie musi jej obchodzić od drugiej strony, wystarczy, że zawróci i dojdzie do jej narożnika od Trzebnickiej. Idąc w tym kierunku, będzie mogła ominąć budynek i dostać się pod bramę, zostawiając zombie tam, gdzie

pierwotnie zaplanowała.

To jednak potrwa i na pewno zaboli...

Pati...

Pati!

Oświetlając sobie drogę latarką, odwróciła się i ruszyła tam, skąd przyszła, tak samo wolno, a może nawet jeszcze wolniej. *To tylko pięćdziesiąt kuśtyków, nie więcej, potem będzie załam ściany i za rogiem zaczną się oddalać od uliczki. Zrobię kolejne trzydzieści niezdarnych kroków i pokonam kolejny zakręt. W sumie będę musiała przebyć ze sto metrów*, podliczyła, zerkając przez ramię na miejsce, z którego da radę wrócić na ulicę. Gdyby była zdrowa, przebiegłaby ten dystans błyskawicznie, ale w tym stanie straci kwadrans, może dłużej. Zerknęła na zegarek, kiedy już dotarła do węgła. Dziesięć po czwartej.

Boże, zmitrężyłam tu już prawie godzinę!

Czas zdawał się przyspieszać, jakby czerpał złośliwą satysfakcję z odbierania jej resztek nadziei. Los musiał mu w tej zabawie sekundować, zważywszy na to, co zobaczyła po minięciu narożnika hali. Mniej więcej w połowie szerokości budynku ktoś złożył wysoką na ponad metr stertę belek. Grubych jak jej noga – oczywiście ta zdrowa – długich zaś na kilka metrów. Poczula się, jakby dostała właśnie w twarz. I to nie z liścia, ale wielką jak bochen pięścią. Miała przed sobą przeszkodę, której nie zdoła pokonać, choćby ktoś dał jej na to nie godziny, a dni.

Co gorsza, nie dotrę do upatrzonego miejsca, nawet jeśli znów wrócę po swoich śladach. Nieumarli za mną nadążą, ponieważ teraz jestem od nich dużo wolniejsza... Pozostało jej więc przejść na drugi koniec składu, na tyły dawnej fabryczki, i tam szukać innej drogi ucieczki. Wcześniej odrzucała tę ewentualność, wiedząc, że za murem rozciąga się pas ogródków działkowych, co oznaczało konieczność pokonania licznych płotów, a na to nie miała przecież czasu ani sił. Znów zerknęła na zegarek. Kiedy, u licha, upłynęło aż sześć minut?

Pati...

Pati!

Zacisnęła zęby i pokuśtykała wzdłuż hali w kierunku bramy.

Stawiała kroki tak szybko, jak mogła, odpoczywała tylko w ostateczności, gdy kolejny ruch groził utratą przytomności bądź równowagi. Nie dbała o nic, nie spojrzała nawet w stronę szarpających ażurowe metalowe skrzydła zombie, kiedy skręcała, by ruszyć na tyły dawnej fabryczki.

Czas! Niech ktoś zatrzyma ten cholerny czas!

O tym, że los z niej nadal kpi, zaczęła myśleć na chwilę przed dotarciem do nowego celu. Za halą stało wiele stosów cegieł, desek i innego budowlanego badziewia, ale pod murem nie ustawiono niczego, na co mogłaby się wspiąć.

– Nie poddam się! – wrzasnęła w nie tak już czarne niebo, po tym jak wyplakała ostatnie łzy. – Nigdy!

Pati...

Pati!

Rozejrzała się wokół, oceniając, czego mogłaby użyć do pokonania ogrodzenia. Jej wybór padł na cegły. Oparła się o sięgającą jej ramienia pryzmę. Odłożyła deskę, tak by mieć ją w zasięgu ręki, po czym zaczęła chwycić kolejne prostopadłościanny z wypalanej gliny i ciskać nimi pod odległy o trzy metry mur. Pracowała w tempie stachanowca, a przynajmniej takie odnosiła wrażenie, lecz stosik przerzuconych cegieł wciąż wydawał się tyci w porównaniu z coraz wyraźniej widocznym ogrodzeniem. Nie rezygnowała jednak. Miała plan, musiała przerzucić ich jeszcze ze sto, a potem zacznie układać z nich coś w rodzaju schodów. Byle te stopnie sięgnęły połowy muru. Tak by mogła przeciąć druty i przeskoczyć przerzutką na drugą stronę. To zaboli. Cholernie zaboli. Była tego pewna, ale w głowie rozbrzmiewało jej wciąż słowo, które zabijało strach i przytępiało ból.

Pati!!!

To było szaleństwo, zdała sobie z tego sprawę, gdy dokuśtykała do porozrzucanych bezładnie cegieł i spróbowała się pochylić, by podnieść pierwszą z nich. Ta część zadania okazała się trudniejsza i powodowała jeszcze więcej bólu, jednakże Paulina nie przestała pracować, dopóki nie opadła całkiem z sił.

Ułożyła dwanaście warstw. Każda kolejna była jednak węższa.

Dotarła już do połowy wysokości, ale na szczęście im wyżej, tym mniej musiała zużywać budulca.

Zerknęła na zegarek. Za piętnaście piąta. Ile to jeszcze potrwa? Ile czasu zostało do świtu? Dwadzieścia minut, pół godziny? Było jasne, że do tego momentu nie zdoła pokonać muru, ale uczepiła się nadziei, że siostra i jej towarzyszki poszły w końcu spać i na pewno nie zbudzą się o tak wczesnej porze, a jeśli nawet, nie spełnią od razu groźby. Nie, nie, nie. Na przygotowanie się do czegoś takiego będą potrzebowały sporo czasu. Odebranie sobie życia to decyzja, której nie podejmuje się ot tak. Nawet w desperacji. Liczyła też na to, że Patrycja zdoła je przekonać, by poczekały do ostatniej chwili. *Tak będzie. Przecież jeszcze nigdy jej nie zawiodłam*, pomyślała, zaciskając zęby, by sięgnąć po kolejną cegłę.

Mam jeszcze godzinę, może półtorej na dotarcie do zajezdni, uspokajała się w myślach. Wystarczy przecież, że dotrę na torowisko, stamtąd mogę zacząć krzyczeć. Na pewno mnie usłyszą. Przekażę im wiadomość w taki sposób, by zorientowały się, że pomoc nadejdzie, a potem...

Miała jeszcze dwie kule w tetetce. Nie wezmą jej żywcem, nie wyciągną z niej niczego. *To Pati musi przeżyć!*

Myśl o siostrze znów dodała jej sił. Pół godziny później mogła już się wspiać na schodkową piramidkę, tysiące razy mniejszą od tych najsławniejszych, lecz dla niej najważniejszą na świecie. Wyrzwała za ogrodzenie na rozległy ciąg miniaturowych ogródków oświetlanych różową poświatą wstającego właśnie słońca. Zgrzytnęła zębami, pewna jednego. Po upadku musiała jak najszybciej wstać, ponieważ czekało ją jeszcze wycięcie sobie drogi przez co najmniej trzy ogrodzenia, na szczęście zrobione ze zwykłej aluminiowej siatki.

Usunęła drut kolczasty, pośpiesznie, lecz z zachowaniem ostrożności, następnie opuściła na drugą stronę muru deskę, aby nie stracić prowizorycznej kuli, i zmówiwszy krótką modlitwę, ułożyła się na brzuchu na szczycie ogrodzenia. Tym razem wykonała przerzutkę o wiele uważniej, ponieważ bała się panicznie tego, co poczuje w momencie zderzenia z ziemią.

I słusznie...

* * *

Dochodziła do siebie powoli, jak ktoś wybudzany ze śpiączki. Przez moment nie wiedziała nawet, gdzie się znajduje, ale wspomnienia szybko wróciły, wspomagane bólem uderzyły z siłą tsunami.

Upadek na miękką ziemię pozbawił Paulinę przytomności, mimo że robiła, co mogła, by chronić zranioną nogę. Nie była przygotowana na aż tak potworną erupcję bólu, zatem gdy ten eksplodował jej pod czaszką z siłą granatu, po prostu odpłynęła, zniknęła w nieprzeniknionej czerni, schroniła się w jednym miejscu, w którym nie musiała znosić dalszej udręki.

Oczy zapiekły ją potwornie, gdy tylko uniosła powieki. Musiała je ponownie opuścić, żeby ból ustał. Było już jasno, bardzo jasno, miała wrażenie, jakby patrzyła prosto w słońce!

Spanikowana odwróciła głowę, wycisnęła powiekami część łez, potem wymrugła resztę. Próbowwała skupić wzrok na zegarku, ale wciąż niewiele widziała. W końcu dostrzegła układ wskazówek. Było... dziesięć po szóstej!

Nie... Nie, nie, nie! Straciłam zbyt wiele czasu. Muszę wstać. Muszę iść dalej. Zdążę jeszcze. Muszę zdążyć!

Powtarzała w myślach tę mantrę, rozglądając się za deską, na której wcześniej się wspierała.

Wydostanie się z działki nie nastreczyło jej większych kłopotów. Rozciąła siatkę tuż przy słupku od góry prawie po sam dół, tak daleko jak mogła sięgnąć, pochylając się, lecz nie przyklekając. Z tego, co pamiętała, dzikie ogródki pracownicze miały tylko jedno wyjście od południowego wschodu, przy samej lokomotywowni, i żadnego od południa, gdzie graniczyły z torami oraz zbiornikami gazowni.

Nie miała czego szukać na terenie ZNTK, gdzie aż roiło się od nieumarłych kolejarzy. Widziała ich wcześniej z dachu, jak sterczą na torach i przed wielkimi hałami. Kuśtykała więc teraz zawzięcie wąską, prostą ścieżką, ignorując ból w coraz bardziej opuchniętej nodze. Miała wrażenie, że zaczyna się do niego

przyzwyczajając, choć były też takie momenty, że musiała przystanąć, oprzeć się o płot i zagryźć zęby, by nie skowyczeć. Ruszała jednak dalej, ledwie powodowany bólem paraliż ustępował.

Minęła rozwidlenie, którego prawa odnoga prowadziła ku lokomotywni. Postanowiła trzymać się ścieżki skręcającej lekkim łukiem na południe. Podczas dziesiątego z kolei postoju napiła się wody, przemyła nią też twarz, by oprzytomnieć. *Jest dobrze*, powtórzyła sobie kilkakrotnie w myślach. Od celu dzieliło ją już tylko sto metrów.

Zdązę, na pewno zdązę.

Spojrzała ponownie na zegarek, uczyniła to z obawą, pamiętając, jak szybko mijał do tej pory czas. Nie spodziewała się jednak tego, co zobaczyła na cyferblacie.

Dziesięć po szóstej.

Potrzebowała dłuższej chwili, by zrozumieć, co się stało. Zegarek stanął. Nie miała pojęcia dlaczego: czy nie został wystarczająco dobrze nakręcony, czy też nie wytrzymał dwóch niefortunnych upadków. W każdym razie jedno było pewne – od jakiegoś czasu jej maleńka czajka nie wskazywała właściwej godziny.

Paulina zadarła głowę, by sprawdzić pozycję słońca.

Nogi ugięły się pod nią, gdy dostrzegła, jak wysoko zdążyło się wspiąć nad horyzont. Nie mogła mieć całkowitej pewności, ale z pobieżnych szacunków wyszło jej, że może już być nawet po dziewiątej.

Nagle poczuła, że świat zaczyna wirować. Kula wysunęła się spod ramienia. Paula nie upadła tylko dlatego, że stała oparta plecami o siatkę.

Dziewiąta? Jak długo leżałam tam pod murem, nieprzytomna?

Pati...

– Pati!!! – wrzasnęła, nie mogąc uwierzyć, że zawiodła.

Osunęła się na ziemię, płacząc jak bóbr. Siedziała tak dłuższą chwilę, gapiąc się w bezsensownie błękitne niebo i płynące po nim pierzaste obłoczki. Natura przyjęła jej porażkę z całkowitą obojętnością.

Zawiodłam. Przez głupi błąd, nawet nie z mojej winy, chociaż gdybym bardziej uważała...

Nie. Zawiodła – i tylko to się teraz liczyło. Nie ocalała siostry, ostatniej bliskiej jej osoby na tym świecie. Pozwoliła, by Patrycja...

Wymacała w chlebaku tetetkę. Zostały jej dwa naboje. Zrobi z nich dobry użytek; najlepszy z możliwych.

poniedziałek, 12 sierpnia 1963, godzina 05:25
Zajezdnia Tramwajowa Nr 2 przy ulicy Słowiańskiej 16–30

– Zaraz świt – odezwała się pani Irenka, odchodząc od okna.

– Poczekajmy jeszcze. – Patrycja nie ruszyła się z miejsca, została na posterunku zajęтым już o trzeciej, z twarzą wciśniętą między obłazące z farby, pordezewiałe kraty. – Tylko chwilkę, choćby kwadransik.

– Na co chcesz czekać? – zapytała z głębi pokoju Kamila Bednarek, jedna z tych kobiet, które trafiły do niewoli na samym początku, tego ranka, gdy bandyci zajęli zajezdnię.

Wycierpiała dużo więcej niż nowe branki, nic więc dziwnego, że należała do najgorętszych orędowniczek pomysłu rzuconego przez Gabę Jamrozińską, którą ten nazywany przez bandziorów Żłotową potraktował wyjątkowo okrutnie. Nie pierwszy raz zresztą. Złamane zebro było jej najmniejszym zmartwieniem. Przez pół nocy pluła krwią, miała też coraz większe problemy z oddychaniem.

– Na moją siostrę – odparła ze spokojem Patrycja. – Ona zawsze dotrzymuje danego słowa.

– Tym razem jej się nie udało... – Basia Kuchnowska podeszła do okna, by przytulić się do pleców skulonej Pati.

Choć Basia przebywała tutaj bardzo krótko, nie zaprotestowała ani słowem, gdy usłyszała krótkie, ale jakże treściwe zdanie, które przypieczętowało ich przyszłość.

– Wolę umrzeć, niż tak dalej żyć – stwierdziła Gaba po tym, jak Grzelak i pomagający mu Ulfig rzucili ją na podłogę izby, którą branki dzieliły w chwilach, kiedy nie były zabierane na dół, gdzie łotrzy wykorzystywali je jeden po drugim, lub do sąsiednich pomieszczeń, jeśli któryś chciał się wyżyć na osobności.

– Chcesz odebrać sobie życie? – zapytała z kąta pani Irenka.

– Myślę o tym.

– Uśmiecha ci się zostać kolejnym odmieńcem?

Jamrozińska gapiła się przez chwilę w sufit, jakby szukała tam podpowiedzi, aż wreszcie zdecydowanie przytaknęła.

– To i tak lepszy los od naszego. Oni przynajmniej nie czują bólu i nie robią pod siebie ze strachu za każdym razem, gdy usłyszą odgłos kroków za drzwiami.

Pomilczały wspólnie. Popłakały w bezsilnej złości, bo co innego mogły zrobić.

– Co cię powstrzymuje? – zapytała chwilę później bardzo dziwnym tonem Basia Kuchnowska.

– Nie chcę was skrzywdzić – odparła bez namysłu Gaba, podnosząc głos, co przypłaciła atakiem dławiącego kaszlu. – Problem w tym, że tam, na zewnątrz, dobrze nas pilnują. Wiążą, kneblują albo trzymają tak, że nic nie możemy zrobić. Z kolei gdybym odebrała sobie życie tutaj... – nie musiała kończyć.

Gdyby popełniła samobójstwo w tym pokoju, reszta kobiet podzieliłaby jej los, najprawdopodobniej pozabijałyby się wszystkie, zanim któryś z oprawców raczyłby tu zajrzeć. Bo na pewno nie połamaliby sobie nóg, śpiesząc im z pomocą.

– Fajnie byłoby zabrać kilku ze sobą – rzuciła ni stąd, ni zowąd zagłębiona w myślach pani Irenka.

– O czym ty mówisz? – zdziwiła się Kasia Kalinowska, cicha, pokorna, która od jedynej na razie wizyty w piwnicy nie przestała łkać.

– O tym, że też mam już tego dość. Ale skoro muszę umrzeć, to przed odejściem z tego świata chciałabym rozerwać własnymi rękami choć jednego z tych drani.

– Po... – mruknęła Patrycja.

– Co?

– Po odejściu. Nieumarłym stajesz się po śmierci.

– Ale żyjesz nadal, tylko jakby... inaczej – upierała się przy swoim Kalinowska.

– Aleście sobie temat do dysput znalazły – ofuknęła je Gaba.

Po jej słowach znów zapadła cisza, przerywana tylko westchnieniami.

– Wiecie co, dziewczyny? – Pani Irenka stanęła na środku

pokoju. – Czy jest wśród nas choć jedna, która nie chciałaby, aby ten koszmar dobiegł końca?

Nie usłyszała żadnego pomruku, nie dostrzegła najbliższego skinienia, mimo że bardzo uważnie wpatrywała się w twarze towarzyszek niedoli. Teraz, gdy ta myśl została wypowiedziana na głos, wszystkie branki uzmysłowiły sobie, że istnieje dostępna im droga ucieczki – nie tylko od brutalności niekończących się gwałtów, ale też od dalszego życia w takim upodleniu.

Pytanie rzucone przez panią Irenkę sprawiło, że coś w nich pękło. Nabrzmiała gorycz rozlała się palącym ogniem po duszach i umysłach tych kobiet jak zaraza, która spustoszyła półmilionowe miasto w ciągu zaledwie jednej nocy.

– Która jest gotowa? – Kolejne pytanie padło w kompletnej ciszy, którą przerwało dopiero nieśmiało: „Ja”, rzucone przez Basię. Po niej odezwało się jeszcze jedenaście głosów, cichych, płaczących, czasem trudnych do zrozumienia.

Wszystkie pragnęły ucieczki z tego koszmaru.

Ta rozmowa miała miejsce wiele godzin temu, przed niespodziewaną wizytą Pauliny, która w kilku kobietach rozpała ponownie płomyk nadziei. Gdyby nie złożona przez Bugielównę obietnica, wieczorna popijawa zakończyłaby się zupełnie inaczej, a one uniknęłyby kolejnych upokorzeń i bólu. Nie tylko fizycznego. Dotrzymały jednak danego słowa i poniechały działań aż do świtu, który nadszedł przed momentem. Może dlatego, że perspektywa ocalenia... nie, nie ocalenia, raczej możliwości splunięcia w twarz oprawcom prowadzonym na stracenie... wydawała się bardziej kusząca od rozpląnięcia się w niebycie.

– Zawsze musi być ten pierwszy raz – szepnęła Basia Kuchnowska.

– Słucham? – Zatopiona w myślach Patrycja nie rozumiała, o co jej chodzi.

– Tym razem jej się nie udało. – Basia powtórzyła swoją kwestię sprzed chwili. – Jestem pewna, że twoja siostra próbowała, że zrobiła wszystko, co mogła, a może nawet więcej. Ale to miasto... To miasto nie jest już takie jak przedtem. Milicjanci i żołnierze

nie dali rady odmieńcom, jak więc miałyby sobie z nimi poradzić samotna i w dodatku nieuzbrojona dziewczyna?

– W nocy słyszałam kilka strzałów – powiedziała Patrycja. – Od strony Odry. Może to...

– Twoja siostra nie miała pistoletu. – Kuchnowska odsunęła się od niej, usiadła na swoim materacu. – Poza tym ktokolwiek strzelał, nie zdołał dotrzeć do zajezdni, jak widzisz.

– Jest już zbyt jasno, by ktoś mógł zakraść się do nas niepostrzeżenie – wtrąciła pani Irenka, stwierdzając głośno fakt, który dręczył je wszystkie w duchu.

Patrycja przymknęła oczy. Wiedziała, że mają rację. Paula, choć zawzięta, od początku stała na przegranej pozycji. Dotarcie do więzienia i sprowadzenie pomocy graniczyło z cudem. *Mimo to poszła na pewną śmierć, by mnie uratować...*

– Dajcie jej jeszcze kwadrans – poprosiła. – Ci dranie wciąż śpią. Nigdzie nam się nie śpieszy, a może...

Z dołu dobiegł stłumiony trzask zamykanych drzwi. Ktoś wszedł do willi. Sądząc po głosach, bandytów musiało być dwóch albo nawet trzech.

– Przyszli się nażreć – rzuciła zrezygnowanym tonem Kamila, gdy śmiechy na dole ścichły. – Zawsze żrą przed... – nie dokończyła.

– Jeśli nie teraz, to kiedy? – zapytała pani Irenka, wodząc wzrokiem po twarzach wpatrzonych w nią kobiet.

– Wybacz, Patrycja, ale naprawdę nie ma na co czekać. – Basia uściśnęła wyglądającą wciąż przez okno dziewczynę. – Zabierzmy ze sobą choć jednego drania.

Przygotowały wszystko w nocy, ponieważ większość z nich i tak nie mogła spać. Dranie skuli im nogi kajdankami, by nie mogły uciec, zakładając, że udałoby im się otworzyć drzwi, jednakże ręce miały wolne, a niczego więcej nie potrzebowały.

Jamrozińska przyklękła na podłodze na samym środku izby między postaniami i założyła ręce za plecy, by mogły ją związać. Zrobiwszy to, przysiadły wokół niej w nierównym kręgu. Tylko Patrycja została przy oknie. Na ich wołanie odpowiedziała, że zaraz przyjdzie, lecz nadal robiła, co mogła, by odwlec ten

moment. W dalszym ciągu podświadomie wierzyła, że dostrzeże siostrę na placu albo pośród krzewów. Niestety słońce wynurzyło się już zza horyzontu, a niebo znów było czyste jak łąka, zatem...

– Czy to będzie bolało? – zapytała przerażona Roksana Pawlus, także jedna z najświeższych branek.

– Mnie raczej tak – odparła ze spokojem Jamrozińska – was nie.

– Jesteś tego pewna? – Marta Kotapska drżała na całym ciele, jakby w willi zrobiło się nagle bardzo mroźnie.

Ułożony wspólnie plan był prosty. Jeśli miały zaskoczyć tych, którzy po nie przyjdą, gdy tylko się nażrą, nie mogły przypominać poszarpanych zwłok, na jakie napatrzyły się w piątkową noc. Na szczęście – głównie dzięki komunikatom wojska – wiedziały, że sam dotyk nieumarłego wystarczy, by postradać życie. Dlatego jedna z nich, dobrze związana, musiała się poświęcić, zadając sobie śmierć. Pozostałe odejdą w pokoju, dotykając jej ciała zaraz po przemianie.

Ku zaskoczeniu Patrycji chętnych do roli pierwszej nieumarłej było wiele, choć miało to być naprawdę bolesne i trudne doświadczenie. Po długiej dyskusji o odgryzaniu języków i rozszarpywaniu żył postanowiły użyć długiego gwoźdźca, który wyszperały pod szafką, rozpaczliwie przeszukując izbę, gdy jeszcze marzyła im się inna forma ucieczki. Jamrozińska nie dała sobie jednak odebrać palmy pierwszeństwa. To ona rzuciła ten pomysł i to ona zamierzała go zrealizować.

Bała się nie mniej niż pozostałe dziewczyny, ale robiła co mogła, by tego nie okazywać, kiedy pomagały jej się podnieść i stanąć przed ścianą. Potrzebowała pomocniczki i znalazła ją w osobie pani Iwonki. Ktoś musiał przytrzymać gwóźdź w takiej pozycji, by wszedł prosto w oczodół, gdy Gaba odchylił się mocno, a potem wykonał szybki ruch do przodu.

Postanowiły to przeciwzyć. Umówiły się na trzy próby przeprowadzone w wolnym tempie, dopiero czwarta miała być tą właściwą. Widząc zwątpienie w oczach towarzyszki niedoli, Gaba obawiała się, że ta w ostatnim momencie spanikuje, poruszy ręką, co sprawi, że końcówka trzymanego dwoma

palcami gwoździa trafi w kość i ześlizgując się po niej, nie zabije, tylko boleśnie zrani. Nie była pewna, czy starczy jej sił, by spróbować po raz kolejny, wybrała więc inne rozwiązanie. Pierwsza przymiarka poszła w miarę dobrze. Pani Irenka zamknęła oczy, ale ręka jej nawet nie drgnęła.

Jamrozińska odchyliła się więc mocniej i bez ostrzeżenia wykonała pełen zamach głową. Zaskoczenie było pełne. Pani Irenka pisnęła, lecz knebel, który włożyła sobie wcześniej w usta, spełnił swoją rolę. Ci na dole na pewno jej nie usłyszeli.

Gaba padła jak ścięta prosto na tłumiące upadek materace. Wbrew obawom nie cierpiała, zginęła momentalnie – była martwa, zanim jej plecy zetknęły się z podłożem. Reszta kobiet pozostawała odwrócona do tej sceny plecami, także z kneblami w ustach, by nie podnieść przedwcześnie alarmu.

– To już? – zapytała Karolina Łopata, wypluwając zmiętą chusteczkę po tym, jak usłyszała łomot upadającego ciała.

– Tak... – odpowiedziała jej drżącym głosem Kalinowska.

Pani Irenka wciąż stała jak wmurowana, trzymając uniesioną rękę przy ścianie, choć między jej palcami nie było już główki dziesięciocalowego gwoździa. Kobiety obracały się kolejno, niepewne, spłoszone. Wiedziały, że nie ma już odwrotu, ale bały się potwornie tego, co miało nastąpić.

Tylko Kuchnowska wydawała się spokojna.

– Już czas, Pati – odezwała się do drżącej jak osika Bugielówny, która wciąż trwała na posterunku przy kracie. – Jeśli przemienimy się wcześniej niż ty, będziesz strasznie cierpieć rozrywana przez nas na strzępy.

Patrycja zaczerpnęła głęboko tchu, otarła łzy i rzuciwszy ostatnie spojrzenie w kierunku wschodzącego słońca, dołączyła do nierównego kręgu, pomagając przyklęknąć roztrzęsionej pani Irencie. Jamrozińska wiała się już na materacach, ale związały ją tak dobrze, że nie mogła ich skrzywdzić.

– Teraz!

Na dany przez Basię sygnał wszystkie położyły dłonie na ciele nieumarłej.

* * *

Zaspany Sprycha nie zdążył dobrze otworzyć oczu, gdy po łoscocie, z jakim ktoś wyważył drzwi, poczuł mocne szarpnięcie. Pociągnięty za rękę z taką siłą, że aż krzyknął z bólu, wylądował na brudnym linoleum razem z połową pościeli. Napastnik, kimkolwiek był, chwycił go od tyłu i szybkim ruchem postawił do pionu.

– Ty... – warknął Fabian, pochylając się błyskawicznie, by sięgnąć po leżącą na blacie stołu łyżeczkę.

Nie potrzebował niczego więcej. W jego rękę nawet tak niepozorny przedmiot zmieniał się w zabójczą broń. Można nią było wydlubać przeciwnikowi oko, wrazić cieńszym końcem w dziurkę nosa i tak przebić się aż do mózgu czy choćby wepchnąć do ust w celu zadławienia. Wyobraźnia podpowiadała mu tak wiele rozwiązań...

Palcami złapał jednak tylko powietrze, ponieważ ten, kto go zaatakował, był od niego szybszy. Fabian został pochwycony w pasie i dosłownie wyrzucony z kanciapy ciecia. Moment później, leżąc na korytarzu, zobaczył coś, co go jeszcze bardziej przeraziło. Na linoleum zaledwie metr dalej, przy samych schodach, leżały dwie branki.

Odmienione!

Widział je tylko przez ułamki sekund, ponieważ został znów pochwycony i ciśnięty na zewnątrz, za drzwi wejściowe. Wyrzniętym tyłkiem o spękany beton, ale nawet nie pisnął. Wciąż miał przed oczami widok sinych, pokrytych zasychającą krwią twarzy, zamglonych bielmem oczu, wyciągających się w jego kierunku paluchów...

– Jezusie, szefie! – Zdyszany Jakuzza opadł na posadzkę obok niego, po tym jak już zatrzasnął drzwi i zablokował kratę śrubokrętem. – Ledwie zdążył!

– Co tu się wyrabia? – wymamrotał wciąż oszołomiony takim potraktowaniem Sprycha.

– Nie wiem, szefie, ale blisko było... – Ulfig otarł pot z czoła.

Nie wiesz nawet, jak blisko, pomyślał Fabian, ciesząc się, że nie zdążył sięgnąć po łyżeczkę. Okaleczyłby albo nawet zabił

człowieka, który ratował mu życie!

– Musiałeś mnie tak szarpać? – rzucił z wyrzutem, zbierając się do wstania. – Nie mogłeś się odezwać?

– Czasu nie było – wysapał Ulfing. – Widział szef, że te cholery już pospadały na sam dół.

Fabian otrzepał gacie z brudu, gdyż Jakuzą wywłócił go z willi w samej bieliźnie. Wszystkie rzeczy, które sobie powybierał z łupów, zostały za kratą.

– Możesz mi powiedzieć, co tu się, u licha, wyrabia? – zapytał karcącym tonem. – Tylko zacznij od samiuśkiego początku! – dodał, zanim Ulfing zdążył otworzyć usta.

– Zdałem wartę, szefie, poszedłem do biurowca, ale jakoś spanie mnie nie brało, szefie, bo to ważny dzień, nie? – jął opowiadać Jakuzą. – Złotówa i Młody mieli podobnie, a że suszyło ich strasznie, a mnie kiszki marsza grały, zgadaliśmy się, że wpadniemy do willi. Oni chcieli pożłopać wody z ogórków, a ja coś przekąsić. No i może klinika byśmy walnęli przy okazji. W kuchni Młody, jak to on, zaczął zaraz burczeć, że skoro już tu przylazł, to by se poryćkał. Wie szef, on po cztery razy dziennie na pięterko łązi, taki ma ciąg. Ale młody jeszcze jest, to i nie dziwota.

– Do rzeczy, człowieku – upomniał go Sprycha, przyglądając się uderzającym rytmicznie o zablokowaną kratę drzwiom, na które ktoś napierał z drugiej strony.

– Przecież nie zbaczam z tematu – obruszył się Jakuzą. – Jak tylko Młody o tym wspomniał, Złotówa zaraz temat podchwycił, bo on też jakiś zwichrowany jest pod tym względem, nic, tylko by je młócił. Walnęliśmy po pięćdziesiątce, ostrożnie, zagryźliśmy ogórkiem i oni poleźli na górę. Ja, jak już szefowi wspomniałem, bardzo głodny byłem po nocnej warcie, więc zostałem w kuchni, żeby dojeść wczesne śniadanie. No i słyszę nagle jakieś piski, a potem głuchy łomot, jakby ktoś się obalił. Myślę sobie, szmaty znowu zaczęły podskakiwać, a Grzelak... Sam szef wie, jak on nie lubi, kiedy baba mu się stawia, więc którejś przypięrandolił.

– A mówiłem mu, żeby ich tak nie katował – wymamrotał Fabian, któremu zaczynało się wydawać, że rozumie, do czego

mogło dojść na piętrze.

– Zignorowałem te hałasy, bo to w jego przypadku normalka, ale potem znowu słyszę łomot, tym razem głośniejszy, jakby ktoś worek kartofli po schodach staczał. Myślę sobie, tak jak szef zresztą, że trza ostudzić Złotówę, bo za bardzo je pokaleczy, a nie każdy lubi rznąć Angielkę albo warzywo, nie? – Uśmiechnął się półgębkiem, ale zaraz spoważniał. – No więc wyłażę na korytarz, mówię w kierunku schodów, żeby ociupinkę zbastowali, ale znowu słyszę rumor. No więc wchodzę na kilka stopni, patrzę, a tam, na półpiętrze, leżą już trzy nasze zdziury, jedna na drugiej, powyginane jak paragrafy. Mordy sine całe, prawie fioletowe, łapy krwią upaprane, gęby też, jakby flaki komuś właśnie powyżerały. Na moich oczach następna zsunęła się ze schodów, przetoczyła przez tamte i odbiwszy od ściany, wylądowała tuż przede mną. Zdębiałem, szefie, normalnie mnie zatkało, ale całe szczęście w porę oprzytomniałem. Odskokczyłem i zleciałem z tych pieprzonych schodów. Tyle dobrego, że nie zdążyłem wysoko wyleźć, bobym się połamał. Zanim zdążyłem się pozbierać, ta jędzia Przygoda, bo to ona była, już się zsuwała na parter. Dałem drapaką, bo co miałem robić, ale w drzwiach przypomniałem sobie, że szef przecież tu kima, no to wróciłem.

– I dzięki ci za to, przyjacielu. – Sprycha poklepał go po obolałych plecach. – Wielkie dzięki.

Jeszcze chwila i zostałyby odcięty przez te dziwki w swojej własnej kanciapie! Zrobiło mu się zimno, gdy pomyślał, jak niewiele brakowało, by skończył jak ci dwaj. Bo co do tego, że Młody i Złotowa zostali zeżarci, nie miał cienia wątpliwości. A uprzedzał taryfiarza, żeby nie przesadził jak wcześniej Cangaceiro.

– Nie ma za co, szefie. Trza sobie pomagać jak człowiek człowiekowi, nie?

– Święta racja.

Zeszli z ganku na plac, żeby oddalić się od szturmujących drzwi nieumarłych. Fabian obrzucił wzrokiem niewielki budynek, do którego już raczej nie wróca. Przemyślał sobie raz jeszcze nieco chaotyczną opowieść Jakuzy, ponieważ coś mu w niej nie

pasowało. W końcu dotarło do niego, o co chodzi.

– One wszystkie zostały odmienione?

– Na to wygląda.

– Ale gdyby to nastąpiło po tym, jak Złotowa którąś zakatował, to pozostałe narobiłyby straszego wrzasku.

– No niby tak – mruknął zaskoczony Ulfig.

– To by znaczyło, że któraś kofnęła w nocy i wtedy pozabijała pozostałe, a oni wleźli, niczego nie podejrzewając, między same żywe trupy...

– Tak musiało być, szefie, nie inaczej.

– Nadal jednak nie rozumiem, dlaczego te larwy nie podniosły rabanu. Wszystkie okna były pootwierane. Nawet gdybym był spity w trupa, co absolutnie nie miało miejsca, to ty przecież nie spałeś. Pełniłeś wartę na tylnej bramie, tak? – Odwrócił się i zmierzył Jakuzę ostrym spojrzeniem. – Musiałeś słyszeć ich wrzaski i wołania o pomoc!

– Od północy do punkt piąta siedziałem przy tylnej bramie, szefie, ale przysięgam, że niczego nie słyszałem. Nie zasnąłem nawet na moment, może mi szef wierzyć! Ja sumienny jestem, jak już coś robię.

– To jak, tak mocno kurwie spały, że któraś je pozzerła kolejno, nie budząc pozostałych?

– Nie znam się na tym na tyle, żeby wyrokować, ale na to wychodzi. Tam naprawdę nic się nie działo. Cisza i spokój.

– Nieźle nam się ten dzień zaczął – westchnął Fabian. – Nie chcę krakać, ale wygląda na to, że przed samą akcją straciliśmy dwóch naszych.

– Nie mówiąc już o tym, że cały burdel poszedł w pizdu – dodał z żalem w głosie Jakuzę, który pominął jeden drobny, acz istotny szczegół: on też miał zamiar pójść w ślady kolegów i spuścić z krzyża, choć dopiero po zaspokojeniu głodu.

*poniedziałek, 12 sierpnia 1963, godzina 08:07
okolice dworca Wrocław Nadodrze*

Sprycha zatrzymał się na skraju wiaduktu, zaraz przy początku barierki, na wprost schodków prowadzących do furtki u stóp nasypu. Podobnie jak towarzyszący mu kompani zachował ostrożność, by nie zwrócić na siebie uwagi nieumarłych okupujących jezdnię i oba chodniki biegnącej dołem ulicy. Mimo że od dramatycznej pobudki upłynęła już godzina, wciąż nie mógł się uspokoić. Nie wściekał się z powodu śmierci wszystkich branek, te bowiem były do zastąpienia – jak nie dziś, to jutro, jak nie tutaj, to gdzie indziej. Krew zalewała go jednak na samą myśl, że stracił dwóch ludzi, i to przed akcją.

Z Morawca nie miał wielkiego pożytku, ale też nie mógł o nim złego słowa powiedzieć. Początkowo trzymał go z dala od najważniejszych wydarzeń, ponieważ nie ufał mu w takim stopniu, jak sprawdzonym członkom gangu, jednakże nie spuszczał z niego oka przy tych nielicznych okazjach, gdy pozwalał mu się wykazać. To był materiał na git-człowieka, bez dwóch zdań. Z przełknięciem śmierci Grzelaka miał większy problem, taryfiarz był bowiem w ich ekipie drugim mechanikiem, który – choć bywał irytujący przez częste wywyższanie się i wieczne malkontentstwo – przydał się nie raz i nie dwa, dowodząc swej przydatności dla gangu.

Lecz to nie uszczuplenie sił przed atakiem było głównym powodem złości Fabiana. Znacznie bardziej rozgniewało go odkrycie, którym – przynajmniej na razie – nie podzielił się z resztą chłopaków. Zanim powiadomił ich o wydarzeniach w willi, przytargał z Jakuzą drabinę i wspiąwszy się na nią, zajrzał przez okno do izby, w której przetrzymywane były wcześniej branki. To, co zobaczył wewnątrz, potwierdziło jego obawy – Młody i Złotowa zostali zabici, dosłownie rozdarci na

strzępy.

Jarkowi zzombione dziwki powyrywały ręce i odgryzły albo ukręciły łeb, który wisiał teraz jak kaptur, trzymając się na wąskim kawałku skóry, a z Krzyśka została tylko kupa rozbebeszonego mięcha. Wszedł głębiej, zapewne by wybrać dla siebie lepszy kasek, przez co nieumarłe opadły go jak przysłowiowe muchy. To, co z niego zostało, leżało teraz na pokrytej wijącymi się wciąż wnętrznościami kobiecie, która – co Sprycha zauważył na moment przed tym, nim od okna odpędziły go zombie pozostające wciąż na piętrze willi – została przez kogoś związana. Do tej pory miał przed oczami widok jej wykrzywionej gęby. Spomiędzy powiek sterczało jej coś wąskiego i ciemnego, co poruszało się nieznacznie przy każdym ruchu pokrytej bielmem gałki ocznej.

To odkrycie dało mu do myślenia.

Więzy, ostry przedmiot, którym jedna z branek zadała sobie śmierć. Kompletna cisza, potwierdzona przez Sójkę, który czuwał tej nocy przy głównej bramie, oraz przez Saternusa, którego okna wychodziły wprost na willę i który – jak twierdził podczas niedawnego przesłuchania – nie zmrużył oka nawet na moment, z nerwów oczywiście. Jedyne, co mu tej nocy przeszkadzało, to odgłosy wystrzałów, dobiegające gdzieś z okolic mostu Trzebnickiego, i trwające przez godzinę albo dwie buczenie – jakby motor samochodowy pracował – ale także odległe i trudne do zlokalizowania. Na terenie zajezdni panowała jednak grobowa cisza.

Powyższe zdawało się świadczyć o bardzo niepokojącym fakcie: te dziwki musiały to sobie zaplanować. Oddały życie, wszystkie co do jednej, aby tylko dobrać się do niego. Nie spodziewał się takiej przemyślności po bydle, które zwykle posłusznie szło na rzeź. A tu proszę, dostał bolesną nauczkę, z której zamierzał skorzystać w przyszłości.

Członkom gangu, gdy już zebrał ich w biurówcu, przedstawił oficjalną wersję zdarzeń. Złotowa przeholował minionej nocy, za mocno skatował swoją dziwkę, ta skonała w nocy i wyżarła całą resztę śpiących kamiennym snem branek. Jakuzza zaklinał się, że

tak właśnie było, ponieważ nie widział tego co Fabian.

Sprycha zapowiedział, że trzeba będzie ukryć śmierć branek przed robactwem. To był zbyt ważny dzień, by opętane pragnieniem zemsty rodziny tych kobiet wbiły gangowi nóż w plecy, gdy wyruszą wszyscy na akcję, a musiał zabrać ich co do jednego, pozostawiając zajezdnię bez nadzoru. Mieszkańcy okolicznych kamienic mieli więc trwać w nieświadomości do chwili zdobycia broni. Potem ich nastawienie nie będzie miało najmniejszego znaczenia, a za kilka dni, jak tylko Jakuza naprawi transporter... może nawet jutro albo pojutrze... zostaną zlikwidowani, wybici do nogi.

Tego, że Saternus coś wypapla, zupełnie się nie obawiał, aczkolwiek na wszelki wypadek zażądał od niego, by trzymał język za zębami, jeśli nie chce trafić w łapska obecnych właścicielek willi. Kapuś przystał na to z ochotą. Po tym jak wydał dziewczynę w ich łapy, nie miał już odwrotu. Zresztą widać było gołym okiem, że zrobi wszystko, byle zachować życie. *Warto to wykorzystać*, uznał Fabian, prowadząc obu informatorów, Kozaka i paru innych chłopaków na wiadukt, by zrobić rekonesans.

Bardzo żałował utraty wielkiej mapy, którą przyszło mu zostawić w kanciapie ciecia, na szczęście usłużny Saternus szybko zorganizował turystyczny plan miasta, równie dokładny, jeśli nie dokładniejszy, a już na pewno znacznie poręczniejszy w użyciu.

Kapuś rozkładał go właśnie przed Sprychą, by wskazać miejsce, w którym się znajdują.

– Znasz dobrze tę okolicę – rzekł Fabian. – Jaką drogę byś wybrał, gdybyś musiał dotrzeć stąd do więzienia?

– Widzi szef wylot tej przecznicy? – Saternus wskazał przerwę między kamienicami po prawej, za solidną poniemiecką budowlą z czerwonej cegły. – To Kłęczkowska. Ta sama, która wiedzie pod główną bramę więzienia.

Przesunął palcem po mapie i postukał w pusty, nieopisany prostokąt na końcu ulicy.

– To tylko trzy kwartały stąd, panie szefie – dodał Fiedczak.

– Tak, trzy kwartały pełne tego śmiecia... – Fabian objął gestem stojące w dole postacie.

Pod wiaduktem było ich jeszcze więcej, wiedział to, ponieważ wcześniej obserwował tam zombie, które dopadły konie ciągnące rozwaloną furmankę. W głębi Trzebnickiej też się od nich roiło. To tam między innymi uciekali ranni ocalali z masakry na dworcu i to tam ulegali kolejno przemianie, a potem dopadali innych, próbujących nieść im pomoc.

Na Kłęczkowskiej, pomyślał, pewnie nie jest wiele lepiej.

– Gdybyśmy stanęli trochę dalej, te gady powinny nas wyczuć, nie – ni to stwierdził, ni to zapytał Saternus. – Tak moglibyśmy je zwabić pod wiadukt.

Nie mylił się, w ten sposób mogli ściągnąć w okolice wiaduktu masę odmieńców i stworzyć z nich hordę, lecz to przecież nic by im nie dało. Przeciwnie, pogorszyłoby tylko sprawę.

– Niby racja – odparł Fabian. – Ale nie rozumiem, po co mielibyśmy to robić?

– Oczyszcilibyśmy ulicę.

– I co dalej? Jak mielibyśmy na nią zejść, skoro wszyscy nieumarli zleżą się pod wiadukt?

Nieoczekiwanie odezwał się młodszy kapuś, czym zaskoczył wszystkich.

– Tam, panie szefie, jest taka dziura w płocie gazowni. – Fiedczak wskazał pobliskie zarośla. – A tam, widzi pan szef, na wprost wylotu Kłęczkowskiej, jest brama, którą moglibyście wyjść, jak już ulica będzie puściejsza.

Kaczmarek, jedyny wrocławianin w ich gronie, wysłuchał tych słów uważnie, po czym skinął głową. Jego zdaniem dzieciak dobrze kombinował.

Fabian przyjrzał się uważniej sytuacji na Trzebnickiej. Plan kapusiów zaczynał mu się podobać. Ściągając żywe trupy do siebie, oczyszczą ulicę, a już na pewno pozbędą się większości tego tłumu. Nieumarli, choć rozrzućeni po obu chodnikach i jezdniach, stali bowiem na tyle gęsto, że powinni zareagować na pojawienie się ofiar.

– Ciekawy pomysł – przyznał Sprycha.

– To co, szefie, mam tam wyjść? – Saternus niecierpliwie przestąpił z nogi na nogę.

Sprycha już miał wydać zgodę, ale nie otworzył ust, czując, że ktoś go pociąga za rękaw.

– Czego? – burknął do stojącego tuż za nim Nerynka.

Siata nachylił się do jego ucha, poszeptał coś chwilę, a potem wbił w niego wyczekujące spojrzenie.

Fabian uśmiechnął się pod nosem.

– Nie – odpowiedział stanowczo.

Zdumiony kapuś nie wierzył własnym uszom.

– Ale...

– Pytasz dlaczego? – Sprycha się zaśmiał. – Powiem ci: gdzie w tym zabawa? Zrobimy tak... – Przeszedł na drugą stronę torów, bliżej Ołbińskiej, od strony placu węglowego, i wskazał kamieniczki na Krętej. – Czy ktoś z tych domów ocalał? – rzucił.

– Tak – potwierdził skwapliwie Saternus. – Zdecydowana większość lokatorów próbowała szczęścia, uciekając na dworzec zaraz po tym, jak wojsko ewakuowało szpital, ale...

– Czekaj – zainteresował się Fabian. – To tu jest jakiś szpital?

– Tak. I to duży. Tam, o... – Kapuś wskazał palcem zabudowania znajdujące się niemal na wprost tylnej bramy zajezdni. – Pracował w nim ten doktor z triumwiratu. Gdy ludzie zobaczyli, że wojo go wywozi z całym sprzętem i resztą, zaraz wybuchła panika.

– Dobra, oszczędź mi tych łzawych szczegółów. Ile osób zostało na Krętej?

– Osiem będzie w sumie – podliczył Saternus.

– Sprowadzisz mi tutaj dwoje, nie, czekaj, czworo.

* * *

Sprycha postanowił dać chłopakom odrobinę rozrywki, o którą poprosili. Wszyscy łazili z nosami spuszczoneymi na kwintę z powodu śmierci kompanów. Nie pozwolił im dać upustu frustracji, choć ulżyłoby im, gdyby mogli się wyżyć na miejscowych. Kazał udawać, że nic się nie stało, robili więc od rana dobrą minę do złej gry. Kręcili się po zajezdni, wygrzewali

na słońcu jak dzień wcześniej, ale podskórnie aż kipieli. Dlatego Fabian przystał od razu na propozycję Nerynka. Postanowił też dodać coś od siebie.

Chłopcy rechotali zgodnie, gdy przyglądał się kobiecie i trzem mężczyznom, których wywleczono z mieszkań i sprowadzono tutaj taką drogą, by nikt ze Słowiańskiej nie zauważył, że mała lokalna społeczność znów zostanie uszczuplona.

Związane w baleron i starannie zakneblowane ofiary spoglądały z przerażeniem na paradującego przed nimi uśmiechniętego bandytę. Sprycha był pewien, że każde z nich doskonale pamięta bajkę, którą im opowiedział, a zwłaszcza jej morał. Wiedzieli więc, że mają przechlapane, choć nie potrafili zrozumieć dlaczego.

– Ten! – Fabian wskazał brodacza w okularach, wyglądającego na artystę albo naukowca. – Jak się nazywa?

– Bezak, szefie. Tomasz Stefan Bezak – podpowiedział przymilnie kapuś.

Sprycha pochylił się nad jeńcem.

– Panie Tomku szanowny, za moment dokonamy, oczywiście z pańskim udziałem, niezwykle ważkiego eksperymentu – zagaił kpiącym tonem ku uciesze chłopaków. – Otóż powiesimy szanownego pana... ależ bez nerw, kochanieńki – dodał, widząc panikę rodzącą się w oczach tamtego – nie tak za szyję, jak Czerwonego Koszulka i jego rodzinę, nie, nie, nie! Nie chcemy przecież, aby szanowny pan nam się udusił. Celem naszego eksperymentu jest bowiem sprawdzenie, jak wielu nieumarłych da się zwabić do jednego kawałka żywego mięsa, którym pan, bez cienia wątpliwości, jesteś.

Machnął ręką. Cangaceiro i Zarąb powlekli wijącego się jak wąż Bezaka do balustrady, przełożyli go przez nią i opuścili na linie, do której został wcześniej przywiązany. Powiesili go tak, by nogi znajdowały się nie mniej niż dwadzieścia centymetrów nad wyciągniętymi w górę rękami żywych trupów, których zebrało się pod wiaduktem już ponad pięćdziesiąt.

– Ta! – Palec Fabiana wskazał następną ofiarę.

– Wardzińska, Isa.

– Isa, powiadasz. Ciekawe imię, i ładne, w sam raz dla kogoś, kto pragnie poświęcić się w imię socjalistycznej nauki. Tak, muszko – dodał, pochylając się, by spojrzeć prosto w wytrzeszczone piwne oczy. – Cieszysz się, że zostałaś wybrana? Nie ukryjesz tego przed wujkiem Fabianem. Widzę to choćby po łzach radości, które ronisz na samą myśl o zaszczycie, jaki zaraz cię spotka.

Grał na potrzeby gangu, ale i jemu ta zabawa zaczynała sprawiać wiele radości. To była namiastka doznań, których tak łaknął. Chłonał więc strach ofiar, tę niemal trupią bladość, to przerażenie bijące z oczu, gdy uświadamiali sobie, że jeden ruch jego palca zakończy marną egzystencję, którą nazywali, jakże mylnie, życiem.

Wardzińską wywiesili po drugiej stronie torów tramwajowych, w odległości ponad ośmiu metrów od Bezaka, aby ściągać nieumarłych z całej szerokości ulicy. Sprycha stanął w środkowej części wiaduktu, wspierając się obiema dłońmi o poręcz. Wyglądał jak kapitan okrętu, który obserwuje wzburzoną toń z mostka jednostki prującej nieumarłe fale.

Żywe trupy reagowały zgodnie z jego oczekiwaniami, kolejno, jakby zawieszono nad ulicą ciała były ciśniętymi w wodę kamieniami, które tworzą koncentryczne kręgi fal docierających coraz dalej i dalej. Odmieńcy człapali w stronę wiaduktu, bardzo wolno, niezdarnie, dołączając do gromadzącej się pod wiszącymi ludźmi hordy.

Sprysze dość szybko znudziło się gapienie na przybierające wciąż morze sinych gąb i rozczapierzonych łapsk. Zrozumiał, że proces oczyszczania ulicy potrwa z godzinę, jeśli nie dłużej. Uznał więc, że nie warto czekać. Skinieniem ręki przywołał do siebie Fiedczaka.

– Pokażesz nam teraz to tajemne przejście na teren gazowni, o którym wspomniałeś – rozkazał.

– A co z tymi? – zapytał, a raczej warknął Magdziarek, wskazując pozostałych dwóch jeńców.

Sprycha szepnął mu coś na ucho, a potem zerknął znacząco na stojącego obok kapusia.

– Ten po prawej nazywa się Łukasz Pudło. – Saternus dobrze

wiedział, czego się od niego oczekuje.

– A jego przemiły sąsiad?

– Bartłomiej Klamka.

– Klamka? – Fabian roześmiał się w głos. – Czyż to nie ironia losu sprawiła, że szanowni panowie Pudło i Klamka pomogą nam w zdobyciu... przedmiotów mających tak wiele wspólnego z ich jakże szlachetnymi mianami?

Chłopaki zarechotali, im także spodobała się ta zbieżność. Wybierali się przecież do pudła po kłamki.

* * *

Daniel nie mylił się co do jednego. Na terenie gazowni nie było nie tylko żywej duszy, ale też nieumarłych. Strażnicy, którzy powinni trzymać pieczę nad tym jakże istotnym dla miasta zakładem przemysłowym, zbiegli już w piątek, podobnie jak reszta licznej załogi. Mieli jednak na tyle rozumu we łbach – albo tak się bali przełożonych – że nie czmychnęli bezmyślnie, lecz pozamykali za sobą wszystkie furtki i bramy. Dzięki ich sumienności Fabian mógł teraz ze spokojem obserwować perspektywę ulicy, na której końcu mieścił się cel jego przyszłego wypadu.

– Szef patrzy! – rzucił w pewnym momencie uradowany Kaczmarek. – Wywabiamy ich też z Kłęczkowskiej!

Faktycznie, nieumarli stojący dotąd w przecznicy leżli w stronę pobratymców sunących po Trzebnickiej. Nie było ich tam tyłu co na głównej ulicy, lecz gdyby pozostali na swoim miejscu, blokowałiby skutecznie trasę zwiadu. Trzeba by posłać na nich co najmniej tuzin wabików, aby ludzie Sprychy mogli się przedostać do kamienic tuż przy więziennym murze. Poświęcenie robactwa nie byłoby problemem, jednakże Fabianowi zależało na czasie. Po rekonesansie musiał mieć kilka godzin na przemyślenie i rozpisanie bardziej szczegółowego planu, uwzględniającego wyniki poczynionych obserwacji.

– Dziwne... – mruknął Sprycha moment później, włazłszy Szczygle na barana, by mieć lepszy widok nad ogrodzeniem.

Wcześniej od reszty zobaczył, że spory odcinek Kłęczkowskiej

jest... pusty. Za pierwszą przecznicą na jezdni i chodnikach widział tylko kilku nieumarłych, jakby i tam ktoś prowadził podobną akcję. Czyżby załoga więzienia oczyszczała sobie przedpole? Jeśli tak, w jakim celu usuwano zombie z ulicy biegnącej w kierunku zajezdni?

Sięgnął po lornetkę znaną w zdobyczym transporterze. Daleko, niemal u drugiego wylotu długiej, ale też prostej ulicy, wypatrzył kłębowisko ludzkich postaci. Uśmiechnął się pod nosem. Dranie coś kombinowali, ale jedyne, co osiągnęli, to ściągnięcie pod mur dodatkowych mas żywych trupów. Jemu to nie przeszkadzało. Nie miał zamiaru atakować więzienia od tamtej strony, ponieważ o wiele bardziej interesował go południowo-wschodni narożnik, a zwłaszcza znajdujące się tam garaże, po których jego ludzie bez trudu przedostaną się na teren kicia – o ile tylko na najbliższej wieży nie będzie wartownika.

Jeśli Okrutny kazał strzec muru, zadanie niepostrzeżonego przeniknięcia do wewnątrz może okazać się bardzo trudne, ale i na taką ewentualność Sprycha był przygotowany. Nigdy nie przystępował do działania, jeśli nie miał w odwodzie planu B albo i C.

– Szefie, problem widzę – rzucił Marut, wrywając go z zamyślenia.

– Co znowu?

– Tylu ich się już znalazło, że ostatni sterczą teraz mniej niż dziesięć metrów od wylotu Kłęczkowskiej – poinformował go zaaferowanym tonem dusiciel. – A szef popatrzy, ilu ich tu jeszcze lezie. Wszyscy do kupy zablokują nam przejście.

– To nie jest żaden problem, bracie – zaśmiał się Sprycha po tym, jak zeskoczył z pleców drwala. – Patrz i ucz się.

Wrócili na wiadukt tą samą drogą, którą zeszli na teren gazowni. Nie musieli uważać ani się rozglądać, ponieważ wcześniej sprawdzili, że cały ogrodzony teren jest czysty. Odsłaniając wskazane przez Fiedczaka przejście, Szczygło wyrąbał też część krzewów przy płocie, dla uspokojenia nerwów raczej niż z prawdziwej potrzeby.

Fabian, nie zwlekając, podszedł do jeńców pilnowanych teraz

tylko przez starszego kapusia.

– No, pora i na was, drodzy sąsiedzi – rzucił. – Cangaceiro, wiesz, co masz robić.

Magdziarek wyszczerzył wciąż opuchniętą i pokrytą siniakami gębę. W niespełna minutę wywiesił kolejną parę wabików, tyle że po drugiej stronie szerokiego na prawie pięćdziesiąt metrów wiaduktu. Sprycha w tym czasie podszedł spokojnym krokiem do barierek, z której zwisali Bezak i Wardzińska. Wyjął z kieszeni kozik i naciął nim najpierw pierwszą, potem drugą linę. Dość głęboko, na tyle, by zaczęła się rwać pod ciężarem ciała. Później cofnął się o dwa kroki i poczekał, aż usłyszy kolejno trzask i następujący tuż po nim głuchy stukot. Jeden i zaraz po nim drugi.

Nieumarli rozdarli rzucone im ofiary w okamgnieniu, po czym ruszyli za Fabianem jak pisklęta za kurą, ponieważ tylko jego teraz wyczuwali, a on prowadził ich, idąc wolno przez tory ku parze nowych wabików.

– Myśli szef, że te pięćdziesiąt metrów wystarczy? – zapytał Marut, gdy Sprycha szybkim truchtem dołączył do pozostałych, trzymających się z dala od wiaduktu, jak im kazał.

– Jeśli nie, przygotujemy kolejną parkę zakąsek.

– To rozumiem, ale gdzie je chce szef wywiesić?

– A tam, na latarniach. – Sprycha wskazał odległy o kilkadziesiąt metrów wyłot Ołbińskiej.

* * *

Nie musieli się do tego posuwać. Horda po przejściu za wiadukt znalazła się na tyle daleko od zbiegu ulic, że Sprycha oraz nie odstępujący go na krok Cangaceiro, Kaczmarek i Saternus, którego zabrali, ponieważ doskonale znał okolicę, bez najmniejszych problemów wydostali się z terenu gazowni. Marut zamknął za nimi bramę na nową kłódkę, by jacyś zabłąkani nieumarli przypadkiem nie odcięli zwiadowcom tej drogi ucieczki, po czym sam cofnął się na bezpieczną odległość, aby czekać na powrót szefa i kompanów.

Fabian wyznaczył rolę każdemu członkowi gangu. Jakuza miał

zając się naprawą transportera, Pigol i Mojka obsadzili stróżówki przy bramach zajezdni, żeby było nie zauważyło różnicy w zachowaniu git-ludzi. Janiczek przygotowywał w biurowcu koktajle Mołotowa i całą resztę łatwopalnego cholerstwa, którym zamierzał sfajczyć więzienny magazyn. Miał na to cały dzień i Perka do pomocy, bo i on, jako magister farmacji, liznął trochę chemii. Trzech pozostałych chłopaków łąziło z Fiedczakiem po okolicznych kamienicach, robiąc rewizje i rekwirując potrzebne Dymkowi specyfiki, a także wszystko to, co im wpadło w oko. Tylko jednego Sprycha zabronił im ruszać – bab.

Zwiadowcy pokonali oczyszczoną z zombie Klęczkowską błyskawicznie, ale na znak dany przez Sprychę zatrzymali się na początku trzeciego kwartału, tuż za ulicą Zegadłowicza, by przez wyrwę po wyburzonej kamienicy dostać się na rozległe prostokątne podwórze. Fabian wołał nie ryzykować dalszego marszu Klęczkowską, na wypadek gdyby któryś z mundurowych obserwował wylot tej ulicy.

Nadal odczuwał trudny do sprecyzowania, podskórny niepokój na myśl, że najbliższa okolica więzienia została oczyszczona z nieumarłych w bardzo podobny sposób, jak on to zrobił z Trzebnicką, a wcześniej Jedności Narodowej. Idąc pomiędzy opustoszałymi kamienicami, odnosił wrażenie, że Okrutny stwarza mu okazję. Nie, to było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Dla pewności kazał obu kapusiom odwiedzić wszystkich ocalałych w bezpośrednim sąsiedztwie zajezdni i sprawdzić, czy na pewno nikogo nie brakuje. Nie miał więc wątpliwości, że było siedzi po domach i sra w gacie na samą myśl o spotkaniu kogoś z git-ludzi. Fiedczak i Saturnus nie mogli się doliczyć tylko tej Bugiel, czy jak jej tam, ale to przecież siksa, w dodatku zniknęła z radaru dzień wcześniej, zanim w ogóle wpadli na pomysł zaatakowania więzienia.

Nie, uznał, niemożliwe, by ktoś ostrzegł Okrutnego, że przeżyliśmy. Chociaż... Jego pewność siebie prysnęła natychmiast jak mydlana bańka. Przekabacony funkcjonariusz mógł puścić farbę!

To wydało mu się nagle bardziej niż prawdopodobne. Dureń

wygadał się na łożu śmierci albo zwierzył w jakiejś podbramkowej sytuacji. Jednakże nawet w razie wsypy oczyszczenie Klęczkowskiej mogło oznaczać co najwyżej rozpoczęcie przygotowań do wypadu funkcjonariuszy na Słowiańską.

Tak, z tym właśnie mamy do czynienia, pomyślał Sprycha, przypomniawszy sobie utyskiwania Saternusa na nie dające spać hałasy. Ktoś tutaj, tej nocy, użył samochodu, by zwabić nieumarłych na sam koniec ulicy.

Uśmiechnął się na myśl, że uderzając pierwszy, uprzedzi znieawidzonego kapitana, niweczając jego podstępne zamiary – o ile oczywiście nie ponosiła go wyobraźnia. Było bowiem bardzo możliwe, że w gruncie rzeczy chodzi o coś prozaicznego, na przykład nieudaną próbę ewakuacji czy też przedarcia się do innej części miasta. O tym, jak jest naprawdę, powinien przekonać się już za chwilę, gdy dotrze do kamienic stojących przy ulicy Struga, dokładnie naprzeciw więzienia.

– Szef spojrzy! – Kaczmarek złapał go za ramię.

Wolną ręką pokazywał okna w domach po prawej, tych, do których zmierzali. Z dwóch lokali na trzecim piętrze zwisały liny: grube, solidne, z węzłami rozmieszczonymi w równych odstępach. Sprycha wyrzał zza węgła, popatrzył do góry, później powiódł wzrokiem po reszcie zabudowań, jednakże prócz szelestu liści na rosnących po przeciwnej stronie podwórza drzewkach nie usłyszał żadnego podejrzanego dźwięku ani nie dostrzegł najlżejszego ruchu.

– Ktoś tutaj przeprowadził fachową ewakuację – rzucił półgłosem stojący za nim Kaczmarek.

Z kilku innych mieszkań znajdujących się na pierwszej kondygnacji sąsiednich kamienic lokatorzy uciekli po związanych ze sobą prześcieradłach. Do tego tylne drzwi do trzech budynków stały otworem – przy nich walały się porzucone walizki i bezkształtne zawiniątka, jakby uciekinierzy musieli porzucić dobytek, by ratować życie. Bliższa inspekcja kamienic od strony Zegadłowicza uświadomiła Fabianowi, że i stamtąd wyprowadzono ocalonych. Wprawdzie za oknami nie było widać

lin ani sznurów, ale w paru miejscach na poczerniałym tynku odznaczały się ślady, a nawet świeżo odstonięte cegły.

Ewakuacja, pomyślał. Ha! Okrutny ściąga za mur każdego, kogo może uratować. Zatem stąd to oczyszczanie ulicy. Mundurowi musieli usunąć zombie z Klęczkowskiej, by dostać się na to podwórze i zabrać ocalałych. To rozwiązanie wydało mu się bardzo logiczne. Gdyby miał sumienie i przejmował się innymi, zapewne też by tak postąpił.

W ulu siedziało półtora tysiąca osadzonych. Ciekawe, ilu swoich udało się mundurowym ściągnąć na miejsce więźniów wypuszczonych w tę szaloną piątkową noc? Na pewno mniej niż połowę dawnego stanu, tak więc kapitan ma jeszcze sporo wolnych cel i żarcia dla kolejnych, a że nie jest w ciemną bity, to umacnia siły i ratuje w swojej niezmierzonej dobroci każdego, kogo tylko może.

Na swoje nieszczęście, nie przewidział, że ewakuując robactwo gnieźdzące się w tych ruderach, ułatwi nam robotę. Nie dość, że z kwartału zniknął każdy, kto mógłby mu donieść o pojawieniu się obcych, to jeszcze uciekający w popłochu cywile zostawili liny, dzięki którym będziemy mogli dostać się niezauważenie do pustych mieszkań na jednej z najwyższych kondygnacji.

* * *

Cangaceiro poszedł przodem. Wspiął się po linie sprawnie jak małpa, dzięki węzłom było to bowiem o wiele prostsze, niż mogło się zdawać. Upewniwszy się, że mieszkanie faktycznie jest puste i że nikt nie zastawił w nim żadnej pułapki, młotkowy wyrzwał na klatkę schodową, by sprawdzić, czy nadal grasują na niej zombie. Byli tam, jak się okazało; stali piętro niżej za uchylonymi drzwiami do mieszkań i na podeście: mężczyźni, kobiety, dzieci. Co najmniej dwie pełne rodziny. Przebicie się przez tę hałastrę nie wchodziło w grę, zatem Fabian, chcąc nie chcąc, musiał powtórzyć wyczyn swojego przybocznego – podołał, choć nie poszło mu to tak gładko jak wcześniej Magdziarkowi.

Kaczmarek z Saturnusem zostali na czatach. Złodziej pilnował

też kapusia, by ten, znalazłszy się tak blisko terenu wroga, nie zrobił czegoś głupiego. Sprycha nie chciał go na górze; wolał, by ktoś nie będący członkiem gangu nie widział tego co on.

– Nie podchodziłeś do okien wychodzących na drugą stronę? – zapytał, gdy Cangaceiro pomógł mu przeleźć przez parapet.

– Przecież szef zabronił – odparł urażonym tonem młotkowy.

– Gdybyś przejmował się tym, co mówię i czego zabraniam, tobym nie musiał pytać. – Fabian roztarł obolałe dłonie. Był niemal pewien, że nabawi się pęcherzy. – Zostań tutaj, przy oknie. Zawołasz mnie, jak Kozak da umówiony sygnał.

– Jasne – mruknął Magdziarek, rozsiadając się na parapecie i sięgając do chlebaka po pętko kiełbasy.

Od śniadania trochę już minęło, lecz Fabian był tak przejęty, że na śmierć zapomniał o głodzie. Dopiero teraz zapach dobrze uwędzonego mięcha wywrócił mu flaki. W swoim chlebaku nie miał żadnej wałowy, tylko sprzęt, dlatego po chwili wahania zawrócił i ułamał sobie kawał smakowicie wyglądającej wędliny, nie zważając na cichy protest młotkowego.

Pogryzając zarekwirowaną weselnikom kiełbachę, bez dwóch zdań własnej roboty, zajrzał ostrożnie do wszystkich pomieszczeń od frontu w poszukiwaniu najlepszego punktu obserwacyjnego. Znajdowali się w budynku stojącym na samym końcu ciągu kamienic, tuż przed wznoszoną właśnie plombą, zatem mieli doskonały widok na Babiniec, plac za nim, spacerniaki i budynki magazynowe. A także tę część muru, do której przylegały garaże, i obie narożne wieże strzegące kicia od tej strony. Młode drzewka, zasadzone przed kilku laty po przeciwnej stronie ulicy, oczywiście przy wydatnej pomocy więźniów, nie przesłaniały mu na szczęście widoku, zasiadł więc na stole ustawionym z dala od okna i przyłożywszy lornetkę do oczu, zaczął uważnie lustrować teren.

*poniedziałek, 12 sierpnia 1963, godzina 11:15
Zakład Karny Nr 1 przy ulicy Klęczkowskiej 35*

– Kapitanie, zgłasza się kapral Bańkowski. Łyknęli przynętę. Melduję kontakt wzrokowy, odbiór!

Okrutny drgnął, słysząc nadany przez radiostację komunikat. Jeden ze snajperów Biedrzyckiego wypatrzył kogoś od Sprychy, może nawet samego kanibala.

Błyskawicznie sięgnął po słuchawki.

– Gdzie ich namierzyliscie, odbiór?

– W kuchni lokalu numer dwa. Widzę pojedynczy cel. Obserwuje przez lornetkę teren więzienia i chyba coś żre, odbiór.

– Możecie go dokładniej opisać, odbiór?

– Niestety nie, kapitanie. Pozostał w głębi pomieszczenia, w cieniu. Mogę tylko powiedzieć, że jest raczej szczupłej budowy, odbiór.

Okrutny przygryzł wargę. Korciło go, by wydać rozkaz odstrzelenia gada, ponieważ przypuszczał, że to sam Sprycha, bez którego banda pójdzie w rozsypkę, a już na pewno nie będzie tak groźna. Korciło go, choć wiedział, że nie może tego zrobić. Jego ludzie nie zdołają zaatakować zajezdni, zanim tamci się nie ulotnią, a ściganie ich aż do Leśnicy nie wchodziło w grę – ani teraz, ani w najbliższej przyszłości. A Bóg jeden raczy wiedzieć, jakich zbrodni tam się dopuszczają, jeśli pozwoli im zbiec.

Nie, cokolwiek będzie się działo, nie wolno nam zmienić planu.

– Meldujcie o każdym ruchu obiektu, odbiór – rzucił do mikrofonu, po czym opadł ciężko na fotel.

Pomysł ewakuacji kamienic, które mogą zechcieć przejąć bandyci, wyszedł od majora, ale liny umożliwiające dostanie się do wyznaczonych mieszkań były sprawką Rojewskiego, który nadzorował całą operację i ściągnął za mur niemal sześćdziesiąt kolejnych osób, zarazem inscenizując paniczną ucieczkę, mającą

przekonać zbirów, że Klęczkowską oczyszczono wyłącznie po to, by chronić ludność cywilną. Czy bandyci w to uwierzyli, trudno powiedzieć; pewne było tylko to, że połknęli haczyk i wspięli się do jednego z lokali obserwowanych przez snajperów.

Na teren zakładu karnego trafili wszyscy żyjący wciąż mieszkańcy dwóch kwartałów oraz kamienic znajdujących się po drugiej stronie Klęczkowskiej na oczyszczonym odcinku. Wszyscy co do jednego. Co dało ogółem niespełna pięć procent lokatorów tych budynków!

Okrutny dopiero teraz zyskał twarde dowody na to, że jego domniemana klęska była w rzeczywistości ogromnym sukcesem. Patrzył na problem nie z tej strony, z której powinien. Zamiast liczyć ocalałych, zamartwiał się liczbą utraconych, podczas gdy tych pierwszych miał pod swoją opieką znacznie więcej, niż zdołało przetrwać na mieście, oczywiście proporcjonalnie rzecz biorąc. Było to jakieś pocieszenie, choć dla niego niewystarczające. Mimo to postanowił trzymać się tej myśli, gdyż pozwalała mu odzyskać odrobinę wiary w siebie, a tej potrzebował, by wygrać zbliżające się starcie i tym samym zmasakrować rzeczywistą plamę na honorze, jaką było wypuszczenie na wolność Sprychy i jego ferajny.

– Zaczynamy przedstawienie? – zapytał Patryk, nie kryjąc zniecierpliwienia.

– Zaczynamy.

Przygotowali się na przyjście bandytów. Oczyszczenie im drogi było pierwszym z kilku etapów wciągania ich w pułapkę. Teraz nadszedł moment na realizację kolejnych. Wszyscy ocaleni zostali dokładnie poinformowani, jak mają się zachowywać. Kobiety robiły więc od samego rana wielkie pranie, oczywiście na głównym placu, część mężczyzn pracowała przy wzmocnieniu barykady wokół zawaliska, choć nie było to wcale potrzebne, paru „naprawiało” gazik ustawiony między spacerniakami a wejściem do Babińca, ten, który miał odegrać tak ważną rolę nocą, dzieci natomiast ganiały się po skwerku, tym samym, którego oczyszczenie kosztowało życie tylu osób, które Okrutny znał i lubił.

Patryk zasalutował i wyszedł, by zająć się kolejnym punktem planu. Za chwilę wybrani przez niego mężczyźni zaczęli przerzucać do narożnego magazynu worki i skrzynie, które wcześniej opróżniono z ziemniaków i konserw, aby mogły zostać wypełnione wiórami, pierzem i najróżniejszym śmieciem. Zwołani przez niego ocaleni mieli przenieść je z ciężarówek do magazynu, aby Sprycha, czy też inny bandzior, którego ta menda wysłała na zwiady, zobaczył, gdzie gromadzą najpotrzebniejsze zapasy. Zainscenizowano ten przerzut na wypadek, gdyby bandyci chcieli posłać Janiczka tam, gdzie nie powinien dotrzeć i na pewno nie dotrze.

– Cel przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia, bez odbioru. – Okrutny spał się w sobie.

– Czy teraz widać go lepiej, odbiór? – nie wytrzymał.

– Nie, kapitanie. Nadal trzyma się z dala od okna. Chwileczkę... – Snajper zamilkł. – Podchodzi... W mordę skubany... – pomimo mechanicznych zniekształceń w jego głosie dało się wychwycić ton wielkiego zawodu.

– Mówcie konkretniej, odbiór! – warknął zirytowany Okrutny.

– Cel rozciął jedną z zasłon i wysunął przez otwór lornetkę. Jest przy samym oknie, ale widzę tylko soczewki. Tak na marginesie, ma niezły sprzęt. Nasz sprzęt, odbiór.

To na pewno Sprycha, pomyślał kapitan i natychmiast poczuł świerzbienie, by wdusić klawisz nadawania i wydać ten jeden króciutki rozkaz. Ale nie... Zacisnął drżącą dłoń w wielką jak bochen chleba pięść. Nie da się ponieść emocjom. Niebawem przyjdzie pora na uregulowanie wszystkich rachunków, a on drugi raz nie popełni błędu i nie wypuści tych zbrodniarzy.

Za dużo przelanej krwi miał na sumieniu, nawet jeśli to oni dopuszczali się okrucieństw, nawet jeśli zawdzięczali uwolnienie anonimowemu, a teraz także martwemu, zdrajcy.

wtorek, 13 sierpnia 1963, godzina 01:36
Zajezdnia Tramwajowa Nr 2 przy ulicy Słowiańskiej 16–30

Tej nocy nie urządzili popijawy, co nie wszystkim było w smak, lecz żaden z chłopaków nie narzekał, ponieważ Sprycha pozwolił im przed wyjściem z zajezdni golnąć po secie dla kurażu. Nieco wcześniej najedli się do syta, a niektórzy nawet zdrzemnęli po obfitszej niż zwykle kolacji. Tylko Perek, Sójka, Zgorzelski i Janiczek mieli problemy z zaśnięciem. Dla trzech pierwszych atak na więzienie miał być swoistym chrztem bojowym, przeżywali więc ten fakt każdy na swój sposób. Z kolei podpalacz był tak podniecony tym, że będzie mógł w końcu znów zaszaleć, iż przesiedział bite cztery godziny w swoim pokoju, głaszcząc ustawione w równym rzędzie butelki wypełnione miksturą przygotowaną po południu z wydatną pomocą byłego farmaceuty.

Ta noc, podobnie jak poprzednia, była bardzo ciemna. Tym razem chmury nadciągnęły już przed zmierzchem, ale na szczęście nie ciężkie, burzowe, tylko zwyczajne, można by nawet powiedzieć: rachityczne. Przesłaniały niebo niczym firanki, jakby spoglądający z góry Bóg nie chciał patrzeć na to, co wyrabia się na Jego łez padole.

Nie obyło się niestety bez małego opóźnienia. Kilku mieszkańców Trzebnickiej, zachęconych faktem, że ulica została oczyszczona, jeszcze za dnia spróbowało ucieczki. Biedacy dość szybko odkryli, że nie mają wielkich szans na ratunek. Most wciąż był zablokowany, tak samo jak boczne uliczki nad Odrą, tam gdzie Bugielówna rozciągnęła wcześniej szeregi nieumarłych, wabiąc ich za sobą.

Na szczęście dla Sprychy – który nawiasem mówiąc, skłął się w duchu za to, że przeoczył to znaczne zagrożenie dla swojego planu – desperaci nie myśleli nawet o ucieczce w kierunku

Kłęzkowskiej – skutecznie ich do tego zniechęcał widok hordy kłębiącej się pod wiaduktem, tak licznej, że ostatnie zwarte szeregi nieumarłych znajdowały się niespełna piętnaście metrów od wylotu ulicy prowadzącej do więzienia. Większość wróciła więc szybko do własnych mieszkań, zamienionych, przynajmniej w ich mniemaniu, w niezdobyte fortece, jednakże paru okazało się zbyt ślamazarnych czy też zbyt objuczonych dobytkiem, w efekcie czego przyciągnęli za sobą spore grupki żywych trupów. Tyle dobrego, że zaledwie jedna z nich mogła, choć nie musiała, zagrozić gangowi. Jako że Sprycha był człowiekiem praktycznym i ostrożnym, wolał nie ryzykować, że wracając z więzienia, jego ludzie zostaną odcięci od gazowni. Poranne wydarzenia wystarczająco napsuły mu krwi.

Wyczuwając wkurzenie szefa, Cangaceiro zaproponował, że weźmie paru chłopaków i wróci na Słowiańską po wabiki, ale Fabian po chwili zastanowienia uznał, że nie ma takiej potrzeby. Nie tyle był przesądny, ile nie chciał tracić czasu. Aby udroźnić przejście, wystarczyło przecież wywabić tę garstkę żywych trupów w głąb ulicy Trzebnickiej. A tego mogła dokonać bez problemu jedna osoba.

– Chcesz zostać jednym z nas? – zapytał zniecka Saturnusa, którego kazał przetrzymać w zajezdni do chwili wyruszenia na akcję, a następnie (ignorując nieliczne i raczej ciche protesty) włączył do swego oddziału. – Być nie szemraną kapuchą, tylko git-człowiekiem, pełnoprawnym członkiem Gangu Sprychy?

Tomasz przytaknął, choć nie od razu, przełknął przy tym głośno ślinę, ponieważ doskonale wiedział, jakiego dowodu wierności zażąda od niego szef.

– Ch... chcę – wydukał przez zaciśnięte gardło, słuchając pogardliwych pomruków otaczających go zbirów. – Jasne, że chcę.

– W takim razie idź i zwab te ścierwa tam! – Sprycha wskazał fragment ogrodzenia na prawo od bramy, przed długim budynkiem z cegły, tam gdzie znajdowała się druga furтка. – Bez obaw – dodał, klepiąc wystraszonego Tomasza po plecach. – My będziemy czekać po tej stronie, wystarczy, że ich poprowadzisz

na nas.

Saternus skinął głową. Nie miał wyjścia, musiał to zrobić, choć był mocno spietrany. Wyszedł na ulicę bardzo wolnym krokiem, zerkając bez przerwy w lewo, pod wiadukt, gdzie w mroku i kompletnej ciszy tłoczyła się ponad dwutysięczna horda nieumarłych. Ataku ze strony tych akurat żywych trupów nie musiał się obawiać, ponieważ jego dawni sąsiedzi, Pudło i Klamka, odciągnęli je wystarczająco daleko, by mógł przedostać się niezauważenie pod kamienice stojące po drugiej stronie Trzebnickiej.

Sprycha zabrał go na akcję z paru powodów. Po pierwsze tego dnia stracił dwóch ludzi, a powodzenie ataku wymagało unieszkodliwienia jak największej liczby celów już przy pierwszym uderzeniu, po którym gang, jeśli sprawy przyjmą zły obrót – a tego jako człowiek ostrożny wolał nie wykluczać – straci przewagę zaskoczenia, co skutkuje koniecznością wdania się w mniej lub bardziej wyrównaną walkę z pozostałymi uzbrojonymi funkcjonariuszami, kiedy to będzie się liczyć każda lufa i każda kula. Drugim powodem było przeczucie, że kapucha, jako element zbędny, może posłużyć w którymś momencie za połec mięcha, tak jak na przykład teraz. Nawet jeśli go straci, nie uszczupli sprawdzonych, właściwych sił.

W tej akurat chwili Saternusowi nic nie groziło – pod warunkiem, że sam czegoś nie spieprzy. Zombie, których miał odciągnąć, było tylko kilkunastu, stali też w miarę blisko siebie na chodniku, a nawet na jezdni u wylotu Kłęczkowskiej, nieopodal bramy, w której musiał się schronić uciekający przed nimi niedojda – o ile nie było go już pomiędzy nimi. Tomasz nie miał więc wielkiego problemu ze zwabieniem ich w poblize ogrodzenia, za którym stanął Fabian, Kaczmarek i Cangaceiro. Kapuś dość się napatrzył na zachowanie kobiet posyłanych przez Sprychę do tej roboty, by pomimo ogromnego zdenerwowania nie powielić ich najgłupszych błędów. Jedyna jego obawa dotyczyła zakończenia tej eskapady. Nie miał absolutnie żadnej pewności, czy bandyci otworzą w porę furtkę, by go wypuścić.

Na szczęście zrobili to bez zbędnej zwłoki.

– Teraz! – zawołał Fabian, gdy prowadzący odmieńców kapuś znalazł się trzy kroki od ogrodzenia.

Cangaceiro nacisnął klamkę, minimalnie uchylając furtkę, po czym – ledwie uciekający przed nieumarłymi Saternus znalazł się po drugiej stronie – zatrzasnął ją z hukiem. Pozostali zdążyli już podejść do ogrodzenia kilka metrów dalej, ściągając uwagę odmieńców na siebie, a gdy bestie, zmieniwszy nieco kierunek marszu, dotarły do płotu, Fabian dał sygnał i cała czwórka odbiegła z miejsca, w którym zwabieni zombie próbowali sforsować kute, ponemieckie jeszcze kraty.

– Dobra robota! – Fabian poklepał po plecach lekko zdyszanego Saternusa. – Wyjdiesz jeszcze na człowieka, przyjacielu.

Tomasz zauważył ze zdziwieniem, że członkowie gangu są już do niego mniej wrogo nastawieni, wyszczerzył więc zęby, robiąc dobrą minę do złej gry. O mało nie popuścił w gacie, gdy kazali mu wyjść w pojedynkę na ulicę, był bowiem święcie przekonany, że tym sposobem chcą się go pozbyć, po części z konieczności, a niewykluczone, że także dla rozrywki. O dziwo jednak dotrzymali danego słowa i co ciekawe, przestali mu okazywać pogardę. Nie dostrzegał już w ich oczach charakterystycznego drapieżnego błysku, świadczącego o tym, że zabiliby go z zimną krwią na jedno skinienie Sprychy bądź dla własnego kaprysu.

Mimo to drgnął, czując, jak ktoś kładzie mu dłoń na ramieniu.

– Masz. – Szef podał mu nóż. Nie taki zwykły, kuchenny, tylko porządną myśliwską finkę. – Przyda ci się tam, gdzie idziemy.

– Ale ja...

– Bez obaw. Siata za chwilę nauczy cię nim obracać. To nie jest takie trudne, jak się wydaje.

Saternus znów przełknął gęstą ślinę, której napływ nieomal zatkał mu ściśniętą krtań. Cokolwiek zamierzali zrobić – rzecz jasna, nie zdradzili mu szczegółów swego planu, on jednak miał dość rozumu, by się domyślić, że będą zabijać – tu i teraz kończyła się jego rola przewodnika. Tym razem będzie musiał splamić sobie ręce. Krwią. Nie odmieńców, lecz ludzi. Westchnął ciężko, ale tylko w duchu, żeby tego nie spostrzegli. *To kolejna granica, którą muszę przekroczyć, by przetrwać*, pomyślał ze

smutkiem i goryczą. *Nie ostatnia zapewne, ale mówi się trudno. Nie skończę jak oni...* Znów zerknął ukradkiem w stronę wiaduktu.

Zanim gang zdążył dotrzeć na środek skrzyżowania, gdzieś po prawej rozległo się głośne skrzypnięcie. Z najbliższej, łukowato sklepionej bramy, tej samej, pod którą wcześniej zebrali się nieumarli, wybiegł nieogolony brunet po trzydziestce, okularnik objuczony dwiema okazałymi walizkami.

– Jak się cieszę, że was widzę – wysapał, rzucając na bruk ciężkie bagaże. – Mało brakowało, a te potwory by mnie zabiły! O... pan Tomek! – wyszczerzył się do Saternusa, jakby byli znajomymi.

– A witam pana Krzysztofa szanownego – odparł niepewnie kapuś aspirujący do miana gangstera.

Zaskoczony Fabian zmierzył ich obu ostrym spojrzeniem.

– Kto to? – zapytał, gdy nieznajomy ocierał chusteczką spocone czoło.

– Jak to: kto? Szefie, to przecież sędzia Kapuściński! – odparł bez wahania Tomasz.

Zrozumiał swój błąd w chwili, gdy wypowiadał przedostatnie słowo. Cangaceiro zareagował odruchowo, jak to on. Bezwzględnie i błyskawicznie. Młotek, z którym się nie rozstawał, opadł na głowę nie spodziewającego się ataku mężczyzny z taką siłą, że utkwiał w czaszce zagłębiony prawie po trzonek. Okularnik padł jak rażony gromem, nadal się szczerząc.

– Piłkarski sędzia! – Wyjaśnienie nieporozumienia, choć niemal natychmiastowe, nadeszło zbyt późno.

Fabian pokręcił tylko głową. Zabity właśnie się poruszył, a nie były to z pewnością zwykłe drgawki pośmiertne.

– Idziemy! – rzucił, popychając stojących najbliżej.

– A co z nim? – zapytał z obawą w głosie Sójka, wskazując zwłoki Kapuścińskiego.

– Nic. Niech tu zostanie. Nie zablokuje nam w pojedynkę drogi powrotnej.

Ruszyli, podejmując marsz ku więzieniu, ale trzymający się w tyle kolumny Cangaceiro po paru krokach zawrócił i podbiegł

do gramolącego się wciąż z chodnika odmieńca. Przeskoczył nad nim, zaszedł go od tyłu i zanim tamten zdążył się obrócić, chwycił za trzonek młotka.

– Zostaw go, durniu! – syknął rozwścieczony Sprycha. – Jest cały zakrwawiony! Chcesz skończyć jak on? W zajezdni znajdziesz dwadzieścia takich samych albo i lepszych. Wszędzie leży pełno tego gówna!

– Ale to mój ulubiony – protestował Magdziarek.

– Wracaj tu, mówię!

Młotkowy odsunął się niechętnie od żywego trupa. Splunął na niego z odrazą, po czym truchtem dołączył z powrotem do oddziału.

Już bez dalszych niespodzianek dotarli do ulicy Zegadłowicza. Tam się podzielili. Cangaceiro odebrał z rąk Szczygły cekaem i skrzynkę amunicji z nowusieńką zapasową taśmą, a następnie ruszył za Fabianem w stronę tej samej liny, którą dostali się poprzednio na trzecie piętro, do punktu obserwacyjnego.

Sprycha puścił Magdziarka przodem, jak za pierwszym razem, zabierając od niego broń i dając mu w zamian zwój sznura do prania, na którym młotkowy wciągnie na górę ciężki jak szlag karabin i ważącą drugie tyle amunicję.

Pozostali przycupnęli pod ścianą szczytową kamienicy, w wyrwie, tuż przy chodniku, gdzie mieli czekać na umówiony znak.

Fabian nie zamierzał zostać w mieszkaniu, do którego wleźli przez okno. Wiedział, że powtarzalność gubi ludzi, dlatego kazał Magdziarkowi przejść do lokalu naprzeciwko. Drzwi do niego były uchylone, wewnątrz zastali potworny bałagan, jakby dawni lokatorzy pakowali się w pośpiechu, odrzucając na bok wszystko to, co uważali za przydatne, lecz czego nie mogli ze sobą zabrać. Pośpieszna inspekcja potwierdziła, że mieszkanie zostało opuszczone i nie ma w nim żadnych pułapek. Komoda wytaszczona przez młotkowego z przedpokoju na klatkę schodową skutecznie zablokowała wylot stopni, na wypadek gdyby któryś ze zdechłaków sterczących mniej niż dziesięć metrów od nowej kryjówki zdecydował się podjąć wspinaczkę.

Fabian przyglądał się krzątaniu Cangaceiro ze stoickim spokojem. Do trzeciej było jeszcze sporo czasu, a właśnie na tę godzinę wyznaczył początek akcji. Środek nocy idealnie się nadawał do przypuszczenia ataku. O tej porze ludzie są najbardziej zaspani, trudno więc o jasność umysłu, przez co łatwiej popełnia się błędy. Reakcje ludzi wyrwanych z głębokiego snu bywają nerwowe, zwłaszcza w sytuacjach krytycznych albo... podbramkowych. Zaśmiał się pod nosem na grę słów przypominającą o niedawnym incydencie.

Sędzia – ten wyraz działał na niektórych chłopaków jak płachta na byka. Sprycha nie dziwił się więc spontanicznej reakcji młotkowego ani o nią nie gniewał. Oszczędziła mu bowiem dalszego zachodu, gdyż i tak musiały się pozbyć tego durnia. Ani myślał zostawiać świadków.

Siedząc w kuchni ciemnej jak wewnątrz jego duszy, z lornetką trzymaną kurczowo przy oczach, raz jeszcze skłął się w duchu za to, że na śmierć zapomniał o ocalałych mieszkańcach kamienic stojących przy Trzebnickiej i w pierwszym kwartale Kłęczkowskiej. *Gdyby któryś z tych drani zbiegł do więzienia...* Poczł zimny dreszcz na samą tę myśl. Na szczęście Pigol, któremu zlecił za dnia obserwację terenu z gazowni, choć w zupełnie innym celu, potwierdził w złożonym raporcie, że robactwo, które wyległo na ulice wkrótce po ich odejściu, bardzo szybko i bez wyjątku zawracało w kierunku Trzebnickiej, gdyż widok hordy zgromadzonej w pobliżu bramy kicia musiał być naprawdę przerażający dla każdego, kto sra w gacie na widok choćby jednego nieumarłego. *Bydło nie rozumuje w takich momentach trzeźwo, ono tylko reaguje na najprostsze bodźce. Na moje szczęście,* powtórzył sobie, kończąc niewesołe przemyślenia.

Sprowadził tutaj ludzi z tak dużym wyprzedzeniem, ponieważ chciał nie tylko przyjrzeć się ponownie terenowi, na wypadek gdyby znalazły się na nim pułapki, ale też mieć czas na sprawdzenie, czy w rutynie wartowniczej nie zaszły jakieś zmiany. Za dnia harmonogram patroli mógł być przecież zupełnie inny niż w nocy, dlatego Fabian wołał znaleźć się na

posterunku tuż przed drugą, by na własne oczy zobaczyć co najmniej jeden obchód.

Wcześniej zauważył, że Okrutny nie trzyma strażnika na każdej wieży, ale nie wydało mu się to podejrzane. Mur był tak solidny i wysoki, że chronieni nim funkcjonariusze nie musieli się obawiać prób jego sforsowania przez nieumarłych, a żywych ze zrozumiałych względów się nie bali. Dlatego wystarczało, aby wartę na każdej zmianie trzymało tylko dwóch mundurowych. Nie zajmowali oni określonych stanowisk, ale krążyli po pasie patrolowym, wchodząc po drodze na każdą wieżę i lustrując z niej teren na zewnątrz. Na rogu ulicy Struga i Kłęczkowskiej pojawiali się więc co trzydzieści minut, o pełnej godzinie i w jej połowie.

Czy tak będzie i teraz, Sprycha miał się zaraz przekonać.

Cangaceiro ustawił cekaem na stole, montując go na trójnogu, ale Fabian zabronił przysunąć improwizowane stanowisko ogniowe bliżej okna.

– Nie wychylamy się na razie – powiedział.

– Dlaczego? – zdziwił się Magdziarek.

– Na wszelki wypadek – odparł Sprycha, znów przykładając lornetkę do oczu. – Niby wszystko jest w porządku, ale coś mi się tu nie podoba.

– Cisza, spokój. – Młotkowy wyjrzał mu zza ramienia. – Śpią skurwe syny tak spokojnie jak my za czasów, gdy kiwaliśmy pod celą.

– Pozory mylą, bracie – odparł sentencjonalnie Fabian. – A ja nie mówię nigdy hop, dopóki nie przeskoczę...

W ciemnościach, pod murem na wysokości garaży, dostrzegł ogienek jarzącego się papierosa. Zerknął na zegarek. Za siedem druga. Wartownik zmierzający do wieży powinien być dokładnie tam, gdzie go zauważył. Chwilę później ten sam strażnik wychylił się z wieży. W tak gęstym mroku można by go przeoczyć, gdyby nie tłęcy się wciąż ćmik, który moment później, po dopaleniu, wylądował na bruku, eksplodując chmurą iskierek.

Nagle zrobiło się znacząco jaśniej. Sprycha spojrział na niebo, nad głową znów miał gwiazdy i księżyc. Zaklął pod nosem,

ponieważ wolałby kompletne zaciemnienie, jednakże rzut oka na północ uświadomił mu, że nie wszystko stracone – chmury zaczynały się ponownie zbierać, jeśli więc wiatr nie zmieni kierunku...

Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, pomyślał.

Wykorzystując chwilowe przejaśnienie, przeniósł wzrok na plac i stojące za nim zabudowania. Okna wszystkich cel pozostawały ciemne, jakby ktoś wypełnił smołą znajdujące się za nimi cele. W żadnym z pomieszczeń nie paliła się lampa naftowa ani choćby świeczka.

Jeśli nawet wylęknione bydło zasypiało przy świetle, teraz już go nie potrzebowało. Stearyna zdążyła się wytopić, nafta w na pewno nie pełnych zbiorniczkach wypalić. Na otwartej przestrzeni Sprycha nie wypatrzył nikogo prócz wartownika, który zniknął mu nagle z oczu, przesłonięty przez mur. Rozbebeszony gazik stał tam, gdzie poprzednio, tyle że zamontowano na nim prowizoryczne, aczkolwiek na oko naprawdę solidne osłony na masce, kołach i drzwiach, przez co wyglądał pokracznie.

– Szykują się do jakiegoś wypadu – mruknął Cangaceiro, który także to zauważył.

– Niewykluczone, że zamierzają złożyć nam wizytę – odparł Fabian, zdradzając jedną z dręczących go wątpliwości.

– Znaczy gdzie, tutaj? – zaniepokoił się młotkowy.

– Nie, na Słowiańskiej. Będą chcieli sprawdzić, czy wyzdychaliśmy w więźniarkach... – Celowo pominął wcale nie taki drobny szczegół, który martwił go najbardziej.

W zakamarkach jego umysłu nadal błędziła myśl, że Okrutny wie już o tym, iż uwolnili się z konwoju. Że szykuje akcję mającą na celu naprawienie kolosalnego błędu, który popełnił, pozbywając się ich zza muru. Szef gangu wolał zachować te przemyślenia dla siebie. Choć nikt o tym nie wiedział, był bardzo przesądnym człowiekiem. *Nie kracz, bo wykraczesz*, to było jedno z jego licznych mott.

Po kolejnych trzydziestu minutach zyskał pewność, że załoga więzienia nie zmieniła niczego w harmonogramie wart. Drugi ze

strażników robiących obchód terenu pojawił się w narożnej wieży równo o wpół do trzeciej. Za mniej więcej siedem minut dotrze do zbiegu ulic Struga i Kraszewskiego, a potem powędruje dalej w kierunku Reymonta, mijając magazyny, te same, w których klawisze gromadzili za dnia to, co dla nich teraz najcenniejsze.

Janiczek otrzyma sygnał, jak tylko przejdzie kolejny funkcjonariusz z tej pary. Za pięć trzecia przyczai się razem z Kaczmarkiem pod garażami. Dziesięć minut później przedostanie się za mur i ruszy w bezpiecznej odległości za opuszczającym właśnie wieżę wartownikiem, by minąć niezauważenie plac i dokładnie o trzeciej trzydzieści dwie podpalić zabudowania. Musi to zrobić w chwili, gdy obaj strażnicy znajdą się na tyle daleko, że ich natychmiastowa reakcja nie będzie możliwa.

A gdy ogień nabierze mocy, nic już nie zdoła nas powstrzymać. – Fabian zakończył snuć w myślach plany, nie kryjąc satysfakcji.

Tak bardzo pragnął spojrzeć w oczy Okrutnego i ujrzeć w nich strach, zwątpienie, gorycz przegranej... Nagle uśmiechnął się szerzej. *Kapitan musiał ściągnąć tutaj swoją rodzinę, o nią zadbał zapewne w pierwszej kolejności...*

Może ta zabawa będzie przedniejsza, niż wcześniej przypuszczał.

*wtorek, 13 sierpnia 1963, godzina 03:31
Zakład Karny Nr 1 przy ulicy Kłęczkowskiej 35*

Wewnątrz cel Babińca, jak i wszędzie indziej, gdzie zgromadzono dokładnie poinstruowanych ocalonych oraz przygotowanych do akcji ludzi Biedrzyckiego, panowało ogromne napięcie porównywalne do tego, które Okrutny pamiętał z frontowych okopów, kiedy podoficerowie krążyli jak złe duchy po transzejach, sprawdzając, czy wszyscy są gotowi do mającego się rozpocząć lada moment szturm. To porównanie nie było wcale tak odległe od rzeczywistości, jak by się mogło wydawać. Dla wielu osób przebywających obecnie na terenie więzienia nadchodzące wydarzenie niewiele będą się różnić od regularnej bitwy. Dlatego kapitan zdecydował – po naprawdę długiej dyskusji z chorążym – że wstępna selekcja cywili jest niezbędna.

Ponad połowę ludzi ewakuowanych z okolicznych kamienic, głównie starców i dzieci, umieścił w oczyszczonym skrzydle Iksa, by znajdowali się jak najdalej od miejsca ewentualnego starcia z byłymi więźniami. Tym, którzy przetrwali najtrudniejsze razem z nim, tutaj, za murem, dał wybór. Niemal trzydzieści osób spośród stu pięćdziesięciu, które przeżyły sobotni horror, dołączyło do nie biorących udziału w akcji. Były to głównie kobiety i malcy, którzy mogli bardziej przeszkadzać, niż pomóc, zwłaszcza gdy... nie, nie gdy... jeśli... Jeśli sprawy wymkną się spod kontroli.

Czekali już tylko na pojawienie się ognia. Snajperzy zameldowali ponad pół godziny temu, że zauważyli przekradającego się przez dachy garaży mężczyznę z plecakiem, który opuścił się na teren więzienia po linie wciągniętej natychmiast przez jego współnika.

Kolejne minuty ciągnęły się niemiłosiernie. W biurze Okrutnego

atmosfera zrobiła się tak napięta, że wszyscy obecni zaczęli odnosić wrażenie, iż każdy gwałtowniejszy ruch bądź zbyt natarczywie rzucone słowo mogą spowodować eksplozję.

– Może ten ich podpalacz spartolił sprawę? – odezwał się w końcu dowodzący żołnierzami sierżant Schneider, były czołgista, a potem operator przerobionego T-54 w baonie inżynieryjnym.

– Janiczek to artysta płomienia, jedyny w swoim rodzaju – odparł natychmiast Okrutny, i to bez cienia kpiny w głosie. – Jeden z tych, którzy podpaliliby nawet wodę, gdyby dać im czas.

– Grzegorz dobrze gada. Tutaj są tony wiórów do sfajczenia, a ten gość pieprzy się z nimi już od kwadransa – wtrącił z przekąsem drugi z żołnierzy, szeregowy Szydłowski, rodowity wrocławianin, urodzony kpiarz, który w ostatnich dniach chodził wyjątkowo przygaszony, ponieważ nie miał bladego pojęcia, co dzieje się z jego rodziną mieszkającą, jak się okazało, niedaleko więzienia.

– Jak go znam, robi wszystko, abyśmy nie zdołali opanować pożaru, który zamierza wzniecić.

Ledwie Okrutny skończył wypowiadać to zdanie, z zewnątrz dobiegł przenikliwy gwizd. Któryś z wartowników zauważył płomienie i właśnie podnosił alarm.

Żołnierze zerwali się natychmiast, ale kapitan usadził ich gestem.

– Musimy odczekać jeszcze moment. Chcecie im pokazać, że tylko na to czekaliśmy?

Marynarze, którym przydzielono role nadzorców poszczególnych grup cywili, zostali poinstruowani, kogo i w jakiej kolejności wypuszczać na plac, aby reakcje ocalonych wyglądały jak najbardziej naturalnie. Najpierw w celach zapalano latarki, potem dopiero zapłonęły lampy naftowe. W ciągu kilku minut połowa okien bloku zaczęła się jarzyć ich blaskiem. Nawet w tych pomieszczeniach, które stały puste. Ludzie zaczęli wyglądać przez kraty, krzyczeć, wybiegać na zewnątrz. Jeśli Sprycha to obserwował, musiał być usatysfakcjonowany. Na razie żaden ze snajperów nie wypatrzył

go jednak w wyznaczonych lokalach, co kapitanowi wydało się bardzo niepokojące. Nie miał jednak innego wyjścia, jak trzymać się planu.

– Teraz! – Rzuciwszy okiem na zegarek, wydał oczekiwany rozkaz.

Wybiegł za żołnierzami podobnie jak oni rozchełstany, w samych tylko spodniach, z bluzą i pasem pod pachą, dopinając niezdarnie koszulę. Musieli wyglądać na ludzi, których obudził alarm. Zanim dotarł na plac przed magazynem, dwukondygnacyjny budynek w narożniku więzienia płonął już jak pochodnia. Janiczek odwalił kawał dobrej roboty, z takim pożarem nie poradziłyby sobie i zastępy regularnej straży pożarnej, a co dopiero ludzie wyposażeni tylko w bosaki i wiadra. *Gnoj ma dryg do tej... roboty?* Okrutny nie wiedział, jak określić pasję więźnia, lecz szybko przestał się tym przejmować, gdyż czekała go teraz najważniejsza część zadania.

– Ty, ty i ty! – wskazał trzy wytypowane wcześniej osoby, które zajęły wyznaczone miejsca. – Pędem do składu po wiadra i narzędzia! Ty i ty! – Dwaj następni cywile stanęli przed nim. – Zorganizujcie ludzi w trzy łańcuchy, jeden do tej studni, drugi do tamtej, trzeci pośrodku, rozwidlony na końcu, do zwracania wiader! – Szedł przez plac, wydając kolejne rozkazy, potrząsając zapłakanymi kobietami, popychając kręcących się niezdecydowanie mężczyzn. W ciągu paru chwil zorganizował ich w sprawną maszynę do walki z pożarem, ale nie tych rozmiarów. Czarny dym walił z większości okien podpalonego magazynu, nawet tych na wyższym piętrze, z paru buchały już płomienie, liżące ceglana ścianę i osmalające ją w momencie.

Ten budynek był już stracony, dlatego kapitan nie zamierzał nawet udawać, że walczy o jego ocalenie. Zamiast tego zamierzał skoncentrować wysiłki ekip gaśniczych na sąsiadujących z magazynem warsztatach. To powinno wyglądać o wiele naturalniej, poza tym pod ścianą właśnie tego budynku znajdowało się najlepsze i najbliższe schronienie przed ewentualnym ostrzałem z okien pobliskich kamienic.

– Nadal nic? – zapytał po chwili, wskazując na maskę gazika.

Ukryty w wozie radiotelegrafista pokręcił głową.

– Kompletna cisza.

– Każ snajperom skupić uwagę na sąsiednich mieszkaniach i stryszku – polecił Okrutny, zanim wrócił do przekierowywania na nowe pozycje ustawiających się wciąż ludzi.

– Mówicie o Stawskim i Bańkowskim? – upewnił się radiotelegrafista, ponieważ nie był pewien, czy dowódca nie chce zaangażować w poszukiwania całej trójki strzelców wyborowych.

– Tak. Kamiński ma ważniejsze zadanie.

– Daniel, Rafał, mam dla was nowe rozkazy. Obserwujcie okna w sąsiednich mieszkaniach kamienicy numer dwa i poddasze, odbiór.

Obaj snajperzy bezzwłocznie potwierdzili przyjęcie polecenia.

Na plac napływali bez przerwy kolejni ocaleni, zatem nadszedł moment na wykonanie najważniejszego ruchu, tego, na który wszyscy czekali. Wojciech rozkazał przywołanym do siebie przebierańcom utworzyć kordon, za który przepuszczono tylko osoby mające brać bezpośredni udział w akcji ratunkowej. W trzech łańcuchach stanęło prawie pięćdziesiąt osób.

Mężczyźni pracujący przy studniach zdążyli napełnić pierwsze wiadra, które podawano sobie właśnie z rąk do rąk, aby stojący na czele mogli chlusnąć ich zawartością przez wybite uprzednio szyby i jak najmocniej zalać pomieszczenia przylegające do płonącego magazynu. Ustawieni w trzeciej, środkowej, rozwidlonej na końcu kolejce odbierali puste naczynia i przekazywali je na powrót pod pracujące bez ustanku studnie.

Kapitan musiał przyznać, że nawet on, choć wiedział, iż patrzy na inscenizację, nie dostrzega niczego, co mogłoby wzbudzić czyjeś podejrzenia. Robił tylko to, co należało robić w takiej sytuacji. A że powinien być rozespany i spanikowany, popełniał też sporo błędów, które musiał korygować, po krótszej bądź dłuższej chwili, kolejnymi rozkazami.

– Mamy ruch przy garażach – zameldował w końcu szeregowy Kamiński, snajper, którego ulokowano w drugim bloku Babińca, aby zajął się próbującymi ucieczki po wymknięciu się z pułapki.

– Ilu ich widzi?

– Adam, kapitan pyta, ilu ich widzisz – powtórzył rozpląszczony na podłodze wozu za przednimi siedzeniami Radtke.

– Przechodzą pojedynczo – odpowiedział nieco nie na temat Kamiński. – Na razie widziałem sześciu. Wszyscy w cywilnych ciuchach, rozmaicie ubrani, podkoszulki siatkowe, rozpięte koszule, są nie do odróżnienia od naszych.

– Sprycha głupi nie jest – mruknął Okrutny.

Bandyci musieli wtopić się w tłum, nie mogli więc przyleźć na plac w swoich dawnych wdziankach. Gdyby nie ostrzeżenie tej dziewczyny, załatwiliby niczego nie spodziewających się obrońców więzienia na cacy. Plan mieli dobry, świetny nawet, ale Okrutny nie spodziewał się niczego innego po kanalii pokroju Sprychy. Na szczęście znalazł się ktoś, kto miał tyle odwagi, by przejść nocą kawał opanowanego przez żywe trupy miasta i wyjawić tę tajemnicę. Kapitan spojrział mimowolnie ku Słowiańskiej, zastanawiając się, czy Paulina zdążyła ocalić branki. Krótco po tym, jak wyruszyła w drogę powrotną, usłyszała odgłosy czterech strzałów. Trzy pierwsze padły zbyt szybko po sobie, by mogły być mierzone, dlatego gdy chwilę później padł czwarty, Okrutny poczuł dziwny ucisk w dołku.

Oby nie zużyła tej kuli do odebrania życia sobie...

– Dziewięciu przeszło przez dachy, we w miarę równych odstępach czasu, więc to chyba już wszyscy – zameldował Kamiński.

– Liczy ich z Janiczkiem czy bez? – rzucił kapitan, nie przestając gestykulować, jakby skupiał całą uwagę na pracy ekip gaśniczych.

– Bez – odparł snajper po przekazaniu mu pytania przez Radtkego.

– To znaczy, że na zewnątrz zostało ich jeszcze trzech. Dwóch do obsługi cekaemu i Sprycha. Mogą być w różnych miejscach. Przekażcie tę informację pozostałym strzelcom.

– Tajest!

* * *

Spanikowany tłum stojący za kordonem utworzonym z mundurowych, którzy stworzyli szpaler blokujący wolną przestrzeń, od ściany spacerniaka aż do wewnętrznego muru liczył teraz ponad sto dwadzieścia osób, ponieważ na plac wylegli już wszyscy, którzy mieli się na nim znaleźć. Sprychy nadal jednak nikt nie wykrył, podobnie jak gniazda cekaemu.

– Muszą być gdzieś w tej drugiej kamienicy od budowanej plomby – oceniał Okrutny. – Tylko stamtąd mogą mieć czyste pole ostrzału.

– Kazać snajperom, żeby skupili się na tym budynku? – zapytał Radtke.

– Tak – odparł Okrutny po dłuższej chwili zastanowienia. – Niech oleją pierwszy cel i wypatrują każdego ruchu. Nie tylko w dwójce, ale i w oknach innych mieszkań.

Czas im się kończył. Wszyscy bandyci, którzy przeniknęli na teren więzienia, wmieszali się już w tłum. Nie mógł ich zobaczyć z miejsca, w którym stał, ale słyszał meldunki ludzi obsługujących radiostację ukrytą w Babińcu. Ich zadaniem była obserwacja tyłów placu, a dzięki szalejącym płomieniom, które objęły już nawet kryty papą dach, doskonale widzieli jedyną bramę, z której musieli korzystać bandyci. Oni także potwierdzili pojawienie się dziesięciu celów. Najwyraźniej Janiczek po wykonaniu roboty wrócił pasem patrolowym i dołączył do reszty.

* * *

Łukasz Kowalski należał do grona sześciu marynarzy, którzy zgłosili się do wykonania tej misji. Był postawny, wysokiego czoła nie ukrywał pod żagielkiem, jak wielu innych mężczyzn, ściał po prostu włosy krótko, na wojskową modłę, ale czarną jak węgiel bródkę zawsze miał wypielęgowaną. Pływanie na barce nie zaliczało się do łatwych zawodów, ale miało też kilka plusów. Jednym z nich było to, że człowiek w czasie rejsu, oderwany od rodziny i domu, nie narzekał na brak czasu dla siebie.

Dlaczego Łukasz podniósł rękę, gdy instruktor, zomowiec, który ich szkolił, zarządził w środku nocy pobudkę i zebrał wszystkich

na dziedzińcu wytwórni? Może dlatego, że nie cierpiał beczynności, a żołnierze kazali im siedzieć na dupie i przypominać sobie to, co wielu marynarzy wiedziało z przebytej wcale nie tak dawno temu służby zasadniczej i późniejszych wezwań na poligony.

Tak naprawdę nie był w stanie powiedzieć, co go podkusiło, ale nie żałował podjętej decyzji. Wokół niego stali ludzie, którzy mogliby postradać życie, i to nie przez zarazę, ale szumowiny gorsze nawet od odmieńców. Podczas odprawy przeprowadzonej kilka godzin wcześniej przez Okrutnego usłyszał o tak odrażających zbrodniach, że gdyby mu pozwolono, połamałby karki wszystkim tym zwyrodnialcom po kolei. Zapytał więc wprost, dlaczego muszą się z nimi patyczkować. Odpowiedź, którą usłyszał, była prosta, zwięzła, ale też bardzo satysfakcjonująca.

Ubolewał więc tylko, że nie będzie go tam, gdzie te śmieci dokonają żywota.

Za partnera miał Artura Bołotowa, kolegę z załogi, potężniej zbudowanego od siebie legniczanina, ojca i męża, który zagotował się, gdy usłyszał o egzekucjach przeprowadzanych na mieszkańcach Słowiańskiej. Nie dziwota, skoro jego rodzina przebywała gdzieś tam, niby tak blisko, a zarazem poza jego zasięgiem, być może zdana na łaskę podobnej bandy.

Ich celem miał być ten zbiegły więzień, który podejdzie do stojącego pośrodku kordonu przebierańców kaprała Matusiaka. Nie wiedzieli, na kogo trafią, dlatego na wszelki wypadek pokazano im zawczasu zdjęcia sygnalityczne wszystkich drani, choć ci mogli teraz wyglądać zupełnie inaczej niż na ujęciach pochodzących nierzadko sprzed wielu lat. Marynarze stali spokojnie w pewnym oddaleniu od siebie, brudni i mocno zgarbieni, aby jak najmniej odróżniać się od otaczających ich autentycznie przerażonych ludzi. Czekali w głębi tłumu, choć niezbyt daleko od czoła kordonu, na które ich cel musiał się przepchnąć.

Na razie nikogo nie zauważyli, ale że kapitan zabronił im się rozglądać, czekali cierpliwie, aż napastnik minie ich albo stanie

obok. W końcu Łukasz zauważył większe poruszenie. Między płaczkami przeciskał się jakiś mikrus w szarej, o wiele za dużej na niego koszuli. Włosy miał długie, z mniejszej odległości dało się zobaczyć, że podwinął je albo nawet spiął, by ukryć pod wytartym kaszkietem. Kowalski nie był pewien, czy to jeden z napastników, albowiem nie widział jego twarzy, dopóki ten nie zajął miejsca za plecami kaprała. W tym momencie Kowalski przestał mieć wątpliwości, domyślił się nawet, że ma przed sobą niejakiego Ulfiga. Starannie zapięte rękawy grubej koszuli kryły tatuaże, które zdradziłyby bandziora w okamgnieniu, ponieważ – wedle słów kapitana – pofolgował sobie z dziarami jak nikt inny w całym kiciu. Artur także go dostrzegł i też już ruszył z miejsca. Ludzie dyskretnie rozstępowali się przed nimi, robiąc im przejście, ponieważ wiedzieli, z kim mają do czynienia, a chodziło o to, by nikt, ani obserwatorzy za murem, ani tym bardziej namierzeni bandyci, do samego końca nie zorientowali się, że pułapka właśnie się zatrząskuje.

Łukasz poklepał po ramieniu kobietę, która miała być ich łączniczką. Ta, zapłakana i zasmarkana, jakby naprawdę przeżywała zniszczenie zapasów żywności, natychmiast się odwróciła i ruszyła na tyły tłumu. Jej zadaniem było przedostanie się aż za mur spacerniaka, tam gdzie będzie ją mógł zobaczyć radiotelegrafista ukryty w jednej z cel. Miała stać tam i płakać albo pocieszać inne kobiety czy też starsze dzieci, którym wyznaczono podobne role. Gdy na wolnej przestrzeni zbierze się dziesięć osób, Okrutny da sygnał do ataku. Jeśli do chwili wybuchu granatu nie uda się namierzyć wszystkich zbirów, marynarze, żołnierze i cywile mają obezwładnić tylu napastników, ilu zdołają, nawet w najbardziej brutalny sposób, lecz tak, by ich nie zabić. Akcję zakończy odciążenie ofiar pod pobliski mur, gdzie wszyscy będą osłonięci przed ostrzałem z cekaemu.

Drużyny gaśnicze miały w tym samym czasie schować się przy budynku warsztatów, dlatego walczyły wciąż zajadłe o jak najlepsze zabezpieczenie przyszłej kryjówki.

* * *

- Ilu mamy namierzonych? – zapytał jakiś czas później Okrutny.
- Dziewięciu – odparł Radtke. – Niezmiennie.
- Gdzie jest ten ostatni gnój? – wymamrotał zdziwiony kapitan.

Czas zaczynał mu się kończyć. Od chwili, gdy z tłumu wyszła dziewczęta kobieta, minęły trzy minuty. *Sprycha lada moment może rzucić granat, dając swoim sygnał do ataku.*

– Ten ostatni odgrywa chyba inną rolę – uznał Okrutny, podejmując decyzję. – Kryje się w tłumie, pewnie ma za zadanie osłaniać tamtych w razie komplikacji.

– Granatami? – jęknął radiotelegrafista.

– Oby nie. Każ Kamińskiemu, żeby przeniósł się na tę stronę bloku. Niech skupi się na obserwacji tłumu. Ostatni zbir nie wie o naszym sygnale, powinien być więc na tyle zaskoczony, że zareaguje z opóźnieniem, a to powinno wystarczyć do jego wyłowienia. Niech Adam nawala do każdego, kto będzie jego zdaniem sprawiał wrażenie zbaraniałego. Ale najlepiej w nogi. Nie chcę nawet myśleć, co się tam porobi, jeśli na tym placu pojawią się nieumarli. – Okrutny zaczerpnął tchu, po czym udał, że się potyka, i oparł dłoń o kierownicę.

Ostry dźwięk klaksonu przebił się przez ryk płomieni. Ludzie, czekający w napięciu na ten sygnał, zerwali się błyskawicznie do biegu. Plac opustoszał, jakby przeszedł przezeń huragan. Zostały na nim tylko porzucone wiadra i wyglądający na kompletnie zaskoczonego facet, który na pewno nie był jednym z bandziorów. Odgłos wystrzału ze snajperki zabrzmiał jak kaszlnięcie, ale kapitan nie miał czasu sprawdzać, jak poszło Kamińskiemu. Zeskakiwał właśnie z wozu, dając szczupaka ku oddalonemu o dwa metry murowi, który powinien osłonić go przed wzrokiem obserwatorów i spodziewanym ostrzałem z cekaemu.

Przypadł do wydeptanej, suchej jak pieprz trawy, jednakże dookoła znów panował względny spokój, jeśli nie liczyć ryku szalejących nieprzerwanie płomieni.

Co poszło nie tak?

wtorek, 13 sierpnia 1963, godzina 03:35

Nadodrze

Cangaceiro siedział znudzony na stole kuchennym, obok ustawionego na trójnogu cekaemu, czekając na znak, wszakże Sprycha wciąż milczał. Tkwił w głębi pomieszczenia pod pewnym kątem do jedyne go okna, jakby obawiał się, że ktoś może go zobaczyć.

– Coś jest nie tak? – zapytał w końcu młotkowy.

– Jeszcze nie wiem – odparł z pewnym opóźnieniem Fabian, nie odrywając oczu od lornetki.

Płomienie imponującego pożaru wznieconego przez Janiczka oświetlały cały plac, rzucając migotliwe cienie aż na ściany obu bloków Babińca. Okrutny dyrygował z gazika ekipami gaśniczymi, które – co wydawało się logiczne – nie próbowały nawet walczyć z potężnym żywiołem, zamiast tego po prostu chroniły przed ogniem sąsiedni budynek, mieszczący, z tego, co Sprycha pamiętał, więzienne warsztaty. Reszta bydła, co również przewidział, gapiła się bezmyślnie, jak ich przyszłość idzie z dymem.

Wszystko szło jak po maśle, ale Fabian już jakiś kwadrans wcześniej poczuł znajome mrowienie w karku. To samo, które ostrzegało go przed wejściem do domu kolejnej – jak się okazało, podstawionej przez milicję – ofiary. Wtedy je zlekceważył, ponieważ nie zauważył odstępstwa od normy, aczkolwiek trzeba też przyznać, że szuje, które się na niego zasadziły, były szczone i umiały się maskować. Dopiero po czasie, gdy dzięki aktom sądowym zapoznał się ze wszystkimi szczegółami przeprowadzonej operacji, dotarło do niego, że gdyby był tamtego dnia bardziej ostrożny i spostrzegawczy, wywinąłby się z kotła bez większego problemu.

Czego powinien wypatrywać? Elementów nie pasujących do

obrazka, drobiazgów przeczących pozornemu chaosowi. Wtedy, przed ujęciem, gdyby dobrze się rozejrzył, dostrzegłby bez trudu, że wszystkie możliwe drogi ucieczki są obstawione przez osoby niby przypadkowe, ale nie do końca pasujące do zajmowanych przez siebie miejsc. Tutaj także powinien szukać podobnych niezgodności w wyglądzie albo zachowaniu.

Skierował lornetkę na tłum. Wypatrzył w nim Jakuzę, który poszedł jako jeden z pierwszych. Darek wchodził właśnie między ocalonych. Robił to tak, jak powinien, powoli, przystając, klucząc. Zachowywał się jak typowy robał złaکنونy widoku tragedii. Właśnie dotarł na pozycję, stanął w pierwszym szeregu tłuszczy, tuż za plecami jednego z funkcjonariuszy. Ale co to? Sprycha miał na tyle szerokie pole widzenia, że zauważył od razu, iż dwaj mężczyźni, którzy stali w głębi tłumu, choć nie obok siebie, także przesuwiają się niemal równocześnie do przodu, jakby zareagowali na jakiś znak. Poruszali się ostrożnie, lecz zdecydowanie. Jeden z nich musnął właśnie ramię mijanej kobiety, jakby chciał ją odsunąć z drogi, ona zaś odwróciła się na pięcie i zaczęła przepychać na tyły. Wyszła z tłumu i stanęła ze zwieszoną głową pod murkiem ogradzającym spacerniaki, na których teraz trzymano żywe trupy. Dziesiątki żywych trupów, z których część miała na sobie szare uniformy straży więziennej.

Baba ryczy, pociąga nosem, przysiada. Po chwili dołącza do niej następna płaczka. *Nie, to chyba ślepy zaułek*, pomyślał Sprycha, kierując lornetkę ponownie na tłum.

Odszukał wzrokiem Nerynka, który szedł za Kaczmarkiem. On także zachowywał się jak zawodowiec. Uprzejmie przeproszał, gdy musiał się przepchnąć przez większą gęstwinę, tu zagadnął kogoś, tam postać chwilę. Gdy dotarł w końcu do pierwszego rzędu, Fabian poczuł ciarki. Znów zobaczył, jak dwaj mężczyźni, pozornie niezwiązani ze sobą, ruszają w tym samym momencie, by stanąć tuż za jego człowiekiem. Żaden z nich nie dał nikomu znaku, ale młoda kobieta, którą wyprzedzili, odwróciła się bez słowa i... polazła do czterech innych płaczek pocieszających się za spacerniakiem.

Była piąta, tak samo jak Siata!

– A to skurwe syny! – zaklął pod nosem Fabian.

Szukał zachowań nie pasujących do wzorca i znalazł je. Te drobiazgi, pozornie nic nieznaczące detale, powiedziały mu więcej, niżby chciał. To była misternie zastawiona pułapka, w którą wlała już połowa jego ludzi. A reszta znajdzie się w niej lada moment. Szczygło wmieszał się właśnie w tłum, a był siódmy w kolejce do przerzutu za mur. Saternus minął już bramę oddzielającą ten obszar od pasa patrolowego. Marut zeskakiwał właśnie z dachu garażu.

Sprycha odsunął lornetkę od oczu. Zastanawiał się, czy nie rzucić granatu już teraz, by dać chłopakom sygnał, ale po krótkim namyśle odrzucił ten pomysł. Tamci byli zbyt dobrze poinformowani o jego planie, zatem albo miał kreta w gangu, albo... ktoś inny podsłuchiwał ich wczoraj w nocy i doniósł tym śmieciom, co się kroi. Jeszcze raz przycisnął do oczu okulary wojskowej lornetki.

Ósma płaczka dołączyła do poprzednich... Tak, to nie mógł być przypadek. Przeniósł wzrok na pierwszy szereg. Za każdym ze swoich zobaczył dwóch facetów, którzy niby przyglądali się szalejącemu nieopodal pożarowi, lecz byli ustawieni tak, aby w okamgnieniu zabić albo obezwładnić tego, kto stoi przed nimi.

– Spierdalamy! – rzucił do Magdziarka, wycofując się spod okna.

– Zmieniamy pozycję?

– Nie, spierdalamy do zajezdni!

– Ale...

– Pakuj ten złom, durniu, i spuszczaaj go jak najszybciej na dół!

– A co z chłopakami? – Cangaceiro patrzył na niego jak na wariata.

– Już po nich. To pułapka. Kurwa mać, od samego początku czułem, że coś tu nie gra.

– Przecież wszystko idzie, jak szef chciał... – upierał się Magdziarek.

– Nic nie idzie po mojej myśli. Namierzyli ich wszystkich. Wiedzieli, kiedy i skąd przyjdą. – Podał lornetkę młotkowemu, wcisnął mu ją w dłonie. – Przyjrzyj się tym niby funkcjonariuszom z kordonu. Znasz któregoś? To pieprzeni

przebierańcy. Idę o zakład, że żaden nie ma w kaburze broni, a jeśli nawet Okrutny im ją wydał, to bez amunicji.

– Ja tam wierzę szefowi na słowo – wymamrotał Cangaceiro, oddając sprzęt i zabierając się do demontażu trójnoga, zaraz jednak znów spojrzął na Sprychę. – Może ich chociaż ostrzeżmy. Zacznę nawalać...

Fabian przysunął się do niego tak bardzo, że o mało nie zderzyli się nosami.

– Pamiętasz, co Kozak mówił o tej motorówce, na którą trafił, kiedy był w browarze?

– Pamiętam.

– Gdzie popłynęła, gdy już się rozmówili?

– No gdzieś dalej.

– Wiesz, co tam jest? – wyciągnął rękę, wskazując zabudowania szpitala.

Magdziarek pokręcił głową.

– Ten sam kanał Odry, który biegnie za browarem. Te kurwy tutaj płynęły. W tej chwili Babiniec może być naszpikowany żołnierzami, mogą tam mieć strzelców wyborowych, nawet pierdolone granatniki albo armaty!

– Nie no, armat to chyba by nie pomieścili w celach...

– Idziemy!

Sprycha zakończył tę jałową dyskusję. Poniosło go, a ten dureń zamiast skojarzyć rozmiary zagrożenia, zaczął czepiać się słówek. Nic dziwnego, że zgarnęli go niespełna pół godziny po tym, jak wytłukł własną rodzinę. Czy człowiek mający choć odrobinę pomysłu polazłby do szynku na piwo, nie zmieniając zakrwawionej w szale zabijania koszuli? Może nie była cała w plamach, ale i te kilka bryzgów wystarczyło, by jakaś miejscowa kapusta powiadomiła milicję.

Nie oglądając się na młotkowego, Fabian wyszedł szybkim krokiem do przedpokoju, by przez klatkę schodową wrócić do okna, którym będzie mógł się ewakuować z kamienicy.

Wystarczył moment, by poskładał sobie wszystko do kupy. Tamci czekają już tylko na to, by ujawnił im swoje położenie. Dał się wystawić za pierwszym razem, dał się podejść jak dziecko!

Jak w dupę kopany debil! Liny zostawili po ewakuacji. Akurat! Chcieli, by znalazł się tam, gdzie mieliby go na oku, i kto wie, czy nie trafił na celownika jakiegoś snajpera. Za dnia widzieli pewnie o wiele więcej...

Nie ma czasu na gdybania, trzeba wiać. Został mu Cangaceiro, tłuk bo tłuk, ale razem mogli jeszcze wiele zdziałać. Leśnica z jej zamkiem kusiła, tam zaczęła wszystko od nowa. Wszędzie są przecież git-ludzie i bydło, na którym można żerować, a im dalej znajdzie się od Biedrzyckich i Okrutnych, tym lepiej się urządzi.

Zemsta? Tak, tej będzie żałował, ale kto wie, jak to wszystko potoczy się dalej. Być może za miesiąc, albo nawet za tydzień, wszyscy tutaj będą nie tyle gryźć piach, ile stać jak te przysłowiowe ciule na weselu, czekając na wywęszenie kogoś żywego, tyle że wokół będzie tylko beton, asfalt i śmierć. Pełne spacerniaki świadczyły o tym, że mur nie powstrzymał zarazy.

Zszedł po linie najszybciej, jak mógł, nie bacząc na obolałe dłonie. Potem, nie czekając na Cangaceiro, podbiegł do wyrwy między kamienicami, skąd mógł bezpiecznie obserwować Kłęzkowską aż do bramy więzienia. Wiedział, że w każdej chwili zdąży uciec.

Wokół panowała cisza i bezruch.

Kretyni nadal czekają, aż się wychylę, by mnie...

Nad ryk płomieni wybił się ostry pisk klaksonu, po którym padł pojedynczy strzał. Fabian się skrzywił. Czyżby ten palant nie poszedł za nim, tylko próbował szczęścia? Cofnął się do węgła od strony podwórza. Nie, na szczęście Magdziarek nie zgrywał bohatera. Potrzebował chwili, by opuścić cekaem, a potem sam zaczął schodzić. Był już na wysokości pierwszego piętra.

– Ruchy! – ponaglił go Fabian.

Skoro przestali na nas czekać, mogą lada moment wyjść za mur...

* * *

Nikt ich nie gonił, ale i tak przebiegli całą drogę do bramy gazowni. Dopiero za nią pozwolili sobie na chwilę odpoczynku. Rozwścieczony Fabian nie przysiadł jednak jak jego potwornie spocony i zdyszany kompan; chodził przed nim w kółko niczym

nakręcony. Do wczoraj wszystko układało się po jego myśli, no prawie wszystko, tymczasem wystarczył jeden dzień, jeden pieprzony poniedziałek, żeby stracił to, na co tak ciężko pracował. Nie miał już tuzina ludzi pod sobą, nie miał bezpiecznego schronienia – bo przecież nawet cekaemem nie obroni zajezdni, do której można wleźć bez trudu od tyłu stron. Jedyne, co mu zostało, to perspektywa ucieczki.

Albo...

Zatrzymał się jak wryty. Nie, nie było szans na to, by we dwójkę odbili resztę chłopaków. Nawet dysponując cekaemem, kilkoma skrzynkami granatów i BTR-em, który – jeśli wierzyć przechwałkom Jakuzy – został do wieczora naprawiony. Nie wiedział, ilu tamtych jest ani jaką bronią dysponują, poza tym nie umiał wymyślić sensownego planu. *Nie, trzeba jak najszybciej zapakować na transporter wszystko, co się da: żarcie, resztę alkoholu ze stara, trochę gratów, i wiać do Leśnicy.* Mapę miał w kieszeni, widział też, co trzeba zrobić, by odpalić BTR-a, i jak Jakuzia nim kieruje. Celowo go podpatrywał, jakby przeczuwał, że ta wiedza może okazać się przydatna.

– Dość tego dobrego! – rzucił w końcu. – Musimy zmyć się z zajezdni, zanim tamci po nas przyjdą!

– Myśli szef, że oni... – zaniepokoił się Cangaceiro.

– Widziałeś, jak obudowali ten gazik?

– Widziałem.

– Dla jaj tego nie zrobili.

– Też prawda.

– Bierz złom i zasuwamy na torowisko. Liczy się każda chwila.

Przedostali się przez dziurę w płocie. Sprycha szedł pierwszy, zatopiony w myślach nie rozglądał się specjalnie i dlatego nie od razu zauważył postać ukrytą na skraju zarośli, kilka metrów od wyrąbanego przez Szczygłę przejścia.

Podsoczył jak oparzony, czując ukąszenie na czole i słysząc towarzyszący mu huk wystrzału. Kula musnęła głowę o przysłowiowy włos, a nawet mniej, pozostawiając długą na centymetr oparzelinę w miejscu, gdzie rozpalony ołów stykał się przez mikrosekundy z powierzchnią naskórka. Zaskoczony

Fabian przypadł do torów, przerażony myślą, że mundurowi zdążyli zająć jego kryjówkę i właśnie przypuścili ostateczny atak.

Idący tuż za nim Cangaceiro nie namyślał się wiele, cisnął targany na ramieniu cekaem, sięgnął do pasa i zanim potwornie umorusana, okulawiona dziewczyna wspierająca się na zwykłej desce zdecydowała, w którym kierunku posłać następną kulkę, rzucił młotkiem. Miał oko, trzeba mu to przyznać. Z dziesięciu metrów trafił ją w szczękę, tyle że pod dość ostrym kątem. Kilogramowy kawał żelaza z masywnym trzonkiem rozorał ciało i skrusił kość, wybijając co najmniej sześć zębów. Trafiona zawyła z bólu, padając na plecy, ale nie straciła przytomności, ani co gorsza, nie wypuściła broni z ręki.

Widząc, że ma do czynienia z jakąś niedojdą, Sprycha uspokoił się na tyle, by zauważyć, że jego towarzysz nie ma już niczego, czym mógłby się posłużyć w walce. Dlatego sięgnął po własny kozik.

– Łap i zarznij sukę, zanim odzyska zmysły! – wrzasnął.

Magdziarek pochwycił nóż w locie, już biegnąc ku powalonej dziewczynie. Ryczał przy tym jak zraniony lew, choć jako jedyny z całej trójki nie odniósł jeszcze żadnego uszczerbku na zdrowiu. Gdy zobaczył, że ofiara unosi niepewnie rękę, w której wciąż trzyma tetetkę, wybił się, jakby chciał skoczyć do wody, ale to mu niewiele dało. Zdążyła strzelić, zanim spadł na nią jak polujący sokół...

Wyrznął z pełnym impetem, drgnął spazmatycznie raz i drugi i już został w tej pozycji.

Sprycha odczekał kilka sekund, ale gdy usłyszał głośny charkot, a potem nieco tylko cichsze jęki, podszedł ostrożnie do leżących. Zauważywszy, że zderzenie wytrąciło broń z ręki nieznanego mu napastniczki, poczuł się pewniej. Smucił go tylko nieco widok krwawej plamy na plecach kompana.

Cangaceiro przyjął kulę, która była przeznaczona dla niego. Fabian nie miał pojęcia, kto do nich strzelał ani z jakiego powodu, liczył jednak, że niebawem wszystkiego się dowie.

Najpierw zabezpieczył pistolet. Niestety magazynek i komora były puste. Następnie przykucnął obok głowy dziewczyny, od

nieokaleczonej strony, przyglądał jej się przez dłuższą chwilę, po czym wybuchnął gromkim śmiechem.

– Twoja twarz od razu wydała mi się znajoma, muszko – powiedział, pochylając się bardziej, by mogła go widzieć błędzącymi wciąż oczami. – Ty jesteś ta druga, zaraz, niech sobie przypomnę, Bo... nie, Bugiel, ta zbiegła dziwka, której nie mogliśmy się doliczyć. – Zmierzył ją wzrokiem, od napuchniętej potwornie nogi po wystającą znad tułowia konającego Cangaceiro twarz, i nagle ostatni kawałek układanki trafił we właściwe miejsce. – To ty polazłaś ostrzec Okrutnego! – podniósł głos, zaskoczony swoim odkryciem. – Tak. Poszłaś tam, żeby pomścić posraną siostrzyczkę. – Pokręcił głową z niedowierzaniem. – Nie, czekaj, muszko, poszłaś po tych fiutów, żeby ją ratować! – Zobaczył, że jej twarz zmienia wyraz, a w każdym razie ta połowa, która przypominała jeszcze ludzkie oblicze. – Skoro o wszystkim wiedziałaś, muszko, musiałaś nas podsłuchać wieczorem. I od razu polazłaś na Klęczkowską. To dlatego byli na nas gotowi z samego rana. Taaak... – Zaczekał. – Muszę cię jednak zmartwić, muszko. Dałaś dupy, i to na całej linii. Nie zdążyłaś wrócić na czas i te wszystkie durne cipy popełniły rano zbiorowe samobójstwo. Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Zaraz zdechniesz tutaj, tylko parę kroków od siostrzyczki. – Pochylił się mocniej i niemal przykładając głowę do ziemi, popatrzył w stronę zajezdni. – Patrz uważnie, może zobaczysz jej łapska, kiedy mnie poczuje. Pozwolisz, muszko, że odetchnę chwilę przed dalszą drogą? – dodał rozbawionym tonem. – Posiedzę tu z tobą, poczekam, aż mój wierny druh wyzionie ducha i zabierze cię ze sobą. Nie odmówię sobie tej drobnej przyjemności...

Czekał tak kilka minut, milcząc i rozmyślając, ale Magdziarek wciąż charczał i pomimo sporego upływu krwi nie zamierzał odejść. Sprycha wstał więc i przyjrzał się ranie z góry. Jej umiejscowienie wskazywało na przestrzelenie płuca, z pewnością było poważne, ale nie śmiertelne. W normalnych warunkach, gdyby zabrano go do szpitala i operowano, mógłby się nawet wylizać, ale tu nie miał szans. Tyle że będzie zdychać

długie minuty albo godziny.

Fabian sięgnął instynktownie do kieszeni, ale przypomniał sobie, że przed chwilą rzucił kompanowi kozik, jedyną broń, jaką jeszcze posiadał. Rozejrzył się wokół bardzo uważnie, ale nigdzie nie zobaczył noża. Młotek też przepadł w zaroślach, w które nie zamierzał włączyć, a kamieniami z torowiska mógł co najwyżej psy poodganiać, gdyby tu jakieś były.

Dziewczyna wyglądała wciąż na mocno oszołomioną, może nie rozumiała nawet, co do niej mówił, ale był pewien, że z czasem otrzeźwieje i – jeśli będzie miał szczęście – odzyska zmysły, zanim leżący na niej dureń wykituje.

– Wiesz, muszko, aż tyle czasu jednak nie mam – rzucił przyjaznym tonem, wstając. – Dlatego zrobimy tak... – Podskoczył i opadając, zmiażdżył jej staw skokowy w zdrowej nodze. Kości chrupnęły głośno pod podeszwą ciężkiego buta, pozbawiając ją przytomności, ale nie skończył na tym. Przeszedł nad wciąż charczącym młotkowym, by zgruchotać jej najpierw jeden bark, a potem drugi. Na koniec przykucnął i podsunął jej pod nos sole trzeźwiące, które zabrał na akcję w nadziei, że będzie mógł się poznać nad kilkoma jeńcami, na przykład Okrutnym albo jego bliskimi. – Teraz, muszko, nie pozbędziesz się brzemienia, które ci zostawiam w rewanżu za spieprzenie mi tak ważnego dnia. Chcę, żebyś cierpiała, żebyś miała czas pożałować wszystkiego, co zrobiłaś. Umierasz na próżno. Zobacz! – Przeciągnął się. – Ja żyję i mam się dobrze, straciłem co prawda paru chłopaków, ale uwierz mi, muszko, takich jak oni znajdę wszędzie. Bez trudu. Na kopy. A twoi kumple zza muru... – zamilkł, tknięty nową myślą. – Dla nich mam bombową niespodziankę. Chcesz wiedzieć jaką, muszko? – Znów przysiadł obok niej. – Sprowadzę na ten ich burdel Armagedon, wielotysięczną armię nieumarłych, która wyżre ich wszystkich co do jednego. – Pochylił się bardziej, by widzieć jej oczy. Reagowała, chyba słyszała go i nawet rozumiała. – Żałuj, że tego nie zobaczysz, chociaż... Jeśli będziesz miała wystarczająco dużo szczęścia, może ta kupa porypanego gówna dociągnie do chwili, gdy usłyszysz dobiegającą z tamtej strony chaotyczną

strzelaninę. To będzie znak, że mój plan się powiódł. Mam szczerą nadzieję, że żadne z was nie wykituje do tej pory. Trzymaj się zatem, muszko, cała przyjemność z tego spotkania po mojej stronie.

Wstał, z wysiłkiem podniósł porzucony przez Magdziarka cekaem i powlókł się w stronę zajezdni, nieświadom tego, że jego poczynania obserwuje jeszcze jedna para oczu.

*wtorek, 13 sierpnia 1963, godzina 03:46
plac Słowiański*

Anna nie mogła zasnąć tej nocy. Wydarzenia minionego dnia dotknęły ją bardziej niż pozostałych lokatorów okolicznych kamienic. Była tramwajarką, a ściślej mówiąc motorniczą, sąsiadką Gawlików, mieszkała tuż pod nimi, tak więc nawet teraz, parę godzin przed świtem, nie mogła zmrużyć oka; raz ze względu na nieustanny łomot, z jakim nogi powieszonych obijały się o jej szyby, a dwa przez samą świadomość, co te gady zrobiły z pocziwiną i jego najbliższymi. Nie pomogło przeniesienie się z pościelą do izby od podwórza, na szczęście opuszczonego dwa dni wcześniej przez sublokatora, który wolał ryzykować życie na dworcu, niż czekać dalej beczynn timer na opanowanie sytuacji przez władze.

Pani Łojek nie miała pojęcia, czy Marcin Zwierzchowski, jak nazywał się student podnajmujący u niej pokój, przeżył wyprawę na Dworzec Główny, ale podejrzewała, że cokolwiek się tam wydarzyło, na pewno nie było gorsze od tego, co ona musiała wycierpieć przez ostatnie dni.

Miotając się po mieszkaniu jak zwierzę w klatce, spoglądała co jakiś czas w stronę portierni przy głównej bramie zajezdni. Światło paliło się tam od zmierzchu, lecz co wydało jej się ciekawe, nie było widać żadnych śladów aktywności trzymającego wartę bandziora. Zawsze wcześniej pełniące rolę strażników oprychy wychodziły regularnie na papieroska albo szczały, jak to moczymordy i ordynusy, pod pobliskim murem. Często gęsto odwiedzali ich też kumple, zdarzało się więc, że imprezowali nie mniej hucznie niż ci z willi. A dzisiaj nic. Cisza jak makieł zasiał, żadnych wypadów, pogwizdywania, charknięć. Gdyby nie blask lampy naftowej, Anna mogłaby pomyśleć, że nikogo tam w ogóle nie ma.

Zaintrygowana usiadła przy oknie, które otworzyła dużo wcześniej, by wierzgający wciąż Gawlik senior i jego nieszczęsna połowica nie porozbijali nogami jej szyb. Wiedziała, że nieumarli wyczuwają żywych z odległości mniej więcej dziesięciu metrów. Doszła do tego sama, zanim wojsko podzieliło się tą wiedzą w kolejnych komunikatach, jednakże w tym konkretnym przypadku było obojętne, czy przebywała w pomieszczeniach od frontu czy od podwórza. Gawlikowie rzucali się nieustannie, ponieważ w mieszkaniach pod i nad nimi przebywali ludzie. Nie, teraz już tylko pod...

Nad wymordowaną okrutnie rodziną mieszkał Krzysiek Oniśk, jej kolega z roboty, i waletujący u niego znajomy, Szymon Gajda, opolanin i zapalony kibic piłkarski, który utknął we Wrocławiu na początku epidemii ospy, po tym jak przyjechał na mecz. Pech chciał, że w przedziale pociągu zetknął się z osobą podejrzaną o nosicielstwo wirusa czarnej ospy. Duchy zgarnęły go z dworca i razem z pozostałymi pasażerami wpakowały do izolatorium, z którego wyszedł w miniony piątek. W poniedziałek miał otrzymać zezwolenie na powrót do domu... wszakże pech go nie opuścił. Minionego wieczoru podpadł jednemu z podchmielonych oprychów i dostał takie bęcki, że stracił przytomność. Wilczek, jak nazywano w robocie Krzyśka, zebrał go z chodnika i zataszczył do domu, ale później coś musiało pójść nie tak. Przed północą mieszkańców kamienicy zbudziły krzyki, brzęk tłuczonych szyb, po czym znów zapadła cisza. Na nic się zdało walenie w drzwi Oniśka, zza których dobiegały wcześniej te hałasy. Zrezygnowani sąsiedzi szybko wrócili do swoich mieszkań i pozamykali je na trzy spusty.

Anna upiła kolejny łyk wystygłej kawy zbożowej. Czyżby siedziała tu już tak długo? Zerknęła na zegarek – właśnie minęła za kwadrans trzecia. Odstawiła emaliowany kubek na barwną ceratę pokrywającą blat niewielkiego stołu, przy którym zazwyczaj jadała obiady i kolacje. Od niemal godziny obserwowała stróżówkę, ale nie zauważyła, by ktoś się w środku poruszył, o wychodzeniu na zewnątrz nie mówiąc. A przy lampie naftowej każde przeciągnięcie ramion czy rozprostowanie nóg

tworzyło istny teatrzyk cieni.

Zafrapował ją ten brak aktywności strażnika.

Wiedziała, że przywódca bandy nie toleruje obiboków. Na przestrzeni ostatnich dni aż dwaj delikwenci zebrali taki opieprz, że aż uszy wędły. Jeden dostał nawet po pysku, bo coś nieopatrznie odburknął.

Gdy wróciła do tej sceny pamięcią, zastanowiło ją coś jeszcze. Tej nocy w dawnej przychodni zakładowej nie urządzono popijawy. Pomimo otwartych okien nie słyszała pijackich ryków, w ogóle nad zajezdnią panowała od kilku godzin grobowa cisza, jakby wszyscy tam posnęli albo wyzdychali. Światła w kilku oknach biurowca paliły się wprawdzie, lecz tam także mimo dłuższej obserwacji nie wypatrzyła żadnego cienia. Zupełnie jakby bandyci zostawili zapalone światła, by pozorować swoją obecność.

Trzeba to sprawdzić, uznała Anna.

Ogarnęła się szybko, pomimo późnej pory było gorąco i parno, nie musiała się więc grubiej ubierać. Wyszła na ulicę w samej bluzce i spódnicy, rozejrzała się wokół, ale prócz stosu wijących się w piaskownicy ciał nie dostrzegła nigdzie ruchu. Zbliżyła się wolnym krokiem do ogrodzenia, omiotła okolicę wzrokiem ponownie... Nic, kompletna cisza i spokój. Obeszła ciężarówkę, którą ci zbroje zablokowali bramę, i nacisnęła kłankę furtki. Zrobiła to bez większego przekonania, ponieważ wiedziała, że bandyci zamykają ją starannie na klucz. Nawet w dzień, aby nikt przypadkiem nie wlaźł na ich teren ani nie wpuścił tam nieumarłych.

Podeszła do załomu ogrodzenia i wyjrzała za mur oddzielający teren zajezdni od pobliskiego placu, który po wyburzeniu większości ruin wydawał się równie ogromny jak ten pas startowy, co go Niemcy kazali zbudować pod sam koniec oblężenia, równając z ziemią wszystko, co stało między mostem Szczytnickim a Grunwaldzkim. W zasięgu wzroku, ale z dala od chodnika, wciąż stało kilka pokracznych postaci, na których widok pani Łojek skrzywiła się i natychmiast zawróciła. Bała się odmieńców bardziej niż diabeł święconej wody, ponieważ jej

zdaniem było to nie tylko wynaturzenie, ale też świadectwo tego, że prawdziwe są słowa Biblii: pojawienie się nieumarłych, świadczące, że w piekle zabrakło miejsca dla potępionych, stanowiło zapowiedź rychłego nadejścia Sądu Ostatecznego.

Przemaszerowała szybkim krokiem wzdłuż ogrodzenia, zegnając się bojaźliwie przy kracie, na której wciąż wisiały wybebeszone dzieciaki jednej z tych nieszczęsnych kobiet. Pomimo mroku widziała przeplecione przez płot sznury podtrzymujące maleńkie zwłoki, a także raczej wyczuła, niż zobaczyła, nerwowe poruszenie spowodowane jej obecnością. Nieumarli nie mogli jej sięgnąć, choćby chcieli, wszakże wystarczająco deprymująca była dla niej świadomość, że przechodzi tuż obok ucieleśnionych dowodów na istnienie życia po śmierci.

Jak każdy tramwajarz wiedziała, którędy może najłatwiej dostać się na teren swojego zakładu pracy. Odcinek najniższego płotu biegł od przychodni aż do narożnika przy Ołbińskiej, a pas gęstych zarośli za nim powinien skutecznie ukryć ją przed wzrokiem tych gadów... jeśli tam jeszcze są.

Miała szczerą nadzieję, że Sprycha i jego kompani wybyli, uciekli pod osłoną nocy, obawiając się rychłego nadejścia wojska. Czyż nie dlatego zarekwirowali wszystkie radia, wskazane im tak usłużnie przez te dwie donosicielskie mendoweszki? Bandyci chcieli odciąć ludzi od wiedzy, co armia robi w innych częściach miasta. Tymczasem zarówno Annie, jak i jej sąsiadom wystarczyła całodzienna kanonada, dająca do zrozumienia, że chwila wyzwolenia jest już bliska.

Dotarwszy w wybrane miejsce, rozejrzała się uważnie. Okna mieszkania jednego z kapusiów wychodziły na tę stronę Krętej, ale choć były otwarte, w pomieszczeniach za nimi panowały egipskie ciemności. *Jak ten Saternus może spać po tym, co nam zrobił? Trzeba nie mieć duszy, żeby zaprzedać się takim faryzeuszom i bezbożnikom*, pomyślała, krzywiąc się z pogardą. Splunęła na chodnik, po czym zaczęła przełazić przez ogrodzenie. Nie była już tak młoda jak tamte dziewczyny, które bandyci wybrali sobie po egzekucji, zawsze jednak dbała o kondycję,

zdrowo się odżywiała, nie piła zbyt wiele... Pokonała więc płotek na tyle sprawnie, że nie narobiła za wiele hałasu.

Przycupnęła pod willą, z której gang zrobił sobie melinę i burdel, i jeła przyglądać się ciemnym oknom, nasłuchując uważnie. Dźwięków było jak na lekarstwo. Budynek wyglądał na opuszczony, tak samo jak portiernia od frontu i część biurowa zajezdni.

Anna zakradła się więc pod drugą portiernię, tę przy wiadukcie, ale nawet po dziesięciu minutach tkwienia pod tylną ścianą nie usłyszała jednego szmeru. Ośmielona zajrzała do wnętrza, także oświetlonego lampą naftową, i zobaczyła na krzeselku... kukłę imitującą, z grubsza oczywiście, ludzką postać.

Na ten widok nabrała animuszu, lecz zaraz wycofała się spod bramy, dostrzegłszy w mroku kilkadziesiąt metrów dalej zbitą masę zombie. Była to identyczna horda jak ta, którą ten zbój Sprycha przyciągnął za Wzgórze – jak nazywała kopiec gruzowiska przerobiony kilka lat po wojnie na skwerek. *Czyżbym poznała prawdziwy powód rejterady jego bandy?* – zastanawiała się, mierząc wzrokiem tłum nieumarłych. *Oprychy zostały wzięte w dwa ognie, a przecież wystarczy tylko niewielki błąd, by te bestie z piekła rodem rozerwały każdego na strzępy.*

Po namyśle uznała, że powód nagłego zniknięcia bandytów mógł być właśnie taki, i poczuła radość, która jednak wyparowała szybciej niż kropla deszczu wpadająca w żar ogniska. Nowa horda niosła równie wielkie zagrożenie jak stara. *Wystarczy zbłąkany kundel... albo nawet szczur.*

Wzdrygnęła się na tę myśl.

Wróciła pod przychodnię śmieiej, krocząc środkiem placu. Zajrzała do kilku okien na parterze, ale nie zobaczyła za nimi nic, ponieważ w pomieszczeniach było ciemno. Usłyszała jednak szuranie, jakby ktoś czołgał się po podłodze albo drapał w ścianę. W pewnym momencie zadźwięczało też szkło, jak wtedy, gdy ktoś pijany potrafi suto zastawiony stół, z tym że teraz temu dźwiękowi nie towarzyszyło przekleństwo.

Anna cofnęła się o parę kroków. Milczenie nie zwiastowało niczego dobrego. Z jednej strony zyskała pewność, że w willi –

a przynajmniej na jej dolnej kondygnacji – nie ma żadnego z tych gadów, z drugiej musiała także założyć nieobecność porwanych kobiet.

Okno na górze, w pomieszczeniu, do którego bandyci zagnali branki, w tym osobiście jej znane sąsiadki, było otwarte na oścież. Pani Łojek syknęła znacząco, rzuciła w szybę kamykiem, ale nie doczekała się żadnej reakcji. To zmartwiło ją jeszcze bardziej.

Powiodła wokół spojrzeniem. Z zarośli wystawał koniec drabiny, ciężkiej i długiej, ale po kilku minutach zdołała ją przeciągnąć pod ścianę, ułożyć równo, a potem, sposobem, podnieść z jednej strony i oprzeć o chropowaty tynk. Pracowała cierpliwie, podsuwając drabinę za każdym razem o kilkanaście centymetrów, aż ustawiła ją tak, że mogła wspiąć się po szczeblach na wysokość piętra, by zajrzeć przez kraty. Przed momentem niebo pojaśniało na tyle, że widziała teraz znacznie więcej szczegółów niż w chwili opuszczania domu, poza tym wzrok też zdążył się jej już przyzwyczaić do ciemności, liczyła więc na to, że w tych warunkach wypatrzy więcej niż na parterze.

Zanim zdążyła wspiąć się na tyle wysoko, by po wychyleniu zajrzeć do narożnej izby, zza krat wysunęły się ręce. Nie dość tego, gdzieś w oddali w tym samym momencie rozległ się huk pojedynczego wystrzału. Przerazona Anna pisnęła, jakby ją skropiono wrzątkiem. Próbowała uciec w panice, lecz na drugim albo trzecim szczeblu stopa jej się omsknęła, przez co zleciała na ziemię z ponad dwóch metrów.

Leżała w trawie na plecach, sparaliżowana strachem i bólem, podświadomie czekając na przybycie oprawców i równocześnie przyglądając się młóącym powietrze... łapom? Zrozumiała, na co patrzy, zanim doszła całkiem do siebie, a trwało to dłuższą chwilę, ponieważ poturbowała się mocno, choć na szczęście niczego sobie nie złamała ani nie zwichnęła. Podnosząc się z ziemi, była już pewna, że jest zupełnie sama. Wokół nadal panowała niczym nie zmacona cisza. Nikt nie przybiegł, nikt nie zapalił światła – nawet u Saternusa wciąż było ciemno – nie słyszała też w oddali nawoływań bandziorów.

Czyżby dobry Bóg naprawdę pokarał tych drani?

Pokrzepiona tą myślą otrzepała pośpiesznie spódnicę i bluzkę, nie zważając na bolący bark.

Trzeba to sprawdzić, zdecydowała, znów chwytając się drabiny. Tym razem wspinała się wolniej i przystanęła niżej, tuż poza zasięgiem rąk wystających zza krat. Odchyliła się najmocniej, jak mogła, w tym samym czasie próbując dojrzeć twarze starających się ją pochwycić odmieńców.

Tak, tak, tak! To ta kanalia w kapeluszu! Nie знаła jego nazwiska, ale mówili na niego Złotowa, jak pogardliwie nazywano na mieście taksówkarzy. Drugi był młody i niski, widziała go może ze dwa razy, ponieważ rzadko opuszczał teren zajezdni. Nie miała pojęcia, jak brzmi noszone przez niego imię czy choćby przezwisko.

Co tu się nawyrabiąło, u licha?

Schodząc z drabiny, pani Łojek zachodziła w głowę.

Bandyci uciekli, tego była już pewna. Ulotnili się pod osłoną ciemności, zostawiając za sobą tych, których dosięgła kara boska. Ciekawiło ją, ilu ich tam jeszcze siedzi w dawnej przychodni. *Może nawet wszyscy? Oj, to by było zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe... Chociaż z drugiej strony mogli się przecie struć czymś, co zjedli na kolację. Dzień wcześniej z piwnic i mieszkań nakradli weków, w tym na pewno sporo marynowanych grzybków, a co najlepiej wchodzi pod kielonka jak nie marynowany maślaczek?*

Prychnęła pogardliwie. *Połowa miastowych, jeżdżących do lasu tylko z wycieczkami zakładowymi, nie odróżniała szatana od borowika, zatem... Roześmiała się pod nosem, choć to było nie po chrześcijańsku. A może któryś zachlał się na śmierć i powyżerał resztę?*

Radość minęła jak ręką odjął, gdy uświadomiła sobie, że łapy Złotowy wystają z okna, za którym trzymano branki. *Jeśli on nie żyje, to i one... Przeżegnała się znowu, tym razem trzykrotnie. Boże, z tuzin ich tam przecież było!* Przejęta tą myślą obiegała resztę zajezdni. Nic, wszędzie pustki, legowiska rozkopane, puste flaszki na podłodze, resztki żarcia po kątach, smród taki, jakby

buszowała nie po biurach, tylko szaletach, ale nie trafiła na żadnego z nich.

Zaraz powiadomię o wszystkim sąsiadów, postanowiła, opuszczając biurowiec. Ruszyła przez plac, by dostać się do niskiego płotka, gdyż nie zamierzała lecieć na drugi koniec zajezdni ani tym bardziej przełazić przez znacznie wyższe ogrodzenie od frontu. Wszakże zanim dotarła w pobliże przychodni, w miejscu osadziły ją krzyki i towarzyszący im ogłuszający huk. Strzał oddano naprawdę blisko, tuż za zajezdnią, na torach.

Czyżby dranie nie znaleźli drogi ucieczki i wracali?...

Przerażona Anna poszukała wzrokiem potencjalnej kryjówki. Gdy padł kolejny strzał, przyłgnęła do burty BTR-a stojącego pośrodku placu. Coś działo się na torach między zajezdnią i gazownią. Coś strasznego, sądząc po dobiegających stamtąd odgłosach.

Gdy ponownie zapadła cisza, pani Łojek oderwała się od wielkiej maszyny i rozejrzała z obawą wokół. Jedyne miejsce, z którego mogła obserwować tory, sama nie będąc widziana, znajdowało się kilkanaście metrów dalej. Na dachu tego blaszaka wylegiwały się latem na kocykach, ilekroć przyszły do pracy za wcześniej albo musiały czekać na zjazd spóźnionych zmienników. Wspiąć się tam można było choćby po pojemnikach na piasek, stojących przy bocznej ścianie.

Wdrapała się nader zwinnie jak na swoje lata, a potem, rozplaszczwszy się na brzuchu, przysunęła się do szczytowej krawędzi dachu i wyrzała zza niej na tory. Po przeciwnej stronie, pod krzewami porastającym ogrodzenie gazowni, dostrzegła ludzkie sylwetki. Ktoś leżał na ziemi, może nawet więcej niż jedna osoba. Pomimo zaczynającego się właśnie przedświt nie rozróżniała zbyt dobrze szczegółów, ale gdy moment później usłyszała znajomy głos, skóra na karku jej ścierpła.

Sprycha tam był. Mówił, śmiał się i... Anna zacisnęła oczy, kiedy zaczął się nad kimś znęcać. Nie mogła na to patrzeć, nie mogła tego słuchać. Wycofała się ostrożnie, ciężko dysząc.

Wiedziała wystarczająco dużo, by wpaść na iście szatański

pomysł.

* * *

Sprycha wrzucił cekaem na tył transportera, potem wspiął się do kabiny, pozamykał wszystkie okna i przy świetle latarki zasiadł za kierownicą. Powtórzył wszystkie czynności, które podejrzwał wcześniej, gdy Jakuzą odpalał motor, by przestawić wóz z ulicy na plac. Zaśmiał się triumfalnie, słysząc najpierw zduszony charkot, a później mruczenie, jakby odezwał się gigantyczny, mechaniczny kot.

Wyskoczył z kabiny, nie gasząc silnika, niech się rozgrzeje na wolnych obrotach, paliwem się nie przejmował, miał go w bród, a połowa kanistrów znajdowała się już w BTR-ze. Poza tym przygotowania do wyjazdu nie potrważą długo.

Pochylił się nad rozłożonym obok maski kawałkiem plandeki, na którym Ulfing trzymał narzędzia potrzebne przy naprawie. Pogrzebał w stosie znanego mu jedynie z wyglądu żelastwa. Jakuzą może i był dobrym mechanikiem, ale sprzętać na pewno po sobie nie lubił. Wszystko, co mu chłopaki poznosili z pobliskich warsztatów, rzucił po prostu na przysłowiową kupę.

Fabian odłożył na bok parę płaskich kluczy, jakichś żabek czy innych francuzów – dla niego każdy był co najwyżej potencjalną bronią, przedmiotem, którym można komuś zrobić krzywdę albo odebrać życie. Błędgo pojęcia nie miał, do czego naprawdę mogą służyć. W końcu dogrzebał się do piłki, klasycznej laubzegi, jeśli dobrze kojarzył nazwę – małej, pałakowatej, z bardzo cienkim, ale i ostrym brzeszczotem. Tego było mu trzeba.

Wrócił na tory, lecz nie skierował się ku Cangaceiro i uwięzionej pod nim Bugielównie. Poszedł prosto na wiadukt, by ponacinać liny, na których wisieli – wciąż żywi – Pudło i Klamka. Zapamiętał nazwiska tych robali tylko dlatego, że spodobał mu się wymyślony na ich bazie kalambur. Jeśli miał zrealizować nowy plan, na który wpadł dosłownie przed chwilą, musiał skrócić ich męki, choć było mu to nie w smak.

Nawet w tym momencie odczuwał bowiem ogromną satysfakcję z faktu, że za jego sprawą cierpieli niewysłowione

katusze – zawieszani od tyłu godzin nad rzeszą nieumarłych; zdychający z pragnienia; robiący pod siebie ze strachu za każdym razem, gdy palce któregoś odmieńca muskały ich podeszwy; próbujący wzywać pomocy mimo knebli. Słyszając chrzęst kamieni pod jego stopami, znów się ożywili i zaczęli błagać o litość. Upajał się brzmieniem ich zduszonych skamleń, ale tylko przez chwilę.

Mus to mus.

Gdyby miał wybór, pozwoliłby, żeby dokonali żywota w późniejszym terminie, lecz właśnie zaczęli mu wadzić, gdyż potrzebował tej hordy, a wiedział, że żaden żywy trup nie polezie za transporterem, mając w zasięgu ręki dwa tak smaczne kaski. Dlatego musiał ponacinać liny, jak to zrobił z poprzednią parą wabików.

Pochylił się nad poręczą, przyjrzał z bliska, czy włókienka naruszonych splotów pękają kolejno, zwijając się niczym włoski. *Za dziesięć minut, góra za kwadrans, będzie po wszystkim*, ocenił. Tyle mniej więcej czasu potrzebował na dokończenie przygotowań.

Nagle zerknął z obawą w kierunku więzienia.

Na razie nie przyszli tu za mną, ale być może są już blisko. Nie!

Pokręcił głową, odrzucając czarne myśli. Nie czuł mrowienia, nic go nie ostrzegało jak tam, na ulicy Struga, przy pierwszej i drugiej wizycie. Nawet jeśli ruszyli za nim Klęczkowską, horda odcinała im najkrótszą drogę do zajezdni, a skoro nie znali dobrze terenu – bo nie powinni go znać – mieli niechęć zagwozdkę. Stracą godzinę albo i dwie na znalezienie innej drogi. Zakładając, że w ogóle podjęli pościg. Nie musieli się przecież śpieszyć. Zwinęli prawie wszystkich chłopaków, zatem po co psuć sobie tak wspaniały sukces wpadnięciem w pułapkę, jaką mógł na nich zastawić, dysponując wciąż sprawnym wozem pancernym, cekaemem, wiadrami granatów i kilkoma ludźmi do ich rzucania. Tak, kilkoma, bo klawisze – nie wiedząc, że wcześniej stracił Grzelaka i Morawca – z pewnością spodziewali się oporu ze strony co najmniej trzech, jeśli nie czterech przeciwników.

Zaśmiał się w głos.

O tak, Okrutny ma teraz zagwozdkę jak nic, a będzie miał jeszcze większą już niedługo, dosłownie za parę chwil...

Sprycha zostawił wiszących swojemu, już przesądzonemu losowi. Wracając do zajezdni, zboczył nieco z drogi, by zbliżyć się ostrożnie do Magdziarka i tej siksy. Oboje jeszcze żyli; on charczał przy każdym spazmatycznym oddechu, ona jęczała. Po ciemku wyglądało to i brzmiało tak, jakby w krzakach doszło do zupełnie innych wydarzeń niż te, których był niedawno świadkiem i sprawcą.

Kochankowie czasu apokalipsy, w mordę jeża!

Zaśmiał się ponownie i zważył piłkę w rękę. Kilka lekkich nacięć przyśpieszyłyby ich agonię. *Ale nie*, pomyślał, *niech mam chociaż tę tycią satysfakcję, skoro musiałem pozbyć się wabików*. Przykłęknął obok na wpół przytomnej Pauliny. Zareagowała na jego widok, zakwiliła głośniej, spróbowała odsunąć głowę, ale niewiele jej to dało.

– Wiesz, muszko, kocham twój strach – wyszeptał, zbliżając twarz do jej zranionego policzka.

Wciągnął powietrze do płuc, głęboko, przez nos, jakby miał przed sobą półmisek delikatesów. *Od tak dawna nie kosztował cielęcinki. Ta z pewnością byłaby przepyszna, gdyby ją tylko fachowo rozebrać, przyprawić i upiec co lepsze kawałki. Tak jędrna, wysportowana, same mięśnie i tylko odrobina tłuszczu, dzięki któremu łatwiej przełyka się kęsy...*

Z największym żalem odgonił od siebie te cudowne myśli. Tam, w Leśnicy, przyjdzie czas na odzyskanie choć części utraconych rozkoszy, był tego pewien. Teraz jednak musiał dokończyć przygotowania i jak najszybciej ruszać w drogę. Miał zadanie do wykonania. Misję, zemstę, jak zwał, tak zwał.

– Trzymajcie się, moje wy pieszczoszki – rzucił na odchodnym, klepiąc młotkowego po ramieniu. – Odejdź pierwszy, brachu. Zeżryj to ścierwo dla wujka Fabiana.

Cangaceiro raczej nie kontaktował, ale Sprycha wiedział, że ona go słyszy. Chciał, żeby wiedziała, czego jej życzy i na co ją skazuje. To była kwestia minut, Magdziarek właśnie zaczynał mieć konwulsje.

Fabian wrócił na teren zajezdni, zamknął za sobą furtkę prowadzącą na tory, potem zajął się przenoszeniem tego, co mogło być mu potrzebne w nowej kryjówe. Ze stara przerzucił na transporter cały zapas wódki i piwa, oczywiście oprócz beczek, które były zbyt ciężkie, by je wtachać w pojedynek do przedziału załogowego. Z biurowca przyniósł trochę zarekwirowanych ubrań i tyle konserw, ile znalazł, czyli niewiele. Naprawdę niewiele. Całą zdobytą żywność kazał bowiem znieść do willi, gdzie jadali wspólnie wszystkie główne posiłki.

Zastanawiał się, czyby nie otworzyć drzwi, nie wywabić na zewnątrz nieumarłych branek i nie dostać się do spiżarni – albo chociaż czyby nie wyważyć krat w oknie pomieszczenia, w którym składowano jedzenie. Pierwsze rozwiązanie wydało mu się zbyt niebezpieczne, drugie zbyt czaso- i pracochłonne. *W Leśnicy znajdę całe tony żarcia*, uznał po namyśle. Ta niby dzielnica Wrocławia tak naprawdę była osobną miejscowością, oddzieloną od aglomeracji setkami hektarów pól, łąk i lasów. Zdeterminowany człowiek z bronią, taki jak on, z pewnością nie umrze tam z głodu, a te kilka konserw i słoje kiszonych ogórków powinny wystarczyć na podróż i okres aklimatyzacji.

Nie wiedział, jaką zastanie na miejscu sytuację, ale jednego był pewien: jako mistrz mimikry zdoła się wpasować w każde środowisko, a gdy już je rozpracuje, sięgnie po należną mu władzę. To był jego świat, nie ich, kimkolwiek by byli.

Rozejrzał się po raz ostatni, wskoczył do przedziału kierowania, zatrasnął pancerne drzwi i wrzucił bieg. To znaczy... powiedzmy, że to zrobił. Dopiero za trzecim razem udało mu się przesunąć wajchę tam gdzie trzeba. Nie miał prawa jazdy, jak większość ludzi w tym kraju, ale był pojętym uczniem i doskonałym obserwatorem, z łatwością więc podłapał kilka podstawowych ruchów Jakuzi, a że na razie nie musiał się silić na skomplikowane manewry, był pewien, że da radę.

Transporter ruszył z miejsca, szarpiąc jak znarowiony koń.

– Dajesz, potworze! – Zadowolony Sprycha wałnął rozpostartą dłońią w wielką kierownicę. – Dajesz!

Maszyna toczyła się wolno wzdłuż hali remontowej, a on

rozglądał się wokół, sprawdzając, ile może zobaczyć przez wąskie szczeliny w pancernych płytach. Nie był to widok, o którym mógł marzyć kierowca, ale czy trzeba mu czegoś więcej? Przecież nie napotka po drodze innych pojazdów, a jeśli ktoś napatoczy się pod koła... Wzruszył ramionami.

Nachylenie się nad kierownicą pozwoliło mu zobaczyć więcej, można nawet powiedzieć, że wystarczająco dużo. Nagle znajome mrowienie wróciło. Zerknął w boczną szczelinę i zdębiał. Transporter mijał właśnie kraniec hali, za którą stała jakaś kobieta. Uśmiechała się, spoglądając nie tyle na odjeżdżającego BTR-a, ile na niego. Pomachała mu nawet ręką jak na pożegnanie. Nie wiedział, co to babsko tu robi, ani skąd się wzięła, ale jednego był pewien – już ją gdzieś widział.

Musiała mieszkać w sąsiedztwie, tak, była chyba nawet obecna przy opowiadaniu bajki o Czerwonym Koszulku. Stała w tłumie, rycząc jak pozostałe baby, a teraz przylazła do zajezdni, żeby węszyć pod jego nieobecność. Fabian zrobił, co mógł, by mieszkańcy okolicznych kamienic nie zauważyli nocnego wypadu chłopaków, ale ta suka najwyraźniej coś zwąchała i przylazła na przespiegi.

Zatrzymał wóz, przeszukał wzrokiem wnętrze kabiny. Za siedzeniem pasażera dostrzegł łom Jakuzy. Chwycił go w garść i odepchnąwszy ciężkie jak cholera drzwiczki, zeskoczył na ziemię.

Zniknęła. Nie było jej już pod ścianą, rozejrzał się więc czujnie, potem odbiegł kilka kroków od BTR-a, ale po intruzce nie został nawet ślad. Wycofał się więc wolno w kierunku pojazdu. Wolał nie ryzykować. Może nie przylazła tu sama, może inni czaili się za halą i tą budą po prawej, czekając tylko, aż sam wpadnie im w łapska.

Niedoczekanie wasze, wy... wy szczury Wrocławia.

Wrócił do wozu i nie rozglądając się więcej, ruszył w stronę muru oddzielającego plac manewrowy od nieużytków, za którymi została horda. Chciał sprawdzić, jak potężna jest ta maszyna. Czy zdoła wykonać zadanie, które jej wyznaczył. Rozpędził się, wciąż nie zmieniając biegu, i przywalił

w betonowe płyty. Zatrzęsło nim jak kukielką, rzuciło na kierownicę, ale ogrodzenie poddało się, łączący panele słupek został wyrwany z ziemi, jakby był jakimś chabaziem, nie kawałem głęboko wkopanego betonu. Grube płyty popękały, miażdżone ponad metrowymi kołami.

– Dasz radę, potworze – ucieszył się Sprycha.

Jazda po wertepach nie należała do przyjemnych, ale że mu się śpieszyło, nie skręcił na pobliską ulicę. Chwilę później w szarzyźnie przedświtu dostrzegł tłum nieumarłych, którzy zatrzymali się w miejscu, gdzie utracili kontakt z potencjalnymi ofiarami. Z daleka wyglądali jak czoło pochodu pierwszomajowego, i to tego najliczniejszego, stolicznego, bądź też jak średniowieczna armia szykująca się do wielkiej bitwy. Miał przed sobą ławę szeroką na kilkaset metrów, jeśli liczyć bardziej rozproszone skrzydła, tam gdzie żywe trupy wyczuły kogoś, albo coś, i rozlały się w daremnych, bądź nie, próbach pościgu.

Zaraz zbiorę was ponownie, moi żołnierze, pomyślał Fabian, skręcając ostro, by przejechać tuż przed czołem hordy. Nie wiedział, jak wrzucić wsteczny, a wolał nie próbować tego na ślepo, żeby przypadkiem nie zgasł mu motor ani nie zakleszczyła się skrzynia, dlatego po prostu zawrócił bardzo łagodnym łukiem, po czym zwolnił do tempa odmieńców.

Ruszyli jak zwykle kolejno, szereg za szeregiem, jakby ci stojący na przedzie przekazywali swoim pobratymcom informacje o wykryciu ofiary. *Tak to musi działać*, doznał olśnienia kanibal. Nieumarli porozumiewali się między sobą – może nie w dosłownym rozumieniu tego pojęcia, lecz tak przynajmniej to wyglądało z jego perspektywy.

Pociągnął ich za sobą, nie wszystkich, ale wystarczająco wielu, by poczuć się jak triumfujący Cezar prowadzący swoje legiony.

Przystawał co jakiś czas, by mogli go dogonić, ale ruszał natychmiast, zanim zleźli się zbyt licznie przed maskę. Nie chciał ich niepotrzebnie tracić, rozjeżdżając, choć już wiedział, że zrobi pewien wyjątek. Zamierzał zetrzeć durny uśmiezek z gęby baby, tej, którą przyłapał na myszkowaniu po jego zajezdni, a znał

tylko jeden dobry sposób, by to zrobić. W tej sytuacji, rzecz jasna.

Na wspomnienie jej spojrzenia znów poczuł znajomy niepokój, ale zadowolenie, że wymyślił sposób, jak dopiec jej i reszcie tej hołoty, było znacznie silniejsze.

Wprowadził hordę w Słowiańską – nie tylko dlatego, że tędy wiodła najkrótsza droga do więzienia. Zemsta na tym niewdzięcznym bydle miała być dla niego wisienką na torcie. Zwolnił, dojeżdżając do pierwszej bramy zajezdni. Poczekał, aż nieumarli obleżą transporter, zablokują ulicę przed maską. Spoglądał przy tym przez otwarty właz w dachu kabiny na ściany górujących nad nim kamienic, na pootwierane okna. W kilku dostrzegł blade, wylęknione twarze.

– Tak, bójcie się, nędzne szczury, kryjcie się w tych swoich cuchnących norach. Zostawię wam tutaj coś pięknego na pamiątkę naszego spotkania! – wyrzeszczał, zanim ponownie puścił sprzęgło.

Silnik zawył, wchodząc na wyższe obroty. Moc tej maszyny była niesamowita. Wóz przebijał się przez zbitą masę ludzkich niegdyś ciał jak kombajn przez łan zboża. Większość odmieńców blokujących drogę dostała się między koła, gdzie niewiele im groziło, niemniej transporter chwiał się nieustannie, miażdżąc tych, którzy stali na wprost szerokich opon.

Sprycha powtórzył ten manewr u wylotu Krętej, by zostawić dawnym sąsiadom jak najwięcej pamiątek. Żywe trupy zregenerują się za jakiś czas. Za godzinę, może dwie, większość znów stanie o własnych siłach, jak ten wypatroszony zdun, którego zobaczył, schroniwszy się w zajezdni. W swojej masie skutecznie zablokują całą ulicę. *Pokazałem im, jak ją oczyścić, niech więc to zrobią ponownie, tym razem sami.* Rozkoszował się wizją robactwa próbującego powtórzyć jego sukces. Nawet Okrutny będzie miał problem z ich ewakuacją, o ile zdoła tutaj dotrzeć.

Do wylotu Ołbińskiej doprowadził ze dwa tysiące nieumarłych. Ucieszył go widok pustego wiaduktu. Oba wabiki spadły, zanim zdążył tu dotrzeć, i dobrze, nowe masy żywych trupów wynurzyły się z Trzebnickiej, wyczuwszy kolejną ofiarę. W jednej

chwili powiększył swoją armię dwukrotnie, a to przecież jeszcze nie koniec.

Chciał zagarnąć także tych, którzy uciekli z dworca, na całkiem spory, trójkątny skwer naprzeciw, zatem skręcił z ulicy i przez chodnik dostał się na alejkę. Sunął wolno, ciesząc oczy kolejnymi setkami nieumarłych, którzy ruszali w kierunku transportera. *Jeśli dodam tych, których Okrutny sprowadził pod więzienie...* Zombie zaleją cały pierdel, będzie miał ich tylu, że wypełnią teren za murem jak woda sagan.

Od niewidocznego jeszcze wylotu Reymonta dzieliło go mniej niż dwieście metrów – Fabian sprawdzał co chwilę swoje położenie, zerkając na zdobytą przez Saternusa mapę – a zaledwie przecnicę dalej trafi na mur otaczający to przekłete więzienie. Sforsuje go na wprost budynku dyrekcji, pod oknami tego pieprzonego dryblasza, po czym wprowadzi hordę aż za Babiniec i plac, na którym dopiero co stracił tylu fajnych chłopaków. Tam przebiję się ponownie na zewnątrz i przyspieszając nieznacznie, urwie się nieumarłym. Wszyscy zostaną na terenie więzienia. Tysiące złaknionych krwi bestii, które odbiorą Okrutnemu jego królestwo, a temu całemu Biedrzyckiemu doskonały przyczółek do oczyszczenia tej dzielnicy. *Niech się pomęczą, jeśli naprawdę chce ratować to bydło.*

Taki miał plan i był już bardzo bliski jego realizacji.

* * *

Anna miała szczęście. Bandyta pojawił się przy transporterze tylko na chwilę, odpalił go, po czym wygrzebał coś ze stosu narzędzi i natychmiast wrócił na tory. Ten niespodziewany wypadek dał jej czas na zrealizowanie powziętego planu. Zanim oprych znów się pokazał, zdążyła zrobić swoje i ukryć się za halą remontową, skąd obserwowała bacznie, jak zniknął w części biurowej, do której polazł kilkakrotnie po jakieś toboły i torby. Znosił to wszystko na tył wozu pancernego i znów kierował się do budynku. Ze stojącego obok stara przeładował też wcześniej cały alkohol. Szkło brzęczało w charakterystyczny sposób, gdy

wsuwał na pakę skrzynki wódki i piwa. W końcu wsiadł do szoferki i zatrzasnął opancerzone drzwi. Pojazd ruszył wolno, lecz z każdym obrotem potężnych kół poruszał się z większą prędkością.

Do czasu.

Pani Łojek stała za węglem hali remontowej, odprowadzając go wzrokiem i nie kryjąc się specjalnie. Teraz nie miało to już znaczenia. Może nawet chciała, by drań ją zauważył. By wiedział. Po to właśnie pomachała mu upapraną ręką. Zdziwiła się jednak, gdy zobaczyła, że transporter zaczyna zwalniać. Nie spodziewała się takiej reakcji po kimś, kto ucieka. Zanim BTR zdążył się zatrzymać, zniknęła za załomem ściany, tam przyśpieszyła, biegnąc między halą a ogrodzeniem przez chaszczę i wysokie na metr pokrzywy, aby jak najszybciej oddalić się od miejsca, w którym ją wypatrzył. Miała nadzieję, że nie podejmie pościgu, i nie pomyliła się. Zanim dotarła na przeciwległy kraniec hali, usłyszała, że motor wojskowego pojazdu zwiększa obroty. Była bezpieczna.

Nie zdziwiło jej, że bandzior jedzie prosto na mur. Zdawała sobie sprawę, że nie jest głupcem i że najpierw sprawdzi, jak zachowa się jego wóz w starciu z mocnym ogrodzeniem. Gdy test wypadł pomyślnie i BTR wytoczył się na nieużytki, znów zwalniając, pani Łojek opuściła kryjówkę i w te pędy pobiegła na tory, modląc się, by nie było za późno.

Zbliżyła się bardzo ostrożnie do leżących postaci.

– Jesteś tam jeszcze, Paulinko? – zapytała.

Odpowiedź nie nadeszła, ale ciche rżenie mężczyzny leżącego na zmasakrowanej dziewczynie ośmieliło ją motorniczą. Skoro ten bandzior jeszcze nie zdechł, to i jego ofiara musiała dychać. Chwyliła rannego za nogę i pociągnęła, próbując oswobodzić uwięzioną pod nim sąsiadkę. Bezwładne ciało nieprzytomnego Magdziarka okazało się jednak za ciężkie, a przygnieciona dziewczyna zawyła z bólu, gdy brodacze w pokrytym zaskorupiałą krwią podkoszulku przesunął się po jej brzuchu o kilka centymetrów. Na szczęście Anna była nie w ciemnym bita.

Jak nie siłą go, to sposobem.

Złapała konającego bandziora za rękę, modląc się, by jej wysiłki nie odebrały mu życia. Nie dlatego, że miałyby go na sumieniu, choć jako osoba wierząca doskonale wiedziała, czym jest piąte przykazanie i grzech śmiertelny. Drżała z obawy o życie własne i Pauliny. Gdyby go wykończyła, trzymając wciąż za rękę, zginęliby wszyscy troje, i to w okamgnieniu.

Udało jej się go obrócić. Leżąc na plecach obok Bugielówny, charczał jeszcze głośniejsze i przeraźliwiej, jakby dławił się własną krwią, jednakże Anna nie zwracała na niego uwagi. Zajął się dziewczyną, chwycił ją ostrożnie pod ramiona i odciągnął dwa metry dalej, przyglądając się przy okazji jej obrażeniom. Zmasakrowana twarz, połamane nogi, przemieszczone barki, brzuch cały we krwi, nie wiadomo jednak, czy należącej do Pauliny czy tego drania z młotkami. To, co Sprycha zrobił temu nieszczęsnemu dziecku, wołało o pomstę do nieba.

– Wytrzymaj, skarbie – poprosiła, ponownie chwytając dziewczynę pod pachy i próbując ignorować jej wycie. Ucieszyła się, gdy Paulina zamilkła w pewnym momencie, straciwszy przytomność. *To oszczędzi jej dalszych cierpień*, uznała. – Muszę odciągnąć cię jak najdalej od niego. Żeby nas nie wyczuł, gdy się przemieni – tłumaczyła rannej, choć ta już jej nie słyszała. – A tamtym drugim się nie przejmuj, złotko. Zapłaci za wszystko, co zrobił. Bóg mi świadkiem. Trzymaj się, skarbie, jeszcze tylko dwa, trzy kro... – Zamilkła w pół słowa.

Nagle pociemniało jej przed oczami, nogi ugięły się pod nią, jakby były z waty. Usiadła na ostrych kamieniach, którymi wysypano całe torowisko, lecz nie miała nawet siły, by jęknąć z bólu, który słabł tak szybko, jakby coś go wysysało z jej ciała. Noc nagle stała się jeszcze ciemniejsza, wszystko wokół bledło, gasło. Nieliczne gwiazdy, szarość rodząca się dopiero na wschodzie. Nieskończony mrok pochłaniał świat.

W ostatnim przebłysku świadomości rozumiała, co to znaczy. Chciała krzyknąć, ale z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk. Zamarła z opuszczoną głową, zawisała nad twarzą leżącej na jej udach martwej dziewczyny, jednakże po paru sekundach znów drgnęła, wyprostowała plecy, chwiejnie, jakby niepewnie,

i niemal natychmiast zaczęła pełznąć w stronę leżącego kilka metrów dalej ciemnego kształtu, w którym trudno było rozpoznać człowieka. Oswobodziła się szybko od przygniatającego ją ciężaru, zdzierając skórę i ciało z obu dłoni o szorstkie kamienie, lecz nie przerwała mozolnego czołgania, dopóki nie wpiła się zębami i połamanymi pazurami w tkanki dogorywającego bandyty. Magdziarek musiał to poczuć, przynajmniej przez ten krótki moment, albowiem jego ciało wyprężyło się, jakby przeszył je prąd.

Anna dopadła go jako jedyna, ponieważ wstającą z martwych Bugielówna potrzebowała czasu, by zregenerować zmiażdżone stawy.

* * *

Mniej więcej pośrodku skweru Sprycha poczuł swąd. Jakby guma się paliła. Co gorsza, silnik zaczął nagle wydawać dziwne dźwięki. Wozem trzęsło, jak gdyby jechał po wykrotach, a nie zwirową aleją pomiędzy zadbanymi trawnikami. Fabian natychmiast wyrwał się z zamyślenia. Zapomniał o snutych planach i przestał napawać się perspektywą tak bliskiej i – nomen omen – okrutnej zemsty. Coś było nie tak. Ten pieprzony Jakuza wcale nie naprawił BTR-a!

Nie, zaraz, przecież to nie kwestia biegu... Coś działo się z silnikiem, choć Sprycha, pomny wcześniejszej nauczki, nie forsował go wcale tak bardzo, jak by mógł.

Zwolnił jeszcze bardziej, ale to niewiele pomogło. Smród spaleniźny był coraz trudniejszy do zniesienia, a wstrząsy silniejsze. Zatrzymał więc transporter, wyrzucając bieg na luz. Miał nadzieję, że tym uratuje albo chociaż poprawi sytuację. Mylił się. Motor mimo zmniejszenia obrotów zachowywał się jak serce zawałowca. Blachy maski, grube pancerne płyty, podskakiwały bez przerwy, jakby coś uderzało w nie od spodu. Jeszcze kilka charknięć i rozległ się głośny łomot, po którym maszyna wierzgnęła po raz ostatni i zamarła.

– Kurwa mać... – zaklął poblady ze strachu Fabian.

Na nic zdały się próby ponownego odpalenia, zrezygnował

z nich zresztą po krótkiej chwili, widząc, że spod maski wydostaje się z sykiem gęsty biały dym. Chwycił się za głowę, usiłując dociec, jaka może być przyczyna tej awarii, jednakże zbyt mało wiedział o motoryzacji, by zrozumieć, że właśnie zatarł pozbawiony oleju silnik. Nieświadom tego faktu, postanowił odczekać minutę, najwyżej dwie, i jeszcze raz spróbować, gdy motor nieco przestygnie. Wydawało mu się, że to wystarczy, ale znów się mylił.

Wtedy wreszcie dotarło do niego, że siedzi w zimnym trupie, pozbawionej napędu skorupie, która utknęła w samym środku...

Stanął na fotelu, by wyrzucić przez górny właz. Wokół widział tylko korony drzew i rozlewające się pod nimi, falujące morze szarych twarzy. Gdyby nie kombinował, tylko od razu zaczął uciekać, ledwie zauważył, że coś jest nie tak, być może miałyby jakieś szanse. Być może przedarłby się przez ten trawnik, między nie tak znów gęsto rozstawionymi żywymi trupami, i dotarł do którejś z widocznych w oddali kamienic. Teraz nie było o tym mowy. Otaczało go co najmniej pięć tysięcy nieumarłych, tworzących pierścień szeroki na ponad sto metrów, sięgający drzew okalających skwerek, a nawet dalej. Tymczasem z gmachu dworca wylewały się nieustannie rzesze pobratymców tych bestii, które tu sprowadził.

Rozglądał się jeszcze przez dłuższą chwilę, rozpaczliwie szukając jakiegokolwiek rozwiązania, wszakże nie był w stanie go znaleźć, ponieważ nie istniało. Znalazł się na samym dnie piekieł, otoczony ze wszystkich stron przez bezmyślne potwory, które łaknęły jego krwi. Na razie, tutaj, za pancernymi burtami, był bezpieczny, ale cóż warto było to poczucie, skoro miał tylko kilka konserw i słój ogórków, a jego prześladowcy nie liczyli czasu, mogli tu sterczeć do usranej...

W tym momencie uświadomił sobie, że nikt i nic nie zdoła go uratować, ale natychmiast odrzucił tę myśl.

Dopóki żyję, jest szansa, wmawiał sobie w duchu. Najważniejsze to się nie poddawać. Ten świat miał należeć do mnie i będzie należał.

Opadł na fotel, rozwścieczony walnął pięścią w kierownicę.

– Dlaczego? – zawył. – Dlaaczeegoo?!

I nagle w jego uszach rozległy się słowa wysyczone przez Zielińską. „Ty gnoju parszywy! Żebyś tak zdychał w bólach przez wiele dni!” Zanim przebrzmiały, naszła go wizja, której towarzyszył znajomy dreszcz. Ta kobieta z zajezdni... Jej uśmiech nie dawał mu spokoju. I coś jeszcze. Dłoń, którą mu pomachała. Cała czarna, pokryta czymś lepkiem, błyszczącym. Uczyniła ten gest, jakby chciała dać mu znak, ale na tyle dyskretnie, żeby zrozumiał jego znaczenie, gdy już będzie za późno...

*wtorek, 13 sierpnia 1963, godzina 07:28
cmentarz Świętego Wawrzyńca*

Ludzie oddelegowani przez Biedrzyckiego do obrony więzienia wrócili motorówkami na Wielką Wyspę. Żołnierze zostali odwiezieni do swoich jednostek, a marynarze do wytwórni filmowej, gdzie z miejsca stali się bohaterami dnia. Pozostali ocaleni otoczyli ich zaraz szczelnym kręgiem, wypyując o szczegóły akcji, która – w relacji znanych ze skłonności do przesady matrosów – szybko urosła do rozmiarów epickiego starcia tytanów. Cokolwiek naopowiadali innym, jedno było pewne: dzięki ich wydatnej pomocy pojmano dziewięciu groźnych bandziorów, nie ponosząc przy tym żadnych strat. Dziesiątego, ponoć nieznanego funkcjonariuszom służby więziennej i wystawionego jak kaczką, postrzelił snajper. Co stało się z resztą gangu, tego nikt nie wiedział, w każdym razie o ucieczce Sprychy nie mówiło się głośno, ponieważ – przynajmniej z punktu widzenia buńczucznych marynarzy – był to mało ważny szczegół operacji.

Te same motorówki, które wysłano po ochotników, przerzuciły w pobliżu mostu Warszawskiego trzyosobowy patrol, mający na celu rozpoznanie sytuacji w Browarze Piastowskim. Biedrzycki nie przypuszczał, by szef gangu i jego pomagierzy wybrali to właśnie miejsce na swoją nową kryjówkę, ale wolał dmuchać na zimne. Ludzie, których wybrał do tej misji, zostali więc poinstruowani, że mogą strzelać bez ostrzeżenia. Pozwolono im na wyeliminowanie każdego przeciwnika, na którego trafią. Gdyby jednak okazało się, że browar nie trafił w ręce bandytów, patrol miał się udać torami w głąb miasta na kolejny zwiad, tym razem w okolicach zajezdni tramwajowej.

Schwytanych bandytów pozostawiono chwilowo w więzieniu pod pieczę Okrutnego i jego nielicznych podwładnych. Na rozkaz

majora Biedrzyckiego zostali najpierw skuci, a potem fachowo związani, tak by nie mogli ani drgnąć. Nie oszczędzono tej przyjemności nawet Saternusowi, z tym że zaraz po opatrzeniu rany postrzałowej na podudziu otrzymał sporą dawkę środków uśmierzających ból, które totalnie go otępiły.

Pojmani trafili na tyły zakładu karnego, pod mur, opodal tylnej bramy więzienia, skąd nie ruszono ich nawet wtedy, gdy zaczął padać rzęsisty letni deszcz. Mieli tam czekać na przenosiny. Nikt z nimi nie rozmawiał, nikt też nie reagował na ich wrzaski i wyzwiska.

Niespełna godzinę po odpłynięciu żołnierzy i marynarzy do skąpanego ulewą brzegu naprzeciw szpitala psychiatrycznego przybiły cztery kolejne motorówki. Na ich pokładach znajdowali się tylko sternicy – znani już załodze więzienia podporucznik Nizner, porucznik Mawet i doktor Bojczewski oraz jedyna nowa postać w tym zespole, dowodzący nimi kapitan Bernaciak.

Na mocy wcześniej wydanego rozkazu przejęli wszystkich więźniów, a gdy ci znaleźli się na pokładach niewielkich jednostek pływających, unieruchomieni tak, by nie mogli próbować ucieczki czy też samobójstwa, czekający na brzegu okryty brezentową pałatką zastępca Biedrzyckiego zastąpił drogę przemoczonemu do suchej nitki Okrutnemu.

– Zaczekajcie – rzucił beznamiętnym tonem. – Płyniecie z nami.

– Mogę się chociaż pożegnać z żoną? – zapytał Wojciech.

– Nie.

Ta krótka, stanowcza odpowiedź zaskoczyła zastępcę naczelnika więzienia. Nie protestował jednak, ponieważ miał pełną świadomość popełnionych czynów i tego, że przyjdzie mu ponieść ich konsekwencje, które nie będą małe. Tyle że... Liczył na bardziej ludzkie traktowanie ze strony wojskowych. Wszakże sytuacja nie należała do normalnych, a on nie miał innego wyjścia, jak pogodzić się z losem. Aczkolwiek żał pozostał.

– Patryku, powiedzcie Lucynie, że... – zawahał się.

Nie chciał, by to, co przekaże żonie, zabrzmiało melodramatycznie, choć liczył się z faktem, że może już tu nie wrócić. Zginęło przez niego tak wielu ludzi, że nie zdziwiłby się

specjalnie, gdyby sąd polowy postawił go przed plutonem egzekucyjnym.

– Bez obaw, towarzyszu kapitanie, wiem, co powiedzieć – zapewnił go podwładny.

– Przejmiecie obowiązki dowódcy do czasu... – Okrutny znów się zająknął – ...wyznaczenia mojego następcy.

Zasalutowali obaj równocześnie, sztywno, regulaminowo, jakby znów byli żołnierzami, po czym Rojewski ruszył w stronę więzienia, prowadząc Matusiaka i resztę ochotników, którzy przyciągnęli na brzeg Odry pojmanych oprychów, nie szczędząc im po drodze kuksańców i kopniaków. Wszyscy już słyszeli o „wyczynach” Gangu Sprychy, zatem nie było w Iksie i Babińcu człowieka, który nie miał ochoty obedrzeć jego członków ze skóry, choćby gołymi rękami. Ochotnicy maszerujący w kierunku wału przeciwpowodziowego żywili więc nadzieję, że wojsko nie będzie się z tymi draniami patyczkowało.

Mniej więcej wtedy ze wschodu dobiegły echa pierwszych strzałów, ale nikt nie zwrócił na nie uwagi. Trwająca od rana do zmierzchu kanonada stała się dla ocalonych czymś tak powszednim, jak przed wybuchem epidemii warkot samochodowych motorów albo turkot sunących po torach tramwajów.

* * *

W czasie krótkiego rejsu nikt nie odezwał się słowem, nawet więźniowie stracili rezon i leżeli potulnie, twarzami do pokładu, z rękami na plecach, unieruchomieni dodatkowo sznurami łączącymi więzy rąk i nóg.

Sternicy ożywili się dopiero wtedy, gdy pierwsza łódź zaczęła zwalniać, co nastąpiło daleko od celu, niedługo po minięciu tamy wlotowej kanału powodziowego, prawie czterysta metrów od widocznego w oddali, wysadzonego fachowo przęsła mostu Szczytnickiego. Co ciekawe, motorówki nie przybiły do brzegu Wielkiej Wypsy.

Na szerokiej łące czekało trzech mężczyzn. Szczupły i wcale nie taki stary, jak mogłoby się wydawać, major, niższy od niego o pół

głowy łysiejący cywil i nie odstępujący dowódca na krok sierżant radiotelegrafista.

Biedrzycki zerknął na pokład najbliższej cumującej motorówki, potem przeniósł wzrok na wysoki i dość stromy wał ukoronowany rzędem rozłożystych dębów.

– Będziemy ich przeprowadzać pojedynczo – zdecydował, ignorując na razie obecność zastępcy naczelnika zakładu karnego. – Rozkujcie mu nogi i poluzujcie te dodatkowe sznury, żeby mógł iść o własnych siłach – wskazał leżącego przy prawej burcie Ulfiga.

Odpowiadający za tę łódź Mawet, do którego dołączył Nizner, zastąpiony chwilowo przez nieznanego Okrutnemu cywila, wykonali polecenie przełożonego, po czym założyli na szyję opierającego się bandyty chwytak, wykonany na wzór tych więziennych, którymi doprowadzano nieumarłych na spaceriak. Zaciśnięta na krtani pętla skutecznie pacyfikowała prowadzonego zbira. Zwłaszcza że trawa była śliska od deszczu. Kilka razy został mocniej podduszony, choć nie zawsze ze swojej winy.

Chwilę później zomowiec i żołnierz wrócili po Maruta. Biedrzycki obserwował ich krzątanie ze stoickim spokojem, nie poganiając, nie pouczając, jakby nigdzie mu się nie śpieszyło. Dopiero godzinę później, gdy ostatni więzień zniknął za szczytem wału, major skupił wzrok na oczekującym z kamienną twarzą oficerze służby więziennej. Na łące zostali już tylko Biedrzycki, cywil i Bernaciak. Bojczewski wspiął się na wał zaraz po tym, jak pilnowana przez niego łódź została opróżniona, a odesłany radiotelegrafista właśnie zniknął pomiędzy dębami.

– Kapitanie Okrutny... – Major zaprosił go gestem do zejścia na brzeg.

Wojciech wykonał polecenie. Przeskoczył z chybotałowej łodzi na kamienie przy brzegu, rozchlapując wodę, ale było mu to obojętne, ponieważ w odróżnieniu od żołnierzy nie dysponował nieprzemakalną pałatką i od bardzo dawna czuł, jak zimna deszczówka spływa mu strumykami po plecach. Mundur był tak nasiąknięty wodą, że ważył w tym momencie więcej niż

średniowieczna rycerska zbroja.

Okrutny stanął dumnie wyprostowany naprzeciw trójki, która – jak się domyślał – stanowiła wspomniany wcześniej przez Niznera sąd polowy.

– Zdajecie sobie sprawę z powagi ciężących na was zarzutów? – zapytał bez wstępów Biedrzycki.

– Tak.

– Przyznajecie się do winy?

– Tak.

– Wiecie, że nie mieliście prawa wypuszczać na wolność więźniów?

– Wiem.

– Rozumiecie, że odpowiedzialność za wszystkie zbrodnie popełnione przez gang spada na was?

– Rozumiem i jestem gotów ponieść konsekwencje – odparł Okrutny pełnym zdaniem.

– Świetnie – podsumował major. – Skoro wszystko jest jasne, nie widzę sensu przeciągania tego posiedzenia. Stańcie tutaj – wskazał Okrutnemu skraj niewielkiego cypelka. – Kapitanie Bernaciak, odczytajcie, czy tam ogłosicie, oskarżonemu wyrok.

Zastępca Biedrzyckiego odchrząknął, by oczyścić krtań.

– W imieniu... – zaczął pompatycznie, ale zaraz umilkł. – W czyim właściwie imieniu wydaliśmy ten wyrok? – zapytał niepewnym tonem, odwracając się do przełożonego.

– Na pewno nie Polski Ludowej, bo ta już nie istnieje – mruknął cywil.

– Fakt – przyznał strapiony major.

– To może nazwijmy jakoś naszą organizację? – zaproponował kapitan.

– To my mamy jakąś organizację? – zdziwił się Biedrzycki.

– Nooo... w sumie tak. Tworzymy konkretny związek taktyczny, a nawet więcej. Z tego, co wiem, jesteśmy jedyną nadal operującą jednostką wojskową w tym regionie, a może nawet w całym kraju.

– Tego się trzymajmy – zaproponował cywil. – Co powiecie na... Wojskową Radę Ocalenia Narodowego?

– Dajże spokój, Krzychu – obruszył się major. – Jak to brzmi? I ten skrót: WRON, może jeszcze dokombinuj jakieś słowo na literę A, żeby było śmieszniej.

– Panowie, czy to naprawdę takie ważne? – Okrutny posłał im ponure spojrzenie.

– Bez procedur nie ma porządku, a jak nie ma porządku, to cała reszta systemu się sypie – odpowiedział za żołnierzy ten, którego major nazwał Krzychem.

– Szczerze mówiąc, wszystko, co mogło nam się posypać, już się posypało – zauważył nie bez racji podsądny.

– Kapitan Okrutny chce nam chyba powiedzieć: „Kończ waść, wstydu oszczędź” – wtrącił cywil, także poirytowany przeciągającą się wymianą zdań.

– Dobrze. – Bernaciak stanął prościej. – W takim razie ogłaszam, że sąd polowy w składzie: major Biedrzycki, kapitan Bernaciak oraz młodszy asystent sekretarza Wojewódzkiej Rady Narodowej, Krzysztof Niesyto, reprezentujący obecnie najwyższe władze cywilne i wojskowe, skazuje was za wcześniej wymienione i nie wymienione czyny na karę śmierci przez rozstrzelanie! – zakończył, podnosząc głos.

Okrutny przełknął ślinę. Spodziewał się surowego wyroku, nawet zdążył się pogodzić z myślą o nim, ale usłyszenie takich słów to zupełnie inna sprawa. Nie obleciał go jednak strach. Świadomość tego, jak wiele krzywd zostało wyrządzonych mieszkańcom Wrocławia z jego winy, była tak przytłaczająca, że śmierć, nawet pozorna, bo jak inaczej nazwać przemianę w nieumarłego, niosła pocieszenie, ulgę wręcz.

Podniósł więc czoło, by spojrzeć w oczy stojących przed nim sędziów.

– Jakieś ostatnie słowo? – rzucił Biedrzycki.

– Moglibyście skuć mi ręce i nogi? – zapytał osądzony po chwili wahania. – Duży jestem. Będziecie mieli mniej kłopotu z zapanowaniem nade mną, jak już się przemienię. Nie chciałbym, aby ktoś jeszcze przeze mnie zginął.

– To rozsądna propozycja, ale nie wyrażam zgody.

– Ale...

– Wolimy uniknąć niespodzianek – wyjaśnił Niesyto.

Tak, był roślejszy od nich wszystkich, silniejszy, a teraz, po ogłoszeniu najwyższego wyroku, mógłby przecież czegoś próbować – nawet bez broni palnej stanowił ogromne zagrożenie dla osoby, która do niego podejdzie.

– Rozumiem.

– Chcecie się odwrócić? – zapytał Bernaciak.

– Nie.

– Przepaska na oczy?

– Nie trzeba.

– W takim razie... – Obaj wojskowi unieśli broń, odbezpieczając ją z charakterystycznymi kliknięciami.

Wojciech uniósł wzrok ku szaremu całunowi pokrywającemu niebo, poczuł, jak krople ciepłego deszczu rozbryzgują się o policzki i powieki. Jedyne, czego żałował, to niemożność pożegnania się z żoną. Dlaczego na to nie zezwolili, opóźnienie wyniosłoby góra kilka minut.

Nie otwierając oczu, zastanowił się, czy przed śmiercią usłyszy huk wystrzałów. Nie tych, które rozlegały się co rusz za jego plecami...

Usłyszał. Oba, ponieważ padły nierówno, ale na tyle szybko po sobie, by złąć się w jeden ogłuszający huk.

* * *

Biedrzycki stanął nad rozkopanym grobem obok doktora Arendzikowskiego. W głębokim na ponad metr dole zobaczył Zgorzelskiego, sypiącego ziemię do wiader, które trzymani na muszce Sójka i Janiczek wyciągali pośpiesznie na powierzchnię i opróżniali na sąsiedni nagrobek. Trzej inni bandyci, trzymani na muszce przez Niznera, rozkopywali grób w sąsiedniej alejce. Reszta gangu, niemiłosiernie ubłocona i ponownie skuta, przyglądała się temu wszystkiemu z ponurą determinacją, klęcząc pomiędzy granitowymi nagrobkami, oczywiście pod czujnym okiem Maweta, który nie oszczędzał świeżo wypastowanych butów, by uświadomić im, że każda próba ruchu czy rozmowy zakończy się bardzo boleśnie.

– To było okrutne, jeśli mogę tak powiedzieć – mruknął lekarz, gdy zobaczył obok siebie majora.

– Ale konieczne. Drań narobił swoimi nieprzemyślanymi decyzjami takiego gnoju, że szkoda gadać.

– To prawda, ale mogliście załatwić sprawę w bardziej cywilizowany sposób... – Wskazał głową ponurego jak otaczające go nagrobki zastępcę naczelnika więzienia, stojącego ze spuszczoną głową jakieś trzy kroki od nich.

Kapitan nie wyglądał na zadowolonego z faktu, że obie wystrzelone w jego kierunku kule przeszły powietrze.

– I kto to mówi – burknął Biedrzycki, wypominając lekarzowi to, po co tu przyłączyli. – Drań dostał nauczkę, a o to przede wszystkim chodziło. Poza tym sam już nie wiem, czy nie lepiej byłoby go zastrzelić. Życie ze świadomością, jak potwornie dał ciała i jak wielu Bogu ducha winnych ludzi skazał na niewyobrażalne cierpienia, na pewno nie będzie łatwe.

Arendzikowski przytaknął. Zdziwił się, usłyszawszy, jaką karę przygotowano dla człowieka kierującego więzieniem. Nie dyskutował jednak z Bartkiem, ponieważ o wiele bardziej interesowali go pojmani bandyci i zezwolenie na użycie ich do eksperymentu, który właśnie przeprowadzano, oczywiście potajemnie, po drugiej stronie Odry, z dala od wścibskich oczu i uszu, w przylegającej do ogródków działkowych części cmentarza Świętego Wawrzyńca.

Doktor zamierzał sprawdzić teorię Maweta, a major przystał na to, by oddać mu zbirów, gdyż chciał pozbyć się ich w możliwie jak najboleśniejszy sposób. Doszli więc do porozumienia, że za pomocą gangsterów sprawdzą, czy ludzie zmarli przed wybuchem epidemii także mogą powstać z martwych. W tym celu Bojczewski wybrał się wcześniej z pierwszą turą motorówek płynących do więzienia, ale opuścił pokład tuż za mostem Szczytnickim, nie mówiąc przewożącym go żołnierzom, gdzie i po co się udaje.

Miał za zadanie sprawdzić, czy teren cmentarza jest czysty, a co ważniejsze, wybrać trzy groby, w których pochowano ludzi zmarłych przed trzema miesiącami, rokiem oraz dwoma laty. Nie

jakichś przypadkowych nieboszczyków, lecz bardziej prominentnych, którzy na pewno nie spoczęli w sosnowych ani tym bardziej kartonowych skrzyniach.

Pierwsza trumna, ta zawierająca najświeższe zwłoki, została już odkopana. W drugim i trzecim grobie prace postępowały w zadowalającym tempie pomimo padającego wciąż, coraz bardziej ulewnego deszczu.

Łopata Zgorzelskiego uderzyła właśnie w coś twardego. Kilka minut później wieko kolejnej trumny ujrzało światło dzienne. Deszcz zmywał resztki piaszczystej gleby z grubej, politurowanej dębiny, gdy Marut i Janiczek pomagali wyjść po linie ubłoconemu Zgorzelskiemu. Cała trójka moment później została ponownie związana i unieruchomiona. Początkowa obawa bandytów, że żołnierze każą im kopać groby dla siebie, powoli zniknęła.

– Jak tam u was? – zawołał Bartek, odwracając się do stojącego kilka kwater dalej podporucznika.

– Jeszcze chwila, majorze. Tak z dziesięć, piętnaście wiader.

– Mam ich pogonić? – zapytał z nadzieją w głosie Mawet.

Jego ekipa rozkopała grób w ekspresowym tempie, zatem nudził się teraz okropnie, a że nie cierpiał takiej pogody, stawał się coraz bardziej zmierzły i niecierpliwy.

– Nie trzeba.

Biedrzycki ustalił z Arendzikowskim wszystkie detale tej operacji. Przygotował sprzęt i wybrał ludzi – trafili tutaj tylko ci, z którymi zomowiec podzielił się wcześniej swoimi przemyśleniami, a to dlatego, że ich ewentualne potwierdzenie miałyby poważny wpływ na dalszy rozwój wydarzeń. Major bał się, że jego podwładni, zwłaszcza co bardziej prości i zabobonni, zaczną masowo dezertować, uznawszy, że sprawa jest z góry przegrana, skoro na ziemię spadł dopust boży i Sąd Ostateczny jest tuż-tuż, a oni jako ludzie wierzący nie powinni sprzeciwiać się woli Pana. W razie pozytywnego – czy też raczej negatywnego dla ocalałych – wyniku eksperymentu utrzymanie go w tajemnicy przez kolejne kilka tygodni albo miesięcy gwarantowało, że sytuacja będzie rozwijać się dalej w miarę spokojnie.

Ci, którzy przetrwają, przywykną do nowej rzeczywistości,

staną się odporniejsi i hardziejsi i na pewno nie będą przejmować się starotestamentowymi bzdurami. Przyjmą fakt zmartwychwstawania ludzi spoczywających w grobach za kolejną plagę, lecz nie spanikują, po prostu wezmą się do roboty i zapobiegną przykrym skutkom na tyle, na ile to będzie możliwe. W jaki sposób tego dokonają, to już zupełnie inna sprawa. Na razie trzeba było sprawdzić, czy zagrożenie jest realne, pora na snucie konkretnych planów przyjdzie później.

– Gotowe! – zameldował podporucznik.

– Związać ich ponownie.

Bernaciak i Bojczewski pobiegli wykonać rozkaz. Gdy wszyscy gangsterzy zostali ponownie ustawieni w szeregu, Arendzikowski podszedł do pierwszego z rozkopanych grobów.

Jego asystent stanął nad wykopem w szerokim rozkroku. Bosakiem sięgnął do krawędzi wieka trumny, zaczepiając hak o wystający fragment. Podważenie na wpół zbutwiałego drewna nie nastęrczyło większych problemów, tak więc wkrótce zebrani nad półtorametrowym dołem oficerowie zobaczyli rozdętą, na wpół rozłożoną i potwornie cuchnącą masę, z grubsza tylko przypominającą człowieka.

– I jak? – zapytał natychmiast Bartek.

– Sądząc po wyglądzie zwłok, w normie – odparł lekko nieobecny tonem Arendzikowski.

– Spójrzcie! – Bojczewski wskazał końcówką bosaka zapadniętą jamę brzuszną, w której leżała cała masa białych robaków.

Żaden się nie ruszał, co stwierdzili, poświeciwszy sobie latarkami.

– Szlag – mruknął Arendzikowski.

– Zaczynamy? – zapytał Mawet, stając za doktorem.

– Zaczynamy.

Zomowcowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Podszedł do szeregu klęczących bandytów i chwycił pierwszego z brzegu za rękę, pociągnął za sobą. Pozostali, trzymani na muszce i spętani tak mocno, że nie mogli choćby drgnąć, natychmiast zaczęli krzyczeć. Jedni klęli na czym świat stoi, inni biadolili, a Szczygło... Szczygło wył jak opętaniec albo chore zwierzę.

Mawet nie obejrzał się nawet. Rzucił Nerynka na ziemię tuż obok grobu, aby Bojczewski, który zdążył się już wygramolić na powierzchnię, mógł przewlec linę przez specjalnie zrobione w więzach pętle. W tym czasie zomowiec rzucił stojącemu trzy kroki od niego Okrutnemu grube rękawice, takie same, jakie sam zakładał.

Kapitan spojrział na niego spode łba.

– Co, tańczący telegram mam wam wysłać z zaproszeniem? – zapytał kąśliwym tonem porucznik.

– Ruszcie się! – ponaglił ich obu major.

Dźwignęli nielekkiego wcale bandytę, jakby był dzieckiem. Obaj rośli, barczyści, sił mieli za dwóch.

– Co wy, kurwa, robi... – Nerynk zamilkł w pół słowa, gdy zobaczył, co znajduje się na dnie rozkopanego grobu.

Zomowiec i Okrutny zaczęli go opuszczać, bardzo wolno, ostrożnie, twarzą w dół, nie zważając na kolejne wrzaski, a te były coraz głośniejsze i wulgarniejsze z każdym decymetrem pokonywanej przestrzeni. Gdy liny nagle utraciły sprężystość, krzyki urwały się jak nożem ucięte. Nerynk przestał się też szarpać.

– Stracił przytomność? – zapytał major, pochylając się mocniej nad grobem.

– To możliwe – przyznał Arendzikowski, zachowując się podobnie. – Musimy poczekać...

Trzymający liny poczuli szarpnięcie, po chwili następne, ale z dołu wciąż nie dobiegały żadne dźwięki.

– Chyba jednak nie zemdlał od tego smrodu – skwitował to nagłe ożywienie Mawet.

– Wyciągajcie go! – rozkazał Arendzikowski.

Odmieniony bandyta trafił między sąsiednie nagrobki, a oficerowie i lekarze pochylili się zgodnie nad głębokim wykopem, w świetle latarek obserwując uważnie, co dzieje się ze zwłokami. A działo się, i to sporo. Galaretowate tkanki drżały, jakby ktoś nimi potrząsał. W wielu miejscach pojawiły się bąble, puchące i pękające z cichymi pyknięciami.

– A nie mówiłem? – mruknął Mawet.

- Regeneruje się skurwiel – przyznał zadziwiony Bojczewski.
- Chodźmy, panowie.

Doktor Arendzikowski przeszedł nad kolejny grób, w którym spoczywał człowiek zmarły przed rokiem. Jego trumnę otwarto znacznie łatwiej, ponieważ była mocniej zbutwiała.

- Poruczniku!

Mawet znów ruszył w kierunku skamlących więźniów. Capnął tym razem ostatniego, bardzo wysokiego chudzielca o bujnej ciemnej czuprynie. Ciągnął go po rozmokłej ziemi, nie zważając na nic, zatem oszołomiony Perek krwawił z wielu skaleczeń, gdy został rzucony na ziemię, by założono mu linę, na której zostanie opuszczony na wysuszone zwłoki.

Też krzyczał, błagał, zaklinał ich na wszystkie świętości, ale nie słuchali go, tylko robili swoje. Tym razem, przejęci rezultatem poprzedniego testu, opuszczali bandytę nieco szybciej, upadł więc z głośnym trzaskiem na stos skóry opinającej poźółtkłe kości. Kwilił jak dziecko, próbując odsunąć twarz od trupa, lecz przez trzymające mocno więzy nie mógł tego zrobić.

- Dobry znak – mruknął Arendzikowski, sprawdzając na zegarku upływ czasu, jednakże zanim te słowa przebrzmiały, trucieliel ścichł, a potem, po dwóch, może trzech wierzgnięciach także znieruchomiał.

Po kilku sekundach znów się miotał, ale już w całkowitym milczeniu, jak przed nim Nerynk.

Rzucili go w miejsce, z którego nie mógł nikomu zagrozić, i znów pochyłili się nad grobem, wbijając wzrok w poczerniałe truchło. Nic, żadnych zmian. Arendzikowski popatrzył na Bojczewskiego, a ten odwrócił się, by zmierzyć wzrokiem odmienionego Perka.

- Zmarł ze strachu, czy co? – Mawet otarł twarz z deszczu. – Przynieść następnego?

- Przynieście – odpowiedział zamyślony doktor. – Ale takiego, co ma mocniejsze nerwy i serce.

Zomowiec stanął przed pozostałymi bandytami. Pochylał się nad każdym, patrzył mu w oczy, a przynajmniej starał się to robić, ponieważ większość spuszczała natychmiast wzrok.

W końcu wybrał. Chwycił za kark Kaczmarka i zaciągnął go równie bez pardonowo do grobu.

Bandzior klął jak szewc, kiedy go opuszczali; gdyby choć drobna część jego złorzeczeń miała szansę się ziścić, wszyscy padliby trupem na miejscu, podobnie jak ich rodziny, psy, chomiki, a nawet kanarki i złote rybki, zakładając, że by je mieli. Na szczęście Kaczmarek, choć mocny w gębie, nie był szeptunką, tylko zwykłym złodziejem. Złożony na truchle uniwersyteckiego profesora nie zamilkł, a gdy minęło kilkanaście sekund i wciąż czuł się świetnie, zaczął nawet szydzić z oprawców, jednakże nagle jego głos stał się cichszy, słabszy, język zaczął mu się plątać...

Wyciągnęli go chwilę później, potwierdzając przemianę.

– Wygląda na to, że im dłużej leżą, tym więcej czasu potrzebują na... aktywację? – ni to zapytał, ni to stwierdził Bojczewski.

– Owszem, ale tego poprzedniego załatwił jednak szybciej... – dywagował na głos doktor.

– Być może zaspokoiłszy jego potrzeby na chwilę. Naoczni świadkowie twierdzili, że zombie po dopadnięciu ofiary zamierają na chwilę, jakby potrzebowały czasu na przyswojenie wchłoniętej energii. Mamy dziesiątki podobnych relacji z piątku.

– Niewykluczone – przyznał Arendzikowski. – Trzeci obiekt powinien nam dać odpowiedź na to i kilka innych pytań.

Tym razem Mawet przytachał Szczygłę. Wybrał go po dłuższej niż poprzednio deliberacji, jakby droczył się z coraz bardziej przerażonymi gangsterami.

Drwał, chłop na schwał, milczał w odróżnieniu od poprzedników. Nie rzucał się też, całkiem jakby mu było obojętne, co z nim zrobią. Patrzył hardo w oczy Okrutnego, gdy ten przeciągał linę przez pętlę. Widocznie uznał, że skoro musi odejść, uczyni to z honorem, o ile w ogóle znał takie pojęcie. A może było mu wszystko jedno, ponieważ oszalał ze strachu? Chwilę wcześniej zachowywał się jak szaleniec, wył jak zwierzę, toczył pianę z pyska, wywracał oczami.

Żaden ze stojących przy grobie żołnierzy i lekarzy nie zwracał na niego uwagi. Dla nich był tylko obiektem badań, osobnikiem,

który na własną prośbę wykluczył się z ludzkiej wspólnoty i nie miał do niej powrotu. Szczygło spoczął więc moment później na szkielecie jedynie w paru miejscach obciążonym strzępkami materiału i płatami szarej skóry. Leżał na szczątkach całe dziesięć minut, zanim zaczął się krztusić. Oczy wyszły mu nagle z orbit, zsiniał, jakby nie mógł złapać tchu. Zdziwieni lekarze spojrzeli po sobie, nie wiedząc, czy to atak jakiejś choroby czy może jednak skutek kontaktu z zombie w stanie daleko posuniętego rozkładu.

Nie mając w tej sprawie pewności, uznali, że i jego przypadek wymaga potwierdzenia. Zomowiec stanął przed przeredzonym gangiem. Wyglądał, jakby nie mógł się zdecydować, dwa razy wyciągał rękę, ale rezygnował w ostatnim momencie. W końcu, widząc, jak się próbują kulić, wybuchnął gromkim śmiechem.

– Bawi cię to, psie? – warknął Ulfig.

– Jeszcze jak – odparł porucznik, ocierając z kącika oka kroplę deszczu albo łzę.

– Masz się za lepszego od nas?

– Nie, ale na pewno jestem przystojniejszy. – Rozbawiony zomowiec pochylił się nad Darkiem, lecz wyciągnął z szeregu klęczącego obok Maruta.

– Nie, błagam, nie! – Dusiciel uderzył w zupełnie inne tony niż jego poprzednicy, jednakże cokolwiek by tam sobie mówił, nie miał szans zapobiec egzekucji.

Wytrzymał w dole trzydzieści trzy sekundy, po czym dostał drgawek i skonał.

– Co teraz? – zapytał Biedrzycki, dość nieswój, ponieważ nie pochwalał cech i zachowań, które właśnie brały górę nad jego podwładnymi.

– Teraz pozostaje nam czekać – odparł ze stoickim spokojem Arendzikowski.

– Jak długo?

– Nie wiem. Dla mnie to taka sama nowość jak dla ciebie.

– Ale czego się spodziewasz?

– Regeneracji – skinął głową doktor. – Chcę sprawdzić, jak szybko i jak daleko posunie się ten proces w każdym z trzech

przypadków.

– I co ci to da?

– Dzięki eksperymentowi stwierdzimy, czy trupy mogą powstać z grobów i nam zagrozić. Na razie jestem w stanie powiedzieć jedno. Oni wszyscy tam, pod nami, trwają. Sam widziałeś. Te martwe robale na świeżych zwłokach, przemiana każdego, kto ma krótszą bądź dłuższą styczość z pogrzebanym nieboszczykiem. To wszystko wiedza o kolosalnym znaczeniu dla naszej przyszłości.

– Nie dostaniesz następnych ludzi do swoich eksperymentów – zastrzegł się major.

– Przecież to nie są ludzie – wtrącił przysłuchujący się tej rozmowie Mawet.

– Całkiem jak wy! – wypalił Biedrzycki. – Zachowujecie się, jakby was to bawiło.

Porucznik przestał się uśmiechać, zerknął na wciąż żyjących bandziorów, upewniając się, że go nie usłyszą, a potem spojrzął na Biedrzyckiego z politowaniem, jak na zapóźnione dziecko, któremu trzeba wszystko tłumaczyć.

– Znam takie ścierwa lepiej, niż wam się wydaje, majorze. To, co im robię, nie sprawia mi najmniejszej przyjemności ani satysfakcji, ale ani na moment nie zapominam, że nie wolno nam okazać słabości. Dlatego udaję jeszcze gorszego od nich. Poza tym sami powiedzieliście, że zasłużyli na sto razy gorszą śmierć, niż możemy im zafundować. I nie zgrywajcie świętoszka. Ta pozorowana egzekucja kapitana to niby co było? Jasełka?

Bartek przełknął ten wyrzut. Stali na tyle daleko od członków gangu, że mogli rozmawiać swobodnie bez obawy, że kiedy podniosą głos, któryś oprych ich usłyszy.

– Pohamujcie się w tym udawaniu, proszę – rzucił, kończąc rozmowę.

Zanim przedłużająca się cisza stała się krępująca, z oddali dobiegło wołanie Radtkego.

– Panie majorze! – Trzymający się z dala od rozkopanych grobów radiotelegrafista pokazał uniesione słuchawki. – Mamy kolejny meldunek zwiadu!

– Już do was idę.

Biedrzycki poczuł ulgę, mogąc się oderwać od obrzydliwej jego zdaniem sceny. Wiedział, że ci dranie zasłużyli na karę śmierci po stokroć, ale nadal uważał, że ich egzekucja powinna wyglądać inaczej. Bardziej... humanitarnie?

Z drugiej strony zaczynało do niego docierać, że w nowej rzeczywistości nie ma miejsca na sentymenty. Ludzie, którzy przetrwają dzięki samym sobie, prędzej czy później upodobnią się do tych, którzy klęczeli teraz przed dziwnie cichym Niznerem. Zatracą się, podobnie jak otaczający ich świat. Staną się na powrót drapieżnikami, gotowymi zrobić wszystko, by przeżyć.

– Tu Lew Jeden, odbiór – rzucił w mikrofon, przytykając słuchawkę do ucha.

– Melduje się Zjawa Jeden. Mamy kontakt wzrokowy z celem. Sytuacja wygląda inaczej, niż wynikało to z opisu taktycznego. Pomiędzy mostem Warszawskim a zajezdnią nie natrafiliśmy na żadną horde, natomiast ulica Słowiańska, która została jakoby oczyszczona przez bandytów, nadal jest zapełniona żywymi trupami. Widzimy ich tam co najmniej setkę. W ogrodzeniu zajezdni widnieje spora wyrwa, jakby ktoś sforsował mur wozem opancerzonym, ale od środka, odbiór.

– Przyjąłem, Zjawa Jeden. Realizujcie fazę drugą, bez odbioru.

Oddał słuchawki radiotelegrafiście, który chyba jako jedyny prócz niego zachowywał się wciąż jak człowiek, po czym wrócił do pozostałych.

– Wygląda na to, że Sprycha zwiął z zajezdni, zabierając BTR-a. Pewnie jest już w połowie drogi do Leśnicy – streścił im dopiero co zakończoną rozmowę.

– Dlaczego największym skurwielom zawsze się udaje? – Mawet pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Cieszcie się, poruczniku, gdyby nie to, nie rozmawialibyśmy dzisiaj.

– Bardzo zabawne – warknął zomowiec.

– Zabawniejsze od waszych przekomarzań z bandytami – odciął się major.

– Dajcie spokój! – Arendzikowski wszedł między nich. –

Wszystkich nas dzisiaj ponosi, dlatego najlepiej będzie, jeśli skupimy się na robocie. To jeszcze nie koniec. A ty, Bartek, zrozum w końcu – spojrzał Biedrzyckiemu prosto w oczy – my się tu nie bawimy. Próbuję ocalić nas, to miasto, może nawet znacznie więcej, ale to wymaga ofiar. Lepiej, żebyśmy poeksperymentowali dzisiaj na tych chwastach, niż uczyli się na tragediach dotyczących porządnych ludzi w bliskiej przyszłości. I nie, nie mówię o tym, że chciałbym eksperymentować na kobietach i dzieciach. Mówię o tych wszystkich ocalonych, którzy mogą zginąć przez naszą niewiedzę. Wczoraj wyśmiałyś mnie i każdego, kto by ci powiedział, że zmarli są w stanie powyłazić z grobów, tymczasem sam widziałeś...

– Kończmy to i wracajmy...

– Panie majorze! – Radtke znów wysunął się z za drzewa, pod którym przysiadł z radiostacją. – Zjawa do was!

Tak szybko?

Zdumiony Bartek potruchtał do sierżanta. Po raz drugi złamał regulamin, gdyż to podwładny winien podejść do niego, jednakże rozumiał tego człowieka i za nic nie chciał wciągać go w jeszcze większe bagno.

– Tu Lew Jeden, meldujcie, odbiór – rzucił do mikrofonu nieco zdyszany.

– Tu Zjawa Jeden, weszliśmy na teren zajezdni. Są tu ocaleni. Mówią, że jeden z bandytów, niejaki Szprycha, o ile dobrze zrozumiałem, ściągnął BTR-em hordę na ich ulicę i zanim się oddalił, rozjechał część żywych trupów, żeby ją ponownie zablokować. To było koło czwartej nad ranem, ale mieszkańcy, którzy i tak w większości nie spali, zbiegli na ten widok. Zajezdnia to jedyne w miarę bezpieczne miejsce w okolicy, więc zebrali się tutaj, choć tylko chwilowo, ponieważ obawiają się powrotu bandy...

– Panie majorze!

Biedrzycki zerknął przez ramię na górującego nad nim Okrutnego.

– Tak?

– Może pan sprawdzić, co stało się z kobietami, które bandyci

więzili w budynku dawnej przychodni zakładowej?

Bartek powtórzył pytanie dowódcy zwiadu. Odpowiedź nadeszła natychmiast, wszakże nie taka, jakiej obaj oficerowie oczekiwali.

– Melduję, że wszystkie nie żyją. W budynku, prócz nich, jest też kilku poszukiwanych bandytów. Oczywiście odmienionych. Wiemy co najmniej o dwóch. Z kolei ocaleni dokonali linczu na jakimś chłopaku, który na nich donosił. Powiesili go na kratkach okna przychodni. odbiór.

Dwóch dalszych gangsterów można wykreślić z listy, pomyślał Biedrzycki. Ale biorąc pod uwagę liczbę ofiar po stronie więzionych kobiet, ten sukces był naprawdę drogo okupiony.

– Nie udało jej się – mruknął Okrutny, wyrывая Bartka z rozważań.

– Komu?

– Pauli – wyjaśnił kapitan. – Tej dziewczynie, która przyszła nas ostrzec. Miała wrócić do zajezdni i przekazać brankom, w tym własnej siostrze, że pomoc nadejdzie...

– Rozumiem. – Biedrzycki chciał dodać coś jeszcze, świadom powodów, dla których w głosie kapitana słychać było wyrzut. Te kobiety zginęły po części przez jego przesadną ostrożność. Gdyby tamtej nocy posłał ludzi w ciemno, być może udałoby się je ocalić. Po głębszym zastanowieniu odrzucił tę myśl. Taka akcja, nawet zakończona powodzeniem, spowodowałaby rozdzielenie bandytów, ujęto by lub zabito tylko część, a reszta byłaby teraz wolna i mogłaby terroryzować ocalonych w innych częściach miasta. – Może was to pocieszy, ale nie zginęły daremnie. Załatwiły co najmniej dwóch bandytów – poinformował Okrutnego.

– I tak wpadliby nam w łapy.

– Albo i nie. Na przykład Sprycha prysnął. Najprawdopodobniej w pojedynkę. Zapakował, co mógł, do BTR-a i tyle go widziano. Ponoć pociągnął za sobą całą tę hordeę spod mostu Warszawskiego...

Kapitan zrobił się nagle błydy jak kreda.

– Łączcie z Rojewskim – rzucił w stronę Radtkiego.

Radiotelegrafista spojrział na majora.

– Róbcie, co kapitan każe!

Patryk zgłosił się po trzecim wywołaniu.

– Słuchaj, niewykluczone, że Sprycha chce nam odpłacić za tę pułapkę... – Okrutny wyrzucał z siebie słowa na jednym wydechu. – Zwiął jakiś czas temu z zajezdni. Zabrał BTR-a i pociągnął za sobą kilkutysięczną hordę nieumarłych.

– Myślicie, że sprowadzi ich za mur? – Chorąży nie krył przerażenia.

– Jestem pewien, że taki właśnie ma plan.

– Czekajcie – wtrącił Biedrzycki. – On wyjechał z zajezdni około czwartej nad ranem. Teraz mamy prawie wpół do dziewiątej, a to przecież tylko kilkaset metrów. Gdyby chciał was zaatakować, już dawno byłby na miejscu.

Fakt. Chcąc napuścić hordę na więzienie, Sprycha nie zwlekałby z tym tyle czasu.

– Może się gdzieś przyczaił? – rzucił bez przekonania Wojciech.

– Raczej z jakiegoś powodu został zmuszony do zmiany planów – poprawił go Biedrzycki.

– Na wszelki wypadek pilnujcie się tam, dopóki nie wrócę – rzucił do mikrofonu kapitan. – I przekażcie Lucynie, że u mnie wszystko w porządku.

– Zatem nie zostaniecie rozstrzelani za zdradę? – zażartował z ulgą w głosie Patryk, nieświadom ostatnich wydarzeń.

– Już zostałem, bez odbioru – mruknął grobowym tonem Okrutny, po czym oddał słuchawki radiotelegrafiście.

– Moment – powstrzymał go major. – Moi ludzie mogą wyprowadzić ocalonych z zajezdni, ale nie znają terenu, więc pewnie spróbują zabrać ich torami nad Odrę.

– Lepiej niech idą na Kłęczkowską – poradził kapitan. – Drogę mają oczyszczoną, a więzienie znajduje się dużo bliżej. To tylko siedemset metrów w linii prostej. Za torami jest dziura w ogrodzeniu gazowni, miejscowi na pewno im ją wskażą, główna brama wychodzi prosto na Kłęczkowską. Trudno im będzie zbłądzić.

– Zaraz im to przekażę.

– Panowie! – Bojczewski wołał znad pierwszego grobu.

Gdy zebrali się tam chwilę później i zajrzeli do trumny, zobaczyli w niej nie bezkształtną masę zgnilizny, tylko sine – tak sine, że niemal fioletowe – ciało mężczyzny w podeszłym wieku. Regeneracja wyglądała na ukończoną. Przebiegła też znacznie szybciej niż u obiektów badanych przez Arendzikowskiego w Baszcie Niedźwiedzi i okazała się bardziej kompleksowa.

– Boże – wymamrotał pobladły Biedrzycki. – Mamy przesrane...

– Niekoniecznie – skontrował natychmiast doktor.

– Nie widzisz? – Bartek wskazał wyciągającego do nich ręce zombie.

– Daliśmy mu wchłonąć człowieka w sile wieku, pozostali jeszcze przez długi czas będą musieli zadowalać się robakami, z których na pewno nie zdołają pobrać tyle energii życiowej, by odzyskać pełnię sprawności. Nie mylisz się tylko w jednym: będziemy mieli przesrane, jeśli nie podejmiemy w porę stosownych działań.

– Na przykład jakich?

– Nie wiem, może trzeba będzie zabetonować wszystkie cmentarze, otoczyć je wysokimi murami albo wykopać z nich każde zwłoki, jakie zdołamy namierzyć, i wywieźć je w siną dal.

– Panowie! – Kolejne wołanie asystenta zmroziło ich wszystkich.

Stanęli nad grobem nieżyjącego od roku profesora, który także nie przypominał już mumii, w jaką zamienił się po pogrzebie. Regeneracja w jego przypadku była równie zdumiewająca – niewiele się różnił od tych żywych trupów, które krążyły po ulicach. W trzecim grobie, tym najstarszym, sytuacja przedstawiała się gorzej. Czy też lepiej – zależy, jak na to patrzeć. W każdym razie rozkład ciała zaszedł tak daleko, że nawet energia dwóch gangsterów nie mogła przywrócić zmarłemu dawnej aparycji. Wyglądał jak spreparowane zwłoki, na których studenci uczą się anatomii. Nie miał prawie nigdzie skóry, brakowało mu także części umięśnienia, a w poruszającej się niezbornie głowie nie było oczu.

– Panie majorze! – Radtke znów wzywał dowódcę.

– Lew Jeden, odbiór.

– Melduje się Zjawa Jeden. Jesteśmy na torach. Trafiliśmy na kolejnego odmienionego bandziora i dwie, także nieumarłe, kobiety. Ludzie mówią, że to tutejsze...

– Zapytajcie o ich nazwiska, odbiór – przerwał mu major.

Po kilku sekundach ciszy usłyszał odpowiedź.

– Łojek i Bugiel, panie majorze.

– Szlag... – mruknął Biedrzycki.

Dziewczyna, o której rozmawiał przed chwilą z Okrutnym, była tak bliska celu. Od zajezdni dzieliło ją kilkadziesiąt metrów. Sporo by dał, aby się dowiedzieć, co przeszła, jednakże postanowił nie drążyć tematu i na razie zostawić tę wiadomość dla siebie.

– ...ale to jeszcze nie wszystko, panie majorze – meldował tymczasem zwiadowca. – Chyba udało nam się namierzyć tego skradzionego BTR-a. Jest na skwerze przed dworcem, otaczają go tysiące zombie, odbiór.

Ta informacja zelektryzowała Bartka.

– Zostańcie tam jeszcze chwilę, jeśli to bezpieczne, i obserwujcie transporter. Chcę wiedzieć, czy ktoś w nim jest, odbiór.

– Tego, że ktoś w nim siedzi, może pan być pewien, panie majorze – powiedział sierżant Krzysztof Krzemień, który dowodził zwiadem. – Te gady wyciągają łapy, jakby miały nadzieję, że rozdrapią pazurami pancerz. Ale czy to wasz drań, tego nie umiem stwierdzić, odbiór.

– Strzelcie w powietrze, może się pokaże, jak to usłyszysz, odbiór.

W słuchawkach rozległ się charakterystyczny klekot kałasznikowa.

– Mamy kontakt wizualny, panie majorze – poinformował kilka sekund później Krzemień. – To ten wasz drań. Gapi się na nas przez lornetkę, jak ja na niego, odbiór.

– Świetna wiadomość, ale zaraz, jak wy go widzicie z tej odległości? U was nie pada, odbiór? – zdziwił się Biedrzycki.

– Przed momentem przestało, odbiór – potwierdził dowódca patrolu.

– Jesteście pewni, że tam utknął, odbiór?

– Na mur-beton, panie majorze. Strasznie się wkurzył, jak nas zobaczył, ale nie odpalił maszyny. Zresztą z takiego tłumy to i czołgiem by nie wyjechał.

– Rozumiem. Zabierzcie ludzi na Klęczkowską, a potem wróćcie w to miejsce i kontynuujcie obserwację, dopóki nie nadejdzie wsparcie, odbiór.

– Przyjąłem, bez odbioru.

Biedrzycki podzielił się z pozostałymi wesołą nowiną, ale nie polepszył nią nastroju nikomu prócz Okrutnego.

– To co robimy, panowie? – zapytał Bernaciak, gdy major skończył mówić.

– Skoro mamy do dyspozycji jeszcze kilka obiektów, dokończmy eksperyment – zaproponował po dłuższej chwili Arendzikowski.

– Chcesz rozkopywać następne groby? – zdziwił się Biedrzycki.

– Tak. Ale starsze. Dużo starsze.

– Dlaczego?

– Musimy wiedzieć, jak daleko to sięga. Gdzie jest granica. Ilu jeszcze może powrócić.

Ponieważ wszyscy obecni poparli doktora milczącymi skinieniami, Bartek powstrzymał się od protestu. On też pomimo żywionych zastrzeżeń rozumiał, że nie powinni zatrzymywać się w połowie drogi. Zwłaszcza że efekty dotychczasowych prób były więcej niż niepokojące.

– Tylko że... – zauważył przytomnie Bernaciak – sami będziemy musieli odwalić resztę roboty. Na nich raczej nie możemy już liczyć. – Wskazał głową bandytów.

– Dajcie mi chwilkę – poprosił Mawet.

Stanął przed mocno przerzedzonymi gangsterami, znów ubierając twarz w kpiący uśmiezek.

– Opowiem wam teraz moją wersję bajki o Czerwonym Koszulku – rzucił pogardliwym tonem. – Was jest pięciu, a my mamy jeszcze dwie trumny do otwarcia. Ci, którzy je dla nas wykopią, nie trafią na dno grobów, za karmę dla umarłaków posłużą pozostali. Koniec.

Nie był w stanie powiedzieć, który zgłosił się pierwszy, ale w okamgnieniu czterech z tej piątki błagało go, by pozwolił im rozkopywać mogiły gołymi rękami. Nawet ten ranny, który ledwie łąził; środki uśmierzające ból przestawały już działać, zatem odzyskał świadomość tego, co się z nim dzieje. Tylko wytatuowany brodacz milczał wyniośle.

– Ty i ty. – Palec Maweta wskazał Zgorzelskiego i Sójkę.

– Towarzyszu poruczniku! – wydarł się ranny, gdy pozostali zamilkli na moment, jedni ze szczęścia, drudzy załamani przegraną. – Zaczekajcie. Posłuchajcie mnie. Ja nie należę do tej bandy!

– Naprawdę? – Zomowiec udał zdziwionego.

Podobnie jak Biedrzycki, Bernaciak i Nizner znał relację dziewczyny ze Słowiańskiej, a ta opisała przecież ze szczegółami obu donosicieli, przez których zginęli Kuchnowscy.

– Tak. Nazywam się Tomasz Saternus, mieszkam na Krętej. Nigdy nie siedziałem w więzieniu! Ci bandyci zmusili mnie, groźbą i siłą, żebym został ich przewodnikiem.

Mawet pochylił się nad nim z zatroskaną miną, jakby te słowa zrobiły na nim duże wrażenie.

– Może i bym w to uwierzył, gdyby nie pewien drobiazg, przyjacielu. Taki detalik imieniem Paulinka. Na pewno ją znasz. Otóż wyobraź sobie, że jej zawdzięczacie to, że się tu znaleźliście. Dotarła do więzienia i powiedziała nam o wszystkim, między innymi o tym, kim jesteś i co zrobiłeś, gnido.

– To nie tak! – zaprotestował Tomasz. – Ja ich rozpracowywałem! Przysięgam. Jestem tajnym współpracownikiem SB. Możecie to sprawdzić. TW Saturn. Od sześciu lat pracuję dla departamentu trzeciego. To ja namierzyłem i rozpracowałem dla was komórkę profesora Janickiego! Jeśli pójdziecie do mnie, do mieszkania, znajdziecie pod dywanem w salonie raporty, w których opisałem z detalami wszystkie ich zbrodnie – wskazał głową kłęczących obok bandziorów. – Daty, nazwiska ofiar, kto zabił i jak. Wszystko tam jest. Wszystko.

– A napisałeś też o tym, wulowy ciulu, że przyniosłeś szefowi

raporty na temat każdego z sąsiadów, wskazując, kogo powinniśmy się pozbyć w pierwszej kolejności, hyhyhy? – zapytał rozbawiony jego błaganiami Ulfig.

– Napisałeś? – powtórzył Mawet.

– Towarzyszu poruczniku, przecież wiecie, jak to wygląda od kulis, trzeba się wkupić w łaski, zmylić przeciwnika, żeby móc go dobrze rozpracować.

– Ale co tu rozpracowywać? – zaśmiał się zomowiec. – To nie reakcyjne podziemie ani imperialistyczna agentura. Robili wszystko w biały dzień, na oczach wielu świadków.

– Towarzyszu poruczniku, przecież władza kiedyś wróci. Służba się odbuduje. Będziecie mnie potrzebowali.

– Takich jak ty zawsze trzeba, ale są was na szczęście tysiące. – Mawet westchnął. – No dobrze, powiedzmy, że przyjąłem ten argument do wiadomości. Wyjaśnij mi jednak, przyjacielu, co robiłeś w więzieniu? W tłumie naszych, z nożem w kieszeni? Przewodnik raczej nie bierze udziału w takich akcjach.

– Sprycha mnie zmusił, ale przysięgam na wszystko, co mi drogie, że nie miałem zamiaru nikogo atakować. Zrozumcież mnie...

Porucznik spojrzał na przełożonych. Żaden z nich nie wydawał się zainteresowany opowieścią kapusia. Szczególnie że Bugielówna dokładnie opisała jego służalczość i jej skutki.

– W porządku. – Zomowiec ponownie skupił uwagę na Saternusie. – Mam dla ciebie, przyjacielu, dwie wiadomości. Jedną złą i jedną... jeszcze gorszą. Twój kolega, ten młody, dynda już sobie w zajezdni jak wskazówka zepsutego zegara, ale ty masz następujący wybór: kończysz tutaj albo oszczędzamy cię i odwozimy do domu, abyś mógł opowiedzieć sąsiadom, jak to ich bronieś przed złymi.

Saternus zaniemówił. Sam nie wiedział, co będzie dla niego straszniejsze.

– Ja tylko wykonywałem polecenia Sprychy! – wymamrotał w końcu.

– A ja tylko wykonuję polecenia Biedrzyckiego – odparł z pełną powagą zomowiec, wyjmując z pochwy wielki nóż, aby rozciąć

więzy wybranym gangsterom.

– Pogięło was?! – nie wytrzymał major, gdy usłyszał, jak Mawet załatwił sprawę. – Chcecie im odpuścić?

– W życiu – obruszył się atakowany. – Widzicie, my w ZOMO nie tylko biliśmy, aby wyciągać z ludzi informacje. Często stosowaliśmy też zaawansowaną psychologię. Na przykład okłamywaliśmy delikwenta, obiecując mu, co tylko zechciał, a potem i tak wysyłaliśmy tam, gdzie resztę hołoty. Zrobicie z nimi, co dusza zapagnie, jak tylko skończą robotę.

Biedrzycki pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Czasami zastanawiam się, czy nie pieprznąć tym wszystkim i nie wyjechać w Bieszczady. Słuchając was, tracę wiarę w cywilizację. Może ten restart jest Ziemi potrzebny.

– Dajcie spokój, majorze – wtrącił Bernaciak. – Kosztem tych paru drani możemy uratować tysiące istnień. Nie mówiąc już o tym, że zasłużyli na to, co ich zaraz spotka.

Bartek ciężko westchnął, po czym machnął ręką. Ten dzień, choćby nawet zakończył się ogromnym sukcesem, będzie wracał do niego w koszmarach. Nie zapomni tego cmentarza do śmierci, chyba że wcześniej dopadnie go skleroza.

Zgorzelski i Sójka kopali na zmianę, uwijając się jak w ukropie. Deszcz faktycznie przestał padać, dzięki czemu robota szła im sprawniej. Bojczewski wybrał trzy kolejne groby tak, by znajdowały się jak najbliżej siebie. Nie miał z tym problemu, ponieważ przy głównej alei było wiele rodzinnych miejsc pochówku, w których obok rodziców spoczywały też ich zmarłe po wielu latach dzieci.

Arendzikowski po zastanowieniu polecił wykopać kogoś zmarłego na początku lat pięćdziesiątych, a w następnej kolejności zabrać się do grobów o dekadę starszych. Zwłaszcza ten drugi eksperyment wydał mu się bardzo istotny, ponieważ na terenie całego miasta spoczywały w nieoznaczonych – czasem masowych – grobach tysiące ofiar ostatniej wojny. Większości z nich nie da się namierzyć, dopóki nie wyleżą z prowizorycznych mogił, co może nastąpić i za kilkanaście lat, lecz życie każdego, kto będzie o tym wiedział, zamieni się w prawdziwy horror.

Wystarczy przecież jeden zombie, by doszło do powtórki sytuacji z piątku. Zwłaszcza jeśli odmieniec pojawi się długo po tym, jak ocaleni stracą czujność.

Zgorzelski dokopał się do trumny leżącej znacznie płycej niż poprzednie, co było normalne w wypadku grobowca używanego przez wiele pokoleń. Właściwie trudno było mówić o trumnie, w pewnym momencie trafił łopata na kawałki kompletnie zbutwiałego drewna. Gdy je zobaczył w wiadrze, odskoczył w róg wykopu i zaczął błagać, by go natychmiast wyciągnięto. Okrutny musiał opuścić mu linę, ponieważ nawet groźby Maweta, że zmieni swoją decyzję, nie były w stanie zachęcić byłego kierownika sklepu monopolowego do dalszej pracy. Jego zmiennik także kategorycznie odmówił wejścia do dołu.

Zomowiec przeniósł ich więc na kolejną wybraną kwaterę, a dokończeniem roboty w pierwszej zajął się Bojczewski, który – asekurowany liną trzymaną przez Okrutnego – z najwyższą ostrożnością oczyścił wąski pas ziemi z resztek trumny, odsłaniając szkielet.

Drugi grób przygotowano w identyczny sposób, choć już bez takiej paniki ze strony bandytów, którzy po zakończeniu pracy potulnie dali się związać, wierząc w dobicie targu. Mawet przyciągnął na miejsce kaźni Janiczka, tym razem nie wdając się w żadne dyskusje ani słowne przepychanki. On także zaczynał mieć już dość tej roboty. Był głodny, a wolał nawet nie myśleć o tym, jak zareagują pozostali, gdy wyjmie napoczętą z rana tuszonkę, której zapach tak go drażnił przez ostatni kwadrans, że musiał zostawić chlebak na oddalonym o dwa rzędy pomniku przedstawiającym anioła.

Podpalacz trafił na dno wykopu, prosto na kości, ale wszyscy wiedzieli, że tym razem będą musieli poczekać na efekty. Nie mylili się; Janiczek skamlał w mogile ponad pół godziny, zanim zaczął odczuwać skutki kontaktu ze spoczywającym pod ziemią przez prawie dziesięć lat nieumarłym. Nie wyciągnęli go jednak, dopóki nie skonał, co też trwało o wiele dłużej niż w poprzednich przypadkach, bo całe siedem minut.

Arendzikowski zapisywał w kajeciku każdą obserwację oraz co

niektóre uwagi podrzucane przez Bojczewskiego. Im dwóm, jako lekarzom, przyglądanie się powolnej agonii człowieka – bo podpalacz mimo skrzywienia umysłu był przecież facetem z krwi i kości – przychodziło łatwiej niż reszcie. Przyzwyczaili się do podobnych widoków, zobojętnieli przez lata obcowania z potwornymi schorzeniami i ich nosicielami, jednakże żołnierze, którzy ledwie pamiętali wojnę, ponieważ w momencie jej zakończenia byli wciąż dziećmi, mieli z tym problem, i to nielichy. Czym innym bowiem jest zastrzelenie wroga, który próbuje cię zabić, a czym innym wsłuchiwanie się w lamenty skazańca, który wie, co go czeka, lecz nie może nic zrobić, by ocalić życie.

Stojąc nad nim, również cierpieli, choć na pewno w mniejszym stopniu, dlatego Bojczewski, który to zauważył, zaproponował, by kolejnych gangsterów kneblować. Nawet Mawet przyklasnął tej propozycji, mimo że wydawał się impregnowany na krzywdę obcych mu ludzi.

– Myślę, że mamy całkowitą jasność w tym przypadku – oświadczył Arendzikowski, gdy odmieniony Janiczek spoczął między pobliskimi nagrobkami. – Nie wrzucimy tu drugiego drania. Zobaczmy, jaki efekt przyniesie wchłonięcie energii jednej osoby.

Ulfig robił wszystko, by wkurzyć zomowca, gdy ten ciągnął go w stronę ostatniego z rozkopanych grobów. Porucznik śmiał się jednak z każdej rzucanej przez niego inwektywy, chociaż Ślżak wykazał się ogromnym talentem do ich wymyślania, a niektóre były tak obraźliwe, że nawet Biedrzycki poczuł chęć zamknięcia gęby zbirowi. Na szczęście wrzaski się skończyły, po tym jak Bojczewski wepchnął do ust krnąbrnego wytatuowanego bandyty parę kłębków gazy, następnie zaś obwiązał mu twarz grubym bandażem.

– Panowie, nie chcę wyjść na prostaka i chama – odezwał się Mawet, kiedy bandzior spoczął w końcu na dnie wykopu pośród szczątków jakiegoś niemieckiego kupca, który miał to szczęście, że umarł na dwa lata przed wkroczeniem do miasta Rosjan – ale wolałbym coś zjeść, zamiast słuchać przez godzinę jego jęków.

Bał się opieprzu ze strony przełożonych, zwłaszcza majora, ale ku jego zaskoczeniu nikt nie zaprotestował. Umówili się, że każdy z nich będzie trzymał wartę przez równy kwadrans, a pozostali w tym czasie odpoczną pod tym samym drzewem, pod którym urzędował Radtke. Związanych bandziorów zostawili między grobami, samopas, lecz tak, by mieć ich cały czas na oku.

Było ich w sumie ośmiu, z czego sześciu brało udział w eksperymencie. Radiotelegrafistę zostawili na czujce, ponieważ i tak nie mieliby z niego wielkiego pożytku. Z kolei Niesyto ze strachu nabrał wody w usta. Wystarczyło, że zajrzał do pierwszej rozkopanej mogiły, i natychmiast zrezygnował z jakiegokolwiek aktywności. O objęciu przez niego warty, która wymagała uważnego wpatrywania się w ludzkie szczątki, nie mogło być więc mowy. Trzymał się niedaleko grupy, ponieważ musiał tutaj być jako jedyny reprezentant cywilnych władz Wrocławia. Poza tym był żywotnie zainteresowany wynikami badań doktora Arendzikowskiego, skoro żył w mieście, które okazało się istnym polem minowym, z tą tylko różnicą, że ludzie – zamiast wylatywać w powietrze – będą zżerani przez cholerstwa wyłazące z ziemi w najmniej oczekiwanym momencie.

Pozostali odbębniłi jedną turę, potem drugą, a Ulfig jak żył, tak żył. Minęły trzy godziny od złożenia go na dnie grobu, ale choć bandzior dawno już zamilkł, to szturchany bosakiem w rozcięty bok reagował zawsze w ten sam sposób. Ból był silniejszy od chęci pokazania oprawcom, że ma ich w dupie.

Na tym właściwie powinno się skończyć, lecz gdy Arendzikowski uznał, że wie już tyle ile trzeba, Mawet ponownie zadziwił wszystkich, rzucając kolejną uwagę:

- No dobrze, sięgnęliśmy tak daleko, ale co ze świeżakami?
- Z czym?

– Ze zmarłymi tuż przed tą cholerną zarazą. Na przykład tydzień wcześniej. Z takimi, którzy na dobrą sprawę nie zaczęli się jeszcze porządnie rozkładać.

Spojrzeli po sobie. Lekarze znacząco, pozostali z niepokojem.

Siedzieli na tym cmentarzu już od ponad pięciu godzin, znacznie dłużej, niż pierwotnie zakładali, a zomowiec uświadomił im właśnie, że mogą spędzić między grobami drugie tyle czasu.

– To wymaga sprawdzenia – oświadczył niemal natychmiast Arendzikowski. – Mirek, znajdź mi kilka świeżych mogił, a wy, poruczniku, rozwiążcie tych dwóch, każemy im rozkopać jakiś kilkudniowy grób. Zobaczymy, jak się sprawy mają.

– Rozkaz. – Najedzony Mawet, zadowolony z tego, że ponownie zabił ćwieka znanemu doktorowi, ruszył różnym krokiem w kierunku Sójki i Zgorzelskiego.

– A co z tym wytatuowanym? – zapytał Biedrzycki, wskazując ostatnią z rozkopanych do tej pory mogił.

– A co ma być? Niech tam leży. Na wypadek, gdyby opóźnienie regeneracji okazało się większe, niż przypuszczaliśmy. Zajmiemy się nim, jak już zakończymy nowe badania – odparł Bogdan.

Wszyscy zgodzili się z jego propozycją. Bandyci też mieli znacznie mniejsze opory, kiedy kazano im kopać w miejscu, gdzie trumny powinny być wciąż jak nowe. Nikt nie zwracał specjalnej uwagi na kopacza, a i ten spokojnie wbijał łopatę w piach, mając pewność, że od trumny dzieli go jeszcze co najmniej pół metra. Właśnie napełnił kolejne wiadro i oparł się na sztylu pordzewiałego szpadla, by obetrzeć pot z czoła, gdy nagle ziemia pod jego nogami drgnęła. Nieznacznie, ale wyczuwalnie. Raz, potem drugi. Wstrząsy powtarzały się regularnie, jakby ktoś uderzał w wieko trumny... od spodu.

– Panowie oficerowie! – zawołał Zgorzelski, zadzierając głowę.

– Czego tam? – warknął Mawet.

– On wyłazi! – Spanikowany gangster rozpląszczył się przy krawędzi wykopu. – Wyciągnijcie mnie stąd!

– Uspokój się, człowieku. – Zomowiec ani myślał opuszczać mu liny. – Ten trup nie wylezie z trumny, pazurami jej przecież nie rozdrapie, a ty masz za zadanie dokopać się do niego.

– Ale on...

– Nie ma żadnego ale... – zaczął porucznik, lecz w tym właśnie momencie zauważył, że ziemia tuż za gapiącym się na niego z wyczekiwaniem bandytą otwiera się, jakby powstawał w niej

lej krasowy albo inne osuwisko.

Zgorzelski dostrzegł zdziwienie na twarzy wpatrującego się gdzieś za jego plecy oficera, ale zanim zdążył się odwrócić, poczuł na kostce mocny chwyt.

– Jezusie Nazarejski! – zawył Sójka.

Gdyby nie skute wciąż nogi, pewnie zaczęłby uciekać. Niestety kajdanki pozwalały mu wyłącznie stać albo co najwyżej robić tip-topy, o czym zupełnie zapomniał, i przy pierwszym ruchu wyłożył się jak długi, po czym po stercie wydobytej ziemi stoczył prosto do grobu, spadając na plecy zmartwychwstającego właśnie kompana. Pożył akurat tyle, by puścić ostatnią wiąchę.

Obserwatorzy zrozumieli, co się dzieje, gdy było już po wszystkim.

– Kurwa jego mać... – wysapał Mawet, cofając się od wykopu.

– Zасыpujemy, panowie! – Niesyto otrzeźwiał pierwszy, od razu padł też na kolana i zaczął zagarniać wydobyty piach rękami.

– Czekaj! – Biedrzycki odciągnął go siłą.

– Nie możemy pozwolić mu wyleźć! – wrzasnął Krzysztof.

– Musimy. Lepiej go obezwładnić od razu, niż pozwolić mu działać. Skoro już zaczął, wygramoli się na powierzchnię tak czy inaczej.

Mieli chwytaki, bosak i wiele metrów porządnej liny, major był więc pewien, że to wystarczy do unieruchomienia zmartwychwstańca. Poczekali, aż tamten wypełźnie pomiędzy zwłok obu więźniów, zarzucili mu jedną pętlę na wyciągnięte w ich stronę ręce, drugą na szyję i po wywleczeniu go na powierzchnię owinęli kilkakrotnie liną. Związany w baleron ponownie spoczął we własnym grobie.

– Nie wygląda to wesoło – stwierdził Bartek, gdy kryzys został zażegnany.

– Nie jest aż tak źle – skontrolował Arendzikowski.

– Naprawdę? – obruszył się major. – Nie widziałeś tego co ja?

– Widziałem – zapewnił go doktor – ale w odróżnieniu od ciebie zdążyłem przeanalizować kilka faktów. Przede wszystkim oni, tam na dole, reagują na naszą obecność. Dopóki ktoś nie wlezie na teren cmentarza, pozostaną nieaktywni, nawet jeśli zdążyli

odżyć. Zasada dziesięciu metrów, pamiętasz? Ci na ulicach też sterczą jak nie powiem co na weselu.

Biedrzycki przytaknął, ale zaraz znów naszły go wątpliwości.

– Jesteś tego pewien?

– Tak – odparł ze spokojem Bogdan. – Zaraz ci to udowodnię. Poruczniku, wyciągnijcie tego wytatuowanego drania z grobu, jeśli jeszcze żyje, a potem sprowadźcie tu tego ostatniego. A ty, Mirek – odwrócił się do asystenta – znajdź mi dwie świeże mogiły, takie kilkudniowe, ale położone co najmniej trzydzieści metrów jedna od drugiej.

Gdy wszystkie jego polecenia zostały wykonane, kazał umieścić obu bandytów w bardzo płytkich wykopach, dosłownie trzydziestocentymetrowych, po czym wszyscy cofnęli się w miejsce, z którego mieli dobry widok na oba groby.

– To może potrwać – uprzedził Arendzikowski i miał rację.

Czekali półtorej godziny, ale nie na próżno. W pewnym momencie Ulfig zaczął wierzgać, słyszeli jego zduszone kneblem jęki, co musiało być znakiem, że coś poczuł. Kwadrans później znieruchomiał, a potem... Potem zapanował spokój. Dłoń, która pochwyciła w pasie skrepowaną ofiarę, rozwarła pokryte krwią palce, jakby akt odebrania życia był wszystkim, do czego została stworzona.

Parę minut później podobna scena rozegrała się na drugiej mogile, wszakże i ten ożywieniec pozostał pod ziemią. Przestał się wykopywać, gdy zaniknął jedyny bodziec, który go do tego zmuszał.

Żołnierze zerkali z niepokojem na udeptaną ziemię pomiędzy grobami, Nizner wszedł nawet na płytę nagrobkową.

– Jeśli nie będziemy zakłócać ich odpoczynku, powinni zostawić nas w spokoju – podsumował Arendzikowski.

– Wystarczy jakiś zabłąkany pies albo kot.

– Też prawda, ale wierz mi, nie jest aż tak źle, jak można by przypuszczać. Co najmniej rok albo nawet dwa lata dzielą nas od poważnych problemów.

– Możemy wracać? – zapytał nieśmiało Niesyto.

– Tak. Nic tu po nas, panowie. Mamy miasto do uratowania.

sobota, 24 sierpnia 1963, godzina 11:38
most Warszawski

Karol Schröder wyciągnął się wygodnie na fotelu podciągniętym aż za drzwi niewielkiego balkonu wychodzącego na wały. Samotna kamienica, stojąca nad kanałem powodziowym, w której schronił się dwa tygodnie temu, wyrosła w ostatnich dniach na jedno z najważniejszych miejsc w Dzielnicy – jak ocaleni nazywali lokalną sieć niewielkich społeczności, rozsianych po pobliskich kwartałach.

Po odejściu hordy na Ołbinie zapanował względny spokój. Niedobitki oddziału żołnierzy stacjonujących wcześniej w budynku szkoły podstawowej uruchomiły znów posterunek blokujący przyczółek mostu, mówiło się też, że generał Biedrzycki lada dzień utworzy po drugiej stronie ulicy coś w rodzaju bazy dla swoich jednostek. Browar Piastowski miał się ponoć zamienić w obóz przejściowy dla tych, których żołnierze przesiedlą na oczyszczaną właśnie z nieumarłych Wielką Wyspę, bądź w przyczółek, z którego wojsko ruszy do oczyszczania tej części Śródmieścia. To wydawało się logiczne, w końcu Ołbin i inne osiedla także leżały na wyspie.

Cokolwiek szykowała najbliższa przyszłość, życie zaczynało powoli wracać do normy. O ile można to było nazwać normą. Ludzie musieli sobie radzić bez elektryczności, bez bieżącej wody w kranach, obcując z tysiącami żywych trupów sterczących na niemal każdej ulicy, skwerze oraz placu i okupujących większość mieszkań i klatek schodowych. Wszyscy ocaleni musieli mieć oczy dookoła głowy, jeśli nie chcieli paść ofiarą zarazy, która spustoszyła nie tylko to miasto, ale i resztę świata.

Radia milczały jak zakłęte; jedyną stacją, którą dało się jeszcze odebrać, była lokalna rozgłośnia, zajęta i broniona od samego początku przez ludzi generała Biedrzyckiego. Na całej reszcie

zakresów, zarówno fal średnich, jak i długich, można było wychwycić tylko przygnębiający szum. Aczkolwiek wojsko, dysponujące znacznie lepszym sprzętem, twierdziło w wydawanych niemal każdego dnia komunikatach, że nawiązało kontakt z wieloma – czasem bardzo odległymi – miejscami, i informowało, że pomimo rozmiarów pandemii i miliardów ofiar ludzkość wciąż walczy i ma szansę przetrwać ten kataklizm jak każdy inny. Wojskowi nawoływali, by cywile nie tracili nadziei, nawet jeśli ich obecna sytuacja wydaje się beznadziejna.

Karol nie do końca wierzył w te buńczuczne zapewnienia.

To nie był – i już nigdy nie będzie – świat, w którym normalny człowiek chciałby żyć i wychowywać dzieci...

Schröder stracił żonę, nie miał też pojęcia, co dzieje się z resztą jego rodziny pozostawioną na Górnym Śląsku. Został mu tylko jeden z synów, Kajus, który bawił się teraz w pokoju obok, jakby był to kolejny najzwyczajniejszy dzień jego życia. Karol zazdrościł mu tej nieświadomości, sam by wiele dał, żeby zapomnieć o wydarzeniach minionych dwóch tygodni.

Poznał w tym czasie starców, którzy w ciągu jednej chwili zostali na tym świecie sami jak kołki w płocie. Dzieci, które w parę godzin potraciły rodzeństwo, rodziców i dziadków. Kobiety opłakujące zaginionych mężów bądź odmienione pociechy, którym nikt nie mógł pomóc. W Dzielnicy każdy stracił kogoś albo wszystkich.

Tacy właśnie ludzie przyjęli go jak swojaka, mimo że pochodził z innego miasta, mówił z charakterystycznym dla śląskiej gwary akcentem i nie czuł żadnego powinowactwa z Wrocławiem, uważanym przez nich za własne dziedzictwo. „Nie szkodzi” – mówili – „świat się zmienił, więc i my musimy zacząć żyć inaczej. Stare podziały zatraciły sens, teraz wszyscy jesteśmy równi”.

Rozmiary tragedii były na tyle wielkie, że Karol zastanawiał się nie raz i nie dwa, czy zwykli ludzie zdołają się po niej podnieść. Niedawne wojny światowe wyniszczyły ich w potwornym stopniu, ale obie razem nie przyniosły tak strasznego zagrożenia, jakim były żywe trupy. Wróg, którym niespodziewanie,

dosłownie w parę sekund, mógł stać się każdy – nieważne, czy obcy, czy bliski. W domu, na ulicy, wszędzie. I o każdej porze. Wystarczyło, że człowiek umarł – czy jak to teraz mówiono: stał się nieumarłym. Śmierć, jak wiadomo, to coś najnormalniejszego pod słońcem, nikt nie może żyć wiecznie, wypadki chodzą po ludziach, zwłaszcza w tak niepewnych czasach.

– Co tam?

Karol drgnął, gdy z głębi pokoju dobiegł głos Konofola, szynkarza z Psiego Pola, który dotarł w pobliże mostu chwilę przed nim i jako jeden z nielicznych zdołał przetrwać późniejszą masakrę.

Tamte wydarzenia związały ich mocniej, niż mogłoby to uczynić najbliższe nawet pokrewieństwo. Obaj byli obcy, choć nie w tym samym stopniu. Obaj zostali pozbawieni wszystkiego, z czym kojarzyło się im dawne życie. Wyrwani z odmiennych społeczności i ciśnięci w sam środek burzy, która zmieniała oblicze tej ziemi.

Zamieszkali w tej kamienicy, w opuszczonych przez dawnych właścicieli mieszkaniach, dzieląc ją z równie jak oni zagubionymi żołnierzami, gdy ci ponownie obsadzili posterunek przy moście.

– Nic. Cisza, spokój, jak wczoraj i przedwczoraj – odparł Karol, rzucając okiem na zegarek.

Nadchodziła pora zmiany warty, którą trzymali w mieszkaniu na ostatnim piętrze z polecenia ich wybawcy, kapitana, który – tak jakby – włączył ich do swojego zdziesiątkowanego oddziału.

– Bierz dzieciaka i wracaj do siebie. – Konofol postawił na stole wiadro pełne jabłek przyniesionych z pobliskich ogródków działkowych. – Weź parę, bez krępacji, niech młody łyknie witamin. Z reszty upędzę naprawdę dobre wino.

Schröder wstał z fotela, przeciągnął się leniwie, ale nie wszedł do pokoju. Coś przykuło jego uwagę, jakiś ledwie wychwytywalny dźwięk.

– Coś nie tak? – zaniepokoił się Konofol.

– Nie wiem... – Karol stanął twarzą do rzeki i zaczął się wpatrywać w jej przeciwległy brzeg, uważnie nasłuchując.

Z daleka dobiegał pomruk, jakby szła burza, ale niebo było

przecież czyściuteńkie jak łąza.

Nie, to na pewno nie gromy, ten dźwięk jest zbyt jednostajny i nie milknie nawet na moment, pomyślał Schröder.

Mikołaj stanął obok niego. Również zdołał już wychwycić niepokojące mruczenie.

– To silniki... – mruknął po chwili. – Ale nie takie zwykłe, od osobówek...

Wbili wzrok w kamienice ciągnące się na drugim brzegu, od wałów po plac Kromera, bo to zza nich dobiegały dziwne odgłosy.

– Tam! – Konofol wskazał palcem.

Karol sięgnął po lornetkę. Potrzebował kilku sekund, by nakierować ją we właściwe miejsce.

– Jezu... – jęknął, pochylając się nad barierką, jakby to mogło pomóc w dostrzeżeniu większej liczby szczegółów. – To wojsko.

– Nasi?

– Nie.

– To kto?

– Sowievi... – Karol zamilkł, nie wierząc w to, co widzi.

Dwa transportery opancerzone zatrzymały się na końcu ulicy, przy której stał ciąg kamieniczek. Nie były tak duże jak BTR-y blokujące most, ale miały po osiem kół i wieżyczki w przedniej części opływowego kadłuba. Osadzone w nich karabiny maszynowe odezwały się moment później, zasypując gradem kul nielicznych nieumarłych, którzy ostali się w tamtej okolicy. Gdy cekaemy umilkły, w uliczkę wjechał rząd ciężarówek, wyskoczyło z nich kilkudziesięciu mężczyzn w oliwkowych mundurach. Mogło być ich nawet stu. Kierowani przez oficerów podzielili się sprawnie na mniejsze oddziały, po czym wbiegli do kilku bram naraz. Parę sekund później zza rzeki dobiegły odgłosy strzałów.

Karol stał jak wmurowany, nie odrywając wzroku od scen rozgrywających się po drugiej stronie Odry. Rusczy wynosili z kamienic wszystko, co tylko zdołali: worki ziemniaków, walizki wypełnione złupionymi dobrami, pościel, naręcza ubrań. Ciągnęli też za sobą opierające się kobiety. Na oczach Schrödera dyrygujący tym rabunkiem oficer strzelił dwukrotnie do

mężczyzny, który bronił swojej córki albo żony. Nie zabił go, mierzył w brzuch, by ranny nie skonał za szybko.

– Pędź do szkoły po kapitana! – wyszeptał przerażony Karol.

Epilog



*„Szkodniki” Piotra T. Dudka
Przedmowa Roberta J. Szmidta*

Po trwającym niemal dekadę boomie na polskie teksty fantastyczne nadeszły nieuniknione lata posuchy. Z rynku zniknęły liczne czasopisma, w których co miesiąc debiutowali młodzi, utalentowani twórcy. Nie ma już prawie antologii wydawanych przez najbardziej znane oficyny, w których obok znanych nazwisk publikowano by autorów stawiających pierwsze kroki. Nic nie zapowiada też, by ta sytuacja miała ulec wkrótce zmianie. Takie są nieubłagane prawa rynku. Każdy, kto pilnie obserwuje rozwój polskiej fantastyki, zauważy bez trudu, że podobnie było przed dwudziestu, trzydziestu i czterdziestu laty.

To jednak nie znaczy, że musimy biernie czekać na nadejście kolejnej „fali”. Już dziś mamy wielu młodych i zdolnych twórców, których warto zaprezentować szerszej publiczności. Mamy też znakomite wydawnictwa, takie jak Insignis, które oferują świeże spojrzenie na rynek księgarski. Mamy wreszcie ludzi takich jak ja – wieloletni redaktor naczelny magazynu „Science Fiction” i założyciel portalu fantastykapolska.pl, gdzie można znaleźć ponad pół tysiąca e-booków z powieściami, nowelami i opowiadaniem wielu znanych polskich autorów.

Przy okazji wydania mojej najnowszej książki chciałbym wspólnie z wydawnictwem Insignis zaproponować nie tylko lekturę kontynuacji *Szczurów Wrocławia*, ale także opowiadania kolejnego młodego autora, na którego moim zdaniem warto zwrócić uwagę. Jego poprzednik ma już na koncie trzy publikacje odnotowane w Bibliotece Narodowej, w tym powieściowy debiut nominowany do jednej z nagród branżowych. Mam nadzieję, że Piotr T. Dudek, którego dostrzegłem przy ocenianiu prac do ostatniej antologii amatorskich opowiadań z *Uniwersum Metro 2033*, osiągnie jeszcze większe sukcesy na naszym, niełatwym rynku wydawniczym, ponieważ – to nie truizm ani reklama – jest tego wart.

*Dla Soni Korty, która sprawia,
że moje życie jest o wiele ciekawsze
niż apokalipsa zombie*

Szkodniki

Piotr T. Dudek

Pobudka o czwartej, chwila zadumy, za pomocą splotki skwitowana odwiecznym *panta rhei*, i szybkie śniadanie: pajda chleba z masłem i serem, do tego kubek wczorajszego mleka. Potem obchód gospodarstwa i rozstawionych wokół niego wnyków – a nuż złapała się jakaś dziczyzna albo chociaż szkodnik; ale nie, pusto, tylko jakiś but z wkładką został – i praca w obejściu. Wreszcie drugie śniadanie, już nieco konkretniejsze – szklaneczka bimbrowa – i można jechać do rynku starym maluchem (jakby ktoś kiedyś widział nowego), by sprzedać trochę jedzenia i zrobić zakupy; gwoździe na zatrzaski mi się kończą.

Ot, prozaiczny początek, jak się okazało, nie całkiem prozaicznego dnia; dnia, w którym ziściłem największe marzenie księdza Konopki: od lat wieszczoną z ambony apokalipsę. Tym razem jednak ostateczną i nieodwołalną, choć przy tym raczej kameralną, bo obejmującą wyłącznie tutejszą parafię (a ściślej – parafian). Bądźmy jednak szczerzy: na co więcej mógłby liczyć nawiedzony wiejski klecha, urzędujący w miejscu, które miało status końca świata na długo przed tym, zanim świat faktycznie zaczął się kończyć?

* * *

Pchli Targ sklecił się z kilku biedachałup, otaczających carską jeszcze stacyjkę i garść przecinających się linii kolejowych jako ponura pipidówka położona z daleka właściwie od wszystkiego. I jako ponurą pipidówkę – mimo upływu lat, wciąż zmieniających się ustrojów oraz skromnych naszych starań – wioskę zastała

apokalipsa.

Tak naprawdę jednak dopiero wraz z nadejściem fali szkodników Pchli Targ przeistoczył się w istne cmentarzysko cywilizacji: opuszczone domy, pozamykane sklepy, porzucone na ulicach samochody – niby sprawne, ale nie ma komu ich ukraść – watahy bezpańskich psów uzurpujące sobie coraz więcej władzy w okolicznych lasach, dzikie śmietniska w pustostanach, wszechogarniający smród i cisza. Z lichego tysiąca mieszkańców, których wioska liczyła sobie jeszcze siedem lat temu, nim wszystko wzięło i się zesrało, obecnie żyje tu teraz niespełna czterysta dusz. Zaraza dopadła może setkę naszych – choć szczerze wątpię, by było aż tak źle – reszta zwyczajnie uciekła.

Dokąd i po co? Diabli wiedzą.

Oczywiście innym oberwało się znacznie bardziej i nikt tutaj nawet nie próbuje tego negocjować, ale też nikomu nie przeszkadza to z pasją godną lepszej sprawy psioczyć na te cholerne zombie: a bo to kogoś zagryzły znowu, a bo strach choćby i do sraczyka wyjść bez wideł, a bo psy na trupa wyją po nocach i spać nie można, a bo renta się spóźnia...

Natomiast dla mnie „epidemia” – ujmujący eufemizm – okazała się prawdziwym błogosławieństwem, i to z kilku powodów.

Po pierwsze, rząd nie wie już, w co ręce włożyć, więc nie ma komu KRUS-u likwidować. Po drugie, nikt się nie czepia, że człowiek pod bronią chodzi, a jak się odstrzeli jakiegoś skurwiela, co to w szkodzie dał się złapać, to (w razie gdyby ktoś w ogóle pytał) wystarczy powiedzieć, że „zdradzał symptomy”, wtedy jeszcze ładnie podziękują. Po trzecie, ceny żywności mocno poszły w górę, więc rolnikom żyje się lepiej. No i wreszcie po czwarte, od kilku dobrych lat nie słyszałem zwrotu „dyrektywa unijna”, a to zdecydowanie wyczerpuje temat – o wiele lepiej użerać się z kilkoma namolnymi trupami niż z całą armią kutasów w garniturach.

Poza tym zombie okazały się niespecjalnie wymagającym przeciwnikiem. Na swój sposób są inteligentne i – również na swój sposób – niebezpieczne, ale nade wszystko niezwykle upierdliwe; zbyt głupie, by spocząć w pokoju, a przy tym zbyt

uparte, by pozwolić spocząć w pokoju mnie. Choćby na chwilę.

To po prostu zwierzęta. Szkodniki.

Dzisiaj mało kto je pamięta, ale ja wciąż mam gdzieś schowane te idiotyczne ulotki, za pomocą których rząd chciał ocalić nas przed truposzami. Wśród wielu różnych bzdur, których propagowanie zabiło miliony, mnie w głowie szczególnie mocno utknęła jedna: zombie żywią się wyłącznie ludzkim mięsem.

Na szczęście, jak przystało na praworządnego, trzeźwo myślącego Polaka, ufam politykom, biurokratom, bankowcom i całej tej hołocie w garniturach tak, jak ufa się uśmiechowi teściowej. Tylko dzięki temu rozczarowanie, którego doznałem, gdy pierwsze trupy pojawiły się na horyzoncie, nie było zbyt bolesne.

Dla nich mięso to mięso. A im go więcej, tym lepiej – najwyraźniej bycie martwym pochłania mnóstwo energii. Tak więc moje gospodarstwo – największe w całej okolicy, a teraz już i jedno z ostatnich – siłą rzeczy stało się prawdziwym polem bitwy. Przez kilka pierwszych dni było naprawdę ciężko, choć jak mi się wydawało, wiedziałem, czego się spodziewać.

Gdy tylko wybuchła zaraza, obejrzałem bodaj wszystkie liczące się filmy o zombie, jakie kiedykolwiek nakręcono. Ot tak, żeby wiedzieć, o co tyle krzyku.

Świat się palił, a ja oglądałem „Resident Evil”. Kiedy pierwsi zakażeni – nielegalni imigranci z Niemiec – pojawili się w Polsce, byłem na etapie „Świtu żywych trupów” (oryginału), a gdy wiejska plotka ożywiła wreszcie i jednego z naszych, Edka Jawora, leczyłem kaca po „Martwicy mózgu”.

Jak się jednak okazało, wszystkie te filmy – mimo że niektóre całkiem sympatyczne – w charakterze materiału edukacyjnego spisały się nie lepiej niż rządowa makulatura. W głowie się nie mieści, ile ci durni Amerykanie potrafili poświęcić środków i energii na wymyślenie skutecznego sposobu obrony przed zombie: bunkry, barykady, mury, pola minowe, snajperzy, kwarantanny, bomby atomowe nawet... A tymczasem okazało się, że do zatrzymania inwazji wystarczył zwykły, elektryczny pastuch.

Generalnie poradzić sobie z trupami wcale nie jest tak trudno, jak obiecywało Hollywood. Owszem, są agresywne i z reguły rzucają się na wszystko, co ciepłe, a świeża krew pobudza je bardziej niż przedświąteczna promocja karpia przeciętną emerytkę, ale są przy tym bezdennie głupie i zenująco wręcz nieporadne. Ponadto, prócz elektryczności, boją się także krzyku i ognia, więc przegnać albo nawet zlikwidować je jest w gruncie rzeczy dosyć łatwo.

O wiele poważniejszym problemem okazało się zagadnienie, co zrobić ze spacyfikowanym już szkodnikiem. Bo coś z nim zrobić jednak trzeba, i to nie tylko dlatego, że zostawienie go tam, gdzie upadł, żeby sobie spokojniegnił, wyraźnie zaniża wartość mojej ziemi; sztywne zwłoki leżące na zagonie budzą tyle samo pytań ze strony niepożądanego elementu lokalnego, co te nadpobudliwe wśród naukowców, filozofów, teologów i chyba każdego wciąż jeszcze żywego mieszkańca innych zakątków Ziemi.

Niektóre sprawy po prostu lepiej załatwiać do samego końca.

Można unieszkodliwionego trupa zakopać albo spróbować zidentyfikować i oddać rodzinie, niech go sobie biorą w cholerę. Oba te warianty są jednak niezwykle czasochłonne, więc osobiście wolę delikwenta po prostu spalić (na opał się niestety nie nadaje: jest niskokaloryczny i mocno osiada się w kominie, a przy tym okropnie cuchnie), wrzucić do obornika albo poćwiartować i sprzedać – byle po cichu – Andrzejowi Wronie. Andrzej to biznesmen pełną gębą i w gruncie rzeczy dobry człowiek, ale mielonki się od niego nie kupuje.

Biorąc pod uwagę wszystko powyższe, osobiście nie mogę na te biedne trupy jakoś szczególnie głośno narzekać.

Znacznie więcej problemów sprawiają mi żywi.

* * *

Obskoczyłem oba prosperujące jeszcze w Pchlim Targu sklepy – niezniszczalne „Społem” i wielobranżówkę Andrzeja, miejsce, gdzie można nabyć niemal wszystko, od podejrzenie brązowego jedzenia aż po miny przeciwpiechotne (swojego czasu nabyłem

kilka sztuk; głównie po to, żeby wszyscy wiedzieli, że je nabyłem), a jeśli czegoś akurat nie ma, to nic nie szkodzi: tydzień, góra dwa, i jakoś się załatwi – oraz sprzedałem nieco płodów rolnych, kilka jajek i żywego jeszcze kurczaka. Niby niewiele, ale zarobiłem dość, by kupić przemysłowego żarcia na tydzień lub jakiś towar z wyższej półki: wysokoprocentowy alkohol, garść nabojów, benzynę, baterie czy lekarstwa. No albo żeby wynająć wdzięki Zuzki na jakieś dwie, trzy godziny (choć w moim wieku to już akurat... marny interes).

Gdy odrobiłem się ze sprawunkami, dochodziła siódma rano. Pożegnałem wciąż zaspanego Andrzeja i wyszedłem, jednak zanim zdążyłem dojść do samochodu, dopadł mnie przyuczajony za rogiem Jacek Snop, człowiek będący kolejnym skutkiem ubocznym epidemii. Szkodnikiem, można by rzec, tyle że innego jeszcze rodzaju.

Chaos rodzi i pożera swoje dzieci w zastraszającym tempie i nawet w tak niewielkiej, z gruntu praworządnej wiosce, jak nasz Pchli Targ, z odmętów wywołanej zarazą paniki wypłynęło sporo szumowiny: wszelakiego autoramentu drobni złodzieje i szabrownicy; anarchiści, przekonani, że świat stał się piekłem, w którym nie obowiązuje już żadne prawo; samozwańczy Obrońcy Ludzkości – uzbrojeni w byle co kretyni, którzy chcieli określać, czy jesteś zombie, próbując cię legitymować, albo atakujący bez pytania – oraz zwykłe cwaniaczki, które w trupim odorze wyniuchały kolejną doskonałą okazję, żeby się obłowić.

Większość – z wyjątkiem może kościelnych Konopki – szybko zmądrzała i grzecznie wróciła do domów, część jednak przepadła bez śladu (między innymi w moim sadzie) bądź została wyłapaną i przyprawiona do porządku siłą.

Wszakże ostało się też kilku takich, którzy z podskubywania resztek po szkodnikach uczynili sposób na życie; Snop zaliczał się do tej właśnie grupy.

– Cześć, Heniu! Co tam?

Zignorowałem typa. Już raz go postrzeliłem i nie miałem ochoty dawać mu okazji, by sprowokował mnie do tego ponownie.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię złapałem! – Niezrażony

Rudy pobiegł za mną do samochodu, wymachując rękami, jakby chciał się upewnić, że nie jest niewidzialny. Lewa była wyraźnie wolniejsza od prawej. – Spadasz mi jak z nieba!

Pochodzenie ksywki Snopa było dla mnie jedną z tych zagadek – Rudy był szatynem – którym przyjemnie jest od czasu do czasu poświęcić kilka niezobowiązujących myśli, ale których rozwiązania tak naprawdę wcale nie chce się poznać, bo prawda, choć w gruncie rzeczy nieistotna, i tak mogłaby się okazać rozczarowująca w swej trywialności.

Jedno moje spojrzenie wystarczyło, by cały entuzjizm meliniarza zgasł.

– Ej, no! Chyba mi nie powiesz, że nadal się wściekasz o ten... incydent na arenie? Daj spokój, ja się na ciebie wcale...

– Wściekam? – przerwałem mu. – Rudy, kurwa, ty mnie nie widziałeś jeszcze nawet zirytowanego.

* * *

Jakoś ze dwa lata temu, w komitywie z paroma innymi typami tego samego pokroju, Rudy zaanektował opuszczony elewator i zbudował w nim prowizoryczną arenę – istną architektoniczną macochę Kopciuszka, zmajstrowaną ze stalowych słupów obspawanych blachą falistą od dołu i starą siatką ogrodową od góry, rozlazłą paskudę, która nie budziła ani sympatii, ani zaufania – a potem zorganizował „Prawdziwe walki zombie!”. Oczywiście poszedłem na to popatrzeć; apokalipsa nie sprzyja rozwojowi kultury – chyba że pożeranie bliźnich uznać za performance – więc człowiek tym bardziej docenia te jej namiastki, z którymi może jeszcze obcować.

Jacek i spółka faktycznie mieli zombie. Całe (no, prawie całe) dwa: trupa otyłej kobiety i martwego nastolatka. Skąd ich wzięli, nie wiadomo. Nie pytaliśmy zresztą; grunt, że nie był to nikt ze wsi, tylko jakieś niegodzące w nasze poczucie przyzwoitości przybłądy.

Obiecany show sprowadzał się natomiast do tego, że gdzieś na arenę rzucono kawał mięsa – raczej niezbyt świeżego, wnosząc po entuzjazmie, jaki trupy okazywały na jego widok –

a wygrywał ten „zawodnik”, który zdołał go pożreć. Dodatkową atrakcją była możliwość robienia zakładów, ale znudziły się nam one jeszcze prędzej niż same „walki”, bo nastolatek był zwyczajnie szybszy od grubaski i wygrywał dziewiętnaście pojedynków na dwadzieścia. Czasami faktycznie dochodziło do jakichś utarczek między truposzami, lecz były one równie porywające, co zwyczajne godowe amiszów.

Wystarczyła godzina tej żenady, by publika zaczęła tracić cierpliwość. Część widzów po prostu rozeszła się do domów, mamrotanymi pod nosem przekleństwami kwitując fakt, że dali się złapać ze spuszczoneymi spodniami. Większość zgromadzonych nie miała jednak zamiaru pogodzić się z takim spraw obrotom, szczególnie że aż nazbyt wyraźnie było widać, kto tu kogo i jak wyobracał.

Gdzieś z tłumu padło zatem sakramentalne: „Rudy, chuju jeden, oddawaj pieniądze!”, żywiłowo podchwycone przez pozostałych malkontentów. Meliniarze oczywiście próbowali jakoś się wykić, ale klientela pozostawała nieugięta, a postawione przez nią ultimatum jasne, klarowne i względnie uczciwe: zwrot pieniędzy albo show nowego rodzaju – organizatorzy kontra zawodnicy.

Osobiście, choć też czułem rozczarowanie całą tą kulturą, nie zamierzałem się wtrącać. Po pierwsze, dlatego że mam dla wszystkich Rudych tego świata argumenty o wiele bardziej przekonujące niż przekleństwa i groźby wkurzonych frajerów, a po drugie, zacząłem się naprawdę nieźle bawić, obserwując narastający rejdwach, tumult i przepychanki.

Lecz zanim rzeczywiście doszło do tarzania w smole i pierzu, stało się coś... fascynującego. Ku mojemu zaskoczeniu, ogromnej radości Rudego – który właśnie doznał objawienia, jak wysmarować maścią przeciwbólową kilkadziesiąt dup naraz, a przy okazji jeszcze zarobić – oraz przerażeniu wszystkich pozostałych zachowanie martwych zaczęło korespondować z nastrojem żywych. Porykując gniewnie, trupy urządziły sobie istną sesję sado-maso: biegały po klatce jak psy z podpalonymi ogonami, co rusz odbijając się od jej ścian albo wpadając na

siebie nawzajem i okazując przy tym nieznaną dotąd agresję.

Socjologiczny ów cud był na tyle otrzeźwiający dla wszystkich, że Rudy zdołał zamienić kilka nerwowych słów z kumplami, a potem przystąpił do realizacji swojego kretyńskiego planu: skoro widownia chciała igrzysk i krwi, postanowił dać jej i jedno, i drugie.

Bez problemu przekrzyczał stonowany teraz pomruk nadciągającej burzy i szybko wyjaśnił nam, co zamierza zrobić. I co w istocie zrobił – szybkim ruchem rozciął sobie dłoń i krzywiąc się nieco, własną krwią wysmarował kolejny ochłap mięsa.

Trupy, gdy tylko zwęszyły świeżą juchę, stały się jeszcze bardziej żwawe niż dotąd – zaryzykowałbym nawet twierdzenie, że było w nich więcej życia niż za życia – i jęły szarpać siatkę w miejscu, gdzie stał Snop. Publika natomiast, zachęcona ich metamorfozą, ustawiła się w kolejce, by robić zakłady.

Tym razem postawiłem pięć dych na grubasę.

W chwili gdy mięso wreszcie spadło na arenę, zaczęła się wyczekiwana przez wszystkich jatka. Zombie dosłownie zabijały się o ochłap – co oczywiście na żadnym z nich nie zrobiło większego wrażenia – ale w końcu, zgodnie z moimi przewidywaniami, wygrała damulka, pozerając mięso razem z palcami nastolatka, który okazał się bezradny wobec jej masy, siły i głodu.

Na tym jednak przedstawienie się nie skończyło, bo chciwa baba wyraźnie miała ochotę na więcej, a świeża krew dodała jej niespodziewanego wigoru. Gdy ponownie plasnęła tłustym cielskiem o ścianę areny, dokładnie w miejscu, gdzie stał Rudy, prowizoryczna konstrukcja zaczęła ustępować, a niemal wszyscy zgromadzeni, zarówno część organizatorów, jak i większość publiki, stali się nagle jedną istotą: bestią o wielu głowach, dzielących wszakże wspólny instynkt i rozum – stadem.

Ogarnięta paniką czereda z miejsca podała tyły, rozpychając się, szarpiąc, miażdżąc nawzajem i oczywiście blokując wyjście z opuszczonego magazynu. Gdyby zombie ugryzły któregoś z tych durniów, byłby to najnędzniejszy –

i zapewne ostatni – dzień w całej nędznej historii Pchlego Targu.

Patrzyłem na całą scenę zde gustowany; nigdy nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego ludzie boją się szkodników, skoro to szkodniki powinny bać się nas.

Kiedy idę między żywych, rzadko zabieram ze sobą strzelbę myśliwską – w poprzednim życiu należałem do koła łowieckiego – ale zawsze mam przy pasie glocka 19 z powiększonym magazynkiem. Andrzej zmajstrował mi go od jakiegoś Czeczena jeszcze w czasach, gdy zaraza była wyłącznie ciekawostką podnoszącą nakład tabloidów. Mimo to pistolet kosztował krocie. Dzisiaj pewnie mógłbym go sprzedać z dwudziestokrotnym przebicciem, lecz to nie wchodzi w grę, bo pistolecik okazał się jedną z najlepszych inwestycji w moim życiu – poręcznym i niezawodnym rozwiązaniem większości problemów, które sprawia mi współczesny świat.

W chwili gdy ściana areny ostatecznie się rozpadła, oddałem pierwszy strzał. Pocisk kaliber dziewięć milimetrów, wystrzelony z odległości, na jaką z pewnością potrafię się wysikać, przeszedł przez trupią czaszkę jak Mojżesz przez Morze Czerwone i zaprowadził Nowy Ład. Drugiego szkodnika, który dosłownie nastawał na pięty swojej towarzyszki, spacyfikowałem w ten sam sposób.

Nagły huk do reszty rozpedził spanikowane ludzkie stado, lecz nim echo wystrzałów zdążyło wybrzmieć ostatecznie, poważnie wkurzony Rudy już wyciągał łapę po odszkodowanie za „pozbawienie źródeł utrzymania”. Jego przydupasy – a przynajmniej ta ich część, która dotąd nie uciekła – również byli zdania, że coś im się ode mnie należy.

Mimo że meliniarze próbowali uczynić swoje śmieszne groźby bardziej realnymi, wymachując mi przed nosem stalowymi rurami, nożami i hyclowskimi chwytakami – jedyną bronią, jaką mieli do dyspozycji – wszystko jeszcze mogło się skończyć na piździe pod okiem Rudego i kilku wybitych zębach. Mogło, ale się nie skończyło, bo jeden z ludzi Snopa popełnił ten przykry błąd, że zupełnie nie w porę przypomniał sobie o ukrytym pod koszulą pistolecie.

Oszczędny ruch ręki przyczajonego za kolegami samobójcy dostrzegłem kątem oka, ale to mi wystarczyło. Gość miał jeszcze szansę: całą sekundę pomiędzy tym, jak w niego wymierzyłem, a momentem oddania strzału. Mógł puścić broń, pokazać puste ręce i błagać o życie. Mógł chociaż spróbować.

Nie moja wina, że tego nie zrobił.

Aby się upewnić, że przekaz dotarł i został zrozumiany, strzeliłem też do Rudego. Chciałem go tylko drasnąć, lecz drgnęła mi ręka i skrewiłem: kula przeszła przez kość ramienia.

Kiedy Snop wił się na podłodze, wyjąc z bólu, a reszta jego ekipy jednomyślnie odrzuciła cały arsenał, zabrałem z kasy moją wygraną, pieniądze na cztery nowe pociski (w końcu nie jestem filantropem), i zdobyczną broń – jak się okazało, odpustową zabawkę na plastikowe kulki.

Zabić przez takie gówno to zwykły niefart, ale dać się zabić przez takie gówno to już głupota.

– No i po co ci to było? – zapytałem, miażdżąc obcasem atrapę.

Łapiący ostatnie wdechy meliniarz nie odpowiedział. Nawet na mnie nie spojrzął; po kilku sekundach zwiotczał, a ja nie miałem tam już nic więcej do roboty.

– Jeśli chcesz, załatwię jeszcze jednego – rzuciłem do Rudego na odchodnym, od niechcienia wskazując bronią pierwszego z brzegu patałacha. – Będziesz miał nowy komplet zawodników.

Na własne szczęście biznesmeni od siedmiu boleści okazali się dostatecznie mądrzy – albo tchórzliwi – by nie szukać zemsty.

* * *

– Ej no, nie bądź taki! Ja tu do ciebie grzecznie, jak...

– Gadaj, czego chcesz, albo spieprzaj! – Wymownie podrapałem się po prawym pośladku, tuż obok kabury z bronią, ale Snop chyba nie załapał aluzji, bo zamiast zwiewać tam, gdzie go nie oczekują, skulił się tylko nieznacznie i podszedł bliżej.

– Heniu, spokojnie, nie na wdechu. Wiem, że mnie nie lubisz, ale chyba możemy przez chwilę pogadać jak ludzie? – Wyczarował skądś dwie butelki zakapslowane hen tam, na południu, i podał mi jedną. – No co ci zależy?

– Hmm... – Muszę przyznać, że Rudy nieco zbił mnie z tropu: nie przypuszczałem, że okaże się tak wytrawnym dyplomata. – Skoro faktycznie zaczynasz gadać jak człowiek...

– No ba! – Jacek uśmiechnął się w sposób wyrażający równocześnie ostrożny zachwyt i lekkie zdumienie; jak dzieciak, który pierwszy raz w życiu wsunął rękę pod spódniczkę i jakimś cudem nie dostał po pysku. – W twoje ręce!

No dobra, ale piwo piwem, a Rudy Rudym. Chcąc mieć to dziwne rendez-vous jak najszybciej za sobą, podważyłem kapsel kluczykiem i jednym haustem opróżniłem połowę butelki, czemu towarzyszyło zwykłe przy takich okazjach ukłucie tęsknoty za tym, co w „starych, dobrych czasach” rzeczywiście było dobre.

Jakkolwiek przyznać trzeba, że na swój sposób góralom szkodniki również nielicho się przysłużyły, warzone przez nich piwo nie ma już nic wspólnego z tym, którym w spokojniejszych czasach uczciwy rolnik mógł ugasić pragnienie po dniu ciężkiej pracy – barwą i klarownością przypomina ścieki, pieni się tylko, kiedy mieszać je z płynem do naczyń, a smak to dramat w trzech aktach: kwaśnym, słonym albo nijakim, zależy, jak się trafi. Za to nazwa samego browaru urosła do rangi symbolu, a jego picie stało się swoistym manifestem sprzeciwu wobec nieumarłych. A wszystko za sprawą sloganu: „Ż. Dla żywych!”.

Rudy przełknął ze dwa łyki, a potem zapytał ściszym głosem:

– To co, może wsiądźmy do samochodu?

– Nie. Mów, o co chodzi, albo... Ech, po prostu się streszczaj, dobra? Nie mam całego dnia.

Wyraźnie zawiedziony Jacek – który chyba liczył, że po piwie będę łatwiejszy – westchnął cicho i rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy nikt nas przypadkiem nie słyszy. O tak wczesnej porze Pchli Targ był jednak całkowicie wyludniony; nie mamy tu żadnych przedsiębiorstw ani fabryk, do których ktoś mógłby zmierzać na pierwszą zmianę – co akurat nie jest winą apokalipsy – a oba sklepy otwierały się dla zwykłych klientów dopiero o siódmej. Garść innych punktów usługowych, które dotąd nie padły – jeszcze później.

– Słyszałeś o Budyniowej? – zapytał w końcu Rudy. Fakt, że nie

musiał zaczynać od ustalenia, czy w ogóle znam jakąś Budyniową, wiele mówi o Pchlim Targu i naszej społeczności.

– Nie. Co z nią?

– Nie żyje... To znaczy: najprawdopodobniej nie żyje – odparł Rudy. – Chodzą plotki. Nikt jej nie widział od kilku dni.

– No i?

Marcela Budyń, podstarzała wdowa mieszkająca samotnie w wielkim domu na skraju wsi (a ściślej: na jednym z wielu skrajów wsi), czasami przychodziła do mnie kupić trochę jedzenia i poplotkować. Rozgadana i zawsze doskonale o wszystkim poinformowana krowa, z której twarzy praktycznie nie znikał obłudny uśmiech profesjonalnej dewotki. Jeśli faktycznie zesła, płakał za nią nie będę.

– I tak sobie pomyślałem, że... – ciągnął Rudy. – No wiesz, że może warto by się wybrać i sprawdzić, co tam u niej.

– No to idź. Mojego pozwolenia przecież nie potrzebujesz.

– Szedłbym, ale... No wiesz... – dukał. – Jeśli ona... No wiesz...

– No to nie idź.

– Daj spokój, a jeżeli trzeba jej pomóc? Może leży na schodach ze złamaną nogą i umiera z głodu albo... – Wzruszył ramionami. – Sam nie wiem.

– To zadzwoń na pały. Może się nawet chłopcy ucieszą, że wreszcie trafiła im się jakaś prawdziwa robota.

Rudy tylko prychnął.

Najbliższy komisariat znajduje się cztery wiochy dalej, więc policję oglądamy w Pchlim Targu rzadko. A jeśli już, to tylko u Brodatego w Kryształowym Tulipanie – jedynej uczciwej knajpie, jaką kiedykolwiek widziała ta okolica; ongiś niemal szarym zajeździe, będącym całkiem niezłym lepem na przejezdnych (w przeważającej większości ludzi nieświadomych istnienia Pchlego Targu jeszcze na minutę przed wjechaniem w jego obręb i w pół minuty po wyjechaniu), a obecnie obskurnej spelunie, która prosperuje tylko dlatego, że oficjalnie została zamknięta tuż po wybuchu zarazy.

Oczywiście nikomu tutaj nie przeszkadza brak zainteresowania ze strony władz. W końcu sami potrafimy zadbać o siebie, swoje

rodziny i porządek we wsi.

– Jedź tam ze mną. – Nie ustępował Jacek. – We dwóch zawsze raźniej i bezpieczniej. Sprawdzilibyśmy, co tam u niej...

– I obrobili jej chałupę, jeśli faktycznie odwaliła kitę, co?

– Nie, no co ty?! Ja tylko chcę się upewnić, że nic jej nie jest! To taka sympatyczna babka...

– Przestań pieprzyć, Rudy! Dzielimy się uczciwie, ale to ja mam pierwszeństwo przy wyborze fantów.

– Zgoda. – Snop kiwnął głową po krótkim, raczej udawanym, namyśle.

Zastanawiałem się przez moment, czy powiedzieć mu, że „uczciwie” wcale nie znaczy „po równo”, ale odpuściłem. Wszystko w swoim czasie.

– Tylko... co, jeśli Marcela jednak żyje? – Jacek dodał po chwili.

– A to już zależy.

– Od?

– Od tego, czy jedziemy tam, żeby sprawdzić, czy zeszła, czy żeby się co do tego upewnić.

– Jezu, Heniek, chyba nie chcesz...

– Ja? Przecież to twój pomysł. No, zbieraj się.

Snop wyglądał jak ktoś, kto zbyt późno zorientował się, że zawarł układ z diabłem. Niemniej posłusznie polazł ze mną.

Szansa zagarnięcia dobytku po wdówce to żadna tam życiowa okazja, ale i tak warta była odrobiny zachodu. Należało się jednak śpieszyć, bo skoro już zaczęły chodzić plotki, to tylko patrzeć, jak za nimi przyjdą i plotkarze.

Niechętnie wpuściłem Rudego do auta, dopiłem piwo, rzuciłem butelkę na tylne siedzenie i pojechaliśmy do mnie przygotować się na szabry.

– Jak myślisz, skąd się wzięli? – zagaił w pewnej chwili Snop.

No i masz, kolejny kretyn, któremu się wydaje, że zdoła zbudować jakiś pomost między nami, bazując na wspólnym Wielkim Nieszczęściu.

– Nie wiem.

– Nie pytam, czy wiesz, tylko co o tym myślisz.

– Nic.

– Daj spokój, przecież musisz mieć swoje zdanie. Każdy ma.

Oczywiście nie na głos, ale przyznałem Rudemu rację. Rzecz jasna, nikt nie wie, kim lub czym zombie tak naprawdę są. Nie znam też nikogo, kto potrafiłby jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie, skąd się wzięły. Władza wciąż uparcie milczy, skazując nas, szare masy, na niepotwierdzone plotki, sensacje prokurowane przez tabloidy i własne domysły. A ilu ludzi, tyle teorii, wiadomo.

Generalnie dominują jednak poglądy oparte o stare, dobre kino: sondażowa większość wsi przypuszcza, że plaga zombie jest efektem jakiegoś ataku albo nieudanego eksperymentu wojskowego, naturalnie amerykańskiego bądź ruskiego. Niektórzy sądzą, że to zemsta regularnie obsrywanej tonami radioaktywnych śmieci Matki Ziemi, ale są też tacy, którzy winę za cały ten bajzel zwalają na małych zielonych ludzików. No i oczywiście zostają jeszcze zaboboniarze, dopatrujący się w truposzach kary zesłanej przez Boga; plagi, która nawiedziła Ziemię w ramach zbliżającej się wielkimi krokami apokalipsy.

Nic naprawdę oryginalnego.

Natomiast jeśli chodzi o mnie...

– Nie wiem i mam to w dupie. A uprzedzając: twoje zdanie na ten temat też mam w dupie i ostro mnie ono jebie, jasne?

– Jezu, Heniek, coś ty taki nerwus? Tylko pytam przecież...

– To przestań. Nie jesteśmy na randce.

– A mogę chociaż zapalić? – Mówiąc to, wyciągnął w moją stronę paczkę fajek.

– Nie.

Na tym rozmowa się urwała. Skonsternowany Rudy schował papierosy i zagapił się na drogę albo po prostu starał się nie patrzeć na mnie. Ja zacząłem liczyć i planować.

* * *

Z garażu wyprowadziłem ciągnik i zamontowałem przyczepę, ukradkiem napawając się miną Rudego. Oczywiście było, że słyszał o tej maszynie, bo przyglądał jej się z mieszaniną czci i strachu. Nie, przepraszam: przerażenia. W ten właśnie sposób

Indianie musieli patrzeć na pierwsze europejskie okręty, Niemcy na pierwsze rozjeżdżające ich czołgi, a jakiś nieszczęsny idiota – na pierwszego szkodnika.

Zakuty w kilka dodatkowych blach i z na stałe zamontowanym spsychaczem – teraz już niekoniecznie do śniegu – przedapokaliptyczny zetor sam w sobie może i nie wyglądał okazale, ale ciągnąca się za nim złowroga sława niemal dostrzegalnie przydawała mu majestatu.

– Wsiadaj – rzuciłem w końcu, gdy pozbierałem już wszystko, co mogło nam się przydać. – Jak będziesz grzeczny, to dam ci się pobawić wycieraczką.

* * *

Traktor z przyczepą ledwo zmieścił się na podjeździe przed domem Marceli. Choć z daleka było słyhać, że nadjeżdżamy, obwieściłem nasze przybycie trzykrotnym uderzeniem w klakson. Odczekaliśmy chwilę, ale gospodyni nie wyszła się przywitać. Jeszcze raz sprawdziłem, czy strzelba jest nabita, i wysiadłem z traktora.

– Masz jakąś broń? – zapytałem Rudego.

– Tylko nóż. Myślisz, że będę potrzebował czegoś konkretniejszego?

– Nigdy nie wiadomo. – Wzruszyłem ramionami.

– To może pożycz mi ten swój pistolet?

– Chyba ocipiałeś. Już prędzej cię zastrzelę. – Gdybym miał kiedyś spisać kodeks człowieka pragnącego przeżyć w świecie pełnym złośliwych trupów, fanatyków i mętów wszelkiego rodzaju, jedna z pierwszych zasad brzmiałaby następująco: „Nigdy nie dawaj broni do ręki człowiekowi, któremu wcześniej tę rękę przestreliliś”. – Idziemy!

Dom był duży, ale bynajmniej nie wzbudzał skojarzeń z przepychem i bogactwem – ot, długi piętrowy budynek, postawiony tuż po wojnie, kryty rozłazącą się teraz gdzieniegdzie, porośniętą mchem dachówką. Okna oparły się erze PCV, a drzwi wyglądały solidniej od ścian, z których płatami odpadał szary tynk. Całość sprawiała wrażenie jakby niedbale

wrzuconej w sam środek zapuszczonego sadu.

Nacisnąłem elektryczny dzwonek, ale okazał się zepsuty. A może po prostu wdówka zalegała z rachunkami za prąd. Zapukałem więc do drzwi i krzyknąłem:

– Halo! Pani Budyń! Jest tam pani?! Wszystko u pani w porządku?!

Zero odzewu. Nacisnąłem klamkę, ale nic mi to nie dało. Obeszliśmy więc dom dookoła, szukając innego wejścia i sprawdzając okna na parterze. Znaleźliśmy drugie drzwi, ale również zatrzaśnięte na głucho, natomiast wszystkie okna ktoś zabił od środka dechami.

Rozsądnie.

– Co teraz? – zapytał Rudy.

– Właż! – Wskazałem mu niewielki daszek nad drzwiami frontowymi. Powyżej znajdowało się duże okno, przez które przy odrobinie wysiłku można było dostać się do domu. – Wejdiesz tamtędy i otworzysz mi od środka.

Rudy był co najmniej piętnaście lat młodszy i pewnie o połowę lżejszy ode mnie, więc wspinaczka i włamanie – choć oczywiście poprzedzone gwałtownymi protestami – nie nastęrczyły mu większych problemów.

Brzęk rozbitego szkła był znacznie cichszy, niż można by się spodziewać, a zarazem o wiele głośniejszy, niż życzyłby sobie tego wyraźnie zdenerwowany Jacek. Już w kilka chwil po tym, jak zniknął mi z oczu, okazało się, że jego obawy były słuszne – z wnętrza domu dobiegły przekleństwa i krzyki; przytłumione i bardzo niewyraźne, lecz z pewnością oznaczające kłopoty.

Mogłem się tylko domyślać, co spotkało Rudego, ale w tamtej chwili szczegóły nie miały znaczenia. Liczyły się tylko dwa proste fakty: głupi gnojek wpakował się w jakieś szambo i potrzebuje pomocy, a ja muszę radzić sobie sam. Albo – co przez moment było nawet kuszące – pieprzyć go i wracać do domu.

Parterowe okna były zbyt małe, bym zdołał się przez nie przecisnąć, nawet gdyby udało mi się wyłamać blokujące je deski. Spróbowałem więc wyważyć łomem tylne – pozornie mniej solidne – drzwi, jednak bezskutecznie.

No dobra; jak nie sposobem go, to siłą – odrzuciłem łom, nabrałem rozpędu i spróbowałem staranować drzwi barkiem.

Błąd.

Odbiłem się z miękkim plaśnięciem, niczym pozbawiona powietrza piłka uderzająca o ścianę, i wylądowałem na ziemi, czemu towarzyszył silny, acz pouczający ból. Pozbierałem się, klnąc pod nosem, i spróbowałem ponownie, tym razem metodą „na gliniarza”: kopnąłem potężnie tuż nad klamką. Na filmach zamek puszcza, a drzwi odskakują z głośnym trzaskiem. W życiu jest odwrotnie – drzwi zostały na miejscu, a jedyne, co trzasnęło, to moje kolano.

No dobra; jak nie siłą go, to ciągnikiem. Dokuśtykałem do zetora i wzięłem łańcuch przygotowany z myślą o zabezpieczeniu mojego potencjalnego nowego dobytku. Jeden koniec przymocowałem do traktora, a drugi do klamki drzwi frontowych. Następnie odpaliłem maszynę i zacząłem powoli cofać. Po chwili łańcuch się naprężył, a po dwu dom stał przede mną otworem.

* * *

Nim jeszcze wszedłem do środka, w nozdrza uderzyła mnie istna mozaika smrodu – zgnilizna, fekalia i śmierć; w tym domu były szkodniki. I to od dawna.

Strzelbę – niezbyt poręczną w ciasnych pomieszczeniach – przewiesiłem przez plecy i wyjąłem Glocka. W drugiej ręce ścisnąłem latarkę, lecz ta, ku mojemu zaskoczeniu, okazała się niepotrzebna, bo w domu był prąd i wszystkie światła działały.

– Rudy! – krzyknąłem, stojąc już w korytarzu. – Gdzie jesteś?!

Szczerze mówiąc, bardziej niż odpowiedzi spodziewałem się hordy zombie wyskakujących zza każdego drzwi, tymczasem niemal natychmiast doleciał mnie rozpaczliwy, dochodzący zewsząd i znikąd, wrzask mojego współnika:

– Tutaj! Heniek, szybko! Ratuj! Tu jest trup!

– Rudy, nie wkurwiał mnie! „Tutaj”, to ja jestem!

– Na górze! Pośpiesz się, błagam!

– Boże, stawiasz na mej drodze wszystkich tych kretynów, żeby

mi było w życiu ciężej – westchnąłem – czy żeby im było lżej?

Na szczęście – nie jestem wielkim entuzjastą Boga – tym razem nie doczekałem się odpowiedzi.

Schody znalazłem dopiero po otwarciu trzecich drzwi. Za pierwszymi kryła się kuchnia, a za drugimi kotłownia. Wystrój wewnątrz nie był ani bogaty, ani biedny – był tradycyjny i praktyczny jak w każdym szanującym się wiejskim domu. Sprzętów nie znalazłem dużo, a te, na które natrafiłem w kuchni – meble, kaflowy piec do wypieku chleba, radio marki Unitra – swoje najlepsze lata miały za sobą na długo przed wybuchem zarazy. Niemniej wszystko było czyste i w dobrym stanie.

Wspinałem się z przesadną ostrożnością – martwy Rudemu nie pomogę – a z każdym przebytym stopniem coraz mniej mi się w tym domu podobało.

Nie musiałem znów wołać, by znaleźć Jacka; z pokoju usytuowanego kilka metrów na lewo od schodów, po przeciwnej stronie pogrążonego w półmroku korytarza, aż nazbyt wyraźnie dało się słyszeć wszystkie „kurwy”, jakimi Rudy zdołał zapełnić swój zdumiewająco bogaty słownik – naprzemiennie dowcipne, przymilne, gniewne i zwyczajnie wulgarne – wypowiedane jednak głosem piskliwym, niebezpiecznie balansującym na krawędzi paniki.

W krótkiej przerwie, jakiej Snop potrzebował dla zaczerpnięcia oddechu, dało się słyszeć inny dźwięk; znacznie cichszy, ale nie mniej przez to wyraźny – nerwowe, doskonale znane mi skrobanie.

Raz jeszcze upewniłem się, że glock jest naładowany i odbezpieczony, a następnie podszedłem do feralnego pokoju powolnym, miękkim krokiem i przyłgnałem do ściany tuż obok wejścia. Odczekałem chwilę, nasłuchując, ale w dobywającym się z wnętrza repertuarze poezji ulicznej nie zaszła żadna zmiana, zaryzykowałem więc rekonesans. Zadanie miałem o tyle proste, że drzwi były otwarte niemal na oścież. Wystarczyło, że nieco wychyliłem głowę, i obraz całej sytuacji stał się komicznie klarowny.

Rudy leżał na brzuchu, wciśnięty między starą, masywną szafę, na którą musiał wskoczyć z parapetu, a wiszący niewiele wyżej sufit, i wciąż bluzgał, choć z każdą chwilą coraz mniej przekonująco. W trzęsącej się ręce trzymał nóż typu motylek; beużyteczną zabawkę, którą machał nieporadnie i zupełnie bez sensu.

Tuż przed szafą, ale daleko poniżej zasięgu ostrza, stał trup może ośmioletniego chłopca, ubrany w niebieskie spodnie z wyraźnym, czarnobrązowym akcentem pośrodku oraz niegdyś białą koszulkę, i drapał wściekle po drewnie tymi kilkoma paznokciami, które mu jeszcze nie odpadły.

Nagle szkodnik przerwał swoje bezcelowe wygłupy i zamarł, a ja nieco mocniej zacisnąłem palec na spuście. Trupek jednak nadal wpatrywał się w swój domniemany podwieczorek, zupełnie nie zwracając uwagi na to, co dzieje się za jego plecami, aż wreszcie zarzęził wściekle i zaczął podskakiwać pociesznie na przegniłych nóżkach, próbując złapać uzbrojoną w nóż rękę.

Ani zombie, ani jego ofiara mnie nie zauważyli, więc przez dłuższą chwilę obserwowałem całą scenę z krzywym uśmiechem, zanim ruszyłem Jackowi na ratunek.

Mógłbym podejść do gówniarza na odległość kroku i połaskotać go lufą w ucho tuż przed tym, nim pocisk połaskocze mu mózg, albo nawet spróbować załatwić go nożem myśliwskim – bardziej jeszcze nieodzownym elementem mojego stałego wyposażenia niż glock – co miałyby tę zaletę, że nie postawiłoby na nogi połowy wsi. Jednak przetrwanie to sztuka niepopelniania błędów; martwy człowiek mógłby okazać się szybszy od starego człowieka, pistolet mógłby nie wypalić, wciąż bolące kolano mogłoby odmówić posłuszeństwa albo w iście filmowym stylu w najmniej odpowiednim momencie zaskrzypiałaby podłoga – i byłoby po mnie.

Upewniłem się jeszcze, że nigdzie w pobliżu nie widać rodziców tego rozkosznego brzdąca, a potem, nie wychylając się bardziej, niż to absolutnie konieczne, uniosłem broń i wycelowałem. Zwłoki wciąż podskakiwały, więc żeby ułatwić sobie zadanie, gwizdnałem cicho. Wystarczyło: mały obrócił się błyskawicznie.

Nie zdążył jednak spojrzeć mi w oczy.

Ani ja jemu.

Kiedy większa część mózgu dziecka rozbryznięta się na szafie, Rudy krzyknął jak podszczyrywana panienka.

– Nie wrzeszcz tak! Umarłego byś obudził! – zażartowałem, wchodząc do pokoju i zamykając za sobą drzwi. Zombie słabo radzą sobie z klamkami, więc taka zaporą powinna nam chwilowo wystarczyć.

Na wszelki wypadek pokazałem jednak Rudemu, który właśnie otwierał usta – najprawdopodobniej po to, by rzucić ostatnim, wymęczonym przekleństwem – że ma siedzieć cicho. Sam też zamarłem na dłuższą chwilę i nasłuchiwałem.

– Dobra, złaź! – rozkazałem może minutę później. W domu panowała absolutna cisza, uznałem więc, że jest względnie bezpiecznie.

Biedny dupek oczywiście nie podołał i w końcu wylądował plackiem na podłodze, tuż obok trupa. Zaklął, podniósł się niezgrabnie i właśnie zaczął mi dziękować, gdy wycelowałem mu prosto w twarz.

– Dopadł cię?

Rudy, który w pierwszej chwili kompletnie zbaraniał na widok wymierzonej w siebie broni, potrzebował nieco czasu, żeby przetrwać pytanie.

– Nie... Nie no, co ty!? – wyjąkał wreszcie. – Jasne, że nie!

– Rozbieraj się!

– Co?

– Do gołej rzyci. Już, już!

– Heniek, spokojnie, nie na wdechu... Opuść tę cholerną broń, dobra? Nie dziabnął mnie przecież! Przysięgam, że nawet się do mnie nie zbliżył!

– Sram na twoje przysięgi. Ściągaj łachy!

– Ale... No sam popatrz! – Uniósł ręce i okręcił się wokół własnej osi. – Widzisz? Ani kropli krwi! Nic!

– Jak na razie, to widzę tylko, że koniecznie chcesz mnie wkurzyć. Naprawdę wolisz dostać kulkę już teraz, zanim w ogóle sprawdzę, czy faktycznie nie zmieniasz się w to? – Ruchem głowy

wskazałem kolejny rozwiązany problem. – Bo mnie tam w sumie obojętne, kiedy cię zastrzelę...

* * *

Oglądanie Rudego nago nie sprawiło mi najmniejszej przyjemności, ale było niezbędne; kolejny akt w sztuce niepopelniania błędów. Na szczęście nie dopatrzyłem się na jego wychudzonym ciele niczego bardziej niepokojącego niż zastały brud. I paskudna blizna na lewym ramieniu.

Po zakończonych oględzinach dałem współnikowi chwilę, aby się ubrał, ale że wciąż był roztrzęsiony, nie potrafił nawet uczciwie wciągnąć spodni.

– Ruszże się, albo wylecisz stąd w samych skarpetach! – warknąłem w końcu. – Narysuję ci butem tarczę na dupie i będziesz robił za wabik na trupy. A coś mi mówi, że kilka ich tu jeszcze znajdziemy.

Rudy widocznie poznał się już na moim niebanalnym poczuciu humoru, bo zaczął walczyć z gaciami o wiele intensywniej, lecz przez to jeszcze bardziej bezproduktywnie niż dotąd, co dało ten tylko efekt, że stracił równowagę i znów rymsnął – tym razem prosto na swojego małego przyjaciela.

– Skurwysyn zajebany... – Gramoląc się z podłogi, zaklął cicho, nawet bardzo cicho, ale nie dość cicho; jakby nie mógł się zdecydować, czy chce, żebym go usłyszał, czy nie.

– No skurwysyn, i co? – zapytałem spokojnie. – Jak ci się coś nie podoba, przypominam, że to ty przyszedłeś do mnie, a nie odwrotnie.

Przez ułamek sekundy zbity z tropu Rudy nie bardzo wiedział, co ze sobą zrobić, ale ostatecznie postanowił iść za ciosem.

– I już tego żałuję... Dlaczego zawsze musisz być takim gnojem, Heniek?! – Wciąż był roztrzęsiony, ale też wyraźnie wściekły; sprawiał wrażenie, jakby zamierzał się na mnie rzucić. – Bawi cię to, czy jak?

– Czy jak – zripostowałem bez uśmiechu, leniwie czyszcząc broń. – Ale miło, że pytasz. A teraz wkładaj te cholerne gacie!

Przez krótką chwilę Rudy wyglądał, jakby fantazjował

o szczaniu na moje zwłoki albo czymś równie przyjemnym, ale że to ja byłem ten większy, silniejszy, lepiej uzbrojony, bardziej krwiożerczy i zwyczajnie wredniejszy, szybko wrócił do przykrew rzeczywistości.

– Wiesz co, Heniek? Pieprz się! Po prostu się pieprz, dobra? Chcesz być chujem, to sobie bądź, ja się z koniem kopać nie zamierzam.

– No cóż – wzruszyłem ramionami – lepiej być chujem niż taką pizdą...

I już. Tyle. Pozamiatane. Rudy nie znalazł dla mnie żadnej sensownej odpowiedzi, a na te bezsensowne się nie odważył.

* * *

Mimo wszystko, muszę przyznać, facet nieco zyskał w moich oczach – nie przypuszczałem, że będzie stać go choćby na taką namiastkę ze wszech miar słusznego przeciw gniewu.

Rozumiałem go doskonale, ale nie zamierzałem się tłumaczyć.

A przecież w gruncie rzeczy jestem tylko prostym rolnikiem; drobnym hodowcą bydła i drobiu, dumnym posiadaczem pierwszego we wsi zetora i zapalonym grzybiarzem. Starszym już panem, który w letnie wieczory lubi posiedzieć w bujaku za domem, obejrzeć zachód słońca, wypić szklaneczkę czegoś na zdrowy sen i rozwiązywać krzyżówki.

I właśnie dlatego muszę być, jak ładnie ujął to Rudy, „skurwysynem zajebanym”.

Nie powiem, drób jest smaczny, nabiał dochodowy, a dobry traktor przydaje się w życiu tak samo jak dobra żona (a czasem i bardziej – starą zakopałem dawno temu, a ciągnik nadal jeździ), wszakże w tych popieprzonych czasach wyłącznie popieprzeni ludzie mogą liczyć na trochę normalności. Istnieje bowiem tylko jedna pewna waluta, za którą można kupić sobie święty spokój: strach.

Nie było łatwo, ale kiedy w końcu zdołałem wpoić ludziom z całej okolicy – zarówno tym wciąż jeszcze żywym, jak i tym już tylko poruszającym się – że gospodarstwo Henia to miejsce, od którego należy trzymać się z daleka, a miarowy warkot ciągnika,

powoli urastający do rangi wiejskiej legendy, oznacza bardzo, ale to bardzo poważne kłopoty, życie stało się o wiele prostsze.

* * *

– Jak ten mały się tu dostał, skoro dom był zamknięty na głucho? – Po chwili krępującego milczenia Rudy skapitulował i zmienił temat.

– Nijak. – Kopniakiem obróciłem szkodnika na plecy i przyjrzałem mu się uważniej; twarz miał nadgniłą, zakrwawioną i niekompletną, ale rozpoznałem go bez trudu. – Był tu przez cały czas.

– Co?

– Nie „co”, tylko „kto”. Ten zombiaczek to Czesio, wnuk starej Budyniowej.

– Co?!

– To, co słyszałeś. A myślę, że może być jeszcze gorzej.

– Gorzej? Jak to: gorzej?

– Czesio miał jeszcze rodziców i siostrę, może kojarzysz? Podobno wyjechali do Strefy Bezpieczeństwa, zdaje się, że przed śmiercią Kazika nawet, ale... ale jakoś właśnie przestałem w to wierzyć.

– Chcesz powiedzieć, że... jest ich tu więcej?

– Nie wiem, ale to by tłumaczyło, czemu chałupa była zamknięta na głucho, nie?

– Aha. No to pięknie! Po prostu, kurwa, cudownie... – Rudy jednym solidnym szarpnięciem naciągnął spodnie. – W takim razie ja już podziękuję, na coś takiego się nie pisałem.

– Owszem, pisałeś się.

– Nie, nie pisałem się! Rób, co chcesz, ale ja stąd spieprzam!

– Zostajesz. – Znów uniosłem broń.

– Co? Ale... dlaczego?

– A choćby dlatego, że właśnie otworzyliśmy ten pierdolnik na oścież i albo coś z tym teraz zrobimy, albo znów się trupy w całej wsi wyroją.

– Aha, a ciebie to przecież tak bardzo obchodzi...

– Może obchodzi, a może nie, ale i bez tego nie brakuje mi

problemów, więc lepiej posprzątać tu od razu i mieć święty spokój. Poza tym musimy znaleźć starą. Jeśli jeszcze żyje, to odpowie nam na kilka pytań. A ja jestem cholernie ciekaw, co tu się właściwie odpięrdala.

– A ja nie! Poza tym wątpię, żeby wciąż żyła. Po jej chałupie kręcą się trupy, a jej samej od dawna nikt nie widział, więc... no...

– Możliwe. Ale i tak zamierzam jej poszukać. A ty, misiu, pójdziesz ze mną. W końcu to był twój genialny pomysł, żeby sprawdzić, co tam u niej, pamiętasz?

– Ej... To kurewsko nie fair! – Jacek westchnął niemal teatralnie. – Wiesz przecież, że wcale nie przyszedłem tu zgrywać bohatera.

– Bohatera? – Omal się nie roześmiałem. – Oj, Rudy, Rudy... Żaden z nas nie zostanie dzisiaj bohaterem, to ci akurat mogę obiecać.

– Tym bardziej nie rozumiem, co tu jeszcze robimy.

Wzruszyłem ramionami.

– Chyba po prostu to co trzeba.

– Zupełnie bez sensu...

– Witaj w życiu. – Schowałem glocka i zdjąłem z ramienia strzelbę. – Masz, może chociaż to poprawi ci humor.

Rudy spojrział na mnie z niedowierzaniem, może nawet z lekkim przestraczem.

– Heniek Gąska daje mi do ręki swoją broń... Panowie i panie, to już pewne: świat rzeczywiście się kończy. – A potem spojrział na mnie podejrzliwie. – No chyba że nie jest nabita?

– Tak, pewnie, żebyś mi nią wywijał jak cepem i jeszcze zniszczył? Słuchaj, Rudy, wyjaśnijmy coś sobie od razu: broń jest naładowana i możesz zrobić z niej użytek, ale jeśli chcesz dożyć wieczorynki, pamiętaj o jednym: w całym tym domu nie znajdziesz niczego i nikogo, kogo byś nie chciał wkurwić bardziej niż mnie, jasne? – A potem dodałem tonem ni to ostrzeżenia, ni to groźby: – No i nie zapomnij, że potrzebujesz obu rąk, żeby celować.

W żadnym wypadku nie była to próba zaskarżenia sobie sympatii i zaufania Snopa, chęć zadośćuczynienia mu za moje

dotychczasowe zachowanie ani nawet akt niczym nieskrępowanego szaleństwa; choć to ostatnie pewnie najbardziej. Przede wszystkim była to zimna kalkulacja – założyłem, że gdzieś po domu szwendają się jeszcze trzy, może nawet cztery trupy, i uznałem, że lepiej nie ryzykować spotkania z nimi bez żadnego wsparcia. A Rudy, choć kanalia, nie był przecież mordercą. Już bardziej bałem się tego, że stchórzy i ucieknie, kiedy najbardziej będę go potrzebował.

* * *

Marcelę znaleźliśmy dosyć szybko i bez żadnych problemów; leżała w sypialni, niemal na końcu korytarza.

Pokój ten skojarzył mi się z zapuszczonym muzeum lokalnego folkloru, do którego przychodzą tylko – bardzo niechętnie takiej rozrywce – wycieczki szkolne. Sama gospodyni również wyglądała jak eksponat, w dodatku najstarszy i najpaskudniejszy w całej kolekcji: jej twarz przypominała tandetnie wykonaną maskę z papier-mâché, suchą, groteskowo bezkształtną i napuchniętą; jedynie głębokie, nieregularne zmarszczki przydawały jej prawdziwie ludzkich cech. Oczy miała zamknięte, a dłonie złożone na piersi, zupełnie jakby nie leżała w łóżku, tylko na katafalku. Otaczały ją rodzinne zdjęcia – na niektórych mały chłopiec ze zbyt bujną czupryną szczyrzył się do fotografa zawsze w ten sam, nieuchwytnie złośliwy sposób – jakieś pamiątki, kompleksowy asortyment małej hurtowni dewocjonaliów oraz smród, od którego Rudy omal się nie porzygał. Na pierzynie przykrywającej staruchę, na wysokości prawego uda, widniała spora czerwonobrazowa plama.

Wdówka oddychała bardzo płytko, jakby była umierająca – albo starała się udawać martwą – ale jednak.

– No, Marcyś, pobudka! – Zerwałem z niej pościel, uważając, by nie dotknąć krwawej plamy. – Mamy do pogadania.

Była naga – niech mnie diabli, nigdy bym nie przypuszczał, że przyjdzie dzień, w którym widok cudzego frędzla sprawi mi mniej przykrości niż goła baba – więc zrobiona zębami dziecka rana na jej nodze aż nazbyt rzucała się w oczy. Ugryzienie samo

w sobie nie mogło być śmiertelne, ale sącząca się z poszarpanego mięśnia cuchnąca ropa i zzieleniała skóra dookoła mówiły więcej niż dość o losie, jaki czekał starą Budyniową. A raczej jaki czekałby ją, gdybyśmy się nie napatoczyli i nie zniweczyli całego jej pięknego planu na najbliższą wieczność.

– Odejdźcie – odparła ledwo słyszalnie, jakby za chwilę rzeczywiście miała wydać ostatnie tchnienie. – Pozwólcie starej kobiecie umrzeć w spokoju i połączyć się z bliskimi.

– Jasne, nie ma problemu... tylko powiedz nam, gdzie oni są.

Marcela popatrzyła na mnie w sposób wyrażający niemal doskonały brak zrozumienia. Niemal.

– No, gdzie są ci twoi bliscy? – powtórzyłem. – Chętnie do nich zajrzę i przekażę, że zaraz spotkają się z mamuszką w piekle.

– Odejdźcie... – Jakby mnie nie słyszała. – Nie zakłócajcie spokoju umierającej.

– Jeśli chcesz, żebyśmy dali ci święty spokój – schowałem pistolet – najpierw musisz odpowiedzieć nam na kilka pytań... na przykład o Czesia.

Marcela jakimś cudem pobladła jeszcze bardziej, ale – paradoksalnie – wróciła do świata żywych.

– Jeśli zrobiliście coś mojemu wnusiowi...

– To co? – Nie odpowiedziała, więc ciężar podtrzymania rozmowy wzięłem na siebie: – Odstrzeliłem gówniaka, wiesz przecież. Musiałaś słyszeć. Rudy wciąż ma kawałki jego mózgu na... nooo, właściwie wszędzie. Tylko widzisz – ciągnąłem, gdy i tym razem nie nastąpiła żadna reakcja – ważne jest nie to, co ja mu zrobiłem, lecz to, co zrobiłaś mu ty... i co on zrobił tobie.

Na wypadek gdyby za mną nie nadażała, podniosłem stojące przy łóżku krzesło i przyłożyłem jedną z jego nóg do rany na udzie wdowy. Byłem niemal delikatny, przynajmniej na razie, a mimo to zawyła z bólu i aż się wyprostowała.

– No więc może wyjaśnisz nam, co tu się, do kurwej nędzy, dzieje?

– Idź precz, sługo Szatana! Oby robactwo przez wieczność toczyło twe trzewia, serce zgniło ci w piersi, a z oczu popłynęła wrząca smoła, która...

Krzesło w ruch, baba w krzyk.

– Ślicznie dziękuję za dobre słowo, ale może przejdźmy do rzeczy, bo nie mam całego dnia na pogaduchy. – Nachyliłem się nad nią i zniżyłem głos: – Ty zresztą też nie masz całego dnia... A teraz już tylko od ciebie zależy, jak bardzo będziesz żałować, że nie był on jeszcze krótszy. To jak? Wolisz trafić do piekła przed śmiercią czy dopiero po?

W odpowiedzi Budyniowa charknęła i splunęła. Była jednak na tyle już słaba, że zabarwiona czerwienią flegma, zamiast wylądować na mojej twarzy, zakończyła swój krótki lot na obwisłej piersi staruchy.

– No cóż, skoro wolisz rozmawiać w ten sposób...

– Heniek, kurwa, pojebało cię?! – Rudy dosyć niespodziewanie dźgnął mnie łufą w pierś. – Odłóż to pieprzone krzesło i odsuń się od niej, albo przysięgam, że cię zabiję!

Ech...

– A ja przysięgam, że sram na te twoje przysięgi.

– Nie żartuję! Odłóż to krzesło!

– No dobra, dobra, spokojnie... – Spełniłem żądanie domorosłego terrorysty. – Tylko powiedz mi, tak z ręką na sercu: jak myślisz, kogo tutaj tak naprawdę pojebało? Marcelę, która wymordowała całą swoją rodzinę, mnie, bo chcę się dowiedzieć, dlaczego to zrobiła, czy może jednak ciebie, skoro próbujesz mnie przed tym powstrzymać, grożąc mi moją własną bronią... w dodatku nieodbezpieczoną?

Jacek szybko zerknął na strzelbę i jęknął:

– O w mordę...

– A żebyś wiedział! – I dostał w mordę. Nie na tyle mocno, żeby zabić czy choćby połamać, ale wystarczająco, by gnojka spoziomować. – No już, oddaj mi to!

– Heniek, posłuchaj – stękał, gramoląc się z podłogi – ja...

– Nie, Rudy, teraz to ty będziesz słuchał mnie. Dawaj strzelbę!

Jacek karnie wykonał rozkaz, choć wcale nie musiał, bo nawet nie sięgnąłem po glocka. Strach to często najpotężniejsza broń.

– Pamiętasz, co ci mówiłem o celowaniu do mnie?

– No a co miałem zrobić? – zapytał, rozmazując na twarzy

płynącą mu z nosa krew. – Stać i patrzeć, jak ją torturujesz?

– Na przykład.

– Heniek, daj spokój, przecież tak nie można!

– Nie można? Mordować własnych dzieci i wnucząt też podobno nie można... Tylko co z tego?

– A jaką masz pewność, że oni nie żyją? I że to ona ich wszystkich zabiła? Może mały po prostu miał wypadek?

– Może. Ale zauważyłeś, że ten cholerny dom wygląda jak więzienie? Wzmacniane drzwi, zabite okna... Marcela postarała się, żeby nic jej stąd nie uciekło. A na jednego martwego dzieciaka to jednak trochę za dużo zachodu, nie uważasz? Zresztą... skoro Czesio był tu przez cały czas, martwy jak sam skurwysyn, to gdzie są pozostali? Czemu zostawili go tutaj, razem z nią, i zniknęli bez śladu?

Pytanie skierowałem do Jacka, ale znacznie bardziej interesowało mnie, jak na moje dywagacje zareaguje wdówka. Ta jednak milczała, ze stuporem gapiąc się w ścianę.

– No dobra... – Rudy tymczasem usiłował myśleć. – Ale... z drugiej strony po co miałyby robić coś takiego?

– Gdyby nie zachciało ci się bawić w harcerzyka, może już znałbym odpowiedź na to pytanie.

– Heniek, daj już spokój, ja...

– Spokój? Grozisz mi śmiercią, a ja mam dać spokój?!

– Ty mi grozisz śmiercią co pięć minut... Teraz przynajmniej już wiesz, jakie to uczucie.

Hmmm...

– Dobra, słuchaj, palancie, żebyśmy mieli jasność: żyjesz tylko dlatego, że trochę cię rozumiem... – przyznałem. – I kto wie, może nawet postąpiłbym tak samo... gdybym był skończonym idiotą.

– Więc nie zabijesz mnie ani nic? – nie dowierzał Jacek.

– No nie zamknę cię tu razem z tym, w co zaraz zmieni się Marcysia, jeśli o to pytasz, ale na „ani nic” też raczej nie licz.

– Ej no, przecież już mi przywaliłeś! Chyba nawet złamałeś mi nos...

– Gdybym złamał ci nos, to utopiłbyś się w tej krwi, a nie popuszczał jak dziewczica przy pierwszej miesiączce. Zresztą to

akurat nie było za wygrazanie mi.

– Nie?

– Nie. Oberwałeś, bo ból jest najlepszym nauczycielem, a ty masz ewidentne braki w wykształceniu. Gdybym był trupem, to ty też już byś nie żył przez tę swoją dupowatość. Jeśli nie zaczniesz w końcu myśleć, obaj przez ciebie skończymy jako szkodniki.

– Eee... Szkodniki?

– No trupy – odparłem. – Dla mnie te wszystkie zdechlaki to po prostu...

– Szkodniki?! – wtrąciła wdowa, niespodziewanie posuwając akcję do przodu. – Zdechlaki?! Wy... wy przekłęci... Nic nie rozumiecie! Nic! Oni są święci, nie widzicie tego?

– Święci? – zapytał Rudy. Głos miał głuchy, jakby pusty, ale nie wyczuwałem w nim tej samej grozy, która zaczęła pełznąć w górę po moim kręgosłupie. A myślałem, przeklęty stary głupiec, że po tym wszystkim, czego już się naoglądałem podczas tej cholernej apokalipsy, nic więcej nie zdoła mnie ruszyć.

– Tak! Nastał oto Dzień Sądu i sprawiedliwym dano wieczne życie!

– Twoim bliskim też? – wychrypiałem. – Kto im dał to wieczne życie? Ty?

– Moja rodzina... oni zostali wybrani! Pokonali śmierć, tak jak Pan Jezus. Zostawcie ich!

– Jak Jezus? Serio? A która Ewangelia mówi o tym, że Jezus po zmartwychwstaniu próbował zeżreć swoich apostołów?

– Nie drwij z nauk Kościoła, antychryście, bo jeszcze zdepcze twą głowę niewiasta...

Tym razem do rany Marceli docisnąłem lufę strzelby, a gdy jej bełkotliwe groźby, zamienione teraz w przetykane łkaniem rżenie, cichły powoli, wytarłem broń o prześcieradło – później się wyparzy – odbezpieczyłem i oddałem zdumionemu Jackowi.

– Jeśli nadal zamierzasz mnie powstrzymać, zrób to teraz... albo wyjdź. Nie chcesz brać udziału w tym, co się tu zaraz wydarzy.

Rudy patrzył na mnie ogłupiały i nie reagował.

– No, wybieraj! Ja czy ona? Tylko pamiętaj: cokolwiek

zdecydujesz, i tak nie zostaniesz bohaterem.

* * *

Odczekałem, aż Rudy zamknie za sobą drzwi, i zwróciłem się do Marceli:

– Zdawało mi się czy wspominałaś coś o Kościele? Mogłabyś to... rozwinąć?

– Kazik! – zawyła w odpowiedzi gospodyni. – Kazik, ratuj! Nie pozwól mu na to!

– No już, już... Kazik ci nie pomoże, Marcyś. On nie żyje, pamiętasz?

– Nie, nie, nie... – Wdowa coraz bardziej miotała się na łóżku. – Kazik! Pomóż mi, słyszysz?! Zabierz stąd tego potwora! Zniszcz go!

– Spokojnie, nie na wdechu. – Mimowolnie powtórzyłem głupie powiedzonko Rudego. – Ja też nie mam na to najmniejszej ochoty, więc może po prostu nie utrudniaj, dobra?

Z pewnymi oporami, jednak Marcela w końcu posłuchała i powiedziała mi wszystko, co chciałem wiedzieć, a nawet trochę więcej. Na szczęście nie trwało to długo.

* * *

– Dobra, chodźmy – rzuciłem do Jacka, który posłusznie czekał na korytarzu. Czy to dla wygody, czy z dbałości o własne sumienie, cofnął się aż do schodów, gdzie nie tylko mógł usiąść, ale też prawie nie słyszał krzyków Budyniowej. W powietrzu unosiło się intensywne wspomnienie po zgastym niedawno papierosie.

– Co z nią? – Jego głos wybrzmiał zmęczeniem i rezygnacją. Z pewnością nie tak wyobrażał sobie ten dzień.

– Obiecałem, że zapewnię jej święty spokój, jeśli odpowie na moje pytania, pamiętasz?

– Odpowiedziała?

Skinałem głową.

– Chodźmy.

– Dokąd? – Rudy wstał powoli.

– Na dół. Marcela przetrzymuje swoich „świętych” w piwnicy. Wyobraź sobie, że karmiła ich ciałem i krwią, tak jak ponoć robił to Chrystus – zdradziłem współnikowi tajemnicę ostatniej spowiedzi Budyniowej. – Zresztą to właśnie przemożnej potrzebie przyjmowania tego „sakramentu” przypisywała ich krwiożerczość.

– Czyli że co? Zombie jedzą ludzi, bo to dla nich... komunia?

– No chyba. Ale skąd brała eucharystię, nie wiem i wiedzieć nie chcę. Za to krew... widziałeś jej ręce?

Jacek potwierdził – sinych blizn na przedramionach Marceli nie dało się przeoczyć – a potem rzucił truizmem:

– Przecież to bez sensu.

– Mnie to mówisz? W każdym razie podczas jednego z takich obiadków Czesio jakoś jej uciekł i narozrabiał.

– To ci peszek...

– No właśnie nie... A w każdym razie nie dla Marceli. Jeśli dobrze zrozumiałem, uznała to za znak, że i dla niej wreszcie nastał czas, by dostąpić zbawienia. Cóż... do pewnego stopnia miała rację, nie?

Widocznie dawka absurdu, jaką Rudy mógł przyjąć na jedno posiedzenie, została właśnie przekroczona, bo milczał przez chwilę, a gdy się wreszcie odezwał, zmienił temat.

– No dobra, to jaki jest plan?

– Likwidujemy trupy i bierzemy znaleźne, a potem odwiedzę proboszcza i zrobię mu z dupy fast food dla szkodników. – Słyszac to, Jacek przystanął w pół kroku. – No co? Przecież nie każę ci iść ze mną.

– Mam nadzieję. Tylko... co ma do tego Konopka?

– A jak myślisz, kto przestawił tej durnej babie wszystkie klepki? Zresztą pewnie nie tylko jej, w końcu połowa wsi to jego neofici.

– Neofici? – Rudy spojrzął na mnie bez zrozumienia. – Czyli?

– Czyli, że czeka mnie dużo sprzątanina – mruknąłem. – Ech, a było załuc gada od razu, jak tylko pokazał kły.

– Eeee... Mógłbyś jaśniej?

Dobre pytanie. Z jednej strony nie czułem ani ochoty, ani

potrzeby, by zwierzać się facetowi, którego nie mam powodów nawet lubić, z drugiej – Rudy miał prawo wiedzieć, w co właściwie wdepnął. Poza tym uznałem, że będzie mi łatwiej pozbierać myśli, wyrażając je na głos.

– Że my się z proboszczem nie lubimy, to wiesz?

– Jak wszyscy.

– A wiesz dlaczego?

– Coś tam słyszałem, ale...

* * *

Zdecydowanie najgorszym – bo społecznie akceptowanym – ze wszystkich skutków ubocznych epidemii okazali się właśnie kościelni Konopki: niebezpieczna zbieranina dewot płci dowolnej, prowadzona żelazną ręką proboszcza.

Historia tej sekty sięga praktycznie początków zarazy, kiedy to cwaniak w sutannie przenicował nieaktualne już dogmaty – w końcu trwa apokalipsa zombie, więc wcale nie trzeba się specjalnie wysilać, by spotkać żywy (a w każdym razie namacalny) dowód na to, że wszystkie teorie o wiecznym życiu i zbawieniu są... no, co najmniej dyskusyjne – a potem, pod płaszczykiem walki ze sługami Szatana, przekształcił swoją trzódkę w organizację paramilitarną, która teraz już otwarcie dąży do przejścia całkowitej władzy; nawet jeśli nie nad światem, to przynajmniej nad Pchlim Targiem.

No cóż, jaki Pruszków, taka mafia, można by rzec.

Niemniej trzeba przyznać, że proboszcz radził sobie całkiem nieźle – wraz z upływem czasu, rozwojem wypadków i postępującą degradacją ludzkości sutanna zaczęła budzić w Pchlim Targu więcej szacunku niż mundur. A nierzadko więcej nawet niż nabita strzelba. Okazało się więc, że sekciarze Konopki są równie niebezpieczni jak trupy. Mniej krwiożerczy, a za to prawdopodobnie jeszcze bardziej bezmyślni, to prawda, lecz przy tym lepiej zorganizowani i kierowani przez nad wyraz ambitnego typu, mającego za sobą bogatą w dwa tysiące lat doświadczenia szkołę manipulowania naiwniakami. Z początku niespecjalnie interesowałem się poczynaniami proboszcza

i problemami jego Kościoła, lecz – niestety – bez wzajemności. W myśl wyznawanej przez Konopkę zasady: „Kto nie z Bogiem, ten przeciwko nam, kto nie z nami, ten przeciwko Bogu”, jego kmiotki zaczęły mnie nachodzić, nagabywać i nawracać, posiłkując się własnej produkcji parafrazami z nowotestamentowej Apokalipsy oraz obietnicami, które spełnić mógłby tylko ich nieistniejący Bóg. W odpowiedzi przedstawiłem im wizję Apokalipsy według Henryka Gąski i również złożyłem kilka górnolotnych obietnic.

Dzisiaj, patrząc na wszystko z perspektywy czasu, dochodzę do wniosku, że okazałem się znacznie lepszym prorokiem niż Jan Apostoł.

Indoktrynacja zawiodła i musiała spieprzać z mojej ziemi tak szybko, jak biegają moje psy – a nawet i trochę szybciej – ale Konopka się nie poddał. Widocznie jednak uznał, że wprowadzający własne porządki, uzbrojony i zdecydowanie niebezpieczny sobiepanek w starym zatorze jest jedną z tych sił, których nie wolno mu lekceważyć – w czym miał oczywiście rację – bo postanowił podejść do sprawy bardziej pragmatycznie i zamiast męczyć starcze uszy zabobonami, chciał kupić mnie za garść srebrników oraz obietnice natury zgoła innej niż duchowa.

A gdy i to nie poskutkowało – jak mówiłem, dla człowieka w pewnym wieku ważny jest już tylko święty spokój – sekiarze zmienili śpiewkę i podjęli nieudolne próby zastraszenia mnie, co, rzecz jasna również nie przyniosło większego efektu. Powiedziałbym nawet, że nie przyniosło żadnego efektu, i nie minąłbym się z prawdą, aczkolwiek pewne przykre konsekwencje jednak nastąpiły, co chyba można podsumować w ten sposób, że im bardziej interesujące, a przy tym mniej zawołowane groźby wymyślał dla mnie Konopka, tym mniej było chętnych, by mi je przekazać.

Wtedy proboszcz – podówczas już niezdolny do trzeźwego osądu, skażony władzą niemal absolutną paranoik, dostrzegający śmiertelne zagrożenie w każdym, kto był zdolny mu się przeciwstawić – doszedł do wniosku, że skoro nie da się mnie przekonać, kupić ani zastraszyć, to należy mnie zniszczyć.

A kiedy przyszli podpalić dom, ten, w którym mieszkam... No cóż, starałem się nikogo nie zabijać, ale że oni ze wszystkich sił próbowali zabić mnie, ubyto we wsi gros głupców, nim Konopka w końcu zrozumiał, że im dalej będzie się ode mnie trzymał, tym spokojniejszy czeka go sen. Przy czym, jeśli wziąć pod uwagę kosz zgniłych jaj na nocnym stoliku, ślady ubłoconych gumiaków kończące się tuż przed kapłańskim łóżem i wreszcie złowróźnie bliski warkot starego ciągnika, wdzierający się w ciszę przedświt niczym zew Dzikiego Gonu, zwrot ten należy traktować jak najbardziej niemetaforycznie.

Będący pokłosiem tamtej pamiętnej nocy pakt o nieagresji – oczywiście nieformalny i w praktyce sprowadzający się do tego, że dla proboszcza przestałem istnieć – funkcjonował bez zarzutu przez kilka ostatnich lat.

* * *

– Ale wszystko ma swoje granice. Nawet moja cierpliwość. – Tak oto zakończyłem skróconą wersję powyższych wyjaśnień. – A coś takiego... Kurwa, jak to jest w ogóle możliwe?

Rudy oczywiście nie zrozumiał, o czym mówię.

– O tym. – Machnąłem ręką, pokazując wszystko i nic. – O całej armii psycholi „zbawiających” swoje rodziny i o tym, że dowiaduję się o wszystkim dopiero teraz, i to jeszcze przez przypadek...

– No... Kurde, akcja jak z jakiegoś horroru, nie? *Senna wioska, spokojni mieszkańcy* – zaczął zmodulowanym głosem Rudy – *i mroczna, śmiertelnie niebezpieczna tajemnica, która...*

– Ciebie to bawi?

– Co? Nie! Jasne, że nie... – Jacek wyraźnie się spieszył. – Po prostu... takie rzeczy nie zdarzają się naprawdę.

– No cóż, chyba jednak się zdarzają. Powiedz, zastanawiałeś się kiedyś, gdzie w ostatnich latach wcięło nam połowę wsi? Bo ja często. Ale teraz już chyba mam odpowiedź: siedzą w cholernych piwnicach!

– Ech... I co teraz?

– Już ci mówiłem: pójde i zrobię z tymi szajbusami porządek.

- A niby jak? Zakopiesz wszystkich w swoim sadzie?
- Tylko tych, którzy będą mieli szczęście.
- A co z pozostałymi? Albo nie, czekaj! Chyba nie chcę wiedzieć...
- Ale pewnie i tak się dowiesz.
- Jezu, Heniek... ty naprawdę zamierzasz to zrobić.
- Jezu, Rudy... a ty naprawdę zamierzasz wyjść stąd z kilkoma gratami i udawać, że nic się nie stało?
- No wiesz...

* * *

Szkodniki faktycznie były w piwnicy, do której prowadziło kilka betonowych schodków wiodących z kotłowni, a kończących się tuż przed wzmacnianymi drzwiami zaopatrzonymi w niewielkie okienko z zasuwą. Pstryknąłem przełącznik przy zejściu i schody zalało żółte światło odpornej na biurokratyczne sprzeciwy sześćdziesięciowatówki.

Gdy zesliśmy, Jacek odblokował zasuwę i zerknął przez okienko.

- Ożeż... Człowieku, to jest... – jęknął i urwał.
- No?

Zamiast odpowiedzieć, ustąpił mi miejsca. Spojrzałem i natychmiast zrozumiałem jego reakcję.

Trupy miały w swojej „poczekalni” – jak nazwała to miejsce nieboszczka gospodyni – praktycznie all inclusive: dwa łóżka, półkę z książkami (o wiadomej tematyce), stół, krzesła, prysznic, umywalkę, kibel, a nawet telewizor. A wszystko zniszczone, choć oczywiście nigdy nie używane.

Same zombie – sztuk trzy: dwa duże i jedno średnie – niczym czekający na rozstrzelanie skazańcy stały pod ścianą po prawej i w absolutnym bezruchu kontemplowały zdrapaną tapetę. Widok nieskończenie smutny, żaloszny i przerażający.

– Jak myślisz, kto to wszystko przygotował? Bo przecież nie ta stuknięta babcia. Na pewno nie sama.

Rudy miał rację; z początku myślałem, że Budyniowa była kobietą nad wyraz zaradną, skoro zdołała uwięzić tu cztery

trupy, a potem jeszcze się nimi „opiekować”, lecz kiedy zobaczyłem wszystkie te bzdurne udogodnienia, zwątpiłem.

Pamiętam, że chciałem coś Jackowi odpowiedzieć, ale w tej samej chwili za naszymi plecami rozległ się zmęczony głos, który na moment ścisnął mi serce w bolesnym skurczu, a w zamian nieco rozluźnił zwieracze.

– Podoba wam się? Kosztowało nas to sporo pracy, ale było warto, prawda?

Obróciłem się powoli, nie dowierzając zmysłom. Niesłusznie. U szczytu schodów stał bowiem starszy jegomość, którego głowa – absolutnie gładka kula odbijająca żółte światło żarówki – przypominała globus słońca, a ciało zdawało się ugiąć pod niewidzialnym dla mnie ciężarem. Lewy rękaw wełnianego swetra zwisał swobodnie wzdłuż jego boku – tak oto, ku mojemu autentycznemu przerażeniu, rozwiązała się kolejna zagadka – i tylko pewnie trzymany w prawej dłoni pistolet zdradzał, że facet jest naprawdę niebezpieczny.

– Kazik... – wychrypiałem. – Miło cię widzieć... żywego.

– W czas Sądu ożywa wielu spośród tych, których już opłakano, zaś ci, którym zdaje się, że wciąż żyją, okazują się martwi... Wszystko jest spełnieniem woli Boga.

– Boga czy proboszcza? Człowieku, byłem na twoim cholernym pogrzebie!

– Piękna ceremonia, prawda? Przyszło tyle osób... – Mąż Marceli uśmiechnął się smutno. – Żałuję, że nie mogłem być wtedy z wami. Ale tak trzeba. Zbawienie mojej rodziny jest najważniejsze.

– To nazywasz zbawieniem? – Wskazałem na drzwi za moimi plecami. – Twoim zdaniem tak ma wyglądać życie wieczne?

– To tylko przejściowe – stwierdził rzeczowo Kazik. – Kiedy Sądy Pańskie dobiegną końca, a Ziemia zostanie oczyszczona z grzeszników...

– Mówił ci już ktoś, że masz nasrane we łbie? – przerwałem mu ostro. – Zresztą nie tylko ty; twoja stara i ten czarny pajac są chyba jeszcze gorsi!

– Nie, to wy jesteście zaślepieni! – zawyrokował szajbus tonem

ostatniej z siedmiu tręb. – Bezbożni głupcy, na których czeka już tylko piekło...

– Tak? Skoro nas czeka piekło, to co będzie z tobą? – warknąłem. – Jakie plany ma ten wasz Bóg względem morderców, zdrajców i tchórzy? Co, Kaziu? Może powiesz mi, gdzie byłeś, kiedy oprawiałem twoją starą? Słyszałeś jej krzyki czy miałaś głowę zbyt głęboko schowaną we własnej dupie? A wołała cię, oj, wołała... Myślałem, że jej już odbija z bólu i zwyczajnie majaczy, ale ona naprawdę wierzyła, że ją uratujesz. Do samego końca miała nadzieję... A ty, cipo łysa, pozwoliłeś, żeby zdechła jak bezpieczni pies, bez szans na to wasze zasrane „zmartwychwstanie”! – Ostatnie słowo dosłownie wyplułem. – Aha, no i masz pozdrowienia od Czesia... A tak swoją drogą, to czemu mały pogryzł Marcelę, a ciebie nie? Przed martwymi chowasz się tak samo jak przed żywymi?

Kazik milczał, wyraźnie wstrząśnięty. Przeszło mi przez myśl, że może naprawdę nie zdawał sobie sprawy, iż rozmówiliśmy się już z jego żoną i wnukiem. Jak jednak było naprawdę – tego nie dowiem się nigdy.

– Co jest, staruszkule? Nagle nie masz nic mądrego do powiedzenia? – prowokowałem go dalej. – To może chociaż wyjaśnisz mi, jak to było z twoją rodziną: sami cię poprosili o tę kłatkę czy zaciągnąłeś ich tu siłą, zanim wymordowałeś?

– Nie... – Budyń uniósł broń, lecz teraz już ręka mocno mu drżała. – Nie!

Co autor miał na myśli, pozostanie niestety tajemnicą, gdyż Rudy, o którym praktycznie zdążyłem już zapomnieć, mimo wszystko postanowił zostać bohaterem.

I oczywiście wszystko spieprzył.

Strzelił, praktycznie nie celując, i minimalnie chybił, a Kazik nie dał mu szansy na korektę; natychmiast odpowiedział ogniem, a przy tym, choć zdołałem wytrącić go z równowagi, okazał się znacznie lepszym strzelcem niż Snop. Dwie kule – w nerki i w prawy bark, tuż powyżej płuca – stały się dla Jacka aniołami śmierci.

Ja natomiast padłem instynktownie na ziemię i wpakowałem

Kazkowi trzy pociski w pierś, zanim choćby zdążył we mnie wymierzyć. Potem zaś, gdy jeszcze drgał, aczkolwiek już bez większego przekonania, wbiłem mu nóż przez oczodół do mózgu.

Rudy, jak się okazało, wciąż żył, lecz było jasne, że nie jest to dobra wiadomość.

– Chybiłem, co? – stęknął z wyrzutem, gdy oparłem go o ścianę. – Pieprzona ręka...

– To po cholere strzelałeś?

– Chciałem... Masz rację, trzeba ich wszystkich... – Reszta wypowiedzi utonęła w krwawym kaszlu. – Kurwa, ależ to boli... Ale przynajmniej ocalałem ci dupę, nie? Przyznaj, palancie!

– Chciałbyś.

– Spoko, nie musisz dziękować. – Przez chwilę Jacek zbierał się na odwagę, a potem zapytał: – Jak źle to wygląda?

– A skąd mogę wiedzieć? Nie jestem lekarzem.

– I kto tu jest pizdą? No mów!

– Ech... jak by to... Mam coś przekazać twoim bliskim albo... komuś?

– A pewnie – odparł po zdecydowanie zbyt długiej chwili. – Każ im się pierdolić.

– Komu?

– Najlepiej wszystkim... – Zaczął się śmiać, lecz znów przegrał z kaszlem.

– Dlaczego „Rudy”? – spytałem, gdy wyrównał oddech. Nie żeby mnie to cokolwiek obchodziło; po prostu Jacek mimo wszystko nie zasłużył na tę krępującą ciszę, która musiałaby wybrzmieć między nami, gdyby on też zrozumiał, że tak naprawdę nie mamy sobie kompletnie nic do powiedzenia.

– Co?

– No skąd ta durna ksywka?

– Za dzieciaka miałem... mia... miałem... jasne... jaśniejsze włosy. Takie...

– Cholera, wiedziałem! – Nagłym, silnym pchnięciem wbiłem mu nóż w skroń. – To po prostu musiała być jakaś taka bzdura...

Zamknąłem Rudemu powieki i podniosłem się powoli – starość nie lubi pośpiechu – a potem uczciłem go minutą ciszy

(w rozumieniu bardzo umownym).

Czy miał jeszcze szanse? Miałby, z pewnością, ale nie w Pchlim Targu i nie za tych parszywych czasów. Szybka, bezbolesna śmierć, i to zanim naprawdę zaczął się bać, była najlepszym, co mogło go jeszcze spotkać.

* * *

„Święta rodzina”, pobudzona hałasem i zapachem krwi, sama cisnęła się do drzwi, ułatwiając mi tym samym robotę.

Trzykrotnie pociągnąłem za spust, dając im szansę na prawdziwe zbawienie, a gdy było po wszystkim, zarzuciłem na ramię strzelbę i zaanektowałem pistolet Kazika – jakieś stare, postkomunistyczne gówno, które przy pierwszym strzale eksplodowałoby temu popaprańcowi w rękę, gdyby świat był choć trochę bardziej sprawiedliwy – a potem obmacałem jego kieszenie; w końcu za darmo nie pracuję.

W jednej z nich, ku swojemu zaskoczeniu, znalazłem niemal zabytkowy, ale wciąż działający telefon. Odblokowałem go, przejrzałem spis połączeń oraz wiadomości i uśmiechnąłem się krzywo – nareszcie jakiś uśmiech losu.

Chwilę później siedziałem już w ciągniku.

Czekałem.

A gdy naprzeciwno, na placu przed domem Budyniów, pojawił się tłum zbrojnych durniów prowadzonych przez proboszcza, silnik zetora zaryczał potężnie.

Podziękowania

Z podziękowaniami wiąże się pewien paradoks. Dla czytelnika to z pewnością najnudniejsza część całego dzieła (biada, jeżeli jest inaczej!), gdy tymczasem może się okazać, że dla autora to część najważniejsza, a zarazem i najtrudniejsza. Tak właśnie jest w moim przypadku, gdyż wiem, że nie zdołam na tym skrawku papieru wymienić wszystkich osób, które wymienić bym pragnęła, oddać sprawiedliwości ogromowi ich zasług ani wyrazić, jak nieskończenie jestem im wdzięczny za wszystko, co dla mnie zrobiły i robią nadal – szczególnie że już zużyłem prawie połowę dostępnego miejsca ;)

Skupię się więc jedynie na tych, bez których wsparcia *Szkodniki* nadal siałyby spustoszenie wyłącznie w mojej szufladzie. Pozostałych błagam o wybaczenie.

Składam zatem głęboki ukłon moim gospodarzom: wydawnictwu Insignis Media, dzięki którego uprzejmości mogliśmy się tu dzisiaj spotkać, oraz państwu Szmidtom, Urszuli i Robertowi, którym pozostaję dożgonnie wdzięczny za zaproszenie do udziału w tej cudownej przygodzie i za wszystko, co mnie z ich strony spotkało. Przede wszystkim jednak za to, że są wspaniałymi ludźmi pełnymi ciepła i empatii.

Chciałbym podziękować także mojej nieocenionej rodzinie za to, że nie wybiła mi z głowy całej tej literatury, kiedy jeszcze mogła, oraz wszystkim przyjaciółom z portalu fantastyka.pl, szczególnie miłym paniom gravel i Iluzji: za pierwsze czytania, uwagi, bezcenne rady oraz niewyczerpaną cierpliwość okazaną upartemu głupcowi.

Piotrek

Well, let's kill them all!

4 OSOBOWA GRA W WIRTUALNEJ RZECZYWISTOŚCI



ZOMBIE VR SQUAD

MAGIC VR

WROCLAW / RYNEK / FENIKS

5 PIĘTRO / 1 WINDA



ZOMBIE VR SQUAD

ODWIEDŹ NAS!

Witaj w świecie
WIRTUALNEJ RZECZYWISTOŚCI

↑ Friedrich 123 ↑ 567 ↑ 890 444

Arena Zombie VR Squad jest naszym autorskim tytułem oraz jedyną na świecie symulacją opierającą się na technologii VR, w której gracze zespołowo bronią elektrowni atomowej przed zmasowanym atakiem przerażających zombie.

Gra ukazuje apokaliptyczną wizję otaczającego świata, do której każdy zawodnik wraz z resztą drużyny zostanie przeniesiony aby wspólnie zмагаć się przed oporem wrogich istot mających na celu pożreć każdego żywego człowieka.

Rozgrywka gwarantuje niebywałe doznania pobudzając wszystkie zmysły wpływające na emocje graczy, którzy wzajemnie się widzą i słyszą mając przy tym wrażenie opuszczenia realnej rzeczywistości. Wspólna komunikacja pomiędzy graczami daje możliwość sprawdzenia się w zespole, planowania obrony oraz ataku, które wpływają na końcowy ranking graczy!

ZAREZERWUJ GRĘ: www.MAGICVR.co